



Catrin Collier



OSTATNIE LATO

OD AUTORA

Zmieniłam nazwy Grunwaldsee i Bergensee. Oba domy wciąż istnieją - Bergensee masywne, okazałe i królewskie nawet w zaniedbaniu; Grunwaldsee odrestaurowane do dawnej świetności - ale żaden z nich nie znajduje się tam, gdzie go umieściłam.

Dom państwa Adolf nadal stoi w Olsztynie, w opisanym przeze mnie miejscu - przy tej samej ulicy co dawna synagoga, obok starego żydowskiego cmentarza, który według relacji naocznych świadków został splądrowany przez komunistów we wczesnych latach siedemdziesiątych. Kosztowności, ukryte przez Żydów w rodzinnych grobowcach podczas wojny, tuż przed wywiezieniem do obozów koncentracyjnych, załadowano na kilka ciężarówek, które odjechały w nieznanym kierunku, a trumny i ciała zmarłych odarto ze złota i biżuterii. Potem znikły nawet kości i trumny. Dziś jest tam pusta parcela - nierówny, poznaczony dziurami nieużytek, wepchnięty pomiędzy ulicę zdominowaną przez powojenne bloki a teren zajmowany przez pchli targ.

Być może nigdy nie uda się ustalić ostatecznej liczby ofiar śmiertelnych spośród konspiratorów zaangażowanych w spisek pułkownika von Stauffenberga, którego celem był zamach na Hitlera. Biorący w nim udział oficerowie armii albo sami byli świadkami okropności, które wycierpiały nacje wschodniej Europy od wszystkich formacji niemieckiego wojska, włącznie z Wehrmachtem, albo słyszeli relacje z pierwszej ręki. Czuli, że nie mają innego wyboru, jak tylko złamać przysięgę lojalności wobec Führera, podobnie jak Hitler złamał swoją przysięgę wobec narodu niemieckiego. Ich intencją były starania o przywrócenie pokoju.

Jeszcze przed nieudanym zamachem konspiratorzy nawiązali kontakt z aliantami, w nadziei na podjęcie negocjacji dotyczących zakończenia wojny. Po niepowodzeniu planu BBC ogłosiło listę osób biorących udział w spisku, która okazała się niezwykle przydatna dla służb Hitlera, ponieważ nie wszyscy uczestnicy byli znani nazistom. Nieudany zamach stał się świetnym pretekstem do aresztowania każdego, kto sprzeciwiał się polityce Wodza. W sumie zatrzymano ponad siedem tysięcy osób, a do kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku pięć tysięcy spośród nich zostało straconych. Ponad dwa tysiące oficerów armii niemieckiej skazał na śmierć niesławny Trybunał Ludowy, działający między dwudziestym lipca a dwudziestym pierwszym grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, kiedy to na skutek alianckiego nalotu śmierć poniósł sędzia Roland Friesler. Początkowo Hitler zamierzał urządzać pokazowe rozprawy wzorowane na sowieckich procesach z lat trzydziestych, ze sprawozdaniami w radiu i kronikach filmowych, ale później zmienił zamysł i po siedemnastym sierpnia zabronił przekazywania jakichkolwiek relacji z sal sądowych. Od tego dnia do publicznej wiadomości nie przedostawały się nawet komunikaty o egzekucjach.

Pułkownik Claus Schenk hrabia von Stauffenberg, jego adiutant, porucznik Werner von Haeften, generał Friedrich Olbricht i pułkownik Sztabu Generalnego Albrecht Ritter Mertz von Quirnheim stanęli przed plutonem egzekucyjnym w nocy dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku na dziedzińcu Głównej Kwatery Armii przy Bendlerstrasse. Inni nie mieli tyle szczęścia. Po wydaniu wyroków cywilni spiskowcy ginęli na gilotynie, wojskowi zaś, rozebrani do naga, dusili się powoli zawieszani na strunie fortepianowej na haku, z którego ich zdejmowano, zanim skonali, cucono i wieszano ponownie. W pewnych wypadkach cały proces powtarzano nawet kilkakrotnie, aż wreszcie następował zgon. Na osobisty rozkaz Hitlera te męczarnie były utrwalane na taśmie filmowej, filmy zaś pokazywano później współpracownikom Führera w kwaterze głównej.

Tysiące krewnych spiskowców, głównie kobiet i osób starszych, zostało rozdzielonych ze swoimi dziećmi; potem kolejno trafiali do oddziałów dla „VIP-ów” w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Dzieci konspiratorów zabierano do prowadzonych przez państwo obozów i sierocińców, gdzie starano się pozbawić je tożsamości i wspomnień o rodzi-

cach. Nie wszyscy, lecz większość rodzin spiskowców przeżyła wojnę - w tym żona Clausa von Stauffenberga, Nina, oraz ich pięcioro dzieci.

Gauleiter Prus Wschodnich, Erich Koch, który z uporem twierdził, że Prusy Wschodnie nie poddadzą się Rosjanom, wydał rozkaz, by ludność cywilna pozostała w swoich miastach i wioskach. Osobiście nadzorował załadunek dwóch wagonów towarowych, którymi w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wysłał do Rzeszy cały swój dobytek, żeby następnie samemu uciec do Libau, gdzie już czekały dwa lodolamacze, gotowe do ewakuacji gauleitera oraz jego najbliższych współpracowników. Chociaż na obydwu okrętach było wystarczająco dużo miejsca, Koch odmówił zabrania na pokład cywilnych uciekinierów. Następnie zmienił czarny mundur nazisty na szary polowy i dzięki temu uniknął pojmania aż do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, kiedy został zatrzymany przez Brytyjczyków i jako okrutny zarządca terytoriów Ukrainy i Polski przekazany polskim władzom. Sowieci uważali, że Koch zna miejsce ukrycia Bursztynowej Komnaty, wywiezionej przez hitlerowców z pałacu w Carskim Siole koło Leningradu, więc zażądali jego ekstradycji. Polskie władze odmówiły. Nawet jeśli Koch rzeczywiście znał kryjówkę, w której przechowywano Bursztynową Komnatę, to nigdy jej nie ujawnił. Jego proces odbył się w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku w Warszawie. Został uznany za winnego śmierci czterystu tysięcy Polaków (nie był sądzony za zbrodnie popełnione na Ukrainie) i dziewiątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku skazany na karę śmierci. Sąd zamienił ją później na dożywocie; niektórzy sądzili, że Koch wytargował swoje życie w zamian za ujawnienie miejsc, gdzie ukryto skarby zrabowane podczas działań wojennych. Erich Koch zmarł dwunastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w więzieniu w Barczewie w pobliżu Olsztyna (poprzednio Allenstein), w samym sercu dawnych Prus Wschodnich.

Szacuje się, że podczas drugiej wojny światowej zginęło od czterdziestu do pięćdziesięciu milionów ludzi, w tym jedenaście milionów w obozach zagłady. Ponad pół miliona straciło życie po nieudanym zamachu na Hitlera, przeprowadzonym przez pułkownika von Stauffenberga dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Z pięciu milionów Rosjan, schwytanych przez Niemców, wojnę przeżyło półtora miliona - tylko po to, by za Stalina zginąć w egzekucjach bądź trafić do syberyjskich gułagów na dziesięć lat lub dłużej.

Podczas drugiej wojny światowej zostało zabitych ponad sześć milionów Polaków - osiemnaście procent polskiej ludności - zarówno podczas inwazji niemieckiej, jak i rosyjskiej.

Podczas najazdu armii sowieckiej poniosło śmierć od dwóch do trzech milionów obywateli Prus Wschodnich. Ci, którzy wówczas nie padli ofiarą masakry, umierali podczas ucieczki z głodu, zimna i mrozu. (Rosyjskim żołnierzom powiedziano, że Prusy Wschodnie były matecznikiem faszystowskiej bestii i że mają traktować ludność cywilną równie brutalnie, jak niemieckie oddziały pacyfikacyjne traktowały ludność rosyjską).

Różne są szacunki co do liczby niemieckich żołnierzy, którzy po poddaniu się Amerykanom stracili życie w amerykańskich obozach jenieckich. Ostatnio ujawnione dokumenty zakładają, że było ich od stu do dwustu tysięcy, niektórzy w wieku zaledwie czternastu lat. Amerykańskie obozy wyglądały identycznie jak te założone przez Niemców dla rosyjskich jeńców wojennych - na otwartej przestrzeni, bez wody czy latryn. Racje żywnościowe wydzielane więźniom przez Amerykanów były tak skąpe, że patrząc wstecz, bez trudu można je uznać za niewystarczające do zwykłego podtrzymania procesów życiowych.

Niektórzy historycy spierają się, czy okrucieństwa popełnione w Nemmersdorf w Prusach Wschodnich były dziełem wkraczającej armii rosyjskiej, chcącej zemścić się za nieludzkie czyny dokonane przez Niemców na terytorium Rosji, czy też ostatnią, desperacką próbą SS poderwania obywateli Prus Wschodnich do walki o każdą piędź kraju.

Napisałam „Ostatnie lato”, żeby nadać ludzki wymiar statystykom, które z trudnością jestem w stanie pojąć, nawet po obejrzeniu pamiątek znajdujących się na obszarze Polski. W tym celu wykorzystałam materiały archiwalne oraz

prywatne rodzinne dokumenty, głównie pamiętniki pisane przez moją babkę i matkę w latach tysiąc dziewięćset trzydzięści sześć - tysiąc dziewięćset czterdzieści osiem.

Wszystkie bolesne doświadczenia i wypadki z czasów wojny ukazane w mojej książce wydarzyły się naprawdę. Charlotte von Datski i jej rodzina są typowymi przedstawicielami szlachty pruskiej tamtego okresu, jednak poza ogólnie znanymi osobami pozostałe postaci są wyłącznie tworem mojej wyobraźni.

Pomysł napisania tej powieści pojawił się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, kiedy towarzyszyłam mamie podczas wizyty w domu, z którego jej rodzina zmuszona była uciekać w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Polska rodzina o nazwisku Rodzina, która obecnie zajmuje część budynku (najpierw przez parę lat w domu moich dziadków mieściła się rosyjska kwatera główna dowództwa, a potem został podzielony na samodzielne mieszkania), przywitała nas tak serdecznie, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi. Nie tylko pozwolili mojej matce i mnie zatrzymać się w domu, który niegdyś dziadek zbudował dla siebie i swojej rodziny, lecz także zgodzili się, byśmy nocowały w pokoju, który dawno temu był sypialnią mamy.

Siedziałam i w milczeniu przysłuchiwałam się, jak oni i moja mama wymieniali wojenne wspomnienia. Gospodarstwo, które od wieków znajdowało się w ich posiadaniu, pod koniec wojny zostało im odebrane przez Rosjan i przekazane przesiedlonej rosyjskiej rodzinie. Im kazano „iść na północ”, znaleźć sobie jakiś opuszczony dom albo folwark i zająć go, co też uczynili.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku alianci wymazali z mapy Europy kraj o nazwie Prusy, którego historia sięgała czasów trzysta lat przed Chrystusem. Z wyjątkiem Prus Wschodnich pozostałe terytorium Niemiec zostało podzielone pomiędzy cztery alianckie strefy okupacyjne - francuską, brytyjską, amerykańską i sowiecką (ZSRR). Większość Prus Wschodnich wchłonęło państwo polskie - z wyjątkiem części północno-wschodniej, przyłączonej do ZSRR. Stolica Prus, Królewiec, została przemianowana na Kaliningrad na cześć Michaiła Kalinina, przewodniczącego Rady Najwyższej Związku Sowieckiego. Osiedlili się w niej przybysze ze wszystkich stron Związku Sowieckiego, zwłaszcza z dalekiej Syberii. Obecnie miasto należy do Federacji Rosyjskiej.

Jedenastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku na konferencji w Jaltie Churchill, Roosevelt i Stalin postanowili, że praca niewolnicza Niemców jest częścią prawnie uzasadnionych reparacji wojennych. Ta deklaracja przyniosła korzyść wszystkim sojusznikom. Stalin zarządził deportację ocalałych etnicznych Niemców - zarówno mężczyzn, jak i kobiet - z terytorium Rumunii, Jugosławii, Węgier, Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska, i wysłał ich w głąb Związku Radzieckiego, gdzie zostali zmuszeni do pracy. Ostatnie dwadzieścia pięć tysięcy osób zostało przetransportowanych w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem - czterdzieści osiem. Z miliona Niemców, którzy trafili do wschodnich republik Związku Sowieckiego i systemu więziennych gułagów, przeżyło jedynie około pięćdziesięciu pięciu procent. Gdy Prusy Wschodnie zostały już oczyszczone z urodzonych tutaj Niemców, wszystkie niemieckie nazwy zmieniono na polskie bądź rosyjskie.

Jako córka i wnuczka „przesiedlonych” dorastałam w świadomości, że chociaż moja matka i babcia włożyły sporo wysiłku, żeby zaadaptować się do swojego nowego, powojennego życia, jednak nigdy nie udało się im wyzbyć poczucia straty i bólu po wygnaniu z ukochanej ojczyzny, gdzie żyła i pracowała od stuleci nasza rodzina.

Rozdział pierwszy

W pociągu jadącym na zachód

z Moskwy do Prus Wschodnich

Sobota, 19 sierpnia 1939

Dziś są moje osiemnaste urodziny. Już nikt nigdy nie nazwie mnie dzieckiem ani nie powie, że jestem za młoda na bale albo wieczorki towarzyskie. Mama poślubiła tatę, gdy miała osiemnaście lat, ale ona nie musiała myśleć o własnej karierze, tak jak ja. Zastanawiam się, dlaczego Greta nie wzięła się do nauki jakiegoś zawodu, zamiast stać się przewodniczącą Bund Deutscher Mädel. Teraz zajmuje się wyłącznie organizowaniem spotkań dla młodych dziewcząt, na których uczy je szyć i gotować, choć sama wcale nie jest żadną mistrzynią rondla ani znakomitą krawcową.

Prawdopodobnie już nikt więcej nie zaproponuje jej małżeństwa. W tym roku Greta kończy dwadzieścia siedem lat, co oznacza, że spokojnie można ją uznać za starą pannę. Na pewno nie spodoba jej się, że będzie musiała ustąpić miejsca młodszej siostrze, która teraz tak samo jak ona zasługuje na względy młodych mężczyzn.

Herr Schumacher zgromadził całą orkiestrę, żeby dziś o szóstej rano zagrała mi piosenkę urodzinową. Koledzy zablokowali cały korytarz w naszym wagonie na dobre dwadzieścia minut. Było całkiem niemożliwe, żeby przejść w jedną lub drugą stronę pociągu, na przykład do łazienki albo wagonu restauracyjnego, ale zdaje się, że nikt nie miał nic przeciwko temu, a już najmniej stewardzi. Potem dostałam życzenia i prezenty od wszystkich, w tym także róże i czekoladki od Manfreda i Georga, choć z nich takie głuptasy, ale i tak najważniejszy prezent czeka na mnie w domu. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę swój urodzinowy stolik, ustawiony w holu obok stolików Wilhelma i Paula.

Hildegarde i Nina podarowały mi prześliczny gruby zeszyt w sztywnych okładkach, a Irena eleganckie wieczne pióro z wytłoczonymi różyczkami. Postanowiłam wykorzystać ten brulion w charakterze pamiętnika. W zeszłym roku, kiedy Greta odkryła, że zaczęłam spisywać swoje przeżycia, usłyszałam od niej kąśliwą uwagę, że tylko ważni ludzie prowadzą pamiętniki. No cóż, w każdym razie ja uważam się za kogoś ważnego i wiem, że pewnego dnia stanę się sławna.

Herr Schumacher utrzymuje, że jestem najbardziej utalentowaną osobą nie tylko w sekcji muzycznej Allensteiner Hitlerjugend, ale wśród członków wszystkich młodzieżowych orkiestr, z którymi miał okazję pracować. Upierał się, że bym występowała jako solistka w finale każdego z naszych koncertów, a także bym akompaniowała pewnej komsomolskiej gwiazdzie wioliny. Właściwie już podjęłam decyzję co do swojej przyszłości. Postanowiłam, że po skończeniu studiów zostanę koncertującą pianistką o międzynarodowej renomie.

Moje pismo nie wygląda tak ładnie, jakbym chciała, ale to dlatego, że pociąg strasznie trzęsie. Hildegarde, Irena, Nina i ja jedziemy w jednym przedziale i kiedy steward złożył dziś rano łóżka - zaraz po tym, jak skończył się koncert urodzinowy - wszyscy wpełzali się do środka i siedzieli u nas przez ponad godzinę. Wszyscy, nawet chłopcy. W porównaniu z moimi braćmi i ich kolegami są jeszcze strasznie dziecinni. Wilhelm i Paul nigdy nie wpadliby na pomysł, żeby dosypać kalafonii do herbaty Herr Schumachera albo w czasie posiłku w wagonie restauracyjnym wczłgać się pod stół i wysmarować mu buty miodem.

Jak mawia papa, mama całkiem mądrze pomyślała, żeby obdarować go mną dokładnie w trzecie urodziny bliźniaków, bo dzięki temu tego samego dnia oni skończą dwadzieścia jeden, a ja osiemnaście lat. Wreszcie będą dorosłymi panami, a ja dorosłą panią. Ale uroczystość szykuje się dziś wieczorem! A już po wszystkim trzeba będzie pomyśleć, jak wspólnie wykorzystać to, co jeszcze zostało z tegorocznego lata. Już nie mogę się doczekać października, kiedy pojedę razem z Wilhelmem i Paulem do Königsbergu. Miałam sporo szczęścia, że udało mi się zdobyć miejsce w kon-

serwatorium, zwłaszcza że w szkolnictwie wyższym liczba miejsc przeznaczonych dla dziewcząt została ograniczona do dziesięciu procent. Nie obchodzi mnie, co ktoś tam mówi na ten temat. Uważam to za głęboko niesprawiedliwe i nie chce mi się wierzyć, że nasz Führer wpadł na taki pomysł. Pewnie wymyślił to któryś z jego ministrów, a nasz wódz nawet o tym nie wie.

Biedna Irena nie dostała się do Königsbergu ani do żadnego innego konserwatorium, więc zaczyna pracować w biurze swojego ojca. To straszne, że muszę ją zostawić w Allenstein! Odkąd sięgam pamięcią, zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, tak jak przed nami nasi ojcowie, i nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy zacznę widywać ją jedynie podczas wakacji.

Chociaż bliźniacy będą już na trzecim roku studiów, a ja dopiero na pierwszym, to obaj obiecali, że zapoznają mnie ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi. Paul mówi, że z konserwatorium do uniwersytetu jest całkiem niedaleko. Mam nadzieję, że tata znalazł nam jakąś wspólną kwaterę. Zapowiada się świetna zabawa, zwłaszcza że zamieszkamy tam bez Grety, która wciąż usiłuje zepsuć nam każdą rozrywkę.

Wyjechaliśmy z Moskwy wczoraj wczesnym rankiem i powoli zaczynam myśleć, że chyba nigdy nie uda się nam dotrzeć do Allenstein. Nina mówi, że czuje się tak, jakby znalazła się w piekle, i jakbyśmy wszyscy byli duszami skazanymi na potępienie, które przez całą wieczność muszą tłuc się po okolicy, stłoczone w tym przeklętym pociągu. (Nina zawsze miała taką chorobliwą wyobraźnię. Być może ta fiksacja na punkcie jazdy koleją ma jakiś związek z zawodem jej ojca, który pracuje jako maszynista).

W ciągu ostatnich dziesięciu minut Irena trzy razy zadała mi pytanie, czy uważam, że Wilhelm wyjdzie po mnie na stację. Osobiście wołałabym, żeby nie robiła takich maślanych oczu za każdym razem, gdy go widzi. To strasznie krępuje resztę towarzystwa, która musi na nich patrzeć.

O świcie przekroczyliśmy granicę. Byłam rada, że po całym miesiącu nieobecności znów jestem na ukochanej, znajomej ziemi Prus Wschodnich, nawet o tak nieludzko wczesnej porze. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za naszymi lasami i jeziorami, aż znów zobaczyliśmy je z okien pociągu. Wszystko - ludzie, budynki, ulice w miastach i na wsiach - wygląda tu o wiele porządniej i bardziej kwitnąco niż w Rosji.

Przykro mi było rozstawać się z Maszą. Całkiem przyjemnie było mieszkać z Beletskimi w ich moskiewskim apartamencie podczas ostatniego tygodnia naszego tournée. Nikt inny nie zaprzyjaźnił się tak bardzo ze swoimi rosyjskimi gospodarzami, ale myślę, że to dzięki Herr Schumacherowi, bo wybrał dla mnie najlepszą z dostępnych kwater. Masza i jej brat, Aleksander - jasny blondyn o błękitnych oczach, który w ogóle wydaje się bardzo przystojny jak na Rosjanina, a oprócz tego jest naprawdę znakomitym muzykiem - poszli na stację, żeby mnie odprowadzić. Jako pożegnalny prezent dostałam od nich naszyjnik z oszlifowanych masywnych bursztynów - w niektórych znajdowały się nawet zatopione owady. Jest dłuższy i piękniejszy niż wszystkie korale Grety.

Obiecałam go strzec i myśleć o nich zawsze, ilekroć go włożę. Pewnie Greta od razu zacznie mi go zazdrościć. Ciekawe, czy wyjdzie po mnie na stację w Allenstein? Mam nadzieję, że nie. Spodziewam się, że zobaczę tam Wilhelma i Paula, a jeśli szczęście mi dopisze, to być może przyprowadzą ze sobą przynajmniej jednego ze swoich licznych przyjaciół (ufam, że będzie to pewna konkretna osoba).

Czuję się tak, jakbym spędziła w podróży całe wieki. Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mój drogi, kochany dom i uściskam mamę, papę i braci bliźniaków...



- Pani Datski, doktor panią prosi.

- Dziękuję.

Charlotte uśmiechnęła się do pielęgniarki i zamknęła pamiętnik. Czyste niegdyś i lekko połyskujące stronicze z biegiem czasu stały się kruche i łamliwe. Troskliwie zawinęła pamiętnik w jedwabną chustkę i zgarnęła z sąsiedniego krzesła swój szal i torebkę. To naprawdę śmieszne zabierać ze sobą do poczytania u lekarza pamiętnik, którego nie otwierało się od lat. Dziwna rzecz, jak te proste słowa potrafiły obudzić na nowo dawno uśpione wspomnienia: stukotanie pociągu; pelen sadzy dym, który wylatywał z komina lokomotywy i przepływał tuż za oknem; woń kapusty zmieszana z zapachem sosu do pieczenia, unosząca się po korytarzu z wagonu restauracyjnego; twarze przyjaciół - czyste, promienne, pozbawione jeszcze piętna bólu i gorzkich doświadczeń; i ona sama - beznadziejnie naiwna, romantyczna i przeniknięta tą pełną arogancji dumą, będącą charakterystyczną cechą młodości. Czy jest coś z tamtej młodej dziewczyny w starej kobiecie, którą się stała?

- Dzień dobry, Charlotte. Jak się miewasz?

Doktor David Andrews wstał z krzesła i wyszedł zza biurka, żeby ją przywitać.

- Davidzie, przysłałam tu w nadziei, że od ciebie usłyszę odpowiedź na to pytanie.

- No cóż, na pewno wyglądasz równie elegancko i prześlicznie jak zawsze.

- Nikt w moim wieku nie zasługuje na miano prześlicznego, co zaś do elegancji, to zabrzmiało to tak, jakbyś mówił o kosztownej dekoracji salonu.

Potrząsnął jej ręką, a potem wrócił na swoje miejsce i żeby uniknąć pytającego spojrzenia Charlotte, zaczął z uwagą przyglądać się obrazowi wiszącemu na ścianie za jej plecami. Umieścił go tam pewien nowojorski architekt wnętrz, który rok temu zmieniał wystrój gabinetu, ale doktor właściwie dopiero dzisiaj zobaczył tę przesłodzoną, utrzymaną w pastelowej tonacji, impresjonistyczną scenę, gdzie zamazane dziecięce postacie bawiły się na żółtawym piasku. Doszedł do wniosku, że obraz mu się nie podoba.

- A więc, Davidzie? - ponagliła go.

Odchrząknął i zaczął mówić, całkiem świadomy faktu, że jego głos brzmi bardziej energicznie i obojętnie, niż zamierzał.

- Sugeruję, żebyś zasięgnęła opinii jeszcze jednego lekarza. Znam jednego dobrego fachowca w Bostonie, a drugiego w Nowym Jorku. Bez problemu będę mógł zorganizować ci konsultację w każdym z tych miast. Mogłabyś połączyć wizytę z małymi zakupami albo z obejrzeniem galerii.

- Rozumiem, że ci „dobrzy fachowcy”, o których wspomniałeś, będą mieli więcej odwagi, żeby zakomunikować mi to, co tobie nie chce przejść przez gardło.

Zmusił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy, tak zaskakująco błękitne i onieśmielająco przejrzyste. Chyba łatwiej byłoby mu poradzić sobie z atakiem hysterii. Na histerię zawsze można przepisać środki uspokajające.

- Ile czasu mi jeszcze zostało?

- Większość ludzi pyta, co można zrobić.

- Ja nie jestem taka jak większość ludzi, Davidzie.

- Nigdy nie byłaś.

Nikt, kto skończył osiemdziesiąt lat, nie miał prawa wyglądać w taki sposób, jak Charlotte Datski. I nawet nie chodziło o to, że starała się wyglądać młodziej. Jej włosy były bezwstydnie srebrne, bez cienia sztucznego koloru czy też płukanki nadającej siwym pasmom niebieskawy odcień; jej skóra pomarszczona, nietknięta skalpelem chirurga plastyka ani zabiegami face liftingu... ale te wszystkie zewnętrzne objawy starości zdawały się nie mieć żadnego znaczenia. Piękność Charlotte pochodziła z jej wnętrza - z tajemniczego, wewnętrznego blasku, który objawiał się w tych wspaniałych oczach. Jej postać - wysoka, smukła i wyprostowana - wciąż zachowała sprężystość młodości, a długie, powiewne stroje,

podkreślone bursztynowym naszyjnikiem i wielokolorowymi szalami, wyglądałyby niegustownie na każdej innej kobiecie, ale na niej prezentowały się wręcz nienagannie.

Kiedy przed przeszło trzydziestu laty jego ojciec przedstawił ich sobie, David instynktownie wyczuł, że Charlotte jest artystką. Po prostu nie mogła być nikim innym. I chociaż była w wieku jego matki, natychmiast obdarzył ją potajemną miłością, upodobił się tym samym do własnego ojca oraz połowy znajomych mężczyzn. Jednak w przeciwieństwie do większości wdów Charlotte Datski zdawała się lubić swój wolny stan i najwyraźniej rozkoszowała się odzyskaną niezależnością. Nawet plotki o jej romansach pozostały tym, czym były, to znaczy plotkami. Jeśli Charlotte miała kochanków, to trzeba przyznać, że wybierała ich niezwykle mądrze. Nigdy żaden mężczyzna z ich środowiska nawet słówkiem nie wspominał o łączącej ich bliskości uwieńczonej takim czy innym sukcesem.

- Davidzie, chcę poznać prawdę.

Lekko musnęła palcami bursztyny na szyi, ale w tym geście nie było ani śladu nerwowości.

- To może być rak trzustki - zaczął ostrożnie. - Ale, jak już mówiłem, powinnaś zasięgnąć opinii innego specjalisty.

- Naprawdę uważasz, że mogłeś popełnić pomyłkę?

- Żaden doktor nie może być w stu procentach pewien swojej diagnozy, zwłaszcza takiej - odparł z rezerwą.

- Davidzie, w rodzinie utalentowanych lekarzy ty jesteś prawdziwym geniuszem. Bez zastrzeżeń wierzę w każde twoje słowo.

- Nawet jeśli tak, to sprawa nie jest wcale prosta. Nie ma śladu guza nowotworowego, co oznacza, że rak jest w stadium inwazyjnym. Używając prostych słów, można go porównać do pajęczej sieci komórek, które rozprzestrzeniają się po danym organie. Operacja nie wchodzi w rachubę, ale to nie znaczy, że nie możemy zaproponować żadnego sposobu leczenia. Wstępne testy wskazują, że nowotwór rośnie wolno, więc chemioterapia...

- Czy to będzie bolało? - przerwała.

- Z mojego doświadczenia z innymi pacjentami wynika, że ból powinien być niewielki. Być może zaczniesz tracić na wadze.

- Mogę sobie na to pozwolić - zauważyła z krzywym uśmiechem. - Ile czasu mi pozostało?

- Charlotte, ja nienawidzę tego pytania. Dwadzieścia lat temu powiedziałem pewnej pielęgniarkie, że ma przed sobą sześć miesięcy życia. Do dziś rumienię się ze wstydu za każdym razem, gdy ją spotykam.

Jej milczenie uświadomiło mu, że jego odpowiedź jest zarówno protekcyjna, jak i głupawa.

- Jeśli kuracja się powiedzie, to całe lata - dorzucił.

- A jeśli nie?

- Charlotte, na pewno się powiedzie.

- A co będzie, jeśli nie? - powtórzyła z uporem.

- Trudno powiedzieć - może pół roku, może rok... Ale postaram się tak wszystko załatwić, żebyś została przyjęta jeszcze w tym tygodniu i od razu zaczniemy kurację. To nie będzie nic przyjemnego, ale...

- Nie mogę jutro przyjść.

- Rozumiem. Taka diagnoza to prawdziwy szok. Musisz mieć czas, żeby się przygotować i uporządkować swoje sprawy. - Zajął do notesu. - Więc powiedzmy, w czwartek rano?

- Nie.

- Charlotte, nic nie jest ważniejsze od tego. Tu chodzi o twoje życie.

- Muszę jechać do domu.

- O ile wiem, to tylko osiem kilometrów stąd - zauważył z rozdrażnieniem.

- Urodziłam się w Europie Wschodniej.

- Jako twój lekarz mam obowiązek stanowczo się sprzeciwić i ostrzec, że przed zakończeniem kuracji nie powinniśmy podejmować żadnych podróży.

- Być może i tak za długo z tym zwlekałam.

- Charlotte, zdaje się, że mnie nie rozumiesz. Ty możesz umrzeć.

- Wszyscy kiedyś umrzemy, Davidzie - odparła z uśmiechem. - Wiem, że martwisz się o mnie i chcesz jak najlepiej, ale to nie będzie pierwszy raz, kiedy stanę twarzą w twarz ze śmiercią. Doświadczenie sprawia, że w dziwny sposób nie odczuwam lęku przed czymś, co jest nieuchronne.

- Czy usiłujesz mi powiedzieć, że po prostu chcesz umrzeć?

Zmusił się, żeby podnieść wzrok. Jego oczy napotkały jej niewzruszone spojrzenie.

- Absolutnie nie. Ja kocham życie. Kocham każdą cudowną, jasną chwilę. Ale już zdążyłam odkryć, że są gorsze rzeczy niż zbliżanie się do kresu życia, na przykład odczłowieczenie, ból albo utrata godności. Patrzyłam, jak umierał na raka mój mąż. Wybacz, jeśli to zabrzmiało nieco cynicznie, ale wydaje mi się, że więcej nacerpiał się na skutek kuracji, którą zafundowali mu działający w jak najlepszej wierze lekarze, niż od samej choroby. Gdyby wówczas jeszcze posiadał broń, to jestem pewna, że sam by się zastrzelił kilka miesięcy wcześniej, nim pozwolili mu zapaść w śpiączkę.

Mimo że ich znajomość trwała już od tak długiego czasu, David po raz pierwszy usłyszał, jak Charlotte wspomina swojego męża. Przez wiele dziesiątków lat mieszkała w Stanach i w związku z tym nie znał nikogo, kto miałby okazję się z nim zetknąć.

- W ciągu ostatnich trzech dekad metody leczenia niesamowicie się zmieniły.

- Wcale w to nie wątpię.

- Chyba się nie spodziewasz, że będę stał z założonymi rękoma i tylko się przyglądał - powiedział błagalnie.

- W moim wieku jakość życia jest ważniejsza niż jego długość.

- Można mieć jedno i drugie.

- Zagwarantujesz mi to?

- Żaden lekarz nie da ci takiej gwarancji - oświadczył z wyraźnym zakłopotaniem. - Ale ja wierzę, że masz większe szanse niż większość ludzi, którzy walczą z tą chorobą. Aż dotąd cieszyłaś się doskonałym zdrowiem. Zawsze dbałaś o siebie, a ponieważ tego raka nie wykryto podczas ostatnich rutynowych badań, więc możemy przyjąć, że to wczesne stadium. Wszystkie atuty są po naszej stronie.

- Czy bez chemioterapii pozostanę taka sama, jak jestem teraz?

- Będziesz szybciej się męczyć i potrzebować większej ilości snu.

- A ból? Czy to będzie bolało?

Zacisnął zęby, nie chcąc dawać jej do ręki kolejnego argumentu, dzięki któremu mogłaby wymigiwać się od kuracji.

- Wystarczą zwykłe środki uśmierzające - przyznał z wyraźną niechęcią.

- W takim razie kupię sobie jakieś proszki. Dziękuję za twoją szczerość i za to, że poświęciłeś mi tyle czasu.

- Ojciec byłby szczęśliwy, gdyby mógł cię zobaczyć - powiedział, odprowadzając ją do drzwi. - Proszę, przyjdź dziś wieczorem na kolację.

- Żeby twój ojciec mógł przyłączyć się do twoich perswazji? Dziękuję, Davidzie, ale nie.

Wyciągnęła rękę, a on ją uściśnął.

- Powiadają, że życie jest krótkie, ale z miejsca, w którym teraz się znajduję, wydaje się okropnie długie. Nawet za długie, kiedy pomyślę o tych wszystkich, których kochałam, a których utraciłam. Doceniam to, że mnie zrozumiałeś.

Jeszcze trochę praktyki, Davidzie, i będziesz mógł do swoich kwalifikacji dodać umiejętność wczuwania się w sytuację pacjenta. Prześlij mojemu prawnikowi rachunek za wizytę.

- Czy jest coś, co mógłbym powiedzieć, żeby jednak przekonać cię do podjęcia leczenia?

- Nie. A ponieważ ogólnie wiadomo, że jestem niemożliwie upartą starszą panią, więc nawet nie powinieneś mieć poczucia winy. Jak tylko uda mi się zarezerwować miejsce w samolocie, polecę do Europy. Od lat planowałam tę podróż, ale teraz dostarczyłeś mi argumentu, żeby dłużej jej nie odkładać. Obiecujesz, że nie powiesz o tym mojemu wnukowi ani nikomu innemu?

- Niestety, jak pewnie dobrze wiesz, bez twojego pozwolenia nie wolno mi tego zrobić. Zobaczymy się jeszcze?

To było bardziej błaganie niż coś w rodzaju zwykłego pytania. Charlotte nie odpowiedziała.

- To dla twojego ojca - wymruczała, całując go lekko w policzek.

Stał w oknie i patrzył, jak wychodziła z budynku, a jej długa, czarna sukienka i szale w jesiennych kolorach powiewały w podmuchach wiatru.

- Doktorze Andrews?

Odrócił się i ujrzał stojącą w wejściu pielęgniarkę.

- Czy mam skontaktować się z kliniką w Bostonie albo w Nowym Jorku i zarezerwować termin wizyty dla pani Datski?

- Nie - odparł gwałtownie.

- To może w takim razie zadzwonię na izbę przyjęć, żeby zamówić łóżko?

- Nie.

- Ale...

- Proszę wezwać następnego pacjenta.

- A pani Datski?

- Niech pani zatrzyma jej dokumentację gdzieś pod ręką. Miejmy nadzieję, że jeszcze się przyda.

Charlotte wolno prowadziła samochód, po raz pierwszy od lat obserwując wskazania prędkościomierza. W pewnej chwili przyszło jej na myśl, że to ironia losu. Zaśmiała się głośno. Po otrzymaniu takich wieści, jakie właśnie przekazał jej David, powinna rzucić się z brawurą w tę resztę życia, która jeszcze jej pozostała, nie zaś wlec się w żółwym tempie pasem do wolnej jazdy. Ale teraz miała zamiar pojechać do domu - pierwszy raz od ponad sześćdziesięciu lat - i nagle wydało jej się niezwykle istotne, żeby dotrzeć tam w jednym kawałku.

Zatrzymała auto na początku prywatnej drogi dojazdowej, która wiała się przez las w kierunku obłożonego drewnem domu w stylu Nowej Anglii. Pod drzewami usychały wątle liście kwiatów z cebulek zasadzonych tu przez Charlotte przed trzydziestoma laty, gdy kupowała tę posiadłość. Każdej wiosny niezliczone ilości żonkili, krokusów i dzwonków spływały kolorowym dywanem ku brzegom jeziora. Ich koniec zwiastował nadejście lata.

Opuściła szybę, żeby sprawdzić skrzynkę na listy, i siedziała tak przez chwilę, wdychając pełną piersią woń sosny i wilgoć jeziora, które rozciągało się tuż za domem. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście w powietrzu wyczuwała zapachy ostatniego kwiecica jabłoni i wiśni? Zapachy przypominające kraj, który już nie istniał... Wszystko, co tu stworzyła, co zbudowała i posadziła, było jedynie bladym odbiciem - nie bardziej rzeczywistym niż obraz widoczny na powierzchni stawu - domu, który kochała i który zmuszona była opuścić sześćdziesiąt lat temu.

Broniąc się przed wspomnieniami, zabrała pocztę ze skrzynki i pojechała wyboistym traktem w stronę domu. Zostawiła auto na wysypanym żwirem podjeździe, a potem otworzyła drzwi i poszła prosto do kuchni. Zdażyła napełnić czajnik wodą, kiedy wpadł jej do głowy znacznie lepszy pomysł. W lodówce chłodziła się butelka białego wina. Charlotte zabrała ją i razem z listami zaniósła po schodach do swojej pracowni.

Ten pokój lubiła najbardziej. Zajmował całą powierzchnię pierwszego piętra; jedna trzecia była otwartą przestrzenią, następna część została przeszklona na wzór angielskiej cieplarni, a ściany w ostatniej stanowiły tło dla jej malowideł. Spoglądając na ukończone płótna, które rozwiesiła nie dalej jak dzisiejszego ranka, pogratulowała sobie znakomitej roboty, a następnie otworzyła wino i z listami w dłoni usadowiła się na fotelu z wikliny.

Trzy nieotwarte przesyłki reklamowe wylądowały w koszu, zanim Charlotte udało się trafić na to, co chciała przeczytać - dużą, wypchaną kopertę, którą przysłała jej angielska wnuczka. Po latach codziennej wymiany mejli była zdumiona, że Laura zdecydowała się skorzystać z usług tradycyjnej poczty. Paznokciem kciuka przecięła kopertę, żeby wyjąć stamtąd teczkę z napisem „Grunwaldsee”. Otworzyła ją i po chwili wysunął jej się na kolana plik kserokopii. Rozłożyła je. Nie było najmniejszych wątpliwości, co przedstawiają - w ręku trzymała odbitki dokumentów ze zdjęciami wielkości zdjęć paszportowych, pokryte pieczęciami ozdobionymi orłem i swastyką Trzeciej Rzeszy. Z fotografii spoglądały twarze jej ojca, matki, braci Wilhelma i Paula, siostry Grety i jej samej - tak młodej, że aż wydawało się to nieprawdopodobne... Wszyscy sześcioro byli na zawsze zamknięci w przeszłości, od której ona tak naprawdę nigdy nie zdołała uciec.

Kochana Babciu,

To jeden z najtrudniejszych listów, jakie kiedykolwiek przyszło mi napisać. Proszę, nie lekceważ go, tak samo jak nie ignoruj kopii dokumentów i wątpliwości, które one wzbudziły; wystarczy, że ciocia Greta oraz mój ojciec z pewnością je zlekceważą.

Na oryginały trafiłam w Berlinie, w centralnym archiwum, podczas zbierania dokumentów do pewnego programu - wszystko jedno jakiego. Nie muszę pytać, czy Ty i ciocia Greta byliście członkiniami partii nazistowskiej - te legitymacje są najlepszym dowodem, że tak. Chciałabym jedynie wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś, i dowiedzieć się czegoś więcej o Waszym życiu w Grunwaldsee...

Charlotte zadrżała i wróciła do kserokopii. Gdyby podejrzewała, że w ogóle istnieją, to... To co? Czy wówczas zdecydowałaby się powiedzieć Laurze i Clausowi o przeszłości? Obciążyć ich tajemnicami, które tak bardzo ciążyły jej samej?

...nie pytam Cię jedynie we własnym imieniu, lecz w imieniu całej rodziny, zwłaszcza nienarodzonego dziecka Clausa, ponieważ za jakiś czas ona lub on zacznie stawiać pytania, podobnie jak teraz ja to robię. Nieważne, jak bardzo ojciec i ciocia Greta usiłują udawać, że wojna i Hitler to zamierzchła historia, które nie ma żadnego wpływu na pokolenia urodzone po tamtych wydarzeniach - to zwyczajnie nie jest prawdą. Zaslugujemy na to, żeby znać prawdę i żeby usłyszeć ją z pierwszej ręki, a nie potykać się o nią przypadkiem podczas badania zakurzonych dokumentów, tak jak teraz.

Proszę Cię, babciu... Tak bardzo Cię kocham, a szacunek jest integralną częścią tej miłości. Chciałabym dalej czuć do Ciebie to, co czułam dotychczas, a nie jest to możliwe, dopóki nie poznam Twojej wersji historii...

Charlotte popatrzyła na swoje obrazy, które przed chwilą sprawiły jej taką przyjemność. Czy należy opowiedzieć Laurze prawdę i liczyć, że wyjaśnienie zostanie przyjęte i że dzięki niemu zasłuży sobie u własnej wnuczki na coś w rodzaju zrozumienia? Bo trudno było mieć nadzieję na uzyskanie przebaczenia. Sama sobie nie mogła wybaczyć, że wstąpiła do Partii Narodowych Socjalistów, i w rezultacie nigdy nie udało się jej zapomnieć o przeszłości. Jednak oskarżenia, poczucie winy i wyrzuty sumienia były wyłącznie jej problemem - nie jej wnuków. Musi istnieć jakiś sposób, żeby przekonać Laurę do spojrzenia na sprawę z tej właśnie strony.

...Tak bardzo Cię kocham, a szacunek jest integralną częścią tej miłości...

Opuściła na kolana list i kserokopie i sięgnęła po telefon. Nie pomyślała nawet, żeby sprawdzić, która tam jest godzina, tylko automatycznie wybrała numer komórki Laury. Wnuczka odebrała po szóstym sygnale.

- Laura, możesz rozmawiać?

- Tak.

Głos Laury był ciężki od snu.

- Obudziłam cię?

- Nie...

- Proszę, nie kłam nawet w mało istotnych sprawach. Dostałam dzisiaj twój list. Czy ciągle jesteś w Berlinie?

- Tak.

- Za parę dni przyjadę do ciebie. Postaram się kupić bilet na samolot na najbliższy możliwy termin. Chcę pojechać do domu, do Prus Wschodnich... - powiedziała do ciszy, która zapadła w słuchawce. - Byłoby miło, gdybyś pojechała ze mną, ale zrozumieć, jeśli powiesz, że nie masz ochoty.

- Więc opowiesz mi...

- Wszystko, co zechcesz - przerwała jej Charlotte. - Ale nie przez telefon. Czy możesz tak zorganizować sobie czas, żeby mi towarzyszyć?

- Tak, oczywiście.

- Dam ci znać, kiedy dotrę do Berlina. Zanim się zobaczymy, będę musiała porozmawiać z twoim ojcem i wujkiem Erichem.

- Pozdrów moich rodziców, kiedy ich zobaczysz.

- Zrobię to, ale mam zamiar zatrzymać się w Anglii tylko przez jeden dzień.

- Babciu... - W głosie Laury pojawiło się coś na kształt zawahania. - Dziękuję ci.

- Kocham cię, skarbie.

Charlotte rozłączyła się, a potem przekartkowała notes i wybrała na telefonie kolejny numer. Zarezerwowanie biletu i niezbędne ustalenia z biurem agenta przebiegły prościej, niż się spodziewała. Nagle uświadomiła sobie, że zostało jej bardzo niewiele czasu na spakowanie, przejrzenie swoich rzeczy i zaplanowanie tego, co powie Erichowi i Jeremy'emu. Jednak nie wykonała najmniejszego ruchu - zatopiona w przeszłości siedziała na fotelu i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń nad jeziorem.

- Babciu, jesteś na górze?

Charlotte zadrżała, nieoczekiwanie wyrwana z głębokiej zadumy. Potem wsunęła fotokopie razem z listem Laury pod poduszkę fotela i szybko wzięła się w garść. Claus zawsze był wyjątkowo wrażliwy, jeśli chodziło o jej nastroje.

- Tutaj, Claus! - zawołała tonem, który w jej zamierzeniu miał zabrzmieć beztrąsko, ale wypadł słabo i mało przekonująco.

Zmusiła się do uśmiechu, odsyłając wszystkie myśli o Laurze i liście od niej do przegródki z napisem: „Do rozważenia w późniejszym terminie”, szczelnie wypełnionej bolesnymi wspomnieniami i problemami, które narosły przez wszystkie minione lata. Dzięki Bogu, może nie starczy jej czasu, żeby zmagać się po kolei z każdym z nich.

Wnuk wbiegł po schodach, a widok jego masywnej, kościstej i niezgrabnej sylwetki sprawił, że Charlotte natychmiast zaczęła się bać o całość swoich malowideł.

- Zobaczyłem twój samochód...

Ze zmarszczonymi brwiami, ciężkim krokiem szedł w jej kierunku.

- Wino w środku dnia? Świątujesz coś czy starasz się utopić jakieś smutki, Oma?

- Świątuję.

- Więc jak, nie masz wrzodu żołądka?

- Mam, ale bardzo niewielki - skłamała bez mrugnięcia okiem, żeby trzymać się wersji wymyślonej na usprawiedliwienie nękańcych ją dolegliwości.

- Czyli jednak czeka cię operacja?

Pokręciła głową.

- Nie operacja, tylko obrzydliwa dieta.

- Nie może być taka obrzydliwa, skoro w jej skład wchodzi wino.

- Zaczynasz gdakać jak stara kwoka.

- Chcesz, żebym zadzwonił do Davida i sprawdził, czy wolno ci pić alkohol? - zagroził Claus.

- Dziś jest ostatni dzień mojego dawnego jedzenia. Nową dietę zaczynam od jutra.

- W takim razie zapraszamy cię dziś na kolację. Carolyn sama gotuje.

- O której mam przyjść?

Spojrzał na nią z ukosa. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby tak łatwo zgodziła się zjeść z nimi kolację. Zwykle termin wizyty trzeba było ustalać dwa tygodnie wcześniej, a i to po długich pertraktacjach i wielokrotnym sprawdzaniu kalendarza.

- Czy może być siódma trzydzieści?

- Wspaniale. - Charlotte podniosła swój kieliszek w toaście. - Chcesz się przyłączyć?

- Owszem, ale jeśli teraz się napiję, to przez całe popołudnie będę wycinał krzywe nogi do krzesel.

- Ciągłe pracujesz nad tym zestawem do jadalni?

- Robienie stołu sprawiło mi prawdziwą frajdę, ale dwanaście krzesel to stanowczo za dużo. Czy w obecnych czasach ktokolwiek przy zdrowych zmysłach zaprasza cały tuzin gości na oficjalne przyjęcie i sadza wszystkich przy stole?

- Musi to być ktoś, kto może pozwolić sobie na catering i twoje ręcznie robione meble - odparła Charlotte. - Jeśli masz ochotę, to w kuchni jest kawa.

- A piwo?

- W lodówce. Obsłuż się sam.

Claus wrócił, ściskając w rękę puszkę, ale bez szklanki. Jednym szarpnięciem oderwał wieczko, a następnie zajął miejsce na krześle obok Charlotte i oparł długie nogi na stoliku, na którym piętrzył się stos czasopism.

- Ten pokój jest po prostu szczytem perfekcji. Czuję się tu jak w domu i nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że robię bałagan. Poza tym widok stąd to coś wspaniałego. O wiele lepszy niż od nas. Mieszkamy za blisko jeziora, żeby mieć tak szeroką perspektywę.

- Przeprowadźcie się tu, kiedy mnie nie będzie - zaproponowała. - Zdecydowałam się odwiedzić Prusy Wschodnie.

- To znaczy Polskę - sprostował.

- Dla mnie ta jej część zawsze będzie się nazywała Prusami Wschodnimi.

- Pojedziemy z tobą, jak tylko Carolyn urodzi dziecko.

- Już zarezerwowałam bilet na samolot. Jutro wylatuję z Bostonu.

- Jutro? Przecież zawsze się umawialiśmy, że odbędziemy tę podróż razem, a raczej nie możemy zabrać Carolyn, skoro ona jest w ósmym miesiącu ciąży - zaprotestował.

- Rzeczywiście, to byłoby zbyt ryzykowne, nawet gdyby linie lotnicze zgodziły się wziąć ją na pokład. - Charlotte sięgnęła po butelkę z winem, żeby uzupełnić zawartość kieliszka.

- Czy ty aby na pewno powiedziałaś mi prawdę, jeśli chodzi o ten wrzód? - Claus podejrzliwie zmrużył oczy.

- Śmiesz wątpić w prawdziwość twojej babci?

- Jedynie wtedy, gdy mówimy o jej zdrowiu lub o cenie prezentów na nasze urodziny bądź święta Bożego Narodzenia.

- Po prostu te wszystkie badania uświadomiły mi, że jestem istotą śmiertelną. Co prawda nie śpieszy mi się umierać, ale z pewnością nie będę już ani młodsza, ani silniejsza niż teraz, a bardzo chciałabym jeszcze zobaczyć moje rodzinne strony, zanim będziecie zmuszeni wozić mnie na wózku. Zadzwoiłam do Laury i obiecała, że ze mną pojedzie.

- Dwie samotne kobiety podróżujące po Polsce? Czy nie słyszałaś, co się dzieje w krajach bloku wschodniego? Tam nie istnieje coś takiego jak prawo czy porządek. Mafia...

- Mafia jest w Rosji - przerwała mu niecierpliwie. - Poza tym wszyscy wiedzą, że prasa mocno przesadza.

- Przynajmniej zatrzymajcie się w Niemczech. Być może mój ojciec albo brat będzie mógł z wami pojechać...

Głos zamarł mu w krtani, kiedy uświadomił sobie, co proponuje.

- Czy muszę ci przypominać, dlaczego zdecydowałeś się wyjechać z Niemiec i zamieszkać ze mną?

- Być może istotnie mój ojciec czy brat nie wchodzi w rachubę - odrzekł ze smutkiem. - Ale przecież jest jeszcze wujek Jeremy.

- Claus, może jestem już stara, ale na pewno nie cierpię na uwiad starczy. Obaj moi synowie wolą się trzymać cztery tysiące kilometrów ode mnie, co całkiem mi odpowiada, ponieważ ja także wolę, kiedy dzieli nas taka odległość. A jeśli chodzi o czwórkę moich wnuków, to Erich jest zbyt pruderyjny, Luke zaś za młody, żeby ścierpieć moje towarzystwo. Zostajecie więc ty i Laura, ale ty odpadasz ze względu na stan Carolyn, więc razem z Laurą będziemy musiały poradzić sobie bez męskiej opieki. Jestem pewna, że jakoś to przeżyjemy.

- Jak się miewa Laura? - spytał.

- Całkiem nieźle - odpowiedziała ostrożnie Charlotte.

- Jest szczęśliwa?

- Przez telefon wyglądało na to, że tak.

- Ale nadal na horyzoncie nie pojawił się żaden mężczyzna?

Charlotte potrząsnęła głową.

- Obsesją szczęśliwych małżonków jest chęć ożenienia połowy świata. Laura to kobieta, która postawiła na karierę.

- Tylko dopóki nie spotka właściwego mężczyzny.

- Być może.

Charlotte nigdy nie przyznałaby się przed Clausem, że odkąd Laurze stuknęła trzydziestka, ją także zaczął niepokoić brak tej jednej jedynej osoby w życiu wnuczki. Była wręcz przesadnie dumna z nowatorskich, obsypywanych nagrodami filmów dokumentalnych, które tworzyła jej wnuczka, a które emitowano na całym świecie, z drugiej jednak strony nie mogła się oprzeć wrażeniu, że styl życia Laury, ciągłe podróże i noce spędzane w rozmaitych hotelach, wszystko to razem musiało skazywać ją na samotność.

- Szkoda, że ja i Carolyn nie możemy z tobą jechać, Oma - powiedział Claus, odstawiając piwo na podłogę obok krzesła.

- Powinieneś był zastanowić się nad tym jakieś osiem miesięcy temu.

- Ale to miała być nasza wspólna wyprawa - zaprotestował, uparcie nie chcąc spojrzeć na sprawę z odrobiną humoru.

- Tylko że nigdy nie doszła do skutku, bo ja jak ostatnia wariatka odkładałam ją w nieskończoność. Pojadę i sprawdzę, jak tam wszystko wygląda. Jeśli cokolwiek okaże się warte obejrzenia, ty i Carolyn wybierzecie się w przyszłym roku.

- Mam nadzieję. - Skończył piwo i podniósł się z krzesła. - Czy mogę jakoś ci pomóc?
- Jedyne, co muszę jeszcze zrobić, to odwołać wszystkie spotkania na przyszły miesiąc albo coś koło tego.
- I spakować się - przypomniał.
- Zabieram tylko trochę ubrań. Dam sobie radę. Czy zaopiekujesz się moim domem, kiedy mnie nie będzie?
- Oczywiście.

Przez chwilę Claus do złudzenia przypominał jej swojego dziadka. Był tak samo wysoki, z blond czupryną i niebieskimi oczyma, i tak samo niewiarygodnie przystojny, jednak pułkownik Wehrmachtu w Trzeciej Rzeszy nie mógł zapaść brody ani wąsów, ani pozwolić sobie na chodzenie w przybrudzonych trocinami dżinsach i powyciąganym swetrze, nie wspominając już o mokasynach na bosych stopach. Niezwykle podobni fizycznie, różnili się jednak charakterem, temperamentem, stosunkiem do życia - i poglądami oraz filozofią.

- Dziękuję ci.

- Za co?

- Za to, że mieszkasz ze mną mimo mojego zdziecinnienia i że zostałeś tutaj nawet po ślubie. Za to, że jesteś tu każdego dnia i że się o mnie troszczysz.

- A ile ty dla nas zrobiłaś? Na przykład pozwoliłaś mi wybudować dom na terenie swojej posiadłości i dałaś mi pieniądze, żebym mógł rozkręcić własny biznes.

- Ale ja to zrobiłam z bardzo egoistycznych powodów. Po prostu potrzebowałam kogoś, kto zatroszczy się o mnie, kiedy będę już stara, nie zważając na moje przykre usposobienie.

- Ty nigdy nie będziesz stara, Oma.

- Starzeję się z każdą minutą, chłopcze... A teraz muszę jeszcze odbyć parę rozmów i spakować rzeczy.

- Więc widzimy się o siódmej trzydzięci - przypomniał. - Pamiętaj, żebyś sama nie zносиła na dół żadnych ciężkich walizek.

- Kurier przyjedzie jutro rano, żeby zabrać moje obrazy.

- Już je skończyłaś? - spytała Carolyn, podając Charlotte kawałek placka z wiśniami i miseczkę bitej śmietany.

- W sumie namalowałam czterdzieści osiem płócien i zrobiłam dwadzieścia cztery szkice ołówkiem albo atramentem. Już nigdy więcej nie chcę czytać ani ilustrować żadnej z baśni Hansa Christiana Andersena.

- Strasznie chciałabym je zobaczyć w komplecie, jak wiszą obok siebie na ścianie.

- Wszystko w twoich rękach, Carolyn. Poprosiłam wydawcę, żeby odesłał obrazy do was, nie do galerii, kiedy już nie będą mu potrzebne. Pomyślałam, że skoro tak ci się spodobały, to mogą być całkiem stosownym prezentem na chrzciny.

- Stosownym? - Carolyn pochyliła się ponad stołem i chwyciła dłoń Charlotte. - Twoja hojność wręcz mnie przytłacza! Jak cudownie będą wyglądały w pokoju dzieciennym! Czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć?

- Wspaniale - odezwał się Claus z udaną irytacją. - Więc mój syn będzie dorastał w otoczeniu niepoprawnych politycznie arystokratycznych zamków i księżniczek oraz przerażających wiedźm o wypaczonym charakterze i złośliwych chochlików! Że już nie wspomnę o lodowatej, ciskającej sopłami lodu Królowej Śniegu!

- Mam dla ciebie nowinę, skarbie, a mianowicie taką, że cały nasz świat jest niepoprawny politycznie.

Carolyn podniosła się z krzesła, żeby zalać wrzątkiem ziołową herbatę.

- Im wcześniej on lub ona nauczy się dawać sobie z nim radę, tym lepiej - przytaknęła Charlotte.

- Ona - ogłosiła Carolyn, delektując się wrażeniem, jakie ta informacja wywarła na jej mężu i Charlotte. - Wiem, dotąd nie chciałam znać płci dziecka, ale parę dni temu przeglądałam katalog z ubrankami, a tam były takie słodkie nie-

bieściuchne kombinezoniki i różowitkie sukieneczki... Nie mogłam się zdecydować, które bardziej mi się podobają, więc w końcu zadzwoniłam do doktora.

- W takim razie damy jej na imię Charlotte - oświadczył Claus, obejmując żonę ramieniem i składając czuły pocałunek na jej okrągłym brzuszku.

- Czy nie sądzisz, że mała zasługuje na to, by mieć swoje własne imię? - zapytała babka.

- Oboje z Carolyn uważamy, że to bardzo dobry pomysł - odparł z uśmiechem wnuk. - Uzgodniliśmy to już parę miesięcy temu.

- Jeśli będziesz musiał zdrobnić imię, nazywaj ją Charlie - zasugerowała. - To bardziej pasuje do amerykańskiej dziewczynki.

- Charlie... - zadumała się Carolyn. - To brzmi strasznie trzpiotowato.

- Nie chcę, żeby moja córeczka była trzpiotem! - zawołał Claus.

- Tylko mężczyzna może powiedzieć podobną bzdurę. Trzpiotki zawsze mają o wiele przyjemniejsze życie niż grzeczne dziewczynki w sukienkach z koronki. Może jeszcze herbaty? - spytała Carolyn, kiedy Charlotte wstała od stołu.

- Nie, kochanie, bardzo dziękuję. Chciałabym przed podróżą porządnie się wyspać.

- Czy wujek Jeremy wyjdzie po ciebie w Londynie? - Claus przyniósł Charlotte jej pelerynę.

- Nie, przyjedzie Samuel Goldberg. Musimy przedyskutować parę spraw typu agent - klient, więc zaproponował, że mnie odwiezie do wujka Jeremy'ego.

- A my zawieziemy cię na lotnisko - zdecydowała Carolyn.

- Och, nie. Zamówię sobie taksówkę - sprzeciwiła się natychmiast.

- Ale ja i tak chciałam pojechać na jakieś zakupy! - rozradowanym tonem zawołała Carolyn. - Muszę przecież kupić parę rzeczy dla dziecka, a niezbyt często się zdarza, żeby udało mi się wyciągnąć tego tu z warsztatu i namówić na wypad do miasta.

Charlotte popatrzyła na nich uważnie.

- Naprawdę chcecie wyskoczyć po zakupy?

- Słyszałaś, co zarządziła szefowa. - Claus narzucił pelerynę na szczupłe ramiona babki. - Odprowadzę cię do domu.

- Tylko będziesz zakłócał moje myśli, a poza tym twoje dziewczyny cię potrzebują.

Na pożegnanie ucałowała wnuka w policzek i czule objęła Carolyn, a potem odeszła.

- Czy babcia dobrze się czuje? - spytała natychmiast Carolyn, gdy tylko Claus zamknął drzwi.

- Mam nadzieję, że tak. Zdaje się, że ostatnio mocno zajmuje ją przeszłość i pewnie dlatego zdecydowała, że chce odbyć tę podróż.

- Musiała bardzo kochać twój dziadka.

- Wcale nie jestem pewien. Miałaś okazję poznać mojego ojca i brata. Po kimś odziedziczyli te swoje cholerne charakterki i to pewne jak wszyscy diabli, że nie po Charlotte.

Carolyn pogładziła się po brzuchu.

- Co zrobimy, jeśli nasze maleństwo okaże się do nich podobne?

- Nie ma najmniejszych szans, żeby moja córka okazała się kimś innym niż chodzącą doskonałością, skoro będzie miała taką matkę jak ty.

Usadowił ją sobie na kolanach i zaczął delikatnie łaskotać.

Charlotte słyszała ich śmiechy, idąc ścieżką wzdłuż brzegu jeziora, która wiodła z domku Clausa do jej własnego domu. Kopnięciem rzuciła z nóg pantofle, zanurzyła stopy w wodzie i wolno ruszyła przed siebie po piasku. Dotyk chłodnej wody poprzez cienką pończochę sprawiał jej autentyczną rozkosz.

Księżyc wisiał nisko - ogromna, złota kula na nocnym niebie w kolorze indygo. Ten sam księżyc świecił teraz nad jej rodzinnym domem... Jeszcze kilka dni i znowu tam będzie. Wszystko już zostało przygotowane - bilety czekały w punkcie odpraw na lotnisku, walizki były spakowane, dokumenty spoczywały bezpiecznie w sejfie... Zmieniła testament, kiedy Claus przed sześcioma laty wyjechał z Niemiec, żeby zamieszkać blisko niej, i nie miała zamiaru wycofywać się z podjętych wówczas decyzji. Czy ta wyprawa sprawi, że inaczej spojrzy na wybory, których dokonała w życiu? Właściwie czemu zdecydowała się tam pojechać? Co spodziewała się znaleźć po tak długim czasie? I - co najważniejsze - czy miała słuszość, prosząc Laure, żeby jej towarzyszyła?

Wspięła się po kilku schodkach na werandę i po chwili weszła do salonu. Pamiętnik znajdował się w bagażu podręcznym. Wyjęła go i odwinęła z papieru. Z pożółkłej kartki patrzyły na nią słowa, które napisała rankiem w dniu swoich osiemnastych urodzin: „Czuję się tak, jakbym spędziła w podróży całe wieki. Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mój drogi, kochany dom i uściskam mamę, papę i braci bliźniaków...”.

Ani słowa o Grecie. Wtedy także nie odczuwała potrzeby, żeby o niej wspominać. Ale jaki był sens wracać do Grunwaldsee teraz? Z dawnego domu nie zostało raczej nic poza ceglami i okruchami zaprawy, a biorąc pod uwagę, że przez parę dziesiątków lat panowały tam komunistyczny bałagan i bezprawie, to pewnie nawet te resztki chyliły się ku upadkowi. A może nawet gorzej? Może na miejscu dworu ujrzy wypaloną ruinę albo jakąś fabrykę wzniesioną na terenie ich dawnego mieszkania? Czyż nie byłoby lepiej pozostać przy tamtych wspomnieniach?

Znów sięgnęła do podręcznej torby i wyjęła następną książkę - w twardej oprawie i z pożółkłymi ze starości kartkami. Odruchowo przesunęła palcami po wypukłych literach i ilustracji na okładce. „Ostatnie lato” Petera Borodina. Pod tytułem narysowano solidny, drewniany dom, którego białe ściany przeświecały przez sosnowy zagajnik. Obraz ten był z gruntu fałszywy, ale skąd urodzony w Ameryce artysta, który przez całe życie projektował obwoluty do amerykańskich książek, mógł wiedzieć, jak wyglądał prawdziwy wiejski dwór w Prusach Wschodnich?

Gdy otworzyła książkę, wypadły z niej dwa szkice. Jeden przedstawiał Grunwaldsee takie, jakie widziała je po raz ostatni - długi, niski, klasycznie zdobiony budynek z osiemnastego wieku, z fasadą, której prostotę zakłócało parę schodków prowadzących do frontowych drzwi, obramowanych dwiema korynckimi kolumnami. Drugi rysunek przedstawiał pewnego mężczyznę, narysowanego z pamięci. Wpatrywała się w portret przez dłuższy czas, a kiedy wreszcie odłożyła go na bok, wiedziała już, dlaczego musi tam wrócić.

Rozdział drugi

- Laura? To ja, Claus.

Zawahała się. Czy to możliwe, że Charlotte pokazała mu te kserokopie? W ogóle nie brała pod uwagę, że babcia może zechcieć dyskutować z nim na ten temat, ale z drugiej strony Oma i Claus byli sobie tak bliscy...

- Laura, jesteś tam?

- Tak.

Wymamrotała jakieś usprawiedliwienie do siedzącego po przeciwnej stronie stołu chłopaka z biblioteki, z którym miała dziś randkę, a następnie udała się do damskiej toalety.

- Tylko byłam zaskoczona, że się odezwałeś, bo nie spodziewałam się twojego telefonu. Ale super, że dzwonisz. Jak się czuje Carolyn?

- Coraz bardziej przypomina pączek. Okazało się, że to dziewczynka.

- Wspaniale. Dzięki swoim kobietom nasza rodzina świetnie sobie radzi. Czy babcia już wie?

- Powiedzieliśmy jej wczoraj wieczorem, kiedy była u nas na kolacji. Dziś rano odwieźliśmy ją na lotnisko. Mówiła, że podobno bierzesz wolne, żeby pojechać z nią do Polski.

- Sprawdzasz mnie czy ją? - zapytała natychmiast.

- No coś ty!

- Nabieraj kogoś innego, Claus. Wyraźnie umierasz z ciekawości, więc ci zdradzę, że mamy zarezerwowany lot z Berlina do Warszawy na najbliższy piątek.

Wydawał się mocno zaskoczony.

- Jesteś w Berlinie?

- No powiedz sam, czy komórka to nie jest cudowny wynalazek? Człowiek nigdy nie wie, gdzie znajduje się jego rozmówca. Owszem, jestem w Berlinie. Precyzyjnie rzecz ujmując, w nadzwyczaj dobrej tureckiej restauracji. Od miesiąca pracuję nad filmem dokumentalnym o Stasi dla History Channel i właśnie skończyłam zdjęcia. Dla mnie to dobry moment, żeby zrobić sobie parę dni przerwy, i nie przychodzi mi do głowy nic, co chciałabym robić bardziej, niż jechać z babcią.

- Oma nie powiedziała mi, że jesteś w Niemczech.

- Pewnie nie chciała cię niepokoić. Zanim spytasz, od razu powiem, że nie wpadłam z wizytą do twoich rodziców. Wolę się nie mieszać do twoich stosunków z ojcem, skoro tak cholernie się nienawidzicie.

- Przecież ty też go nie znosisz - zauważył łagodnie Claus.

- Zgadza się - przytaknęła.

- Zresztą wiesz chyba, że stosunki między babcią a ojcem układają się tak samo fatalnie jak między mną a nim - dodał, jakby to stanowiło wystarczające uzasadnienie.

- Być może ze względu na wiek Charlotte chciałaby zakopać wojenny topór.

- Zapewniam cię, że jedynym miejscem, gdzie chciałaby zakopać ten topór, jest głowa jej ukochanego synka - powiedział Claus, a jego ton sugerował, że to wcale nie żart.

- Proponowałam, żeby kilka dni odpoczęła, zanim wyjedziemy. - Laura z rozmysłem zmieniła temat. Gdy Claus zaczynał mówić o swoim ojcu, nigdy nie wiedział, kiedy przestać. - Transatlantycki lot jest męczący dla każdego, nie mówiąc już o osobie w jej wieku, ale znasz babcię: skoro w końcu postanowiła, że tam pojedzie, to nie spocznie, dopóki nie dopnie swego.

- Czy zastanawiałaś się, w jaki sposób będziecie podróżować po Polsce?

- Mój drogi kuzynie, zdałam egzamin na prawo jazdy, kiedy miałam siedemnaście lat.

- Więc masz zamiar wypożyczyć samochód?

- Będzie czekał na nas na lotnisku.

- Bądź ostrożna...

- Claus, jeśli masz zamiar mnie pouczać, to lepiej od razu sobie daruj. Potrafię zaopiekować się babcią równie dobrze jak ty.

- Wcale nie mówiłem, że nie potrafisz - mruknął i zamilkł na chwilę. - Tylko według mnie nie powinnaś pozwolić, żeby to ona prowadziła.

- A czy coś z nią nie w porządku? - spytała z troską.

- Nie, z wyjątkiem tych wrzodów żołądka... Mówiła ci, że ma wrzody?

- Nie.

- Podobno to małe zmiany i wystarczy odpowiednia dieta. Zresztą babcia wygląda, jakby miała żyć wiecznie...

- Więc czemu nie powinnam pozwolić jej prowadzić? - przerwała mu w pół zdania.

- Miałem wrażenie, że jest trochę dziwna... Nie potrafię określić konkretnie, o co chodzi. Taka... czymś zaabsorbowana. Trudno to wytłumaczyć, ale czuję, że coś jest z nią nie w porządku.

Teraz było już jasne, że babcia nie powiedziała Clausowi o tamtych dokumentach, więc Laura szybko podjęła decyzję, że sama także nie piśnie nawet słówkiem na ich temat. Ukrywanie prawdy nie sprawiło jej żadnej przyjemności, ale ten sekret nie należał do niej i nie miała prawa komukolwiek go zdradzać.

- Babcia zdecydowała się pojechać w rodzinne strony po sześćdziesięciu latach spędzonych w innym kraju. Czy ty na jej miejscu nie czułbyś się trochę dziwnie?

- Ja tam pędziłbym jak diabli w przeciwnym kierunku, choć od mojego wyjazdu z Niemiec minęło zaledwie sześć lat.

- Przecież lubisz, kiedy życie cię nie rozpieszcza.

- Jeśli masz na myśli wojskową dyscyplinę, zimne prysznice i ojca o usposobieniu wściekłego rottweilera, to owszem tak, ale wracając do babci...

- Claus, czy naprawdę martwisz się o babcię, czy po prostu złości cię, że to ja z nią jadę, a nie ty?

- Po trochu i jedno, i drugie - przyznał szczerze. - Zawsze myślałem, że pojedziemy tam we trójkę.

- Ale przecież Carolyn nie zaszła w ciążę sama.

- Dlaczego mam wrażenie, że pijesz do mnie?

- Bo tak jest - odpowiedziała stanowczo Laura.

- Tu nie chodzi tylko o babcię. Chodzi też o Polskę i cały wschodni blok. Według prasy to nie jest rejon, po którym należy teraz podróżować.

- Odkąd to wierzysz we wszystko, co wypisują w gazetach?

- Odkąd ty zajęłaś się dziennikarstwem.

- Ale ja pracuję dla telewizji.

- To nawet gorzej. Im chodzi wyłącznie o to, żeby wyrzucić piorunujące wrażenie na jak największej liczbie widzów i do diabła z prawdą!

- Tylko w Ameryce. - Laura znów zmieniła temat. - Babcia wciąż mi powtarza, że jesteście niewiarygodnie szczęśliwi. Jak w bajce. Coś w rodzaju „żyli długo i szczęśliwie”.

- Ma całkowitą rację. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na Carolyn i dziecko, ale boję się za dużo o tym myśleć, żeby przypadkiem czar nie prysł. A co u ciebie?

- Miewam przygody, a poza tym mam swoją pracę.
- Będzie nam miło, jeśli kiedyś przyjedziesz z wizytą.
- Dziękuję. Spróbuję wpaść do was, jak już Carolyn urodzi.
- Przyjedź teraz razem z babcią. Oma będzie szczęśliwa, że może cię gościć, a nas nie musisz widywać, chyba że będziesz chciała.

- Przecież mieszkanie na końcu jej ogrodu.
- Jak angielskie wróżki.

Laura nagle przypomniała sobie o chłopaku, który czekał przy stoliku na jej powrót.

- Claus, ten telefon będzie cię kosztował fortunę!
- To tylko pieniądze - odparł beztrosko. - Laura, zaopiekujesz się babcią, prawda?
- Tak samo dobrze jak ty, Claus.
- Carolyn przesyła ci buziaki.
- Ucałuj ją ode mnie.
- Będziesz matką chrzestną naszej córeczki?
- Nie boisz się, że dziennikarka może rzucić na nią zły czar?
- Jestem gotów podjąć to ryzyko. Zadzwonisz do mnie z Polski?
- Jak tylko uda się nam dotrzeć do hotelu.
- Tylko najpierw sprawdź różnicę czasu. Lubię sobie pospać.

Samolot przedzierał się przez gęstą warstwę chmur. Wewnątrz panowała cisza, bo pasażerowie założyli na uszy telesłuchawki, żeby na osobistych monitorach obejrzeć wybrany z listy program. Tylko Charlotte nie poszła w ich ślady. Poprawiła górną lampkę tak, że światło padało wprost na kartki pamiętnika, który leżał przed nią na rozkładanym stoliczku, i zagłębiła się w czytaniu.

Tyle się wydarzyło od wczoraj. Czuję się tak, jakbym stała się całkiem inną osobą. Jestem najszczęśliwszą i najradośniejszą dziewczyną pod słońcem! Greta jest wściekła, ale nie waży się tego okazywać, zwłaszcza przed mamą i papą. Jednak kiedy przyszłam na górę, była całkiem zielona z zazdrości, z czym bardzo jej nie do twarzy.

Wszyscy myślą, że jeszcze śpię, ale jestem na to zbyt podniecona, więc usiadłam do pisania, żeby utrwalić każdy szczegół moich osiemnastych urodzin i dotąd najważniejszego dnia w moim życiu. Pewnego dnia pokażę ten pamiętnik dzieciom i wnukom. Wiem, że będą prześlizczne, ale zastanawiam się, kim będą? Żołnierzami, muzykami, a może członkami akademii? Czy chłopcy będą podobni do swojego dziadka?



Świt, moja sypialnia, Grunwaldsee
Niedziela, 20 sierpnia 1939

Całkiem zapomniałam, że to ma być pamiętnik, więc muszę przestać snuć marzenia i skoncentrować się na tym, co rzeczywiście się wydarzyło.

Wszyscy byli mocno podekscytowani, kiedy pociąg wreszcie wtoczył się na stację w Allenstein. Herr Schumacher ostrzegł nas podczas lunchu, żebyśmy nie opowiadali naszym rodzinom, jakie warunki zakwaterowania proponowano nam w Rosji w mniejszych miastach i na obszarach wiejskich, zwłaszcza w tych domach, gdzie oczekiwano, że położymy się do łóżka z całą rodziną gospodarzy. Drzę na samo wspomnienie, jak to wyglądało. Irena i ja przygląda-

łyśmy się z przerażeniem, jak dziadkowie, rodzice, czterech synów i trzy córki wpełzają - wcale się nie rozbierając - do wspólnego posłania, które znajdowało się na okapie nad piecem. Jednak, jak powiedziałam Herr Schumacherowi, nikomu nie stała się przez to krzywda. Cele na posterunku policji, choć niezbyt czyste i pełne przeciągów, zapewniały przynajmniej jaką taką prywatność. Irena i ja obiecałyśmy, że nie będziemy opowiadać żadnych historii na ten temat. Chociaż uprzedziłam Herr Schumachera, że nie możemy ręczyć za Hildegarde, Ninę i pozostałe dziewczęta.

Chłopcy oczywiście uważali to wszystko za wspaniały żart, ale brat Ireny, Manfred, jest jedynym, na którego Herr Schumacher może liczyć, że będzie trzymał język za zębami. Nasze tournée niczego nie zmieniło, Manfred nadal pozostał zagorzałym komunistą. „Beznadziejny przypadek”, jak mawia o nim Irena. Biedaczka zrobiła wszystko, co w jej mocy, starając się mu perswadować, żeby chwilowo zatrzymywał swoje opinie dla siebie. Zwierzyła mi się, że rodzice żyją w strachu, iż któregoś dnia ktoś postara się zwerbować go do Partii Komunistycznej, nie zważając na jego młodość ani dobro rodziny.

Jeśli tak się stanie, to Manfred skończy w jednym z tych straszliwych obozów, o których ludzie opowiadają szeptem, jak na przykład Dachau. Nic z tego, co zobaczył w Rosji, nie zachwiało jego poglądami i przysiągł, że nie spocznie, dopóki w Niemczech nie zapanuje ustrój komunistyczny. Biedak - wygląda na to, że zaharuje się na śmierć.

Polityka! Jedyny temat, o którym chłopcy potrafili w kółko gadać, a nawet się bić, o ile akurat nie tłoczli się w jakimś kącie, żeby tam chichotać nad zdjęciami nagich dziewczyn. Georg przypadkiem upuścił takie nieprzyzwoite zdjęcia, w chwili gdy Nina mijala jego fotel w drodze do łazienki. Zrobił się czerwony jak burak, kiedy je podniosła i wręczyła mu z powrotem.

Powiedziała nam później, że były bardziej śmieszne niż odrażające, i że modelka wyglądała po prostu głupio, ubrana tylko w paciorki i pióra. Nie wiem, czemu chłopcy spędzają tyle czasu, śliniąc się nad czymś takim. Rozmawialiśmy o tym z Ireną i obie zgodnie doszłyśmy do wniosku, że wcale nie chciałybyśmy spędzać godzin na oglądaniu fotografii gołych panów.

Paul czekał na mnie na stacji razem z Nim. Stali obok siebie, obaj wysocy i jasnowłosi jak romantyczni rycerze z aryjskich legend. On miał na sobie swój mundur. Peter łokciem odsunął mnie na bok i wrzasnął, żeby wszyscy podziwiali jego brata, który właśnie został awansowany do stopnia majora. Byłam zła na siebie, że od razu tego nie zauważyłam. Peter miał rację. On już nie jest kapitanem, tylko majorem. W wieku zaledwie trzydziestu lat.

Było tyle przepychania, potrącania i ogólnie prezentowania jak najgorszych manier, że wróciłam na swoje miejsce, pozwalając, żeby wszyscy wyszli z pociągu przede mną, łącznie z Ireną, która wyraźnie się zirytowała, że Wilhelm nie przyjechał. Paul wyjaśnił, że przywieźli z Königsbergu nowego konia dla papy, ale wierzchowiec okazał się na wpół dziki, więc Wilhelm został, żeby pomóc chłopcom stajennym wprowadzić go do boksu.

Paul powiedział też, że Greta koniecznie chciała przyjechać, ale oświadczył jej, że nie wystarczy miejsca w samochodzie dla nich trojga, Petera, mnie oraz naszych bagaży. Byłam całkiem zadowolona. Greta na pewno nie przyjechałaby ze względu na mnie, a ja byłam szczęśliwa, że mogę mieć Paula i Jego dla siebie. Peter chciał jechać prosto do domu, do Bergensee, więc ojciec Georga zabrał go swoim samochodem.

Kiedy rozmawiałam z Paulem, On wysłał tragarza po moje walizki i kazał je zanieść do samochodu. To był sportowy wóz z odkrytym dachem, szybszy i bardziej nowoczesny niż największe auta papy. Paul po kolei uściśnął ręce wszystkim kolegom z orkiestry i przypomniał o wieczornym balu u nas. Herr Schumacher i jego żona, która przyszła po niego na stację, byli bardzo zaskoczeni, kiedy ich także zaprosiliśmy.

Było cudownie jechać przez miasto, a potem przez naszą piękną okolicę; wzdłuż jeziora i boczną drogą, która prowadziła wprost na dziedziniec drogiego, starego Grunwaldsee. Zawsze wydaje mi się nie w porządku, że normalne życie toczy się tutaj nawet wtedy, kiedy ja tego nie widzę.

Paul upierał się, żebym najpierw poszła do stajni, zanim wejdę do domu. Mama, papa, Wilhelm i Greta już tam czekali, i wtedy odkryłam, że Paul nie mówił prawdy o tym koniu. To była szara klaczka, nie żaden ogier, a w dodatku najśliczniejszy koń do jazdy wierzchem, jakiego dama mogłaby sobie wymarzyć. Paul i Wilhelm kupili ją dla mnie na prezent urodzinowy! Nazwali ją Elise na cześć mojej ulubionej miniatury Beethovena. W boksie było już eleganckie damskie siodło, więc Wilhelm osiodłał klaczkę, żebym mogła od razu jej dosiąść. Ale nic z tego; najpierw musiałam pójść do domu i przebrać się w ubranie do jazdy konnej. Mama kazała mi wejść bocznym wejściem i schodami dla służby, żebym przed obiadem nie mogła zobaczyć holu, sali balowej ani czekających na mnie prezentów.

Paul i Wilhelm przyprowadzili cztery konie do tylnego wejścia do domu. Greta nie chciała jechać, ale bliźniacy wręcz nie mogli się doczekać, żeby zobaczyć, czy Elise mnie polubi. On też pojechał z nami. Przejazdzka udała się wspaniale. Elise cwałowała i galopowała jak anioł. Pędem przelecieliśmy dookoła jeziora. Paul i Wilhelm mieli wyraźne kłopoty z dotrzymaniem mi kroku, a ja z przykrością pomyślałam, że mam dla nich jedynie pierwsze wydanie dzieł Schillera i złote szpilki do krawata.

Bawiliśmy się tak znakomicie, że mama musiała wysłać Brunona, by nam przypomniiał, że najwyższy czas się ubrać na bal. On pojechał do siebie, do Bergensee, a my oddaliśmy konie stajennym i weszliśmy do domu.

Papa kazał ustawić stoły także na dziedzińcu, żeby wszyscy nasi wieśniacy, pracownicy i służący, którzy nie usługiwali przy balu, mieli własne przyjęcie, i także mogli się weselić i świętować naszą pełnoletność. Kazał Brunonowi wytoczyć dla nich dwadzieścia beczek piwa i ustawić osiemdziesiąt butelek wina. Greta orzekła, że to stanowczo za dużo. Jest zazdrosna, ponieważ nasze przyjęcie będzie o wiele wspanialsze niż to, które wydał papa, kiedy ona kończyła osiemnaście lat. Powinna jednak pamiętać, że nasze przyjęcie jest dla trojga, a tamto było tylko dla niej jednej.

Mama wysłała Minnę, żeby pomogła mi się ubierać, ponieważ Maria nie jest jeszcze w pełni nauczona, jak to się robi. Moja wieczorowa suknia przyjechała od krawcowej dziś rano. Jest bez rękawów, z luźno tkanego jedwabiu w kolorze srebrnoniebieskim, z dobrze dopasowaną górą, a dekolt z tyłu został wycięty głębiej niż w jakiegokolwiek innej sukni balowej, którą nosiłam do tej pory. Mama poprosiła, żebym nie wkładała żadnej biżuterii, więc mogę się domyślić, co dostanę w prezencie od rodziców.

Uparłam się, żeby upiąć włosy wysoko do góry i stanowczo bez żadnego warkocza. Greta wpadła w szal, kiedy to zobaczyła. Popędziła prosto do mamy, wykrzykując, że żadna dziewczyna nie powinna się czesać w ten sposób, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat. Na szczęście mama przyznała mi rację. Osiemnaście lat wystarczy, żeby ubierać się jak dorosła kobieta. Nawiasem mówiąc, to mój wieczór, a nie Greta.

Papa ustąpił i pozwolił, żebyśmy jeszcze przed obiadem obejrzeli nasze urodzinowe stoliki. Mama przeszła samą siebie. Wyhaftowała na brzegach obrusów pasowe i kremowe różyczki, a w wolnych miejscach między prezentami ułożyła francuskie trufle, cukierki, miniaturowe buteleczki szampana i żuki z czekolady. Wszystko to wyglądało wręcz wspaniale, ale i tak nie pozwolono nam otworzyć choćby jednej paczuszki, dopóki obiad nie dobiegnie końca. Do stołu usiadło nas około stu osób, a jeszcze dwieście pięćdziesiąt miało przyjechać na bal.

Mama i papa podarowali mi złoty zegarek i naszyjnik z pereł oraz pasujące do niego kolczyki. Bliźniacy wreszcie otrzymali spadek po babci i dziadku, a od rodziców dostali kluczyki do samochodów - każdy własne. Samochody stały schowane w stodole, więc musieliśmy wyjść na zewnątrz, żeby je obejrzeć. Dwa sportowe mercedesy z otwieranym dachem. Chłopcy mieli nadzieję, że dostaną samochód, chociaż spodziewali się, że będzie to jeden na spółkę. Ale papa oświadczył, że skoro są już dorośli, to przecież nie mogą nadal robić wszystkiego razem.

Wszyscy się śmiali, bo kiedy otwieraliśmy prezenty, Irena chodziła za Wilhelmem jak mały piesek. Gdy podarunki zostały rozpakowane i obejrzone, a mniejsze zaniesiono na górę, nadszedł czas na rozpoczęcie tańców. Próbowałam ukryć rozczarowanie, że nie dostałam specjalnego prezentu od Niego. Co prawda od jego rodziny dostałam szkatułkę na

bizuterię, wyrzeźbioną z cedrowego drewna i inkrustowaną płytkami bursztynu. Ta szkatułka jest bardzo cenna i ma ponad trzysta lat. Na wizytówce było Jego imię, razem z imionami jego rodziców oraz Petera, ale ja miałam nadzieję, że dostanę coś tylko od Niego. Oczywiście nie drogiego, po prostu zwykłą różę, którą mogłabym zasuszyć między kartkami pamiętnika i która na zawsze pozostałaby moim skarbem.

Papa otworzył bal ze mną, mama tańczyła z Wilhelmem, a biedny Paul musiał cierpieć towarzystwo Grety, która miała zdecydowanie zły humor, ponieważ to nie ona była gwiazdą wieczoru.

Mama mocno się napracowała, żeby przyozdobić salę balową. Rzadko jej używaliśmy, więc zawsze myślałam o niej jako o wielkim, zimnym i pustym pomieszczeniu, ale wczorajszego wieczoru wyglądała zachwycająco. Mama kazała służbie umocować na suficie i ścianach girlandy z róż i bluszczu, a kandelabry zostały wyczyszczone, wypolerowane i napełnione nowymi świecami.

Jestem zadowolona, że papa zdecydował się nie zakładać elektryczności w tej części domu; było tak romantycznie jeść kolację przy blasku świec w gościnnej jadalni i tańczyć w sali balowej w świetle migoczących płomyków. Papa wynajął hotelową orkiestrę, która grała bardzo dobrze, choć nie tak dobrze jak orkiestra Allensteiner Hitlerjugend. Oczywiście nie wspomniałam o tym głośno, żeby przypadkiem ojciec nie pomyślał, że lubię się przechwalać.

Georg grał dla nas na skrzypcach. Dał mi następną różę i srebrną bransoletkę, i uprosił mnie, żebym z nim zatańczyła. Nie chcę róży ani bransoletki od takiego głuptasa jak Georg, ale musiałam zarezerwować dla niego jeden taniec. Gdybym odmówiła, byłoby to dowodem złego wychowania. Bransoletka jest bardzo ładna, cała z malutkich, połączonych ze sobą różyczek, z nutami wplecionymi między kwiaty.

Manfred dał mi książkę. Jeszcze przed rozpakowaniem mogłam bez trudu odgadnąć, co to jest, i bałam się odwinąć papier w obecności innych ludzi, na wypadek gdyby okazało się, że to książka któregoś z zakazanych autorów jak Karol Marks. Manfred zawsze czyta zakazaną literaturę i nawet Irena nie wie, skąd sprowadza te swoje książki.

Obiecałam mu, że obejrzę prezent później, kiedy będę już sama, i biedak musiał się tym zadowolić.

Ojciec nie pozwolił mi na wpisywanie kogokolwiek do mojego karneciku, dopóki bal nie zostanie oficjalnie otwarty. Kiedy to nastąpiło, musiałam dosłownie walczyć, żeby zachować polkę dla Georga. W ciągu dwóch minut po tym, jak papa i ja skończyliśmy walca na rozpoczęcie balu, w moim karnecie nie został ani jeden wolny taniec. Musiało upłynąć dobre dziesięć minut, zanim Greta zapełniła swój karnecik.

On zarezerwował ostatni walc przed kolacją i ostatnie trzy przed zakończeniem balu, ale zanim to nastąpi, będę musiała tańczyć z tymi wszystkimi nudnymi chłopcami...

- Czy mogę coś pani podać, pani Datski? Całkiem zagubiona w przeszłości Charlotte popatrzyła na stewardesę nieprzytomnym wzrokiem.

- Może coś do picia albo gazetę?

- Nie, bardzo pani dziękuję.

...Kiedy w końcu przeszedł na ukos przez salę, żeby poprosić mnie do ostatniego przed kolacją walca, omal nie umarłam ze szczęścia. W swoim galowym mundurze był najwyższym i najprzystojniejszym mężczyzną wśród obecnych w sali. Dźwięcznie stuknął obcasami i skłonił się przede mną.

- Wydaje mi się, Fräulein Charlotte, że ostatni walc przed kolacją miał należeć do mnie?



Czułam się tak, jakby oczy wszystkich były skierowane na nas, gdy prowadził mnie na środek sali balowej. Ku swemu zawstydzeniu musiałam koncentrować się na krokach, żeby niczego nie pomylić. Zdaje się, że nawet zaczęłam je liczyć, tak jak uczono nas na lekcjach tańca. Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... Przez cały czas usiłowałam sobie przypomnieć wszystkie subtelnosci, o których mówił mi nauczyciel. To byłoby straszne, gdyby On sobie pomyślał, że jestem jakąś niezgrabą.

Gdy muzyka umilkła, zaproponował, żebyśmy wyszli na taras zamiast iść na kolację. Miałam nadzieję, że Greta to zauważyła. Nigdy jej nie wybaczę, że zeszłego lata przyłapała mnie, jak patrzyłam na Niego z okna w zachodnim skrzydle. Nazwała mnie wtedy głupim dzieciakiem i powiedziała, że nie powinnam robić maślanych oczu do mężczyzny, który jest dla mnie o wiele za stary. Marzyłam, żeby jej pokazać, jak bardzo się pomyliła. Być może mam tylko osiemnaście lat, ale nigdy, przenigdy nie będę kochać nikogo tak bezgranicznie, jak kocham Jego. Cała moja miłość, całe serce i dusza należą do Niego i tylko do Niego. A różnica dwunastu lat nie jest znowu taka wielka. Ostatecznie papa także jest dziesięć lat starszy od mamy.

Ogród w świetle księżycy wyglądał zachwycająco, ale musieliśmy zostać na tarasie, ponieważ bałam się ubrudzić albo rozedrzeć brzeg mojej pięknej sukni. Blask wylewający się z okien domu złocił drzewa i kwiaty za naszymi plecami. Mimo że wszyscy z wyjątkiem nas poszli na kolację, orkiestra wciąż grała jakąś sentymentalną, delikatną melodię Brahmsa. Nie wstydzę się powiedzieć, że z nadzieją czekałam na mój pierwszy prawdziwy pocałunek. Ten, który podczas tournée skradł mi Georg, wcale się nie liczy, ponieważ w porę odwróciłam głowę i skończyło się na tym, że pocałował mnie w ucho, które długo potem było jeszcze wilgotne. Zresztą nie chciałam, żeby Georg mnie całował - wtedy czy kiedykolwiek.

Staliśmy blisko siebie, spoglądając na pogrążony w mroku ogród, sącząc szampana przyniesionego przez jednego z kelnerów, tak uszczęśliwieni swoim towarzystwem, że żadne słowa nie wydawały nam się potrzebne. To był znak prawdziwej przyjaźni i pokrewieństwa naszych dusz.

On wyglądał w blasku księżycy po prostu cudownie - dokładnie tak, jak niegdyś wyobrażałam sobie mojego księcia z bajki. Złote włosy lśniły jak aureola, a niebieskie oczy były głębokie, mroczne i pełne tajemnic. Zapytał, czy może zapalić w mojej obecności. Powiedziałam, że zawsze lubiłam zapach cygar, a on odparł, że w balowej sukni wyglądam przepięknie, niemal jak bogini.

Nie byłam pewna, jak dama powinna zareagować na tego typu komplement, więc nie powiedziałam ani słowa, tylko przysunęłam się o krok bliżej. Wciąż pragnęłam, żeby mnie pocałował - mam nadzieję, że nie wziął mnie za bezwstydnicę, ale nie sądzę, by mógł tak pomyśleć, biorąc pod uwagę, co się potem wydarzyło. Powietrze było przyjemnie chłodne w porównaniu z gorącym salą balowej, a z ogrodu płynął do nas zapach róż. Słyszeliśmy wybuchy śmiechu i akordeon Brunona grającego na podwórzu z drugiej strony domu. Mruknęłam coś o tym, że służba wzięła sobie do serca zalecenia papy i bawi się do upadłego, ale wtedy nagle mi przerwał.

Powiedział, że mnie kocha. Mnie! On mnie kocha! A ja przez cały czas myślałam, że przyjeżdża do Grunwaldsee wyłącznie z powodu Greta. Nie bardzo pamiętam, co mówił potem, ale w końcu pochylił się, żeby mnie pocałować. Teraz przynajmniej wiem, jak wygląda prawdziwy pocałunek. Wreszcie otoczył mnie ramionami i mocno przytulił.

Szorstki materiał munduru nieprzyjemnie drażnił moje nagie plecy, aż zaczęły mnie swędzieć. Wiem, że to może mało romantycznie pisać o takich sprawach, ale obiecałam sobie, że w tym pamiętniku będę szczerą aż do bólu, i to pod każdym możliwym względem.

Z bliska czułam zapach jego wody kolońskiej, oleistą woń skórzanego, wojskowego pasa, aromat pomady do włosów i proszku do zębów. Po pocałunku przyznałam się, że kochałam się w nim jak szalona, odkąd skończyłam dwa-

naście lat, ale zawsze byłam przekonana, że on nie zwraca na mnie uwagi i widzi tylko Gretę. Nie zamierzałam wymieniać jej imienia, lecz na szczęście zbył milczeniem tę ostatnią uwagę i zamiast coś mówić, znów mnie pocałował. To był cudowny pocałunek, po którym całkiem straciłam oddech. Wtedy sięgnął do kieszeni, wyjął małe pudełeczko i poprosił, żebym je otworzyła.

Wewnątrz znajdował się najpiękniejszy pierścionek z diamentem, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Powiedział, że to pierścień zaręczynowy jego prababci i że któryś z przodków otrzymał go w darze od Fryderyka Wielkiego.

Był trochę na mnie za duży, ale On się zaśmiał i powiedział, że kiedyś na pewno mój palec do niego dorosnie. Potem czubkami palców uniósł delikatnie mój podbródek i zapytał, czy zechcę zostać jego żoną. To były oświadczenia, o jakich marzy każda dziewczyna. Wszystko było cudownie doskonale - moja suknia, ten taras, a nade wszystko On, Claus von Letteberg. Z nadmiaru szczęścia kręci mi się w głowie. Zostanę jego żoną. Ja, Charlotte, przyszła hrabina von Letteberg. Jego żona!

Stewardesa przetoczyła wózek z napojami obok rzędu, w którym znajdował się jej fotel. Charlotte poprosiła o wodę mineralną, a następnie zamknęła pamiętnik, owinęła go w jedwabny szal i schowała do torby. To dziwne, ale upływ czasu pozwolił jej spojrzeć na tamte wydarzenia z pozbawioną wszelkich emocji trzeźwością. Teraz uświadomiła sobie, że Claus nigdy nie zdołałby rozbudzić w niej tak gwałtownego uczucia, gdyby nie fakt, że Greta także była w nim zakochana.

Mocno ją zabolęła kaśliwa uwaga, że powinna przestać robić słodkie oczy do mężczyzn, którzy są dla niej za starzy, i trzymać się naiwnych, niedoświadczonych chłopców w rodzaju Manfreda albo Georga, ale zbyt dobrze знаła swoją siostrę, żeby podejrzewać, że był to tylko zdawkowy komentarz. Greta chciała sprawić jej przykrość, a ona była zbyt naiwna i niepewna swego, żeby kwestionować motywy, którymi tamta się kierowała.

Przywołała z pamięci te wszystkie noce przepłakane w poduszkę, jeszcze zanim Claus się oświadczył, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Greta ma rację. Dlaczego tak światowy mężczyzna jak Claus von Letteberg, który miał tytuł, majątek, pieniądze i takie powodzenie u płci przeciwnej, że młode damy z pruskiej arystokracji gotowe były zemdleć u jego stóp, tracił czas dla takiej mało wyrafinowanej dzierłatki jak ona? To pytanie wciąż było aktualne. Dlaczego tak postąpił?

No tak, Charlotte była o kilka lat młodsza niż Greta i może właśnie ze względu na ich przyszłe stosunki uważał, że jest lepszą kandydatką na żonę. Może nie ładniejszą, ale bardziej podatną na męzowski wpływ, jako że wydawała się naiwnym, rozpieszczonym i upartym dzieckiem. A może Claus widział, że mimo młodości i niedoświadczenia niczego w swoim krótkim życiu nie pragnęła tak bardzo jak jego miłości, a jej rzucająca się w oczy adoracja pochlebila mu na tyle, że posunął się aż do oświadczenia.

Karmiona romansami, które każdego wieczoru jeszcze przed oświadczeniami Clausa czytała w łóżku zamiast filozoficznych dzieł zalecanych przez nauczycieli, usiłowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała jej przyszłość bez niego. Szybko doszła do wniosku, że jeśli on poślubi kogoś innego, to ona równie dobrze może przestać istnieć. Umrzeć jak Cathy w „Wichrowych Wzgórzach” albo odejść, wykaszując płuca i szepcząc imię ukochanego jak Małgorzata Gautier. Ekscytowała się obrazem pogrążonego w żałobie Clausa, wracającego do niej już po jej zgonie, tak jak Heatcliff i Armand, którzy chcieli wykopać z grobu ciała swych ukochanych.

Tyle tylko, że rzeczywistość okazała się znacznie mniej romantyczna niż wyobrażenia Charlotte.



Samuel Goldberg stał przy barierce i obserwował tłum głośnych, podnieconych amerykańskich turystów, którzy pchali ciężkie wózki z bagażami w stronę wyjścia z hali przylotów i czekających na pasażerów agentów z biur turystycznych. Za turystami szła Charlotte, wyglądająca schludniej i bardziej żwawo, niż należało się spodziewać po przebyciu samolotem ponad czterech tysięcy kilometrów. Na powitanie cmoknął ją w policzek.

- Wyglądasz wspaniale.

Odwzajemniła pocałunek i serdecznie uściśnęła starego przyjaciela.

- Nie kłam, Samuelu. Jestem wrakiem człowieka. W czasie lotu strasznie przetuszczają mi się włosy. To musi mieć coś wspólnego z klimatyzacją na pokładzie. Ale za to ty świetnie się trzymasz. Nie postarzałeś się ani trochę od chwili, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- To było pięć lat temu. Pięć długich lat, odkąd wpadłaś tu na moment i zostawiłaś mnie ze złamanym sercem.

- W takim razie złamane serce ci służy.

- Widzę, że jesteś tak samo okrutna jak zawsze.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałeś. - Oparła się na jego ramieniu. - Podróżowanie to coś okropnego, jeśli człowiek dolatuje do celu i nikt na niego nie czeka.

- To częściowa zapłata za wszystkie lunchy, które ci byłem winien. Poza tym dajesz mi wspaniały procent ze sprzedaży swoich prac. Mam nadzieję, że ta wizyta oznacza, iż w przyszłości będziesz spędzać więcej czasu w Europie.

Dał znak bagażowemu, by szedł za nimi z walizkami.

- Obawiam się, Samuelu, że to ostatnia wizyta.

- Nie możesz tak mówić.

- Owszem, mogę - odparła Charlotte. Spojrzał jej w oczy i wziął głęboki oddech.

- Czy właśnie dlatego wróciłaś?

- Tak. Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, Samuelu, żeby pojechać do wschodniej Europy i odwiedzić swoje rodzinne miasto?

- Czasami to robię, w snach albo koszmarach. To oszczędza mi kłopotu z rezerwacją biletów na prawdziwą wycieczkę. Zresztą nienawidzę pakowania walizek. - Poglaskał jej dłoń, która spoczywała na jego ramieniu. - No, a teraz dobre nowiny.

- Jeremy zaprosił cię na kolację, ale odmówiłeś - snuła domysły.

- Powiedziałem mu, że muszę zjeść kolację z klientem.

- To może dobra nowina dla ciebie, lecz nie dla mnie. Czy to prawda?

- Zaaranżowałem to spotkanie w pięć minut po tym, jak skończyłem rozmawiać z twoim synem. Podrzucę cię do Jeremy'ego, a mój szofer zabierze cię o każdej porze, o której będziesz sobie życzyła. Czy zatrzymasz się u mnie na noc i pozwolisz, że jutro rano odwożę cię na lotnisko? - spytał z nadzieją.

- To zbyt wielki kłopot.

- Ale przyjechałaś pierwszy raz po pięciu latach! Nawiasem mówiąc, moja gosposia zmieniła bieliznę pościelową w gościnnym pokoju i postawiła tam kwiaty. Poza tym kupiła na śniadanie melona i truskawki. Chyba nie chciałabyś, żeby kobiecina była rozczarowana, że cały jej trud poszedł na marne, prawda?

Przykryła jego dłoń swoją.

- Samuelu, przez te sześćdziesiąt lat z okładem zawsze byłeś wiernym i oddanym przyjacielem.

- Dałaś mi sześćdziesiąt lat - mrugnął szelmowsko. - Jesteś przekonana, że masz ochotę spędzić ten wieczór z Jeremy'm i jego rodziną? Ja jestem umówiony z pewnym starym klientem, który byłby zachwycony, mogąc cię poznać. Po kolacji moglibyśmy sobie pozwolić na wszelkiego rodzaju rozpustę.

- Nie kuś mnie.

- Czy to znaczy „tak”?

- Nie. Jeremy mnie nie akceptuje, ale poczucie synowskiej lojalności każe mu prawić miłe słówka, z czym łączy się również zapraszanie mnie na kolację za każdym razem, gdy znajdę się w Wielkiej Brytanii. A moje matczyne poczucie obowiązku każe mi je przyjmować.

- Krótkie spotkanie przy kawie byłoby o wiele lepsze. Przynajmniej nie skończyłoby się na tym, że zaczniecie pluć na siebie jedzeniem - namawiał ją.

- Wiem, a ty również świetnie wiesz, że mój syn uważa nasze spotkania za boleśnie krępujące, ponieważ nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem psotne wróżki nie zabrały mi prawdziwego dziecka i nie podrzuciły w to miejsce jakiegoś odmienca. Ale nie rozmawiajmy o Jeremym. Wkrótce dość się na niego napatrzę.

- Oto nasz samochód. - Kiedy Charlotte otworzyła torebkę, Samuel szybko cofnął dłoń, potem pogrzebał w kieszeni, znalazł jakieś drobne i wręczył bagażowemu napiwek. - Charlotte, przedstawiam ci Hassana, mojego szofera. Jest Kurdem.

Bez wahania uściśnęła wyciągniętą na powitanie rękę.

- Rozumiem, że jesteś uciekinierem?

- Raczej byłem nim, dopóki pan Goldberg nie zaproponował mi pracy i mieszkania.

Odwzajemnił jej uśmiech, ciągnąc walizki dookoła samochodu, żeby włożyć je do bagażnika.

- Ludzie pomagają mi, kiedy tego potrzebuję - powiedział Samuel takim tonem, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Ty też pomagasz ludziom, i tak było zawsze, odkąd sięgam pamięcią.

- Miałem w tobie wspaniałą nauczycielkę, Charlotte. - Otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść. - Tu jest lodówka. Na co masz ochotę: na wodę mineralną, wino czy brandy z wodą sodową, zakładając, że następnym przystankiem będzie dom Jeremy'ego?

- Mamo, jak miło cię zobaczyć!

Jeremy Templeton otworzył frontowe drzwi i wyciągnął rękę na powitanie. Charlotte potrząsnęła nią, przywołując w pamięci dzień, kiedy jej syn po raz pierwszy wykonał ten gest. Miał wówczas siedem lat, i musiała go zostawić w szkole z internatem. Pożegnali się przed drzwiami sypialni. Natychmiast przypomniały jej się gorzkie wyrzuty sumienia, na nowo ożywiając poczucie winy, które dręczyło ją wówczas i z powodu rozstania, i tego uścisku dłoni. Ale czy życie Jeremy'ego ułożyłoby się inaczej, gdyby się uparła, że sama będzie go wychowywać? Czy mogła jakimś cudem powstrzymać jego ojca przed ukształtowaniem ich syna na lustrzane odbicie samego siebie, na uosobienie „angielskiego dżentelmena i żołnierza”?

- Mamo, jak miło znów cię zobaczyć! - powtórzyła jak echo jej synowa, Marilyn, a potem pochyliła się, żeby musnąć ustami policzek teściowej. - Czy na długo przyjechałaś?

Charlotte uśmiechnęła się na tak bez ogródek zadane pytanie.

- Na tak niedługo, że nawet nie oplaca mi się rozpakowywać czegokolwiek poza torbą podróżną, którą zostawiłam w domu Samuela Goldberga. Przyjęłam jego zaproszenie, żeby zatrzymać się u niego na noc. Samuel jutro odwiezie mnie na lotnisko.

- Ja wcale nie miałam na myśli... - Marilyn oblała się krwistym rumieńcem. - Wiesz przecież, mamo, że gdybyś zdecydowała zatrzymać się tutaj, byłabyś najmilej widzianym gościem.

- Wiem, Marilyn, wiem... Czy mieliście ostatnio jakieś wieści od Laury?

- Nie - warknął Jeremy z irytacją. - Ona rzadko kiedy raczy do nas zadzwonić. Najczęściej nawet nie wiemy, gdzie akurat jest.

Charlotte o mały włos nie przypomniała synowi, że on także zna numer córki i że ostatecznie równie łatwo jest wybrać numer czyjegoś telefonu, jak odebrać rozmowę przychodzącą. Jednak zaraz potem przypomniało jej się, że Jeremy odziedziczył po swoim ojcu skłonność do skąpstwa, więc szybko ugryzła się w język. Zresztą przyjechała tutaj w całkiem innej sprawie i niepotrzebne denerwowanie syna mogło zniweczyć jej plany.

- Laura była bardzo zajęta, kiedy ostatnio z nią rozmawiałam. Zdaje się, że kończyła zbierać jakieś dokumenty do filmu, który kręciła w Berlinie. Prosiła, żeby wam obojgu przekazać pozdrowienia.

- Wiedzieliśmy, że jest w Berlinie. Proszę mi dać płaszcz, mam. - Marilyn otworzyła szafę w holu i czekała z wieszakiem w ręku.

- Jutro lecę do Berlina.

- Postanowiłaś spędzić lato z Erichem i Ulrike? W głosie Jeremy'ego zabrzmiało rozdrażnienie. Chociaż wyraźnie sobie nie życzył, żeby matka nocowała u niego, to jednak zawsze zdecydowanie nie lubił, gdy zatrzymywała się u jego brata. Charlotte zastanowiła się, czy jej synowie kiedykolwiek przezwyciężą dziecięcą zazdrość o siebie nawzajem. Sekundę później jednak pomyślała o sobie i siostrze. Ich rywalizacja w zasadzie niczym się nie różniła od relacji między synami, a jeśli już, to chyba tym, że była jeszcze bardziej zacięta.

- Nie, Jeremy, nie spędzam lata z twoim bratem i bratową. Chcę tylko wpaść do nich z krótką wizytą, zanim spotkam się w Berlinie z Laurą. Stamtąd lecimy prosto do Warszawy.

- Do Polski? Po co? - dopytywał się.

- Wciąż myślę o północno-wschodniej części tego kraju jako o Prusach Wschodnich, ale pewnie dlatego, że jestem zwariowaną starszą kobietą, która czasami woli żyć w przeszłości, niż zwracać sobie głowę teraźniejszością.

- Proszę, mam, wejść dalej. - Jeremy odsunął się na bok, żeby mogła ruszyć przodem do salonu, sam zaś poszedł za nią.

Niedawno przeszedł na emeryturę, ale przemiana z wojskowego w cywila nie wpłynęła zasadniczo na jego upodobania ani na tryb życia. Trzydzieści lat spędzonych w kwaterach dla żonatych oficerów wyrobiło w nim i Marilyn przywiązanie do sztywnych, solidnych i funkcjonalnych mebli, jakie wyżsi stopniem oficerowie otrzymywali od armii. Ten pokój był dokładną kopią ich salonu z czasów służby Jeremy'ego, który Charlotte musiała oglądać na każdej kartce wysyłanej sumiennie z okazji kolejnych świąt Bożego Narodzenia. Usiadła na pierwszym z brzegu fotelu, wspominając z nostalgią luksus własnego domu.

- Mam, wschodnia Europa to bardzo niebezpieczny rejon.

- Zwykle pierwszy zwracasz uwagę na to, jak prasa przesadza, byle zrobić niesamowitą sensację z każdego wydarzenia. Poza tym nie będę tam sama. Jedziemy we dwie z Laurą.

- Laura ledwie potrafi zatroszczyć się o siebie, nie mówiąc już o zajmowaniu się kimś innym - burknął.

- Zdaje się, że radziła sobie całkiem nieźle podczas ostatnich kilku lat, tak samo jak zdołała wyrobić sobie nazwisko jako producentka znakomitych filmów dokumentalnych.

- Tak czy owak, będziecie tam dwiema samotnymi kobietami. To zbyt łatwy i oczywisty cel dla wszelkiego rodzaju przestępców. Zresztą, po co w ogóle tam jechać, skoro nie ma żadnej potrzeby? Zwłaszcza w twoim wieku, mam.

- Uważasz, że powinnam teraz dziergać skarpetki w jakimś domu starców, zamiast wybierać się w podróż do kraju mojej młodości?

- Zapomniałem, jak bardzo potrafisz być bezceremonialna. Chciałbym stanowczo zaprotestować...

- Wydaje mi się, że twoje protesty muszą jeszcze trochę poczekać. Czy przypadkiem to nie był dzwonek do drzwi?

Marilyn podniosła się z kanapy.

- To na pewno ciocia Greta. Pomyślałam, że skoro nie widziałyście się od tylu lat, to może warto zrobić niespodziankę i zorganizować rodzinne spotkanie.

- Niespodziankę dla mnie, dla niej czy dla nas obu? - spytała Charlotte.

- Marilyn powiedziała jej wczoraj, że przyjeżdżasz z wizytą - ujawnił Jeremy. - Nie chcieliśmy, żeby był to dla niej zbyt wielki szok. Chyba wiesz, że ciocia Greta ma kłopoty z sercem.

- Zawsze je miała, mój drogi chłopcze.

- Słucham?

- Może lepiej wpuść ją do środka?

Charlotte uzbroiła się w cierpliwość. Krucha więź łącząca ją z siostrą została ostatecznie zerwana krótko po zakończeniu wojny. Ostatnim razem, kiedy miała okazję spotkać się z Gretą, z najwyższym trudem udało się jej opanować wybuch gniewu. Jednak potem, gdy mogła już spokojnie przemyśleć wszystko, co siostra powiedziała i zrobiła, dziwiła się samej sobie, że tak bardzo starała się pohamować.

Rozdział trzeci

- Dobry wieczór.

Greta lekkim krokiem weszła do holu w domu Jeremy'ego, a jej mąż, John, posłusznie dreptał za nią, tak samo jak czynił to przez całe ich wspólne życie. Jeremy cmoknął ją w policzek.

- Proszę, ciociu Greto, pozwól, że wezmę twoje okrycie.

- Ależ proszę, mój drogi Jeremy. Jak to miło widzieć, że rycerskie maniery jeszcze gdzieś obowiązuja.

Wręczyła mu swój szal i stanęła z wyciągniętymi rękoma, czekając, aż zdejmie z niej pikowaną, jedwabną kurtkę.

- Marilyn, tu są te foremki do pieczenia, które ci obiecałam. Starzeję się i nie piekę już tyle co dawniej, więc szkoda, żeby leżały w szafce i zbierały kurz.

Podawała Marilyn pękata, nieco podarta i poplamiona torbę z napisem „Marks & Spencer”, zanim znów zwróciła się do męża.

- Zostawiłeś w samochodzie tackę z sadzonkami, które obiecałam Marilyn.

- Postawiłem ją obok tylnych drzwi. Tak właśnie kazałaś mi zrobić - przypomniał łagodnie.

- Dobrze.

Zerknęła do salonu i wreszcie raczyła zauważyć siostrę.

- Nie wstawaj, Charlotte.

- Nie wstaje. Trochę kręci mi się w głowie, pewnie na skutek jet-lagu.

- W takim razie pewnie nie będziesz mieć nic przeciwko temu, że nie schylę się, żeby cię ucałować - odparła cierpko Greta. - W ostatnich dniach znów dopadł mnie artretyzm.

- Przykro mi to słyszeć.

Wiedząc o własnych dolegliwościach, powiedziała to ze szczerego serca, ale Greta nie mogła się powstrzymać od krytycznej uwagi.

- Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego wszyscy uważają, że podróże samolotem są takie męczące, kiedy siedzisz sobie wygodnie w fotelu i czekasz, aż personel cię obsłuży.

- Pewnie ze względu na pięciogodzinną różnicę czasu - odpowiedziała Charlotte.

Przyglądała się Grecie, która tanecznym krokiem krążyła po salonie. Za kilka miesięcy jej siostra miała skończyć dziewięćdziesiąt pięć lat, ale dotąd nie straciła smukłej figury, którą obie odziedziczyły po matce. Z siwymi włosami ufarbowanymi płukanką na jasny blond wyglądała o dwadzieścia lat młodziej, ale wciąż miała brzydki zwyczaj wydymania ust i spoglądania z góry na cały świat, co Charlotte aż nadto dobrze pamiętała z czasów młodości.

- Zawołam Luke'a. Na pewno będzie chciał przywitać się z tobą, ciociu Greto, i z tobą, wujku Johnie. No i oczywiście z tobą, mamó.

Jeremy podszedł do schodów i wrzasnął imię swojego siedemnastoletniego syna. Charlotte zastanawiała się, czemu nie uczynił tego wcześniej, zaraz po jej przyjeździe.

- Luke spędza na strychu każdą wolną chwilę. Ma tam komputer i mnóstwo gier - wyjaśniła Marilyn, kiedy Jeremy po raz kolejny zawołał chłopca.

Wreszcie Greta usadowiła się wygodnie na drugim fotelu, jej mąż zaś wcisnął się na kanapę pomiędzy Marilyn i Jeremy'ego.

- Charlotte, muszę przyznać, że świetnie wyglądasz, choć z drugiej strony nie masz powodu wyglądać źle. Nie tak jak my, kobiety zamężne, które musimy troszczyć się o naszych mężczyzn. Ty przez cały dzień nie masz nic do roboty poza dogadzaniem sobie.

- Znasz mnie przecież. Zawsze byłam bardzo skrupulatna, jeśli chodzi o szczotkowanie włosów i czyszczenie zębów - odparowała Charlotte.

Greta przyjrzała się naszyjnikowi z dużych, owalnych bursztynów, kolczykom i bransoletce Charlotte.

- O, widzę, że nosisz bursztyny mamy.

Tym razem Charlotte ledwo zdołała się opanować.

- Greto, wiesz doskonale, że wszystkie rodzinne klejnoty przepadły w czasie wojny.

- Tak mówiłaś.

Niewiele brakowało, żeby jej niedowierzanie doprowadziło Charlotte do wybuchu gniewu.

- Tę bransoletkę i kolczyki kupiłam na Dominikanie w siedemdziesiątym którymś roku, kiedy byłam na wycieczce. Mają tam naprawdę piękne bursztyny.

- A naszyjnik?

- Dostałam go jeszcze przed wojną podczas rosyjskiego tournée młodzieżowej orkiestry z Allenstein.

Odruchowo przesunęła palcami po bursztynach naszyjnika.

- Dostałaś? - Poprawione ołówkiem brwi Grety uniosły się na znak zdziwienia.

- Od rodziny, u której mieszkałam w Moskwie.

- Od Rosjan! - wykrzyknęła Greta.

- To tournée po Rosji zorganizowały wspólnie władze rosyjskie i niemieckie. Zapewne pamiętasz, Greto, że nasze kraje były wówczas sojusznikami.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek dostała tak wartościowy prezent od kogoś obcego - warknęła Greta.

- No cóż, oni nie byli dla mnie obcy.

- Najwyraźniej, skoro stać ich było na tak wspaniałe podarunki.

Greta położyła torebkę na kolanach i owinęła pasek wokół nadgarstka, jakby się bała, że lada chwila może zostać okradziona.

- Babciu! Kiedy przyjechałaś?! Super, że nareszcie możemy się spotkać!

Luke wpadł do pokoju, klapnął na podłokietniku fotela Charlotte, objął ją mocno za szyję i wycisnął na policzku serdeczny pocałunek.

- Te gry, które przysłałaś mi na Gwiazdkę, są po prostu fantastyczne!

- Claus pomyślał, że ci się spodobają.

Charlotte podniosła z podłogi podróżny kuferek, który zabrała ze sobą na wizytę u syna, i wyjęła stamtąd kolorową paczkę.

- Przysyła ci jeszcze te. Miał zamiar wysłać je pocztą, żeby dotarły na twoje urodziny, ale doszedł do wniosku, że jeśli dostaniesz je wcześniej, to pewnie nie sprawi ci to przykrości.

Luke rozerwał papier.

- Lał, babciu! Wielkie dzięki!

- Podziękuj Clausowi, nie mnie, i nie zapomnij wysłać mu mejla.

- Nie zapomnę.

- Luke, ciocia Greta i wujek John także tu są - przypomniał Jeremy.

Luke zszedł z fotela Charlotte, uprzejmie uścisnął ręce pozostałym gościom, a następnie usiadł z powrotem na poprzednim miejscu.

- Babciu, zeszłe wakacje były naprawdę super. Czy możemy znowu przyjechać z Laurą do ciebie i do Clausa?

- No jasne, że możecie.

- Byłam zadowolona, kiedy dotarła do mnie informacja, że Claus zostanie ojcem. Zawsze powtarzam, że najlepszymi rzeczami w życiu są dzieci i kwiaty - oznajmiła Greta.

Charlotte uważała to za nieco dziwne, że Greta wygłasza takie opinie, zważywszy że sama nigdy nie chciała mieć dzieci.

- Zdaje się, Greto, że to było jedno z ulubionych powiedzonek Hitlera.

- Naprawdę? Nigdy nie zwracałam uwagi na to, co mówił - cynicznie skłamała siostra. - Właśnie parę dni temu rozmawialiśmy z Johnem, że musimy wreszcie przyjechać do ciebie z wizytą, Charlotte. Chciałabym zobaczyć twój dom.

- Jest bardzo nowoczesny - oznajmiła z naciskiem Charlotte. - Nawet meble. Stopniowo wymieniam wszystko na sprzęty projektowane przez Clausa. Niekiedy znajduje czas, żeby wykonywać moje zamówienia. Jego prace stają się bardzo poszukiwane.

- Jestem zaskoczona, że zdecydował się prowadzić firmę w Ameryce, a nie w Niemczech.

- Claus ożenił się z Amerykanką, ciociu. Może sherry?

Marilyn podeszła do niej z tacą pełną kieliszków, które przed chwilą nappełnił Jeremy.

- Ufam, że żona Clausa jest wystarczająco inteligentna, żeby nauczyć się niemieckiego, a potem uczyć dziecko - powiedziała Greta.

- Jest inteligentna - zapewniła ją Charlotte. - Claus powinien wrócić do ojczyzny. Niemcy są teraz spokojnym, dostatnim i stabilnym krajem. Zresztą rodzina Clausa jest znana i cieszy się poważaniem. Jego firma mogłaby znacznie lepiej rozwijać się tu niż tam.

Charlotte pokręciła głową, gdy Marilyn podeszła do niej. Nigdy nie lubiła sherry, a ponadto czuła, że gdyby zmieszała ją z pięciogwiazdkową brandy, którą piła w samochodzie Samuela, nic dobrego by z tego nie wynikło.

- Czy ty w ogóle słuchasz wiadomości, Greto? Koszty ponownego połączenia obu krajów potwornie drenują niemiecką gospodarkę. Jest wysokie bezrobocie i znowu pojawili się entuzjaści faszyzmu. Turcy i inni gastarbeiterzy są prześladowani i atakowani przez neonazistów, a przez rząd zwyczajnie dyskryminowani. Nie mają nawet prawa głosować w kraju, w którym płacą podatki.

- A dlaczego mieliby głosować? Ostatecznie to nie jest ich kraj.

- Nie ich kraj, Greto? - spytała Charlotte. - Dziesiątki tysięcy dzieci tych gastarbeiterów urodziły się w Niemczech. Większość z nich nigdy nie była w Turcji, a część nawet nie zna tamtego języka.

- Charlotte, nie możesz winić niemieckiego rządu za niedostatki, jakie cierpią tureccy imigranci. Wszystkie problemy Niemców zawsze brały się stąd, że byliśmy zbyt hojni dla cudzoziemców. Gdyby rząd nie otworzył drzwi do Vaterlandu przed wszelkiej maści gastarbeiterami i uchodźcami z krajów komunistycznych i islamskich, to zwykli, ciężko pracujący Niemcy, mężczyźni i kobiety, nie musieliby płacić tak wysokich podatków, żeby fundować zasiłki dla rzeszy leniwych przybyszów, którym zwyczajnie nie chce się pracować.

- Być może niemiecki rząd powinien rozwiązać ten problem, konfiskując oszczędności i majątki cudzoziemców, tak jak Hitler zrobił z Żydami - wtrącił Luke.

- Luke! Miej wzgląd na uczucia twojej babci i cioci! - zbeształ go ojciec.

- Proszę cię, Jeremy, nie wtrącaj się do naszej dyskusji. Bardzo jestem ciekawa, co odpowie Greta. - Charlotte popatrzyła na siostrę.

- Jeremy ma rację. O polityce nie powinno się dyskutować na rodzinnym spotkaniu. To powinna być miła, serdeczna wizyta - odparła Greta, upijając mały łyk sherry.

- Jak może być miło, skoro młodemu pokoleniu odmawia się prawa do wyrażenia swojego zdania? - zawołała Charlotte.

- Widzę, Charlotte, że zachęcasz Luke'a do bycia tak samo upartym, jak ty byłaś w dzieciństwie.

- Siedemnaście lat to nie jest dzieciństwo, ciociu Greto - odparł chłopiec. - Ale trudno o tym pamiętać, jeśli się weźmie pod uwagę, jak jestem traktowany w tym domu.

- Wszystko jedno, chłopcze, czy jeszcze jesteś dzieckiem czy już nie. Zdaje się, że odziedziczyłeś po swojej babci mnóstwo wad. Pozwalasz sobie na zbyt wiele nierozważnych słów i zbyt często zdarza ci się robić coś bez zastanowienia. Nie jest to z pożytkiem dla ciebie ani twojej rodziny.

- Zupełnie się z tobą zgadzam, ciociu Greto! - zawołał Jeremy. - Czy słyszałaś o najnowszym szaleństwie? Mama i Laura wybierają się do Polski!

- Do Grunwaldsee? - Greta poczerwieniała z gniewu, wbijając w Charlotte twarde jak stal spojrzenie.

- Chciałabym znowu zobaczyć nasz dom.

- Ale dlaczego, na litość boską?! Czy nie zasmuci cię widok Rosjan, którzy łażą po naszym domu, opierają brudne buciory o meble mamy i piją na umór w gabinecie papy?

- Greto, Rosjanie już dawno temu opuścili granice Polski, a szczerze wątpię, czy choć jeden mebel mamy przetrwał do obecnych czasów. Każdy, z kim rozmawiałam, a kto miał okazję wrócić w nasze rodzinne strony, potwierdzał, że Rosjanie jeszcze przed końcem wojny ogołocili wszystkie dwory z każdego przedmiotu, który nadawał się do zabrania, i że mnóstwo tych rzeczy wyeksponowali w głąb Rosji.

- W takim razie nie zostało tam nic, co warto by oglądać - zdecydowała Greta, sadowiąc się z powrotem w fotelu i poruszając kieliszkiem sherry. - Sama więc widzisz, że absolutnie nie masz powodu, aby tam jechać.

- Nie mogli nigdzie wywieźć krajobrazu, który jest mi tak bliski, a jeśli się okaże, że ze starego domu zostało choć parę cegieł, to będę całkiem zadowolona.

- Zadowolona! - wykrzyknęła z oburzeniem Greta. - Masz twardsze serce niż ja, Charlotte! Po tym wszystkim, co wycierpiała nasza rodzina, po tym, co straciliśmy...

- Od tamtej pory minęło już sporo czasu, Greto - przerwała jej Charlotte, bardziej wyczerpana kwadransem spędzonym w towarzystwie siostry niż jedenastoma godzinami lotu i kolejkami na lotniskach.

- Papa zawsze powtarzał, że masz okropny charakter.

- Tak? Ciekawe, że nigdy mi o tym nie wspomniał. - Charlotte potrafiła wyczuć, kiedy jej siostra kłamie.

- Pamiętam wszystko tak, jakby to było wczoraj - odparła Greta.

- Mam nadzieję, że głównie te szczęśliwe chwile. Właśnie mówiłam Samuelowi Goldbergowi, kiedy jechaliśmy tu samochodem, że skończyłam ilustracje do nowego wydania klasycznych europejskich bajek. Rysując te wszystkie zamki, lasy, jeziora, wilki, odyńce, księżniczki i smoki, wracałam pamięcią do czasów naszego dzieciństwa. Byliśmy bardzo szczęśliwi w Grunwaldsee.

- Owszem, zanim Rosjanie nam je zabrali - odparła Greta z goryczą. - Po prostu nie chce mi się wierzyć, że naprawdę zapragnęłaś tam pojechać.

- Liczę, że będę tam jeszcze przed końcem tego tygodnia.

- Raczej wolałabym umrzeć, niż zobaczyć nasz stary dom w ruinie. Ale ty, Charlotte, nigdy nie byłaś tak wrażliwa jak ja.

Charlotte wreszcie straciła cierpliwość.

- Zdaje się, moja droga siostrze, że teraz jeszcze trudniej się z tobą rozmawia niż pod koniec wojny.

- Luke, chodź, pomożesz mi w kuchni. - Marilyn zabrała tacę z sherry i ruszyła do drzwi.

W odpowiedzi chłopiec przysunął się na fotelu bliżej Charlotte.

- Zdaje się, że matka prosiła cię o pomoc - warknął Jeremy tonem oficera przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

- Wcale nie. Chcicie tylko pozbyć się mnie stąd, żeby babcia i ciocia Greta mogły swobodnie podyskutować o polityce i historii naszej rodziny. No cóż, ja także mam prawo...

- Widzisz, co narobiłaś tym swoim oślim uporem, żeby koniecznie jechać do Polski? Wytrąciłaś z równowagi całą rodzinę. Nawet naszego kochanego Luke'a.

Greta wyjęła z torebki skrawek jedwabnego materiału obszytego koronką i przycisnęła do oczu.

- Myślę, że nasz kochany Luke jakoś sobie z tym poradzi. - Charlotte stłumiła uśmiech, bo wnuk mrugnął do niej szelmowsko. - Zresztą wydaje mi się, Greto, że wcale cię nie prosiłam, żebyś ze mną jechała.

- Co to przyniesie dobrego poza rozdrapywaniem starych ran? Ja strasznie cierpiałam. Boże, jak ja cierpiałam...

- No już dobrze, ciociu Greto.

Jeremy podszedł i czule pogładził jej dłoń. Charlotte momentalnie zastanowiła się, czy jej syn byłby tak skory do pocieszania biednej ciotuni, gdyby Greta miała innych bliższych krewnych i spadkobierców niż jej dwaj siostrzeńcy.

- Zupa jest gotowa - oznajmiła Marilyn nerwowo, odsuwając połowę dwudzielnych drzwi. - Twoja ulubiona, ciociu Greto.

- Krem ze szparagów? - Greta rozpromieniła się na samą myśl.

- Nie, marchewkowa z kolendrą - wyjaśniła Marilyn ze skruchą.

- Aha, ta w kartonie z supermarketu...

Charlotte miała wrażenie, że nawet zwykle nieugięty Jeremy odetchnął z ulgą, kiedy po deserze i opróżnieniu połowy dzbanka kawy Greta i jej mąż wreszcie odjechali.

- Ciocia Greta jest dla nas bardzo dobra - wyjaśniła Marilyn, zbierając na tacę puste filiżanki. - Tak się o nas troszczy, zawsze przywozi nam sadzonki do ogrodu i domowe dzemy, i przetwory z warzyw.

- Fuf!

Luke, który zniknął po podaniu deseru, żeby na górze wypróbować nowe gry przysłane przez Clausa, pojawił się akurat w samą porę, by wyrazić swoją dezaprobatę.

- Ja też robię przetwory z warzyw i owoców - przypomniała mu Charlotte.

Luke skrzywił się komicznie. Przysunął sobie krzesło, które niedawno zajmował John, i usiadł obok babki.

- Wybaczam ci, babciu, ponieważ w przeciwieństwie do cioci Grety nigdy nie zmuszałaś mnie, żebym je jadł.

- Luke! Czy ty coś piłeś? - zawołał Jeremy, bo naraz wydało mu się, że poprzez stół czuje w oddechu syna woń piwa i papierosowego dymu.

- Ja?

Luke starał się wyglądać na uosobienie niewinności, ale zupełnie mu się nie udało.

- Będę musiał przeszukać strych...

- Luke! Bardzo by mi się przydała twoja pomoc przy zbieraniu naczyń - wtrąciła Marilyn.

Charlotte wyczuła, że synowa stara się odsunąć niebezpieczeństwo gwałtownej kłótni pomiędzy mężem a synem.

- Luke, pomóż mamie.

Podnosząc się z fotela, ukradkiem wsunęła wnukowi w dłoń zwitek banknotów.

- Muszę pomówić z twoim ojcem o interesach.

- Możemy przejść do gabinetu, mamo.

Jeremy wydawał się zadowolony, że ma wymówkę, żeby pominąć milczeniem zachowanie syna. Luke zaczynał być coraz bardziej buntowniczo nastawiony do świata i coraz trudniejszy do kierowania. Przez ostatnie dwa miesiące nawet łagodna reprimenda zmieniała się w pełnowymiarową konfrontację. Jeremy nawet nie starał się ukrywać, że z niecierpliwością oczekuje dnia, kiedy syn wreszcie pójdzie na uniwersytet. W najgorszych koszmarach śniło mu się, że Luke otrzymał zbyt słabe oceny, by uzyskać promocję, i musiał spędzić w domu jeszcze rok, ponownie przygotowując się do końcowych egzaminów w szkole.

- Czy potrzebujesz jakiejś rady w sprawach finansowych, mamo? - spytał z nadzieją.

Wprowadził Charlotte do gabinetu, starannie zamknął drzwi, a następnie usiadł za biurkiem, pozostawiając matce niewygodne krzesło z drewnianym oparciem. Natychmiast poczuła się jak petent, który znalazł się przed obliczem dyrektora banku.

- Nie, dziękuję. Na razie wszystko mam pod kontrolą, ale skoro już tu jestem, chciałam z tobą pomówić o decyzjach, jakie podjęłam w kwestii rozporządzenia moim majątkiem.

- Rozumiem, że sporządziłaś testament.

Zawsze mogła być pewna, że Jeremy w dyskusji o finansach odłoży na bok wszelkie sentymenty.

- Naturalnie, a ponieważ wolałabym uniknąć nieporozumień w rodzinie po mojej śmierci, więc jeśli masz jakieś zastrzeżenia do moich postanowień, to chcę, żebyś powiedział mi o nich teraz. Jak wiesz, przede wszystkim zrobiłam zapisy na rzecz swoich wnuków, pomijając ciebie czy Ericha. Obaj jesteście niezłe sytuowani, macie domy, samochody i wszelkie dobra materialne, których moglibyście sobie życzyć.

- Erich ma letni dom nad jeziorem Garda.

- Zawsze uważałam, że ty i Marilyn wybraliście znacznie lepiej. Spędzając wakacje każdego roku w innym kraju, ma się szansę zobaczyć o wiele większy kawałek świata. - W ten sprytny sposób zmieniawszy skargę syna na komplement pod jego adresem, Charlotte mówiła dalej. - Jestem bardzo dumna i z ciebie, i z Ericha, Jeremy. Obaj zrobiliście karierę zawodową, troszczycie się o rodziny, a swoim dzieciom daliście najlepsze wychowanie i wykształcenie, na jakie było was stać.

- Praktycznie bez niczyjej pomocy - zauważył uszczypliwie.

- Ty i Erich mieliście szczęście pod jednym względem - lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte o wiele bardziej sprzyjały młodym ludziom niż obecne czasy. Właśnie dlatego założyłam dla Luke'a fundusz powierniczy. Powinno być

tam wystarczająco dużo pieniędzy, by ułatwić mu studia na uniwersytecie i żeby mógł kupić sobie mieszkanie takie jak Laury.

Jeremy zmarszczył brwi, co natychmiast wzbudziło w niej podejrzenie, że syn przeprowadza w myśli kalkulację, ile pieniędzy odłożonych na studia Luke'a będzie mogło wrócić na jego własne lokaty.

- Jestem pewien, że byłeś bardzo hojna.

- Nie bardziej niż w wypadku pozostałych wnuków. Chyba zostałeś poinformowany, że założyłam fundusz powierniczy także dla młodego Ericha.

- Co takiego? Płacisz za jego edukację?

Głos Jeremy'ego wzniósł się o oktawę.

- Tak samo jak płaciłam za edukację Laury - przypomniawszy mu. - Jak wiesz, Claus zrezygnował z pójścia na uniwersytet, więc pomogłam mu założyć własną firmę.

- Ale Erich studiuje prawo. Adwokaci uczą się o wiele dłużej niż inni.

- Jeremy, wszystkie fundusze są w jednakowej wysokości.

- No tak, moje dzieci są bardzo wdzięczne...

- Nie zrobiłam więcej niż każda inna babka, która znalazłaby się w mojej sytuacji - przerwała mu w pół zdania. - Jeśli zaś chodzi o pozostałe aktywa, rozdysponowałam je zgodnie ze swoimi życzeniami, i niczymi innymi, więc teraz chciałabym uzyskać od ciebie zapewnienie, że nie będziesz kwestionował mojego testamentu. Czy przyjmujesz, że jestem przy zdrowych zmysłach?

- Ależ oczywiście, mamo.

- Zostawiłam Clausowi posiadłość w Connecticut razem z moim domem.

- Zostawiłaś? Tak po prostu jako podarunek? - zachłysnął się z niedowierzania.

- Tak. Mieszka ze mną od sześciu lat. To tak samo jego dom jak mój.

- Ale tam są przecież dwa domy.

- Jeden z nich Claus sam zbudował.

- Z pieniędzy, które dostał od ciebie.

- Laura ma apartament, a Claus dom... Oboje zapłacili za nie pieniędzmi ze swoich funduszy powierniczych. - Chłodno spojrzała Jeremy'emu prosto w oczy. - Zresztą mój dom i Clausa stoją tak blisko siebie, że to byłoby nie fair, gdyby po mojej śmierci wprowadził się tam ktoś całkiem obcy.

- Na przykład ja.

- Jeremy, a co ty byś zrobił z domem w Connecticut? Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to szybka sprzedaż.

- Może jeździłbym tam na wakacje.

- Jestem pewna, że Claus i Carolyn zaproponują ci gościnę podczas wakacji, jeśli tylko ich o to poprosisz. Ale decyzja musi należeć do nich.

- Claus dostał już takie same pieniądze jak pozostali.

- Zapominasz o tym, że przez ostatnie sześć lat musiał znosić moje towarzystwo.

- A twoje meble, twoja biżuteria? Czy to także odziedziczy razem z domem? - spytał kwaśno Jeremy.

- Wartościowe meble zostały osobno wymienione w testamencie. Jeśli chodzi o biżuterię, to z wyjątkiem jednego albo dwóch klejnotów wszystko dostanie Laura.

- Zapominasz, że masz jeszcze dwie synowe.

- One już zdążyły zgromadzić własne kolekcje. Otworzyła torebkę, żeby wyjąć stamtąd małe, skórzane pudełeczko.

- Te drobiazgi dostałam od twojego ojca. Nie chciał ich z powrotem, kiedy od niego odchodziłam. Pomyślałam, że może zechcesz je mieć ze względów sentymentalnych.

Jeremy otworzył pudełeczko. Na podkładce z wyblakłego, jasnoszarego aksamitu spoczywała prosta, wąska bransoletka ze złota, podwójny pierścionek z trzema maleńkimi brylancikami i złote kolczyki.

- Te brylanty bardziej przypominają cyrkonie - zakpił. - Nie miałem pojęcia, że wówczas były takie skromne pierścionki zaręczynowe.

- Twój ojciec przywiózł mi je z jednego ze swoich wyjazdów...

„Szkoda, że nie poszukał bardziej odpowiedniej kobiety, żeby jej to dać”, chciała dodać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Minęło wiele lat, odkąd zakończyła swój związek z Julianem i nie było sensu rozgrzebywać dawnych uraz.

- Ale kolczyki są całkiem ładne. - Jeremy podniósł oprawione w złoto szafiry i przyglądał im się z zainteresowaniem.

- Twój ojciec kupił mi je zaraz po wojnie.

- Kupił?

Nie rozwijała dalej tego tematu. Jak mogła wytłumaczyć sytuację rozdartych wojną, upokorzonych Niemiec komuś, kto nigdy tego nie widział na własne oczy? Jak wyjaśnić gorączkę, która opanowała zwycięskie wojska, wszechobecne kradzieże i rabunki? Oczywiście Julian nie zrobił niczego, co naruszałoby jego bardzo brytyjski kodeks dżentelmena. Znając go, podejrzewała, że po prostu kupił za parę marek te drobiazgi od jakiejś biednej kobiety, znajdującej się w tak rozpaczliwym położeniu, że gotowa była oddać rodzinne pamiątki za coś do jedzenia. A może teraz ktoś mieszkający w głębi Rosji sprzedaje bądź przekazuje w spadku rodzinne klejnoty Datskich? Klejnoty, które skradziono jej podczas szaleńczej ucieczki z Grunwaldsee?

- To bardzo hojnie z twojej strony, mamo.

Wyczuła w jego tonie nutkę ironii i wiedziała, że spodziewał się czegoś więcej.

- Poprosiłam mojego prawnika, żeby wysłał tobie i Erichowi kopie testamentu. Znajduje się tam klauzula, że życzę sobie, abyście obaj podpisali dokument, potwierdzając tym samym, że nie będziecie się starali niczego zmienić.

- Jeśli Claus dziedziczy dom, a dzieci fundusze powiernicze, to kto dostanie większość gotówki?

- Jeremy, fundusze powiernicze pochłonęły lwią część mojego majątku.

- Z pewnością nie wszystko.

- Dziękuję ci za troskę. Na szczęście zostało mi wystarczająco dużo, żebym mogła spokojnie żyć. - Charlotte celowo postarała się udawać, że opatrnie zrozumiała jego intencje. - Jeśli zostaną jakieś pieniądze, to rozdzielę je indywidualnymi zapisami.

- Czy mogę zapytać, komu one przypadną?

- A czy to ma jakieś znaczenie? Już ci powiedziałam, że nie dotyczy to ani ciebie, ani Ericha. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już jechać. To był długi i męczący dzień.

- Rozumiem, że życzysz sobie zadzwonić do Goldberga?

- Tak, proszę.

Podsunał jej aparat. Wybrała numer, porozmawiała krótko z gosposią Samuela, a następnie oddała słuchawkę Jeremy'emu.

- Samochód przyjedzie po mnie za dziesięć minut. - Z pewnym trudem podniosła się z twardego krzesła. - Nie będziesz kwestionował mojego testamentu?

- Najpierw muszę go przeczytać i omówić wszystko z Marilyn.

- Jeśli pójdziesz do sądu, Jeremy, to jedynie wydasz mnóstwo pieniędzy na prawników, ale ty i twoja rodzina nie dostaniecie nawet pensa ponad to, co wam zapisałam - ostrzegła go.

- Wcale nie powiedziałem, że go nie podpiszę. Powiedziałem jedynie, że najpierw chcę to przedyskutować z żoną.

- Jak się czuje twój ojciec? - spytała nieoczekiwanie.

- Jest coraz słabszy, ale ma... - zająknął się, zaczerwienił i umilkł.

- Mój drogi Jeremy, masz święte prawo nazywać Judith matką. Na pewno była nią dla ciebie w o wiele większym stopniu, niż ja mogłam być.

- Ona bardzo dba o ojca.

Charlotte przytrzymała się futryny, żeby nie stracić równowagi.

- Jeremy, nigdy nie chciałam cię zostawić. Czy wiesz o tym?

- Nie byłbym szczęśliwy, gdybym wyjechał z tobą do Niemiec.

Trzymał ją na długość ramienia, tak samo jak wcześniej jego ojciec. Skąd mógł wiedzieć, czy nie byłby szczęśliwszy, mieszkając z nią w Niemczech, niż zostając w Anglii z ojcem? Jednak stosunki łączące ją z niemieckim synem, Erichem, nie były ani trochę lepsze czy bardziej serdeczne. Być może zresztą taki już matczyzny los, że synowie zamieniają się w mężczyzn, a wpływ matek na nich staje się coraz mniejszy i w końcu serdeczna więź zanika bezpowrotnie.

Teraz, gdy spoglądała na swoich dwóch synów, widziała jedynie obcych mężczyzn, których nie lubiła i nie akceptowała, i których istnienie mogłaby z wdziękiem ignorować, gdyby nie rozczulające wspomnienia z wczesnego dzieciństwa obu.

- Czy długo będziesz u Ericha? - zapytał, kiedy znaleźli się na korytarzu.

- Nie. Bardzo mi pilno pojechać do domu. Do Polski.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy przeszedł ją dreszcz na samo wspomnienie o domu Ericha - pomimo luksusowych mebli tak samo zimnym i lodowato uprzejmym jak ten, w którym obecnie przebywała.

- Kiedy zamierzasz wrócić do Ameryki?

- Niedługo - odparła wymijająco.

- Przekaż pozdrowienia od nas Erichowi, Ulrike i małemu Erichowi.

- Przekażę.

- Przykro mi, że w zeszłym roku nie mogliśmy przyjechać do Stanów na ślub Clausa, ale rodzice Marilyn są już starszymi ludźmi, a ojciec...

- Luke i Laura przyjechali. - Popatrzyła na niego. - Wszystko w porządku, Jeremy. Naprawdę w porządku.

Wyciągnęła rękę, a on uścisnął ją przelotnie, nieczuły na ciepło, które chciała mu tym gestem przekazać.

- Możesz wpadnieć do nas podczas drogi powrotnej? - zaproponował, wyjmując z szafy jej okrycie.

- Chyba będę wracać inną trasą.

- Czyli bezpośrednim lotem z Polski do Ameryki?

- Na razie nie mam konkretnych planów. - Usiadła na krześle w holu.

- Gdybyś jednocześnie rezerwowała bilety w obie strony, mogłabyś otrzymać jakąś zniżkę.

- W moim wieku już trochę za późno, żeby zmieniać nawyki.

- Prawdopodobnie tak - przytaknął. - Jednak nie mogę odżalować, że twój artystyczny temperament tak bardzo daje o sobie znać w charakterze Laury.

- Twoja córka wyrosła na piękną wartościową kobietę, Jeremy. Jestem bardzo dumna z niej i ze wszystkiego, co osiągnęła.

- Naprawdę? - spytał ze zdumieniem. Jego zdumienie zupełnie ją zszokowało.

- A ty nie?

- Kiedy zrobiła dyplom, miałem nadzieję, że zajmie się nauczaniem, a nie zabawą w jakieś nonsensowne dziennikarstwo. Programy, nad którymi pracuje, mają zdecydowanie lewicowy wydźwięk - no i nie udało jej się utrzymać przy sobie żadnego chłopaka. Zresztą przy jej charakterze wcale mnie to nie dziwi. Wciąż jej powtarzam, że mężczyźni nie lubią silnych, zdecydowanych kobiet.

- Może to te silne, zdecydowane kobiety, jak byłeś łaskaw ją określić, nie potrzebują mężczyzn?

- Laura przyswoiła sobie wszystkie nauki, które jej wpajałaś. Rozmawia ze mną dokładnie w ten sam sposób.

- Niestety, Jeremy, nie mogę przypisywać sobie zasługi, że to ja nauczyłam ją czegokolwiek. Nawet jako małe dziecko była silną osobowością. Takim w pełni ukształtowanym, małym człowiekiem.

- Tylko jakim człowiekiem? - pytał z rozdrażnieniem. - Laura nie okazuje szacunku dla niczego, co cenimy ja i Marilyn. Dla tradycji, Kościoła, małżeństwa, zwykłej moralności... Słowem, dla naszego brytyjskiego sposobu życia, które...

- Które, dzięki Bogu, staje się coraz bardziej wielokulturowe, podobnie jak w innych krajach - przerwała mu.

Jeremy odziedziczył po swoim ojcu wyraźną skłonność do fanatyzmu, czego - zważywszy na jej własne korzenie - nie potrafiła ani wybaczyć, ani tolerować.

- Chcesz mi powiedzieć, że Anglicy są teraz gośćmi we własnym kraju, tak?

- Wcale nie usiłowałam ci tego powiedzieć, Jeremy. Laura robi filmy, które są oglądane i cenione na całym świecie przez ludzi różnych wyznań i o różnym kolorze skóry.

- Owszem, ale jak wygląda jej życie osobiste? - upierał się.

- Jeśli będzie jej zależało, żeby się ustatkować, to w końcu to zrobi.

- Właśnie tego się obawiam. Laura styka się w pracy z mnóstwem nieodpowiednich ludzi. Ani mnie, ani Marilyn nie chodzi o ich religię czy kolor skóry, ale...

- Więc o co, Jeremy? - wtrąciła gniewnie Charlotte.

- O to, że mieszkała z jednym z nich przez ponad dwa lata, nie racząc nas o tym powiadomić. Z Somalijczykiem. Dopiero od obcych ludzi dowiedzieliśmy się, że są razem.

- A może byli zwykłymi współlokatorami? Biorąc pod uwagę wzrastające koszty utrzymania mieszkań, coraz więcej kobiet i mężczyzn wynajmuje wspólnie domy, choć łączy ich jedynie przyjaźń.

- Akurat w to wierzę! - prychnął.

- Czy kiedykolwiek ją o to zapytałeś?

- Nie. - Spojrzał na nią z bliska. - Czy mam rozumieć, że ty wiedziałaś o jego istnieniu?

- Laura opowiada mi o tak wielu swoich znajomych... Zwykle nie wiem, kogo akurat ma na myśli. Zresztą jeżeli rzeczywiście związała się z kimś w taki sposób, to może świadczy to jedynie o jej rozsądku. W dzisiejszych czasach małżeństwa często kończą się pełnymi traumy rozwodami. Chyba jednak znacznie łatwiej - praktycznie, jeśli nie emocjonalnie - po prostu odejść od kogoś, jeśli sprawy zaczynają się układać nie po naszej myśli.

- Więc aprobujesz bez zastrzeżeń fakt, że twoja wnuczka żyje z mężczyzną bez ślubu? - Jeremy wydawał się święcie oburzony na samą myśl o takiej możliwości.

- Na pewno nie wyrażam dezaprobaty.

- Claus jednak się ożenił.

- Sam podjął taką decyzję, Jeremy. Zresztą zrobił to dopiero wtedy, gdy poznał odpowiednią dziewczynę. Wzięła od syna pelerynę i narzuciła ją na ramiona.

- Jednak musiałaś mieć na niego jakiś wpływ, skoro mieszkacie tak blisko.

- Lubię myśleć, że jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi pomimo relacji rodzinnych i różnicy wieku. Ale czy mam na niego wpływ? - Pokręciła głową. - Absolutnie nie. Podobnie jak Laura, Claus ma własną osobowość.

Marilyn wyszła z kuchni, żeby się do nich przyłączyć. Było jasne, że przez dłuższy czas podsłuchiwała rozmowę.

- Charlotte, może mogłabyś porozmawiać z Laurą - zaproponowała nieśmiało. - Zwróć jej uwagę, że czas ucieka, i że jeśli nie postara się szybko ułożyć sobie życia, to ryzykuje, że na starość zostanie sama.

- Tak jak ja?

Synowa skuliła się zawstydzona jej bezpośredniością.

- Nie martw się, Marilyn. Zamierzam poważnie porozmawiać z Laurą w ciągu nadchodzących tygodni.

Charlotte usłyszała, że przed domem zatrzymał się samochód, więc wstała z krzesła.

- Dziękuję za kolację i za to, że z mojego powodu zadaliście sobie tyle trudu. Ach, byłabym zapomniała!

Sięgnęła do torby i wyjęła stamtąd duże pudełko belgijskich czekoladek oraz butelkę brandy. Wręczyła je Marilyn i Jeremy'emu.

- Ze strefy bezcłowej.

- Dziękujemy, mamó.

Zabrzączał dzwonek, więc Jeremy ruchem ręki nakazał żonie, żeby otworzyła drzwi. Marilyn wyszła; usłyszeli, jak wita się z szoferem Samuela.

Jeremy wziął podróżną torbę matki.

- Uprowadź Laurę, żeby nie poruszała sprawy odwiedzin w twoich rodzinnych stronach, gdyby już po powrocie do Anglii zajrzała z wizytą do cici Greta i wujka Johna. I lepiej, żeby za dużo na ten temat nie mówiła, nawet jeśli sami zapytają. Ciocia Greta jest starszą kobietą, bardzo delikatną pomimo pozornie zdrowego wyglądu i na pewno nie umiała by sobie poradzić z bolesnymi wspomnieniami.

- A ty nie jesteś ciekaw, Jeremy?

- Czego? Kraju, który już nie istnieje, czy wojny, która skończyła się na długo przed moim urodzeniem?

- Myślę o małym kawałeczku jednego i drugiego, bo właśnie one tworzą historię twojej rodziny.

- Ja myślę podobnie jak ciocia Greta. Lepiej, żeby przeszłość pozostała przeszłością.

- Babciu, już odjeżdżasz?

Luke wyglądał na mocno przygnębionego, kiedy wyszedł z kuchni i zobaczył Charlotte gotową do wyjścia.

- Tak. - Przytuliła go na pożegnanie.

- Ale niedługo znów przyjedziesz?

- Raczej nie. - Trzymała go mocno, nie chcąc wypuszczać z objęć.

- A czy Laura i ja możemy przyjechać do ciebie, prawda? Może w te wakacje? - spytał z nadzieją.

- Przyjeżdżajcie, kiedy tylko chcecie. A jeśli mnie nie będzie, to Claus, Carolyn i ich maleństwo przyjmą was z radością.

- A dlaczego ciebie miałyby tam nie być, babciu?

- Z powodu mojej sztuki - wyjaśniła. - Jest tyle nowych miejsc do zobaczenia i namalowania.

Ucałowała go ostatni raz, a potem zadzwonił telefon, więc chłopiec wyszedł, żeby go odebrać.

- Szczęśliwej podróży, mamó - powiedział Jeremy, odprowadzając ją do samochodu. - Pamiętaj, żeby do nas zadzwonić, że bezpiecznie dotarliście na miejsce, i zwróć Laurze uwagę, że jej rodzice byliby zachwyceni, gdyby od czasu do czasu zechciała się odezwać.

- Do widzenia, Marilyn.

Charlotte objęła serdecznie synową i uściśnięła jej dłoń, a następnie wsiadła do samochodu.

Hassan postawił jej torbę na przednim fotelu.

- Pan Samuel kazał powtórzyć, że serdecznie zaprasza na kawę i brandy do jadalni, ale jeśli będzie pani miała ochotę iść od razu do swojego pokoju, to w kuchni na tacy stoi butelka białego wina w kubełeczku z lodem i butelka brandy.

- Powiedz panu Samuelowi, że jest nadzwyczajnym człowiekiem.

- Na pewno powtórzę, madam.

Gdy ruszyli wolno w dół ulicy, Charlotte odwróciła się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Jeremy'ego. Stał w drzwiach swojego domu, a obok niego Luke, z zapalem machający jej na pożegnanie, i Marilyn, która okazywała znacznie mniej entuzjazmu. Charlotte otarła pojedynczą łzę i pocieszyła się myślą, że pod opieką Clausa i Laury Luke z pewnością da sobie radę w życiu.

Jednak ta łza nie była wylana dla wnuka, lecz dla syna. Charlotte miała wszelkie powody podejrzewać, że dziś po raz ostatni widziała Jeremy'ego, i nagle ogarnął ją smutek, że jest tak całkowicie obojętna wobec myśli, że więcej go nie zobaczy. Nie czuła po prostu nic, żadnych emocji - ani bólu, ani radości, ani żalu - tylko wielką ulgę, że nigdy już nie będzie musiała przebywać w jego towarzystwie i prowadzić uprzejmych towarzyskich pogawędek, i że już nigdy nie wejdzie do tego nieprzyjaznego, zimnego domu.

Rozdział czwarty

- Pani Datski, czy ma pani wszystko, co potrzeba?

- Nawet więcej niż potrzeba, pani Green. Nie jestem przyzwyczajona, żeby ktoś aż tak mnie rozpieszczał.

Charlotte położyła pamiętnik na nocnym stoliku, rozwiązała szlafrok, który wcześniej narzuciła na nocną koszulę, powiesiła go w szafie i wsunęła się do łóżka.

- Pan Goldberg bardzo o pani myśli, pani Datski.

- Tak samo jak ja o nim - odrzekła z uśmiechem. Pani Green, urodzona jako panna Melerski,

odziedziczyła posadę gospodyni w domu Samuela po swojej matce, która sprawowała tę funkcję aż do śmierci. Samuel znalazł jej matkę zaraz po zakończeniu wojny, gdy była jeszcze nastolatką i razem z bratem przebywała w obozie dla uchodźców, gdy on szukał tam śladów swojej rodziny. Nie udało mu się odnaleźć własnych dzieci, więc postąpił w typowy dla siebie sposób, to znaczy adoptował cudze, które straciły rodziców.

- Życzę pani dobrej nocy. Czy mam już wyłączyć światło?

- Główne światło tak, bardzo proszę, pani Green - poleciła Charlotte. - Niech pani zostawi tylko tę lampkę przy łóżku. Mam zamiar jeszcze przez chwilę poczytać.



Późne popołudnie, moja sypialnia, Grunwaldsee

Niedziela, 20 sierpnia 1939 (ciąg dalszy)

Claus wsunął mi na palec pierścienkę zaręczynową i poszedł zaraz poszukać mojego ojca, żeby poprosić go o zgodę. Ja zostałam na tarasie i umierałam z niecierpliwości, dopóki nie wrócił, przyprowadzając nie tylko papę, ale także mamę i swoich rodziców. Od razu zauważyłam, jak bardzo papa jest szczęśliwy. Ród von Lettebergów jest nawet starszy od naszej rodziny. Mama wręcz nie posiadała się z radości. Ona i hrabina von Letteberg wciąż się obejmowały i bez przerwy całowały mnie i siebie nawzajem. Okazało się, że Claus poprosił swoich rodziców o błogosławieństwo wcześniej jeszcze tego samego popołudnia, a jego ojciec odrzekł, że oboje nie mogliby być bardziej szczęśliwi z wyboru, którego dokonał ich syn. Potem objęli mnie serdecznie i powiedzieli, że całym sercem witają mnie w rodzinie von Lettebergów. Teraz pozostało jedynie oficjalnie zawiadomić wszystkich zebranych o naszych zaręczynach.

Papa chciał od razu pójść do jadalni i oznajmić o tym wszem i wobec, ale mama stanowczo się domagała, żeby poczekać, aż kolacja dobiegnie końca i na nowo rozpoczną się tańce. Potem poszła poszukać Grety. Podejrzewam, że wolała powiedzieć jej o tym sama, zanim wyręczy ją ktoś inny, ponieważ doskonale wiedziała, iż Greta miała nadzieję, że Claus poprosi o jej rękę. Z kolei Claus i ja postaraliśmy się znaleźć Wilhelma, Paula i Petera. Cała trójka sączyła szampana w towarzystwie Ireny, Niny i Hildegarde. Claus poprosił chłopców, żeby wyszli z nim na taras na papierosa, i chociaż widać było, że niechętnie zostawiają dziewczęta, jednak wszyscy trzej wstali bez sprzeciwu, widocznie coś przeczuwając. Kiedy wyszłam do nich kilka minut później, zobaczyłam, jak z entuzjazmem wymieniają uściski dłoni.

Wilhelm i Paul od razu mi pogratulowali, że wprowadzam do naszej rodziny ich dobrego przyjaciela. Od dawna szanowali i podziwiali Clausa. Ogromnie się ucieszyłam, że ci, których kocham, bez wahania zaaprobowali mojego przyszłego małżonka.

Gdy muzyka znów zaczęła grać, Claus zaprowadził mnie z powrotem do sali balowej. Czulałam na serdecznym palcu ciężar pierścienka, który niedawno od niego dostałam, i byłam absolutnie pewna, że wszyscy go widzą. Ja z pewnością bym zauważyła, gdyby na palcu którejś z moich przyjaciółek nagle pojawił się taki klejnot. Jednak nikt nie powiedział ani słowa. Przez cały czas, gdy tańczyliśmy, czekając, aż muzyka umilknie i papa obwieści wszystkim radosną nowinę, myślałam jedynie o tym, jak cudownie jest kochać kogoś i być przez niego kochaną. Chcieć spędzić całą resztę życia z tym jednym, wybranym człowiekiem. Być komuś całkowicie i bez reszty oddanym, tak jak my z Clausem będziemy oddani sobie.

Byłam tak podekscytowana, że ledwie słyszałam, co mówił papa. Wiem jedynie, że wszystkie moje przyjaciółki były zaskoczone tą nieoczekiwaną decyzją i zazdrościły mi świetnego losu i zaręczyn z tak cudownym, dobrze urodzonym, przystojnym i poważanym mężczyzną. Gdy papa mówił, rozglądałam się za Gretą, ale nigdzie jej nie było widać.

Poczułam się tak niesamowicie szczęśliwa i dumna, gdy Claus, już w charakterze mojego narzeczonego, upomniał się o swój pierwszy publiczny pocałunek, że postanowiłam w przyszłości być dla Grety szczególnie uprzejma. Pomyślałam, że ja zupełnie bym się załamała, gdyby wybrał ją zamiast mnie. Może nawet wołałabym umrzeć.

Ledwie papa skończył mówić, gdy posypały się ze wszystkich stron gratulacje. Każdy chciał mi zadać jakieś pytanie. Czy wciąż mam zamiar studiować w konserwatorium w Königsbergu? (Herr Schumacher). Kiedy odbędzie się nasz ślub? (Irena). Czy mamy zamiar wydać przyjęcie z okazji zaręczyn? (Peter i Nina). Papa wywołał salwę śmiechu, kiedy zaprosił wszystkich, żeby zostali do rana. Powiedział, że o wiele mniej kłopotów będzie z przygotowaniem zaręczynowego śniadania niż z wydaniem kolejnego balu.

Mogliśmy tak zrobić, ponieważ nikt nie wyjechał przed świtem. Podczas gdy służba częstowała zupą gości, którzy zbierali się do odjazdu, papa włączył radio. Orkiestra już pakowała instrumenty, więc pewnie miał nadzieję, że trafi w radiu na jakąś lekką muzykę, która mogłaby nam uprzyjemnić te chwile, ale akurat nadawali wyłącznie wiadomości. Złe wiadomości. Polskie wojska gromadzą się przy naszej granicy. Georg powiedział, że Niemcy nie będą stać bezczynnie i przyglądać się, jak zagraniczni agresorzy kierują broń w serce niemieckich ziem. To mogło oznaczać tylko jedno. Wojnę.

Papa zmartwił wszystkich, mówiąc, że z wojny nie wyniknie nic dobrego. To zabrzmiało mało patriotycznie i lekceważąco w stosunku do Führera. Każdy z obecnych wiedział, że chociaż papa jako jeden z pierwszych wstąpił do Partii Narodowo-Socjalistycznej, to jednak za czasów młodości przez parę miesięcy należał do loży masońskiej. Co prawda ważni członkowie partii oświadczyli, że ta wina została mu darowana i że dla niego robią wyjątek, ale nawet ja widzę, że byłoby lepiej, gdyby papa nie kwestionował tak często polityki Hitlera.

Mama postarała się zatrzeć niekorzystne wrażenie, wspominając, że ojciec stracił podczas ostatniej wojny mnóstwo przyjaciół, i wówczas rozległy się pełne współczucia mruknięcia, zwłaszcza hrabiny von Letteberg. Muszę przyznać, że ogromnie ją polubiłam.

Gdy wszyscy dyskutowali o możliwości wybuchu wojny, Claus zaś zamknął się w gabinecie papieża, żeby zatelefonować do swojego dowódcy, nagle dotarło do mnie, że już nie mogę dłużej stronić od polityki. Nie wtedy, gdy mój przyszły mąż jest oficerem armii. Claus wrócił i zwierzył mi się w tajemnicy, że jego dowódcy przypuszczają, iż armia w niedługim czasie dostanie rozkaz wkroczenia do Polski, żeby położyć kres aktom agresji. Georg podsłuchał jego słowa i powtórzył na głos zdanie Führera, że to nie w porządku, żeby Niemcy musieli toczyć walkę o terytorium i przestrzeń życiową, które są naszym przyrodzonym prawem. Na nieszczęście usłyszał to Manfred i rozpoczął długi, nudny wykład o ziemi, dobrach powszechnych i o tym, że każdemu należy się to, czego potrzebuje, a nie to, czego chce, co skończyło się walką na pięści pomiędzy nim a Georgiem.

Dlaczego ci głupi chłopcy uważają, że zmieniają czyjeś poglądy, bez sensu waląc na oślep pięściami? Dzięki Bogu, że Claus zakończył to nieporozumienie, zanim zaczęli bić się na serio i zanim ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Jestem bardzo zadowolona, że on nigdy nie dyskutuje o polityce. Pewnie uważa, że jako oficer powinien zachowywać swoje opinie dla siebie.

Po odjeździe gości papa, mama, Claus, jego rodzice i ja jedliśmy śniadanie w małej jadalni. Greta poszła do łóżka. Powiedziała, że jest zmęczona, ale ja wiem, że nie mogła znieść widoku mojego szczęścia u boku Clausa. Zrobiło mi się jej naprawdę żal, gdy samotnie szła po schodach na górę.

Wobec pogarszającej się sytuacji pomiędzy Niemcami a Polską Claus poprosił papieża o pozwolenie na natychmiastowy ślub. Zostały mu jeszcze trzy tygodnie z trwającego miesiąc urlopu letniego i chciałby spędzić z tej reszty tyle dni, ile to tylko możliwe, już jako żonaty mężczyzna. Ja oczywiście od razu się zgodziłam, ale papa wyraźnie się ociągał z wyrażeniem zgody. Miał nadzieję, że okres narzeczeństwa potrwa długo, i zasugerował, abyśmy poczekali z małżeństwem przynajmniej jeszcze rok. Przede wszystkim miał na myśli moje dobro, ale wówczas przypomniałam mu, że mama w moim wieku była już mężatką. Po tej uwadze już nie próbował się z nami spierać.

Kocham Clausa tak bardzo, że nie mogę znieść myśli o życiu bez niego. Jeśli będziemy prawdziwie mężem i żoną, nieco łatwiej mi przyjdzie przetrwać tygodnie, może nawet miesiące rozłąki, które niewątpliwie nastąpią, jeśli wybuchnie wojna. Wolalabym, żeby Claus był kimkolwiek, byle nie wojskowym! Nie mogę znieść myśli, że zostanie ranny albo zabity w bitwie.

Claus okazał się tak przekonujący, że w końcu rodzice zgodzili się urządzić nam wesele najprędzej, jak się da. Papa posłał po pastora. Przybył niemal natychmiast, spodziewając się jakiejś tragedii. Jakże śmialiśmy się z jego zasko-

czonyj miny, kiedy zrozumiał, że wezwano go, by porozmawiać o ceremonii ślubnej, nie zaś do zorganizowania pogrzebu, jak się spodziewał. Tak więc w następną sobotę rano w kościele w Grunwaldsee zostaną żoną Clausa.

Gdy tylko data ślubu została ustalona, mama i hrabina von Letteberg wpadły w panikę na myśl o sukniach, gościach i niezbędnych przygotowaniach, ale Claus oświadczył, że chciałby, żeby uroczystość była skromna i w jak najmniejszym gronie - jedynie rodzina i kilkoro bliskich przyjaciół. Zupełnie się z nim zgadzałam. To nasza wspólna przyszłość jest najważniejsza, nie zaś suknie, kwiaty i zimne mięsowa dla gości. Jednak szczerze wątpię, czy uda się nam urządzić wszystko tak, jak chcemy. Hrabina von Letteberg wspólnie z mamą uzgodniły już listę ponad dwustu osób, które koniecznie należy zaprosić, jak obie mówią.

Po tym wszystkim mama chciała, żebym poszła odpocząć, ale powiedziałam, że wcale nie jestem zmęczona. Claus zaprosił mnie na przejażdżkę konną. Wiem, że mama uważała za niestosowne, żebym przebywała z nim sam na sam, chociaż mamy się pobrać za mniej niż tydzień, ale na szczęście papa uznał, że Claus jest oficerem i dżentelmenem. Wyraził zgodę i kiedy Brunon siodłał konie, ja poszłam się przebrać w strój do jazdy konnej.

Jechaliśmy wzdłuż brzegu jeziora. Było tyle spraw, które Claus pragnął ze mną omówić. Na przykład, gdzie spędzimy nasz miesiąc miodowy. Zaproponował, żebyśmy zamieszkali w Grand Hotelu w Sopocie, zupełnie jakby wiedział, że lubię go najbardziej ze wszystkich hoteli na świecie. Uwielbiam widok, który rozciąga się z sali jadalnej na plażę. Powiedziałam mu, że jeśli mogłabym wskazać absolutnie doskonale miejsce na spędzenie miodowego miesiąca, to byłby to Grand Hotel i Sopot z tłumami eleganckich gości, którzy spacerują wśród pięknie utrzymanych ogrodów.

Claus obiecał, że zatelefonuje tam i postara się zamówić dla nas apartament z widokiem na morze, choć pewnie w szczycie letniego sezonu będzie to dość trudne. Potem, jeśli wystarczy czasu, wrócimy do jego rodzinnego domu, Bergensee; do domu, który - jak powiedział - za tydzień o tej porze będzie już także moim.

Nie chciałam rozmawiać o tym, co będę robić później, kiedy Claus wyjedzie już do swojego pułku, ale domagał się, żebym poczyniła jakieś plany. Oboje doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu, żebym kontynuowała studia w konserwatorium w Königsbergu. Równie dobrze mogę ćwiczyć na fortepianie w domu, a ponadto Claus uważa, że jeśli wojna wybuchnie, wszystkie uczelnie będą zamknięte, ponieważ większość młodych ludzi zostanie powołana do wojska. Wilhelm i Paul jako rezerwiści z pewnością znajdują się wśród pierwszych, których to spotka. Powiedzieli nam o tym zaraz po wysłuchaniu wiadomości.

W końcu zdecydowaliśmy, że po zakończeniu miodowego miesiąca wrócę do Grunwaldsee. Jeśli wojna rzeczywiście wybuchnie, część naszych pracowników będzie musiała pójść do wojska, więc papie przyda się moja pomoc w doglądaniu koni i zarządzaniu majątkiem. Będę mocno zapracowana, ale na pewno nie szczęśliwa, jak powiedziałam Clausowi. Nie mogę być szczęśliwa, kiedy on będzie daleko.

Miałam nadzieję, że Claus znowu mnie pocałuje, ale tylko trzymał mnie za rękę i przesuwając kciukiem po moim zaręczynowym pierścionku. Kiedy ośmieliłam się musnąć wargami jego policzek, uśmiechnął się tylko i powiedział, że na takie sprawy będzie mnóstwo czasu po ślubie. Do tej pory czuje się związany słowem honoru, że uszanuje życzenia papie i będzie miał wzgląd na moją reputację. Kocham go za to jeszcze bardziej.

Zaczął mówić o dzieciach i o tym, że ma nadzieję mieć liczną rodzinę, ale wtedy przeszkodził nam Brunon. Pomimo niedzieli mama wysłała samochód po naszą krawcową. Właśnie przed chwilą skończyłam przymierzać suknię ślubną mamy i okazało się, że trzeba ją trochę skrócić. Greta wpadła w furję, ponieważ jest ode mnie wyższa, a to oznacza, że już nie włoży tej sukni, gdy będzie wychodzić za mąż. Na szczęście mama powiedziała, że przed ślubem Greta zostanie mnóstwo czasu na planowanie uroczystości, więc będzie można uszyć dla niej całkiem nową suknię.

Teraz czuję się zmęczona. Jest późne popołudnie. Za dwie godziny przyjedzie Claus i zabierze mnie do kościoła, gdzie pastor rozmawia z nami o ślubie i o tym, czym jest małżeństwo. Przedtem spróbuję trochę się przespać, ale po-

mimo zmęczenia nie potrafię myśleć o nikim innym, tylko o moim ukochanym Clausie i o tym, jak wspaniale będzie zostać jego żoną.

Jestem podekscytowana, szczęśliwa i troszkę - bardzo troszkę - przestraszona. Mama przyszła do mojego pokoju, żeby ze mną pomówić. Powiedziała, że obowiązkiem żony jest spełniać wszelkie życzenia męża, i że oznacza to posłuszeństwo zarówno w sypialni, jak w salonie. Doskonale wiem, co miała na myśli, ponieważ Nina ciągle opowiada nam o seksie. Hildegardę mówi, że żadna porządna dziewczyna nie lubi tych okropnych rzeczy, które chcą robić mężczyźni, bo one sprawiają przyjemność tylko okropnym dziewczuchom, które chodzą z mężczyznami dla pieniędzy. Kiedy myślę o Clausie, wiem jedynie tyle, że chciałabym go uszczęśliwić w każdy możliwy dla mnie sposób. Mam nadzieję - modłę się o to - żeby nigdy w niczym go nie rozczarować ani nie unieszczęśliwić, a jeśli zdarzy się wojna, to proszę, niech dobry Bóg ma go w swej opiece.



Samuel poczekał, aż Charlotte odprawi swój bagaż na stanowisku Lufthansy, a potem objął ją na pożegnanie.

- Cieszysz się, że opuszczasz Londyn?

- Tak - przytaknęła. - Ale wcale się nie cieszę, że opuszczam ciebie, Samuelu.

- Mam nadzieję, że znajdziesz w Polsce to, czego szukasz.

- Dziękuję.

Ucałowała go w usta - po raz pierwszy, odkąd się znali.

Podniósł rękę i przesunął palcami po wargach.

- Gdybyś to zrobiła sześćdziesiąt lat temu, nasze życie mogłoby wyglądać całkiem inaczej.

- Los chciał, żebyśmy pozostali dobrymi przyjaciółmi, Samuelu.

- Weź to. - Wcisnął jej do ręki białą kopertę.

- Co to jest? - odwróciła ją, żeby obejrzeć z obydwu stron.

- Moje ściśle tajne telefony, łącznie z komórką.

- Mam je przecież.

- Wiem, ale pomyślałem, że może powinnaś trzymać je w paszporcie razem z instrukcją, żeby powiadomiono mnie w razie nagłej potrzeby. Twoi synowie są dość zajęci, a Claus ma żonę i wkrótce urodzi się dziecko, więc będzie miał się o kogo troszczyć. Ty i Laura możecie potrzebować pomocy. - Wzruszył ramionami. - Znam tu i ówdzie paru ludzi.

- Nie wątpię, że masz liczne grono znajomych, nawet w Polsce - odparła.

- Tam też. Mogę ułatwić niektóre sprawy, a pewne rzeczy wręcz załatwić.

- Samuelu... - Objęła go ponownie. - Co ja bym zrobiła, gdybyśmy się nie spotkali?

- Ja wiem, co bym zrobił. - Wziął z wózka podręczną torbę i podał ją Charlotte. - Jeszcze się spotkamy, Charlotte, na tym świecie albo na tamym. Ach, ale gdybyś przypadkiem wybrała się tam przede mną, to koniecznie poszukaj mojej żony. Ma na imię Taube. Powinni być z nią chłopcy, Szlomo i Simsza, a także malutka dziewczynka, która nazywa się Lola. Nie mam pojęcia, czy chłopcy podrośli, ale Lola już wtedy była prawdziwą pięknnością. Skończyła dopiero rok, ale miała takie czarne, błyszczące oczy i mnóstwo włosów.

Zamilkł. Charlotte dobrze знаła ten typ milczenia. Sama pozwalała sobie milczeć w ten sposób, kiedy wspomnienia stawały się zbyt bolesne.

Wreszcie Samuel spojrział na nią i odwzajemnił jej uśmiech.

- Powiedz Taube, że wciąż jestem w drodze, i uprzedź tego, kto odpowiada tam za catering, że lubię mocną brandy i słabą kawę z odrobiną bitej śmietany.

- Mutti, jak miło widzieć cię w tak dobrym zdrowiu! - Erich zasiadł u szczytu stołu i wznosił toast, zwracając się do matki: - Za twoje nieustające zdrowie - dodał.

- Dziękuję ci, Erichu. - Charlotte lekko trąciła swoim kieliszkiem jego kieliszek. - I dziękuję tobie, Ulrike. Stół jest pięknie nakryty i jestem pewna, że kolacja także będzie doskonała.

- Nasza nowa kucharka z Indonezji gotuje po mistrzowsku. - Ulrike nerwowym ruchem przyglądała nienaganną fryzurę, a potem zajęła się poprawianiem własnego nakrycia, żeby ukryć zdenerwowanie. - Jak się miewał Claus, kiedy wyjeżdżałaś ze Stanów?

- Jest bardzo szczęśliwy z Carolyn i nie może się doczekać narodzin dziecka. Mieli zamiar dać mi list do was, ale wyjechałam tak nagle, że nie zdążyli go napisać - skłamała dyplomatycznie.

- Cięża i poród to wielki wysiłek dla kobiety. Mam nadzieję, że Carolyn dba o siebie. Ja nigdy nie wróciłam do dawnej formy po urodzeniu Clausa i małego Ericha...

- Carolyn jest zdrową, młodą kobietą - przerwał jej Erich z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Nie opowiadaj bzdur, tylko podaj sałatę.

Charlotte dostrzegła, że dolna warga Ulrike zaczyna drżeć, i chociaż nigdy nie starczało jej cierpliwości, by znieść hipochondrię synowej, tym razem obdarzyła ją pełnym współczucia uśmiechem. Ostry ton Ericha przywiódł jej na myśl niechciane wspomnienia o życiu z jego ojcem.

- Claus znakomicie opiekuje się Carolyn - powiedziała prędko i przelotnie uściśnęła dłoń Ulrike, a potem zaczęła rozkładać serwetkę.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że ten nicpoń rzeczywiście umie się kimkolwiek opiekować. Kiedy miał sześć lat, kupiłem mu chomika, ale zagłodził go na śmierć - warknął Erich. - Codziennie przychodziłem do niego do pokoju, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zwierzak nigdy nie miał jedzenia, a ten głupek rzadko kiedy zmieniał mu podściółkę z waty albo wodę do picia;

- Erichu, Claus pracuje dzień i noc - zaprotestowała Charlotte. - Jego firma rozwija się w błyskawicznym tempie.

- Gdyby pracował, jak należy, kiedy było trzeba, to znaczy w szkole, to teraz nie musiałby tyrać jak ostatni robot.

- Claus jest rzemieślnikiem, Erich, a nie robotem. Myślę, że odziedziczył zamiłowanie do dłubania w drewnie po moim ojcu.

- Może kawałek dziczyzny, mamó? - Synowa uśmiechnęła się blado, podając jej półmisek.

- Dziękuję, Ulrike. - Charlotte wybrała najmniejszy kawałek i spojrzała poprzez stół na młodszego wnuka, który dostał imię po swoim ojcu i generalnie był znany w rodzinie jako „mały Erich”. O trzy lata młodszy od Clausa, on także odziedziczył po dziadku i ojcu urodę smukłego, przystojnego blondyna, lecz zdarzało mu się wyginać z dezaprobatą usta, co było całkowicie jego własnym odruchem. - Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy na jesieni pójdziesz na uniwersytet, prawda, skarbie?

- Tak, chociaż przytłacza mnie świadomość, że to na mnie spoczywa obowiązek utrzymania w przyszłości dobrego imienia naszej rodziny.

- Erichu, nie każdy nadaje się do tego, by studiować na uniwersytecie - zauważyła Charlotte, biorąc z podanego przez Ulrike talerza ziemniaki.

- Oczywiście, że nie, babciu. Studia są tylko dla tych, którzy ciężko pracują - odparł z nadętą miną.

- Może trochę sosu, mamó? - Synowa wyciągnęła w jej kierunku sosjerkę.

- Na litość boską, Ulrike! - burknął jej mąż. - Przy stole nie trzeba bez przerwy nikogo zachęcać do jedzenia. Każdy sam się obsłuży, jeśli będzie miał ochotę.

- Jak idą interesy, Erichu? - spytała Charlotte, celowo zmieniając temat rozmowy, żeby rozładować narastające napięcie.

- Jakoś da się przeżyć, chociaż nie jest to łatwe w obecnej sytuacji, kiedy warunki dla biznesu są wyjątkowo nieprzyjające. Spadki notowań dotkliwie wpłynęły na niemiecką gospodarkę.

- Zawsze sądziłam, że twoja firma specjalizuje się w prawie korporacyjnym.

- Owszem. Ale notowania międzynarodowych kompanii, podobnie jak narodowych, nieustannie lecą w dół.

- Mutti, ten kostium jest po prostu przepiękny. Czy wolno mi zapytać, gdzie go kupiłaś?

Charlotte świetnie wiedziała, że zwrócenie się do niej z bezpośrednim pytaniem w obecności Ericha musiało kosztować Ulrike wiele nerwów. Szybko przeczesła pokłady pamięci, próbując przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat mody i projektantów, chociaż właściwie przestała interesować się tymi dziwactwami już w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, odkąd wyjechała z Anglii, zostawiając tam Jeremy'ego. Pozornie chodziło o oszczędzanie pieniędzy, lecz tak naprawdę powodem była chęć wypracowania własnego stylu. Jednak teraz Charlotte postanowiła dać się wciągnąć w konwersację, którą synowa tak rozpaczliwie starała się nawiązać, rzucając trwożliwe spojrzenia na męża, żeby sprawdzić jego reakcję na każdą opinię, którą ośmieliła się wyrazić na głos.

Od chwili wyjścia za mąż Ulrike przeszła trzy poważne załamania nerwowe - jej chorobę Charlotte przypisywała głównie temu, że Erich wykazywał brak jakiegokolwiek wrażliwości i zrozumienia dla delikatnej psychiki żony. Sądząc z jej roztrzęsienia, Ulrike właśnie znajdowała się na progu czwartego nawrotu choroby.

- Mutti?

- Przepraszam, Erichu, czy coś do mnie mówiłeś? Charlotte poczekała, aż Ulrike skończy, i dopiero wtedy odwróciła się do syna.

- Zapytałem, co skłoniło cię do podjęcia decyzji o wyjeździe do Polski akurat teraz.

- Nic konkretnego, poza tym, że zdałam sobie sprawę, że się starzeję i że chciałabym jeszcze raz odwiedzić rodzinne strony.

- Wszyscy, z którymi rozmawiałem na ten temat, mówili, że tamten kraj zmienił się nie do poznania.

- Tak słyszałam, ale chcę przekonać się osobiście, jak daleko sięgają te zmiany. Czy pamiętasz cokolwiek z Grunwaldsee albo z naszej okolicy?

- Bardzo niewiele, ale przecież miałem tylko cztery lata, kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy, a biorąc pod uwagę, co się ze mną działo później, to chyba dobrze, że moje wspomnienia z dzieciństwa są tak fragmentaryczne.

- Dziękuję. - Charlotte wręczyła swój talerz dziewczynie z Filipin, która przyszła posprzątać ze stołu.

- Może na deser i kawę przejdziemy do oranżerii? - zaproponowała synowa, znów spoglądając z obawą na swojego męża.

- Na pewno będzie nam tam miło, Ulrike - przytaknęła Charlotte. - Ale najpierw, jeśli pozwolisz, chciałabym na osobności zamienić parę słów z Erichem. Muszę z nim porozmawiać o interesach.

- Jeremy dzwonił do mnie wczoraj wieczorem - poinformował ją, gdy tylko weszli do biblioteki, mniej więcej sześć razy większej od gabinetu Jeremy'ego i umeblowanej z jeszcze większą prostotą, choć również większym nakładem kosztów. Ręcznie robione biurko i przeszklone półki na książki wykonane zostały z solidnego, barwionego na ciemno dębu, a wyściełane krzesła były pokryte miękką skórą w kolorze burgunda.

- Nie wiedziałam, że utrzymujecie ze sobą kontakty.

- Generalnie nie, z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia i kartek urodzinowych, które przesyłają sobie nasze żony. Jeremy chciał mnie uprzedzić, że masz zamiar wyłączyć nas ze swojego testamentu.

- Rozumiem.

Charlotte usiadła na jednym z krzeseł, stwierdzając z ulgą, że są o wiele wygodniejsze niż te w domu Jeremy'ego i wszystkie dokładnie takie same, więc gość w niczym nie czuje się gorszy od gospodarza.

- Czy to znaczy, że Jeremy był w błędzie?

Erich sięgnął po butelkę brandy stojącą na małym stoliku i nalał dwie porcje, nie pytając nawet, czy matka ma ochotę się napić. Bez słowa wręczył Charlotte szklaneczkę, spoglądając jej przy tym głęboko w oczy.

- Założyłam fundusze powiernicze dla wszystkich wnuków. Mały Erich dostanie tyle samo pieniędzy co Claus, Laura i Luke.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony. Bądź pewna, że doceniam ten gest.

Usiadł na krześle naprzeciwko.

- Dziękuję.

- Jeremy powiedział mi także, że zostawiasz dom i posiadłość w Ameryce Clausowi.

- Jego dom znajduje się o rzut kamieniem od mojego, a ponieważ nigdy nie rozdzieliliśmy działek, więc takie rozwiązanie wydaje mi się sprawiedliwe.

- Jeremy sądzi inaczej.

- A ty?

Charlotte odwzajemniła jego uporczywe spojrzenie.

- Ja jestem zdania, że masz prawo zrobić ze swoją własnością, co ci się żywnie podoba.

- Dokładnie to samo powiedziałby twój ojciec.

Charlotte nie spodziewała się, że Erich powie cokolwiek innego. Był mistrzem w ukrywaniu emocji i mówieniu oraz robieniu tego, co w danej chwili należało powiedzieć i zrobić. To były bardzo cenne przymioty, ale czasami zdarzało się, że Charlotte pragnęła, żeby obaj - ojciec i syn - byli nieco bardziej spontaniczni, ludzcy i skłonni do tolerowania słabości innych.

- Jeremy mówił też, że chcesz, żebyśmy obaj podpisali klauzulę stwierdzającą, że po twojej śmierci nie będziemy podważać testamentu.

- Zgadza się.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie ma problemu. - Dopił resztę brandy. - Jeżeli to wszystko, o czym chciałaś porozmawiać, to możemy już wrócić do Ulrike.

- Erichu, zanim tam wrócimy... - Spojrzała na niego z powagą. - Chcę, żebyś wiedział, że zawsze bardzo cię kochałam.

- Mutti... - przerwał jej niecierpliwie, tak jak zawsze zawstydzony okazywaniem uczuć.

- Twoje życie ułożyło się niezupełnie tak, jakbyśmy sobie tego życzyli z twoim ojcem.

- No cóż, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - mruknął, przechodząc z niemieckiego na płynną, doskonałą angielszczyznę.

- Ale chcę, żebyś wiedział, że jestem z ciebie bardzo dumna.

- Dziękuję - odparł cierpko, podnosząc się z krzesła.

- Erichu, jeszcze jedno... Postaraj się okazać Ulrike więcej serdeczności.

- Kobieta z takimi problemami psychicznymi potrzebuje twardej ręki.

- Twoja żona potrzebuje wsparcia i pomocy, Erichu.

- Ma najlepszą pomoc medyczną, jaką tylko można znaleźć.

Charlotte wiedziała, że została pobita. Równie dobrze mogliby dyskutować w różnych językach. Oparła się na ramieniu, które jej podał.

- Wiem, że mały Erich chciałby ci podziękować za fundusz powierniczy. Czy mogę mu o tym powiedzieć?

- Tak, Erichu, możesz. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, to po kawie chciałabym się położyć. Jutro czeka mnie długa podróż. Najpierw do Berlina, gdzie umówiłam się z Laurą, a potem do Warszawy i Allenstein. To znaczy do Olsztyna.

- Ja muszę wyjechać z domu o piątej trzydzieści. Mam biznesowe spotkanie w Brukseli - wyjaśnił krótko. - Ale Ulrike będzie tutaj, żeby dopilnować śniadania, a mały Erich odwiezie cię na lotnisko.

- Mogę wziąć taksówkę.

- Nie ma potrzeby. Chodź, Mutti, poszukamy Ericha i wypijemy kawę, zanim przyjdzie nam się pożegnać.

Potem był deser, kawa, kilka nic nieznaczących pocałunków od Ulrike, zimne, zdecydowane uściski dłoni od syna i wnuka... Domy, w których mieszkali jej synowie, były całkiem różne, tak jak różne były języki, którymi się posługiwali, ale w obu tych miejscach panowała taka sama lodowata, sterylna atmosfera, dławiąca wszelkie przejawy cieplejszych uczuć.

Poczucie winy ciążyło Charlotte jak ciepła kołdra, którą się przykryła, gdy pół godziny później zamknęła za sobą drzwi najwspanialszej gościnnej sypialni, jaką mieli Erich i Ulrike. Na szczęście potem przypomnieli jej się Claus, Carolyn, Luke i Laura. Łączyły ją z nimi bliskie, serdeczne stosunki. Gdzieś, kiedyś musiała chyba zrobić coś dobrego, skoro zasłużyła sobie na grono tak kochanych, ciepłych wnuków.

Po dzisiejszym dniu będę musiała znaleźć jakieś sekretne i pewne miejsce, w którym ukryję ten pamiętnik, żeby nikt go nie znalazł, a zwłaszcza Claus. Jednak na razie muszę komuś - nawet samej sobie - zwierzyć się z tego, co się wydarzyło, więc spróbuję wszystko opisać. Może po przeczytaniu nie wyda się to aż takie straszne.



Grand Hotel, Sopot

Niedziela, 27 sierpnia 1939

Wczoraj wyszłam za mąż. Teraz wydaje mi się, że ceremonia odbyła się wiele lat temu i dotyczyła całkiem innej osoby. Pomimo pośpiechu w przygotowaniach to był ślub moich marzeń. Ale teraz... Co pocznę przez resztę mojego życia? W jaki sposób zdołam to znieść?

Za kilka tygodni Claus wyjedzie do swojego oddziału, a ja będę mogła wrócić do Grunwaldsee, do rodziców, i jeśli szczęście mi dopisze, to przez jakiś czas nie będę musiała zbyt często oglądać mojego męża. Jednak nigdy, przenigdy nie odważę się powiedzieć komukolwiek, co teraz czuję - z wyjątkiem tego pamiętnika.

Ale na razie postaram się dokładnie opisać, co się wydarzyło, zanim moje życie zmieniło się na zawsze.

Byłam tak szczęśliwa, gdy Wilhelm i Paul odwieźli nas na stację po skończonym weselu. Wszyscy chcieli nas odprowadzić - moi rodzice, mama i papa von Letteberg, Irena, wszystkie przyjaciółki i zaprzyjaźnieni z Clausem oficerowie. Naczelnik stacji żartował, że zabraknie mu biletów peronowych. Rzuciłam wysoko swój bukiet, a Irena skoczyła jak lwica, żeby go złapać. Wyciągnęła go w kierunku Wilhelma, śmiejąc się przy tym na cały głos, i to była ostatnia rzecz, jaką z Clausem widzieliśmy. Claus zarezerwował dla nas cały wagon, żebyśmy mogli być sami. Steward podał

kolację w osobnym przedziale: kanapki z kawiozem, wędzonego łososia, steki z dzika z ziemniakami i szparagami, francuską sałatę, a na deser świeże truskawki z bitą śmietaną. Claus już wcześniej ustalił, że potrawy przygotuje francuski kucharz pracujący u jego ojca w Bergensee, i że zostaną one dostarczone do kuchni w pociągu razem z dwiema butelkami szampana i kostkami lodu do wiaderka.

Jedliśmy i piliśmy, wznosząc toasty za naszą przyszłość, a kiedy pociąg przybył do Sopotu, myślałam, że umrę ze szczęścia - być może dlatego, że peron kołysał się pod moimi stopami. Z hotelu wysłano po nas limuzynę i przy zameldowaniu po raz pierwszy podpisałam się moim nowym nazwiskiem: Frau Claus von Letteberg.

Uwielbiam wszystko, co dotyczy Grand Hotelu: hol recepcyjny z lampami Tiffany'ego z kolorowych szkiełek, które tak cudnie odbijają się w olbrzymich lustrach, podwójną spiralę schodów oplecioną poręczą z kutego żelaza, która spływa z wyższego piętra, ścienne malowidła w sali jadalnej, przeszklone drzwi otwierające się na ogrody połączone z plażą...

Claus zamówił dla nas apartament na trzecim piętrze, składający się z sypialni, saloniku, łazienki i balkonu z widokiem na morze. W salonie czekało na nas jeszcze więcej szampana, a oprócz tego koszyk z owocami i mnóstwo kwiatów, które stały w wazonach w każdym miejscu.

Mama upierała się, że pomimo braku czasu powinnam otrzymać odpowiednią dla panny młodej wyprawę, co oznaczało, że trzeba było kupić mnóstwo ubrań i gotowej bielizny. Na szczęście nasza krawcowa zdążyła uszyć mi piękną koszulę nocną z białego jedwabiu oraz peniuar ozdobiony koronkami z Bruggii, które dostałam w spadku po babci. Podczas gdy pokojówka rozpakowywała nasze bagaże, a Claus otwierał szampana, weszłam do łazienki, spryskałam perfumami wodę w wannie, a po kąpieli także siebie, rozpuściłam włosy, wyszczotkowałam je porządnie, a potem przebrałam się w nocny strój panny młodej, starając się podkreślić swoją urodę najpiękniej, jak tylko można. Po co?!

Charlotte zapatrzyła się w zaschniętą łzę, która rozmasała ostatnie słowo. Przeszłość wróciła do niej w tak jaskrawych kolorach, że niemal czuła zapach perfum, które przestano produkować ponad czterdzieści lat temu. Znowu była tą naiwną i pełną obaw osiemnastoletnią dziewczyną, która krytycznym wzrokiem przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze łazienki apartamentu dla nowożeńców w Grand Hotelu w Sopocie, pełna obaw, że jej narzeczony uzna ją za brzydką, odrażającą czy pozbawioną wdzięku.

Serce waliło mi jak młot, ponieważ z jednej strony czekałam z niecierpliwością na to, co miało nastąpić, a z drugiej strasznie się bałam. Kochałam (celowo używam czasu przeszłego, opisując moje uczucia) Clausa tak obłądnie, że za nic nie chciałam go w czymkolwiek rozczarować. Zwlekałam z wyjściem z łazienki tak długo, jak się dało - szczotkowałam włosy, aż przykleiły się do naelektryzowanej szczotki, masowałam twarz... I po raz pierwszy w życiu, idąc do łóżka, nie zaplotłam warkocza. Wiedziałam, że rano będę mieć straszny kołtun, ale za wszelką cenę chciałam, żeby Claus ujrzał we mnie kobietę, a nie uczennicę, którą przestałam być zaledwie przed paroma tygodniami.

Wszystko, co wybierałam na miesiąc miodowy, miało dodawać mi lat. Kupiłam francuskie perfumy, „najbardziej wyrafinowane ze wszystkich, które mamy w sprzedaży”, jak zapewniała mnie dziewczyna w perfumerii. Były okropnie drogie, tak samo jak perfumowany krem, który właśnie wklepywałam sobie w policzki, żeby nieco poprawić koloryt mojej skóry i trochę ją wybielić. Nocna koszula i peniuar leżały jak ulał, choć byłam nieco zszokowana, kiedy się przekonałam, ile ciała widać spod delikatnej koronki.

W końcu Claus zawołał mnie i zapytał, czy wszystko w porządku. Odpowiedziałam, że czuję się świetnie, i - żeby nie zwlekać już ani chwili dłużej - przekreśliłam klucz i wyszłam na zewnątrz.

Drzwi balkonowe były otwarte, Claus stał na tarasie. Powiedział, że wyglądam po prostu prześlicznie, a potem zaproponował mi szampana. Przyniósł na taras całą butelkę i oba kieliszki. Wyszłam do niego, wzięłam kieliszek, który

dla mnie napelnił, i wtedy spostrzegłam, że drzwi do sypialni są otwarte i że pokojówka przed wyjściem posłała nam łóżko.

Claus wznosił toast: „Za nasze długie i szczęśliwe życie i za nasze liczne, oby jak najliczniejsze dzieci”.

Lekko trącił swoim kieliszkiem mój, otoczył ramieniem moją talię i przyciągnął mnie bliżej. Ciepło jego ciała i ciężar ramienia sprawiły, że nagle zdałam sobie sprawę, jaki jest silny - i jak ja jestem słaba w porównaniu z nim. Wtedy ogarnął mnie lęk, ale spróbowałam skoncentrować się na pięknym widoku, na poezji, którą lubiłam - słowem, na czymkolwiek, byle nie na nim i nie na tym, co za chwilę miało nastąpić.

Nocne powietrze, przesycone zapachem soli, muskało lekko moją twarz i nagie ramiona. Pod moimi stopami rozciągała się piaszczysta plaża, w świetle księżyca nabierająca koloru indygo, zmieszanego z błękitem. Z prawej strony błyszczał podwójny rząd lamp oświetlających molo, które na tle ciemnego morza mieniły się jak srebrzyste diamenty, wymieszane z odbijającymi się na powierzchni wody gwiazdami.

Ten obraz wydał mi się tak precudowny, że koniecznie chciałam powiedzieć coś wzniosłego i poetyckiego, ale zamiast tego wypaliłam: „To światło księżyca wygląda jak droga ze srebra”. Moja uwaga zabrzmiała głupio i dziecinnie.

Jednak Claus nie wydawał się zdegustowany. Odrzekł, że to nasza droga ku przyszłości, a potem odstawił kieliszek na parapet i zajął mi głęboko w oczy. Ogarnęło mnie zawstydenie, więc odwróciłam wzrok. Łatwiej mi było patrzeć na molo niż na niego, ale nasze milczenie stało się tak nieznośne i krępujące, że czym prędzej przerwałam je, prosząc, żeby mnie tam zabrał.

Spytał, czy miałam na myśli molo, czy naszą przyszłość. Kiedy odparłam, że i jedno, i drugie, powiedział: „W takim razie zaczniemy od molo, bo jest najdłuższe na całym Bałtyku”. Później zauważył, że najwyższa pora iść do łóżka. Słyszając to, zadrżałam, ale nie z zimna.

Wszedł do środka i powiesił w szafie mundur. Ja jeszcze zostałam na tarasie, żeby popatrzeć na molo i na śpiące pod nim łabędzie. Skulone, ze schowanymi pod skrzydła łebkami podskakiwały na wodzie zgodnie z ruchem fal. Zapragnęłam podejść do nich bliżej. Biec w blasku księżyca po piachu i śmiać się głośno, tak jak wiele razy robiliśmy z Wilhelmem i Paulem, kiedy udało nam się nocą wykraść z pensjonatu, w którym mieszkaliśmy z rodzicami podczas wakacji.

Claus wrócił do mnie i zapytał, czy jestem szczęśliwa. Oczywiście powiedziałam, że tak. Wtedy złożył na moich ustach delikatny pocałunek i cały strach natychmiast mnie opuścił. W tym momencie naprawdę wierzyłam, że właśnie przeżywam najpiękniejszą chwilę najpiękniejszego dnia w moim życiu. Poprosił jeszcze, żebym nie stała zbyt długo na tarasie, a potem poszedł do łazienki.

Gdy usłyszałam, że zamknął za sobą drzwi, poszłam do sypialni. Lniane prześcieradła były zimne i szorstkie od krochmalu używanego w hotelowej pralni. Leżałam, zastanawiając się, jak to będzie spać z Clausem nie tylko dzisiejszej nocy, lecz przez wszystkie pozostałe noce mojego życia.

Drzwi łazienki otworzyły się i Claus wyszedł. Był całkiem nagi. Nie mogłam na niego patrzeć. Nie widziałam rozebranego mężczyzny ani nawet chłopca od czasu, gdy bliźniacy skończyli dziesięć lat i pływali nago w jeziorze. (Greta szybko ukróciła ten zwyczaj).

Odrzucił koldrę i wsunął się do łóżka obok mnie. Jego nogi dotykały moich: były długie, zimne i owłosione. Zaczęłam się trząść i nie mogłam przestać. Wtedy przyciągnął mnie do siebie. „Nie ma sensu tak się denerwować, Charlotte. To całkiem naturalna rzecz i do tego niezbędna, żeby mieć dzieci”, powiedział.

Odsunął na bok prześcieradło i podniósł moją nocną koszulę. Próbowałam się zasłonić, ale chwycił jedną ręką oba moje nadgarstki i zapewnił mnie: „Wszystko w porządku, wolno nam to robić, jesteśmy przecież małżeństwem. Może rozebrałabyś się, żebym mógł cię zobaczyć? Pomogę ci, jeśli usiądziesz”.

Przywołałam z pamięci to, co mówiła mama, i przypomniałam sobie, że nie dalej jak tego ranka ślubowałam przed Bogiem, że będę posłuszna mężowi. Pozwoliłam mu się rozebrać. Kiedy już byłam naga, poszedł do łazienki po ręcznik i położył go pode mną.

Błagałam, żeby zgasił światło, ale odparł, że musi widzieć, co robi. Potem chwycił dłońmi moje piersi i ścisnął boleśnie. Napięłam wszystkie mięśnie, a wtedy wtoczył się na mnie, siłą wypychając się między moje nogi.

Krzyknęłam, kiedy we mnie się wbił. Nigdy w życiu nie czułam tak straszego bólu. Claus szybko zakrył mi dłońią usta, żebym nie mogła więcej krzyczeć, a potem przygniótł mnie do łóżka i zaczął wypychać się we mnie raz za razem, bez końca...

W tym, co robił, nie było miłości ani czułości - możliwe, że nawet nie mogło być. To było brutalne i zabijało moją nadzieję i wszelkie oczekiwania, jakie wiązałam z małżeńskim stanem. Czułam się obolała, upokorzona i zraniona, i nie mam na myśli wyłącznie obrażeń cielesnych.

Nie mogłam uwierzyć, że ten okropny, poniżający i bestialski akt jest zwieńczeniem przepojonej poezją, romantycznej miłości - i zarazem końcem wszystkich moich marzeń.

Zrobiłam to, co robię zawsze, gdy muszę stawić czoło jakiejś nieprzyjemnej sytuacji, na przykład podczas wizyty u dentysty albo lekarza - zamknęłam oczy i próbowałam wyobrażać sobie, że jestem w całkiem innym miejscu i że to nie dzieje się naprawdę. Ale nie mogłam. On wciąż wypychał się we mnie, aż straciłam rachubę, ile razy to robił. Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że to już koniec mojej męczarni, zaczynał od nowa. Robił to i robił, aż zapragnęłam umrzeć.

Szare światło świtu przesączało się przez zasłony do środka pokoju, gdy Claus w końcu przetoczył się na bok. Zobaczyłam, że się uśmiecha. „No i co? To wcale nie było takie straszne, prawda?”.

Nie dałam rady odpowiedzieć.

Wtedy spojrział w dół, na łóżko, i powiedział, żebym poszła się umyć.

Ręcznik, na którym leżałam, był całkiem przesiąknięty krwią, tak samo jak moja koszula i peniuar, które niebacznie zostawiłam na prześcieradle. Zwinęłam je w kłębek, wyczołgałam się z łóżka i powlokłam do łazienki.

Odkręciłam krany, usiadłam na brzegu wanny i rozplakałam się. Kiedy wanna była pełna, zanurzyłam się w wodzie, aby zmyć z siebie krew. Po kąpeli otuliłam się hotelowym szlafrokiem i zakradłam do sypialni. Claus leżał na plecach, głośno pochrapując. Na paluszkach wsunęłam się do salonu, zabrałam pamiętnik, a następnie wróciłam do łazienki i zamknęłam drzwi na klucz. Tu przynajmniej mogę być sama.

Ból jest tak okropny, że ledwo mogę się ruszać, a każdy krok powoduje nieznośne cierpienie. Jak spojrzę Clausowi w oczy, kiedy się obudzi? Pozostaje mi tylko nadzieja, że więcej nie będzie miał ochoty powtarzać tego obrzydliwstwa. A jeśli tak, to czy zdołam to przetrzymać?

Jak inne kobiety dają sobie z tym radę? Mama? Hrabina von Letteberg? Po co ja w ogóle wychodziłam za mąż?

O wiele lepiej byłoby umrzeć starą panną.

Rozdział piąty

Laura czekała na lotnisku w Berlinie. Umiała wszystko tak świetnie zorganizować, że minęło niecałe dwadzieścia minut od wylądowania samolotu wiozącego Charlotte, a już bagażowy ładował jej walizki do wynajętego samochodu. Kiedy opadły pierwsze emocje i minęła pierwsza fala radości ze spotkania, Charlotte dostrzegła, że Laura wygląda na zmęczoną i że wyraźnie schudła. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy wnuczka po prostu za ciężko pracuje, czy też zmiana w jej wyglądzie ma coś wspólnego z dokumentami, na które natrafiła w archiwum.

Usiadła na fotelu pasażera i zamknęła drzwi auta. Laura zajęła miejsce kierowcy, a następnie włożyła kluczyk do stacyjki.

- Na dzisiejszą noc zamówiłam dla ciebie pokój w moim hotelu, bo bilety na samolot do Warszawy mamy zarezerwowane na jutro, ale zawsze można zmienić rezerwację, jeśli wolałabyś odpocząć dzień albo dwa przed wyjazdem do Polski.

- Chciałabym wyjechać tak szybko jak tylko możliwe.

- Czy jutro to wystarczająco szybko jak dla ciebie? - Laura zerknęła spod oka na babcie.

- Wystarczająco. Czy naprawdę przez kilka następnych tygodni jesteś zupełnie wolna?

Charlotte wyglądała przez okno, ale nie udało jej się zauważyć niczego znajomego. Współczesny Berlin w niczym nie przypominał tamtego miasta, które niegdyś znała.

- Na najbliższe trzy miesiące nie mam zaplanowanego absolutnie niczego. Zresztą i tak obiecywałam sobie, że muszę trochę odpocząć.

Teraz, gdy babcia siedziała tuż obok niej, Laura nagle uświadomiła sobie, jak trudno będzie zadać te wszystkie pytania na temat przeszłości, które zapisała sobie w pamięci.

- A ty dobrze się czujesz? - Charlotte starała się być taktowna.

- Doskonale. Jak długo zamierzasz zostać w Polsce?

Laura zgrabnie włączyła się do ruchu, wskakując pomiędzy samochody jadące nieprzerwanym strumieniem od strony lotniska w kierunku centrum miasta.

- Tyle, ile będzie trzeba, żebyśmy mogła zobaczyć wszystko, co chcę.

- Chciałabym móc tak jak ty nie zwracać uwagi na godziny i kalendarz.

- Przez ostatnie pół roku byłam niemal niewolnicą zegarka, ale na szczęście udało mi się skończyć ilustracje do bajek - przyznała się Charlotte.

- Wszystkie?

- Wszystkie. I niewątpliwie jest to jak dotąd najlepsza z moich prac, choć to wyłącznie moja ocena.

- Musiałaś chyba pracować bez chwili wytchnienia.

- Przynajmniej tak to czuję.

- Claus wydawał się bardzo szczęśliwy, kiedy rozmawiałam z nim ostatni raz przez telefon.

- Och, on jest naprawdę bardzo szczęśliwy, ale ma ku temu wszelkie powody, skoro dostał za żonę taką dziewczynę jak Carolyn, czeka na narodziny dziecka, a w dodatku praca, którą kocha, idzie mu coraz lepiej.

- Szczęściarzem z tego Clausa - westchnęła Laura, zatrzymując się na światłach.

Charlotte nakryła dłonią dłoń, którą wnuczka trzymała na kierownicy.

- Lauro, powiedz mi, co naprawdę u ciebie słychać?

- Jestem zmęczona. Ten ostatni film strasznie wykończył mnie emocjonalnie. Robiłam wywiady z tuzinami ludzi niemających bladego pojęcia, że ich rodziny i bliscy przyjaciele na nich donosili. Stasi być może przeszło do historii, ale

to potrwa jeszcze całe lata, zanim uda się wymazać z pamięci gorzkie dziedzictwo, które ta instytucja pozostawiła po sobie w Niemczech.

- Podejrzewam, że - podobnie jak było ze złem pozostawionym przez wojnę - ta gorycz nie zniknie, dopóki nie wymrze pokolenie, które żyło w tamtych czasach - powiedziała ze smutkiem Charlotte. - Lauro, możesz mnie uważać za wścibską, nieznosną staruchę, ale moim zdaniem nie wyglądasz dobrze. Czy to chodzi o te nazistowskie dokumenty, które przypadkiem znalazłaś? Jeśli tak, to obiecuję, że odpowiem na każde pytanie, ale dopiero gdy znajdziemy się w Polsce, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie możesz odpowiedzieć teraz?

- Wolałabym nie. Nie dlatego, że chcę kazać ci czekać, ale - choć to pewnie dziwnie zabrzmie - wciąż są pewne sprawy, co do których nawet teraz nie mam żadnej pewności, co powinnam o nich sądzić. Nie chodzi o wydarzenia, bo te akurat pamiętam wystarczająco dokładnie. Chodzi o emocje, które czułam wtedy, i o to, co czuję dziś, gdy o tym myślę.

- Myślę, że potrafię to zrozumieć - mruknęła Laura.

Światło się zmieniło, więc przycisnęła pedał gazu.

- Czy jest jeszcze coś, co cię martwi? - dążyła Charlotte.

- Czemu pytasz?

- Bo twój ojciec wspomniał coś o jakimś chłopcu z Somalii.

- Jeśli się bał, że wyjdę za mąż za Murzyna, to już nie musi się niepokoić. Nie wyszło nam. Ahmed się wyprowadził... - Spojrzała z ukosa na babkę. - Wrócił do swojej żony i córki - dokończyła.

- Przykro mi, Lauro.

- Nie jesteś zszokowana, że był żonaty?

- Znam cię i wiem, że nie zaangażowałabyś się w romans z żonatym mężczyzną, gdybyś naprawdę go nie kochała.

- Tak - zgodziła się wnuczka.

- Mam nadzieję, że był ciebie wart i zostało ci parę pięknych wspomnień z czasu, który spędziliście razem.

- Chciałabym, żeby każdy był tak tolerancyjny i wyrozumiały jak ty, babciu - powiedziała z uczuciem Laura. - Bardzo się kochaliśmy i rzeczywiście, przeżyliśmy razem parę chwil, które warto wspominać.

- Cieszę się.

- Co słyhać u moich rodziców i Luke'a? - spytała Laura, żeby zmienić temat.

- Twoi rodzice są tacy jak zawsze, natomiast jeśli chodzi o Luke'a, to swoim postępowaniem doprowadza ojca do rozpacz.

- Dobry, stary Luke! Wystarczyło, że cię zobaczyłam i od razu czuję się lepiej. Tak się cieszę, że będziemy mogły pobyć trochę razem. Ogromnie tęskniłam za dobrym towarzystwem i życzliwą radą.

- Towarzystwo masz załatwione. Jeśli zaś chodzi o radę, to nie jestem pewna. Czy chcesz się poradzić w sprawach osobistych czy zawodowych?

- W obydwu.

- W takim razie na mnie nie licz. W takich wypadkach zawsze wolę być tchórzem i stać z boku, ponieważ nie znoszę, kiedy ludzie przychodzą później do mnie i mówią: „No widzisz, zrobiłem tak, jak mi radziłaś, i zobacz, co z tego wyszło. To wszystko twoja wina”.

Laura uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

- Czy chcesz powiedzieć, że ktokolwiek ośmielił się na coś podobnego?

- Tylko rodzina. - Charlotte pogładziła wnuczkę po policzku. - Skarbie, z mojego doświadczenia wynika, że de-nerwowanie się nigdy nam nie pomaga, a nawet wręcz przeciwnie. Większość z nas dokonuje wyborów tylko wtedy, kiedy musi, a jeżeli wybierzemy źle, to życie dość prędko zweryfikuje naszą decyzję. W końcu i tak wszystko ułoży się tak, jak się miało ułożyć.

- Chciałabym w to wierzyć.

- Spróbuj powtarzać sobie, do czego dążysz, i patrz zawsze do przodu, nigdy wstecz.

- Staram się, ale jedyną rzeczą, która mnie pociesza, jest myśl, że za tysiąc lat nikt nie będzie przejmował się tym, co teraz zrobiłam albo czego nie zrobiłam.

- Musisz przestać przejmować się innymi ludźmi, Lauro, i bardziej myśleć o sobie. Przykro mi, że straciłaś swoją miłość. Miejmy nadzieję, że gdzieś tam daleko czeka na ciebie jakiś inny rycerz w lśniącej zbroi.

- W tym momencie nie miałby u mnie najmniejszych szans, nawet gdyby przybył na białym rumaku i w pancerzu z prawdziwego srebra. Jeśli zaś chodzi o moją karierę, to właśnie zaproponowano mi stałą umowę o pracę za nieprzyzwoicie wielkie pieniądze w jednej z amerykańskich stacji telewizyjnych.

- I co, masz zamiar ją przyjąć?

- Pomimo korzyści, jaką byłoby mieszkanie bliżej ciebie i Clausa, wcale nie jestem pewna, czy chcę się przeprowadzać do Stanów albo robić filmy na tematy, jakie narzuca mi szefowie. Nie interesują mnie mdłe historyjki o ludziach z nizin społecznych, którzy zostali sławnymi koszykarzami albo quarterbackami.

- W takim razie nie bierz tej roboty - oświadczyła zdecydowanie Charlotte.

Laura zaśmiała się, skręcając na hotelowy parking.

- Dlaczego wystarczy, że usłyszę od ciebie kilka słów, a już patrzę na wszystko z innej perspektywy? Masz absolutną rację. Ostatnią rzecz, na jaką mam ochotę, to przyjąć tę propozycję. I właśnie podjęłam decyzję, że jej nie przyjmę.

Gdy tylko skończyły jeść kolację w hotelowej restauracji, Laura poszła z Charlotte do jej pokoju. Podniosła egzemplarz „Ostatniego lata”, który babcia zdążyła już wyjąć z podręcznej torby i położyć razem z pamiętnikiem na nocnym stoliczku.

- Wciąż wozisz ze sobą tę książkę?

- Tak.

- Musiałaś ją przeczytać chyba ze sto razy.

- Pewnie ze dwieście - odparła Charlotte. - A ty ją czytałaś? Czy masz jeszcze ten egzemplarz, który ci dałam?

- Przebrnęłam przez sam początek.

Laura wzięła książkę i usadowiła się na fotelu pod oknem.

- Czyli jeszcze jej nie skończyłaś?

- Nie dałam rady. Czytanie o tym, co wycierpieli Rosjanie, jest ponad moje siły. Ten biedny człowiek uwięziony na Syberii w gułagu budzi się każdego ranka, wiedząc, że znowu zostanie nieludzko udęczoney i będzie musiał przetrwać na głodowych porcjach jedzenia kolejny dzień... Straszliwa codzienna rzeczywistość sprawia, że ten mężczyzna ucieka do świata wspomnień. Uduje sam przed sobą, że przebywa w innym czasie, w innym miejscu, u boku jedynej kobiety, którą tak naprawdę w życiu kochał.

- Czy nie rozumiesz, że to otaczająca go rzeczywistość była dlań snem? - zawołała Charlotte. - Obozowe życie nie miało żadnego znaczenia, podobnie jak przelotny nocny koszmar.

- Nie mogę znieść myśli, że miał dla siebie wyłącznie przeszłość. Żadnej przyszłości, żadnej znośnej teraźniejszości poza tą, którą wyczarowała jego własna wyobraźnia. Nic, na co można by czekać, z wyjątkiem śmierci.

- Byłoby znacznie gorzej, gdyby nie miał czego wspominać. To właśnie pamięć dawała mu siłę do dalszego życia, do walki o przetrwanie. A jeśli chodzi o przyszłość, to wszystko jest możliwe, jeśli człowiek żyje w świecie swoich fantazji.

- Żadna wyobraźnia nie mogła zrównoważyć upokorzenia, degradacji i nieludzkich warunków życia w tym obozie. - Laura obracała książkę w rękach. - Uważam, że zasługiwał na więcej.

- Być może docenisz tę książkę, kiedy będziesz w moim wieku - odrzekła Charlotte.

Usiadła przy toalecie, rozpuściła włosy i wyszczotkowała pięćdziesięcioma ruchami, tak jak robiła to każdego wieczoru przez całe swoje dorosłe życie.

- Twoja mama ma nadzieję, że z tobą poważnie porozmawiam.

- Czy powiedziała, czego powinna dotyczyć ta rozmowa?

- Chodzi o to, żebyś się ustatkowała. Powiedziałam jej, że i tak zamierzam zamienić z tobą parę słów.

- Jesteś niepoprawna, Oma, ale strasznie cię kocham. - Laura cmoknęła Charlotte w policzek.

- Nawet jeśli kiedyś z dumą nosiłam odznakę nazistowskiej organizacji? - spytała cicho Charlotte.

- Więc to jednak nie jest pomyłka...

Laura spoważniała, a Charlotte dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej wnuczka przez cały czas spodziewała się, że ona potrafi jej udowodnić, iż cała sprawa była jednym wielkim nieporozumieniem.

- Nie, to nie pomyłka.

- Jeśli opowiesz mi o tym, to obiecuję, że postaram się cię zrozumieć.

- W latach trzydziestych dwudziestego wieku większość ludzi, których znałam, należała do grona „dobrych nazistów”. Każdy miał ambicję, żeby do nich należeć. Każdy chciał być dobrym obywatelem, dobrym nazistą, lojalnym zwolennikiem Hitlera, który dał Niemcom to wszystko, czego chcieli, a nawet więcej. Naprawdę wierzyliśmy w hasło: „Jeden naród, jeden kraj, jeden Führer”. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku wydano prawo, że każdy niemiecki chłopiec i dziewczyna muszą należeć do Hitlerjugend, ale nas nie trzeba było zachęcać. Uwielbialiśmy tę organizację. To oznaczało możliwość wyjazdów daleko od domu i od czujnego wzroku naszych rodziców, ćwiczenia w żeglowaniu, jeździe konnej, strzelaniu, szermierce, narciarstwie, gimnastyce - i w lataniu. Nawet po wojnie, kiedy wszyscy już wiedzieli, co zrobili naziści, niektóre z moich szkolnych przyjaciółek upierały się, że lata władzy Hitlera były najlepszym okresem ich życia.

- Słyszałam o cudzie gospodarczym Hitlera - odezwała się niepewnie Laura. - Ale ten horror - obozy, Żydzi... Przecież ludzie musieli wiedzieć, co się dzieje.

- Byłam wtedy dzieckiem, ale dokładnie pamiętam Prusy Wschodnie w latach dwudziestych. Panowało absolutne bezprawie i nieporządek. Galopująca inflacja zjadała wynagrodzenia, jeszcze zanim ludzie zdążyli na nie zapracować. Rywalizujące ze sobą bandy walczyły na ulicach. W Allenstein pełno było żebraków - okaleczonych ekszołnierzy, bezrobotnych i ich dzieci... Mój ojciec był wręcz osaczony przez ludzi, którzy prosili, by mogli pracować za kawałek chleba. Nie chcę przez to powiedzieć, że podczas kryzysu warunki życia w Niemczech były gorsze niż w Ameryce i Anglii, ale nasz pobity i upokorzony naród musiał w dodatku oddać część własnego terytorium, kiedy po pierwszej wojnie światowej podpisywano traktat pokojowy. Hitler dał wszystkim nadzieję. Odbudował naszą dumę narodową i wskazał ludziom koźła ofiarnego, którego można było winić za Wielki Kryzys. Więc, odpowiadając na twoje pytanie, mówię, że tak, wszyscy wiedzieli, że naziści są antysemitami. Nie można było o tym nie wiedzieć przy tak wielkiej propagandzie antyżydowskiej i antykomunistycznej w radiu, prasie, na plakatach, w filmach, nie wspominając o systematycznym sączeniu tej ideologii członkom Hitlerjugend. My, Niemcy, tak często słyszeliśmy, że jesteśmy rasą panów, że większość młodych ludzi - ku swemu wstydowi muszę przyznać, że również ja - naprawdę uwierzyła, że jesteśmy kimś lepszym od innych nacji. Tak,

widzieliśmy, jak prześladowano Żydów. Moje żydowskie koleżanki zostały wypędzone ze szkoły. Wiedzieliśmy, że Żydzi tracą prawo do pracy, głosowania i zachowania swojej własności. Oficjalna propaganda głosiła, że mają zostać przesiedleni. Krążyły jakieś plotki o Madagaskarze i wschodzie. Ale większość ludzi - w tym również mój ojciec - uważała, że antyżydowskie prawa Hitlera są niewielką ceną za pełne żołądki i pewność zatrudnienia.

- I to wszystko doprowadziło do Holocaustu.

- Tak, doprowadziło. - Charlotte skrzywiła się z bólu. - Więc wszystko, co teraz mogę zrobić - ja i każdy Niemiec, który żył w tamtych czasach - to przyznać, że ku wieczystej hańbie naszego narodu tamten horror rzeczywiście się wydarzył, i błagać o przebaczenie. Nie znaczy to, że choć przez chwilę pomyślałam, że na nie zasłużyliśmy.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mogła pozostać obojętna wobec prześladowania jakiejś mniejszości - powiedziała cicho Laura.

- Ty i Claus pewnie nie pozostalibyście obojętni, ponieważ w przeciwieństwie do mnie z czasów młodości oboje jesteście wyjątkowymi i wrażliwymi ludźmi. Mój ojciec nie należał do osób, które łatwo dają się przekonać, ale przystąpił do partii nazistowskiej tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy usłyszał przemówienie Hitlera. A potem, gdy ten został kanclerzem, wszystko się zmieniło,

- W ciągu jednej nocy? - spytała Laura, odkładając na bok egzemplarz „Ostatniego lata”.

- Tak mi się wydaje. Najbliższy przyjaciel ojca był majstrem budowlanym i architektem, a mimo to jego rodzina ledwie mogła przeżyć z tego, co zarabiał dorywczą pracą. Za każdym razem, gdy jechaliśmy do nich z wizytą, zanim jeszcze Hitler doszedł do władzy, zabieraliśmy koszt pełen jedzenia. Zresztą tak samo robiliśmy w wypadku innych znajomych rodziców.

- Byliście aż tak bogaci? - Laura sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Mój ojciec posiadał wiele folwarków, a dzierżawcy płacili swoją należność w produktach rolnych. Mieliśmy więcej jedzenia, niż nam było trzeba, a ojciec nie mógł się zmusić do sprzedawania nadwyżek, gdy jego przyjaciele i ich dzieci przymierali głodem. W rezultacie gospodarstwa przestały przynosić dochody i zaczęły się chylić ku upadkowi. Kiedy Hitler doszedł do władzy, zaczął budować drogi, szkoły, schroniska, fabryki... W ciągu czterech lat przyjaciel ojca zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wybudować ogromny dom dla swojej rodziny i kupić całe hektary ziemi, na której stawiał domy i warsztaty.

- Czy cała twoja rodzina popierała nazistów?

- Przed wojną tak - potwierdziła Charlotte. - Mój ojciec postarał się, żebyśmy wszyscy - ja, moi bracia i siostra - zostali pełnoprawnymi członkami partii już w dniu osiemnastych urodzin, a nie w wieku dwudziestu jeden lat, tak jak inni. Twoja cioteczna babcia Greta została miejscową organizatorką BDM - oddziału służby pomocniczej dla dziewcząt. Ja należałam do sekcji muzycznej Allenstein Hitlerjugend, a obaj moi bracia byli członkami tej organizacji, zanim zostali oficerami Wehrmachtu. Mój ojciec był burmistrzem miasta, a mama pomagała organizować imprezy, na których zbierano fundusze na potrzeby partii. Po wojnie niewielu Niemców było skłonnych przyznawać się, że ich rodziny należały do partii nazistowskiej. Ale ja nie mogę zaprzeczyć, a ty masz wszelkie prawo czuć się zszokowana tą informacją. - Charlotte wzięła do ręki swój pamiętnik. - Wiem, że potrafisz czytać współczesny niemiecki; czy dasz sobie radę ze staroświeckim gotykiem, w dodatku pisanym ręcznie?

- Po miesiącu przekopywania się przez dokumenty zgromadzone w centralnym archiwum powinnam z tym sobie poradzić.

- To jest pamiętnik, który zaczęłam pisać w dniu moich osiemnastych urodzin. Pisałam go przez całą wojnę i przez krótki czas po jej zakończeniu. Czy chciałabyś go przeczytać?

- Jeśli nie masz nic przeciw temu...

- Dzięki temu będziemy mogły od czegoś zacząć. Ale nie dzisiaj. Jutro czeka nas długa podróż. Nie w kilometrach, ale w latach. W głąb przeszłości.

- Owszem. - Laura wstała z łóżka. - Babciu, ale ty nie robiłaś niczego tam... Mam na myśli obozy...

- Nie mogę ręczyć za Grete, ale mój ojciec, matka i ja zrobiliśmy najstraszniejszą rzecz, jaką tylko można było zrobić.

Charlotte zajrzała głęboko w oczy Laury i spostrzegła, że jej wnuczka jest zbyt przerażona, by zadać pytanie.

- Nie uczyniliśmy nic, żeby pomóc ludziom, których tam zsyłano - dokończyła. - Absolutnie nic.

Niedziela, 27 sierpnia 1939 (ciąg dalszy)

Wracamy do Bergensee. Wczoraj, kiedy ja i Claus braliśmy ślub, Führer wygłosił mowę, w której żądał oddania Danzig i polskiego korytarza oddzielającego Prusy Wschodnie od reszty Niemiec, a także wycofania angielsko-francuskich gwarancji dotyczących wspierania Polski podczas agresji na niemieckie państwo. Tego ranka wszyscy w hotelu mówili wyłącznie na ten temat. Kiedy Claus i ja po zjedzeniu śniadania w naszym pokoju zeszliśmy do recepcji, zastaliśmy tam tłum rozgorączkowanych wczasowiczów, którzy za wszelką cenę próbowali się wydostać z Sopotu, spodziewając się w każdej chwili wybuchu wojny. Ale to nie powstrzymało ich od gapienia się na mnie i znaczącego kiwania głowami.

Wszystkie pokojówki były zajęte, więc wróciłam do pokoju, żeby zająć się pakowaniem rzeczy; Claus przyszedł do mnie trochę później. Udało mu się zdobyć ostatnie bilety na powrót do Allenstein - w trzeciej klasie i na nocny pociąg. To będzie całkiem inna podróż niż ta, którą odbyliśmy zaledwie wczoraj wieczorem. Claus jest bardzo niezadowolony, a ja wręcz przeciwnie. Dziś po południu zabierze mnie na spacer plażą i na molo. W obecnej sytuacji wyjazd nad Morze Śródziemne w ogóle nie wchodzi w rachubę.

W ogrodzie orkiestra gra wojskowe melodie; dzieci tańczą i śpiewają, chłopcy zaś maszerują z wyprostowanymi nogami jak żołnierze na defiladzie. Wszystko wydaje się takie jak zawsze. Nie chce mi się wierzyć, że za parę godzin rzeczywiście wybuchnie wojna. Czyba Polacy spełnią żądania Führera? Wszystkie gazety piszą, że jego postulaty są całkowicie racjonalne i mamy prawo żądać przywrócenia terytorium, które zostało nam ukradzione po Wielkiej Wojnie - terytorium, które znów połączy Prusy Wschodnie z resztą Niemiec.

Claus zdołał się dodzwonić do swojego dowódcy, choć zanim wreszcie mu się to udało, recepcjonista przez cztery godziny usiłował połączyć się z Kwaterą Główną. Claus ma skrócony urlop. Musi wrócić do swojego oddziału trzynastego sierpnia. Nasz miesiąc miodowy potrwa więc bardzo krótko, zaledwie trzy dni. Staralam się wyglądać na rozczarowaną, kiedy mi to oznajmił, ale jestem pewna, że domyśla się, jak bardzo nienawidzę tego, co ze mną wyprawia. Dziś rano było nawet gorzej niż wczoraj. Gdy tylko Claus się obudził, znów mnie rozebrał, a potem przy śniadaniu wciąż usiłował mnie dotykać i przez cały czas pozwalał sobie na wulgarne żarty.

Dziś wieczorem będziemy w Bergensee. Claus wysłał telegram do swojego ojca, żeby na stacji czekał na nas samochód.

Grunwaldsee

Wtorek, 29 sierpnia 1939

Claus wyjechał i dzięki Bogu znów jestem sama w mojej dawnej sypialni w Grunwaldsee, chociaż mama kazała zabrać moje małe łóżko i wstawić jakieś potworne monstrum z baldachimem, tak wielkie, że wystarczyłoby w nim miej-

sca dla całego pułku wojska. Mama i papa von Letteberg wyruszyli z Bergensee do swojej rezydencji w Berlinie jeszcze przed naszym powrotem z Sopotu, żebyśmy bez przeszkód mogli kontynuować miesiąc miodowy w rodzinnym domu Clausa. Nie chcieli zakłócać naszej prywatności, ale ja żałuję, że ich tu nie ma. Gdyby zostali, to przynajmniej musielibyśmy od czasu do czasu wychodzić z sypialni, żeby jeść posiłki w jadalni.

Wiele razy przedtem widziałam Bergensee, ale nigdy nie uświadamiałam sobie, o ile ten dwór jest większy i bardziej dostojny niż nasz w Grunwaldsee. Pewnie dlatego, że gdy tam byłam, zwracałam uwagę wyłącznie na Clausa. Widziałam, że dom jest ogromny, ale nie miałam pojęcia, że znajduje się w nim czterysta sześćdziesiąt pięć pokoi. Służba jest pełna godności - ośmielę się wyrazić opinię, że wydaje się napsuzona - a gospodyni budzi we mnie strach. Jest do przesady pedantyczna, lojalna wobec państwa i wszędzie wścibia swój długi nochał. Kiedy pokazywała mi wiszące w galerii portrety, czułam, że uważa mnie za nie dość piękną i szlachetnie urodzoną, bym nadawała się na małżonkę spadkobiercy von Lettebergów.

Zresztą nasza wycieczka trwała dość krótko. Claus powiedział, że będę miała mnóstwo czasu na obejrzenie rezydencji, kiedy on już wyjedzie, i wydał rozkaz, żeby wszystkie posiłki podawano nam w jego apartamencie. Stanowczo uważa, że choć mamy dla siebie niewiele czasu, to powinniśmy postarać się spłodzić dziedzica, na którego czeka jego ojciec i cała rodzina.

Nienawidzę małżeńskich obowiązków - odmawiam nazywania tego obrzydliwego aktu kochaniem się. To, co robi ze mną Claus, nie ma nic wspólnego z miłością. Czasami nie udaje mi się powstrzymać płaczu, wszystko jedno jak gorliwie staram się przypomnieć sobie słowa mamy, że obowiązkiem żony jest spełniać życzenia męża.

Mama zatelefonowała, żeby zaprosić nas na obiad w Grunwaldsee. Ucieszyłam się, bo to znaczyło, że będę wreszcie mogła włożyć ubranie i pożegnać się z Clausem w domu, w otoczeniu mojej rodziny. Pomimo okazałości i wspaniałości Bergensee wciąż trudno mi myśleć o pałacu jako o swoim nowym domu. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek mi się to uda.

Chociaż było ciepło, musiałam włożyć suknię z długimi rękawami, żeby mama i papa nie zauważyli siniaków na moich ramionach, ale wydaje mi się, że mama zaczęła coś podejrzewać, bo bez przerwy pytała, czy dobrze się czuję. Próbowałam się uśmiechać, żeby ją uspokoić. Claus zachowywał się tak samo jak zwykle. On nigdy się nie zmienia; nikt i nic nie jest w stanie sprawić, by okazał, że jest szczęśliwy albo smutny. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że zanim się pobraliśmy, nie widziałam nic więcej poza jego przystojną twarzą, mundurem i wytwornymi, arystokratycznymi manierami.

Bliźniacy mieli na sobie nowe mundury poruczników, tak samo jak Peter. W poniedziałek wyjeżdżają do swojego pułku. Ojciec był zupełnie zdruzgotany. Wciąż powtarzał chłopcom, że nie mają bladego pojęcia, czym naprawdę jest wojna. W kółko i na okrągło opowiadał o zabijaniu, ranach i krwi, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze. Nie rozumiem, dlaczego papa tak się wścieka na moich braci i Petera. Przecież nikt ich nie pytał o zdanie, czy chcą być rezerwistami albo iść do wojska.

Po tym, jak ukończyli szkolenie wojskowe, wszyscy trzej otrzymali patenty oficerskie. Tak więc moi bracia i szwagier są teraz oficerami Wehrmachtu.

Dziwnie jest myśleć o Peterze jako o moim szwagrze. W orkiestrze zawsze się wygłupiał; tam byliśmy rówieśnikami. Teraz, gdy już jestem mężatką, czuję się o wiele starsza od niego i tej beztroskiej dziewczyny, która zaledwie kilka dni temu wracała pociągiem z Moskwy.

Chłopcy nie potrafili rozmawiać o niczym innym, tylko o nadchodzącej wojnie. Greta przyłączyła się do nas. Ponieważ Peter jest za młody, żeby mogła z nim flirtować, a poza Clausem nie było z nami żadnych innych młodych mężczyzn, postanowiła być jeszcze bardziej złośliwa niż zwykle. Ledwie można się było do niej odezwać. W ogóle to czułam

się tak chora i rozbita po moim „miesiącu miodowym”, że nie mogłam przełknąć ani kęsa jedzenia, które mama z takim trudem przygotowała. Widziałam, że papa, tak samo jak mama, bardzo się o mnie martwili. Pewnie myśleli, że mi smutno, bo Claus wyjeżdża. Jak mało wiedzą. Ja wręcz nie mogę się doczekać, kiedy on wyjedzie.

Mama i papa zaprosili na obiad rodziców Clausa. Oboje przyjechali z Berlina taki kawał drogi tylko po to, żeby spędzić z nami ten dzień. Chociaż papa von Letteberg ostatnio przeszedł na emeryturę, został z powrotem powołany do wojska, przywrócony do dawnego stopnia generała i wyznaczony do pełnienia jakiejś ważnej funkcji w Kwaterze Głównej. Teraz oboje czynią przygotowania do przeprowadzki do Berlina na okres wojny - wszystko jedno, jak długo będzie trwała. Hrabina von Letteberg jest taka uprzejma! Powiedziała mi, żebym odwiedzała ich tak często, jak tylko będę mogła. Wydaje mi się, że ona się domyśla, że między mną a Clausem nie układa się najlepiej.

Ale na razie mogę odetchnąć. Przez parę tygodni, a przy odrobinie szczęścia przez parę miesięcy, nie będzie Clausa ani tego straszego „pozycia małżeńskiego”. Bo choć małżeństwo nie jest tym, czym się spodziewałam albo miałam nadzieję, że będzie, jednak wydaje mi się całkiem znośne - pod warunkiem, że Claus przebywa daleko. Czy to brzydko z mojej strony, że modląc się o jego bezpieczeństwo, będę modliła się także o jego stałą nieobecność?

Grunwaldsee

Środa, 6 września 1939

Wojna! Tydzień temu niemieccy żołnierze wkroczyli do Polski! Nie wiemy na pewno, ale jest wielce prawdopodobne, że są wśród nich Claus, Paul i Wilhelm. Modłę się do Boga, żeby nie stało im się nic złego. Papa ostrzegł mnie, że to może być długa wojna. Anglia i Francja żądają, abyśmy wycofali się z Polski. Rząd nie mógł się na to zgodzić, więc trzeciego września oba tamte państwa wypowiedziały Niemcom wojnę. Niedługo będziemy mieć nasze oddziały zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Czy Claus i bliźniacy też zostaną tam wysłani?

Grunwaldsee

Wtorek, 12 grudnia 1939

Nie napisałam ani słowa od przeszło trzech miesięcy, ponieważ zdecydowanie nie czuję się dobrze. Najpierw miesiąc miodowy, a teraz dziecko!

Mama powtarza, że będę znów taka jak dawniej, kiedy tylko ono się urodzi, ale ja w to nie wierzę. Wydaje mi się, że po nocy poślubnej już nigdy nie wrócę do zdrowia.

Claus nie dostał urlopu od chwili, gdy w końcu sierpnia opuścił Grunwaldsee. To straszne, co powiem, ale teraz, będąc sam na sam z moimi myślami, mogę pozwolić sobie na szczerość. Wcale nie żałuję, że on nie przyjeżdża. Wiemy, że stacjonuje w Polsce, tak samo jak Wilhelm i Paul. Ich listy pełne są opowieści o tym, jak szybko Polska padła pod naporem naszej zwycięskiej armii, i o zabawach, jakie sobie urządzają. Claus pisze jedynie o tym, co będziemy robić w Bergensee po wojnie i jak zamierza wychowywać swojego syna. Zastanawiam się, co biedak robi, jeśli ośmielę się obdarzyć go córką.

Poranki przeważnie spędzam w łóżku. Czuję się tak strasznie chora i słaba, że ledwie mam siłę, by dźwignąć głowę z poduszki. Popołudnia spędzam z mamą w salonie. Od chwili ślubu nawet nie dotknęłam fortepianu. Papa napomyka od czasu do czasu, że byłby rad, gdybym pomogła mu w zarządzaniu majątkiem, nawet gdyby to miało być jedynie prowadzenie ksiąg rachunkowych, zamawianie paszy dla koni i sprzedaż naszych produktów Ministerstwu Wojny, tak

więc ostatnią noc spędziłam nad uaktualnianiem ksiąg. Papa ostatnio wyraźnie czymś się martwi. Nie wiem, co to może być, ale ilekroć pytam, odpowiada, że na całym świecie obchodzą go jedynie dwie sprawy - wojna i moje zdrowie.

Papa wkrótce wyjeżdża, żeby reprezentować przedsiębiorców z Prus Wschodnich na konferencji w Bawarii. Pytałam, czego konkretnie dotyczy ta konferencja, ale odpowiedział to samo co zwykle w takich sytuacjach, to znaczy, że byśmy z mamą nie zaprzętały sobie tym naszych ślicznych główek, a więc prawdopodobnie to spotkanie ma coś wspólnego z wojną albo z partią. Papa ma tak wiele obowiązków, odkąd został wybrany na burmistrza.

Na szczęście dla Grunwaldsee Brunon przekroczył już pięćdziesiątkę, a więc jest za stary, żeby otrzymać powołanie, więc przynajmniej on nam został, bo wszyscy młodszy mężczyźni - z wyjątkiem idioty Wilfiego - zostali wzięci do wojska. Większość dziewcząt trafiła do pracy w fabrykach. Brak służby stał się tak dotkliwy, że żona Brunona, Martha, musi teraz pomagać nam w domu.

Zostało tak niewiele zapasów drewna i węgla, że mama zdecydowała się odciąć ogrzewanie sali balowej, ośmiu gościnnych sypialni i dużej jadalni. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wszyscy będziemy się gnieść w małej jadalni, kiedy chłopcy przyjadą na przepustkę podczas świąt Bożego Narodzenia. Claus nie przyjedzie. Uważa, że to nie w porządku, by oficerowie brali sobie wolne wtedy, gdy tak wielu szeregowych żołnierzy musi zostać na posterunku. Napisał do mnie list, że prawdopodobnie przyjedzie do domu dopiero na Nowy Rok. Jeśli anieli będą mnie strzegli, to może zmieni zamiary.

Greta też jest w Polsce. Nadzoruje dziewczęta z BDM. Przygotowują kwatery na przyjęcie Niemców z Estonii i innych wschodnich krajów, które pozostają pod panowaniem sowieckim. Prawie każdego dnia pisze do mamy i papy, opowiadając, jak to Polacy nie zasługują na przyzwoite domy, ponieważ są strasznymi brudasami, i jak trudno jest zmusić Polki do wysprzątania ich dawnych mieszkań, żeby przed przybyciem niemieckich rodzin doprowadzić wszystko do należytego porządku.

Nina i Hildegard wyjechały do Berlina, mają pracować w Ministerstwie Wojny. Hildegard pisała do mnie, starając się podkreślić, jak ważną i odpowiedzialną ma funkcję, ale Nina, która pracuje w tym samym dziale, mówi, że ich zadanie polega głównie na przesuwaniu modeli samolotów, czołgów i wojska na froncie na wielkiej mapie, a oprócz tego na odbieraniu telefonów i pisaniu listów na maszynie.

Wolałabym nie czuć się tak strasznie chora. Wczoraj mama zamówiła samochód i uparła się, żebym towarzyszyła jej podczas przejażdżki do miasta, ale po drodze Brunon musiał trzy razy się zatrzymywać, bo zrobiło mi się niedobrze.

Wilhelm listownie poprosił papę o zgodę na małżeństwo z Ireną. Ślub ma się odbyć w Grunwaldsee w czasie świąt. Co prawda oboje są jeszcze bardzo młodzi, ale jak powiada papa, chłopcom, którzy lada chwila mają ruszyć do boju, nie jest łatwo myśleć o długich latach życia. Nie wtedy, kiedy tak wielu z nich zginie w kwiecie wieku. Teraz, kiedy bliźniacy w końcu zostali czynnymi oficerami, papa musi przyjąć do wiadomości fakt, że są już całkiem dorośli, skoro służą w wojsku.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że uprzejmy, delikatny Wilhelm mógłby robić z Ireną te wszystkie straszne rzeczy, które robi ze mną Claus. I im więcej myślę o zapewnieniach Niny, że niektóre kobiety to lubią, tym mniej jej wierzę. Aż trudno sobie wyobrazić, że niektóre biedaczki są tak zdesperowane, że robią to dla pieniędzy! Osobiście wolałabym raczej się powiesić albo zagłodzić na śmierć.

Irena jest okropnie podekscytowana. Spytała mnie, jak wygląda małżeńskie życie. Myślę, że miała ochotę rozmawiać o tych intymnych sprawach, ale przecież nie mogłam powiedzieć jej prawdy. Wydaje się taka szczęśliwa. Tak samo szczęśliwa jak ja przed nocą poślubną... Zresztą skoro już przyjęła oświadczenia Wilhelma, to na pewno nie wycofa się z danego słowa. Nawiasem mówiąc, obowiązkiem każdej niemieckiej dziewczyny jest wyjść za męża i rodzic synów dla Vaterlandu, więc jeśli Irena nie wyszłaby za Wilhelma, to musiałaby wyjść za kogoś innego.

Mama i Frau Adolf, matka Ireny, prowadzą przy popołudniowej kawie niekończące się dyskusje na temat wesela. Decyzja już zapadła, że uroczystość odbędzie się w Grunwaldsee, nie tylko dlatego, że w naszym domu jest więcej miejsca, ale również dlatego, że to jedyne miejsce, w którym von Datski może wziąć ślub. Niestety, ograniczenia wojenne i kłopoty aprowizacyjne mocno zredukują ilość jedzenia i liczbę gości, więc przyjęcie weselne biednej Ireny i Wilhelma nie będzie tak wystawne jak moje.

Blizniacy zjawią się w domu w wigilię Bożego Narodzenia, ślub zaś odbędzie się wieczorem w pierwszy dzień świąt. Wilhelm i Irena muszą spędzić miesiąc miodowy w Grunwaldsee, ponieważ Wilhelm dostał tylko tydzień urlopu, a jazda koleją jest dość niepewna. Papa kazał wysprzątać i odmalować zarówno z zewnątrz, jak i od środka domek letni nad jeziorem, i nowożeńcy mają właśnie tam zamieszkać. Martha pojedzie z nimi, żeby im gotować.

W pewien sposób zazdroszczę Irenie. W Grand Hotelu w Sopocie było wręcz okropnie, kiedy następnego ranka po naszym ślubie czułam, jak wszyscy goście gapili się na nas, bo wiedzieli, że jesteśmy nowożeńcami, i myśleli tylko o tym, co Claus ze mną wyprawiał.

W przyszłości postaram się pisać bardziej regularnie, ale teraz muszę jechać z rodzicami na stację, żeby pożegnać się z papą. Potem mama i ja złożymy wizytę Irenie i jej matce. Muszę zdobyć się na ten wysiłek i z radością powitać Irenę w naszej rodzinie, a przy okazji taktownie ostrzec ją, że pożycie małżeńskie bynajmniej nie wygląda tak jak w powieściach.



- Laura, jedziesz po niewłaściwej stronie! - zawołała Charlotte.

- Och, do diabła, rzeczywiście! To wina Anglików, że jeżdżą inaczej niż wszyscy pozostali.

- Jeśli jesteś zmęczona, to mogę poprowadzić.

- Nie, czuję się świetnie. To znaczy, mogę jechać, chyba że ty masz ochotę usiąść za kółkiem - odparła Laura, przypominając sobie ostrzeżenia Clausa co do prowadzenia auta przez babcię.

- Wcale nie mam ochoty.

Charlotte złożyła mapę, którą trzymała na kolanach. Prześledziła uważnie całą trasę. Najpierw z Warszawy na północ, potem szosą na Elbląg aż do chwili, gdy zobaczą kierunkowskazy na Olsztyn. Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że droga była tak prosta, jak to wyglądało na mapie.

- Jeszcze godzinka i powinniśmy być w hotelu.

- Zakładając, że znów nie będę kusić Opatrzności, jadąc po niewłaściwej stronie - mruknęła Laura. - Po miesiącu spędzonym w Berlinie można by pomyśleć, że już się przyzwyczaiłam, ale gdzie tam. Mam tylko nadzieję, że uda nam się dojechać do Olsztyna na tyle wcześnie, że będzie trochę czasu, żeby przed kolacją rozpakować rzeczy i wziąć prysznic.

- Nigdy nie przyzwyczaję się do nazywania Allenstein Olsztynem. To takie paskudne słowo - powiedziała Charlotte.

- Pewnie Polacy uważają inaczej.

- Dlaczego te trabanty i fiaty stoją na poboczach? Chyba niemożliwe, żeby wszystkie były popsute?

- Najwyraźniej we wschodniej Europie zdobycie zapasowych części wciąż jest wielkim problemem - odpowiedziała Laura. - Pewnie dlatego tyle tu koni i wozów, które wloką się środkiem drogi.

- Nie mówiąc już o rowerzystach wyskakujących nie wiadomo skąd - zauważyła Charlotte, bo właśnie jakiś młody człowiek na rowerze pozwolił sobie na ryzykowny skręt tuż przed maską ich samochodu.

- Poznajesz coś?

- Na razie nie, ale przypominam sobie ten krajobraz. Bałam się, że wszystko będzie strasznie zniszczone, ale widzę, że lasy są zielone, a jeziora tak samo przejrzyste jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką.

- Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie tylu nowych domów i świeżo odmalowanych budynków. - Laura zwolniła przed tablicą. - Do Olsztyna zostało osiem kilometrów. Czy chcesz zatrzymać się gdzieś po drodze?

- To będzie zależało od tego, którądy pojedziemy.

- Musimy być już na głównej drodze. Charlotte rozejrzała się dookoła.

- Na razie nie widzę tu niczego znajomego.

- A jezioro? - Laura wskazała na mały zbiornik wodny po lewej stronie szosy.

Charlotte wyraźnie pobladła.

- Jeszcze dwa, może trzy kilometry prosto, a potem zobaczymy skręt w prawo.

Powinna była zostawić sobie więcej czasu, żeby się przygotować. Ostatecznie pewne rzeczy miały prawo ulec zmianie. Drzewa urosły i okolica wyglądała teraz całkiem inaczej.

- Tam będzie aleja, trochę większa od zwykłej, drugorzędnej drogi. Kiedyś u jej wylotu stała brama z dwiema kolumnami, które miały u góry kamienne głowy wilków.

Laura zauważyła, że Charlotte drży. Zwolniła, żeby spokojnie odnaleźć punkt orientacyjny. Nigdy dotąd nie widziała babki tak zdenerwowanej, więc kiedy szczupłe dłonie Charlotte zacisnęły się w pięści, zatrzymała auto.

U wylotu alei nie było żadnej bramy, żadnych kolumn ani wilczych głów, tylko dwie porośnięte bluszczem hałdy gruzu.

- Czy to właśnie tędy mam jechać, babciu? Charlotte bez słowa skinęła głową.

Laura skrzyła i wyboistym traktem wolno ruszyła przed siebie. Stosy liści i sosnowych igieł zasłaniały nierówny bruk, więc musiała bardzo uważać, żeby nie wjechać w jakąś dziurę. Niektóre z nich były tak wielkie i głębokie, że łatwo można było w nich ugrzęznąć kołem. Nagle droga skrzyła ostro w prawo i po chwili samochód wtoczył się na olbrzymi dziedziniec. Przed nimi i po lewej stronie wznosił się potężny, sześciopiętrowy barokowy pałac w kształcie litery L.

- Czy ty tu mieszkałaś? - wyszeptała Laura, z wrazenia z trudem łapiąc oddech.

Niezdolna wymówić choćby jedno słowo Charlotte po omacku sięgnęła do klamki i wysunęła się z auta; drżała na całym ciele, mimo że w promieniach słońca było całkiem ciepło. Lekki wietrzyk niósł z lasu słabą, lecz całkiem wyraźną woń żywicy. Rozejrzała się dookoła, chciwie chłonąc oczyma każdy szczegół: znajdującą się na środku dziedzińca kamienną fontannę - figurki amorków, które niegdyś były jej ozdobą, a teraz pokruszyły się i straciły dawny wdzięk; dysze wodne, całkiem zapchane przez zielsko i oblepione zawiesiną, która wyschła i nabrała rdzawobrazowego koloru; zapadnięty dach, w którym więcej było dziur niż całych dachówek, otwory okienne zabite deskami, które na niższych piętrach w paru miejscach ktoś oderwał; popękane ściany niegdyś pięknego budynku i tynk, osypujący się w narożnikach i tak bardzo poplamiony i zniszczony przez pogodę, że tylko w jednym lub dwóch bardziej osłoniętych zakątkach z trudem dostrzegła jego dawny, kremowy kolor.

- Czy to właśnie jest Grunwaldsee? - Szept Laury zabrzmiał nienaturalnie głośno w panującej wokół ciszy.

- Bergensee - odparła Charlotte głosem nabrzmiałym od łez. - Ten dom należał do ojca wuja Ericha.

- Czyli ty też tu mieszkałaś?

- Przez krótki czas zaraz po ślubie.

- Nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że mieszkałaś w tak wspaniałym pałacu, i jestem pewna, że Claus także o tym nie wie. Dlaczego nam nie powiedziałaś?

- Bo nigdy nie bylibyście zadowoleni z tego, co macie.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy ze stajni wysunęły się jakieś śniade kobiety z włosami w kolorze hebanu i z niemowlętami na rękach. Kilkoro nieco starszych dzieci czepiało się ich spódnic. Wolnym krokiem ruszyły na ukos przez dziedziniec w ich stronę.

- Czego tu chcecie?

Pytanie zostało zadane po polsku. Charlotte zrozumiała, ale z trudem. Jej znajomość tego języka nigdy nie przekroczyła absolutnie elementarnego poziomu, nawet kiedy przed wojną jej ojciec zatrudniał Polaków do pracy na folwar-ku. Pokazała ręką na siebie.

- Von Letteberg - powiedziała.

Tym razem jedna z kobiet odezwała się płynnie po niemiecku:

- Wróciliście, żeby zażądać zwrotu domu? Charlotte znów spojrzała na ruinę niegdyś wspaniałej rezydencji i pokręciła głową.

- Nie mogłabym się o to starać, nawet gdybym chciała, a ja wcale nie chcę. - Odwróciła się do Laury. - Jedziemy.

- Nie chcesz obejrzeć niczego więcej, Oma?

- Zobaczyłam już dość.

Laura doszła do wniosku, że babcia jest zbyt zdenerwowana, żeby podejmować sensowne decyzje, więc zaproponowała inne rozwiązanie.

- Może przyjedziemy tu później?

Ale Charlotte zdążyła już się wgramolić na fotel pasażera i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Nie ma po co tu wracać - mruknęła.

- Czy Grunwaldsee także może tak wyglądać?

- Nie wiem.

Charlotte spojrzała przez ramię na Bergensee - po raz ostatni w życiu, przynajmniej taką miała nadzieję. Wszędzie widać było smutek i zniszczenie, a na dziedzińcu, skąd niegdyś powozy i automobile zabierały książąt i prezydentów, teraz kręciła się grupa Cyganek.

- Grunwaldsee nigdy nie było tak ogromne jak Bergensee. Łudzę się nadzieją, że nie jest aż tak zrujnowane. Greta miała rację. Nie powinnam była tu wracać.

Laura zamknęła w uścisku jej dłoń.

- Im szybciej dowiozę cię do hotelu, gdzie czeka dobry posiłek i miękkie łóżko, tym lepiej.

- Zupełnie tak samo mówiła moja mama. - Charlotte próbowała się uśmiechnąć, choć jej oczy były pełne łez.

Laura przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła bieg i ruszyła zarośniętą aleją z powrotem w kierunku głównej drogi.

Rozdział szósty

Laura zapukała do drzwi pokoju babki mniej więcej godzinę po tym, jak zameldowały się w hotelu. Kiedy Charlotte otworzyła, wnuczka weszła do środka i rozejrzała się wokół.

- Mój pokój jest identyczny.

- To znaczy nijaki, bezosobowy, wygodny i łatwy do sprzątnia.

Charlotte podeszła do balkonowych drzwi, skąd roztaczał się widok na jezioro.

- Nasze balkony się łączą. Wystarczy, że zapukasz w ścianę, a ja przejdę przez barierkę.

- Przez ciebie czuję się jak chora, nudna staruszka, która domaga się nieustannej opieki. Powinnaś tylko zostawić mi łaskę, żebym miała czym pukać w ścianę, no i musimy ustalić szyfr. Jedno puknięcie znaczy „Przybiegnij szybko”, a dwa „masz czas na włożenie butów”.

- Martwię się o ciebie, Oma. Nie mogę się zdecydować, czy wyglądasz bardziej na chorą czy po prostu przemęczoną.

Charlotte się uśmiechnęła.

- Jestem fizycznie zmęczona długą podróżą i wykończona emocjonalnie widokiem tego, co zastałam w Bergensee. Myślałam, że jestem wystarczająco silna, żeby sprostać każdej sytuacji, i nie było to dla mnie miłe, kiedy przekonałam się, że jest wręcz przeciwnie.

- Po prostu przeżyłaś szok. W swoich najlepszych czasach Bergensee musiało wyglądać naprawdę imponująco.

- Gospodyni mojej teściowej byłaby zachwycona, opowiadając ci, że w pałacu znajduje się czterysta sześćdziesiąt pięć pokoi, na podłogach ułożono całe hektary włoskiego marmuru, a na ścianach w salonach znajdują się oryginalne dzieła, które wyszły spod ręki takich mistrzów jak Bartłomiej Pens i Piotr Kolberg - tych samych, którzy w siedemnastym wieku ozdabiali barokowy kościół w Świętej Lipce. W jadalni wisiał nawet obraz przypisywany Leonardowi da Vinci.

- Czy to możliwe, że wciąż tam jest?

- Nie. Rosjanie ograbili i złupili każdy dom w Prusach Wschodnich. Zaręczam ci, że zostały tam jedynie puste popękane ściany i ogołocone do cna pokoje.

- I duchy? - wyrwała się Laura.

- Być może. Ale to nie moje duchy. Charlotte wróciła do pokoju i opadła na fotel.

- Powinnaś była opowiedzieć nam, jak to wyglądało.

- Przy końcu wojny ludzie za bardzo oglądali się wstecz, zamiast patrzeć w przyszłość, Lauro. To była ostatnia rzecz, jakiej chciałam dla moich synów i wnuków.

- Gdyby Claus wiedział, że jego przodkowie mieszkali w takim pałacu, zaciągnąłby cię tutaj już wiele lat temu.

- W jakim pałacu? - spytała Charlotte. - Bez dachu i bez okien, z Cyganami, którzy gnieźdzą się w przybudówkach... Wystarczy parę mroźnych zim i trochę letnich upałów, a budowla całkiem się rozpadnie. W końcu trzeba ją będzie wyburzyć, bo w przeciwnym razie sama się zawali.

- Jeszcze można by ją uratować.

- Na pewno nie zrobię tego ja, Erich czy Claus - odparła zdecydowanie Charlotte. - Kiedy Niemcy ponownie się łączyły, zachodniemiecki rząd zobowiązał się, że nikt nie wystąpi o odszkodowania wojenne ani nie będzie się domagał zwrotu ziemi, zabudowań czy też innej własności, pozostawionej na terytorium, które teraz należy do Polski.

- Ale ta posiadłość może być na sprzedaż - upierała się Laura. - Nie sądzę, żeby znalazło się wielu chętnych na dom w tak oplakany stan. Być może udałoby się go odkupić za bardzo niewielkie pieniądze.

- Nawet jeśli, to nikt z naszej rodziny nie ma tak wielkich pieniędzy, żeby przeprowadzić renowację Bergensee, nie mówiąc o przywróceniu majątku do dawnej świetności. Zresztą nikt z nas nie mówi po polsku, więc z jakiego powodu mielibyśmy żyć właśnie tutaj?

- Nigdy nie chciałaś nam opowiadać o Grunwaldsee.

- Niebawem zobaczysz je sama, na własne oczy - odparła wykrętnie Charlotte.

Laura okazała się niezwykle taktowna.

- Może wolisz być sama i zjeść kolację tu, w swoim pokoju?

- Wiem, że to okropne z mojej strony, ale czy nie miałybyś nic przeciwko temu?

- Absolutnie nic. Muszę rozpakować rzeczy i trochę się rozejrzeć. Uwielbiam na własną rękę poznawać nowe miejsca. Człowiek nigdy nie wie, kogo spotka.

- Dziękuję, że jesteś tak wyrozumiała, i że jesteś tu ze mną.

Laura podeszła do drzwi.

- Śniadanie podają do dziesiątej. Może zadzwonię do ciebie o dziewiątej, żeby cię obudzić?

- Obiecuję, że postaram się być w lepszym nastroju niż dziś. Będę się zachowywać jak normalny człowiek.

- Ty zawsze jesteś normalnym człowiekiem, Oma - powiedziała Laura i na pożegnanie cmoknęła babcię w policzek. Chwilę później zostawiła ją samą w cieniu dawno nieistniejącego kraju i wśród duchów, które zgromadziły się w tym pokoju, wypychając ją na zewnątrz.



Środa, 20 grudnia 1939

Papa nie żyje! Nawet teraz, pisząc te słowa, nie mogę w to uwierzyć. Telegram nadszedł w południe. Umarł wczoraj w nocy na atak serca, w hotelu w Monachium. Jego ciało zostanie przywiezione tutaj, żebyśmy mogli go pochować w Grunwaldsee. Mama wpadła w histerię, więc posłałam po doktora, który zaaplikował jej środki uspokajające. Potem zadzwonił do kogoś z władz, a ten ktoś powiedział, że trumna zostanie zapieczętowana i pod żadnym pozorem nie wolno nam jej otwierać. Wytłumaczył, że czasem podczas ataku serca rysy twarzy ulegają zmianie, a my powinniśmy zapamiętać papę takiego, jaki był dawniej, a nie tak, jak wygląda po śmierci.

Staram się być silna i robić to, co on by sobie życzył, po prostu dlatego, że nie ma nikogo poza mną, kto mógłby zająć się pogrzebem, chociaż tak jak mama najchętniej położyłabym się do łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i ukryła się przed całym światem.

Doktor zapewnił mnie, że mama nie obudzi się przez co najmniej sześć godzin, więc poprosiłam Minnę, żeby z nią posiedziała. Potem zadzwoniłam do pastora i do moich teściów. Papa von Letteberg pracuje w Ministerstwie Wojny, więc mam nadzieję, że jakoś uda mu się skontaktować z Wilhelmem i Paulem i załatwić im przepustki, żeby mogli przyjechać do domu na pogrzeb. Zadzwoniłam także do Greta, która jest w Polsce. To było straszne zawiadomić ją o papie przez telefon. Już po wszystkim rozmawiała ze mną tak dziwnie, że zadzwoniłam jeszcze raz na jej kwatery i powiedziałam jednej z dziewcząt z BDM, co się stało. Obiecała, że zajmie się Gretą, dopóki nie nadejdzie jej dokument podróży.

Brunon był w holu, kiedy przyniesiono telegram, więc poprosiłam, żeby zebrał wszystkich pracowników. To mama, Wilhelm albo Paul, któreś z nich powinno im powiedzieć, że papa nie żyje, ale ponieważ mama nie była w stanie pokazać się komukolwiek, a moi bracia są na froncie, więc ten obowiązek spadł na mnie. Nigdy nie czułam, że jakieś zadanie do tego stopnia mnie przerasta. Ale teraz papa odszedł, więc ktoś musi zarządzać Grunwaldsee, dopóki wojna się

nie skończy i bliźniacy nie wrócą do domu. Wydaje mi się słuszne, że powinnam wziąć na siebie tyle ciężaru, ile zdołam unieść, żeby oszczędzić mamie pracy i dodatkowych zmartwień. Gdybym tylko przez tę ciążę nie czuła się aż tak źle!

Moi teściowie przyjechali taki kawał drogi z Berlina i dotarli do Grunwaldsee późnym wieczorem. Są cudowni. Papa von Letteberg już dzwonił do dowódcy Wilhelma i Paula i wysłał telegram do Clausa, który akurat wyjechał z Kwatery Głównej. Pomógł mi także załatwić wszystkie sprawy związane z pogrzebem, który odbędzie się w wigilię Bożego Narodzenia. Obiecał też, że oboje zostaną ze mną w Grunwaldsee aż do Nowego Roku.

Wszyscy myślą, że odpoczywam, ale pójdzie do łóżka to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Wiem, że nie zmrzyłabym oka, a doktor nie może mi przepisać środków nasennych ze względu na dziecko. Poszłam więc do pokoju mamy, odesłałam Minnę, żeby się wyspała, sama zaś usiadłam obok mamy i zajęłam się pisaniem.

Trudno mi oswoić się z myślą, że już więcej nie zobaczymy papy. Drzwi do jego ubieralni są otwarte. Z mojego miejsca widzę toaletkę, a na blacie wykładane bursztynem pudełko, w którym trzymał spinki do krawata i spinki do koszuli. Tuż obok leży komplet srebrnych szczotek. Nigdy nie zabierał ich z Grunwaldsee, bo uważał, że są zbyt okazałe, żeby z nimi podróżować. Czy odeślą nam jego ubrania i te zwykłe, drewniane szczotki, kiedy papa wróci do domu?

Jego ciało zostanie przywiezione do Allenstein w sobotę pociągiem o trzeciej po południu. Mam zamiar wyjechać na stację. Papa von Letteberg mówił, że bym tego nie robiła, ale ja się uparłam; zamówił karawan, który przyjedzie na stację. Pewnie wezmę ze sobą Brunona. Jeszcze tyle muszę się nauczyć. To prawdziwe szczęście, że Brunon jest ze mną. Cokolwiek będzie, muszę postarać się zwalczyć moją słabość i złe samopoczucie. Muszę być silna - dla mamy, Wilhelma i Paula - ponieważ gdy wojna się skończy, chłopcy wrócą do domu, a więc muszę wziąć na siebie odpowiedzialność za nasz majątek, dopóki nie nadejdzie pora, żeby przejęli go ode mnie.

Ten dom ma dla nas wielką wartość; jest naszym obowiązkiem, moich braci i moim, żeby dbać o niego, chronić go i utrzymywać w dobrym stanie, byśmy mogli go przekazać pokoleniom, które przyjdą po nas. Poza tym muszę opiekować się mamą. Papa z pewnością tego by po mnie oczekiwał. Muszę być silna. Po prostu muszę.



- No cóż, skoro już tu jesteśmy, to co chcesz najpierw robić? - spytała Laura, gdy Charlotte stanęła w długiej kolejce do hotelowego bufetu.

- Coś zjeść, oczywiście jeżeli zostało cokolwiek do jedzenia.

Cofnęła się o krok, by uniknąć zderzenia z łokciem pewnego postawnego Niemca, który właśnie zgarnął na swój talerz połowę półmiska z zimnym mięsiwem.

Laura podniosła koszyczek z pieczywem.

- Na jakie bułeczki masz ochotę? Z sezamem, makiem, pełnoziarniste czy mleczne?

- Wybierz sama.

- Pomyślałam, że jeśli nie chcesz dzisiaj jechać do Grunwaldsee, to może zrobiłybyśmy sobie spacer po mieście? Z tego, co widziałam po drodze, jest tu kilka interesujących starych budynków i musi też być jakaś galeria sztuki albo sklepik z rękodziełem artystycznym.

- W zamku jest wystawa francuskiego plakatu artystycznego z dziewiętnastego wieku - nieśmiało powiedziała po angielsku kelnerka, stawiając przed nimi zamówioną wcześniej kawę.

- O czym myślisz, Oma? - spytała Laura.

- Czy ty jesteś tak wyczulona, czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy? - spytała cicho Charlotte, podnosząc dzbanek, żeby napełnić filiżankę.

- Nie trzeba być szczególnie wrażliwym, żeby dostrzec, jak okropne wrażenie wywarł na tobie widok Bergensee. To było coś strasznego. Mnie samej chciało się płakać, choć przecież nie wiem, jak wyglądał ten pałac, zanim stał się ruiną.

- Nie potrafię znieść myśli, że być może Grunwaldsee jest w takim samym stanie.

- Możemy poprosić miejscowych ludzi i dowiedzieć się, czy dwór wciąż stoi.

- Nie - przerwała ostro Charlotte. - Wiem, że zachowuję się irracjonalnie, ale nie mam ochoty rozmawiać z kimkolwiek o Grunwaldsee, dopóki tam nie pojedę i nie zobaczę go na własne oczy.

- Ale całkiem możliwe, że po tylu latach w mieście nie ma już nikogo, kto by ciebie pamiętał - zauważyła Laura.

- Tak, pewnie nie ma już nikogo, ale widziałas wczoraj tamte Cyganki? One znały nazwisko von Letteberg, mimo że nie mogły wprowadzić się do Bergensee przed zakończeniem wojny. Ich rodziny pewnie od paru dekad gnieźdzą się w tych przybudówkach. Czy ty nie byłabyś oburzona, gdyby ktoś zjawił się nagle przed twoim domem i powiedział, że to jego własność?

- Przecież tak nie powiedziałaś, a poza tym ty też kiedyś mieszkałaś w tym domu - zauważyła Laura. - Zresztą na ich miejscu sama próbowałabym dowiedzieć się czegoś o historii tego miejsca.

- Odniosłam wrażenie, że w przeciwieństwie do ciebie te kobiety nie były ani trochę zainteresowane naszą przeszłością.

- Nie mogą mieć do ciebie pretensji, że chciałaś zobaczyć swoją dawną posiadłość.

- Z tego, co słyszałam od przyjaciół, którzy wcześniej byli w tych okolicach, niektórzy z obecnych właścicieli niezbyt chętnie pokazują dawnym właścicielom ich przedwojenne domy.

Charlotte posmarowała masłem bułeczkę i położyła na wierzchu plasterek wędzonego sera.

- Być może wiedzą, że nie zostały wypłacone żadne odszkodowania, i boją się, że dawni właściciele wystąpią o zwrot swojej własności - odparła Laura, dolewając sobie mleka do kawy.

- Zgodnie z prawem wszystkie roszczenia są bezpodstawne i obecni właściciele z pewnością mają tego świadomość. Zresztą tylko nieliczni odkupili swoje nieruchomości od reżimu komunistycznego.

- Myślałam, że to niedozwolone.

- Ale się zdarza, zwłaszcza w wypadku funkcjonariuszy państwowych takich jak policjanci.

Charlotte odchyliła się do tyłu i uważnie rozejrzała po sali. Oprócz grupki młodych mężczyzn w garniturach większość gości hotelowych stanowili starsi ludzie, którzy, jak podejrzewała, przyjechali tutaj w tym samym celu co ona.

- Wciąż uważam, że mimo wszystko powinnaś pokazać Clausowi Bergensee.

- Zgadza się, że powinien zobaczyć pałac, oczywiście jeśli będzie chciał. Ale nawet gdybyśmy mogli się starać o odzyskanie Bergensee albo Grunwaldsee - a zaznaczam, że nie możemy - to co ja albo wujek Erich zrobilibyśmy z tymi domami? Erich powiedział mi niedawno, że ledwie pamięta, jak tu mieszkał. Miał przecież tylko cztery lata, gdy musieliśmy opuścić te strony.

Charlotte przymknęła oczy, usiłując wygnać z pamięci bolesne wspomnienia o dramatycznej ucieczce z rodzinnego kraju, których nigdy nie zdołała do końca wymazać.

- Bergensee nawet w ruinie wciąż jest imponującą rezydencją - dumiała Laura.

- Więc mam nadzieję, że nowy właściciel okaże się wystarczająco bogatym człowiekiem, kimkolwiek on lub ona jest lub będzie. Widziałas, w jak opłakanym stanie znajduje się pałac. Co o tym sądzisz? Milion dolarów wystarczy, żeby rozebrać go do końca? Sześć milionów, żeby przywrócić tę ruinę do dawnej świetności?

- Pewnie masz rację - poddała się Laura. - Ale muszę przyznać, że po zobaczeniu tego domu zaczęłam zazdrościć Clausowi. Historia rodziny jego ojca jest o tyle bardziej interesująca od mojej! Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym wiedzieć o istnieniu takiego gniazda moich przodków jak Bergensee i nie chcieć w nim zamieszkać.

- W takim razie dobrze, że urodziłaś się w rodzinie Templetonów, a nie von Lettebergów. Na litość boską, co mogłabyś robić tu, w środku Polski, żeby zapracować na swoje utrzymanie, pamiętając przy tym, że nie znasz ani jednego słowa w tutejszym języku?

- Wybacz, moje romantyczne porywy nie sięgają tak przyziemnych spraw jak praca albo konieczność płacenia rachunków.

- Romantyczne porywy nie są wcale złe, oczywiście jeśli dadzą się przyhamować odrobiną zdrowego rozsądku. Zresztą bez nich nigdy nie mogłabym stać się artystką. - Charlotte odstawiła filiżankę na spodek.

- Chociaż historia rodziny Clausa może rzeczywiście wydaje się wspanialsza od twojej, to wcale nie jestem przekonana, czy jest bardziej interesująca. Twój ojciec parę lat temu powiedział mi, że po przejściu na emeryturę dziadek Templeton zajął się uzupełnianiem drzewa genealogicznego i że udało mu się odnaleźć korzenie waszej rodziny sięgające piętnastego wieku.

Laura się skrzywiła.

- Z tego, co wiem, moi przodkowie zajmowali się handlem tkaninami na Cheapside. Żaden z nich nie miał ani takiej wizji, ani wystarczających środków, żeby stworzyć coś na miarę Bergensee.

- Bergensee było zwykłym domem. Wszystko jedno, czy człowiek jest biedny czy bogaty, jedna osoba potrzebuje dla siebie maksimum sześciu pomieszczeń, włączając w to kuchnię i łazienkę. Resztę dworu zajmowali goście i służba, a to oznaczało, że nigdy nie mieliśmy tu chwili spokoju ani odrobiny prywatności. - Charlotte odsunęła talerzyk i filiżankę po kawie.

- Może wybierzemy się na spacer po mieście?

- Bardzo chętnie. - Laura także wstała od stołu.

- W takim razie spotkamy się za godzinę. Odkąd skończyłam osiemdziesiąt lat, po śniadaniu muszę trochę odpocząć.

Przed wyjściem Charlotte chciała koniecznie przeczytać następny fragment pamiętnika i w ten sposób oderwać się od tragedii związanej ze śmiercią ojca.

- Dobrze, Oma. Właściwie to całkiem mi pasuje. Dzięki temu będę miała czas, żeby sprawdzić pocztę.

- Ciągle jesteś w pracy?

- Chętnie się dowiem, co moi szefowie myślą o ostatnim materiale dokumentalnym, jaki im wysłałam. Do tej pory powinni byli otrzymać wszystkie nagrania.



Niedziela, 24 grudnia 1939

Brunon i pozostali pracownicy mówili, żeby nie ustawiać w tym roku wielkiej choinki w holu, ale ja nalegałam. Papa z pewnością nie chciałby sprawiać rozczarowania dzieciom naszych robotników, zwłaszcza w czasie wojny, kiedy jest tak mało innych przyjemności, na które można czekać z utęsknieniem. Staram się robić wszystko tak, jak robiłby papa, gdyby był z nami. Mama wciąż jest zbyt chora, by wstać z łóżka.

Papa von Letteberg i ja pojechaliśmy wczoraj na stację i spotkaliśmy tam Gretę, która szukała taksówki. Nie mam pojęcia, czemu nie zadzwoniła do domu, żeby powiedzieć, o której przyjeżdża. Na pewno wysłałabym Brunona, by ją przywiózł. Poczekala razem z nami na pociąg z Monachium, który przywiózł trumnę z ciałem papy. Chciałam zamienić z Gretą kilka słów, ale stacja nie wydawała się odpowiednim miejscem na taką rozmowę, a kiedy wróciliśmy do domu, już czekała na nas Frau Gersdoff, kwiaciarka. Później, gdy już zamówiliśmy wieńce i kwiaty, Greta zamknęła się w swoim pokoju. Słyszałam, jak płacze. Sama też miałam ochotę płakać, więc trudno mi było wymyślić coś, co mogłoby ją pocieszyć.

Moja siostra wdała się w potworną kłótnię z Frau Gersdoff. Najwyraźniej w kwiaciarni jest za mało czerwonych róż, co o tej porze roku nie powinno nikogo dziwić, ale Greta upierała się, że wieńiec musi się składać z dwustu pączków. W końcu musiała zadowolić się tuzinem róż i kilkoma liliami. Usiłowałam jej przemówić do rozsądku, tłumaczyłam, że papa nienawidził ostentacyjnej okazałości, zwłaszcza podczas wojny, ale nie chciała słuchać i stanowczo odmówiła jakiegokolwiek udziału w ustalaniu szczegółów pogrzebu, który załatwił mój teść. Spytałam mamę, czy wyraża zgodę na wybrane przez nas hymny, ale nie była w stanie nawet mówić, co wcale nam nie pomogło.

Wilhelm i Paul przyjechali do domu dziś w porze obiadu i teraz wszyscy się przebieramy, żeby pójść do kościoła. Będą tam Irena, jej rodzice, Manfred, który przyjechał na przepustkę, i oczywiście mama i papa von Letteberg, tak samo zresztą jak wszyscy nasi dzierżawcy i robotnicy pracujący w majątku. Nie wiem, kto jeszcze przyjedzie, ale odkąd poszłam na górę, wciąż słyszę warkot zatrzymujących się na dziedzińcu samochodów i skrzypienie śniegu pod nogami ludzi zmierzających dróżką w stronę kościoła.

Poszłam tam dziś rano, żeby popatrzeć na kwiaty. To było straszne widzieć otwartą kryptę, przygotowaną na przyjęcie papy. Wprost nie mogę znieść myśli, że jego trumna spocznie niedługo obok trumien babci i dziadka, i wszystkich innych von Datskich. Claus na razie się nie odezwał, co wszyscy poza mną uważają za dziwne. Czuję się taka samotna i odrętwiała. Myślałam, że małżeństwo oznacza koniec mojego dzieciństwa, ale to nie był koniec, bo papa zawsze znajdował się obok, żeby mnie kochać, chronić i prowadzić. Teraz go nie ma, a mnie przygniata straszny ciężar i poczucie osamotnienia.



Charlotte upierała się, że sama poprowadzi wynajęte auto do centrum Allenstein. Skierowała się prosto do starej dzielnicy miasta i zaparkowała na spokojnej, cichej uliczce, porośniętej z obu stron wysokimi drzewami.

Laura przyjrzała się solidnym ścianom budynków.

- Te domy wyglądają na przedwojenne.

- Bo są przedwojenne. To bardzo dziwne, ale ta ulica nie zmieniła się od sześćdziesięciu lat. Ludzie i rządy przychodzili i odchodzili, a tu zwykle życie płynęło swoim torem, nie bacząc na nic. Mullerowie mieszkali tam, na pierwszym piętrze - wskazała na dom w stylu art déco, który pasowałby jak ulał do paru miejsc w Nowym Jorku. - Nad nimi mieszkała rodzina Heine, a na samym końcu nad sklepem mieli swoje mieszkanie Freibergowie. Ich ojciec był kuzynem w drugiej linii mojego ojca.

- Czy wszyscy zdecydowali się uciec, kiedy przy końcu wojny wkroczyli tu Rosjanie? - pytała Laura.

- Nie. Frau Muller i jej mąż nie należeli do błyskotliwych ludzi, świeć Panie nad ich duszami. Pobrali się dość późno i mieli jedną córkę, Ninę, która była moją serdeczną przyjaciółką. Mieszkała w Berlinie, kiedy nadeszli Rosjanie. Słyszałam później, że przeżyła wojnę. Jej ojciec pracował na kolei.

Zgodnie z rozkładem miał prowadzić pociąg jadący na wschód, i chociaż zalewała nas powódź niemieckich żołnierzy cofających się pod naporem armii rosyjskiej, on uznał, że musi się trzymać wyznaczonej trasy, i pojechał prosto w tamtą stronę. Jego żona nie chciała uciekać bez niego, chociaż sąsiedzi błagali, żeby z nimi wyjechała. Koniecznie chciała zostać i czekać na powrót męża.

- I co się wydarzyło?

- Nikt więcej nie widział Herr Mullera, choć mogliśmy się domyślać, jaki los go spotkał. Frau Muller padła ofiarą zbiorowego gwałtu i została zamordowana przez sowieckich żołdaków, którzy porzucili jej ciało na ulicy. Pewien niemiecki żołnierz, schwytyany w mieście przez Rosjan, wiele lat później napisał o tym, czego był świadkiem. Najwyraźniej ciało pani Muller leżało tu przez wiele dni.

Laura nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w okno, które wskazała Charlotte. Trudno było sobie wyobrazić, że w tak spokojnej okolicy mógł się rozegrać podobny horror.

- A twoi kuzyni Freibergowie?

- Herr Freiberg pracował w aptece. Na wieść o nadejściu Rosjan otruł siebie, swoją żonę i czworo dzieci. Najstarszy chłopiec miał dwanaście lat i w naszej szkole muzycznej był uważany przez nauczycieli za wybitnie utalentowanego, niemal geniusza.

W oczach Laury błysnęły łzy.

- Nie miałam pojęcia, co się działo w Prusach Wschodnich pod koniec wojny - wyszeptała.

- Dziwnie jest znów być tutaj.

Charlotte odwróciła się, żeby rzucić okiem na stary klasztor, który znajdował się naprzeciwko osiedla. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała; pomalowane na kremowy i brązowy kolor ściany i mniszki w czarnych habitach z białymi welonami, idące w górę lub dół po schodach, które wiodły do pobliskiego kościoła.

- To moje rodzinne miasto. Znałam tu każdą ulicę i prawie każdą rodzinę mieszkającą w tych domach. To byli moi koledzy i koleżanki z klasy, krewni, współpracownicy mojego ojca... Ludzie, którzy stanowili tak integralną część mojego życia, że ich obecność uważałam za coś oczywistego. Mam wrażenie, jakbym zbudziła się z koszmarne snu, w którym budynki się zestarzały, a ludzie zniknęli, lecz ja sama pozostałam tak samo młoda jak dawniej. - Obrzuciła Laurę smutnym uśmiechem. - To właśnie jest najbardziej przerażające w starości. W środku czuję się tak, jakbym nadal miała osiemnaście lat. I wciąż wydaje mi się, że wystarczy skrócić za róg tamtego domu, a strzykanie i bóle stawów nagle znikną, a moi bracia będą tam na mnie czekać w swoich nowych samochodach.

Laura wzięła ją pod rękę.

- Nawet nie umiem sobie wyobrazić, ile przecierpiałas i jak bardzo cierpisz nadal. Widziałas, jak wrogowie pustoszą twoje rodzinne miasto. Musiałaś uciekać, żeby ratować życie, a teraz wracasz, żeby się przekonać, że wszyscy znajomi odeszli i wszystko się zmieniło.

- Nie wszystko. - Charlotte wskazała na klasztor.

- Chcesz teraz pójść na tę wystawę w zamku?

- Pokojówka zdradziła mi sekret, że w pobliżu jest znakomita kawiarenka z lodami. Co ty na to? Trzeba jeść tyle lodów, ile się da, zanim lekarze zabronią mi takich szaleństw. Chodź, pójdziemy, zobaczymy w tym zamku to, co chcemy zobaczyć, i zamówimy największy deser lodowy, jaki tam podają.

- A potem? - spytała Laura.

- Potem wrócimy do hotelu, zjemy lunch i odpoczniemy trochę przed wyjazdem na jedną z tych konnych przejażdżek dookoła jeziora, które reklamują w recepcji.

Charlotte wsparła się na ramieniu wnuczki i powoli ruszyły w górę, w stronę wznoszącego się nad jeziorem czternastowiecznego zamku z czerwonej cegły. Celowo pominęła milczeniem fakt, że to samo jezioro graniczyło z Grunwaldsee.

Duży dom znajdował się w pewnej odległości od brzegu, ale było parę miejsc, skąd można go było dostrzec, więc Charlotte miała nadzieję, że ukradkiem uda się jej sprawdzić, czy mury wciąż stoją. Tak samo chciała się dowiedzieć, czy w nowym milenium ocalał mały domek letni, położony nad samą wodą, który w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku jej ojciec tak pięknie odnowił na miasteczko Wilhelma i Ireny, a który później służył jej jako miejsce ucieczki i schronienie podczas najpiękniejszych letnich miesięcy życia.

Poniedziałek, 25 grudnia 1939

Złożyliśmy papę do krypty na wieczny spoczynek wczoraj po południu, dokładnie o czwartej. Przybyło tyle osób, że pastor był zmuszony ograniczyć dostęp do kościoła do rodziny i najbliższych przyjaciół. Nieprzebrany tłum stał na zewnątrz - mężczyźni z głowami odkrytymi na znak szacunku. Były ich dziesiątki, setki... Mam wrażenie, że zgromadziło się tam całe miasto. Nie wiedziałam, że papa znał tylu ludzi.

Chociaż mama nie opuszczała łóżka od chwili, gdy nadszedł telegram, jednak domagała się, że koniecznie musi iść do kościoła. Powiedziała, że jeśli jej zabronimy, to do końca życia będzie żałować, że nie pożegnała się z papą.

Doktor pozwolił jej wziąć udział w nabożeństwie, pod warunkiem że zaraz po nim wróci do łóżka. Razem z Gretą pomogłyśmy jej się ubrać; ponieważ istniała obawa, że mama może zemdleć, Wilhelm i Paul szli po jej obu stronach i siedzieli z nią przez cały czas trwania uroczystości. To było straszne, wyprowadzać trumnę z domu i iść za nią przez całą alejkę prowadzącą do kościoła.

Brunon i pięciu naszych najstarszych pracowników nieśli papę na ramionach podczas tej jego ostatniej drogi. Za nimi szli Wilhelm i Paul z mamą. Greta szła razem ze mną. Jeszcze nie zdążyliśmy dojść do kościoła, gdy poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciłam się i ujrzałam za sobą Clausa. Wyglądał na chorego. Już po wszystkim powiedział mi, że podróżował non stop przez trzy dni i trzy noce. Był na ćwiczeniach, kiedy dotarła do niego wieść o śmierci papę, i chociaż dowódca natychmiast wydał zgodę na wyjazd, to ze względu na święta Bożego Narodzenia pojawiły się pewne problemy z pociągami.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek napiszę te słowa, ale dobrze było mieć go tuż obok podczas nabożeństwa w kościele. Wszedł z nami do krypty, gdy składaliśmy tam trumnę papę, a po uroczystości towarzyszył mi do domu. Tylu ludzi przyszło, aby złożyć nam wyrazy współczucia. Byłam wdzięczna, że Martha, żona Brunona, całkowicie wzięła na siebie przygotowanie poczęstunku. Nie mam pojęcia, gdzie udało jej się zdobyć to wszystko, ale była herbata i prawdziwa kawa, i wino, i brandy, których starczyło dla wszystkich gości. Ciasta, konfitury i kanapki pochłonęły chyba nasze racje żywnościowe na cały przyszły miesiąc, ale to nie miało znaczenia. Ważne jest tylko to, że papa został pochowany z należnymi honorami, a ceremonia była odpowiednio uroczysta.

Kiedy już większość ludzi z miasta odjechała, razem z Gretą pomogłyśmy mamie się rozebrać, a doktor dał jej następną dawkę środków nasennych. Ponieważ Greta upierała się, że z nią posiedzi, poszłam poszukać Clausa. Siedział w jadalni razem z Wilhelmem, Paulem, państwem Adolf, swoimi rodzicami i kilkorgiem naszych dalszych krewnych i bliższych przyjaciół. Powiedział mi, że dostał przepustkę aż do pierwszego dnia po świętach. Ani on, ani żaden z bliźniaków nie mówili zbyt wiele na temat tego, co się dzieje w Polsce, ale kiedy Herr Adolf i paru innych mężczyzn zaczęło dopytywać się, kiedy Wehrmacht zamierza wypchnąć Anglików z Francji, wszyscy trzej zamilkli na dobre, więc według mnie walki we Francji rozpoczną się niebawem.

Wiedziałam, że Claus chciałby zostać ze mną sam na sam, ale była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyłam, poszłam więc do holu nadzorować ubieranie świątecznego drzewka. Minna kazała ustawić stoły na prezenty z okazji świąt. Moje prezenty wciąż były na górze, ale jakoś nie wydawało mi się właściwe, żeby znieść je na dół i położyć na stole tego samego dnia, gdy chowaliśmy papę - zwłaszcza że z szacunku dla Jego pamięci i ja, i Brunon zdecydowaliśmy się zerwać z tradycją.

Nie chcąc święcić wigilii Bożego Narodzenia w dniu pogrzebu papieża, ustaliliśmy, że dzieci pracowników przyjdą obejrzyć drzewko jutro rano i że dopiero potem otworzymy nasze prezenty. Wydawało się trochę dziwne odprawiać te małe ceremonie - jakiegokolwiek były - dzień później i w dodatku po śniadaniu, ale Boże Narodzenie już nigdy nie będzie dla mnie takie jak dawniej.

Przed powrotem do łóżka mama stanowczo zażądała, żeby ślub Wilhelma i Ireny odbył się zgodnie z planem, ponieważ papa na pewno nie życzyłby sobie żadnej zwłoki ze względu na jego osobę.

Przez cały czas wszyscy, łącznie ze mną, powtarzali: „Papa właśnie tego by chciał”. Mówiliśmy tak bez zastanowienia. Pewnie już o tym pisałam, ale kiedy mama wspomniała o weselu, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nikt z nas nie wie, czego papa by sobie życzył, a on sam już nam tego nie powie.

Wysłałam Minnę na górę, żeby przyniosła moje prezenty dla wszystkich, ale powiedziałam, żeby schowała je w pokoju do szycia aż do następnego ranka. Potem poprosiłam Brunona, żeby zniósł ze strychu jeszcze jeden składany stół na ślubne prezenty Wilhelma i Ireny. I właśnie wtedy mama von Letteberg domyśliła się, z jak wielką niecierpliwością Claus czeka na chwilę, kiedy zostanie tylko ze mną, więc zaproponowała, żebyśmy poszli na górę, a ona zajmie się dalszymi przygotowaniami.

Nie miałam pojęcia, jak bardzo będzie mi przeszkadzać obecność mojego męża w pokoju, który od czasów niemowlęctwa należał tylko do mnie. Chociaż łożo z baldachimem, które mama kazała tu wstawić jeszcze podczas naszego miodowego miesiąca, jest naprawdę olbrzymie, z trudem dopuszczałam do siebie myśl, że będę zmuszona dzielić je z Clausem. A teraz on tu był - leżał w mundurze na haftowanej kapie z lnu, a jego buty stały pod drzwiami, czekając na Brunona, który powinien zabrać je na dół i oczyścić.

Claus pocałował mnie i powiedział parę komplementów na temat mojej figury. Odparłam, że ciągle wymiotowanie tak mnie wykończyło, że nie miałam kiedy przytyć. Usłyszałam, że bardzo się cieszy z dziecka i że wie z listów swojej matki, że czuję się niezbyt dobrze i bardzo za nim tęsknię. Próbowałam się uśmiechnąć, ale chyba mi się nie udało. Wciąż myślałam o papie, który spoczywał w lodowato zimnej krypcie - o papie, który wręcz nie znosił chłodu.

Claus zaproponował, żebyśmy napili się wina i poszli do łóżka. Minęła dopiero dziewiąta wieczorem, ale stwierdził, że wyglądam na tak samo wykończoną jak on. Nie było sensu się sprzeciwiać, ponieważ wiedziałam, że wszyscy myśleli, że zostaniemy na górze aż do rana.

Zastanawiam się, czy powoli zaczynam się przyzwyczajać do tego, co Claus ze mną robi, czy może on staje się nieco delikatniejszy. Tym razem nie bolało mnie tak jak poprzednio, choć nadal wzbudzało to we mnie odrazę. Już po wszystkim zebrało mi się na wymioty, ale to nie miało żadnego znaczenia, ponieważ na szczęście Claus zdążył zasnąć. Wstałam więc i wzięłam się do pisania, bo leżenie obok i słuchanie, jak on chrapie, było wręcz nie do wytrzymania. Potem, gdzieś około trzeciej nad ranem, dopadł mnie straszliwy głód i pragnienie, i wtedy uświadomiłam sobie, że prawie nie jadłam od chwili, gdy papa zmarł, włożyłam więc szlafrok i wyslizgnęłam się z sypialni.

W domu panowała cisza jak makiem zasiał. Zajrzałam do pokoju mamy. Greta uparła się, żeby z nią zostać - prawdopodobnie po to, by wszyscy się przekonali, jaka z niej męczennica - choć jej poświęcenie było całkiem niepotrzebne, bo usnęła na szezlongu, więc gdyby mama rzeczywiście czegoś potrzebowała, to Greta w niczym by jej nie po-

mogła. Spała jak kamień, ponieważ nawet nie drgnęła, kiedy na palcach przeszłam przez cały pokój i wyłączyłam wszystkie światła z wyjątkiem małej lampki przy łóżku.

Nawet Putzi ledwo raczyła podnieść łeb ze swojego koszyka, gdy skradałam się po schodach. To tyle, jeśli chodzi o jej przydatność jako psa stróżującego. Ktoś ułożył prezenty na stołach. Na kilku paczuszkach zauważyłam pismo Clausa, więc widocznie musiał poprosić swoją mamę, żeby wyjęła je z jego walizki.

Właśnie szłam do kuchni, gdy z gabinetu ojca doleciały do mnie jakieś szmery. Zamarłam, na wpeł spodziewając się, że go tam zastanę. Z przerażeniem popchnęłam drzwi, ale to nie był papa, tylko Wilhelm i Irena. Zamknęli na klucz drzwi prowadzące do holu, ale najwidoczniej Wilhelm nie zwracał sobie głowy tymi drugimi, małymi, które łączą gabinet z częścią domu przeznaczoną dla służby. Oboje stali przed kominkiem, szepcząc coś do siebie tak cicho, że nie mogłam dosłyszeć, o czym mówią. Nagle Irena sięgnęła do spodni Wilhelma i zaczęła je rozpinąć - osobiście nie wyobrażałam sobie, żebym mogła robić coś takiego z Clausem - a potem pomogła mu pozbyć się ubrania, podczas gdy on rozbierał ją.

Stałam tam, bojąc się poruszyć, żeby nie zobaczyli mojego odbicia w lustrze nad kominkiem.

Poza tym, choć wstyd mi się przyznać, chciałam zobaczyć, czy Wilhelm sprawi Irenie tak samo wielki ból, jaki Claus sprawiał mnie.

Ale kiedy już leżeli nadzy na dywaniku przed kominkiem, Irena pocałowała Wilhelma. Całowała całe jego ciało. Każde miejsce. Byłam w szoku. Sama myśl o całowaniu Clausa w usta przyprawiała mnie o mdłości. Potem Wilhelm zaczął ją gładzić i całować. Mogłam się wycofać, ale nie zrobiłam tego, bo nie wierzyłam własnym oczom. Irena nie tylko nie powstrzymywała Wilhelma i pozwalała mu na wszystko, na co miał ochotę, lecz przez cały czas uśmiechała się i śmiała, jakby jego dotyk sprawiał jej prawdziwą przyjemność! Jeśli odczuwała ból, to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać.

Czy to możliwe, że Nina miała rację? Czy naprawdę niektóre kobiety lubią, kiedy mężczyźni wyprawiają z nimi takie rzeczy? Sądząc po tym, co Irena robiła Wilhelmowi, a on jej, wydawało się oczywiste, że to nie pierwszy raz, kiedy są sami i nadzy.

Przekradłam się z powrotem do sypialni i usiadłam, żeby napisać te słowa. Claus ciągle śpi. Czuję się zmęczona i chora, i wciąż chce mi się jeść, ponieważ nie wzięłam nic z kuchni, żeby przypadkiem nie spowodować jakiegoś hałasu, który mógłby przeszkodzić Wilhelmowi i Irenie.

Wciąż nie mogę zrozumieć, jak ona mogła leżeć nago w ramionach Wilhelma i wcale się nie wstydzić. Czyżby była lepszą aktorką niż ja? Albo może rzeczywiście lubi uprawiać miłość?

Czy odraza, z jaką przyjmuję wszystkie zabiegi Clausa, jest w całości i wyłącznie moją winą? Może powinnam się postarać, żeby być dla niego lepszą żoną? Chciałabym z kimś o tym porozmawiać. Zawsze byłam bliżej z Ireną niż z Gretą. Potrafiłyśmy swobodnie rozmawiać na każdy temat i robiłyśmy to przy każdej okazji. Może kiedy już wyjdzie za Wilhelma, zdobędę się na to, żeby podyskutować z nią o intymnej stronie małżeńskiego pożycia. Przynajmniej mam taką nadzieję.



Laura wychyliła się z otwartego powoziku, by sprawdzić, czy woźnica tylko udaje, czy rzeczywiście okłada batem parę siwków, które ciągnęły pojazd. To, co ujrzała, musiało ją uspokoić, bo z powrotem wsunęła się do środka.

- Ta okolica trochę mi przypomina bardziej odludne rejony Maine. Na przykład tamten kawałek lasu wygląda tak, jakby nie zmienił się od stuleci.

- Bo pewnie się nie zmienił - przyznała Charlotte z roztargnieniem.

Przeczesała wzrokiem linię brzegową w poszukiwaniu letniego domku stojącego poniżej Grunwaldsee; nawet jeśli tam był, to nie mogła go dostrzec, tak samo jak ścian dawnej oficyny. Ale wtedy przyszło jej do głowy, że młode drzewka, które zapamiętała jako ledwie wyrosłe z ziemi sadzonki, teraz były już wysokie, a gęste poszycie mogło zasłaniać wszystkie ocalałe pozostałości zabudowań.

Laura z zainteresowaniem obserwowała dwie jolki, ścigające się w kierunku nabrzeża.

- Oma, czy zdarzało ci się pływać po tym jeziorze, kiedy tu mieszkałaś?

- Owszem, ale nasze łódki nie były tak szybkie ani tak kolorowe.

- Pani tutaj mieszkała?

Siedząca naprzeciwko starsza kobieta o mocno tlenionych włosach, mówiąca z amerykańskim akcentem, w niegrzeczny sposób przerwała im rozmowę.

- Dawno temu - przyznała Charlotte, żalując w duchu, że dała się namówić woźnicy na wspólną przejażdżkę z dwiema innymi paniami, które także mieszkały w ich hotelu. Zaproponował niższą cenę, co bynajmniej jej nie zachęciło, ale perspektywa czekania przez kolejną godzinę okazała się wystarczająco mocnym argumentem.

- Ja także! - zawołała z entuzjazmem nieznajoma. - Moja rodzina mieszkała przy Lake Street. Może pani ich pamięta? Nazywali się Schuler.

Charlotte potrząsnęła głową.

- Z osób mieszkających przy tej ulicy znałam jedynie rodzinę państwa Adolf.

- Pamiętam ich. Ich syn był komunistą i ciągle zdarzały mu się jakieś zatargi z policją. Poza tym mieli prześliczną córkę, która chyba nazywała się Irena. Wyszła za mąż za kogoś z arystokracji, zdaje się, że za któregoś z von Datskich. Ale wszyscy wiedzą, co się potem z nimi stało... Cóż to była za hańba w tamtych czasach...

- Hańba? - Laura spojrzała na nią pytającym wzrokiem, a potem przeniosła spojrzenie na babkę.

Charlotte szybko wtrąciła się do rozmowy. Absolutnie nie życzyła sobie, żeby jakaś obca kobieta opowiadała Laurze plotki dotyczące rodzinnej tragedii.

- Czy przyjechała pani tutaj, żeby zobaczyć swój dawny dom?

- Chciałam pokazać córce miejsce, w którym się urodziłam. - Jej rozmówczyni skinęła głową w kierunku młodszej wersji siebie samej, która siedziała obok.

- To pani Grant, żona Charlesa Granta Trzeciego.

- Miło mi panią poznać. - Charlotte podała jej rękę. - To moja wnuczka, Laura Templeton.

- Ach, pani jest Angielką.

- Tak - odpowiedziała Laura.

- Zakręcamy. - Charlotte uchwyciła się ramienia Laury. - Zechce nam pani wybaczyć, ale chciałobyśmy skoncentrować się na widoku.

- Ja również. Oczywiście nic z tego nie powstało za naszych czasów. Proszę tylko popatrzeć. Cały las po tej stronie jeziora został wycięty, żeby zrobić miejsce dla tych małych chat, domków letniskowych i ogródków warzywnych. To zupełnie zniszczyło krajobraz.

- Pewnie ludzie, którzy uprawiają te ogródki, uważają całkiem inaczej - oświadczyła Charlotte. - Zdaje się, że ceny żywności mocno podskoczyły, odkąd komuniści stracili władzę.

- No i chwała Bogu. Czy pani rodzina posiadała jakiś majątek w Allenstein?

- Owszem - odparła wymijająco Charlotte.

- Oczywiście Niemcy, którzy uciekli stąd w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, nie mają prawa występować o zwrot własności, choć Polacy uciekający przed rosyjską armią taką możliwość mają. Jestem tutaj, bo dotarła do mnie wiadomość, że dawny dom mojego ojca został wystawiony na sprzedaż.

- Zamierza pani go kupić?

- Już kupiłam. To była bajeczna okazja. Za całość zapłaciłam tylko czterdzieści pięć tysięcy dolarów.

- I co pani z nim zrobi?

- Na początek odnowię. Zdaje się, że odkąd wyjechaliśmy, nikt nie raczył go nawet pomalować. Kiedy już zostanie unowocześniony, mam zamiar wynajmować go turystom. Taki dom jest dla rodzin znacznie tańszy niż mieszkanie w hotelu, a to dobre miejsce wypadowe nad mazurskie jeziora. Ach, tu jesteś, Ranolf - zwróciła się do starszego mężczyzny, który podszedł do powozu, zapewne po to, żeby uzgodnić stawkę za powrót do hotelu. - Właśnie poznałam tę przeuroczą panią i jej wnuczkę. Też jest uciekinierką, która przyjechała w rodzinne strony, żeby pokazać krewnym nasz dawny kraj. W przyszłym roku koniecznie musimy przywieźć tu wnuki. - Odwróciła się do Charlotte. - Pani pozwoli, że przedstawię mojego męża. Ranolf Hedley Czwarty. Przepraszam, ale nie dosłyszałam pani nazwiska?

- Charlotte Templeton. Proszę nam wybaczyć, ale musimy już iść. Czekamy na ważny telefon.

- Templeton? - powtórzyła ze zdziwieniem Laura, gdy szły w stronę kawiarnianego ogródka. - Nigdy nie słyszałam, żebyś przedstawiała się nazwiskiem dziadka. Dlaczego nie powiedziałaś tej pani, kim naprawdę jesteś?

- Bo to straszna snobka. Słyszałaś, co mówiła o arystokratycznym rodzie von Datskich i pohańbieniu ich nazwiska.

Laura zebrała się w sobie.

- O co w tym chodzi?

- To było uważane za hańbę jedynie przez nazistów, i to na tyle starych, by pamiętać lata władzy Hitlera - odrzekła Charlotte, unikając odpowiedzi na pytanie. - A dla tych, którzy nie byli nazistami, to coś w rodzaju tajemnicy łączącej stare rody pruskiej szlachty. Któż teraz pamięta, czy ktoś inny był kiedyś bogaty, możny i potężny? Nic tak nie zaciera różnic w pochodzeniu jak utrata majątku, czas i oddalenie, i zapewne stąd wziął się ten nagły wzrost liczby szlachetnie urodzonych. Sama słyszałam, jak ludzie, którzy przed wojną mieszkali w czworakach, chwalili się, że ich rodziny posiadały rozległe majątki ziemskie.

- Nigdy nie próbowałaś tego sprostować? Charlotte się uśmiechnęła.

- A w jakim celu? Po tylu latach niczego nie da się udowodnić, więc po co wyprowadzać ludzi z równowagi?

- Nigdy nie opowiadałaś mi o swoim dzieciństwie.

Charlotte ujęła rękę Laury.

- Te ruiny to czternastowieczna wieża strażnicza. Moi bracia i ja mieliśmy zwyczaj płynąć stąd łódką na drugą stronę jeziora i tam urządzaliśmy sobie pikniki. - Zawahała się. - Powiem ci więcej, Lauro, ale dopiero po wizycie w Grunwaldsee. Do tego czasu chcę zachować wspomnienia dla siebie, ponieważ dopóki są tu ukryte... - popukała się w czoło - ...pozostają moją wyłączną własnością. Kiedy już ci je wyjawię, staną się jedynie częścią przeszłości, historią naszej rodziny. Na razie - z wyjątkiem Bergensee - moi zmarli znów żyją, a ja chcę jeszcze trochę przedłużyć te chwile, kiedy jesteśmy razem.

Rozdział siódmy

Niedziela, 16 czerwca 1940

Minęło już sporo czasu, odkąd miałam trochę wolnego czasu, żeby coś napisać w moim pamiętniku, ponieważ - jak bez przerwy przypominają nam przez radio - każdy musi ciężko pracować, gdy kraj znajduje się w stanie wojny, kobiety tak samo jak mężczyźni. Mama jest chora, a bliźniacy przebywają we Francji, tak jak się spodziewałam, więc zarządzanie Grunwaldsee spadło całkowicie na moje barki. Wilhelm zaproponował, żeby Greta porzuciła swoją pracę w BDM i przyjechała mi pomóc, ale ona odparła, że jej praca przy realizacji niemieckiego programu przesiedleń jest daleko ważniejsza, jakby od niej zależały nie tylko losy wojny, lecz cała przyszłość Trzeciej Rzeszy.

Błagałam Wilhelma, żeby się z nią nie spierał. Jestem szczęśliwa, że mogę wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za nasz dom, a poza tym za nic nie chciałabym mieszkać tu razem z Gretą. Zarządzanie majątkiem jest ciężarem, ale chętnie go na siebie wzięłam; zresztą dzięki temu zostaje mi mało czasu na tęsknotę za papą albo żal, że wyszłam za mąż za Clausa.

Ze zdumieniem odkryłam, jak wiele wysiłku trzeba włożyć, żeby wszystko w Grunwaldsee sprawnie działało. Rzeczy, które zawsze wydawały mi się oczywiste, wymagają mnóstwa pracy. Przyzwyczałam się, że codziennie biorę do ręki czyste i wypolerowane siodło; że wystarczy wydać stajennym polecenie, by osiodłali mi konia; że wchodzę do stajni i widzę, że w żłobach jest pełno siana. Samo napisanie tygodniowego rozkładu prac zajmuje mi całutki dzień, i to bez uaktualnienia ksiąg rachunkowych, bez wystawiania rachunków, bez wypełniania formularzy związanych z dostawami dla wojska i bez płacenia należności. Zajęcia biurowe zabierają mi dwa, czasem nawet trzy dni w tygodniu, choć wolałabym ten czas spędzić z Brunonem na nadzorowaniu robotników. Jeszcze tak wielu rzeczy muszę się nauczyć.

Teraz żałuję, że nie słuchałam uważniej tego, co mówił papa, kiedy był tu z nami, ale myślałam, że mamy przed sobą jeszcze mnóstwo czasu. W tamtych dniach nie potrafiłam wyobrazić sobie, że Grunwaldsee może istnieć bez niego albo bez chłopców.

Kiedy pracuję w gabinecie ojca, stale spoglądam na oprawiony dokument, który wisi na ścianie naprzeciwko biurka. To kopia aktu nadania jeziora Grunwaldsee i okolicznych ziem pierwszemu Wilhelmu von Datskiemu, który osiedlił się tutaj. Dokument podpisał w roku tysiąc dwieście osiemdziesiątym szóstym Wielki Mistrz Zakonu Rycerzy Teutońskich. Spoglądając na ten kawałek papieru, czuję się czasem przytłoczona świadomością istnienia tych wszystkich von Datskich, którzy żyli tu przede mną, i wyczuwam ich dezaprobatę dla decyzji, które ja - kobieta, i w dodatku młoda - zmuszona jestem podejmować w imieniu całej rodziny.

Przed pójściem do łóżka często staję na balkonie sypialni, spoglądam na migoczące u moich stóp jezioro, i wyobrażam sobie nie tylko zmarłych von Datskich, żyjących tu przez wiele stuleci, ale również tych wszystkich, którzy przyjdą po mnie. Mam nadzieję, że nie zasłużę sobie także na ich dezaprobatę. Byłoby straszne przejść do historii rodzinnej jako Charlotte von Letteberg z domu von Datski, która doprowadziła do ruiny rodzinny majątek albo przyczyniła się do jego upadku; jednak mam nadzieję, że dzięki pomocy Brunona uda mi się uniknąć poważniejszych błędów.

Jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia moje wnuczęta będą się tu bawić z wnukami Wilhelma i Paula. Irena we wrześniu spodziewa się dziecka. Oboje z Wilhelmem są wniebowzięci, ale nikt nie jest szczęśliwszy niż mama. Mówi, że jest pewna, że Irena urodzi chłopca, który zapewni kontynuację rodu von Datskich w tysiącletniej Rzeszy naszego Führera. Nie umiem wyobrazić sobie, jak Grunwaldsee będzie wyglądało za tysiąc lat. Przy odrobinie szczęścia pozostanie niezmienione i tak samo doskonale jak teraz.

Jak to dobrze, że mogę polegać na kimś takim jak Brunon. Papa zawsze powtarzał, że to najlepszy rządcą, jaki kiedykolwiek pracował w Grunwaldsee. Zna nasz majątek lepiej niż ktokolwiek inny. Cieszę się, że jest za stary, żeby iść na wojnę, ponieważ w miejsce wszystkich zdolnych do służby mężczyzn, którzy zostali powołani, przysłano nam dziewczęta z organizacji kobiecej i paru polskich robotników.

Dziewczęta zostały zakwaterowane u rodzin mężczyzn, którzy wyjechali, by walczyć za ojczyznę. Z początku było trudno znaleźć im miejsce, ale kiedy żony się zorientowały, że dostaną za to całkiem spore pieniądze, od razu zgodziły się je przyjąć. Polaków umieściliśmy w kilku starych domkach, które papa zawsze zamierzał odnowić, ale z rozmaitych powodów tego nie zrobił. Ich racje żywnościowe są jeszcze skromniejsze niż nasze, ale dokładam co nieco do każdej porcji. Tak ubogie jedzenie wydaje mi się dalece niewystarczające dla ludzi, którzy pracują fizycznie w gospodarstwie.

Brunon powiedział im, żeby sobie urządzili domki tak, jak im będzie wygodnie, i dał im drewno do zreperowania drzwi i okien, a także stare meble, które dotąd stały u nas na strychu. Muszę przyznać, że wykonali dobrą robotę. Domki wyglądają teraz o niebo lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Trochę to trwało, ale w końcu wszystko wydaje się działać bez zarzutu, chociaż musimy pilnować, żeby obie grupy były odseparowane od siebie, ponieważ niemieckie dziewczyny patrzą z góry na Polaków i przy każdej okazji starają się okazywać im lekceważenie. Dostaliśmy rozporządzenie z biura gauleitera, w którym wyraźnie powiedziano: „Wszyscy Niemcy muszą traktować polskich robotników w Trzeciej Rzeszy w sposób, który odpowiada naszej narodowej godności i celom niemieckiej polityki”. Byłam zażenowana, czytając ten tekst, ale Brunon wyjaśnił, że chodzi jedynie o to, żebyśmy nie próbowali spoufalać się z Polakami. Prawdę mówiąc, niepotrzebnie się fatygowali, żeby wysłać nam ten papier. Zaledwie mam czas porozmawiać z własną rodziną.

W tym roku żniwa wypadły całkiem nieźle, ale nie udało się zarobić większych pieniędzy, ponieważ trzy czwarte zbiorów zostało zamówionych na potrzeby armii i musieliśmy je odsprzedać za cenę, jaką nam podyktowano. Jednak według mnie to niewielkie poświęcenie, jeśli tylko dzięki temu uda się przyspieszyć koniec wojny.

Tylu młodych ludzi zginęło we Francji w ciągu ostatnich dwóch tygodni, wliczając w to czterech chłopców z mojej orkiestry; jednym z nich był Peter. Kochany Peter, zawsze taki śmieszny, że aż czasami męczący i dokuczliwy. Zginął już trzydziestego maja, ale moi teściowie dostali telegram dopiero przed trzema dniami. To był dla nich straszny cios, tak samo jak dla Clausa. Mój biedny szwagier - byliśmy spowinowaceni przez tak krótki czas!

Jeszcze nie doszłam do najważniejszego powodu, dla którego po tak długim czasie znów sięgnęłam po pióro.

Mój syn, Erich Peter Claus von Letteberg, urodził się dziś o drugiej nad ranem. Dwa dni po tym, jak niemiecka flaga zawisła na Łuku Tryumfalnym, a nasi żołnierze odbyli paradę na Polach Elizejskich.

Poród był śmiertelną męką. Doktor dał mi tyle morfiny, ile mógł, ale gdyby nie Minna i mama von Letteberg, to pewnie i tak bym umarła. Jednak gdy już było po wszystkim i po raz pierwszy zobaczyłam mojego kochanego syneczka, nie uwierzyłam własnemu szczęściu. Erich jest prześlicznym, niebieskookim chłopczykiem o blond włoskach, tak samo żywym, doskonale zbudowanym i o zdecydowanym charakterze jak jego ojciec, przynajmniej tak zapewnili mnie rodzice Clausa.

Przyjechali prosto z Berlina, gdy tylko dostali wiadomość o śmierci Petera, żeby osobiście mi o tym powiedzieć. Bardzo ładnie się zachowali i dzięki temu naprawdę poczułam się jak ich córka. A kiedy w niedługi czas potem zaczęłam rodzić, postanowili zostać ze mną.

Są bardzo oddani małemu Erichowi. Biedny Peter zginął, jeszcze zanim został wujkiem. Claus już zdążył napisać, iż zgadza się, że jeśli będziemy mieli syna, to żeby nosił imię po moim ojcu, ale dodałam mu także imię Peter, na cześć jego brata.

Wiem, że Claus starał się o przepustkę, ale jestem zadowolona, że jej nie dostał, ponieważ wtedy przyjechałby do domu, żeby wysłuchiwać moich wrzasków i krzyków, które trwały równo dwa dni i dwie noce. Papa von Letteberg powiedział, że każdy niemiecki żołnierz był potrzebny podczas wielkiej ofensywy we Francji, ale użył swoich wpływów, aby móc zadzwonić do Clausa i przekazać mu radosną wieść, że ma syna. Claus odparł, że teraz, kiedy armia angielska i francuska poddały się i Niemcy uwolniły Europę od sił alianckich, pragnie, abym razem z jego rodzicami złożyła mu wizytę w Paryżu. Mój teść oświadczył, że jego wyjazd nie wchodzi w grę, ale ja i mama von Letteberg jak najbardziej możemy pojechać. Biedna mama von Letteberg; jedyne, na co teraz ma ochotę, to kołysać Ericha i rozmawiać o Peterze. Peter został pochowany we Francji, więc nie będzie żadnego pogrzebu, jedynie nabożeństwo w jego intencji.

Jeśli chodzi o mnie, to Claus musi poczekać, aż znów będę w dobrej kondycji. Doktor ostrzegł mnie, że poród Ericha był skomplikowany i że mój powrót do zdrowia potrwa przynajmniej dwa lata; nawiasem mówiąc, Erich jest za mały, żeby dokądkolwiek podróżować. Jestem zadowolona, że mam tak dobrą wymówkę. Być może za miesiąc lub dwa będę inaczej myśleć o spotkaniu z Clausem, choć na razie nie sądzę, żeby tak się stało.

Kiedy patrzę, jak mój synek śpi obok mnie w kołysce, w której spała Greta, moi bracia i ja sama, modlę się, żeby wojna skończyła się jak najszybciej i żeby już nigdy nie było następnej. Myśl, że za osiemnaście lat Erich mógłby zostać wzięty do wojska i zabity tak jak biedny Peter, sprawia, że mam ochotę zamknąć go w ramionach i ukryć przed całym światem, żeby nigdy nie poznał bólu ani cierpienia.

*W pociągu jadącym
z Paryża do Prus Wschodnich przez Berlin
Piątek, 23 sierpnia 1940*

Właśnie wracam do Grunwaldsee po spędzeniu dwóch tygodni z Clausem w Paryżu. Odkąd dostał awans na pułkownika, uzyskanie przepustki stało się dlań nierealne. Wcałe tego nie żałowałam aż do chwili, gdy na początku miesiąca do Grunwaldsee przyjechała Greta, przywożąc ze sobą Helmuta Kleinerta, dalekiego krewnego z drugiej linii ze strony naszego papy. Oznajmiła, że mają zamiar zostać przez całe dwa tygodnie, ponieważ należą im się wakacje, choć naprawdę nie rozumiem, dlaczego Greta uważa, że akurat oni dwoje zasługują na urlop bardziej niż nasi mężczyźni walczący na froncie.

Greta jest tak samo irytująca i złośliwa jak zawsze, i gdy tylko gdzieś wychodziłam, żeby sprawdzić, co dzieje się w domu albo na folwarku, zawsze szła za mną, więc w końcu zgodziłam się przyjąć zaproszenie Clausa. Powiedziałam mamie, że mogę wyjechać, ponieważ jest Greta, która będzie się nią opiekować.

Greta poznała Helmuta w Berlinie, dokąd w Wielkanoc została przeniesiona do centrali BDM. Ona i Helmut świętowali swoje zaręczyny w towarzystwie kolegów z pracy, co całkiem dobrze się złożyło, zważywszy na stan zaopatrzenia w żywność w Grunwaldsee. Papa na pewno zaaprobowałby Helmuta - jest spokojnym i dość miłym chłopcem - ale z pewnością nie spodobałby mu się ordynarny pierścionek zaręczynowy Grety. Powiedziała mi, że sama go sobie wybrała. Na jej miejscu wstydziłabym się do tego przyznać. Nie miałabym odwagi nosić tak ostentacyjnie wielkiego diamentu, zwłaszcza w czasie wojennych wyrzeczeń.

Ojciec Helmuta prowadzi manufakturę produkującą części uzbrojenia, wykorzystał więc swoje wpływy, żeby umieścić syna w sztabie w Berlinie, co oznacza, że Helmut nigdy nie znajdzie się na froncie. Greta zawsze umiała zadbać o swoje interesy, nie bacząc na cokolwiek innego, nawet na pomyślność naszej ojczyzny.

Wyjeżdżając z Grunwaldsee, trochę się obawiałam zabierać Ericha do miasta, które może zostać zbombardowane, ale podczas całego pobytu w Paryżu zdarzył się tylko jeden alarm bombowy, który na dodatek okazał się fałszywy.

Byłam u Clausa przez czternaście dni - i nocy. Podróż trwała tak długo, że uznał, iż to absurdalne podejmować taki wysiłek i zostać tam krócej. Zgodziłam się tylko dlatego, że nie chciałam wracać do Grunwaldsee przed wyjazdem Greta. W ten sposób mogłam znów zająć się prowadzeniem majątku, zamiast wydawać kolacje na ich cześć i organizować im obojgu rozrywki.

Jeśli Greta jest najlepszym przykładem tego, co dzieje się w Berlinie, to może najwyższy czas wspomnieć, jak wygląda codzienne życie w pozostałej części kraju. W zasadzie brakuje wszystkiego - jedzenia, ubrań, benzyny. Czasem nie udaje się nawet zdobyć przydziałowej żywności, a Bóg jeden wie, jak małe są kartkowe racje. Tymczasem Greta i Helmut zachowywali się tak, jakby wcale nie było wojny. Zapewne przypuszczają, że skoro mieszkamy na wsi, to mamy pod dostatkiem mięsa, masła i jajek.

Irena powiedziała, że jej ojcu tak bardzo brakuje ludzi do pracy w jego przedsiębiorstwie budowlanym, że zdecydował się wystąpić do władz o przydzielenie mu jeńców wojennych. Szczerze mówiąc, nie chciałabym widzieć w Grunwaldsee Anglików czy Francuzów. Bałabym się, że mogliby sabotować nasze wysiłki, by wytwarzać więcej produktów.

Napisałam już o wszystkich z wyjątkiem Clausa. Najważniejszy powód zawarcia naszego małżeństwa śpi w kołysce obok mnie. Claus wykorzystał swoją pozycję, żeby załatwić dla nas osobny wagon, aby Erich, broń Boże, nie zetknął się z ewentualnym nosicielem jakiejś zakaźnej choroby. To musiało być trudne, nawet dla pułkownika. Wszystkie pociągi są zatłoczone i trudno zdobyć zezwolenie na podróż, ale Claus, podobnie jak jego rodzice, uwielbia naszego syna i zrobiłby wszystko, żeby go ochronić. Teraz wykorzystał nawet swój stopień wojskowy, a tego nigdy nie zrobiłby dla siebie czy dla mnie.

Kiedy całował Ericha na pożegnanie, po raz pierwszy na jego twarzy ujrzałam coś w rodzaju wzruszenia. Dochozę do wniosku, że nasz związek jest dziwny, zupełnie niepodobny do małżeństwa Wilhelma i Ireny. Od chwili ślubu aż do Bożego Narodzenia Wilhelmowi udało się tylko dwa razy zdobyć przepustkę, ale Irena potrafi jechać całe dni, błagać o podwiezienie i siedzieć na ciężarówce z mnóstwem obcych mężczyzn tylko po to, żeby spędzić z nim godzinę albo dwie. Kiedy już są razem, ledwie mogą oderwać od siebie ręce, a ona wcale nie zachowuje się lepiej niż mój brat.

Claus jest zawsze oficjalny i uprzejmy. Ale on jest pułkownikiem i w związku z tym musi przestrzegać pewnych norm, inaczej niż Wilhelm, który jest zaledwie porucznikiem i może sobie pozwalać na takie postępowanie.

Claus nie czekał na stacji, kiedy przyjechałam do Paryża, tylko wysłał po nas kierowcę. Sierżant przeprosił mnie i wyjaśnił, że wystąpiły pewne problemy, ponieważ Anglicy zbombardowali nasze działa, wycelowane w ich wybrzeże. Byłam zbyt rozsądna, by powiedzieć coś na ten temat jemu lub Clausowi, chociaż świetnie wiedziałam, że to tylko wymówka.

Claus wynajmuje apartament w prześlicznym hotelu z widokiem na Sekwanę. Ma tam salonik, własną jadalnię, dwie sypialnie i dwie łazienki. Po raz pierwszy Erich nie spał obok mnie. Claus zarządził, żeby kołyskę małego postawić w pokoju służącej. Zabrałam ze sobą Marię, córkę Brunona. Pomagała mi opiekować się Erichem, odkąd się urodził, i sumiennie obiecała, że zawoła mnie, jeśli mały się obudzi, ale nie zawołała. Podejrzewam, że Claus zabronił jej przychodzić do nas, a ona, podobnie jak cała nasza służba, śmiertelnie się go boi.

Mój mąż - albo jego adiutant, co wydaje się bardziej prawdopodobne - okazał się bardzo troskliwy. We wszystkich pokojach stały kwiaty i kosze z owocami, w łazience znalazłam perfumy i kosmetyki, a w salonie szampana w kubku z lodem oraz butelkę brandy. Kierowca Clausa był do mojej dyspozycji - miał zawieźć mnie do salonu krawieckiego, gdzie mój mąż otworzył mi rachunek. Claus zostawił mi karteczkę z informacją, że zarezerwował na dziś dwa bilety do opery, żeby w ten sposób uczcić mój pierwszy wieczór w Paryżu, a potem zaprasza mnie na oficjalną kolację na moją cześć.

Byłam całkiem zadowolona, że poczynił te wszystkie przygotowania, bo łatwiej być jego żoną publicznie niż prywatnie. Wzięłam kąpiel i zmieniłam podróżne ubranie, a potem pojechałam do salonu, żeby tam wybrać kilka sukni dziennych i trzy wieczorowe, z których jedną od razu wzięłam, żeby wystąpić w niej dziś wieczorem. Następnie wybrałam się do hotelowej fryzjerki, kazałam sobie umyć i ułożyć włosy, a następnie zrobić manikiur. Kiedy Claus przyjechał o szóstej wieczorem, czekałam już na niego gotowa do wyjścia.

Ogarnęło mnie prawie takie samo zdenerwowanie, jak wtedy, przed naszą nocą poślubną. Od roku byliśmy małżeństwem, ale do wakacji udało nam się spędzić razem jedynie siedem dni i nocy. Zanim Claus przyjechał, wyjęłam z walizki jego fotografię i postawiłam na toaletce, żeby sobie przypomnieć, jak wygląda mój mąż. Na tym zdjęciu był niesamowicie przystojny, trochę obcy i w każdym calu wyglądał na pułkownika Wehrmachtu. Byłam zaskoczona, kiedy się przekonałam, że wszyscy okazują nam najwyższy szacunek. Drzwi otwierały się przed nami, a ludzie kłaniali się w pas - nie tylko niemiecki personel, lecz również francuscy cywile.

Po przyjeździe Claus od razu zapytał o syna i chociaż Erich spał, uparł się, żeby go obudzić. Zawsze myślałam, że mężczyźni nie interesują się niemowlętami, Claus jednak wziął go na ręce i był strasznie dumny, kiedy mały wyprężył nóżki, jakby próbował wstać. Claus uważa, że to cudowne, a ja uznałam, że nie ma sensu mówić mu, iż Minna i doktor utrzymują, że wszystkie dzieci tak robią.

Kiedy tylko skończył bawić się z dzieckiem, poprosił, żebym poszła z nim do sypialni, bo chce ze mną porozmawiać, podczas gdy sam będzie się kąpał i przebierał w wyjściowy mundur. Wiedziałam, o co mu chodzi. To, że byłam już ubrana i gotowa do wyjścia, nie miało żadnego znaczenia. Po prostu pchnął mnie na łóżko, twarzą do pościeli, podniósł spódnice i ściągnął bieliznę.

Może powoli staję się kobietą, ponieważ myśl o tym, co teraz nastąpi, okazała się gorsza niż rzeczywistość. Wciąż było to bolesne i upokarzające, trochę jak badanie u doktora, do którego chodziłam podczas ciąży, ale nauczyłam się koncentrować na innych rzeczach, a ostatecznie nic nie trwa wiecznie. Nawet to.

Reszta wieczoru była wręcz cudowna. Opera okazała się znakomita; dopiero teraz zorientowałam się, jak bardzo mi brakuje dobrej muzyki. Oficerowie z pułku Clausa byli czarujący, jedzenie w restauracji wyśmienite - sosy z prawdziwym masłem i śmietaną, mięso zaś i torty doskonałe. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek aż tyle tańczyła. Każdy z kolegów Clausa dopominał się o ten zaszczyt. Kiedy jednak wieczór miał się ku końcowi, ogarnął mnie strach przed powrotem do hotelu.

Przez te dwa tygodnie w Paryżu prawie nie spałam; Claus ani na chwilę nie zostawił mnie samej. Chce mieć drugie dziecko tak szybko, jak to możliwe. Powtórzyła mi ostrzeżenie doktora, że przed drugą ciążą powinnam najpierw wydobrzczyć po pierwszej, ale Claus upiera się, że ciąża i poród to naturalny stan dla kobiety, a jeśli tamten lekarz nie potrafi się mną zająć, to może powinnam pomyśleć o przeprowadzce do Paryża, gdzie on znajdzie mi najlepszego specjalistę.

Zamierza wynająć willę gdzieś pod miastem, niezbyt daleko, gdzie mógłby odwiedzać Ericha i mnie, i od czasu do czasu zostawać na noc. Jestem przekonana, że gdybym nie musiała zajmować się Grunwaldsee, to poleciliby mi, abym z nim zamieszkała.

Cieszę się, że wracam do domu. Nie mam pojęcia, kiedy znów zobaczę Clausa, ale mam nadzieję, że nie wcześniej niż przed Bożym Narodzeniem. Któregoś dnia wojna się skończy i będziemy musieli żyć razem. Czekam z utęsknieniem na koniec wojny, lecz przeraża mnie perspektywa zamieszkania na stałe z Clausem. Pożycie małżeńskie da się jakoś wytrzymać przez dwa tygodnie. Na co dzień będzie nie do zniesienia.



- Obiad był przepyszny. - Laura odsunęła pustą filiżankę po kawie i wzięła do ręki kieliszek brandy. - Co chciała-bys robić jutro?

- Już mówiłam, że jutro chcę pojechać do Grunwaldsee - odpowiedziała Charlotte.

- Wcale nie musimy jechać akurat tam. Sprawdziłam w paru przewodnikach, że z Olsztyna można łatwo dotrzeć samochodem do mnóstwa ciekawych miejsc. Na przykład do zamku w Malborku, Wilczego Szańca Hitlera albo na szlak mazurskich jezior.

- Przyjechałam tu wyłącznie po to, żeby zobaczyć mój dawny dom. Nie sądzisz, że i tak za długo z tym zwlekałam?

- W takim razie pojedziemy, oczywiście jeśli jesteś absolutnie pewna, że dasz radę jakoś to znieść.

- Spróbuję tym razem nie płakać.

- Wcale nie to miałam na myśli - powiedziała prędko Laura.

- Wiem, skarbie.

- Po prostu nie znoszę, kiedy jesteś zmartwiona.

- To kompletne szaleństwo prosić cię o zatrzymanie się w Bergensee po drodze tutaj, a jeszcze większym szaleństwem było spodziewać się, że nic tam się nie zmieniło. Komunistyczne władze Polski miały inne priorytety niż konserwacja starych budowli.

- Zanim pojedziemy, można by kogoś zapytać, co się dzieje w Grunwaldsee - zasugerowała Laura.

Charlotte pokręciła głową.

- Jedyne, czego potrzebuję, zanim tam pojedę, to porządnie się wyspać. Czy będziesz mi miała za złe, jeśli dziś znowu zostawię cię samą, żebyś dała upust własnej pomysłowości?

- Szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy nic lepszego, jak zwinąć się w łóżku z dobrą książką i opróżnić połowę zawartości barku.

- Butelka brandy będzie znacznie lepsza. Mieszanie może się skończyć bólem głowy.

- Czy mam rozumieć, że radzisz mi, żebym się urznęła w trupa? - uśmiechnęła się Laura.

- Raczej żebyś poprawiła sobie humor. Zaslugujesz na małą uroczystość po skończeniu pracy nad filmem - powiedziała Charlotte, podnosząc się z krzesła. - W takim razie do zobaczenia rano.

Laura szybko dokończyła brandy i wyszła do foyer. Pomiędzy sklepikiem z bursztynami, obowiązkowo oferowanymi w każdym polskim hotelu, i butikiem z damską konfekcją, sprzedawaną po wygórowanych cenach, znajdował się niewielki kiosk, w którym można było kupić polskie i zagraniczne gazety, a także parę książek. Wybór tytułów w języku angielskim ograniczony był do pół tuzina topowych bestsellerów z kilku ostatnich lat. Laura na pierwszy rzut oka rozpoznała obwolutę „Ostatniego lata” i podjąwszy decyzję, że to odpowiedni moment, żeby jeszcze raz zajrzeć do tej książki, zabrała ją do kasy. Zrobiło jej się przykro dopiero następnego dnia rano, kiedy się przekonała, że już po przeczytaniu pierwszej strony zmorzył ją sen.

Poniedziałek, 30 czerwca 1941

Teraz rozumiem, dlaczego na początku miesiąca Claus, Paul i Wilhelm dostali po trzy tygodnie urlopu. Osiem dni temu nasze wojska wkroczyły na terytorium Rosji i jak przypuszczamy, cała trójka znalazła się w awangardzie.

To był ciężki rok. Ministerstwo Wojny stale nas prześladowało żądaniem, żebyśmy produkowali wciąż więcej i więcej, a my nie możemy temu sprostać. Podczas ostatniej inspekcji urzędnicy zabrali nam dwanaście koni. Twierdzili, że

są potrzebne do transportu, ale ja i Brunon jesteśmy przekonani, że od razu trafiły do rzeźni. Zobaczyłam, jak jeden z oficerów spogląda łakomie na Elise, ale powiedziałam mu, że zabierze ją po moim trupie.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób uda się nam uzupełnić stan bydła i świń, które nam zabrano. Od początku wojny nasz inwentarz rozplodowy zmniejszył się o połowę, racje żywnościowe zostały zredukowane do niezbędnego minimum, a już mówi się o kolejnych redukcjach. Nasi „przyjaciele” z Allenstein wcale nie są lepsi. Ludzie, których ledwo znamy, przyjeżdżają tu i proponują pieniądze albo różne cenne przedmioty w zamian za żywność, której przecież nam także brakuje. Kiedy próbuję wyjaśniać, że po oddaniu kontyngentu dla wojska nie mamy dość jedzenia nawet dla naszej rodziny, rzucają oskarżenia, że wyciskamy z ziemi życiodajne soki, podczas gdy inni przymierają głodem.

Mama von Letteberg boryka się z tym samym problemem. Ponieważ dzierżawcy płacą czynsze, wszyscy przypuszczają, że wieśniacy uiszczają je w naturze. Nawet ojciec Ireny oddaje większość jaj, które kury składają na podwórzu z tyłu domu. Jak mówi, wszędzie dookoła widzi dzieci z wielkimi oczyma i pustymi brzuskami.

Irena i Wilhelm spędzili cały jego urlop w letnim domku nad jeziorem razem ze swoją malutką córeczką, Marianną, która urodziła się w zeszłym roku we wrześniu. Dali jej imię po naszej mamie w nadziei, że to ją ucieszy, ale biedaczka jest w gorszym stanie niż kiedykolwiek. Przez większość czasu nie pamięta nawet, że papa nie żyje. Martha, Minna, Irena i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby jej pomóc, ale często się zdarza, że mama całymi dniami nie chce nawet wyjść ze swojego pokoju. Jakoś udało się nam ją namówić, żeby zeszła na obiad tego wieczoru, kiedy przyjechali Paul, Wilhelm i Claus, ale przy stole nagle załapała się łzami, a potem porwała nóż i przyłożyła go do własnej piersi. Wszyscy byliśmy przerażeni, że zrobi sobie jakąś krzywdę.

Perspektywa spędzenia trzech tygodni z Clausem była dla mnie źródłem strasznego napięcia, ale on przez większość czasu pracował albo bawił się z Erichem. Doszłam do wniosku, że w małżeństwie chodzi przede wszystkim o to, żeby jak najmniejszym kosztem przetrwać każdą noc. W dzień nie jest tak źle, bo dookoła są inni ludzie.

Trzy noce spędziliśmy w Bergensee. Matka Clausa wydała uroczystą kolację na jego cześć, a jego ojciec także wyrwał się z Berlina na parodniową przepustkę.

Greta też przyjechała, żeby zobaczyć się z Pauliem i Wilhelmem. Moim zdaniem coś się dzieje pomiędzy Pauliem a córką Brunona, Marią. Zauważyłam ich, jak późną nocą wychodzili ze stodoły, otrzepując się ze słomy. Poza tym Paul spędza większość czasu, galopując z nią po okolicznych polach. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Nie wypada, żeby któryś z von Datskich żenił się z córką zarządcy.

Odkąd Wilhelm, Paul i Claus wyjechali, żyjemy dzień po dniu, wkładając wszystkie nasze siły w prowadzenie majątku, czekając i modląc się o zakończenie wojny. A kiedy wojna się skończy, co dalej? Claus już zapowiedział, że zamierza kontynuować karierę w wojsku. Wilhelm zdecydował się na uzupełnienie studiów prawniczych i chce otworzyć w Königsbergu prywatną praktykę. Irena będzie szczęśliwa wszędzie, byle z nim. Przeprowadziła się do Grunwaldsee zaraz po ślubie, została do urodzenia Marianny i już nie wyjechała. Myślę, że sypianie w łóżku Wilhelma dodaje jej otuchy, nawet jeśli jego tu nie ma, a ja jestem bardzo zadowolona z jej towarzystwa.

Mogę rozmawiać z nią o wszystkim z wyjątkiem mojego pożycia małżeńskiego, ponieważ Irena przypuszcza, że jestem tak samo szczęśliwa z Clausem, jak ona z Wilhelmem. Nie potrafię wyprowadzić jej z błędu. To z pewnością by ją zmartwiło, a nie mogę znieść myśli o tym, że ją zasmucę, zwłaszcza że jest dla mnie taka dobra. Jest mi o wiele bliższa niż Greta, która nigdy nie darzyła mnie siostrzanymi uczuciami i nie sądzę, żeby w przyszłości mogło być inaczej.

Tylko Paul jeszcze nie podjął decyzji, co będzie robił po wojnie. Po cichu liczę na to, że zajmie się Grunwaldsee. Jestem już tak bardzo zmęczona, choć nie potrafię nawet sobie wyobrazić, że mogłabym prowadzić inne życie. Jeśli Claus pozostanie w wojsku, to równie dobrze może przebywać na placówce w Paryżu albo w Rosji. Nie powiedział, kiedy chciałby, żebym do niego przyjechała, a ja nie pytałam. Czasami myślę, że ożenił się ze mną wyłącznie po to, żebym

rodziła mu synów. Wydaje się bardzo rozczarowany, że Erich jest dotąd naszym jedynym dzieckiem, ja zaś chciałabym, żeby istniały inne sposoby sprawiania sobie potomstwa.

Po pobycie w Paryżu sądziłam, że powoli zaczynam przyzwyczajać się do życia w małżeństwie; po trzech tygodniach z Clausem wiem, że to nigdy nie nastąpi. Nawet Paul zauważył różnicę pomiędzy mną a Ireną. Ona nie może nawet na moment oderwać się od Wilhelma. Ja zawsze szukam wymówek, żeby być jak najdalej od Clausa.

Właśnie przeczytałam początek tego pamiętnika. Ile się wydarzyło od tamtego czasu. Dziś rano przyjechał z wizytą Herr Schumacher. Ktoś z najwyższych władz wojskowych polecił mu zorganizować koncert na wolnym powietrzu dla wojsk stacjonujących w Polsce. Chce, żebym pojechała z nimi na dwa tygodnie. Żołnierze mają tak mało rozrywek... Czy powinnam jechać?

Będzie mi trudno zostawić mamę i Ericha, chociaż Irena, Minna, Martha i Brunon upierają się, że świetnie sobie poradzą beze mnie. Być może rzeczywiście powinnam jechać. Muszę to sobie przemyśleć.

Czwartek, 13 listopada 1941

Jestem tak strasznie zła i tak bardzo mi wstyd. Wczoraj razem z Ireną pojechałyśmy do miasta na małe zakupy przed Bożym Narodzeniem, choć wiadomo, że w sklepach nie ma zbyt wiele. Wstąpiłyśmy do cukiernika. Obecnie rzadko można kupić jakiegokolwiek słodycze. Armia zabiera tak wiele żywności. Niemal niemożliwe jest zdobycie cukru, masła, śmietany czy migdałów, no chyba że ktoś zna gospodarza, który gotów jest zaryzykować pójście do więzienia za potajemne robienie zapasów. W końcu moje błagania poruszyły sumienie Herr Meyera; ostatecznie przed wojną moja rodzina należała do grona najlepszych klientów. Zlitował się i dał nam małe pudełko trufli, ale od razu uprzedził, że ze względu na niską jakość składników nie dorównują one temu, co zwykle nam sprzedawał.

Kiedy od niego wyszliśmy, Brunon zawiózł nas do domu rodziców Ireny. Herr Adolf kupił od Żydów w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku olbrzymią parcelę, na której zbudował dom oraz warsztaty niezbędne do prowadzenia firmy budowlanej. Do jego posesji przylega teren synagogi i żydowski cmentarz. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałam, żeby synagoga była otwarta. Jak większość z nas unikałam myślenia i rozmów na temat Żydów. Najmniejsza wzmianka o nich wydawała się budzić w ludziach najgorsze instynkty, zwłaszcza w wypadku młodych chłopców.

Papa uważał, że nie wszyscy Żydzi są źli, choć nie posuwał się tak daleko jak stary wujek Ernst, który miał zwyczaj zapraszać i gościć w swoim domu każdego napotkanego Żyda, wyłącznie po to, żeby zrobić na złość władzom. To była prawdziwa łaska Opatrzności, że wujek Ernst umarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Gdyby żył, to bez wątpienia mógłby ściągnąć poważne kłopoty na całą naszą rodzinę.

Papa powiedział mi, że było mu przykro, kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku Ruth, Emilia i moje pozostałe żydowskie koleżanki zostały wypędzone ze szkoły, razem z innymi Żydami, którym odmówiono prawa do dalszej nauki.

Były moimi dobrymi przyjaciółkami i papa nigdy nie miał nic przeciwko temu, żebym je odwiedzała albo przyjmowała w Grunwaldsee. Jednak nasze kontakty urwały się wkrótce po moich siedemnastych urodzinach, a potem papa uprzedził, że nie byłoby mądrze zapraszać je na bal z okazji ukończenia przeze mnie osiemnastu lat.

Odkąd wszystkie żydowskie przedsiębiorstwa zostały przejęte przez Niemców, na ulicach nie widywałam zbyt wielu Żydów. Przypuszczam, że w ten sposób starali się uniknąć kłopotów. Mówiło się, że mają zostać przesiedleni do Afryki albo na Madagaskar, albo zostanie dla nich stworzone gdzieś na wschodzie osobne państwo. Nie byłam pewna, czy rodziny Ruth i Emilii już wyjechały, ale dziś zobaczyłam je obie po raz pierwszy od ponad trzech lat.

Kiedy skręciliśmy w ulicę, przy której stoi dom rodziców Ireny, Brunon musiał zatrzymać samochód, bo całą drogę zablokował konwój ciężarówek zaparkowanych przed synagogą. Dookoła pełno było oficerów SS i żołnierzy; wśród nich dostrzegłam Georga. Należało się tego spodziewać, że mimo fatalnej reputacji oczywiście zdoła się wcisnąć do nowej jednostki. Chodził dumnie w swoich wysokich butach i szarym, połowym mundurze, pusząc się jak karłowaty kurczak, który udaje prawdziwego koguta.

Żołnierze wypędzili z synagogi tłum dzieci i młodych dziewcząt. Było ich tyle, że nie mogłam uwierzyć, iż wszyscy zdołali się pomieścić w środku, bo synagoga wcale nie jest duża. Wiele z tych dzieci miało jasne włosy i niebieskie oczy i w niczym nie przypominało paskudnego, okropnego Żyda z plakatów. Niektóre ze starszych dziewcząt niosły na rękach niemowlęta. Potem dostrzegłam, jak Georg kieruje pistolet w stronę Ruth i Emilii.

Nie wierzyłam własnym oczom. Chodził do tej samej grupy w przedszkolu, co my; grał w orkiestrze z Ruth i Emilią aż do chwili, gdy zmuszone były odejść. Pomimo zimna opuściłam szybę w oknie. Wiedziałam, że Ruth mnie zauważyła, bo nagle wykrzyknęła moje imię i puściła się biegiem w kierunku naszego samochodu, ale wówczas Irena chwyciła mnie za rękaw. „Na litość boską, zamknij okno. Pomyśl o dzieciach, jeśli nie chcesz myśleć o sobie”, wyszeptowała.

Wtedy Georg uderzył Ruth pistoletem prosto w skroń. Musiał to być mocny cios, bo zachwiała się, a wtedy szarpnął ją i pchnął z powrotem do szeregu. Siedzieliśmy w aucie, przyglądając się, jak żołnierze kopią i biją dzieci i dziewczęta, i jak wpychają je do ciężarówek. Wydawało się, że trwa to godzinami, ale kiedy później sprawdziłam godzinę na zegarku, przekonałam się, że minęło zaledwie dziesięć minut. Przez ten cały czas Marianna spała, a Irena trzymała dłoń na oczach Ericha, żeby nie widział, co się dzieje. Myślał, że ciocia bawi się z nim w chowanego.

Kiedy wreszcie Irena zamknęła okno, w samochodzie zapadła kompletna cisza. Ani moja bratowa, ani Brunon nie powiedzieli jednego słowa, choć jestem pewna, że ona także rozpoznała Ruth i Emilię, tak samo jak ja.

Pierwsza ciężarówka odjechała, a wtedy z budynku wyciągnięto rabina i paru starszych mężczyzn. W tym momencie esesman kiwnął na Brunona, że może jechać. Kiedy obejrzałam się w tył, zobaczyłam, że rabin leży na ziemi, a żołnierze kopią go ciężkimi butami. Cały był zalany krwią.

Przypuszczam, że esesmani byli na niego wściekli, że ukrył w synagodze tak wiele dzieci. Czy chciał ratować je przed deportacją? Dlaczego w ogóle próbował to robić, skoro mogą mieć swoją własną ojczyznę? I czemu został tak okrutnie zbity? Był stary; nie mógł się bronić ani w żaden sposób skrzywdzić żadnego z żołnierzy. Tamci śmiali się do rozpuku, jakby to, co robili, ogromnie ich bawiło, a Georg śmiał się najgłośniejszym ze wszystkich.

Próbowałam porozmawiać o tym z Ireną, ale nie powiedziała ani słowa, choć wiedziałam, że jest tak samo zdenerwowana jak ja. Nie naciskałam. Odkąd Herr Schumacher poprosił, żebyśmy nic nie mówiły o warunkach zakwaterowania podczas tournée po Rosji, moje życie składa się z samych sekretów. Nie mogę nikomu zwierzyć się ze swoich uczuć wobec Clausa ani z tego, co myślę o moim małżeństwie, a teraz jeszcze to...

Jak Georg mógł uderzyć Ruth? Dlaczego on i inni żołnierze są tacy okrutni? Jak można aż do krwi pobić starego, bezbronnego człowieka?

Matka Ireny czekała na nas z kawą i ciasteczkami, ale nie byłam w stanie niczego przełknąć. Czułam, że jest mi niedobrze. Niektóre z okien mieszkania wychodziły wprost na synagogę. Jak Frau Adolf mogła ignorować to, co tam się działo?

Nienawidzę wojny. Nienawidzę tego, że nie wolno mi przyjaźnić się z Ruth ani z Emilią. Nienawidzę patrzeć, jak odjeżdżają gdzieś w dal pod groźbą pistoletu, który trzyma taki idiota jak Georg, i nienawidzę żyć w kłamstwie i nie móc powiedzieć tego, co naprawdę myślę. I nienawidzę powtarzać wszystkim dookoła, jak bardzo tęsknię za Clausem, choć jest wręcz odwrotnie.

Być może staję się podobna do starego wujka Ernsta. On nigdy nie przejmował się tym, co ludzie sądzą o nim albo o jego opiniach. Po raz pierwszy rozumiem, dlaczego sprzeciwiał się polityce czystości rasowej, prowadzonej przez Führera. Zupełnie inną sprawą jest czuć się dumnym, że jest się Niemcem, a inną widzieć, jak Żydzi są katowani i pistoletami zmuszani do marszu. Zwłaszcza kiedy są wśród nich twoi przyjaciele.

Ale czy Ruth i Emilia nadal będą uważały, że jestem ich przyjaciółką, skoro wycofałam się i pozwoliłam Irenie zamknąć okno, udając, że ich nie widzę?

Chociaż próbowałam włączyć się do rozmowy przy kawie, nie potrafiłam jednak udawać, że wszystko jest w porządku, i byłam zadowolona, gdy nadszedł czas, żeby jechać do domu. Kiedy pokojówka pomagała nam wkładać płaszcze, do domu wrócił Herr Adolf. Wyciągnął Brunona z kuchni przy biurze na dole, gdzie ten pił herbatę razem z sekretarką, a potem razem z Frau Adolf odprowadzili nas do samochodu. Po panującym w domu zaduchu miło było odechnąć świeżym, chłodnym powietrzem. Herr Adolf opowiedział nam o dziwnych hałasach, które czasami późną nocą albo wczesnym rankiem dobiegają z żydowskiego cmentarza znajdującego się na tyłach domu.

Od ogrodu państwa Adolf oddzielał go jedynie niski mur z cegły. Tak naprawdę to niezbyt atrakcyjna lokalizacja, ale Irena powiedziała mi, że to było jedyne miejsce, gdzie jej ojciec mógł kupić na tyle dużą parcelę, żeby pomieścić na niej dom, biura, warsztaty, garaże - słowem wszystko, co było mu potrzebne do prowadzenia firmy. Zawsze się zastanawiałam, w jaki sposób Herr Adolf mógł sobie pozwolić na kupno tak dużego terenu i rozkręcenie własnego interesu, skoro zaledwie siedem lat wcześniej ich rodzina mieszkała w wynajętym domu, on sam zaś pracował u kogoś innego. Teraz sądzę, że kupił to wszystko znacznie poniżej ceny rynkowej od żydowskich przedsiębiorców, którzy zmuszeni byli sprzedać swoją własność, ponieważ prawo rasowe zabraniało im posiadania ziemi i prowadzenia interesów.

Herr Adolf otworzył przede mną drzwi samochodu, ale chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o tych dziwnych hałasach. Wyobrażałam sobie, jak SS przyjeżdża tu późną nocą, żeby zakopać zwłoki Ruth i Emilii. Herr Adolf ściszył głos do szeptu i powiedział, że ludzie otwierają w ciemnościach groby, ale nie po to, żeby kogoś pochować albo obrabować zmarłych, lecz by ukryć rodzinne kosztowności. Frau Adolf uważa, że to dlatego, że zgodnie z prawem nie wolno im wywozić z Rzeszy więcej niż dziesięć marek. Żydzi, którzy czekają na przesiedlenie, starają się ukryć swoje skarby w nadziei, że po zakończeniu wojny uda im się przyjechać i odzyskać to, co do nich należy. Ale czy rzeczywiście ktoś pozwoli im tu wrócić?

Przypomina mi się jedno z przemówień Führera, które słyszałam przed wojną. W tamtym czasie nie zwracałam na takie rzeczy uwagi, ale Wilhelm zwracał. Słyszałam, jak on i Paul potem dyskutowali o tym z wujkiem Ernstem. „Jeśli wybuchnie wojna, to jej rezultatem nie będzie bolszewizacja tych ziem, a co za tym idzie, tryumf żydostwa, lecz unicestwienie żydowskiej rasy na terenie Europy”.

Czy „unicestwienie” oznaczało uwięzienie i deportację tych wszystkich dzieci i dziewcząt takich jak Ruth i Emilia? Albo nawet coś gorszego, sądząc po tym, co esesmani wyprawiali z rabinem? Dlaczego nikt nie próbuje stawiać pytań albo powstrzymać żołnierzy?

Nieważne, co zrobili Żydzi - z pewnością dziewczęta takie jak Ruth i Emilia nie zasłużyły sobie na to, żeby bili je i wpychali do ciężarówek tchórze tacy jak Georg, którzy potem zabawiają się, tłukąc bezbronnych starców. To bardzo dziwnie z ich strony, że wybierają sobie przeciwników na tyle słabych, że tamci w żaden sposób nie mogą im odpłacić. Muszę porozmawiać o tym z Paulem i Wilhelmem, kiedy następnym razem przyjadą do domu na przepustkę.

Rozdział ósmy

- Jesteś absolutnie pewna?

- Absolutnie - powtórzyła stanowczo Charlotte, kiedy wchodziły na strzeżony parking obok hotelu.

- Możemy to odłożyć.

- Do kiedy? Do następnego roku? - spytała. - Dziś rano odbyłam sama z sobą poważną rozmowę. Jesteśmy tutaj całe dwa dni...

- Półtora - sprostowała Laura.

- Tak czy owak, najwyższy czas, żeby tam pojechać i zobaczyć miejsce, dla którego przeleciałam pół świata.

Laura otworzyła samochód.

- Czy powinniśmy wrócić na drogę, którą przyjechałyśmy do Olsztyna?

- Nie. Za bramą skręcisz w prawo.

- Czyli Grunwaldsee nie znajduje się w pobliżu Bergensee?

- Obie posiadłości znajdowały się nad dwoma różnymi jeziorami po przeciwnych stronach miasta.

Mniej więcej po trzech kilometrach zobaczysz drogę odchodzącą w prawo.

Laura prowadziła wóz w całkowitym milczeniu. Od czasu do czasu zerknęła z ukosa na babkę, która siedziała pozornie rozluźniona na fotelu pasażera i udawała, że przygląda się okolicy.

- Czy coś się zmieniło? - odważyła się zapytać, gdy zostawiły za sobą ponure osiedla bloków wzniesionych na przedmieściach za rządów komunistów.

- Zbyt wiele. Na przykład tamto gruzowisko było kiedyś kwitnącym folwarkiem, który należał do rodziny Zalewskich. Mieli syna w tym samym wieku co moi bracia. Chłopcy często razem jeździli konno. Skręt jest tuż przed nami.

Laura wyciągnęła rękę i położyła dłoń na dłoni babci.

- Zobaczysz, że tam wszystko będzie w porządku.

- Nie jestem pewna, czego obawiam się najbardziej - czy zastać Grunwaldsee w ruinie, chylące się ku upadkowi jak Bergensee, zmienione w kupę gruzu, czy puste miejsce, w którym niegdyś stał mój dom.

- Czy właśnie ta dróżka prowadzi do dworu? - spytała Laura, starając się omijać kolejne dziury na wyboistej drodze.

- Nie. Tędy jedzie się do letniego domku. Mój ojciec wyremontował go dla jednego z moich braci, Wilhelma, kiedy ten żenił się w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.

- Widzę przed nami jezioro.

W miarę jak się zbliżały, Charlotte czuła, jak z wrażenia serce w niej zamiera, a w gardle narasta dziwny ucisk.

- Domek powinien być po lewej stronie - wyszeptwała.

- Och, jaki piękny! Prawdziwy domek z baśni! - wykrzyknęła Laura.

Zatrzymały się przed drewnianą chatą, otoczoną niewielkim sadem, który graniczył z jeziorem. Miniaturowe jabłuszka, gruszki i okrągłe czereśnie zwisały się z gałęzi okalających nieregularny w kształcie dach.

Charlotte otworzyła drzwi, zanim jeszcze Laura zdążyła wysiąść z samochodu. Przez dłuższą chwilę grzebała w torebce, a w końcu wyciągnęła z niej olbrzymi pęk kluczy, których Laura nigdy dotąd nie widziała.

- Wciąż masz klucze do tego domku? - zawołała ze zdumieniem.

- To głupie, prawda? - Babka wydawała się naprawdę zawstydzona. - Nie zamknęłam domku przed Rosjanami. Nie było sensu. Wiedziałam, że i tak roztrzaskaliby zamki, a nie mogłam znieść myśli, że ktoś mógłby narobić tu szkód.

Popchnęła furtkę i ruszyła wykładaną kostką ścieżką w kierunku frontowych drzwi.

- Wygląda na to, że ktoś dba o ten domek i dobrze się nim opiekuje - zauważyła Laura.

- Stare zamki wciąż są na swoim miejscu - mruknęła Charlotte, wskazując na olbrzymią dziurkę od klucza, nad którą lśnił nowy zamek.

Zapukała do drzwi; wewnątrz rozległo się donośne echo. Poczekała chwilę, ale kiedy nikt nie odpowiedział, weszła do ogrodu i opadła bez sił na drewnianą ławeczkę, która stała pod ścianą. Zamrugła oślepiona promieniami słońca, a wtedy Laura dostrzegła spływającą po policzku babci łzę.

Charlotte czuła, że Laura ją obserwuje.

- To miejsce wygląda dokładnie tak samo jak podczas wojny - wyjaśniła. - Między kamieniami widać nową zaprawę, wszystko jest czyste i schludne. To mi przypomina o staraniach papy przy odnawianiu tego domku, kiedy Wilhelm zaręczył się z Ireną.

- Czy po ślubie zamieszkali właśnie tutaj?

- Niezupełnie. Kiedy Wilhelm wyjeżdżał, Irena mieszkała z nami. Ale kiedy przyjeżdżał na przepustkę, od razu przenosili się tutaj. Szczerze wątpię, czy w czasie całej wojny udało im się pobyc tu ze sobą dłużej niż cztery tygodnie.

- Ale musieli być szczęśliwi. W tym miejscu wyczuwa się cudowną atmosferę.

- Tak, rzeczywiście...

Charlotte odwróciła twarz, żeby ukryć wzruszenie. Jeśli ludzkie szczęście istotnie mogło mieć wpływ na atmosferę domu, to oprócz szczęścia Ireny i Wilhelma w tym miejscu czuło się również szczęście innej pary.

- Chciałabym, żebyśmy mogły wejść do środka i zobaczyć, jak tam teraz wygląda.

- Być może przetrwały dawne meble.

- Przez sześćdziesiąt lat? - Charlotte pokręciła głową. - Nie sądzę. Papa powstawił tu głównie stare graty, których chciał się pozbyć z domu. Nawet wtedy nie były w najlepszym stanie.

- Możemy obejść domek i zajrzeć przez okna z drugiej strony - zaproponowała Laura.

- A jeśli ktoś tam jest?

- To by nam otworzył drzwi.

Laura podała babce ramię, ale zanim zdążyły zrobić ze sześć kroków, na ścieżce wiodącej do jeziora ukazał się młody człowiek. Od razu zwrócił się do nich po polsku.

Charlotte wciąż przełykała łzy, niezdolna odpowiedzieć mu nawet jednym słowem. Laura odezwała się po niemiecku, ale młody człowiek tylko pokręcił głową.

- Oma, czy mogłabyś mu wytłumaczyć, dlaczego tu jesteśmy?

- Mówicie po angielsku? - Młodzieniec wyraźnie się rozpromienił.

Zanim Charlotte zdążyła ją powstrzymać, Laura rzuciła się w wir konwersacji.

- To moja babcia. Kiedyś tu mieszkała.

- W tym domku?

- Nie, nie w tym. W Grunwaldsee.

Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Oma? - ponagliła ją Laura, czekając na pomoc.

- Tam teraz mieszka mój dziadek. Chodźcie, to was do niego zaprowadzę.

Chyba nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, bo pospiesznie zerknął na swoją rękę, wytarł ją w spodnie, a potem wyciągnął do nich.

- Miło was poznać. Ja nazywam się Brunon Niklas. Charlotte przyjrzała mu się uważnie. Miał ciemne włosy i oczy, był średniego wzrostu, mocnej budowy ciała.

- Mamy samochód - powiedziała, zamykając furtkę prowadzącą do ogrodu.

- Widziałem. Pokażę wam drogę. Jedźcie za mną.

Podniósł z ziemi nożyce i kosę i rzucił je na tył podniszczonej półciężarówki, która stała obok domku, sam zaś wdrapał się na fotel kierowcy.

- Nie powinnaś była mu mówić, że mieszkałam kiedyś w Grunwaldsee - upomniała Laurę Charlotte, gdy wsiadły do samochodu.

- Dlaczego nie? Przecież chcesz tylko zobaczyć dom, prawda? A on powiedział, że jego dziadek tam mieszka, więc dom nie może być w tak złym stanie jak Bergensee. Przypominasz sobie tę drogę?

- Samą drogę tak, ale mam wrażenie, że została poszerzona. Nigdy nie przyjeżdżaliśmy tu samochodami. Za moich czasów po majątku jeździło się bryczką.

Kiedy w polu widzenia pojawiły się stajnie, Charlotte tak mocno zacisnęła palce na fotelu, że kostki jej dłoni zupełnie zbiały.

Brunon zakręcił ostro półciężarówką w lewo, a potem jeszcze raz w lewo. Charlotte zamknęła oczy, obawiając się zobaczyć Grunwaldsee opuszczone i w ruinie.

- Boże, Oma! Czy to właśnie ten dom?

Głos Laury wyraźnie się załamał, więc Charlotte odważyła się unieść powieki. Tam, gdzie niegdyś znajdowała się wysoka, pomalowana na srebrno brama, teraz stały jedynie dwa zardzewiałe słupy. Domki pracowników, tworzące prawy bok kwadratu zamykającego dziedziniec, były zasłonięte rusztowaniami, na których uwijali się robotnicy usuwający połamane okna i przegniłą stolarkę. Poczua przypływ zadowolenia, że ktoś zajął się odnawianiem tych pomieszczeń. Nigdy nie było dość pieniędzy, żeby utrzymać je w należytym stanie, nawet za najlepszych czasów, kiedy jeszcze żył jej ojciec.

Cały dziedziniec zastawiony był pordzewiałymi maszynami rolniczymi, ale za płataniną porzuconego żelastwa wznosił się dom; wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, w tamto białe od śniegu styczniowe popołudnie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, kiedy wyjeżdżała stąd na zwykłej chłopskiej furmance.

Ściany miały tę samą barwę nasyconej kremowej bieli, a kamienne wykończenia dookoła drzwi i okien pomalowano na kolor głębokiego burgunda, który ojciec wybrał jeszcze przed wojną. Trawnik pomiędzy domem i wybrukowaną częścią dziedzińca był starannie utrzymany i przystrzyżony. Drewniane poprzeczne listwy na uchylnych oknach sprawiały wrażenie świeżo pomalowanych białą farbą, stan dachówek zaś sugerował, że dach niedawno został porządnie wyremontowany. Kolumny po obu stronach drzwi frontowych także były nieskazitelnie białe, oplecione pasami ciemnoczerwonej farby; schody wznoszące się ponad wysokość piwnicznych okien zostały na nowo wyłożone marmurowymi płytami. Żelazna rzeźbiona balustrada na tarasie prezentowała się równie nienagannie jak w dniu, w którym przywieziono ją z kuźni, i tak samo dobrze wyglądała barierka wokół małego balkonu, przylegającego do garderoby ojca Charlotte.

- Czy to właśnie jest Grunwaldsee? - powtórzyła Laura.

Babka nie odpowiedziała. Jak zahipnotyzowana patrzyła przed siebie. Po tych wszystkich nocnych koszmarach, podczas których widziała swój dom w ruinie, zaskakującym przeżyciem było zobaczyć go teraz w tak dobrym stanie, jakby znalazł się w pętli czasu.

Podświadomie oczekiwała, że Laura nagle rozplynie się w powietrzu, a ze schodów zbiegną Paul z Wilhelmem, w zarzuconych na ramiona kurtkach do konnej jazdy i z biczykami w rękę, a potem przy akompaniamencie nieustannych krzyków i przepychanek ruszą w kierunku stajen. Jej matka wyjdzie za chwilę na mały balkon nad frontowymi drzwiami i zawoła, żeby nie wracali zbyt późno, bo na kolację przyjadą goście. A młodsza wersja Charlotte stała na ścieżce wiodącej

na tyły domu i handryczyła się z Gretą. Ojciec wychylił się z bocznych drzwi prowadzących do gabinetu w zachodnim skrzydle i prosił, żeby wreszcie przestały się kłócić.

- Fräulein Charlotte?

Jakiś starszy mężczyzna kuśtykał w stronę samochodu. Otworzyła drzwi, bo wydało jej się, że zna ten głos, choć twarz tego człowieka nie wydawała się znajoma.

- Więc wróciła tu pani, Fräulein Charlotte. Po tylu latach jednak pani wróciła!

Rozdział dziewiąty

- Marius? - Charlotte wysiadła z auta i ostrożnie ruszyła w jego kierunku. - Zostałeś? Przez te wszystkie lata wciąż byłeś tutaj?

- Fräulein Charlotte, czy choć przez chwilę mogła pani pomyśleć, że zostawiłbym to wszystko na łasce i niełasce Rosjan? Oczywiście, że zostałem. Kto inny poza rodziną Niklasów wiedziałby, jak dbać o Grunwaldsee?

Niemczyzna Mariusa była dość kulawa i niepewna na skutek długiego braku kontaktu z tym językiem. Charlotte przypomniała sobie, jak ktoś ze znajomych mówił jej, że komuniści starali się wypłenić niemiecki z terenu dawnych Prus Wschodnich i dopiero parę lat temu ten język wrócił do łask.

Charlotte i Marius patrzyli na siebie bez słowa; przez jeden króciutki moment Laura pomyślała, że za chwilę babcia weźmie w ramiona tamtego starszego człowieka, ale coś - przekonanie, co wypada, a co nie, albo być może wspomnienie o podziale klasowym, który zniknął przed sześćdziesięciu laty na skutek wojny - zatrzymało ich kilka kroków od siebie.

To Marius zdecydował się przerwać milczenie.

- Niech pani wejdzie do środka, Fräulein Charlotte. Zapraszamy na kawę i wódkę.

Starsza kobieta stojąca za jego plecami bez wątpienia była jego żoną. Najwyraźniej nie zrozumiała ani słowa z tego, co mówił jej mąż - to znaczy, kim była Charlotte ani po co tu przyjechała - ale gesty męża wskazywały, że zaprasza gościa do domu, więc po polsku przyłączyła się do zaproszenia.

Laura i Brunon cofnęli się o parę kroków, wyczuwając, że nie są tu potrzebni ani niezbędni. Charlotte obejrzała się na wnuczkę.

- Idź, Oma - ponagliła ją Laura. - Porozmawiaj ze swoim przyjacielem. Ja świetnie dam sobie radę.

- Pokażę ci nasze stajnie - zaproponował Brunon po angielsku, a potem powiedział coś po polsku do starszych państwa.

Laura przyglądała się, jak Marius z żoną prowadzą Charlotte do jednej z bliźniaczych stróżówek, które stały po obu stronach głównego wjazdu na dziedziniec. Tak samo jak główny budynek ten domek został przywrócony do pierwotnego stanu, a przy syjących się ścianach drugiego stały już rusztowania, zapewne wkrótce miał się rozpocząć niezbędny remont.

- Czy chciałabyś zobaczyć konie? - spytał Brunon, gdy jego dziadek zamknął drzwi domku i zostali z Laurą sami na dziedzińcu.

- Z przyjemnością.

- Mój dziadek nazywa twoją babcie Charlotte. Czy mam rozumieć, że to ona była tą Charlotte von Datski?

- Wciąż nią jest, ale nigdy nie używa tego „von” - uśmiechnęła się Laura, idąc za Brunonem w stronę budynków, które zamykały lewą stronę dziedzińca.

- To dziwne, że wciąż nosi panieńskie nazwisko.

- Zdecydowała tak po śmierci męża, który zmarł prawie czterdzieści lat temu.

- Musiała ci opowiadać o tym miejscu.

- Bardzo niewiele, ale teraz rozumiem dlaczego.

- Laura odwróciła się, żeby spojrzeć na główny budynek. - To musiało być straszne, musieć zostawić coś takiego i uciekać w nieznaną.

- Przy końcu wojny Niemcy w zasadzie nie mieli wyboru - oznajmił Brunon kategorycznie. - Jeśli wpadliby w ręce Rosjan, to zostaliby zabici lub wysłani transportem kolejowym na Syberię, gdzie zwykle wyrzucano ich na polu pod gołym niebem. Wielu tych ludzi zmarło lub umarło z głodu.

- Jestem zaskoczona, że twój dziadek wciąż tu mieszka.

- Rodzina Niklasów zarządzała majątkiem von Datskich przez ponad trzysta lat. Niełatwo zapomnieć o takiej przeszłości.

- I nie musieli stąd uciekać, kiedy nadchodzili Rosjanie? - spytała Laura.

- Na ogół Rosjanie zostawiali Polaków w spokoju, co akurat dobrze sięłożyło, jeśli chodzi o mnie, bo w przeciwnym wypadku nigdy bym się nie urodził. Moja prababcia zdecydowanie odmówiła opuszczenia Grunwaldsee. Wierzyła, że pradziadek Brunon - po którym noszę imię, a który został w grudniu czterdziestego czwartego roku wcielony do służby zastępczej w Wehrmachcie - w końcu wróci do domu, a jeśli ona wyjedzie, to mogą już nigdy się nie odnaleźć. I chociaż mój dziadek miał wtedy zaledwie trzynaście lat, nie zostawił prababci samej. Kiedy Rosjanie zrobili z Grunwaldsee swoją lokalną główną kwaterę, zatrudnili ją jako kucharkę, jego zaś jako chłopca stajennego. Płacili im jedzeniem, a to w owym czasie przy końcu wojny było cenniejsze od złota.

- Wcześniej pracowali u rodziny mojej babci.

- Jesteś zaskoczona, że mogli pracować dla Rosjan, po tym jak przez wiele lat wiernie służyli rodzinie von Datskich?

- Wcale nie. Po prostu trudno mi uwierzyć, że wciąż mieszka tutaj ktoś, kogo moja babcia znała za młodu.

- Nie tylko ktoś - powiedział tajemniczo, otwierając drewnianą bramę prowadzącą do stajni.

Laura weszła do środka i przekonała się, że choć na zewnątrz budynek się sypie i wymaga pilnego remontu, to wewnątrz jest w nienagannym stanie. Boksy zostały świeżo wybetonowane, a drewniane barierki były tak nowe, że pachniały jeszcze sosną i trocinami.

- Cóż za prześliczny koń! - wykrzyknęła z zachwytem, kiedy na ich spotkanie z boku wysunęła się klaczka niemal białej maści.

Klaczka schyliła łeb i obwąchała kieszenie Brunona w poszukiwaniu jakiegoś przysmaku. Nawet dla kogoś o tak niewprawnym oku jak Laura było oczywiste, że to wyjątkowo piękny wierzchowiec.

- Z pewnością babcia opowiadała ci o słynnych siwkach von Datskich?

- Nie.

Laura doszła do wniosku, że chłopak musi być zaskoczony jej ignorancją.

- Umiesz jeździć konno?

- Babcia płaciła za moje lekcje, ale nigdy nie doszłam do wielkiej wprawy.

- Jeśli chcesz, to możemy zrobić sobie wycieczkę konno po Grunwaldsee. - Popatrzył na jej cienką sukienkę i lekkie sandały. - Masz ze sobą ubranie do konnej jazdy?

- Mam spodnie.

- W takim razie możemy pojechać jutro albo pojutrze, jak wolisz. I nie martw się, znajdę dla ciebie łagodnego konia i coś na głowę.

Zamknął drzwi stajni i powędrowali z powrotem przez podwórze.

- To cudownie widzieć dawny dom mojej babci w tak znakomitym stanie. - Laura o mało co nie wspomniała, jak bardzo babcia była zszokowana opłakany stanem Bergensee, ale coś ją powstrzymało. - Twoja rodzina świetnie daje sobie radę. Renowacja głównego budynku musiała kosztować fortunę.

Chłopak odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Moja rodzina nie odnawiała tego domu. Dziadek nie mógłby sobie pozwolić nawet na kupno farby do malowania ścian, nie mówiąc już o zatrudnianiu fachowców do reperowania dachu czy murów.

- Więc Grunwaldsee nie należy teraz do was? - spytała ze zdziwieniem.

Skinął głową w stronę stróżówek.

- Mówiłem ci przecież, że Niklasowie zawsze byli zarządcami, nigdy właścicielami majątku.

- Ale dwór jest w tak znakomitym stanie...

- Nawet komuniści potrafili dostrzec, że coś ma wielką wartość. Kiedy w połowie lat pięćdziesiątych armia opuściła dom, ktoś z władz przypomniał sobie o siwkach ze stadniny von Datskich. Większość koników skończyła swój żywot w garnkach albo trafiła do Rosji, ale dziadkowi udało się ukryć kilka na sąsiednich folwarkach. Zostało ich wystarczająco dużo, żeby pomyśleć o odbudowie hodowli. Dziadek zaproponował, że się tym zajmie. Polski rząd okazał się skory do sponsorowania dziedzin sportu, dzięki którym można było wystartować w międzynarodowych konkursach, zwłaszcza na olimpiadzie. Przyjęli ofertę dziadka, a kiedy później otwierano tu szkołę jeździecką i stadninę koni, zrobili go kierownikiem. Przez ostatnie czterdzieści lat siwki von Datskich startowały na wszystkich olimpiadach w konkursach skoków i zawodach w ujeżdżaniu koni.

- Nawet jeśli moja babcia o tym wiedziała, to nie pisała ani słówka na ten temat.

- Och, z pewnością musiała wiedzieć. Nie można nie rozpoznać siwków ze stadniny von Datskich - odparł apodyktycznie. - Wystarczy je raz zobaczyć, żeby zapamiętać na zawsze. Czy twoja babcia nigdy nie jeździła konno po tym, jak wyjechała z Prus Wschodnich?

- Przynajmniej ja na ten temat nic nie wiem. Ale ona wciąż pracuje. Jest artystką malarką.

- Malarką, nie pianistką! To zaskakujące. Mój dziadek powiada, że nikt nie grał tak pięknie na fortepianie ani na skrzypcach jak Fräulein Charlotte. Z tego, co mi wiadomo, przed wojną zamierzała studiować w konserwatorium, żeby zostać pianistką.

- Moja babcia? Nie miałam pojęcia.

Laura patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, aż nagle przypomniało jej się, jak Charlotte wspomniała, że należała do orkiestry Hitlerjugend. Nie wiadomo dlaczego zawsze jej się wydawało, że babcia grała gdzieś w trzecim pulpicie skrzypiec albo na flecie razem z kilkorgiem kolegów - nigdy nie przyszło jej do głowy, że przed Charlotte stała otworem wielka kariera pianistki.

- Babcia ma ogromną kolekcję nagrań muzyki klasycznej, ale nigdy nie widziałam, żeby grała na fortepianie albo na jakimś innym instrumencie.

- Artystka malarka Charlotte von Datski - zadumał się Brunon Niklas. - To dziwne, że w Polsce o niej nie słyszeliśmy.

- Robi ilustracje do książek dla dzieci. Jest bardzo utalentowana, ale poza kręgiem wydawców raczej niewiele osób o niej słyszało.

- Przypuszczam, że to jedynie dowodzi, jak mało wiemy o swoich rodzinach, zwłaszcza o pokoleniu naszych dziadków. A ty czym się zajmujesz?

- Robię filmy dokumentalne dla telewizji.

- Z jakiej dziedziny? - zapytał wprost.

- Głównie historyczne albo o współczesnych wydarzeniach, które interesują opinię publiczną. Właśnie niedawno skończyłam dokument o Stasi.

Laura usiadła na stopniach, które prowadziły na werandę dworu, i rozejrzała się dookoła, starając się wyobrazić sobie, co to znaczyło dorastać w miejscu takim jak Grunwaldsee.

- A ja studiuje rolnictwo. Moja mama i brat mieszkają w Warszawie, ale ja zawsze spędzałam mnóstwo czasu właśnie tutaj. Uwielbiam to miejsce. Miało swoją specyficzną atmosferę nawet wtedy, kiedy kręciło się tu mnóstwo partyjnych koleśków. Oczywiście zatrzymasz się tutaj?

- Mam zamiar spędzić w Polsce tydzień albo dwa.

- Nie miałem na myśli Polski, tylko Grunwaldsee. Twoja babcia na pewno ma ci mnóstwo do pokazania, a moi dziadkowie z pewnością będą się upierać, żebyście u nich zamieszkały.

- Ta cała wycieczka to pomysł mojej babci. Od dłuższego czasu miała zamiar tu przyjechać. Jestem tu, żeby dotrzymać jej towarzystwa, a poza tym byłam ciekawa, jak wyglądało miejsce, w którym się wychowała, a potem musiała je zostawić. To do niej należy decyzja, co będziemy robić. Skinął głową.

- W takim razie chodźmy tam i przekonajmy się, co zdecydowała.

Znaleźli Charlotte siedzącą z gospodarzami w małym, mrocznym i ciasnym pokoju dziennym. Olbrzymi piec zajmował jedną trzecią pomieszczenia, a masywne meble z ciemnego drewna, które wyglądały tak, jakby przeznaczono je do jakiejś olbrzymiej kuchni, tłoczyły się na pozostałej części podłogi. Pośrodku stał stół, przykryty obrusem z ręcznie dzierganej koronki, a na nim butelka wódki, talerz z robionym w domu marcepanem oraz dzbanek z kawą.

- Och, najmocniej przepraszam! - zawołała po angielsku Charlotte. - Zupełnie zapomniałam was przedstawić. To jest Marius Niklas, syn ostatniego rządcy mojego ojca, który także nosił imię Brunon. A to żona Mariusa, Jadwiga. Moi drodzy, to właśnie jest moja angielska wnuczka, Laura Templeton.

Powtórzyła wszystko po niemiecku na użytek Mariusa i pożałowała, że nie potrafi powiedzieć tego po polsku, żeby mogła ją zrozumieć Jadwiga, ale jej polszczyzna zawsze pozostawiała wiele do życzenia. Charlotte nie nauczyła się tego języka nawet wówczas, gdy w okresie przedwojennym i w czasie wojny w Grunwaldsee pracowali polscy robotnicy.

- Miło mi państwa poznać. - Laura zamierzała uścisnąć dłoń gospodarza, lecz on szarmanckim gestem podniósł jej rękę do ust i ucałował.

- Czy Brunon dostał imię po swoim pradziadku? - zainteresowała się Charlotte.

- Tak. Urodził się w tym samym roku, w którym umarła moja mama. Cieszyła się na myśl, że imię jej męża będzie żyć w następnych pokoleniach.

- Masz w sobie coś, co trochę go przypomina - zwróciła się Charlotte po angielsku do Brunona, a potem serdecznie potrząsnęła jego ręką.

- Bardzo się cieszę, że wreszcie mam okazję panią poznać, madam. Mój dziadek bezustannie opowiada o pani i o starych, dobrych czasach - powiedział Brunon i zaraz przetłumaczył swoje słowa, żeby dziadkowie mogli go zrozumieć.

- Opowiadam same dobre rzeczy - zapewnił Marius po niemiecku i odwrócił się do żony, żeby wyjaśnić jej, co przed chwilą powiedział.

- Zdaje się, że ominęło nas małe przyjęcie. - Brunon zerknął na wódkę.

- Proszę, Fräulein Laura, niech pani usiądzie - poprosił Marius po niemiecku, słusznie zakładając, że Laura na pewno biegle włada tym językiem. - Jadwiga zaraz przyniesie więcej kieliszków i filiżanki.

Laura z powątpiewaniem ogarnęła wzrokiem szczupłą ilość miejsca w pokoju. Szczerze wątpiła, czy zmieści się tu jeszcze jedno krzesło.

- Pomyślałem, że to dobry moment, żeby oprowadzić naszych gości po dużym domu - zaproponował Brunon.

- Mam klucz, ale właścicielowi mogłoby się nie spodobać, że wchodzimy tam bez pozwolenia - zawahał się Marius.

- Ale on pewnie nie zjawi się tu jeszcze przez wiele dni.

- Właściciel wyjechał? - zapytała Charlotte, której znajomość polskiego wystarczyła na tyle, by wyłowić sens tej wymiany zdań.

- Tak, ale może wrócić lada moment - odparł krótko Marius.

- Czy jest Polakiem?

- Rosjaninem.

Marius odwrócił głowę, żeby uciec przed spojrzeniem Charlotte. Wydawało mu się, że nietrudno zgadnąć, jakie wrażenie na przedstawicielce rodu von Datskich zrobiła wiadomość, że teraz właścicielem Grunwaldsee jest ktoś pochodzący z Rosji. Zanim go poznał, sam miał mieszane uczucia co do pozostania w stróżówce, która przez ponad trzy stulecia była domem rodziny Niklasów.

- On nie jest złym człowiekiem - dodał prędko, żeby jakoś złagodzić cios.

- Od kiedy tutaj mieszka? - zapytała cicho Charlotte.

- Od roku. Po przemianach tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku władze wystawiły Grunwaldsee na sprzedaż, ale biurokracja i przeszkody prawne sprawiły, że do transakcji doszło dopiero na początku zeszłego roku.

- Ten gość wydał pięćdziesiąt razy więcej na renowację dużego domu, niż zapłacił za całą posiadłość - wtrącił Brunon.

- No cóż, w dzisiejszych czasach to właśnie Rosjanie mają pieniądze - skomentował Marius.

Charlotte przekonała się, że czasem trudno jest powstrzymać drżenie głosu.

- Czy ten człowiek ma rodzinę? - spytała.

To, że znalazła Grunwaldsee w tak doskonałym stanie, graniczyło z cudem, ale gorzka świadomość, że ktoś inny niż von Datski mógł nazwać tę posiadłość swoim domem, bolała bardziej, niż wcześniej była skłonna przypuszczać.

- Nie, nie jest żonaty. - Marius z uporem wpatrywał się w swój kieliszek. - I jak dotąd nie przeprowadził się do dużego domu. Na razie mieszka w letnim domku nad jeziorem. To był pierwszy dom w całym majątku, którego odnowieniem się zajął, choć oczywiście nie trzeba było robić niczego więcej, niż zrobił pani ojciec w trzydziestym dziewiątym roku. Ale domek nie wyglądał dobrze, dopóki nie wstawiono nowych okien i nie zreperowano dachu.

- Widziałam już ten domek - powiedziała łagodnie Charlotte.

Marius jednym haustem dopił swoją wódkę.

- Serce by pani pękło, gdyby pani widziała, w jakim stanie były budynki, a zwłaszcza duży dom, zanim nowy właściciel zabrał się do remontu tego wszystkiego. Jak każdy dwór znajdujący się w kraju rządzonym przez komunistów, Grunwaldsee było zniszczone, obrabowane i zaniedbane. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił ten Rosjanin po sfinalizowaniu transakcji, było sprowadzenie tu budowniczego, który zajmuje się odnawianiem starych rezydencji. Miał jasno sprecyzowane wymagania, co należało tu zrobić. Najpierw kazał uzupełnić ubytki w murach i zreperować zewnętrzne ściany, później wymienić krokwie i dachówki, potem zrobić stolarkę wewnątrz, a także poprowadzić nowe rury i przewody elektryczne. Wszystkie wewnętrzne ściany zostały otynkowane, sufity odnowione, a całość porządnie odmalowana. Ale dla czego siedzimy tutaj, skoro może pani zobaczyć to na własne oczy? - Brunon wstał i otworzył drzwi.

- Skąd ten człowiek wiedział, jak należy dobrać kolory? - pytała Charlotte.

- Ja mu pomogłem - przyznał się Marius, choć nie był pewien, czy Charlotte nie uzna tej współpracy z wrogiem za odstępstwo.

- Czy zostały jakieś nasze meble? - Głos Charlotte wyraźnie drżał.

- Rosjanie wszystko zabrali - odparł krótko Marius.

- Układali rzeczy w taki wielki stos. Wszystkie urządzenia elektryczne, maszyny do szycia, lampy, radia, piece, grzejniki... Z miasta i okolicznych wsi zostało zabrane wszystko, co można było podłączyć do prądu. Ułożono te rzeczy na polanie w lesie i leżały tam przez równe dwa lata. Przez dwie zimy, zanim ktoś wpadł na pomysł, żeby załadować je na ciężarówkę i wywieźć w głąb Rosji. - Ze smutkiem pokręcił głową.

- Może pani sobie wyobrazić, do czego to się nadawało po dwóch latach leżenia na wolnym powietrzu.

- Co za marnotrawstwo - mruknęła Charlotte.

- Meble zostały zwalone na kupę na innej polanie - mówił Marius, prowadząc ich na ukos przez dziedziniec. - A bizuteria, zabawki, wszystko, co było wystarczająco małe i przedstawiało jakąś wartość, ładowało w chlebakach i żołnierskich plecakach. Oni byli jak szarańcza. Cała okolica została ogołocona do cna - z ludzi, kosztowności i jedzenia. Zostały tylko opustoszałe domy, do których potem przesiedlano polskie rodziny. - Czule ujął dłoń żony. - Na moje szczęście jedną z nich była rodzina Jadwigi.

Brunon wbiegł po schodkach prowadzących do frontowych drzwi i wyciągnął rękę do dziadka, żeby dał mu klucze. Ale Marius się wahał.

- Czy nadal jest pani pewna, Fräulein Charlotte, że chce pani tam wejść?

- Już od bardzo dawna nie jestem Fräulein Charlotte, Marius. Teraz jestem zwykłą Charlotte. Tak, chcę tam wejść. Chcę zobaczyć dom, jeszcze ten jeden jedyny raz.

Brunon szeroko otworzył przed nią drzwi. Charlotte czuła, że wszystkie oczy skierowane są na nią. Czekali, aż zrobi pierwszy krok i przestąpi próg.

Zapach świeżej farby i lakieru był tak duszący, że prawie zakreśliło jej się w głowie. Spojrzała w dół, żeby się przekonać, że stoi na całkiem nowym parkiecie.

- Musieliśmy położyć nowe podłogi - wyjaśnił Marius. - Zimy w czterdziestym szóstym i czterdziestym siódmym były wyjątkowo mroźne. Rosyjscy żołnierze zrywali deski, żeby palić nimi w piecu; później zdecydowano, że należy pokryć ubytki tanim linoleum, ale nie wytrzymało długo.

Charlotte czuła, że wszyscy czekają, aż coś powie.

- To drewno jest bardzo dobrej jakości.

- Nie tak dobre jak poprzednie deski, ale przynajmniej nie ma na nim śladów zadrapań. Pamiętam, jak pani matka besztowała sprząające dziewczyny za to, że nie potrafiły ich usunąć.

W głosie Mariusa pojawił się pewien szczególny ton, który Charlotte z najwyższym trudem udało się zignorować.

- Czy to drewno także jest nowe?

Delikatnie musnęła palcami poręcz przy schodach, niepewna, czy całe schody zostały odarte z lakieru i odrestaurowane, czy może całkowicie wymienione.

- Tak samo jak podłoga, poręcze powędrowały do pieca.

- Ktokolwiek je wymieniał, znał się na swojej robocie. Zdaje się, że wspominałeś coś o tym, że służyłeś radą nowemu właścicielowi?

- O tyle, o ile potrafiłem - przyznał nieśmiało.

- Świetnie ci poszło, Marius. Naprawdę. To byłoby straszne, zobaczyć Grunwaldsee zamienione w kupę gruzu.

Charlotte podniosła głowę, żeby rzucić okiem na sufit. Tynk wydawał się wyraźnie świeży, ale ornamenty wokół ścian i rozety były identyczne z tymi, które zapamiętała.

- Zostały zrobione z tych samych matryc, co poprzednie. Zachowało się wystarczająco dużo fragmentów, żeby sztukator mógł dorobić resztę. - Marius usiadł na dolnym stopniu schodów i rozejrzył się dookoła. - Przy końcu wojny najbardziej ucierpiał hol, ponieważ tutaj żołnierze czekali na rozkazy. Ale proszę wejść do salonu, przekona się pani, że wciąż tam jest ten sam stary kominek.

Natychmiast otworzyła drzwi po prawej stronie. Bez mebli pokój sprawiał wrażenie oszalałająco przestronnego. Z wysokich okien rozpościerał się widok na las i drózkę, która wiodła wprost do jeziora. Charlotte podeszła do kominka i czule przesunęła dłońmi po gładkim marmurze.

- Nie tylko kominek ocalał - wyszeptała. - Płytki na obudowie także jakimś cudem przetrwały.

- Jeszcze zostały dwa kandelabry w sali balowej. - Marius wstał i otworzył podwójne drzwi największego pomieszczenia w całym dworze. - Trzeci się potłukł, kiedy próbowali go zdjąć, więc dali sobie spokój. Musieli wyczyścić je bez zdejmowania.

Dokądkolwiek poszli, wszędzie było to samo. Duch starego domu unosił się w nowych wnętrzach, w lśniących, proporcjonalnych pokojach, pozbawionych dawnych ornamentów i umeblowania. Zachowano te same kolory, które zapamiętała z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego - złoto i zieleń w salonie, błękit, biel i srebro w sali balowej i dużej jadalni, czerwień w pokoju bilardowym, chociaż sam stół ukradziono. Charlotte nie mogła oprzeć się wrażeniu, że oto cofnęła się w osiemnasty wiek, kiedy Wilhelm von Datski przywiózł swoją młodą, poślubioną w Hanowerze żonę do Grunwaldsee, i zdecydowawszy, że nie odpowiada mu mieszkanie w starej budowli z czerwonej cegły, zrównał zamek z ziemią, a następnie sprowadził architekta, który wznosił na dawnych fundamentach klasycystyczny dwór - nową siedzibę rodu.

Tylko kuchnia nie miała nic wspólnego z historią domu. Nowoczesne blaty z nierdzewnej stali, czarno-białe szafki i błyszczące kafelki ukryły blizny z czasów epoki komunistycznej, kiedy mieściły się tu szkoła jeździecka i hotel, dostarczający rozrywki elitom.

- Najlepszą rzecz zachowałem na koniec - oświadczył Marius.

Przeszedł przez kuchnię i korytarzyk dla służby do głównego holu, a następnie skierował się do biblioteki. Tutaj ściany obudowane zostały regałami z ciemnego drewna, ale Charlotte po chwili dostrzegła, że regały także były nowe, choć wzorowane na oryginalnych.

- Czy półki, tak samo jak książki, również trafiły do pieca?

- Wszystkie, co do jednej, które były w gabinecie pani ojca.

Marius otworzył następne drzwi, które prowadziły do mniejszego, bardziej przytulnego pomieszczenia.

- Oma, ile tu jest pokoi? - zawołała Laura, całkiem zbита z tropu i zadziwiona ogromną powierzchnią domu.

- Nie wiem, nigdy nie liczyłam - odparła Charlotte. - A ty wiesz, Marius?

- Nie tak wiele, jak na dwór właścicieli tak dużej posiadłości jak Grunwaldsee. Na tym piętrze oprócz kuchni, spiżarni i mieszkań służby znajdują się dwa salony, duża i mała jadalnia, sala balowa, biblioteka, gabinet, pokój bilardowy, gabinet pani ojca, osobne biuro zarządcy, ogród zimowy i cztery pokoje ogólnego użytku.

- Ogólnego użytku? - Laura z figlarną miną zerknęła na babcię.

- Mama używała jednego z nich jako buduaru, drugiego jako gabinetu, a w trzecim był pokój do szycia dla gospodyni. Czwarty zajęli moi bracia i stanowczo zabraniali komukolwiek wstępu do środka, nawet pokojówkom. Boję się myśleć, co tam robili.

- Palili i pili alkohol - zdradził Marius. - Kiedy miałem sześć lat, wlałem tam przez okno, a potem strasznie się pochorowałem po papierosach i piwie, którymi zostałem poczęstowany. A czy to pani pamięta? - dodał, wprowadzając Charlotte do pomieszczenia, które niegdyś służyło jej ojcu za gabinet.

- Szafa papy! - wykrzyknęła Charlotte. - Więc jednak coś ocalało!

Podeszła do wielkiej, rzeźbionej szafy z hebanowego drewna, która od podłogi aż po sufit zajmowała przestrzeń wielkości sporej alkowy.

- Trzymaliśmy tutaj wszystkie dokumenty dotyczące naszej posiadłości, najstarsze pochodziły z trzynastego wieku. - Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Szafa była pusta. - Dlaczego jej nie spalili?

- Heban jest twardy. Rosjanom nie chciało się walić siekierami, skoro mieli tu pod dostatkiem innego drewna do palenia.

- Szafa papy wciąż tu jest - po tym wszystkim, co się wydarzyło... Nie mogę w to uwierzyć.

- Niech pani spróbuje ją poruszyć. Dziesięciu mężczyzn też nie dałoby rady. Podczas remontu tynkarz nie mógł się dostać do ściany z tyłu. Przykro mi, ale dziś nie pójdziemy na górę - powiedział Marius, kiedy z powrotem znaleźli się w holu. - Wczoraj wniesiono tam meble. Prawdę mówiąc, gdyby przyjechała pani tydzień później, to pewnie wszystkie pokoje byłyby już urządzone.

- Czyli jednak ten nowy właściciel zamierza mieszkać w Grunwaldsee? - Charlotte musiała złapać się framugi drzwi, bo nagle zakreśliło jej się w głowie.

- Nie wiem, nie zwierzał mi się ze swoich planów - odparł Marius.

Chyba zauważył, że Charlotte zrobiło się słabo, bo szybko podsunął jej ramię, aby mogła się oprzeć.

- Zbliża się pora kolacji. Czy zostaną panie i zjedzą z nami?

- Bardzo prosimy - przyłączyła się po polsku Jadwiga, która najwidoczniej domyśliła się, o czym mówił jej mąż.

Charlotte spojrzała na Laure, która razem z Brunonem schodziła przed nimi ze schodów werandy.

- Chętnie, o ile nie sprawimy wam kłopotu - odpowiedziała.

- Kłopotów? W pani rodzinnym domu? - zawołał z oburzeniem Marius, jak gdyby Charlotte nigdy stąd nie wyjeżdżała. - Dziś wieczorem musi pani wyprowadzić się z hotelu i zamieszkać u nas. Brunon pomoże przenieść bagaże.

- Dziękuję, Marius, ale nie. Wizyta to jedna rzecz, ale ja już nigdy nie mogłabym zanocować w Grunwaldsee.

Spojrzała na ukos przez dziedziniec w stronę małej stróżówki, w której mieściły się zaledwie dwa nieduże pokoje. Wzruszyła ją propozycja Mariusa. Wyraźnie zapraszał je ze szczerego serca i nie zastanawiał się nad praktyczną stroną przedsięwzięcia.

- W hotelu jest mi bardzo wygodnie, ale z radością przyjedziemy tu jeszcze raz, jeśli tylko będzie można.

- Jutro? - Marius rozpromienił się na samą myśl. - Zaprzęgnę bryczkę i objedziemy cały majątek, a potem wstąpimy do kościoła.

- Wciąż macie oryginalne powoziki? - spytała, kiedy zbliżali się do stajni.

- Ze starych zostały dwa. Ale mamy jeszcze tę piękność.

Podszedł do boksu, otworzył drzwi i wyprowadził na zewnątrz tę samą klacz, którą wcześniej Brunon pokazywał Laurze.

- To nasza duma i radość. Wkrótce zostanie mamą, zresztą głównie po to tu jest.

Charlotte poczuła, jak w gardle rośnie jej kula.

- Mój Boże, wygląda zupełnie jak Elise.

- I powinna, bo właśnie od niej pochodzi. Ukryliśmy jej źrebię na folwarku Zalewskich, a kiedy wojna się skończyła, sprowadziliśmy je z powrotem, żeby odnowić hodowlę. I co pani sądzi? Nie jest może tak piękna jak jej babcia, ale ma w sobie coś z jej charakteru, prawda?

- Tak, zdecydowanie.

Charlotte ukryła twarz w grzywie klaczy, żeby nikt nie spostrzegł łez.

- Laura już wcześniej przyznała mi się, że potrafi jeździć konno - poinformował Brunon, zwracając się do dziadka. - Czy będę mógł jutro zabrać ją na przejażdżkę dookoła jeziora?

- Naprawdę potrafi pani jeździć? - spytał Marius po niemiecku Laurę.

- Oczywiście, że potrafi - odpowiedziała za nią Charlotte. - Ostatecznie płynie w niej krew von Datskich.

Wtorek, 23 grudnia 1941

W tym roku bardzo mało pisałam. Grunwaldsee zajmuje mi dosłownie każdą minutę, kiedy nie śpię. Żeby utrzymać majątek, pracujemy razem z Brunonem po szesnaście godzin na dobę, ale wszystko jedno, ile uda się wyprodukować - i tak nie wystarcza jedzenia na wykarmienie naszych robotników, jak już odstawimy kontyngent wyznaczony przez Ministerstwo Wojny.

Na uporczywe prośby Ireny i Brunona zgodziłam się pojechać do Warszawy, żeby wziąć udział w koncercie dla żołnierzy. Wiem, że Irena zajmie się Erichem i Grunwaldsee równie dobrze jak ja. Powtarzała mi w kółko, że żołnierze mają tak mało przyjemności, że należy im się jakaś rozrywka. Pewnie ma nadzieję, że ktoś z władz wpadnie na pomysł, aby zorganizować coś podobnego dla naszych wojsk stacjonujących w Rosji. Irena zawsze i wszędzie myśli przede wszystkim o Wilhelmie.

Graliśmy w sali koncertowej znajdującej się w pobliżu warszawskiego getta. Spytałam o ludzi, którzy mieszkają za murami, a wtedy Herr Schumacher wziął mnie na bok i powiedział, że ten obszar jest jednym z kilku, które utworzono na polecenie władz Rzeszy, żeby tam zgromadzić wszystkich Żydów, i mądrzej byłoby nie zadawać pytań o to, co dzieje się w środku. Nina, która dostała w Berlinie specjalną przepustkę, żeby wziąć udział w naszym koncercie, jechała przez getto tramwajem. Zdradziła mi, że panujące tam warunki są po prostu okropne. Ulice i domy zaniedbane i niechlujne; ludzie chodzą brudni, obszarpani, ubrani w jakieś łachmany i najwyraźniej nie są w stanie zadbać o siebie ani o potrzeby swoich dzieci.

Wtedy przypomniały mi się sceny, które widziałam pod domem rodziców Ireny. Czy Ruth i Emilia są w warszawskim getcie albo w jakimś podobnym miejscu? A jeśli tak, to jak dają sobie radę? Ciężko jest zdobyć ubranie i jedzenie dla wszystkich mieszkańców Grunwaldsee, a przecież mamy niewielkie dochody z majątku i w razie konieczności nasze oszczędności, z których jakoś można by żyć. Potem przypomniałam sobie Georga i spytałam, czy Nina widziała wewnątrz także naszych żołnierzy, ale odrzekła, że nikomu nie wolno o tym rozmawiać. Chciałam wsiąść do tramwaju i sama tam pojechać, ale nie było już czasu. Dwa dni później nadszedł telegram od Ireny, że mamie znacznie się pogorszyło.

Kiedy wróciłam, mama była słaba, wychudzona i bardzo niespokojna. Irena powiedziała, że od mojego wyjazdu wciąż szukała papy. Irena próbowała jakoś ją uciszyć i uspokoić, ale mama w środku nocy nagle wstała z łóżka, wyszła z domu i powędrowała w stronę jeziora. Jedna z dziewcząt ze służby rolnej zauważyła ją o trzeciej nad ranem, jak brodziła w wodzie. Byłam tak zadowolona, że ktoś uratował mamę przed utonięciem, że nawet nie zapytałam tej dziewczyny, co robiła nad jeziorem o tak wczesnej porze. Brunon wyjawiał mi, że jest nadmiernie zaprzyjaźniona z synem jednego z dzierżawców, który właśnie przyjechał na przepustkę.

Irena była okropnie zmartwiona i musiałam nieźle się natrudzić, żeby ją przekonać, że to nie jej wina i że mama wyszłaby z domu w środku nocy, nawet gdybym została w domu. Mama z każdym dniem coraz bardziej traci świadomość i żadne z nas nie może zrobić nic, żeby jej pomóc. Jej cielesna powłoka wciąż jest z nami, ale umysł przez większość czasu błądzi gdzieś daleko, poza naszym zasięgiem.

W zeszłym tygodniu dwie dziewczyny ze służby rolnej wyszły za mąż i wyjechały. Nigdy dotąd tak bardzo nie brakowało nam siły roboczej. Najgorsi ze wszystkiego są ludzie, którzy uparcie myślą, że siedzimy na górach masła, śmietany, mleka i mięsa. Nawet ci, którzy znają naszą sytuację, jak na przykład państwo Adolf, oczekują, że o tej porze roku pomożemy im małymi podarunkami.

Wieści z wojny nie są najlepsze. Odkąd Ameryka przyłączyła się do aliantów, odnoszę wrażenie, że walczymy z całym światem. Ale dzisiejszy wieczór był wyjątkowy. Zaprosiłam rodziców Ireny i moich teściów, żeby spędzili z nami tych kilka świątecznych dni. Państwo Adolf oraz mama von Letteberg przyjechali dzisiaj i zostaną aż do Nowego Roku. Irena i ja grałyśmy na fortepianie, podczas gdy inni domownicy śpiewali kolędy i ozdabiali salon, a także ubierali świąteczną choinkę. Myślę, że przez tych kilka krótkich godzin udało się nam zapomnieć o wojnie, chociaż nie o ludziach, których nam zabrała. Wiedziałam, że brat Clausa, Peter, był w myślach nas wszystkich.

W głębi ducha mieliśmy nadzieję, że bliźniacy i Manfred Adolf przyjadą do domu na Boże Narodzenie, chociaż nikt nie ośmielił się powiedzieć tego głośno, żeby potem nie przeżyć rozczarowania. Irena płacze za każdym razem, kiedy przyjdzie jej do głowy, że ona i maleńka Marianna mogą nie zobaczyć Wilhelma przez cały okres świąt. Jest już w siódmym miesiącu ciąży, chociaż Marianna skończyła dopiero szesnaście miesięcy.

Claus napisał do mnie, uprzedzając, że nie przyjedzie na święta. Uważa, że to nie w porządku, żeby dowódca brał sobie przepustkę, podczas gdy zwykli żołnierze nie mogą tego zrobić. Ale nie ma powodu, by jego ojciec nie przyjechał do domu, żeby spotkać się z mamą von Letteberg. Jestem pewna, że się postara. Moja teściowa nie jest już taka jak dawniej, odkąd przyszedł telegram z wiadomością o Peterze.

Udało mi się zachować na bożonarodzeniową kolację jedną z gęsi. Po tym, jak Ministerstwo Wojny zarekwirowało nasz cały inwentarz, zostały nam tylko dwie gęsi, a nalegałam, żeby Brunon wziął jedną z nich. Zawdzięczamy mu dosłownie wszystko. Bez jego lojalności, zdrowego rozsądku i pomocy nigdy nie udałoby mi się poprowadzić Grunwaldsee.

Jak zwykle ścięliśmy drzewko, ale cukru brakuje tak bardzo, że mogliśmy powiesić na gałązkach zaledwie kilka cukierków dla dzieci. Brunon i pozostali mężczyźni postarali się coś tam wyrzeźbić, a Irena, Minna, Martha i ja uszyłyśmy parę drobiazgow, tak więc każdy chłopiec dostanie jakieś zwierzątko z drewna, a każda dziewczynka szmacianą lalkę, chociaż żeby móc je ubrać, musiałyśmy pociąć parę starych sukienek. Boję się myśleć, co będzie za rok, jeśli do tego czasu nie uda nam się wygrać wojny.

Przynajmniej mamy mnóstwo warzyw, a poza tym poświęciłyśmy nasze przydziały tłuszczu, żeby upiec parę foremek ciasta. Migdały trudniej zdobyć niż banany, ale zrobiłyśmy marcepan z orzechami włoskimi i muszę przyznać, że smakował całkiem nieźle. Problemem były prezenty. Zapakowałam Clausowi wszystkie puszki, jakie udało mi się zdobyć, a także naszą kielbasę z wątróbki. Mam nadzieję, że otrzymał moją przesyłkę. Napisałam na wierzchu wielkimi, czerwonymi literami jego stopień wojskowy, więc jeśli ktoś ośmieli się ukraść paczkę pułkownikowi, to mam nadzieję, że zostanie złapany i przykładowie ukarany.

Bliźniacy dostali obydwaj awans na kapitana, ale jakoś nie mogę uwierzyć, że ich obecność na froncie jest absolutnie niezbędna. Prosiłam i Clausa, i papę von Letteberga, żeby zrobili wszystko, co się da, i pomogli im dostać przepustki na Boże Narodzenie. Mama jest tak chora, że ledwie nas poznaje, a Irena z każdym dniem robi się coraz bledsza i bardziej chuda. Boję się o nią i o jej nienarodzone dziecko.

Piątek, 26 grudnia 1941

Wszyscy przyjechali dokładnie w wigilię Bożego Narodzenia: Wilhelm, Paul, Manfred, papa von Letteberg, Helmut Kleinert - i nawet Claus. Najwidoczniej jego generał nalegał, żeby jednak wyjechał na przepustkę. Kiedy już otworzyliśmy nasze prezenty, spędziliśmy cudowny wieczór przy muzyce i śpiewie. Wydaje mi się, że Claus musi mieć inną kobietę. Przyjechał razem z chłopcami w porze kolacji i, o dziwo, nie zaproponował, żebyśmy od razu poszli na górę. Zamiast tego usiadł ze wszystkimi do stołu, a potem przegadał pół nocy ze swoim ojcem, bliźniakami, Manfredem i Herr Adolfem. Kiedy wreszcie przyszedł do łóżka, udałam, że śpię, ale okazało się, że niepotrzebnie. Nawet nie próbował mnie dotknąć. Poczulałam taką ulgę, że prawie się rozpłakałam. Nie mógł dać mi piękniejszego prezentu na Boże Narodzenie.

Kiedy się obudził w świąteczny poranek, od razu przyniosłam do naszej sypialni Ericha, żeby złożył tatusiowi najlepsze życzenia, i w ten sposób zapobiegłam wszelkim próbom egzekwowania „pożycia małżeńskiego”. Claus był zachwycony i zdziwiony, gdy przekonał się, że mały już chodzi i mówi. Byłam na nogach od wielu godzin, pomagając Marcie w przygotowywaniu naszego świątecznego obiadu, ponieważ uważałam za słuszne, żeby ona, Brunon, Marius i Maria przynajmniej raz zjedli posiłek u siebie w domu, zamiast usługiwać nam przy stole. Kiedy wreszcie poszłam na górę, żeby się przebrać do obiadu, Claus i Erich bawili się w kąpieli, więc jakoś udało mi się zakraść niepostrzeżenie do sypialni i tak samo wymknąć się stamtąd.

Ten pierwszy dzień Bożego Narodzenia okazał się wypełniony do maksimum. Claus zajmował się Erichem, mama zaś była na tyle przytomna, że rozpoznawała swoich synów i Gretę. Zjadła z nami obiad, chociaż zaraz potem poprosiła, żeby ją odprowadzić do pokoju.

W domu panowało przyjemne ciepło, a to dzięki Brunonowi, który większą część jesieni spędził, rąbiąc drewno. Rozpalił ogień w kominkach we wszystkich pomieszczeniach z wyjątkiem sali balowej - nawet w dużej jadalni - a ja z zadowoleniem przekonałam się, że dzięki Marcie i moim wysiłkom wszyscy mieli pod dostatkiem jedzenia. Dziewczęta świetnie radziły sobie bez Marthy, która zwykle sprawowała nad nimi nadzór, więc kiedy przyniosły na stół sery, kiełbasy na zimno i zimową sałatkę, zrobioną przeze mnie specjalnie na kolację, powiedziałam im, że przez resztę wieczoru mają wolne.

Bliźniacy, Herr Adolf, papa von Letteberg, Manfred i Claus przywieźli mnóstwo alkoholu, więc wkrótce wszyscy byliśmy w dość wesołych nastrojach. Zresztą, czy to coś złego?

W Berlinie życie musi być znacznie łatwiejsze niż tutaj, ponieważ Helmut i Greta przywieźli belgijskie czekoladki, francuskie trufle, rozmaite trunki oraz hojne prezenty dla wszystkich - złote spinki do mankietów dla chłopców i Clausa, złotą broszkę dla mnie - a Helmut podarował Grecie naszyjnik z szafirów, diadem, bransoletkę i kolczyki, co w sumie musiało kosztować ładną fortunę.

Claus dał mi brylanty, które niegdyś należały do jego babci. Ponieważ tak dużo rzeczy zapakowałam do paczki z żywnością, wysłanej przed świętami, więc teraz zostało mi niewiele prezentów dla niego. Dostał ode mnie tylko trzy ciepłe koszule. Kiedy przepraszałam, popatrzył na małego Ericha i poprosił, żebym urodziła mu następnego syna.

Zaproponowałam córeczkę. Tak naprawdę nie miałabym nic przeciwko temu. Dzięki Erichowi wiem, że warto się potrudzić, choć czuję, że na pewno byłabym lepszą matką, gdybym tak bardzo nie martwiła się wojną i tym, czy w nadchodzącym roku zdołam utrzymać w dobrym stanie naszą posiadłość.

W nocy doszło do mrozącej krew w żyłach sceny. Manfred spędził większość dnia, pijąc alkohol, i po kolacji doszedł do wniosku, że najwyższy czas na opowiadanie dowcipów. Ponieważ wcześniej jasno dał do zrozumienia, że jego

komunistyczne poglądy nie uległy zmianie, więc rodzice i Irena próbowali powstrzymać go spojrzemiami, ale bez rezultatu.

Zaczęło się całkiem niewinnie. Podobnie jak na chrzcinach Śpiącej Królowy, na chrzcinach Hitlera również zjawily się trzy dobre wróżki i każda złożyła swój specjalny podarunek. Pierwsza obiecała, że każdy Niemiec będzie uczciwy, druga, że każdy Niemiec będzie inteligentny, a trzecia, że każdy Niemiec będzie gorącym zwolennikiem Partii Narodowosocjalistycznej. Wtedy ukazała się zła wróżka. Była wściekła, że nikt nie pomyślał o zaproszeniu jej na uroczystość, więc zastrzegła, że każdy Niemiec będzie obdarzony jedynie dwiema z wymienionych cech. Tak więc pozostawiła Niemcy z inteligentnymi, ale nieuczciwymi nazistami, z nazistami, którzy są uczciwi, ale nie mają za grosz inteligencji, oraz z resztą Niemców - inteligentnych i uczciwych, lecz niebędących nazistami. Kiedy Manfred skończył, w pokoju zapanowała grobowa cisza, choć mogłabym przysiąc, że papa von Letteberg się uśmiechnął.

Claus i Paul byli wściekli, ale Wilhelm wpadł w furję. Powiedział Manfredowi, że musi być skończonym durniem, skoro naraził resztę towarzystwa - zwłaszcza Irene i mnie - na słuchanie takich szczeniackich bzdur i że przez jego głupotę wszyscy możemy zostać rozstrzelani albo trafić do obozu.

Mam wrażenie, że uderzyłby Manfreda, gdyby Irena w porę nie wyciągnęła go do letniego domku nad jeziorem. Już po wszystkim Paul domagał się, żeby Manfred poszedł z nim do sali bilardowej. Nasi panowie zamknęli się tam i chociaż słyszałam, jak się kłócą, wszyscy wyglądali na dość spokojnych, kiedy dobrze po północy wreszcie stamtąd wyszli.

Skończyło się więc na tym, że świąteczny wieczór spędziłam w towarzystwie Grety, Frau Adolf i mamy von Letteberg. Greta potrafi rozmawiać jedynie o sobie - o tym, ile pieniędzy zarabia ojciec Helmuta, co w Berlinie jest ostatnim krzykiem mody, na jakich przyjęciach zdarzało się jej bywać oraz o wspaniałym weselu, które zamierzają urządzić z Helmutem zaraz po zakończeniu wojny.

Mama von Letteberg upominała nas, żeby pod żadnym pozorem nie powtarzać głupiego dowcipu Manfreda, bo w przeciwnym razie ktoś może podać w wątpliwość naszą lojalność wobec partii. Ona i Wilhelm mają rację. Wystarczy, żeby jedno słowo tego kawału dotarło do niewłaściwych uszu, a wszyscy stalibyśmy się podejrzani.

Claus, Manfred i bliźniacy wyjechali dziś wczesnym rankiem. Nie było czasu, żeby porozmawiać z Wilhelmem i Paulem o Ruth i Emilii, ponieważ dookoła kręciło się zbyt wiele osób, a poza tym po wariackim wybryku Manfreda nie chciałam znów martwić Wilhelma. Jednak wszyscy zauważyliśmy, że nasi bliźniacy byli jakoś dziwnie małomówni.

Claus i ja spędziliśmy ze sobą zaledwie dwie noce: pierwszej był tak zmęczony, że zasnął jak kamień, a następnej tak pijany, że nawet mnie nie pocałował, kiedy znaleźliśmy się sam na sam w sypialni. „Pożycie małżeńskie” tym razem było bardzo krótkie i sprowadziło się do tego jednego poranka. Tak więc być może dam mu następne dziecko. Nie mam pojęcia, kiedy znów się zobaczymy, ale gdy mnie przytulał na pożegnanie i całował małego Ericha, prawie wierzyłam, że naprawdę będzie za nami tęsknił.

Przez cały wieczór słyszeliśmy odgłosy ciężkich, marszowych kroków, dobiegające z drogi, od której odchodzi podjazd do naszej posiadłości. W pierwszej chwili myślałam, że to nasi żołnierze, którzy idą na zachód na przepustkę, ale Brunon poszedł zbadać sprawę i powiedział mi, że to kolumny rosyjskich jeńców wojennych, prowadzonych w głąb Rzeszy. Irena i ja pobiegłyśmy zaraz, żeby ich zobaczyć. Niektórzy byli ranni, a wszyscy wyglądali na zziębniętych, zmęczonych i głodnych. Jednak kiedy próbowaliśmy dać im trochę chleba i parę starych koców, pilnujący ich żołnierze krzyknęli, żebyśmy odeszły. Nazwali nas głupimi, nielojalnymi i zdradzieckimi Niemkami.

Potem jakiś kapitan zapukał do naszych drzwi i powiedział, że tym razem nam daruje, bo jesteśmy młodymi, nieświadomymi niczego kobietami, ale jeśli w przyszłości zdarzy się, że będziemy próbowały dać tym podludziom z wrogiej armii jedzenie albo ubranie, które potrzebne jest obywatelom Rzeszy, to trafimy do więzienia.

Wojna każdego dnia staje się coraz głupsza i mniej rozumiała. Nie pojmuję, w jaki sposób może pomóc Trzeciej Rzeszy to, że razem z Ireną trafimy do więzienia albo że będziemy okrutne wobec jeńców, którzy nie zrobili nic złego poza tym, że walczyli za swój kraj, tak jak im rozkazano.

Rozdział dziesiąty

Charlotte odłożyła pamiętnik. Przez myśl przesuwiał się jej obraz sprzed ponad sześćdziesięciu lat - widok tamtych poranionych, zabrudzonych krwią mężczyzn z pustymi oczyma, którzy skuleni przed podmuchami porywistego wiatru wlekli się na zachód w swoich zdartych, dziurawych żołnierskich buciorach.

Rozejrzała się po swoim hotelowym pokoju. Minęło zaledwie wpół do ósmej, a czuła się tak, jakby dochodziła północ. Czy to zmęczenie wiązało się z postępującym nowotworem, czy też było skutkiem napięcia emocjonalnego po spotkaniu z Mariusem i zobaczeniu Grunwaldsee? Tyle pytań pozostało bez odpowiedzi... Pytań, które bez wątpienia by zadała, gdyby ona i Marius choć na chwilę zostali sami.

Laura zapukała do drzwi.

- Jak ślicznie wyglądasz! - zawołała Charlotte, kiedy weszła wnuczka.

Laura miała na sobie błękitnosrebrną sukienkę do pół łydki.

- Nie przebierasz się do obiadu?

- Zjadłam tak dużo u Mariusa, że nie przełknęłabym nawet kęsa.

- Może jesteś chora? - spytała Laura z niepokojem. - Czy to na pewno tylko zwyczajne zmęczenie?

- Na pewno zmęczenie - odrzekła Charlotte. - Powrót do Grunwaldsee obudził we mnie tyle wspomnień. Ale chociaż nie mam ochoty jeść, to jeśli dasz mi pięć minut, szybko przebiorę się i zejdę do jadalni, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

- Naprawdę nie musisz. Poznałam w holu przy recepcji dwie Amerykanki żydowskiego pochodzenia, które przyjechały tu ze swoją matką. Ich pradiadkowie wyjechali z Prus Wschodnich w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, a one teraz starają się odnaleźć dawny rodzinny dom. Nigdy nie wiadomo, może kolacja z nimi zaowocuje zrobieniem kolejnego filmu? Jak dotąd niewielu filmowców zajmowało się problemem emigracji z Europy Wschodniej po pierwszej wojnie światowej.

- Tylu ludzi wraca, by szukać kraju, który już tak dawno przeminął - mruknęła Charlotte z roztargnieniem. - Mam na myśli przeszłość, nie Prusy Wschodnie.

- „Przeszłość jest obcą krainą, w której wszystko wyglądało inaczej” - powiedziała Laura, cytując pierwsze zdanie z „The Go Between” Hartleya.

- Jesteś pewna, że nie sprawi ci to przykrości, jeśli jednak zostanę w pokoju?

- W najmniejszym stopniu. Ale może zamówisz coś później, może chociaż coś do picia? - nalegała Laura.

- Pewnie brandy i porcję lodów - uśmiechnęła się Charlotte.

- Nie musimy jechać jutro do Grunwaldsee, Oma.

- Czyżbyś zapomniała, że Marius i Brunon obiecali pokazać nam całą posiadłość?

- Zawsze można to odwołać i pojechać gdzie indziej.

- Nie - odparła zdecydowanie Charlotte. - Jeśli zniosłam jakoś spotkanie z moim domem, to tym bardziej mogę znieść widok naszych pól.

Wyciągnęła rękę po pamiętnik.

Laura na paluszkach wysunęła się z pokoju i zamknęła cichutko drzwi, podczas gdy jej babka po raz kolejny pograżyła się w przeszłości.

Środa, 22 lipca 1942

Czasami wydaje mi się, że powracam do tego pamiętnika tylko po to, żeby napisać o kolejnej tragedii. Paul zginął pierwszego lipca w Sewastopolu. To ponad trzy tygodnie temu, ale telegram dotarł do nas dopiero dzisiejszego ranka. Brunon był ze mną, kiedy posłaniec wszedł na dziedziniec. Zaofiarował się, że sam powie o tym pokojówkom i jednocześnie uprzedzi, żeby nie mówiły o niczym mamie, nie mogłam jednak ryzykować, że mama dowie się o tym przez przypadek, więc sama poszłam do jej pokoju.

Jej rozpacz była przerażająca, ale na szczęście krótkotrwała. Pięć minut później mama uśmiechała się łagodnie, nie chcąc lub nie mogąc sobie przypomnieć, o czym jej mówiłam. Irena wyjechała, jeszcze zanim nadszedł telegram. Pojechała w odwiedziny do swoich rodziców z nowym niemowlęciem, Karoline, oraz Marianną. Dobrze się złożyło, że jej nie ma. Nie chcę widzieć nikogo, nawet Brunona czy Marthy. Myślę, że mnie rozumieją, ponieważ nikt o nic nie pytał, gdy po wyjściu z pokoju mamy złapałam pamiętnik i zamknęłam się w sypialni Paula. Na pewno wiedzą, gdzie mnie szukać, ale żadne z nich nie zapukało do drzwi.

Był to wspólny pokój moich braci od chwili ich narodzin. Paul nadal w nim mieszkał po ślubie Wilhelma - spał tu za każdym razem, gdy przyjeżdżał do domu na przepustkę. Teraz mogę jedynie przyglądać się temu, co po sobie zostawił. Patrzeć na jego książki, szachy, spinki do kołnierzyka, spinki do mankietów, szpilki do krawata i flakonik z wodą kolońską. Zupełnie jakbym przeżywała jeszcze raz to, co działo się po śmierci papy. Przed chwilą otworzyłam szafę Paula i dotykałam jego ubrań. Ubrań, których już więcej nie włoży. To takie strasznie niesprawiedliwe. Nawet nie zdążył spróbować życia, które sobie wymarzył.

Słyszę dobiegający z pola kobiecy szloch. Wiem, że to Maria, i czuję, że powinnam do niej pójść, ale nawet sama myśl o tym wydaje mi się obłudna. Paul nigdy nie rozmawiał ze mną na jej temat, więc wszyscy udajemy, że nic nam nie wiadomo o tym, co ich łączyło.

Nie wiem, czy powinnam kazać zaprzęgać bryczkę. Nie mamy benzyny do samochodu. Czy lepiej pojechać i zawiadomić Irenę, czy raczej poczekać, aż sama wróci dziś wieczorem? Modlę się, żeby Wilhelmowi nic się nie stało. Nie mogę znieść myśli, że jego także możemy utracić...

Niedziela, 27 grudnia 1942

To Boże Narodzenie jest o wiele bardziej posępne niż ostatnie. Każdego roku robi się nas coraz mniej - najpierw odszedł papa, potem Peter, teraz Paul i Maria... Popelniła samobójstwo w tydzień po tym, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Paula. Przywiązała sobie do kostek worek pełen kamieni, a potem skoczyła z pomostu do jeziora. Wszyscy przypuszczają, że pewnie nosiła w łonie dziecko Paula. Nie potrafię o tym pisać, ponieważ dręczy mnie straszne poczucie winy. Gdybym do niej poszła, porozmawiała z nią o Paulu, potraktowała ją jak siostrę, zaakceptowała i przyjęła do rodziny, to pewnie wciąż byłaby wśród nas, mielibyśmy ją i dziecko Paula, które wszyscy by kochali.

Zamiast tego mamy jeszcze jeden grób. To moja wina, że zlekceważyłam jej ból.

Brunon i Martha byli bardzo dzielni. Doktor pomógł nam, wypisując na akcie zgonu „przypadkowe utonięcie”, dzięki czemu mogliśmy pochować Marię na przykościelnym cmentarzu w Grunwaldsee, a nie na zewnątrz pod murem, gdzie spoczywają inni samobójcy.

Czasami czuję się osaczona przez śmierć, chociaż staram się nie myśleć, że Wilhelm i Claus wracają na rosyjski front, a Manfred już tam jest. Oni muszą przeżyć tę wojnę. Muszą! Muszą! Muszą!



Charlotte przypomniała sobie, jak złamała stalówkę, stawiając tu wykrzykniki. Zupełnie jakby za pomocą siły lub woli chciała zachować przy życiu Wilhelma, Clausa i Manfreda.

Na te święta nie została nam żadna gęś, więc musieliśmy zadowolić się kilkoma starymi kurami, które już od dawna nie składają jaj. Wszyscy z wyjątkiem Manfreda zdołali przyjechać do domu, na nieszczęście również Greta i Helmut. Długość ich zaręczyn z pewnością pobiła wszelkie rekordy. Zapytałam ją, kiedy zamierza wyjść za mąż, ale odpowiedziała, że na pewno nie przed końcem wojny. Wtedy oświadczyłam, że w takim razie powinna przygotować się na to, że umrze starą panną. Greta upiera się, że jej praca jest zbyt ważna, żeby przerywać ją z powodu zamążpójścia, zupełnie jakby zarządzanie Grunwaldsee było jakąś mało znaczącą błahostką.

Wilhelm, Claus, papa i mama von Letteberg oraz państwo Adolf przyjechali w sam dzień Bożego Narodzenia, a mnie jakimś cudem udało się przygotować całkiem przyzwoitą świąteczną kolację, chociaż gdyby nie szynka, którą przywieźli moi teściowie, nasz stół wyglądałby dość skromnie. Próbowałam namówić mamę, żeby zjadła z nami posiłek, ale wciąż rozglądała się i pytała o papę i Paula, więc uznałam, że będzie lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla niej, jeśli pozwolę, żeby wróciła do swojego pokoju.

Claus i Wilhelm mogą zostać z nami jedynie przez dwa dni. Dostali dwanaście dni wolnego, ale sama podróż w jedną stronę zabrała im pięć dni, więc tego samego należało spodziewać się z powrotem. Irena i Wilhelm jak zwykle zniknęli w domku nad jeziorem. Claus był jeszcze bardziej odległy niż kiedykolwiek. Wpadł w furję, kiedy przekonał się, że pozwalam, żeby przy łóżku Ericha świeciła się nocna lampka. Oskarżył mnie, że na siłę staram się robić z niego dziecka, podczas gdy on powinien jak najszybciej dorosnąć. Wtedy przypomniałam mu, że Erich ma zaledwie dwa lata, ale Claus wrzasnął, że chce mieć syna prawdziwego mężczyznę, a nie babę w spodniach, co skończyło się tak, że musiałam wstawać w nocy, ponieważ przerażony ciemnością malec co chwila budził się z płaczem. Cieszę się, że Claus będzie z nami tylko dwa dni; jego dłuższa obecność byłaby nie do wytrzymania.

Kiedy wyjeżdżali, Irena płakała i kurczowo trzymała się ramienia Wilhelma. Ja po prostu pomachałam Clausowi ręką na pożegnanie. Ktoś, kto spodziewa się, że jego dwuletni syn będzie się zachowywał jak mężczyzna, bez wątpienia byłby zażenowany publicznym okazywaniem uczuć przez żonę.

Jedynę, co mnie zabolalo, to że mama von Letteberg usiłowała delikatnie się dowiedzieć, czy między mną a Clausem wszystko w porządku. Jak może być w porządku, skoro kłócę się z nim przy każdym spotkaniu i nienawidzę, kiedy mnie dotyka?

Niedziela, 7 lutego 1943

Dotarły do nas obwieszczenia, że pod Stalingradem nasza armia walczyła do ostatniego żołnierza. Zupełnie jak pod Termopilami, gdzie nie przeżył nikt. Chociaż Wilhelm i Claus tam nie byli, to jednak znajdują się na terenie Rosji, a wiemy, że oficerowie stale przewożą wiadomości do innych jednostek. Wielki Boże, przecież pod Stalingradem walczyło ćwierć miliona żołnierzy! O ile wiem, to właśnie tylu niemieckich chłopców tam wysłano. Nie potrafię spokojnie o tym myśleć. Strasznie boję się o Wilhelma, Manfreda i Clausa. Jakie to głupie z mojej strony, że podczas Bożego Narodzenia wydawało mi się, że już nic gorszego nie może nas spotkać.

Dobrze się składa, że obowiązki związane z prowadzeniem majątku pozostawiają mi mało czasu na sen i ani chwili na myślenie. Po zaspokojeniu potrzeb armii ledwo zostało nam parę sztuk koni na podtrzymanie hodowli. Nawet upośledzony Wilfie dostał powołanie, choć nie potrafię sobie wyobrazić, co ktoś taki jak on może robić w wojsku. Wyjechali wszyscy mężczyźni bez wyjątku, poza bardzo młodymi jak Marius, który mimo swoich dziesięciu lat po skończeniu zajęć w szkole tyra jak niewolnik, oraz starszymi jak Brunon, który wciąż pracuje, chociaż powinien już przejść na emeryturę.

Wciąż nam brakuje jedzenia; sami nie dojadamy, byle nakarmić dzieci. Urzędnicy z Ministerstwa Wojny zjawili się tu z listą produktów, jakie mamy im dostarczyć w ramach przyszłorocznego kontyngentu. Nie wiem, czy sprawił to niepokój o Wilhelma i Clausa, czy świadomość, że spełnienie tych żądań jest niemożliwe, czy zachowanie Clausa podczas ostatniego pobytu w domu - dość, że kompletnie się załamalam. Powiedziałam im, że nie ma mowy o dostarczeniu czegokolwiek, jeśli nie dostaniemy dodatkowych ludzi do pracy.

Później było mi strasznie wstyd za takie zachowanie, ale Brunon stwierdził, że to najlepsze, co mogłam zrobić, ponieważ po dwóch dniach nadszedł oficjalny list z zawiadomieniem, że do pracy w naszym majątku przeznaczono dodatkową siłę roboczą w postaci dwunastu rosyjskich jeńców wojennych.

Musiałam podpisać chyba z tysiąc dokumentów, potwierdzających, że będę płaciła Rzeszy, nie zaś tym ludziom, oraz że ani ja, ani nikt z mojej rodziny lub pracowników nie będzie ich karmił ani porozumiewał się z nimi w jakikolwiek sposób.

Z obozu jenieckiego przyjechał pewien oficer, żeby nas uprzedzić, że przydzieleni nam robotnicy są podludźmi, zarówno w wyglądzie, jak w zachowaniu. Odpowiedziałam mu, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku odbyłam tournée po Rosji z orkiestrą Allenstein Hitlerjugend i nie może powiedzieć mi niczego nowego o tym, jak wygląda codzienne życie Rosjan mieszkających na wsi.

Przyszli dziś o świcie, stawiając ciężkie kroki po dróżce, która prowadzi do naszego majątku. Zebraliśmy się wszyscy, żeby na nich popatrzeć, kiedy wkraczali na dziedziniec. Brunon i Marius uzbroili się w widły. Całkiem niepotrzebnie. Więźniów pilnowało trzech żołnierzy z karabinami, chociaż żaden z Rosjan nie wyglądał na wystarczająco silnego, żeby spowodować jakieś kłopoty albo próbować uciekać. Ich nadgarstki, ręce i twarze, wyzierające spodzie poszarpanych szmat, były pokryte zakrzepłym brudem i boleśnie wychudzone. Spoglądali na nas ponuro oczami w czarnych obwódkach, które równie dobrze mogły być oznaką brudu, jak i skrajnego wyczerpania. Poza tym mieli wszy. Widziałam ich parę, jak poruszały się w długich brodach, i zauważyłam, że niektórzy więźniowie bez przerwy drapią się pod pachami.

Brunon od razu wyznaczył im robotę, to znaczy odgarnięcie śniegu z dziedzińca, wyrzucenie gnoju i posprzątanie stajni. Ziemia jest jeszcze zbyt twarda, żeby zaczynać orkę. Zresztą więźniowie nie są dobrymi, wydajnymi robotnikami. Pracują wolno i nie robią nic, dopóki któryś ze strażników nie wrzaśnie i ich nie nastraszy.

Obserwowałam tych ludzi z okna w pokoju mamy, dokąd przyniosłam Ericha na jego codzienną wizytę. Każdego popołudnia staram się organizować dla mamy mały poczęstunek. Przychodzę ją odwiedzić, a Minna przynosi nam kawę parzoną z żołądzi. To wszystko, co teraz mamy. Prawdziwa kawa i ciasteczka pozostają w sferze marzeń. Mama i ja siedzimy, popijając tę ohydłą lurę i rozpaczliwie udając, że wszystko jest normalnie.

Po raz pierwszy od miesiący mama usiadła obok mnie. Przez chwilę patrzyła na pracujących jeńców, a potem odwróciła się i przemówiła tak, jakby znów stała się dawną sobą: „Charlotte, musisz lepiej karmić naszych robotników. Papa powiada, że mężczyzna musi dobrze jeść, żeby mógł dobrze pracować”.

Kiedy wróciłam do kuchni, jedna z dziewcząt ze służby rolnej lamentowała, że w stajniach złapała wesz. To coś, czego absolutnie nie zniosę. Jeśli rosyjscy jeńcy przywloką tu wszy, które roznoszą tyfus, może się to skończyć wybuchem epidemii.

Natychmiast zadzwoniłam do obozu i zażądałam rozmowy z komendantem. Powiedział, że nic z tym nie może zrobić. Rosjanie żyją jak zwierzęta i nie chcą się myć ani przestrzegać podstawowych zasad higieny. Porozmawiałam z Brunonem i on doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem jest zakwaterowanie więźniów u nas w Grunwaldsee, gdzie będziemy mogli sami dopilnować, żeby byli względnie czysti. To niemożliwe. Nie mogę wpuścić do domu dwunastu jeńców z wrogiej armii, żeby spali pod jednym dachem z kobietami, niemowlętami, starszymi ludźmi i małymi dziećmi.

Zamówiłam rozmowę z papą von Lettebergiem, żeby poprosić go o radę. Bez dodatkowej siły roboczej nie dam rady zrealizować zamówień armii, ale nie mogę ryzykować, że wybuchnie tu epidemia, która może uśmiercić nasze dzieci i nas samych. Mam nadzieję, że mój teść oddzwoni jeszcze dziś wieczorem i powie mi, co mam robić.

Wtorek, 9 lutego 1943

Papa von Letteberg zatelefonował do mnie z nowinami, że Wilhelm i Claus żyją, są cali, zdrowi i bezpieczni, ale Manfred poległ pod Stalingradem. Państwo Adolf i Irena są zupełnie zdruzgotani. Biedny, niemądry, pełen ideałów Manfred... Nie mogę uwierzyć, że już nigdy więcej nie będzie sprawiał kłopotów na żadnym rodzinnym spotkaniu. Ta tragedia jeszcze bardziej zbliżyła mnie i Irenę, jeśli to w ogóle możliwe. Moja kochana bratowa. Nawet jeśli jakimś cudem wojna skończy się jutro, to obie straciłyśmy zbyt wiele, żeby świat mógł być dla nas taki sam jak przedtem. Obie spędzamy większość dnia, płacząc z żalu za Manfredem, Paulem, Peterem... Jest tak ciężko, kiedy nawet nie ma ciała, które można pochować, ani grobu, nad którym można rozpaczać, a można jedynie urządzić krótką żałobną ceremonię.

Papa von Letteberg nie zdradził, gdzie są Claus i Wilhelm ani co naprawdę wydarzyło się na froncie wschodnim, ale rozwiązał problem rosyjskich jeńców wojennych. Osobiście zadzwonił do komendanta obozu i zażądał, żeby ludzie pracujący w Grunwaldsee byli przetrzymywani w higienicznych warunkach. Komendant natychmiast do mnie zadzwonił, żeby zapewnić, że w przyszłości będzie miał na uwadze moje życzenia, ale bez trudu wyczułam, że jest na mnie wściekły, ponieważ odważyłam się skontaktować z jednym z jego przełożonych i poruszyć sprawę, którą on już uważał za załatwioną.

Poprosiłam Brunona, żeby przyszedł do mnie do gabinetu papy, bo chcę porozmawiać z nim na osobności, i tam powtórzyłam, co mama mi mówiła o odżywianiu więźniów. Uprzedził mnie, że żołnierze już mu powtórzyli instrukcje na temat zakazu dokarmiania Rosjan, chociaż codziennie któryś ze strażników zagląda do kuchni, żeby wprosić się na poczęstunek.

Komendant obozu zadzwonił ponownie, żeby postawić sprawę jasno - zupełnie jakby wiedział, o czym myślę. Jeśli ktokolwiek z Grunwaldsee ośmieli się dawać więźniom jedzenie, to już on się postara, żeby winowajca poniósł surową karę, i nieważne, kim ta osoba będzie.

Nie miałam wyboru, jak tylko się zgodzić, żeby jeńcy byli pozostawieni samym sobie. To oznaczało, że musimy wyznaczyć im zadania, które nie będą wymagały bezpośredniego kontaktu z nami, dziewczętami ze służby rolnej ani z żadnym z Polaków. Razem z Brunonem popatrzyliśmy na plan pracy i zdecydowaliśmy, że jak tylko pogoda się poprawi, Rosjanie zostaną wysłani w pole do orania i sadzenia kartofli. Wtedy nikt nie będzie musiał się do nich zbliżać, zakładając, że będziemy ich trzymać po tej stronie folwarku; jeśli zaś będą zamykani w oborze, podczas gdy ich strażnicy jedzą południowy posiłek, a potem przy końcu dnia zabierani prosto z pola do obozu, to nawet nie musimy zbyt często ich widywać.

Mam nadzieję, że ci więźniowie pomogą nieco w naszej ciężkiej pracy. Jestem już bardzo zmęczona tą ciągłą szamotaniną. Bardzo, bardzo zmęczona...

Niedziela, 30 maja 1943

Dziś Wilhelm i Claus wrócili na front po czterodniowej przepustce. Byli tu stanowczo za krótko. Zapomniałam o wszystkim, co nas dzieli, kiedy zobaczyłam, jak razem z Wilhelmem wjeżdżają służbowym samochodem na dziedziniec. Obaj wyglądali na białych, chorych i wyczerpanych, aż serce krajało się z bólu. Padało wiele pytań ze strony dziewcząt ze służby rolnej i żon, których mężowie są na froncie, ale jedyne, co powiedzieli, to że armia niemiecka robi wszystko, co w jej mocy.

Wilhelm wyglądał tak kiepsko, że Irena i ja chciałyśmy natychmiast wzywać doktora, lecz Claus, który prowadził samochód, upierał się, że to wcale nie jest konieczne i że obaj muszą jedynie wyspać się i dobrze zjeść. Pobiegłam do kuchni zobaczyć, co jeszcze mamy do jedzenia, podczas gdy Irena popędziła na górę przygotować kąpiel.

Ani Claus, ani Wilhelm nie zbliżyli się do nas, dopóki nie zostali odwyszawieni. Martha zawięła ich mundury w powlekany gumą koc i zaniósła do pralni, żeby tam je wyczyścić pod strumieniem gorącej pary. Po kąpieli obaj przebrali się w cywilne ubrania, które zostały w domu, i dopiero wtedy zeszli na posiłek.

Zanim jeszcze zdążyli się wykapać, poprosiłam Mariusa, żeby zabił jednego z pozostałych kurczaków. Trudno będzie się potem bez niego obejść, ale tylko to mogłam im dać do zjedzenia. Marius przyniósł kilka tegorocznych, świeżo wykopanych kartofli, a poza tym miałam jeszcze kapustę, więc zrobiłam *sauerkraut*.

Martha, która uczy mnie gotować, powiedziała, że jestem już prawie tak dobrą kucharką jak ona.

Dałam Wilhelmowi i Clausowi po pełnym talerzu grochówki na kościach wieprzowych, którą Martha ugotowała dla wszystkich w domu. Była strasznie wodnista, ale Irena i ja dodałyśmy swoje porcje chleba. Zresztą zanim zjedli zupę, kurczak był już gotowy, a oprócz kurczaka kartofle, które usmażyłam na tłuszczu wytopionym z mięsa. Razem z *sauerkraut* wyszedł mi całkiem niezły obiad.

Z poprzedniego lata została nam ostatnia butelka wiśniówki, więc podałyśmy ją razem ze szklaneczką brandy jeszcze z zapasów papy. Nie zdobyłam się na to, żeby poczęstować ich naszą kawą z żołądzi, więc Irena zaparzyła herbatę z owoców róży. Obaj zgodnie zapewniali, że był to najlepszy obiad, jaki w życiu jedli. Mój Boże, jakże był inny od pięcio- i sześciodaniowych posiłków, które serwowano u nas za dawnych, dobrych czasów.

Po obiedzie mieli ochotę jedynie na sen. Irena poszła do łóżka razem z Wilhelmem, ale ja musiałam wrócić na pola. Zniknął następny z naszych kotów, tym razem ulubiony kot Marthy. Brunon i ja jesteśmy pewni, że Rosjanie złapali go i zabili, ale nie zamierzam nikomu o tym mówić, jako że strażnicy nie potrzebują żadnych wymówek, żeby karać więźniów.

Wczoraj, kiedy Martha zносиła na pole jedzenie dla Brunona i Mariusa, widziała, jak jeden z żołnierzy bije najmłodszego z rosyjskich jeńców. Ten chłopiec wygląda tak młodo, że moim zdaniem w ogóle nie powinien był znaleźć się w wojsku, a mimo to strażnicy zawsze wybierają go na ofiarę, jeśli mają ochotę kogoś dręczyć. Martha mówiła, że biedak cały był zalany krwią i że nagle usłyszała głośny trzask, jakby na skutek kopania biednemu chłopcu pękła czaszka.

Wczorajszego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację składającą się z ziołowego omletu, czarnego chleba i jednej z ostatnich butelek wina z piwniczki papy, usłyszeliśmy ciężkie kroki. To więźniowie szli naszą dróżką z powrotem do obozu. Claus podszedł do okna. Powiedział, że Rosjanie są najniższym gatunkiem podludzi i że gdybyśmy widzieli, co potrafią zrobić z niemieckimi żołnierzami, którzy trafią do niewoli, to z pewnością nie trzymalibyśmy ich w naszym majątku.

Próbowałam mu wytłumaczyć, że brakowało nam robotników, a nasze zbiory są potrzebne Rzeszy. Wilhelm siedział bez ruchu. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się ani słowem, pozwalając, żeby Claus wściekał się i wygłaszał swoją nadętą tyradę, a potem powiedział bardzo cicho i spokojnie, że gdybyśmy nie traktowali brutalnie Rosjan wówczas, gdy najechaliśmy ich kraj, to może teraz oni także nie byłiby dla nas tacy okrutni.

Nigdy nie widziałam mojego męża tak rozgniewanego.

- To są podludzie! Zapytaj ją! - wskazał na mnie palcem. - Przed wojną była w Rosji na tournée! Ci ludzie wyglądają i zachowują się tak, jak gdyby żyli w średniowieczu! Ustanawiają nowe standardy barbarzyństwa!

- Do diabła, czy ty chodzisz z zamkniętymi oczyma?! - wykrzyknął Wilhelm.

Zaczęłam błagać, żeby nie kłócili się ze względu na dzieci i mamę. Irena przyłączyła się do moich próśb i jakoś udało się jej ułagodzić Wilhelma. Myślę, że dla niej poszedłby do samego piekła, gdyby go o to poprosiła; ja jednak świetnie wiedziałam, że nie mogę zrobić nic, żeby uśmierzyć gniew Clausa. Gdybym szczerze kochała męża alby gdybym była dla niego kimś tak bliskim jak Irena dla Wilhelma, to może potrafiłabym z nim porozmawiać. A tak nie było sensu nawet próbować. Ostatni komentarz Clausa skierowany do Wilhelma brzmiał mniej więcej tak: „Bunt i rewolucja to słowa, które w ogóle nie powinny się znaleźć w słowniku niemieckiego oficera, a ty jesteś o krok od nich obu”.

Jeśli w ten sposób odnoszą się do siebie kapitanowie i pułkownicy, to czy mamy jakąś szansę wygrać tę wojnę?

Wreszcie Wilhelm położył kres tej kłótni, pytając, czy mógłby zobaczyć się z mamą. Powiedziałam, że moim zdaniem to mija się z celem, ale i tak poszliśmy do niej we troje - Irena, Wilhelm i ja. Mama siedziała przy oknie, przyglądając się rosyjskim jeńcom człapiącym naszą dróżką. Widzieliśmy, jak ledwie powłóczą nogami, a idący za nimi strażnicy śmieją się i robią sobie żarty.

Nie odwracając głowy, mama znów powiedziała do mnie:

- Naprawdę musisz zacząć lepiej ich karmić, Charlotte. Oni ledwie mają siłę iść.

Wilhelm popatrzył na mnie, a ja wzruszyłam ramionami. Wtedy wziął ją za rękę i szepnął:

- Mamo.

Spojrzała na niego i mogłabym przysiąc, że przez chwilę - przez jedną króciutką chwilę - rozpoznała, kto przed nią stoi. A potem powiedziała do niego:

- Papa zaraz tu przyjdzie. Musisz iść i posprzątać swoje zabawki.

Siedzieliśmy z nią jeszcze chwilę, ale to już nie miało sensu. Sama nie wiem, co się ze mną stało. Kiedyś tak łatwo było mi płakać, a obecnie w ogóle nie mogę. Czasami myślę, że teraz, kiedy papa i Paul nie żyją, mama jest taka, jaka jest, a Claus zachowuje się tak oziębło i obco, zupełnie nie jak mężczyzna, za którego chciałam wyjść za mąż, moje serce zamieniło się w kamień. I wtedy zobaczyłam Clausa, który szedł przez dziedziniec z Erichem na ręku, żeby malec mógł pogłaskać konie. Nagle zalała mnie ogromna, przytłaczająca fala miłości do mojego synka.

Cokolwiek się wydarzy, jak długo mam Ericha, warto dalej żyć. Bez względu na wszystko przeżyję i będę walczyła dla nas obojga. On zasługuje na najlepsze, co mogę mu dać.

Sobota, 10 lipca 1943

Dziś rano usłyszeliśmy w radiu, że pięć dni temu nasze wojska rozpoczęły ofensywę na trzystupięćdziesięciokilometrowym froncie w okolicach Kurska. Teraz rozumiem, dlaczego pod koniec maja Claus i Wilhelm dostali przepustki, i czemu mój brat był taki dziwny, przygnębiony i zaniepokojony o los Ireny i ich dzieci. Mogę jedynie przypuszczać, że obaj znaleźli się w największym ogniu walki.

Odkąd wyjechali, bez przerwy pada, a mój paskudny nastrój pasuje do pogody. Teraz żałuję, że naciskałam Wilhelma, żeby opowiedział mi, jak zginął Paul. To było po obiedzie ostatniego dnia ich pobytu. Kazaliśmy zaprząć bryczkę, żeby zabrać dzieci na wycieczkę, ale Wilhelm w ostatniej chwili wymówił się bólem głowy i schronił w gabinecie papy. Szybko przeprosiłam Irenę i Clausa, poszłam za Wilhelmem i zaczęłam nalegać, żeby powiedział mi wszystko, co wie na temat Paula.

Dowódca oddziału, w którym służył Paul, napisał list do mnie i do mamy. Podobno Paul umarł natychmiast od rany w głowie. Wtedy Brunon starał się mnie pocieszyć, mówiąc, że przynajmniej nie cierpiał, ale ja niezupełnie wierzyłam temu, co przeczytałam w liście. Pamiętam, jak na początku wojny Claus wspominał coś o tym, że dowódcy zawsze w ten sposób uspokajają rodziny poległych żołnierzy, pisząc, że ich bliscy zginęli szybko i bez bólu.

Wilhelm upierał się, że akurat w wypadku Paula to było szczerą prawdą. Dowodził baterią dział, ostrzeliwującą rosyjską linię frontu; wróg odpowiedział ogniem z haubic, który zmiotł i działa, i ludzi, wyrzucając ich wysoko w powietrze. Kiedy spytałam o grób Paula, Wilhelm odparł, że nie zostało wystarczająco dużo szczątków, żeby je pochować. Mam wrażenie, że nie chciał mi tego powiedzieć, tylko to jakoś samo mu się wyrwało, kiedy już raz zaczął mówić o Paulu.

Przeraziła mnie sama myśl o młodym, pięknym ciele, które rozpada się na kawałeczki. Od chwili, gdy Wilhelm mi to powiedział, ciągle mam przed oczyma moment śmierci Paula.

Wilhelm upierał się, że skoro i tak wszyscy musimy umrzeć, to szybka śmierć na polu bitwy wcale nie jest taka zła. Przypomniałam mu, że Paul nie miał nawet dwudziestu pięciu lat, a wówczas odparł, że młodość wraz z prawdą stały się pierwszymi ofiarami wojny, i że Paul przynajmniej uniknął długiego, wlokącego się w nieskończoność wegetowania w polowym szpitalu.

Ja jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego Paul w ogóle musiał umierać. Ta wojna wydaje mi się zupełnie bezsensowna, chociaż czułam, że nie wolno mi mówić tego Wilhelmu - nie wtedy, kiedy za chwilę wraca na front.

Chociaż to oznacza, że muszę zachowywać w tajemnicy coraz więcej dręczących mnie myśli. Claus wpadłby w furję, gdyby kiedykolwiek przeczytał ten pamiętnik lub usłyszał choćby połowę moich poglądów. Wiem, że to oznaka braku patriotyzmu, ale czy naprawdę zdradzam swój kraj, skoro chcę, żeby przynajmniej reszta mojej rodziny ostała się przy życiu?

Wilhelm mówił dalej, że nie ma nic gorszego, jak stać z boku i przyglądać się bezradnie, gdy twój towarzysz powoli umiera z zimna, gangreny i odmrożeń. Mówił tak szczerze i z taką powagą, że jestem pewna, że sam musiał znaleźć się w takiej sytuacji, i to niejednym razem.

Potem opowiadał o rosyjskiej zimie i kiedy spytałam, przyznał, że tamtejsze temperatury są naprawdę tak straszliwe, jak utrzymują powracający żołnierze, a on i Claus tylko dlatego nie ucierpieli od mrozu, że obaj zostali przydzieleni do stanowiska dowodzenia.

Jedyne, co mogłam zrobić, kiedy już zaczął mówić, to siedzieć i ścisnąć jego dłonie. Rozpaczliwie starałam się coś wymyślić, żeby go pocieszyć, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Przez cały czas, gdy Wilhelm mówił, słyszałam w głowie echo słów naszego papy, że z tej wojny nie wyniknie nic dobrego.

Wilhelm twierdził, że walczymy z całym narodem sowieckim, ponieważ SS, gestapo, a nawet oddziały Wehrmachtu zraziły do siebie każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, traktując wszystkich z bezwzględna, nieludzka brutalnością. Powiedział, że na samym początku, kiedy nasze wojska przekroczyły granice, ludzie wybiegali z domów, żeby ich powitać, i całowali krzyże na naszych czołgach, ponieważ dla Rosjan żołnierze Wehrmachtu byli kimś w rodzaju rycerzy chrześcijańskich, którzy przyszli oswobodzić ich kraj od zmory komunizmu. Teraz zaś się zdarza, że Rosjanie plują na ciała naszych poległych. Potem przez dłuższy czas siedział w milczeniu, aż wreszcie powiedział coś jeszcze: „Charlotte,

zajrzałem za zasłonę kłamstw, więc wiem, co się dzieje, ale na litość boską, nikomu nie ośmielę się o tym powiedzieć, bo w tej naszej wspaniałej Trzeciej Rzeszy prawda zabija jeszcze celniej niż pociski".

Cisza, jaka wówczas zapadła w gabinecie, była jeszcze gorsza niż słowa Wilhelma. Nie potrafiłam zrozumieć, co właściwie usiłuje mi powiedzieć. Wiem, że nie widziałam wszystkich okrucieństw wojny, ale po tym, co opowiedział mi o śmierci Paula, próbuję je sobie wyobrazić. A co do niebezpieczeństwa, to świetnie zdaję sobie sprawę, że podczas wojny trzeba uważać na każde słowo. Najlepszą lekcją była dla mnie reakcja Wilhelma na głupi żart, opowiedziany przez Manfreda.

W pewnym momencie Wilhelm zakrył rękoma twarz. Zupełnie bezradna usiadłam obok, nie wiedząc, jak mu pomóc ani jak go pocieszyć. Irena na pewno by wiedziała, ale ona i Claus byli jeszcze na dworze z dziećmi. Nagle z klatki schodowej doleciał jakiś stukot i Wilhelm podskoczył, jakby ktoś go postrzelił. Podeszłam do drzwi. To Minna zaniósła mamie ziołową herbatkę. Staralam się jakoś uspokoić Wilhelma, jednak w ogóle mnie nie słuchał.

Zobaczyłam, że płacze. Łzy ściekały mu po policzkach, ale nawet nie próbował ich ocierać. Nie pamiętam, że bym widziała go płaczącego od czasu, gdy byliśmy małymi dziećmi. Nagle złapał mnie za rękę i trzymał tak kurczowo, że prawie połamał mi palce.

- Lotte, widziałem rzeczy, jakich ty ani zwykli, normalni ludzie nawet nie potrafią sobie wyobrazić. Straszliwe, nikczemne rzeczy, które zniszczyły mój spokój i zatruiły życie, nawet moją miłość do Ireny i dzieci. Czasami wydaje mi się, że żyję w jakimś domu wariatów. Boję się o Irenę, Mariannę i Karoline, o ciebie i Ericha, i o każde niemieckie dziecko urodzone w tej naszej wspaniałej ojczyźnie, ponieważ szykujemy im straszliwe dziedzictwo, które będzie skutkiem naszych win. To dziedzictwo brutalności, okrucieństwa i nienawiści prześladować będzie Niemcy jako państwo i całą niemiecką rasę.

Nagle z dziedzińca dobiegły dziecięce głosiki. Claus i Irena wrócili. Wilhelm wziął mnie za rękę i zaczął błagać, żebym zaopiekowała się jego żoną i córeczkami. Żeby nie wiem co, na pewno ich nie opuszczę. Obiecałam, ale zwykła obietnica to było dla niego za mało; położył moją dłoń na Biblii naszego ojca i kazał mi złożyć przysięgę.

Zadrzałam, myśląc z przerażeniem, czego Wilhelm tak bardzo się obawia. Chciałam mu powiedzieć, że to mężczyźni na froncie, tacy jak on czy Claus, są narażeni na wielkie ryzyko, nie zaś ich żony i dzieci, które zostają w domu. I chociaż miasta takie jak Dortmund czy Berlin zostały zbombardowane, to osobiście nie sądzę, żeby Anglicy uważali rolnicze tereny dookoła Allenstein za wystarczająco ważny cel, by wysyłać tu swoje samoloty.

Uśmiechnął się, słysząc te nieporadne próby uciszenia jego obaw, i upomniął mnie, żebym zadbała o siebie i Ericha, ale potem powiedział:

- Tobie nic się nie stanie, Lotte, bo czuwa nad tobą generał von Letteberg.

Byłam mocno zaniepokojona jego ponurym nastrojem, więc błagałam, żeby uważał, nie tylko ze względu na siebie czy na mnie, lecz przede wszystkim ze względu na Irenę i dziewczynki. Powiedziałam, że nie zniosłabym, gdybym miała go stracić w taki sposób, jak straciłam Paula. Wspomniałam nawet o mamie, ale znów się uśmiechnął.

- Mama, niech ją Bóg błogosławi, jest już wyłączona z tego wszystkiego. Zostałaś tylko ty. - Pocałował mnie w czoło, delikatnie i czule. - Biedna, mała Lotte, która nigdy nie miała okazji wytańczyć się porządnie na balach ani zostać ozdobą naszych wieczorków towarzyskich. Jednego dnia byłaś dzieckiem, a następnego musiałaś wziąć na ramiona ciężar przeznaczony dla dziesięciu mężczyzn.

Przypomniałam mu, że mam do pomocy Brunona, Mariusa, Marthę, Minnę i całe grono dziewcząt ze służby rolnej, ale Wilhelm nie dał się przekonać.

- Pomaga ci starszy człowiek, kilka kobiet, dziecko, które jeszcze nie wyrosło z wieku szkolnego, kalecy, parę dziewczyn, które dostały powołanie do służby rolnej, zniewoleni Polacy i Rosjanie, którzy pewnie daliby wszystko, byle tylko być teraz gdzie indziej...

W jego głosie zabrzmiała taka gorycz, że wiedziałam, iż wszelkie próby pocieszenia są daremne. Ale później powzięłam niezłomne postanowienie.

Znam swojego brata i męża. Obaj woleliby poleć na polu bitwy, niż błagać o łaskę, ale ja - zamiast czekać, aż Wilhelm zostanie rozerwany na strzępy tak jak Paul albo Claus skona powolną śmiercią gdzieś na froncie rosyjskim, osierocając syna, któremu przyjdzie dorastać bez ojca - napiszę do teścia, modląc się przy tym, by mój list nie został otwarty przez cenzurę. Papa von Letteberg stracił już jednego syna. Ja utraciłam Paula, mojego brata. Irena oplakuje Manfreda. Chyba zapłaciliśmy już wystarczająco wysoką cenę. Czy naprawdę można to uznać za brak patriotyzmu, że chcę zapewnić Wilhelmowi względne bezpieczeństwo? Papa von Letteberg na pewno wciąż wspomina Petera. Jeśli sobie uzmysłowi, kim dla mamy von Letteberg jest Claus - jedyny pozostający przy życiu syn - to być może postara się użyć swoich wpływów, by przenieść Clausa i Wilhelma do Kwatery Głównej w Berlinie. Gdziekolwiek, gdzie obaj musieliby ciężko pracować, ale mieliby szansę przeżyć wojnę.

Czwartek, 26 sierpnia 1943

Po Allenstein krążą pogłoski, że sprawy na froncie rosyjskim nie układają się po naszej myśli, ale w gazetach nie ma o tym ani słowa, poza zamieszczanymi jak zwykle przemowami naszych przywódców, opisami defilad i zapewnieniami, że „zwycięzamy na wszystkich frontach”. Czyżby to były zwykłe, ordynarne kłamstwa?

Claus i Wilhelm nie przyjechali, ale inni po wylizaniu się z ran przyjeżdżają na przepustki, i chociaż nie mówią zbyt wiele, są śmiertelnie poważni i posepni jak nigdy dotąd. Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do wniosku, że sytuacja na wschodzie jest wielce niepewna, a jeśli Rosjanie zdołają odepchnąć naszych żołnierzy, to Prusy Wschodnie znajdą się na pierwszej linii ognia.

Wciąż nie daje mi spokoju tamta rozmowa z Wilhelmem. Co mój brat miał na myśli, mówiąc o „zasłonie kłamstw”? Czy w Rosji naprawdę jest tak strasznie? Dlaczego Claus tak bardzo się zdenerwował, gdy Wilhelm wspomniał o tym, jak nasi żołnierze traktowali Rosjan?

Papa von Letteberg zatelefonował do mnie po tym, jak napisałam do niego z prośbą o przeniesienie Clausa i Wilhelma do Berlina. Powiedział, że nie może zapewnić specjalnego traktowania nikomu, a zwłaszcza własnemu synowi i członkom mojej rodziny. To byłoby nie w porządku wobec tych wszystkich żołnierzy, którzy nie mają wpływowych przyjaciół i nikogo, kto mógłby się za nimi wstawić.

Odparłam, że mało mnie obchodzi, co jest w porządku, a co nie, i zależy mi jedynie na utrzymaniu przy życiu mojego brata i ojca mojego jedyne dziecko. Nic mi na to nie odpowiedział, ale wiem, że Wilhelm i Claus pozostali na rosyjskim froncie.

Wydajność pracy więźniów, którzy są przysyłani do Grunwaldsee, stale się obniża. Na samym początku przynajmniej próbowali coś robić. Teraz trzeba ich bić, żeby wykonali najprostsze polecenie.

Mama ciągle obserwuje ich ze swego okna i wciąż mi powtarza, że powinnam ich lepiej karmić. Wczoraj zniknęły kolejne dwa koty, więc w końcu zdecydowałam się porozmawiać z Brunonem o kondycji więźniów. Dwunastu mężczyzn, których nam się tu przysyła, ledwie potrafi wykonać w ciągu dnia to, z czym radził sobie sam głupi Wilfie. Czy dlatego, że są leniwi, czy - jak uważa mama - że umierają z głodu? Jedno wydaje się pewne: jeżeli sprawy nadal będą się

tak układać, nie damy rady zebrać zboża, zanim zacznie gnić, a urzędnicy z Ministerstwa Wojny będą mogli robić groźne miny, jeśli przyjdzie im na to ochota. Nie otrzymają kontyngentu i basta.

Czwartek, 2 września 1943

Wczoraj Brunon i ja zgodnie doszliśmy do wniosku, że trzeba spróbować nakarmić Rosjan, bo może dzięki temu uda się zmusić ich do pracy. Cokolwiek dostają w obozie, najwyraźniej nie wystarcza.

Poprosiłam Marthę, żeby ugotowała gulasz z warzyw ze spiżarki i z dwóch zajęcy, które Brunon złapał w sidła. Wciąż zostały nam do zebrania plony z pięciu pól marchwi i kapusty, czterech pól brukwi i sześciu z pasternakiem, a oprócz tego reszta pszenicy, kukurydzy, siana, jęczmienia i kartofli. To oznacza, że czeka nas jeszcze mnóstwo pracy, zanim chwyci mróz.

Ponieważ gulasz dla wszystkich domowników i drugi, ten przeznaczony dla dziewcząt ze służby rolnej oraz strażników, już gotowały się na wolnym ogniu, Martha musiała się domyślić, dla kogo jest przeznaczone to dodatkowe jedzenie, ale nie powiedziała ani słowa, tylko zabrała się do roboty.

Gotowała go w jednym z kotłów do prania bielizny na kuchni w pralni, żeby nie wzbudzić podejrzeń żołnierzy. Kiedy strażnicy usiedli do obiadu razem z dziewczętami ze służby rolnej, Polacy zaś wrócili do swoich domków, żeby tam przygotować sobie jedzenie - a więc nikt nie mógł zauważyć, co robimy - Brunon, Marius i ja zanieśliśmy kocioł do obory. Więźniowie zawsze są tam zamykani na czas posiłku, żeby strażnicy mogli zjeść w spokoju.

Brunon otworzył boczne drzwi - specjalnie nie dał żadnemu ze strażników kluczy do tego wejścia. Więźniowie leżeli na resztkach zeszłorocznej słomy. Cuchnęli straszliwie; z bliska wyglądali na jeszcze bardziej dzikich, brudnych i hardych niż wtedy, gdy widziałam ich z pewnej odległości. Skamieniałam z przerażenia, ale Brunon przemówił do nich, najpierw po niemiecku, a później po polsku, że nie mają się czego obawiać. Postawiliśmy kocioł na podłodze, a Brunon podniósł pokrywę. I zanim Marius zdążył wyjąć z worka sztućce, talerze i chleb, więźniowie rzucili się do kotła, zwalając Brunona z nóg.

Jedli gołymi rękoma; zanurzali w gorącym gulaszu brudne paluchy, zgarniając rękami do ust wszystko, co mogli tam zmieścić, zupełnie jakby byli stadem dzikich zwierząt. Pomogłam Brunonowi wstać.

Mariusz przypatrywał się temu wszystkiemu okrągłymi ze zdumienia oczyma.

- Papo, oni chyba naprawdę są podludźmi, prawda? - wymruczał.

Ze wstydem przyznaję, że przez głowę przemknęła mi ta sama myśl.

- Nie, synu - odparł Brunon. - Oni po prostu umierają z głodu.

Właśnie w tej chwili dostrzegłam, jak wychudzone mieli ręce i nadgarstki, ukryte pod warstwą brudnych łachmanów. Bardziej przypominali szkielety niż żywych ludzi. Po raz pierwszy zrozumiałam, czemu znikają nasze koty, dlatego ci ludzie ryzykowali okrutne bicie, grzebiąc w korytach dla świń, i nawet zrozumiałam co nieco z tego, co Wilhelm usiłował mi powiedzieć.

Odrzuciłam się, bo zrobiło mi się niedobrze - nie dlatego, że brzydziłam się patrzeć, jak jedzą, lecz dlatego, że nie byłam jedynie bezstronnym świadkiem, tylko sama także ponosiłam odpowiedzialność za ich stan. Jak mogłam być tak ślepa i obojętna na los powierzonych mi istot ludzkich, które widywałam przecież każdego dnia?

Rosjanie pracowali w Grunwaldsee od paru miesięcy. Nawet choroba mamy nie przeszkodziła jej zauważyć, w jakim stanie są ci ludzie, podczas gdy ja, która powinnam uważać się za nich odpowiedzialna, uparczywie ignorowałam ich rozpaczliwą sytuację. Obserwowanie, jak wpychają sobie do ust kęsy jedzenia, sprawiło, że poczułam się zażenowa-

na, zupełnie jakbym obserwowała przez dziurkę od klucza jakąś intymną scenę. Popatrzyłam na Brunona i wtedy ktoś zawołał mnie po imieniu.

W pewnej chwili jeden z mężczyzn zostawił jedzenie, odszedł od towarzyszy i ruszył ku mnie, powtarzając moje imię. Brunon wziął mnie za rękę i osłonił, Marius zaś popędził w stronę drzwi, gotowy w każdej chwili je otworzyć. ,

Mężczyzna cofnął się, przepaszając po niemiecku za to, że osmieszył się mnie niepokoić. Powiedział, że nie rozumiem, dlaczego uparcie udaję, że go nie znam. I właśnie wtedy go rozpoznałam. Ten brudny kościotrup w poszarpanym ubraniu to był brat Maszy, Aleksander, który razem z siostrą podarował mi na dworcu w Moskwie bursztynowy naszyjnik. Ten sam chłopak, o którym myślałam, że jest bardzo przystojny jak na Rosjanina.



Charlotte odłożyła pamiętnik, a następnie otworzyła barek i nalała sobie szklaneczkę brandy. Podniosła ją w geście toastu.

- Za ciebie, Sasza, gdziekolwiek jesteś.

Rozdział jedenasty

O zmierzchu w piątek 3 września 1943

Po tym, jak Aleksander odezwał się do mnie, Brunon wysłał Mariusa, żeby pilnował strażników siedzących w kuchni, i kazał mu natychmiast nas uprzedzić, gdyby tamci zaczęli szykować się do wyjścia. Brunon został z więźniami, podczas gdy ja nalałam Aleksandrowi talerz gulaszu. Usiedliśmy z boku, żeby porozmawiać, gdy Sasza będzie jadł. Ze wszystkich sił starałam się nie dać mu poznać, jak bardzo brzydzę się jego widoku, bo bijący od niego smród przyprawiał mnie o mdłości.

Przeprosiłam, że nie poznałam go wcześniej, ale odparł, że wątpi, czy własna matka, siostra bądź poślubiona tuż przed wojną żona byłyby w stanie go rozpoznać, wzięwszy pod uwagę, jak teraz wygląda.

Zapytałam, jak im się żyje w obozie dla jeńców i usłyszałam odpowiedź, że żaden z więźniów nie wytrzymał tam dłużej niż dwa miesiące, a ci, którzy mają szczęście, umierają jeszcze szybciej. Siedząc blisko niego, nie mogłam uwierzyć, że tak długo mogłam ignorować ich nędzę i fatalną kondycję. Nie tylko byli wychudzeni jak kościotrupy, lecz ich ciała i twarze pokrywały niezliczone, ropiejące wrzody.

Spytałam, co mogę dla nich zrobić. Aleksander bez wahania odparł, że najważniejszą sprawą jest jedzenie, ponieważ w obozie nie dostają kompletnie nic. Odkąd wymaszerowali z terytorium Rosji, każdej nocy zaganiano ich na pastwiska, żeby tam jedli trawę jak bydło.

Wydawało im się, że będzie lepiej, kiedy wreszcie dotrą do obozu, ale nawet tam czekała na nich jedynie trawa na polu, na którym przyszło im spać. Zresztą ostatnie źdźbło trawy zniknęło parę miesięcy temu, bo na niewielkim skrawku ziemi stłoczono mnóstwo ludzi. Na cały dzień dostawali zaledwie jedną beczkę wody, której nie starczało nawet do picia, nie wspominając o myciu czy praniu odzieży. Na polu nie było latryn, a strażnicy nie chcieli dać im łopat, żeby mogli je sobie wykopać. To tyle, jeśli chodzi o prawdomówność komendanta obozu, który utrzymywał, że Rosjanie nie są przyzwyczajeni do utrzymywania higieny.

Obiecałam, że zrobię dla nich, co tylko można, lecz wówczas Aleksander zaczął błagać, żebym nie narażała życia swojego ani kogokolwiek w Grunwaldsee dla niego albo pozostałych jego ludzi. W obozie każdego dnia umiera tylu jeńców, że oni sami także uważają się już za zmarłych.

Podaliśmy mu rękę, ale nie chciał nawet jej dotknąć, ponieważ miał brudną dłoń i oblazło go całego robactwo. Na dowód, że mówi prawdę, wygarnął z rękawa wieszak i zdusił między palcami. Podniosłam ją z podłogi i starannie zawinęłam w chusteczkę do nosa.

Potem wyszłam z obory i powędrowałam prosto do kuchni, gdzie strażnicy jedli szarlotkę Marthy i pili naszą kawę z żołądźmi. Aleksander powiedział, że najgrubszy z nich, kaleki weteran wojny, nie jest złym człowiekiem i często przymyka oko, kiedy widzi, jak któryś z więźniów kradnie pomyje z wiadra albo je na polu surowe warzywa. Tak więc zdecydowałam się podejść właśnie do niego, jako że wszyscy trzej strażnicy byli równi stopniem, to znaczy byli kapralami.

Nalałam sobie filiżankę kawy i usiadłam naprzeciwko. Właśnie spierał się z kolegami, który z nocnych klubów w Berlinie jest najlepszy. Wyjęłam chusteczkę, rozłożyłam ją i położyłam martwą wieszak tuż przed talerzem strażnika. Dziewczęta ze służby rolnej właśnie wstawiały od stołu, ale jedna z nich obejrzała się, zobaczyła insekta i podniosła wrzask.

Powiedziałam, że znalazłam tę wieszak na swoim ubraniu, kiedy dziś rano weszłam do stajni, wkrótce po tym, jak więźniowie skończyli ją sprzątać. Drugi ze strażników - chudzielec, o którym Aleksander mówił, że jest prawdziwym sadystą - oświadczył, że jest prosty sposób, żeby temu zapobiec. Rosjanie będą przez cały czas przebywać na dworze, a ich pracę w budynkach przejmą dziewczyny ze służby rolnej.

Wtedy szybko zwróciłam mu uwagę, że bez pomocy jeńców nie zdołamy zebrać tegorocznych plonów ani obsiać pól na następny rok, więc według mnie najprościej będzie umyć więźniów i uprać im ubrania. Odparł, że to całkiem bez sensu, ponieważ nawet jeśli nasi Rosjanie zgodzą się na mycie i pranie - co jego zdaniem wcale nie było takie pewne - to i tak cały obóz jest pełen brudnych, zawszonych jeńców. Więc gdy tylko nasi więźniowie wrócą tam na noc, natychmiast znów obleżą robactwem.

Wówczas zasugerowałam, że w takim razie może powinniśmy wykopać tych dwunastu i pozwolić im zamieszkać w Grunwaldsee.

Wiedziałam, że strażnicy nie mają dostatecznej władzy, aby mi na to pozwolić. Jednak wszyscy trzej byli przede wszystkim mężczyznami, a dopiero potem żołnierzami, i podrywali dziewczęta ze służby rolnej - nawet grubas, u którego zauważyłam ślubną obrączkę na palcu. Nieraz słyszałam i widziałam, jak razem chichoczą i jak znikają parami w drewni, kiedy wydaje im się, że nikt nie patrzy. Czym prędzej więc nadmieniłam, że jeśli rosyjscy jeńcy zostaną skoszarowani w Grunwaldsee, to oni także będą musieli tu z nimi pozostać.

Nie musiałam mówić niczego więcej. W przerwach pomiędzy pilnowaniem więźniów i zabawą z dziewczętami strażnicy zaglądali do naszej kuchni i zawsze bardzo chwalili sobie posiłki przygotowywane przez Marthę, zaznaczając, że są o niebo lepsze od tego, co im dawano w obozie.

Zaproponowałam, że w takim razie zatelefonuję do Berlina, do mojego teścia, generała von Letteberga, i podczas gdy on będzie podejmował stosowne kroki, Minna, Martha i ja upierzemy ubrania jeńców. Kiedy będą się suszyły, więźniowie pójdą się myć. Strażnicy zaczęli się wahać, a wówczas podniosłam nieżywą wieszak i zaznaczyłam, że tyfus nie jest wybredny i wszystko mu jedno, czy zabija Aryjczyków, czy podludzi.

Wychodząc z kuchni, żeby zadzwonić z gabinetu, kątem oka dostrzegłam, że strażnicy przeglądają własne mundury. Po ostatniej rozmowie z komendantem obozu nawet nie próbowałam go prosić, tylko od razu zatelefonowałam do biura papy von Letteberga. Jego adiutant obiecał przekazać wiadomość. Podkreśliłam, że to sytuacja wyjątkowa, wy-

magająca szczególnego pośpiechu, ponieważ wnuczek generała jest narażony na ryzyko zarażenia tyfusem, podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy naszego majątku. Jednakże zebranie plonów, które potem posłużą naszej armii, również jest absolutnie niezbędne, a bez pracy jeńców będzie to zwyczajnie niemożliwe.

Wreszcie poszłam do pralni, żeby pomóc Minnie i Marcie w czyszczeniu mundurów Rosjan. Martha od razu chciała je spalić, ale wiedziałam, że strażnicy nigdy na to nie przystaną, więc wepchnęliśmy wszystko do kotłów do gotowania bielizny. W tym czasie jeńcy musieli coś na siebie włożyć, więc zajrzałam do szaf papy i Paula i wyciągnęłam stamtąd ubrania. Na szczęście zostawili po sobie całe mnóstwo odzieży. Były tam ciepłe spodnie, bielizna, koszule i swetry w ilości wystarczającej dla dwunastu mężczyzn, a nawet więcej. Wydelegowałam do obory Brunona i Mariusa, zaopatrzywszy ich wcześniej w dezynfekujące mydło, grzebienie, szczotki i nożyczki. (Nożyczki na wszelki wypadek schowali. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam, była kłótnia ze strażnikami, czy więźniowie mogą wykorzystać nożyczki w charakterze broni, czy też nie).

Trudno było uwierzyć, że mężczyźni, którzy godzinę później wynurzyli się z obory, byli tymi samymi ludźmi, którzy weszli tam w porze obiadu. Aleksander zauważył mnie, jak stałam w oknie gabinetu papy, ale nawet mrugnięciem nie zdradził, że mnie zna.

Zrozumiałam. Synowej generała von Letteberga, żonie niemieckiego pułkownika i pani na Grunwaldsee nie wypadałoby się przyznawać do znajomości z jeńcem wojennym, przedstawicielem rasy podludzi i wrogiem Rzeszy. Dlaczego życie musi być aż tak skomplikowane? Rodzina Sary przyjęła mnie serdecznie w swoim moskiewskim domu i gdyby nie wojna, papa z pewnością chciałby, żebym odwzajemniła ich gościnność i zaprosiła Aleksandra i Maszę do Grunwaldsee.

Jeszcze tego samego popołudnia papa von Letteberg uzyskał zgodę na zakwaterowanie więźniów i strażników w Grunwaldsee. Teraz pozostała jedynie kwestia, gdzie ich ulokować. Brunon i Martha zaproponowali, że wyprowadzą się z domu, żeby strażnicy mogli zamieszkać w stróżówce. To było bardzo szlachetne z ich strony. Wiedzieli, że wzdragam się na samą myśl, że obcy ludzie mieliby przebywać pod jednym dachem z mamą, Ireną, dziećmi i ze mną.

Pomogłam Brunonowi, Marcie i Mariusowi opróżnić stróżówkę z ich osobistych rzeczy i przenieść je do głównego budynku. Przeznaczyłam dla nich apartament na końcu korytarza na piętrze, od wschodniej strony. Są tam cztery pokoje i łazienka, a solidne drzwi oddzielają tę część od reszty domu, więc można czuć się zupełnie swobodnie, jakby to było osobne mieszkanie.

Brunon uznał, że to o wiele lepiej, że on, Martha i Marius wprowadzili się do nas, a nie strażnicy; powtarzał to tak często, że bez trudu zorientowałam się, że oboje z Marthą mocno przeżyli konieczność opuszczenia własnego domku.

Minna i ja przetrząsnęliśmy zawartość szaf z bielizną. Udało się znaleźć dwanaście czystych koców, szorstkich i niezbyt dobrej jakości, ale wystarczająco ciepłych jak na tę porę roku. W stodole jest wystarczająco dużo słomy, żeby więźniowie mogli się tam dziś przespać, a jutro postaramy się zorganizować im lepszą kwaterę. Martha ugotowała następnego gulasz i uprażyła jabłka, które pospadały z drzew, więc nasi Rosjanie dostali całkiem przyzwoitą kolację.

Strażnicy zamknęli więźniów w stodole, a następnie pojechali do obozu, żeby przywieźć swoje rzeczy. Zapowiedziałam, że Rosjanie nie mogą siedzieć w stodole bez końca, ponieważ musimy zwozić tam siano i słomę i przygotować miejsca leżowe dla kurcząt. Oni z kolei nie chcieli słyszeć, że jeńcy mieliby zostać zamknięci w sali balowej, więc po dyskusji z Brunonem stanęło na tym, że więźniowie wysprzątają stryszek nad stajniami i tam się przeprowadzą.

Strażnicy są uszczęśliwieni, ponieważ wydaje im się, że na górę wiodą tylko jedne schody, znajdujące się na zewnątrz stajni, co nieskończenie ułatwia im pilnowanie. Nie mają pojęcia, że w gabinecie papy znajdują się małe drzwi, które prowadzą wprost do niewielkiego składziku przylegającego do stajni, a stamtąd przez kłapę w suficie można się

dostać bezpośrednio na stryszek. Tę klapę kazał zrobić mój prapradziadek, chcąc ułatwić stajennym przenoszenie paszy dla koni, aby nie musieli dźwigać worków po niewygodnych, zewnętrznych schodach.

Takie potajemne przejście może okazać się bardzo użyteczne przy przekazywaniu Rosjanom różnych zakazanych rzeczy. Strażnicy już obrugali mnie za dostarczenie więźniom mydła i środków dezynfekcyjnych, których tak bardzo brakuje na froncie. Odpowiedziałam, że nie można porównywać życia w Grunwaldsee do warunków panujących na froncie, ale jeśli uważają, że to w czymś pomoże, natychmiast wyślę paczki z mydłem do mojego męża i brata, którzy walczą w Rosji, żeby rozdzielił je pomiędzy żołnierzy. To ostatecznie zamknęło im usta. Wszyscy trzej mają w Grunwaldsee ciepłą, przytulną kwaterę, podczas gdy Claus i Wilhelm... Nie mogę znieść myśli, ile obaj wycierpią podczas drugiej zimy w Rosji.

Czuję się niezręcznie, myśląc o tym, co zrobiliśmy oboje z Brunonem, chociaż nasze działania nie zmierzały ku temu, żeby życie Rosjan stało się odrobinę bardziej bezpieczne albo łatwiejsze; staraliśmy się jedynie o to, żeby byli zdrowsi i mogli wydajniej pracować, bo wówczas wyprodukujemy więcej żywności, wspierając w ten sposób prowadzenie wojny. Oczywiście Rosjanie modlą się, żeby Niemcy ją przegrali. Nie kiwnęłabym palcem, żeby pomóc więźniom, gdyby w ich gronie nie było Aleksandra. Dlaczego tak łatwo nie zwracać uwagi na niedolę ludzi, których się nie zna, nawet jeśli umierają z głodu, a tak trudno odwrócić się plecami do kogoś, kto kiedyś okazał ci uprzejmość?



- No właśnie, dlaczego?

Charlotte odłożyła pamiętnik, podeszła do okna, otworzyła drzwi i wysunęła się na balkon. W górze rozciągało się ogromne sklepienie nieba, obejmując swoją nieskończonością mroczną głębię jeziora. W ciemnej wodzie, która połykiwała u jej stóp, odbijały się srebrzyste promienie księżyca. Na brzegu po prawej stronie drgał migoczący poblask płonącego ogniska, a w chłodnym, nocnym powietrzu płynęły melancholijne dźwięki koncertu skrzypcowego Brahmsa. W podmuchach leciutkiej bryzy dolatywał do niej smakowity zapach pieczonego mięsa i dobiegały strzępy piosenki, zaintonowanej piskliwymi głosami przez jakichś młodych ludzi.

Podobne sceny rozgrywały się nad brzegiem jeziora za czasów jej młodości, podobnie jak przez parę następnych dziesiątków lat - co do tego nie miała wątpliwości - i zapewne również w ciągu wcześniejszych stuleci. Gdyby teraz wyszła z hotelu i powędrowała brzegiem, szukając bawiącego się towarzystwa, to czy ujrzałaby tam chłopców przypominających Paula i Wilhelma oraz dziewczęta takie same jak ona i Irena?

Przed jej oczyma przemknął cień jachtu. Upiornie biały żagiel na przemian trzepotał i napinał się w podmuchach wiatru, a łódka mknęła gładko po mrocznych falach, roztrzając na boki odbite na powierzchni gwiazdy i księżyc. Na przeciwległym brzegu do wody wdzierała się nieprzenikniona ciemność, która otulała gęstym welonem rosnący tam las. Charlotte skierowała tam wzrok i po chwili udało jej się dostrzec wątłe światełko migoczące na końcu pomostu znajdującego się w pobliżu Grunwaldsee. Czy to wyobraźnia spletała jej figla, czy rzeczywiście między drzewami mignęło coś białego, co mogło być jedynie refleksem światła odbitego od ścian małego, letniego domku?

- Wiem, że nie śpisz.

Na balkonie obok stała Laura. Włączyła zewnętrzną lampę i teraz dookoła żarówki tańczyła chmura komarów.

- Mam nadzieję, że popsikałaś się sprayem przeciw komarom? - spytała Charlotte. - Tutejsze należą do szczególnie zjadliwych, zwłaszcza jeśli wyczują młode, jędrne ciało.

- Dlaczego myślisz, że wszystkie zleciały się właśnie do nas? Na razie trzymają się ode mnie z daleka. - Laura wychyliła się na zewnątrz. - Boże, ale tu pięknie. Mam nadzieję, że nigdy się to nie zmieni.

- Pod pewnymi względami już się zmieniło, ale na szczęście niezbyt drastycznie. Udało się ocalić co nieco dla następnych pokoleń. Teraz dookoła jeziora jest o wiele więcej domków, niż było w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, ale woda nie została zanieczyszczona, a sądząc po tych śpiewach i zapachach dolatujących z prawej strony, ludzie nadal tutaj przychodzą, żeby miło spędzić czas.

- Dzwoniłaś, żeby przyniesiono ci coś do jedzenia? - spytała Laura.

- Zapomniałam, ale sama się obsłużyłam brandy z barku, chociaż to wielka rozrzutność z mojej strony, zważywszy na ceny w tym hotelu - przyznała Charlotte.

- Od razu wiedziałam, że niczego nie zamówisz, więc poprosiłam kelnera, żeby przygotował mi coś na wynos.

Laura cofnęła się do pokoju i po chwili wróciła z talerzem, sztucami owiniętymi w serwetkę i dwoma napojami w puszkach.

- To kanapka z żytniego chleba z czymś, co tutaj nazywają kielbasą, oraz kawałek ciasta z makiem.

Charlotte wzięła talerz.

- No i kto tu jest babcią, a kto wnuczką?

- Jeśli nie jesteś głodna, to wyrzuc jedzenie do śmieci.

- Jak ci smakował obiad?

- Całkiem dobrze. Była polska potrawa z mielonego mięsa zawiniętego w liście kapusty. Tutaj mówią na to „gołąbki” - widzisz, jak szybko uczę się polskiego? Wszystko popiłam tutejszą wódką, czyli krupnikiem.

- Całkiem zapomniałam o wodzie ognistej.

- Dwie setki to moja absolutna granica. Trzy i zapominam, jak się nazywam - zażartowała Laura.

- A co z tym dokumentem?

Charlotte postawiła puszki na stoliku na swoim balkonie.

- Masz na myśli te Żydówki? - Laura pokręciła głową. - Nic z tego nie będzie. W miejscu, w którym niegdyś znajdował się ich dom, teraz stoi osiedle bloków, wybudowanych już za czasów komunistów, a cmentarz, gdzie byli pochowani ich praprapradziadkowie, został zamieniony w parking przy szpitalu. - Z niepokojem popatrzyła na babcię. - Strasznie mi przykro, że to powiedziałam. Pewnie twoi rodzice...

- Oboje leżą w rodzinnej krypcie w kościele w Grunwaldsee. Muszę zapytać Mariusa, czy tablica znajduje się na swoim miejscu.

- Więc w Grunwaldsee jest kościół?

- Oczywiście. Lauro, wciąż wyglądasz na zmęczoną.

- Bo jestem. Kiedy robię film, pracuję całymi godzinami i czasem nawet do mnie nie dociera, że jestem zmęczona. Potem, kiedy już skończę, mogłabym spać przez okrągłą dobę.

- Może jutro zamówimy sobie śniadanie do pokoju i zjemy na balkonie? - zaproponowała Charlotte. - Wtedy możemy zjeść, o której nam będzie pasowało.

- Czy dziesiąta to nie będzie dla ciebie za późno, Oma?

Laura wiedziała, że jej babcia należy do rannych ptaszków.

- Dziesiąta to znakomita pora na śniadanie.

Charlotte patrzyła, jak jej wnuczka zamyka drzwi balkonu i zasłusza zasłony. Wtedy zabrała puszki, wróciła do siebie i także starannie zamknęła drzwi. Co prawda, komary w Grunwaldsee nigdy jej nie dokuczały, ale jak mawiała Greta, wcierając balsam w zaczerwienione i opuchnięte miejsca: „Jeśli jest na świecie jakaś sprawiedliwość, Charlotte, to pewnego dnia przyjdzie pora i na ciebie”.

Od dawna nie wykorzystywaliśmy tego strychu nawet do przechowywania paszy - od stu lat, jak twierdzi Brunon, a może i dłużej - więc było tam strasznie brudno. Ale po pierwszej nocy spędzonej w Grunwaldsee Rosjanie uprzątnęli go, jeszcze zanim minęła ósma rano. Bardzo się starali, zwłaszcza kiedy Brunon szepnął na ucho adiutantowi Aleksandra, który ma na imię Leon i trochę mówi po polsku, że to będzie ich nowa kwatera. Brunon zadbał, żeby znalazło się tam mnóstwo świeżej słomy na posłania, a kiedy poszliśmy sprawdzić, jak to wygląda, muszę przyznać, że nie było najgorzej.

Strażnicy bardzo pilnują, żeby odizolować jeńców od reszty mieszkańców. Brunon, myśląc, że zapomniałam o tajemnym wejściu, powiedział mi, że na strych można dostać się przez schowek i tamtędy względnie łatwo będzie mógł dostarczać Rosjanom dodatkowe jedzenie. Od razu zaznaczyłam, że nie bardzo mamy czym ich karmić poza warzywami, owsem i królikami, które on sam łapie w sidła.



Niedziela, 5 września 1943

Martha otrzymała dziś porcje jedzenia dla strażników. Muszę przyznać, że są całkiem niezłe. Wiem, że to ich przydział na cały tydzień, ale dla dwunastu więźniów na ten sam czas dostaliśmy nieduży worek robaczywej brukwi. Jest w tak złym stanie, że nie da się jej wykorzystać nawet do karmienia świń.

Chciałabym powtórzyć Aleksandrowi, co Wilhelm mówił o wydarzeniach w Rosji, ale to zbyt niebezpieczne. Być może za tydzień lub dwa, kiedy strażnicy i więźniowie przyzwyczają się do nowych warunków, łatwiej będzie mi znaleźć właściwy czas i miejsce, gdzie nikt nie zdoła nas podsłuchać.

Niedziela, 26 grudnia 1943

Tym razem święta Bożego Narodzenia przyniosły nam trochę radości, ale wyłącznie dlatego, że każdy w Grunwaldsee nauczył się zadowalać drobiazgami, które przed wojną wydawały nam się czymś oczywistym. Na szczęście Erich, Marianna i Karoline są zbyt mali, żeby poczuć jakąś różnicę. Najpiękniejszy prezent otrzymałam od papy von Letteberga. Cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem Wilhelm i Claus zostali przeniesieni do Berlina, do służby w sztabie.

Podejrzewam, że użył swoich wpływów, choć oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, kiedy w Wigilię zakradłam się do biblioteki, żeby mu podziękować. Poszedł tam, by znaleźć sobie jakąś książkę. Gdybyśmy nie byli sami, to prze nigdy nie ośmieliłabym się wspomnieć o tej sprawie. Zawsze staram się ostrożnie dobierać słowa, kiedy telefonuję do jego biura w Berlinie.

Wilhelm został przeniesiony do biura naczelnego dowództwa, które mieści się w Kwaterze Głównej Armii Rezerwowej przy Bendlerstrasse, więc naprawdę są podstawy, by mieć nadzieję, że nigdy już nie wróci do Rosji ani nie trafi do czynnej służby.

W sklepach nie było żadnych zabawek, więc pocięłam jakieś stare ubrania i futerko z króliczej skórki i uszyłam trzy króliki, choć wątpię, by w pamięci dzieci zastąpiły one żywe, które niegdyś trzymaliśmy. My, dorośli, byliśmy przygotowani na to, że trzeba będzie zadowolić się życzeniami i tym, co uda się zdobyć na świąteczny obiad. Ale sytuacja uległa zmianie, gdy Claus i Wilhelm przyjechali do domu obładowani prezentami.

Claus przywiózł wyrzeźbione z drewna gospodarstwo i nieduży wózek dla Ericha, który można wypełnić zabawkami i ciągnąć za sobą. I jeszcze świetnie uszyty mały mundur żołnierza Wehrmachtu, pasujący jak ulał na naszego syna.

ka. Mnie osobiście ten prezent wydawał się dość osobliwy, wzięwszy pod uwagę, że obydwójce straciliśmy na tej wojnie rodzonych braci, i że wśród poległych znalazło się tylu naszych przyjaciół i sąsiadów. Ale nie powiedziałam ani słowa, kiedy kładłam ten prezent na stoliczku Ericha, razem z moim królikiem, ubrankiem uszytym przeze mnie ze spodni Paula oraz resztą prezentów przywiezionych przez Clausa. Jednak muszę przyznać, że bardzo się ucieszyłam, kiedy w wigilię Bożego Narodzenia po powrocie z kościoła okazało się, że Erichowi najbardziej przypadło do gustu pudełko ołówków i papier, подарowany przez dziadków von Lettebergów, ciężarówka od Clausa i mój królik.

Mama von Letteberg spędziła u nas cały tydzień po świętach; Claus, Wilhelm i mój teść mogli zostać tylko przez dwa dni. Wyjechali dziś rano o świcie. Wiem, że wszystkie nieporozumienia pomiędzy mną a Clausem są wyłącznie moją winą, ale ta świadomość wcale nie zbliża mnie do rozwiązania problemu.

Niezależnie od tego, jak bardzo się staram, nie potrafię kochać go tak, jak żona powinna kochać męża. Czasami z trudem opanowuję się, żeby nie krzyczeć, kiedy mnie dotyka. Na pewno wyczuwa, jak bardzo boję się zostać z nim sam na sam. Zmuszam się, żeby leżeć i pozwolić mu robić to, na co ma ochotę, ponieważ wiem, jak bardzo mama i papa von Letteberg chcieliby, żebym urodziła następnego syna. Zresztą nie tylko oni. Kocham Ericha tak mocno, że również nie miałabym nic przeciwko temu, żeby urodzić drugie dziecko.

Jest oczywiste, że sklepy w Berlinie, zwłaszcza te dla oficerów, nie świecą pustkami tak jak nasze w Allenstein. Wilhelm i Claus przywieźli nie tylko prezenty i słodycze dla dzieci, ale pełen samochód jedzenia i подарunków dla całej rodziny. Ja dostałam od Clausa naszyjnik ze złota i szmaragdów, kolczyki oraz bransoletkę. Wilhelm przywiózł Irenie biżuterię i coś z bielizny. Claus także podarował mi bieliznę - ale na osobności. Jest trochę za duża i na pewno nie taka, jaką przystoi nosić żonie. Nic na to nie poradzę, że zastanawiam się, czy poprosił swoją kochankę, żeby wybrała dla mnie te rzeczy. Wiem, że Claus kogoś ma, bo Greta nie mogła się powstrzymać od złośliwych aluzji, kiedy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia pomagała nam przygotowywać kolację, podczas gdy panowie siedzieli i rozmawiali przy brandy i cygarach. Irena była przerażona na samą myśl o takiej możliwości, ale ja mam swoje powody, żeby wierzyć mojej siostrze.

Obydwie nie rozumieją, że tak naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żeby Claus sypiał z innymi kobietami. Im częściej robi te obrzydliwe rzeczy z kimś obcym, tym rzadziej chce je robić ze mną. Zazdrosna staję się tylko wtedy, kiedy jestem świadkiem całkowitej harmonii pomiędzy Ireną i Wilhelmem; gdy widzę, jak jedno z nich w locie odczytuje myśl drugiego, jeszcze zanim zostanie wypowiedziana. Nie jestem zazdrosna o kochankę Clausa, lecz o to, co łączy mojego brata z żoną. To bardzo przykre wiedzieć, że podobne uczucia nigdy nie staną się moim udziałem.

Chcę, żeby ta wojna wreszcie się skończyła. Chcę móc pojechać do Allenstein i chodzić ulicami, nie widząc coraz większej liczby kobiet i dzieci, noszących żalobę. Chcę włączyć radio i nie usłyszeć pełnych patosu akordów Wagnera, poprzedzających „specjalne wojenne obwieszczenia”. Jednak koniec wojny będzie oznaczał również konieczność ciągłego przebywania z mężem.

Jeśli Claus rzeczywiście zdecyduje się pozostać w armii, kiedy nadejdzie pokój, być może pozwoli mnie i Erichowi nadal mieszkać tutaj albo w Bergensee. Będzie mógł odwiedzać nas podczas przepustek, a poza tym spędzać z kochanką tyle czasu, ile tylko zapragnie.

Chciałabym wreszcie przestać porównywać nas do Wilhelma i Ireny. Tamci żyją tylko dla chwil spędzanych razem. Wyrwali się z małego domku nad jeziorem jedynie na krótki czas w Boże Narodzenie, żeby przyprowadzić do nas dzieci i zjeść razem świąteczny obiad. Kiedy już siedzieliśmy przy stole, papa von Letteberg zażartował, że skoro podczas wojny tak dobrze sobie radzę z prowadzeniem Grunwaldsee jedynie przy pomocy paru jeńców wojennych, kobiet z poboru i grupy Polaków, bez problemu dostarczam kontyngenty dla wojska, a oprócz tego potrafię ugościć wszystkich i zapewnić tak smaczny posiłek jak ten, którym właśnie mamy przyjemność się delektować, to gdy nastanie pokój, Claus

spokojnie może przejść na emeryturę, złożyć w moje ręce zarządzanie Bergensee, by samemu zająć się pisaniem pamiętników.

Na nieszczęście ta uwaga skierowała rozmowę na to, co obecnie dzieje się w Bergensee. Wojskowy Departament Zdrowia zarekwirował pałac i zamienił go na szpital - sanatorium dla ciężko rannych i okaleczonych żołnierzy. Mama von Letteberg nie może nawet zmusić się, żeby pojechać do domu.

Ja jeżdżę tam raz na tydzień z zapasami, które uda mi się zgromadzić, choć nie jest tego dużo - zazwyczaj trochę jabłek i jarzyn - oraz po to, żeby zagrać pacjentom na fortepianie. Zaczęłam tam zaglądać, kiedy dowiedziałam się o śmierci Paula. To straszne widzieć tylu młodych chłopców bez oczu, rąk albo nóg. Powiedziałam moim teściom, jak bardzo ci biedacy są im wdzięczni za udostępnienie tak wspaniałego domu.

Wilhelm odparł, że jego zdaniem wcale nie powinnam współczuć rannym żołnierzom. Ostatecznie pozostali przy życiu, a wkrótce nauczą się żyć ze swoim kalectwem. Jego nowy dowódca odniósł poważne obrażenia podczas wycofywania się naszych wojsk z północnej Afryki. Stracił oko, prawą rękę, dwa palce u lewej, od wybuchu szrapnela został ranny w nogi i plecy, a mimo to młodszy oficerowie uważają go za najlepszego żołnierza, pod którym zdarzyło im się służyć. Uwielbiają go bez zastrzeżeń i gotowi są pójść za nim choćby na kraj świata. Wydaje się oczywiste, że Wilhelm także go uwielbia. Jestem zadowolona. Tamta przemowa o niesprawiedliwości i bezsensie prowadzenia wojny po klęsce w Rosji niebezpiecznie zbliżała się do zdrady, ale na szczęście podpułkownik Claus von Stauffenberg najwyraźniej na nowo rozbudził w Wilhelmie wiarę w sens naszej misji. Tak się cieszę ze względu na niego i Irenę. Ona strasznie cierpi, kiedy widzi, że on jest nieszczęśliwy.

Po wyjeździe Clausa, Wilhelma i papy von Letteberga w domu jak zawsze zapanowały nienaturalna cisza i spokój. Brunon zagonił rosyjskich jeńców do czyszczenia uprzęży, wyrzucania nawozu ze stajni i chlewów oraz wycinania uschłych drzew w lesie na opał. To oznacza, że podczas tych zimowych miesięcy dziewczęta ze służby rolnej będą miały nieustające wakacje, ale baliśmy się, że jeśli Rosjanie nie dostaną wystarczająco dużo pracy, to mogą z powrotem trafić do obozu.

Często widuję Aleksandra, ale ponieważ jest najstarszym stopniem oficerem wśród Rosjan, nasi strażnicy nie spuszczają z niego oka. Staramy się nie uśmiechać ani otwarcie nie okazywać sobie przyjaźni, aby któryś ze strażników albo jakaś dziewczyna ze służby rolnej nie zorientowali się, że my się znamy. Strażnicy pozwolili, by Brunon mówił Leonowi, zastępcy Aleksandra, jaką pracę mają wykonać. Nikt z Rosjan się nie przyznał, że zna niemiecki, więc strażnicy zgodzili się, by Brunon i Leon porozumiewali się po polsku, choć żaden z nich trzech nie mówi w tym języku - na szczęście dla Aleksandra i jego towarzyszy.

Martha zabiła trzy najstarsze kurczaki, żeby przyrządzić z nich świąteczny obiad dla naszych jeńców. W zasadzie powinna była je ugotować, ale powiedziała, że na święta nie wypada, więc w końcu je upiekła, choć na pewno mięso musiało być dość łykowate.

Brunon przemycił kurczęta razem z wielkim garnkiem pieczonych ziemniaków, sosem od pieczeni oraz gotowanymi warzywami do schowka na siodła i stamtąd przez klapę podał jedzenie siedzącym na strychu Rosjanom. Na początku zimy przeszukał śmietnisko za stodołą i znalazł tam jakiś stary piec, który dał więźniom. Szczęśliwie strażnicy nie zgłosili sprzeciwu. Zdaje się, że teraz niewiele ich obchodzi, co porabiają jeńcy, o ile tylko nie sprawiają żadnych kłopotów.

Więźniowie szybko naprawili piec i podłączyli do przewodu kominowego, który biegnie od kuchni, więc nawet jeśli komendant obozu przyjedzie tu na inspekcję, nie zdoła się zorientować, że na strychu jest jakieś ogrzewanie - no chyba że chciałby osobiście tam wejść, ale to mało prawdopodobne. Więźniowie palą w piecu drobnymi patykami, które

pozwalają im zbierać strażnicy, a także szczapami, które Brunon i Marius przemycają na strych przez klapę w schowku. Brunon twierdzi, że jest tam cieplej niż u nas w salonie.

Pilnuje, żeby słoma na strychu była regularnie zmieniana, a ja znalazłam w szafie z pościelą jeszcze kilka dodatkowych derek, które są co prawda stare, ale wciąż dobre i zdatne do użytku. Gdyby nie ta klapa, Rosjanie nigdy nie mieliby ubrań, jedzenia, drewna albo mydła i koców.

Na szczęście klapa otwiera się w obie strony, więc kiedy zbliża się codzienna inspekcja, więźniowie zdążą wepchnąć do schowka to, co strażnicy mogliby skonfiskować. Kiedy żołnierze wychodzą, Brunon z Mariusem podają wszystko z powrotem. Brunon śmieje się, że Rosjanie zrobili przed klapą coś w rodzaju prowizorycznej latryny, żeby żołnierze nie dostrzegli z daleka wjazdu i nie mieli ochoty zbliżyć się w tamtą stronę.

Pewnej nocy, kiedy weszłam do schowka na uprząż, znalazłam tam złożony na dwoje kawałek materiału na worki z moim imieniem, wypisanym węglem na wierzchu. Wewnątrz znajdował się papier oddarty z jakiegoś opakowania, a na nim parę taktów muzyki i jedno słowo: „Danke”. Nie było podpisu, ale i tak wiedziałam, że to od Aleksandra.

Poczekalam, aż więźniowie zaczną pracę na polu, skąd będą mogli mnie usłyszeć, a potem usiadłam do fortepianu i zagrałam tę muzykę. Była bardzo piękna, chyba najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek słyszałam. Biedak musiał ją pisać przez długie godziny, ale nie odważyłam się mu odpowiedzieć. Jakakolwiek próba nawiązania kontaktu z jeńcami rosyjskimi jest surowo karana.

Gdyby ta wojna wreszcie dobiegła końca, wszystko mogłoby znowu być tak jak przedtem - ale nigdy nie będzie. Nigdy już nie zobaczę papy, Paula, Manfreda ani Petera. Nie w tym życiu. Zbyt wielu zginęło i za dużo zostało pustych miejsc, żeby można je było wypełnić. Kiedy wreszcie skończy się zima i nadejdzie wiosna?

Poniedziałek, 7 lutego 1944

Zaspy sięgają dwóch metrów. Kiedy tylko więźniowie skończą uprzątać dziedziniec, wiatr natychmiast zasypuje go śniegiem albo znowu zaczyna padać. Irena znowu jest w ciąży. Nawet jeśli nie jest, kiedy Wilhelm przyjeżdża na przepustkę, to możemy być pewni, że nosi dziecko, gdy on wyjeżdża. Tym razem maluch urodzi się gdzieś około czwartych urodzin Marianny. Moja bratowa jest cudowną matką, o wiele bardziej oddaną dzieciom niż ja i bardziej skupioną na ich potrzebach. Oboje z Wilhelmem (który zadzwonił z Berlina zaraz po otrzymaniu listu z nowiną, żeby powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że znów zostanie ojcem) mówią, że będą uwielbiać swoje trzy córki. Mam nadzieję, że nie poczują się rozczarowani, jeśli urodzi się chłopiec.

Podobnie jak w poprzedniej ciąży i jeszcze poprzedniej, Irena nie może niczego utrzymać w żołądku. Ogólnie rzecz biorąc, przy końcu dnia jest bardzo wyczerpana, więc kiedy dzieci idą do łóżka, zmuszamy ją, żeby także się położyła. Kiedy Wilhelm był w domu, Irena potrafiła nie spać przez całą noc, jeśli on akurat sobie tego życzył, lecz odkąd wrócił do Berlina, zupełnie straciła całą ochotę do życia i ani ja, ani Martha czy Brunon nie możemy nic zrobić, żeby się roześmiała.

Dziś wieczorem, gdy położyłam Ericha do łóżeczka, poszłam do schowka, żeby sprawdzić, czy więźniowie porządnie naprawili nasze siodła i uprząż. Kiedy zapaliłam lampę, doleciał do mnie jakiś szmer. Przez klapę usłyszałam szept Aleksandra, że przez świetlik w dachu obserwował drzwi kuchni i widział, jak wychodziłam z domu, i chciałby chwilę porozmawiać.

Zaryglowałam obydwie pary drzwi - te wychodzące na podwórze i te, które prowadziły do gabinetu papy - a wtedy Aleksander przecisnął się ze strychu do schowka. W okamgnieniu zamknął za sobą klapę i - jako że Brunon wkręcił w

nią parę haków - powiesił tam kilka końskich derek, więc o ile ktoś nie przyglądał się dokładnie, na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że w suficie nie ma żadnego otworu.

Aleksander zapewnił mnie, że chociaż jego ludzie przełazą przez tę klapę, gdy tylko przyjdzie im na to ochota, nikt jednak nie myśli o ucieczce. Świetnie wiedzą, że gdyby choć spróbowali podjąć taką próbę, wszyscy mieszkańcy Grunwaldsee ponieśliby straszną karę.

Poza tym pewnie zdają sobie sprawę, że praktycznie nie mieliby żadnej szansy na przedostanie się przez Prusy Wschodnie i niemieckie okopy na stronę rosyjską bez ryzyka, że zostaną schwytani i rozstrzelani. Jednak sama świadomość, że mogą stąd wyjść, kiedy chcą, sprawiła, że czują się trochę lepiej, nie jak zamknięte w klatce zwierzęta. Wtedy zwróciłam mu uwagę, że właściwie mogą wychodzić tylko do tego schowka, a jedyne drzwi tutaj - nie licząc tych wiodących do domu poprzez gabinet papieża - wychodzą na dziedziniec, który znajduje się w polu widzenia koczujących w stróżówce strażników.

Usiedliśmy na balach słomy i rozmawialiśmy, a Aleksander pomógł mi zrobić przegląd siodła i uprzęży. Nie trwało to długo. Okazało się, że jeden z Rosjan był przed wojną szewcem, a on osobiście dopilnował, żeby wszyscy przyłożyli się do roboty. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałam tak porządnie naprawionej uprzęży, więc poprosiłam Aleksandra, żeby podziękował temu człowiekowi.

Powiedział, że bardzo się starają uczciwie pracować w Grunwaldsee, żeby odplacić mi za dobroć, za uratowanie im życia i jedzenie, i za to, że pozwoliłam im zamieszkać w majątku. Zaraz potem dodał, że na szczęście nie bardzo rozumieją, w jaki sposób reperowanie moich siodła mogłoby przybliżyć zwycięstwo Rzeszy, przypominając w ten sposób, że nawet jako więźniowie są przede wszystkim żołnierzami wrogiej armii, a dopiero w drugiej kolejności moimi robotnikami.

Mówił, że słyszał, jak grałam melodię, którą zostawił mi na skrawku papieru, i że sprawiło mu to ogromną przyjemność, lecz jednocześnie obudziło straszną tęsknotę za domem. Myślałam, że sam skomponował tę muzykę, ale zaśmiał się, mówiąc, że nie jest aż tak utalentowany. Napisał ją jakiś Rosjanin o nazwisku Szostakowicz.

Siedzieliśmy jeszcze długo po tym, jak skończyłam sprawdzać uprząż, rozmawiając o muzyce, sztuce, literaturze, koncertach, na których byliśmy w Moskwie i tych, w których sami braliśmy udział. Zadziwia mnie, o jak wielu rosyjskich artystach nigdy nie słyszałam, choćby o takim Szostakowiczu. Ale w szkole zapoznawano nas jedynie z twórczością niemieckich kompozytorów, a w orkiestrze Hitlerjugend wolno było grać wyłącznie niemiecką muzykę.

Aleksandrowi brakuje skrzypiec i wiolonczeli. Żałuję, że nie mogę mu pożyczyć któregoś z naszych instrumentów, ale strażnicy na pewno usłyszeli, jak gra, i mielibyśmy poważne kłopoty.

Rzadko kiedy zaglądam do drugiego salonu, który dawniej pełnił funkcję pokoju muzycznego. Fortepian przez większość czasu stoi przykryty pokrowcem, instrumenty zaś leżą w futerałach. Brakuje mi czasu na granie, chyba że podczas świąt Bożego Narodzenia albo w czasie moich cotygodniowych wizyt w Bergensee. Całe studia muzyczne i czas, który zarówno ja, jak Aleksander spędziliśmy na ćwiczeniu gry, teraz wydaje się kompletnie zmarnowany. Szkoda było naszego wysiłku.

Rozmawialiśmy także o naszych rodzinach. Aleksander ożenił się z dziewczyną o imieniu Zoja, która w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku grała z nami w orkiestrze. Ledwo potrafię sobie przypomnieć to imię, a już zupełnie nie pamiętam, jak wyglądała. Aleksander powiedział, że to był typowy wojenny ślub; właściwie ledwie się znali, ale pomyśleli, że należy to zrobić, na wypadek gdyby przyszło im zginąć - jednemu z nich lub obojemu. To trochę przypomina mi historię moją i Clausa. Spędzili z sobą zaledwie tydzień, bo potem jego oddział otrzymał rozkaz wymarszu do Polski.

Później Zoja napisała, że spodziewa się dziecka, ale nie wiedział, czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę, ponieważ od Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie miał od niej żadnych wiadomości. Aleksander zwierzył mi się, że czasami w ogóle zapomina, że jest żonaty. Doskonale go rozumiem. Mnie również łatwo jest zapomnieć o istnieniu Clausa, jeśli dłużej nie przyjeżdża na przepustkę.

Aleksander widział Ericha, kiedy mój synek bawił się na podwórku; sądzi, że jego dziecko musi być w podobnym wieku. Mam nadzieję, że po wojnie odnajdzie swoją rodzinę całą i zdrową. Tak łatwo mi się z nim rozmawiało, że na chwilę zapomniałam o trudach zarządzania posiadłością, problemach z Clausem, a nawet o wojnie. Aleksander poprosił, żebym mówiła do niego Sasza. Pamiętam, że tak nazywali go rodzice i siostra, kiedy mieszkałam u nich w Moskwie.

Kiedy czasami myślę o papie i Paulu, kiedy przypominam sobie opowiadanie Wilhelma o tym, w jaki sposób zginął nasz brat, mam wrażenie, że serce pęka mi z bólu. O ile gorzej musi czuć się Sasza, skoro nawet nie wie, czy jego żona, rodzice i siostra wciąż żyją. Przez ponad cztery lata nie miał od nich żadnych wiadomości - ani jednego, jedyne słowa. Powiedział, że do jego oddziału poczta dochodziła rzadko i nieregularnie, nawet jeszcze zanim trafili do niewoli.

Próbowałam go pocieszyć, mówiąc, że wszystko wskazuje na to, że Rosjanie wypierają nasze wojska ze Związku Sowieckiego. Czulałam się okropnie, bo wiedziałam, że okazują straszny brak lojalności, zwłaszcza że właśnie tam polegli Paul i Manfred. Ale kiedy rozmawiałam z Saszą, mimowolnie zaczęłam się zastanawiać - pomimo natarczywych zapewnień Führera, iż Niemcy potrzebują większej przestrzeni życiowej - co my właściwie robimy w ich kraju. Dlaczego przenosimy etnicznych Niemców ze wschodu, gdzie mieszkali od pokoleń, i osiedlamy ich na terytorium Polski? I jakim prawem my, Niemcy, przywłaszczamy sobie ziemie Rosjan i Polaków, ich domy, majątki i pola?

Żadne z nas nie jest na tyle naiwne, by sądzić, że tę wojnę uda się zakończyć szybko i łatwo. Aleksander dodał jeszcze, że kiedy dostał się do niewoli, nie mógł wymarzyć sobie więzienia lepszego niż Grunwaldsee i bardziej uroczego strażnika niż ja.

Jest kapitanem, a więc ma taki sam stopień jak Wilhelm i Paul, kiedy został zabity. Powiedział swojemu porucznikowi jedynie tyle, że mnie zna, a ponieważ byli niegdyś dobrymi kolegami ze szkoły, zapewnił, że mogę mieć pełne zaufanie do Leona Trepowa, i że jeśli się zdarzy, że nie będę mogła rozmawiać z nim bezpośrednio, zawsze mogę przekazać wiadomość za pośrednictwem Leona.

Kiedy spojrzałam na zegarek i przekonałam się, że dochodzi północ, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Nie pamiętam, żeby jakiś wieczór upłynął mi równie szybko jak ten.

Obiecałam Saszy, że spotkamy się jutro o tej samej porze. Wezmę trochę oleju do lampy, na wypadek gdyby strażnicy nabrali jakichś podejrzeń, choć przy takim zimnie wcześniej zamykają więźniów na strychu, a potem siedzą w przytulnej stróżówce, ograniczając się do obserwowania zewnętrznych schodów i drzwi przez okno.

To jakieś szaleństwo. Mamy środek wojny, a ja nie mogę spać, bo myślę o spotkaniu, na które umówiłam się z jednym z naszych wrogów. Wrogów! Tak łatwo jest myśleć w ten sposób o cudzoziemcach, jeśli ich się nie zna. Nawet wtedy, gdy nasze wojska wkroczyły do Rosji, jedynie przelotnie pomyślałam o Maszy, Saszy i ich rodzicach. Teraz drzę na samą myśl, że być może pewnego dnia on i Wilhelm spotkają się w bitwie po przeciwnych stronach.

Rozdział dwunasty

Czwartek, 30 marca 1944

W gazetach pełno jest fotografii i relacji, a w radiu audycji o bohaterskich czynach naszych żołnierzach wkraczających na Węgry, ale z pociągów wciąż wylewa się nieprzerwany strumień rannych i wszyscy wiemy, że w Rosji toczą się ciężkie walki. Codziennie dziękuję Bogu, że Wilhelma już tam nie ma - i Clausa również.

Wreszcie nadeszła wiosenna odwilż. Na polach tu i ówdzie topnieją jeszcze resztki śniegu, ale krzewy i drzewa pełne są nabrzmiałych pąków. Zaczęliśmy już wiosenną orkę - a raczej zaczęli ją nasi Rosjanie. Nadal prawie każdego wieczoru zaglądam do schowka obok stajni, ale teraz zawsze korzystam z drzwi w gabinecie papy.

Są zamknięte na klucz z wyjątkiem chwil, kiedy muszę tędy wejść lub wyjść. Pewnego razu, gdy wyjmowałam siodło Elise, do składziku zajrzał ten gruby strażnik. Od razu zauważył drzwi i spytał, co za nimi jest. Odpowiedziałam, że przez te drzwi można się dostać do części domu przeznaczonych dla służby, ale klucz do nich zaginął już ładnych kilka lat temu. Na szczęście mi uwierzył. Dzięki Bogu, że trafiłam na takiego głupka.

Od tamtej pory chodzę do naszego schowka wyłącznie po dziewiątej wieczorem, kiedy strażnicy włączają radio i otwierają butelki ze sznappsem, chociaż właściwie i tak nie ma szans, żeby ktokolwiek mógł mnie zauważyć ze stróżówki albo z dziedzińca. O tej porze mama, dzieci i Irena już dawno leżą w łóżkach, a Minna zostaje w pokoju mamy. Sypia tam, na wypadek gdyby mama znów przebudziła się w środku nocy i próbowała wyjść z domu. Wszyscy są zbyt zajęci, żeby zwracać uwagę na to, co robię, więc nikt poza mną i Rosjanami nie wie, że każdy wieczór spędzam w towarzystwie Saszy.

Gdy lampa jest już zapalona, kłapa w suficie opuszczona, a drzwi zaryglowane, czuję się tak, jakbyśmy razem z Saszą byli zamknięci w naszym prywatnym, własnym świecie. Otulamy się końskimi derkami i rozmawiamy o wszystkim i o niczym, starannie omijając tematy dotyczące wojny.

Zadziwiające, jak wiele znaleźliśmy wspólnych zainteresowań - muzykę, miłość do literatury, sztuki, koni i wsi. Chociaż Sasza wychował się w Moskwie, jego ojciec miał mały dom na wsi i właśnie tam Aleksander nauczył się jeździć konno.

Tak obrazowo opisywał lasy i pola dookoła ojcowskiej daczki, że miałam wrażenie, iż widziałam to wszystko na własne oczy. Niedawno przemyciłam do schowka kilka kartek do szkicowania, parę ołówków i kawałek węgla. Sasza jest wszechstronnie utalentowanym artystą. Narysował mój portret i szkic krajobrazu Grunwaldsee. W szkole byłam całkiem niezłą w rysunkach, ale potem zrezygnowałam, żeby na serio zająć się muzyką. Teraz Sasza powiedział mi, że to był błąd, i zaproponował, że nauczy mnie podstawowych technik rysunku. Twierdzi, że nabieram wprawy, choć moim zdaniem tylko stara się być uprzejmy.

Wczoraj, kiedy udało mi się nagryzmolić całkiem udany portret Elise, Sasza nagle pochylił się i mnie pocałował - co prawda tylko w policzek, ale i tak cała zadrżałam. Zaraz potem przeprosił, a ja, choć wcale nie miałam takiego zamiaru, zaczęłam mu opowiadać o moim małżeństwie z Clausem i o tym, jak bardzo nienawidzę pożycia małżeńskiego. Gdy raz już podjęłam ten temat, nie potrafiłam przestać mówić. Potem czułam się jak skończona idiotka, ale Sasza wcale nie sprawiał wrażenia zakłopotanego, tylko przejętego i pełnego zrozumienia. Powiedział, że mężczyźni bardzo łatwo jest wystraszyć narzeczoną i że na miłość trzeba sobie zapracować, tak jak na wszystko inne, co się w życiu liczy.

Sasza to bardzo wrażliwy, delikatny i wyrozumiały mężczyzna - zupełnie inny niż Claus, który zawsze jest poważny, niecierpliwy i wymagający. Wczoraj w nocy, gdy już leżałam w łóżku, nagle przyszło mi do głowy, jak by to było, gdybym wyszła za Saszę; gdybyśmy żyli i pracowali razem, a każdego wieczoru siadywali we dwójkę w salonie,

żeby porozmawiać o sztuce, poezji i muzyce; gdybym jadła z nim każdy posiłek i dzieliła z nim łóżko. Być może nawet mogłabym się z nim kochać, tak jak Irena kocha się z Wilhelmem.

Zawsze byłam bardzo ostrożna, jeśli chodzi o ten pamiętnik, ale teraz muszę być podwójnie czujna. Gdyby ktokolwiek przeczytał te słowa, znalazłabym się w poważnych tarapatkach. Bez wątplenia obydwójce z Saszą zostalibyśmy rozstrzelani, niezależnie od spraw, o których tu pisałam, a które graniczą ze zdradą.



Charlotte podniosła wzrok znad pamiętnika. Za oknem wstawał blady świt, a ona wcale tego nie zauważyła. W pokoju robiło się coraz jaśniej, aż wreszcie światło dnia pokonało blask małej lampki na nocnej szafce. Nie miała zamiaru czytać przez całą noc, tyle jednak było rzeczy, które umknęły jej z pamięci... Nie wydarzenia, lecz widoki i dźwięki - dotyk skóry Saszy pod opuszkami palców; woń deszczu i sosen, którymi pachniało jego ciało; czyste powietrze na zewnątrz i aromatyczny dym z piecyka, którym ogrzewano strych.

Przypomniała sobie gorzką walkę, jaką musiała stoczyć z własnym sumieniem na samym początku ich znajomości. Przysięga, która połączyła ją i Clausa w kościele w Grunwaldsee, wciąż nie dawała jej spokoju. Jednak poczucie winy nie powstrzymało jej od wymykania się tak często, jak tylko było można, żeby spędzić wieczór z Aleksandrem.

Tamten moment, kiedy Sasza złożył na jej policzku lekki i całkiem niewinny pocałunek, stał się punktem zwrotnym w ich znajomości. Wierzyła, że było to coś w rodzaju nagrody w relacji nauczyciel - uczeń, dowód uznania za dobrze wykonaną pracę. Ale od tej chwili zaczęły dziać się między nimi rzeczy, których już nie odważyła się powierzyć kartom pamiętnika, chociaż każda spędzona wspólnie sekunda pozostawiła w jej pamięci niezatarty ślad. To były jej tajemne skarby; trzymała się ich kurczowo i zachowała tylko dla siebie, żeby powracać do nich w jakże częstych okresach nieszczęść i beznadziei, w które obfitowało jej życie.

Przez ponad sześćdziesiąt lat owe wspomnienia dodawały jej sił, choć jednocześnie stanowiły źródło udręki. Pomagały, kiedy miała wrażenie, że już nie ma po co żyć, i kiedy dopadało ją wątplenie co do powodów, dla których Sasza zbliżył się do niej. Czy szukał jedynie jedzenia i ciepłego kąta, dzięki którym mógł przetrwać on sam i jego ludzie? A może rzeczywiście pokochał ją tak gorąco i prawdziwie jak ona jego? Czy jej wspomnienia o Saszy dotyczyły tego, co wydarzyło się naprawdę, czy były jedynie tworem wyobraźni? Takie sytuacje często przytrafiają się starszym ludziom, wspominającym z rozrzewnieniem coś, co nigdy nie istniało.

Czy tamte niezapomniane wieczory jej życia miały znaczenie także dla Saszy? Czy także zatrzymał je w pamięci, pielęgnował i ożywiał przez kolejne lata, tak jak robiła ona - i robi aż dotąd?

Dzień był zimny i rześki, ale w powietrzu nie czuło się już szorstkiego podmuchu zimy. Charlotte przemyciła do gabinetu ojca drewnianą skrzynię z sianem. Wewnątrz znajdowały się niewyobrażalne skarby - mały dzbanuszek z prawdziwą kawą, zaparzoną z ziaren, które mama von Letteberg przysłała z Berlina razem z innymi łakociami. Udało jej się wykraść z paczki także dwie czekoladowe trufle, zanim musiała rozdzielić resztę pomiędzy swoich bliskich i rodzinę Brunona.

Sasza już czekał. Gdy tylko zasunęła rygle w drzwiach prowadzących do schowka, opuścił się przez klapę i zaraz ją zamknął. Opadając miękko na złączone stopy, pociągnął nosem.

- Nie wierzę! - westchnął.

Charlotte z dumą podniosła pokrywkę i pokazała mu zawartość dzbanuszka.

- Chyba jednak będziesz musiał uwierzyć - powiedziała.

Rozłożyła na drewnianej pace obrus z koronki, ustawiła dwie porcelanowe filiżanki i srebrny dzbanuszek ze śmietanką. Nie wiedząc, czy Sasza używa cukru, na wszelki wypadek zabrała słoiczek miodu oraz porcelanową miseczkę na trufle. Kiedy skończyła, wydawał się mocno zakłopotany, jakby miał do czynienia z dziewczynką, która bawi się w dom.

Nagle porwał jej dłoń, przycisnął do ust.

- Dziękuję. Dzięki tobie znowu się czuję, jakbym był normalnym człowiekiem - wyszeptał.

Nawet teraz nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego to powiedziała. Jak automat, nie zastanawiając się nad sensem swojej uwagi, powtórzyła często słyszane słowa.

- Czyli kimś całkowicie innym niż podczłowiek. Popatrzył jej głęboko w oczy, a ona miała wrażenie, że zagląda prosto w jej duszę.

- Czy właśnie tak myślisz o mnie i o wszystkich Rosjanach, Charlotte?

- Nigdy! - zawołała z pasją. - Ty, Masza, twoja rodzina... Jesteście tacy sami jak my.

- Raczej byliśmy - sprostował. - Ale trudno tak myśleć. Trzeba być wyjątkowym sadystą, żeby kazać jeńcom wojennym iść na łąkę i tam jeść trawę, tak jak było... Albo, co gorsza, zwrócić miotacz płomieni w stronę drewnianej chaty, a potem zastrzelić dzieci, które z niej wybiegły.

Krew zastygła jej w żyłach. Nagle nie wiadomo skąd zebrała się na odwagę, żeby powtórzyć mu wszystko, o czym mówił Wilhelm, i spytać, czy rozumie znaczenie określenia „za zasłoną kłamstw”.

Właściwie dobrze się złożyło, że przez następne pięć czy sześć lat kawa była trudna do zdobycia, bo potem sam jej zapach wystarczał, żeby Charlotte w mgnieniu oka przenosiła się z powrotem do schowka przy stajniach. Znowu czuła tamto paraliżujące przerażenie, które ją ogarniało, gdy słuchała, jak Sasza wylicza długą listę strasznych, okrutnych zbrodni, popełnianych w jego ojczyźnie przez niemieckie wojska na bezbronnych cywilach.

Opowiedział jej o niemieckich żołnierzach, którzy strzelali do dzieci siedzących w szkolnych ławkach; o plutonach Wehrmachtu, które tak samo jak SS bez najmniejszego oporu dokonywały masakry ludności cywilnej, nie robiąc różnicy pomiędzy mężczyznami a kobietami; o zorganizowanych „akcjach”, podczas których z powierzchni ziemi całe miasteczka albo wsie. Mówił o relacjach tych, co przeżyli, bo obserwowali z ukrycia, jak niemieckie oddziały działające za linią frontu chwytają mężczyzn, kobiety i dzieci - wszystko jedno, Rosjan, Żydów czy partyzantów - a potem prowadziły swoje ofiary do lasu, kazały kopać groby i urządziły egzekucje.

Rozpłakała się, zanim skończył swoją opowieść. Ciche łzy obfitym strumieniem spływały jej po policzkach. Tamtej nocy narodziło się w niej poczucie wstydu, że niemiecki żołnierz był zdolny do popełnienia tak okropnych zbrodni, i nareszcie zrozumiała to, czego Wilhelm nie potrafił jej powiedzieć. Zupełnie czym innym była śmierć zadana podczas bitwy, a czym innym strzelanie do bezbronnych cywilów i dzieci, nie starszych niż Erich, Marianna czy Karoline.

Nagle zorientowała się, że Sasza skończył mówić i teraz pocałunkami starał się osuszyć jej łzy. Mocno objęła go za szyję i zaczęła oddawać pocałunki, jakby chciała mu udowodnić, że uważa go za kogoś równego sobie i że nie ma nic wspólnego z tymi, którzy mordowali na oślep jego rodaków. Ale chyba głównie zrobiła tak dlatego, że chciała mu podziękować za powiedzenie jej prawdy - prawdy, której nawet rodzony brat nie miał odwagi wyznać. Tyle tylko że nie mogła już przestać całować Saszy.

Potem, kiedy leżała naga w jego objęciach, z radością pomyślała, że nareszcie wie - naprawdę wie - czym jest miłość pomiędzy mężczyzną a kobietą. I przyszło jej do głowy, że właściwie jej nie obchodzi, czy strażnicy ją tu znajdą, a potem wyprowadzą na pole, żeby zastrzelić jak psa. Po raz pierwszy w życiu przekonała się, jak wygląda doskonała, prawdziwa miłość - i prawdziwe szczęście.

Środa, 7 czerwca 1944

Wiosna ustąpiła miejsca przepięknemu latu. Najpiękniejszemu, jakie pamiętam. Przez ostatnie kilka miesięcy od świtu do nocy zajmowaliśmy się orką, sadzeniem i okopywaniem, a potem... Potem byłam zbyt szczęśliwa, żeby cokolwiek pisać. Ale teraz dochodzi pierwsza w nocy. Całe Grunwaldsee pogrążone jest we śnie, a ja otworzyłam okno, żeby wpuścić do środka ciche, ciepłe powietrze letniej nocy; czuję, że bardziej niż kiedykolwiek chce mi się żyć - choć jeszcze niedawno nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. I myślę o tym o pierwszej w nocy, patrząc na gwiazdy, księżyc, na pogrążone w mroku drzewa, odurzona zapachem kwiatów... Zewsząd otacza mnie zwyczajne, zgodne z naturą życie.

Ciemność jest tak spokojna, tak uspokajająca; wydaje się, że niemal wystarczyłoby mi wstrzymać oddech i wyężyć słuch, żeby usłyszeć bicie serca Saszy. Oczywiście to czyste szaleństwo, jeśli sobie pomyślę, jak duża odległość dzieli moją sypialnię od strychu nad stajnią.

Gdyby tylko Sasza mógł swobodnie chodzić po tym domu i naszych polach, siedzieć ze mną przy stole, być przy mnie w każdej minucie dnia, spać tu, obok mnie, patrzeć, jak piszę te słowa... Jednak „nie warto płakać za księżycem”, jak mawiał papa, kiedy Greta męczyła go o coś, czego nie mógł jej dać.

Jak każde dziecko nauczyłam się zadowalać tym, co otrzymuję, zamiast tęsknić za tym, co niemożliwe.

Podejrzewam, że wojna nie idzie dobrze, jeśli chodzi o Niemców, ale podobnie jak wszyscy, nie mam odwagi powiedzieć tego na głos, żeby nikt nie zarzucił mi braku patriotyzmu. Wiem, że w Rosji i we Włoszech trwają zacięte walki, ponieważ Marius został powołany do pełnienia dyżurów na poczcie i mówił nam, że przychodzą tysiące listów i telegramów adresowanych do rodzin chłopców, którzy służą na froncie. Nigdy nie przypuszczałam, że w Allenstein będzie potrzeba aż tyle czarnego materiału.

Dziś po południu razem z Ireną pojechałyśmy do jej matki na kawę i ciasteczka - kawę z żołądźmi i ciasteczka z miodem, jeśli chodzi o ścisłość.

To było spotkanie poświęcone zbieraniu funduszy dla Czerwonego Krzyża. Ponieważ nie mamy benzyny do samochodów, poprosiłam Brunona, żeby zaprzął nam bryczkę. Dzieciaki uważają, że to wspaniała przygoda jeździć do miasta czymś takim. Po drodze mijaliśmy zamkniętą na głucho i zabitą deskami synagogę, a mnie od razu przypomniał się dzień, w którym widzieliśmy, jak Georg i inni esesmani wyprowadzają z tego budynku Ruth, Emilię i żydowskie dzieci, a potem kopią starego rabina, aż biedak zalał się krwią.

Czy istnieje szansa, że pewnego dnia Ruth i Emilia będą mogły tu wrócić? Mam nadzieję, że tak, bo może wtedy będę miała okazję im powiedzieć, jak bardzo żałuję, że okazałam się takim tchórzem i nie zrobiłam nic, by im pomóc.

Na podwieczorku pojawiła się także matka Georga. On jest bezpieczny; pełni służbę na posterunku gdzieś na terenie Polski jako oficer do zadań specjalnych i ma dostęp do wszelkiego rodzaju dóbr, których nam od dawna brakuje. Od razu zastanowiłam się, na czym polegają owe „zadania specjalne”, które wykonuje Georg. Może na biciu starców i poniżaniu bezbronnych dzieci i dziewcząt? A może nadzoruje więźniów w jednym z tych straszliwych obozów jak Dachau, o których ludzie opowiadają sobie szeptem? Cokolwiek robi Georg, nie odważyłam się zapytać o to jego matki. Byłoby niegrzecznie wszczynać kłótnię podczas wizyty w domu pani Adolf.

Pani Adolf zaprosiła w sumie dwadzieścia kobiet, żeby pomogły jej w zbieraniu funduszy; policzyłam, że szesnaście z nas straciło na wojnie syna, męża lub brata.

To miało być przyjemne towarzyskie spotkanie, ale rozmowa nieuchronnie zeszła na temat wojny i choć żadna z nas nie zadała tego pytania, to jednak wiem, że każda myślała o tym samym - ile jeszcze ofiar będziemy musieli ponieść, zanim znów uda się nam powrócić do spokojnego życia. W czasie drogi do domu Irena była bardzo milcząca. Przytuliła

do siebie dwie malutkie córeczki, a jej nieobecny wzrok był najlepszym dowodem, że myśli o Wilhelmie, Manfredzie i Paulu. Ale kiedy dotarliśmy do Grunwaldsee, okazało się, że czeka ją wspaniała niespodzianka. W domu był Wilhelm!

Jego pułkownik miał do załatwienia w Prusach Wschodnich jakąś pilną sprawę. Dziś rano przyleciał z Berlina w sekretnej misji, zabierając z sobą Wilhelma jako adiutanta. Za dwa dni ma przyjechać po niego do Grunwaldsee. Kiedy już przybędzie, w dowód wdzięczności postanowiłam podjąć go doskonałym obiadem.

Podczas gdy Irena i Wilhelm bawili się z dziećmi i kładli je do łóżek, Martha i ja poszłyśmy do letniego domku, żeby go dla nich przygotować. Zaniósłam tam trochę jedzenia, dwie butelki wina truskawkowego Marthy oraz resztkę brandy przywiezionej przez Clausa na święta. Nasza piwniczka z winem od miesiący świeci pustkami i nawet zawartość kredensu została mocno uszczuplona, jako że od początku wojny nie dołożyliśmy tam ani jednej butelki. Obiecałam Irenie, że zaopiekuję się dziewczynkami, jeśli obudzą się w nocy - chociaż ona świetnie wie, że nigdy im się to nie zdarza - a Martha zajmie się nimi z rana i da im śniadanie, żeby oboje z Wilhelmem mogli wykorzystać jak najlepiej to niespodziewane spotkanie.

Zanim poszli do letniego domku nad jeziorem, Wilhelm wręczył mi utrzymany w oficjalnym tonie list od Clausa. Sądząc ze spojrzenia, jakie przy tym na mnie rzucił, chyba wie, że moje stosunki z mężem układają się jak najgorzej.

Kiedy już poszli, zajął się mamą i do dzieci. Oboje z Saszą musimy być teraz bardzo ostrożni, kiedy wieczory są tak ciepłe i przyjemne. Strażnicy i oddelegowane do pracy dziewczęta często wybierają się na spacer i przechodzą przez dziedziniec o różnych dziwnych porach, więc drzę z przerażenia, że kiedyś ktoś może usłyszeć naszą rozmowę. Ale dziś sytuacja wygląda dobrze. Rozejrzałam się po podwórzu, żeby sprawdzić, gdzie są strażnicy, i zobaczyłam, że siedzą w stróżówce, pijąc wódkę w towarzystwie trzech dziewczyn ze służby rolnej. Śpiewali na cały głos „Horst Wessel Lied”, więc od razu się domyśliłam, że muszą już mieć nieźle w czubie. Pobiegłam prosto do gabinetu papy, a stamtąd do schowka przy stajniach.

Sasza już nasłuchiwał, czy idę. Zaczekał tylko, aż zarygluję drzwi i zagwizdę umówiony sygnał, i zaraz opuścił się na dół przez klapę w suficie. Na jego ustach ujrzałam ten szczególny uśmiech, który pojawia się tylko wtedy, gdy jesteśmy we dwoje.

Zanim go spotkałam, wiedziałam, jak wygląda szczęście, wyłącznie z obserwacji, gdy patrzyłam na Irenę i Wilhelma. Nigdy nawet nie marzyłam, że pewnego dnia stanie się ono także moim udziałem, ani nie wyobrażałam sobie, jak będę się wówczas czuła.

Teraz rozumiem, dlaczego Irena i Wilhelm przez cały czas się dotykają. W tym, co robimy z Saszą, nie ma bólu, wstydu ani upokorzenia, jedynie miłość. Trwała, głęboka miłość, która każdego dnia staje się coraz bardziej namiętna i doskonała, niezależnie od tego, czy jesteśmy razem, czy osobno. Nie potrafię powiedzieć, jak mogłam funkcjonować przez wszystkie te noce i dni, zanim on wkroczył w moje życie. Uwielbiam go, istnieję tylko dla niego. Po raz pierwszy czuję się tak, jakby moje istnienie rzeczywiście miało jakiś nadrzędny cel. Jakby to ziemskie życie nie było wszystkim, co nas czeka w przyszłości.

W końcu zrozumiałam, dlaczego Maria utopiła się po śmierci Paula. Prawdziwa miłość nie może się skończyć na tym świecie, więc gorąco wierzę, że gdzieś tam - pomimo popełnienia czegoś, co jej religia uważa za śmiertelny grzech - Maria połączyła się z Paulem.

Tak samo jak ona straciłam wszelki lęk przed śmiercią, ponieważ doświadczyłam tego niezwykłego, absolutnie doskonałego uczucia, które sięga poza grób. To Sasza jest i zawsze będzie moim prawdziwym mężem. Mężem wybranym przez moje serce.

Funkcjonuję przez cały dzień, robiąc to, co musi być zrobione, i żyjąc myślą o nadchodzącym wieczorze, kiedy znowu zostaniemy sami. Wystarczy mi, jeśli przez te spędzane osobno godziny zobaczę go choćby w przelocie. Wcale

nie musimy patrzeć sobie w oczy. Widzę jego wysoką postać i jasne włosy, gdy rozebrany do pasa pracuje w polu, sadząc coś czy też kopiąc motyką, albo jak z innymi przechodzi przez dziedziniec, i przypominam sobie aksamitny dotyk jego nagiej skóry, jego namiętny szept i bicie jego serca przy moim.

Mogę powiedzieć mu wszystko - zawierzyć każde sekretne pragnienie i każdą ambicję, zdradzić każdą pomniejszą brzydką sprawkę, którą w przeszłości zdarzyło mi się popełnić - bo wiem, że on akceptuje mnie taką, jaka jestem. Jednak jest pewna rzecz, o której nigdy nie ważymy się rozmawiać - to przyszłość.

Kiedy wojna się skończy... Czy ktoś może odgadnąć, co stanie się z jeńcami wojennymi, gdy zostanie już podpisany traktat pokojowy? Staram się skoncentrować na tym, co dzieje się tu i teraz - na ciepłych dniach i pełnych miłości nocach, na pięknie upalnego lata. Sasza nazywa je „naszym latem”. Mam nadzieję i modłę się, żeby nie było naszym jedynym.

Jestem taka zachłanna. Chcę dla nas czegoś więcej niż tylko tego jednego lata. Chcę, żebyśmy spędzili razem całe życie. Chcę wiedzieć, że on zawsze będzie przy mnie. Nie potrafię znieść myśli, że coś mogłoby nas rozłączyć choćby na jeden dzień. Kocham całą jego istotę: umysł, myśli, serce, ciało... Nawet pisząc te słowa, czuję na sobie ciepło jego rąk. Wystarczy, że zamknę oczy, a już wyobrażam sobie, jak jego palce muskają moje piersi. Moje usta płoną od jego pocałunków. Moja skóra nasyciła się zapachem jego skóry.

Już najwyższy czas, żeby z powrotem ukryć mój zeszyt w dziurze w ścianie pod parapetem. Musiałam powiedzieć komuś o miłości do Saszy, bo inaczej bym pękła, ale chyba lepiej, że zapisuję swoje myśli i powierzam ten sekret pamiętnikowi, niż gdybym miała ryzykować, że Sasza zostanie rozstrzelany, a ja razem z nim.

Niemki giną za znacznie mniej poważne przestępstwa niż to, które popełniłam, a sama wiem najlepiej, jak niewiele znaczy dla Rzeszy życie rosyjskich jeńców. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zatrzymać Saszę w Grunwaldsee, gdzie mogę chronić jego i jego ludzi, i pomagać im wszystkim przetrwać wojnę.

Sobota, 1 lipca 1944

Szóstego czerwca alianci wkroczyli do Francji. Teraz nasi żołnierze biją się we Włoszech, Rosji i Francji. Wydaje się, że Niemcy są zewsząd otoczeni przez wrogów i że na wszystkich frontach walczymy, by przetrwać. Claus znowu znalazł się we Francji; wiem o tym, bo przysłał mi pocztówkę z Paryża. Jeśli miał zamiar mnie uspokoić, to ta próba spełzła na niczym, ponieważ krążące po Allenstein pogłoski są coraz gorsze, a pociągi codziennie przywożą nowych rannych, którzy od razu trafiają do Bergensee.

Dzięki Bogu, że Wilhelm nie trafił na żaden front. Wiemy o tym, ponieważ jego pułkownik dość często bywa w tym rejonie. Wilhelm niewiele mówi nam o swojej pracy, ale słyszałam plotki, że w pobliżu majątku von Lehndorffów w Steinort znajduje się kwatera główna Führera i myślę, że właśnie dlatego pułkownik von Stauffenberg odbywa regularne podróże z Berlina do Prus Wschodnich. Za każdym razem, gdy przyjeżdża, pozwala Wilhelmowi na spędzenie kilku godzin z Ireną. Ostatnio byli tu zaledwie przed czterema dniami.

W chwili obecnej jedyną dobrą rzeczą jest pogoda. Zrobiło się tak gorąco, że w południe strażnicy pozwalają Rosjanom wykapać się w jeziorze, a sami siadają w cieniu drzew, racząc się obiadem przygotowanym przez Marthę. Po jedzeniu ucinają sobie godzinną drzemkę, a w tym czasie Sasza wymyka się do letniego domku nad jeziorem, gdzie już na niego czekam. Rozumiem, że to niebezpieczne, ale jego towarzysze wiedzą, że mają go kryć, a ja pamiętam, aby zostawić w saloniku kilka narzędzi stolarskich, więc jeśli przypadkiem któryś ze strażników przyłapie nas razem, to zawsze mogę wytłumaczyć, że chodziło jedynie o pomoc w powieszeniu obrazu czy jakąś naprawę.

Udajemy, że jesteśmy małżeństwem i że letni domek jest naszym prawdziwym domem. Rozmawiamy o tym, co trzeba jeszcze będzie zrobić, gdy czas nam pozwoli, na przykład gdzie ustawimy mój fortepian i gdzie urządzimy pracownię malarską dla Saszy albo w którym miejscu on zrobi półki na książki i szafę na nasze nuty. Jego ulubionym utworem jest miniatura Szostakowicza, którą zostawił mi na kawałku papieru, ale oprócz tego lubi jeszcze „Sonatę Księżycową” Beethovena i „Marzenie” Schumanna.

Znowu zaczęłam korzystać z małego salonu i wczesnym wieczorem, tuż po kolacji, otwieram szeroko okna i gram najgłośniej, jak potrafię, żeby Sasza i jego ludzie słyszeli mnie na swoim strychu nad stajnią. Także strażnicy regularnie przychodzą pod okna i potem składają mi gratulacje. Jeden nawet zapytał, kto skomponował utwór, który często grywam, a ja domyśliłam się, że chodzi mu o Szostakowicza. Strasznie się bałam, że w końcu odkryją, że dostałam nuty od Saszy, a kompozytorem był Rosjanin, więc skłamałam, że sama go napisałam, i teraz uważają mnie za genialną.

Nigdy nie odważyliśmy się spędzić razem w letnim domku więcej niż pół godziny dziennie, ale oboje świetnie potrafimy wykorzystać każdą sekundę. Przez większość czasu zwyczajnie siedzimy na starej sofie i trzymając się za ręce, wpatrujemy się w zegar, jakbyśmy chcieli zatrzymać czas.

Te nieliczne chwile spędzone z Saszą przynoszą mi więcej szczęścia, niż zaznałam podczas wszystkich nocy i dni u boku Clausa. Jednak muszę zachować ostrożność. Zauważyłam, że Irena, Brunon i Wilhelm ostatnio dziwnie mi się przyglądają.

Wiem, że zachowuję się inaczej niż zwykle - jestem spokojniejsza, mniej napięta, bardziej zadowolona z życia. Jaśnieję ze szczęścia. Ale wiem też, że jeśli ktokolwiek zacznie podejrzewać, co łączy mnie z Saszą, będzie to oznaczać śmierć dla nas obojga. Mało mnie obchodzi własne życie, nie mogę jednak znieść myśli, że on też mógłby zostać rozstrzelany.

Czwartek, 20 lipca 1944

Dziś po południu Martha przybiegła do nas na pole, żeby powiedzieć, że przed chwilą słyszała w radiu komunikat. Dokonano próby zamachu na życie Hitlera. Oboje z Brunonem natychmiast pognaliśmy do domu, w nadziei, że dowiemy się czegoś więcej, ale usłyszeliśmy tę samą wiadomość, kilkakrotnie powtórzoną. Między komunikatami nadawano poważną, żałobną muzykę, która sugerowała, że Führer nie żyje, co wydawało nam się dziwne, skoro na wstępie powiedziano, że przeżył zamach.

Nagle ogarnął mnie niepokój o Irenę. Była w kuchni, kiedy wpadliśmy tam z Brunonem; w pierwszej chwili pomyślałam, że za chwilę zemdleje. Strasznie zbladła i trzęsła się jak pies, który właśnie wyskoczył z lodowatej wody. Wilhelm był bardzo szczery, kiedy ostatnio zostaliśmy z nim same; otwarcie krytykował Hitlera za niepotrzebne straty pod Stalingradem, ponieważ Führer nie wyraził zgody na wycofanie się niemieckich wojsk ani na złożenie broni. Zastanawiałam się, czy przypadkiem Irena nie wie czegoś o próbie zamachu na życie wodza. To właśnie wtedy po raz pierwszy przyszła mi do głowy straszliwa myśl, że może Wilhelm jest jakoś w to wszystko zamieszany.

Pomimo zaawansowanej ciąży i widocznego wyczerpania, które pogarszał nieznośny upał, Irena uparła się, że zostanie z nami aż do chwili, gdy Hitler wygłosi zapowiedziane wcześniej przemówienie do narodu.

O dziewiątej wieczorem wymówiłam się, że muszę zajrzeć do koni, i czym prędzej pomknęłam do składziku. Zostałam tam tylko przez chwilę, żeby bez otwierania klapy zamienić z Saszą parę słów i poinformować go o tym, co zaszło. Obiecałam, że przyniosę następne nowiny najszybciej, jak będzie to możliwe, a potem wróciłam do domu i usiadłam z Ireną. Musiałyśmy długo czekać. Przemówienie zostało nadane dopiero około pierwszej w nocy, a wówczas Irena była biała jak prześcieradło i tak słaba, że myślałam, iż lada moment upadnie na podłogę.

Kiedy Hitler przemówił, zamarłam i na moment serce przestało mi bić. Pamiętam każde słowo, które wtedy powiedział: „Niewielka grupa żądnych władzy, nieodpowiedzialnych, pozbawionych rozumu i przestępczo głupich oficerów zawiązała spisek, którego celem było wyeliminowanie mnie i całego dowództwa Wehrmachtu. Bomba podłożona została przez pułkownika von Stauffenberga...”.

Kiedy Hitler wymienił to nazwisko, wiedziałam już na pewno, że Wilhelm także uczestniczył w tym spisku. Spojrzałam na Irenę, ale sprawiała wrażenie tak zszokowanej, że przez ładnych parę minut nie mogła wykrztusić ani jednego słowa, tylko siedziała z opuszczoną nisko głową. Ja mogłam wówczas myśleć jedynie o Wilhelmie. Co teraz zrobią z nim i z jego odważnym, czarującym i uprzejmym pułkownikiem? Ilu jeszcze innych oficerów brało udział w zamachu?

Kiedy już mogłam się odezwać, od razu zapytałam Irenę o Clausa i jego ojca, ale Wilhelm był na tyle ostrożny, by nie wtajemniczać jej w szczegóły, przez które mogłaby zostać oskarżona o współudział. Powiedziała, że jedynie poprosił ją o zgodę na zaryzykowanie swojego życia i ich wspólnego szczęścia. Mówił, że żadne poświęcenie nie będzie zbyt wielkie, jeśli dzięki temu uda się uwolnić Niemcy od Hitlera, i że człowiek, którego nazywaliśmy Führerem, prowadzi nasz naród do zguby i destrukcji.

Irena dodała jeszcze, że Wilhelm nie umiał wyrzucić z pamięci horroru, który widział na froncie wschodnim, i że mówił swojemu pułkownikowi i każdemu, kto chciał go wysłuchać, jakich okropności był świadkiem. Podobnie jak Sasza, Wilhelm twierdził, że Hitler nie prowadzi wojny, lecz prowokuje masowy mord na bezbronnej ludności krajów wschodniej Europy, które postanowił przyłączyć do swojego imperium. Mówił, że ginęli nie tylko żołnierze, lecz również kobiety i dzieci.

Tak jak ja z Ireną, on również widział Żydów i cywilów innych narodowości, ale nie małe grupy, lecz setki i tysiące, które siłą wypędzano na otwartą przestrzeń, gdzie nasi żołnierze przeprowadzali masakrę. Czasami trwało to całe dnie, zanim oddziały śmierci zakończyły swoją pracę. Wilhelm mówił Irenie, że widział, jak spod ziemi tryskała krew, i słyszał jęki dobiegające z zasypanych już grobów.

Słowa Ireny tylko potwierdziły to, co wcześniej mówił mi Sasza i czego w głębi duszy obawiałam się od chwili, gdy zobaczyłam, jak Georg kieruje pistolet w stronę Ruth i Emilii.

Złapałam stojącą na stole butelkę i jednym haustem wypilałam resztkę brandy. Ani Irena, ani ja nie poszłyśmy tej nocy do łóżka. Sama nie wiem dlaczego. Przecież nie mogłyśmy nic zrobić; siedziałyśmy tylko, trzymając się za ręce i odmawiając modlitwy. Zresztą po tym, co działo się na wschodzie i o czym opowiadał Sasza, po śmierci papy, Paula, Petera i Manfreda i wobec choroby mamy sama nie wiem, czy w ogóle jeszcze wierzę w Boga. Nareszcie napisałam to czarno na białym. Czyżbym dzięki Saszy stała się ateistką?

Piątek, 21 lipca 1944

Wilhelm przyjechał o świcie. Popatrzył na mnie oczyma starego, bardzo znużonego człowieka. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Wiedziałam, że gdybym tylko spróbowała coś powiedzieć, skończyłoby się na załamaniu nerwowym i płaczu, więc zwyczajnie przytuliłam Wilhelma i wysłałam go do Ireny, bo wiadomo, że przyjechał tu zobaczyć się z żoną, a nie ze mną. Widziałam, jak ucałował córeczki, a potem razem z Ireną poszli do letniego domku nad jeziorem. Ja pobiegłam do składziku. Odważyłam się tam zostać tylko przez moment, ponieważ strażnicy już chodzili po stróżówce i lada chwila mogli się tu zjawić, żeby sprowadzić więźniów ze strychu.

Wspięłam się na drabinę, zapukałam w klapę w sposób sygnalizujący, że stało się coś nieoczekiwanego, i zagwizdałam umówiony sygnał. Gdy Sasza podszedł, w kilku słowach opowiedziałam mu, co się wydarzyło. Natychmiast zaproponował, że napisze list do Rosjan z informacją, co zrobił Wilhelm. Taki list mógłby go ochronić, ale szczerze wąt-

piłam, czy Wilhelmowi w ogóle udałoby się przedostać przez niemiecką linię frontu. A jeśli nawet jakimś cudem dotarłby do rosyjskich oddziałów, to nie było żadnej gwarancji, czy Rosjanie najpierw by go nie rozstrzelali, a dopiero potem przeczytali list Saszy. Jednak na wszelki wypadek osiodłałam Elise i wyprowadziłam ją ze stajni, żeby dać Wilhelmowi jakąś szansę ucieczki.

Właśnie skończyłam szykować dzieciom śniadanie, gdy na dziedziniec zajechały dwa czarne, służbowe mercedesy, a w nich ośmiu uzbrojonych po zęby oficerów SS. Wysłałam im naprzeciw i, starając się wyglądać na bardziej odważną, niż byłam w istocie, powiedziałam, że stanowczo nie pozwalam, żeby ktokolwiek wchodził z bronią do naszego domu, bo mógłby wystraszyć dzieci.

Zignorowali moje słowa i od razu zapytali o Wilhelma. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że w domu go nie ma. Nie uwierzyli mi i weszli do środka, żeby go poszukać. Jednak zanim zdążyli dotrzeć na piętro, zobaczyłam przez okno mojego brata, który szedł przez dziedziniec z Ireną u boku. Miał na sobie wyczyszczony mundur. Oboje trzymali się za ręce, jakby wybierali się na poranny spacer.

Wybiegłam na zewnątrz i błagałam Wilhelma, żeby wsiadł na Elise i ukrył się w lasach. Cały batalion wojska mógłby przeszukiwać ten teren przez rok, a i tak nie znaleźliby wszystkich miejsc, gdzie chowaliśmy się jako dzieci. Wysłuchał mnie, uśmiechnął się smutno, a potem pokręcił głową, jakbym znów była głupim dzieckiem, któremu strzelił do głowy niedorzeczny pomysł.

Wreszcie podniósł głowę i zobaczył, że major dowodzący oddziałem SS stoi przed drzwiami prowadzącymi do kuchni i przygląda się nam. Spytał, czy szukają właśnie jego, a kiedy tamten potwierdził, Wilhelm oddał mu pistolet.

Nigdy nie byłam bardziej wściekła ani bardziej dumna ze swojego brata. Tylko zaciśnięta szczęka zdradzała, jak bardzo jest zdenerwowany. On i Paul zawsze zaciskali zęby, ilekroć papa dawał im reprimendę za jakiś figiel. Major kazał jednemu z ludzi skuć Wilhelmowi ręce na plecach, ale Wilhelm zapewnił go, że nie ma takiej potrzeby. Powiedział, że jest gotów pojechać z nimi, dokądkolwiek będą chcieli go zabrać, jeżeli zostawią w spokoju jego żonę, córeczki, matkę i siostrę.

Myślę, że trochę zawstydził majora, bo ten natychmiast polecił go uwolnić i nawet pozwolił, żeby Wilhelm poszedł na górę pożegnać się z mamą.

Poszłam razem z nim. To było coś okropnego, mama go nie rozpoznała. Zanim Wilhelm wyszedł z pokoju, objął mnie i pocałował na pożegnanie, i przypomniał o mojej obietnicy, że zaopiekuję się Ireną i dziewczynkami. Zupełnie jakby trzeba mi było o tym przypominać!

Irena, Marianna i malutka Karoline stały w holu, czekając na niego. Esesmani przyglądali się, jak Wilhelm po kolei przytula i żegna się z każdą z nich. Irenie powiedział, że bardzo ją kocha i że jest mu przykro, że jeszcze bardziej niż ją ukochał swój kraj, ale mimo wszystko uważa, że zrobił to, co należało. Potem uśmiechnął się smutno i obrzucił spojrzaniem żołnierzy, mówiąc: „Bóg rzekł do Abrahama, że oszczędzi Sodomę, jeśli znajdzie się tam dziesięciu sprawiedliwych, więc mam nadzieję, że zlituje się nad Niemcami i okaże nam miłosierdzie, ponieważ staraliśmy się dochować wierności naszej ojczyźnie. Nikt z nas nie będzie się skarżył, że musimy umrzeć”.

Spojrzał na mnie sponad ramienia wtulonej w niego Ireny, a ja w lot zrozumiałam, o co mu chodzi. Podeszłam, żeby ją od niego zabrać. Wtedy Wilhelm odwrócił się na pięcie i po raz ostatni wyszedł z rodzinnego domu.

Irena była w strasznym stanie. Wyrwała się z moich objęć i wykrzykując na cały głos jego imię, rzuciła się za samochodami. Myślałam, że nigdy nie przestanie krzyczeć. Minna prędko zabrała dzieci do kuchni, Martha zaś przyniosła brandy i wspólnymi siłami jakoś udało nam się zaprowadzić Irenę do łóżka, choć wciąż nie chciała się uspokoić, dopóki nie obiecałam, że zadzwonię do papy von Letteberga i poproszę, żeby użył swoich wpływów i postarał się pomóc Wilhelmowi.

Jednak w żaden sposób nie mogłam się przebić ani do gabinetu mojego teścia, ani do biura, gdzie pracował Claus. Udało mi się jedynie porozmawiać z szeregiem urzędników, z których każdy powtarzał, że winni próby zamachu zostaną osądzeni przez specjalnie powołany sąd wojenny. Wreszcie zatelefonowałam do rodziców Ireny, którzy przyjechali natychmiast, przywożąc ze sobą lekarza. Doktor pomimo jej stanu zaaplikował jej środki uspokajające; wyjaśnił nam, że jeśli tego nie zrobi, Irena bez wątpienia poroni.

O czwartej po południu przyjechały następne dwa samochody z sześcioma oficerami SS - po trzech w każdym aucie. Kiedy zobaczyłam wśród nich dwie kobiety, od razu zorientowałam się, jaki jest cel ich wizyty.

Zapytali o Irenę, Mariannę i Karoline. Powiedziałam, że Irena jest w ciąży i że jest tak bardzo chora, że obawiamy się o jej życie, jak również o życie dziecka. Ale oni odepchnęli mnie na bok, przytaczając cytaty z Sippenhafta o „winnie krwi”, zupełnie jakby dwie małe dziewczynki albo Irena mogły być skażone czymś, co zrobił Wilhelm.

Weszli na górę, wyrzucili matkę Ireny z pokoju i wyciągnęli moją bratową z łóżka. Frau Adolf wpadła w histerię. Domagałam się, żeby pozwolono mi pójść do Ireny, więc jedna z esesmanek zgodziła się, żebym pomogła jej się ubrać - ale została z nami przez cały czas, trzymając w ręku wycelowany w naszą stronę pistolet. Spytałam, czy naprawdę uważa, że kobieta w zaawansowanej ciąży mogłaby próbować ucieczki, gdy w domu pełno jest esesmanów, ale nic nie odpowiedziała.

Kiedy zeszliśmy na dół, przekazała Irenę w ręce dowodzącego kapitana, a potem razem z drugą esesmanką weszła do kuchni, żeby zabrać dzieci. Obie dokładnie wiedziały, kogo mają szukać. Nawet nie spojrzały na Ericha, tylko wzięły za rączkę Mariannę, podniosły Karoline i wyszły z nimi do holu.

Próbowałam zabrać dziewczynki, tłumacząc, że jestem ich ciotką i że to do mnie, a nie do nich, należy obowiązek zatroszczenia się o żonę i dzieci brata, ale obie zignorowały moje słowa. Powołałam się nawet na nazwisko teścia i Clausa, ale nadaremnie.

Skończyło się na tym, że jeden z oficerów uderzył mnie w twarz, aż zatoczyłam się na schody, i zawołał, że jeśli dalej będę robić takie zamieszanie, to zabiorą także mnie i Ericha, ale najpierw zastrzelą wszystkich domowników.

I wtedy Irena zachowała się równie dzielnie jak Wilhelm. Pocałowała ojca, matkę i mnie, dziękując, że byłam dla niej dobrą siostrą, i poprosiła, żebym zaopiekowała się jej rodzicami, tak samo jak mamą i Erichem, a w przyszłości także dziewczynkami, gdyby przeżyły wojnę - jeśli przed Niemcami w ogóle jest jakaś przyszłość.

Ojciec Ireny i Brunon stali z boku z zaciśniętymi ustami, podczas gdy jej matka, Martha i Minna uderzyły w płacz. Nawet mama wyszła ze swojego pokoju, żeby zobaczyć, co się stało. Poprosiłam Minnę, żeby zabrała ją z powrotem. Wtedy esesmanki zabrały Mariannę i Karoline. Ustawiły obie dziewczynki przed Ireną i kazały im się pożegnać. Widząc ich zdumione buzie, bez trudu mogłam stwierdzić, że ani Marianna, ani Karoline nie rozumiały nawet jednego słowa z tego, co im mówiono.

- Dostaniecie inne nazwiska i imiona, żeby nikt z rodziny nie mógł was odnaleźć. Waszym wychowaniem zajmie się Führer i od tej chwili już nigdy nie zobaczycie swojej matki, ojca ani siebie nawzajem - oświadczyła jedna z esesmanek.

Dla wszystkich było jasne, że to ostrzeżenie było skierowane do nas, nie do dziewczynek. Nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy wyprowadzono je z domu. Czulałam się zupełnie bezradna. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym zrobić lub powiedzieć, żeby zmienić zamiary tych ludzi albo zmiękczyć ich serca. Błagałam, aby Marianna i Karoline mogły zabrać chociaż swoje ulubione lalki, ale tamci nie zgodzili się, by wzięły cokolwiek poza ubraniami, które miały na sobie. Irena powiedziała rodzicom, że ich przeprasza, iż przysporzyła im tyle cierpienia, ale nie mogła postąpić inaczej i nie potępia Wilhelma za to, co zrobił. Potem odwróciła się do mnie.

- Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby pomóc dziewczynkom!

Wyszła z domu z wysoko podniesioną głową i suchymi oczyma, patrząc prosto przed siebie, tak samo jak Wilhelm. Myślałam, że jej zaawansowana ciąża wzbudzi coś w rodzaju współczucia, ale esesmanki wyrwały dzieci z jej objęć i wepchnęły do jednego samochodu, a ją do drugiego. Ostatnie słowa Ireny skierowane do córeczek brzmiały: „Pamiętajcie, kim jesteście i kim był wasz ojciec”.

Gdy samochody ruszyły, lekarz chciał dać mi jakieś tabletki na uspokojenie, ale odmówiłam. Odjechał więc do miasta, zabierając ze sobą państwa Adolf. Dziecko Ireny powinno urodzić się mniej więcej za dwa miesiące. Chyba to niemożliwe, żeby rozstrzelano ciężarną kobietę? Co z nią zrobią? Czy naprawdę zdecydują się rozdzielić dziewczynki? A może je zabiją?

Siedziałam w kuchni przez długi, długi czas, starając się powstrzymać łzy. Trzymałam na kolanach Ericha i nie wiedziałam, co mam robić ani co myśleć. Nie mogłam się doczekać, aż zapadnie zmrok, a ja będę mogła pójść do Saszy i poprosić go o radę. Przez cały czas tłukła mi się po głowie myśl, że złamałam obietnicę daną Wilhelmowi. Jak mogłam stać z boku i przyglądać się, jak SS zabiera jego rodzinę?

Rozdział trzynasty

Wtorek, 25 lipca 1944

Byłam tak rozbita i zrozpaczona, że całkiem zapomniałam o Grunwaldsee, zwalając na Brunona wszystkie sprawy związane z gospodarstwem. W niedzielę czułam, że nie zniosę czyjejkolwiek obecności, więc przez większą część dnia siedziałam w swojej sypialni i czytałam Erichowi bajeczki. Malec wciąż pyta o ciocię Irenę, Mariannę i Karoline. Nie potrafi zrozumieć, czemu ci okropni żołnierze przyjechali i zabrali je daleko stąd. Bez końca powtarza, że przecież dziewczynki wcale nie były niegrzeczne.

Nie umiem go pocieszyć ani znaleźć sił, żeby zajrzeć do mamy. Jestem przekonana, że strażnicy obserwują każdy mój krok, więc trzymam się z daleka od gabinetu papy i od składziku przy stajniach.

Dziś nad ranem Sasza podjął olbrzymie ryzyko. Wymknął się ze strychu, zszedł do naszego schowka, przebiegł przez cały dziedziniec, a potem wspiął się po ścianie na mój balkon. Usłyszałam przez otwarte drzwi, jak szeptem powtarzał moje imię. To było szaleństwo z jego strony. Gdyby dostrzegł go któryś ze strażników, z pewnością zastrzeliliby go na miejscu.

Został ze mną przez resztę nocy, kołysał mnie w ramionach i pozwalał mi płakać, aż na godzinę przed świtem przeprowadziłam go z powrotem przez cały dom do gabinetu i otworzyłam drzwi prowadzące do składziku. Nawet o tak wczesnej porze weszłam tam pierwsza, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma. Nasza wędrówka przez dom była dość niebezpieczna, ale jeszcze bardziej niebezpieczny byłby marsz przez cały dziedziniec.

Zostawiłam tam Saszę i poszłam do kuchni poszukać czegoś do jedzenia. Wróciłam z mlekiem i chlebem, przeznaczonym na dzisiejsze śniadanie dla Ireny i jej dziewczynek. Sasza podał większą część chleba swoim ludziom, ale został jeszcze ze mną, żeby na dole zjeść przypadającą na niego część. Powiedział, że strażnicy nie rozmawiają o niczym innym, tylko o Wilhelmie, Irenie i ich dzieciach, i że nawet oni są wstrząśnięci, że w tak okrutny sposób potraktowano ciężarną kobietę i dwie małe dziewczynki.

Mama von Letteberg przyjechała, kiedy jeszcze siedziałam z Saszą w składziku. Brunon skądś wiedział, gdzie mnie szukać, więc zabębnił pięścią w drzwi. Sasza momentalnie wspiął się na strych i dopiero wtedy otworzyłam. Mia-

łam zapuchniętą twarz i zaczerwienione oczy, więc spodziewałam się, że Brunon i moja teściowa będą przypuszczać, że zamknęłam się w składziku, żeby tam się porządnie wypłakać z dała od reszty domowników.

Nie musiałam niczego mówić mamie von Letteberg; wiedziała o wszystkim. Usiadła obok mnie, czekając, aż przestanę płakać, a potem zamknęła drzwi i powiedziała, że wszystko jedno, ile mnie to będzie kosztowało, muszę się pozbierać i być dzielna. I że jeśli zacznę robić zamieszanie, to Erich, mama i ja także zostaniemy stąd zabrani, tak jak Irena i jej dzieci. Powiedziała również, że pułkownik von Stauffenberg został już rozstrzelany i że dowody przeciwko Wilhelmowi są przytłaczające.

Mówiła też, że jej mąż robi, co może, żeby pomóc Wilhelmowi, aczkolwiek w tej chwili ma bardzo ograniczone możliwości, ponieważ wszyscy oficerowie związani ze Stauffenbergiem lub jego departamentem, a także jeszcze tysiące innych, trafili na przesłuchania i jest tylko kwestią czasu, kiedy prowadzący śledztwo dobiorą się do Clausa i jego ojca z uwagi na ich znajomość ze Stauffenbergiem, a przede wszystkim powiązania z Wilhelmem i ze mną.

Przyjrzałam się jej i bez trudu zauważyłam, że jest tak samo zdenerwowana jak ja, tyle tylko że o wiele lepiej potrafiła ukryć swoje uczucia. Chciałam zapytać, czy papa von Letteberg wiedział wcześniej o planach zamachu na Hitlera i czy on albo Claus należeli do grona spiskowców, lecz zabrakło mi odwagi. Zresztą widzę, że im mniej wiemy o tym wszystkim, tym lepiej.

Mama von Letteberg nie przypuszcza, żeby Hitler odważył się skazać na śmierć ciężarną kobietę i malutkie dzieci, zwłaszcza jeśli noszą stare, poważane nazwisko von Datski. Mam nadzieję, że ona się nie myli i nie mówi tak tylko po to, by dodać mi otuchy. Papa von Letteberg dowiedział się, że Irena jest przetrzymywana w więzieniu dla kobiet niedaleko Berlina, ale nie wolno niczego jej tam przysyłać ani nawet pisać do niej listów. Na razie nie wiedział, dokąd wysłano dziewczynki, ale wątpi, czy będzie nam wolno je zobaczyć albo cokolwiek im przekazać.

Moja teściowa знаła nieco szczegółów. Pułkownik hrabia von Stauffenberg i trzech inni oficerowie zostali rozstrzelani przez pluton egzekucyjny dwudziestego pierwszego lipca krótko po północy na wewnętrznym dziedzińcu gmachu Ministerstwa Wojny. Od chwili, gdy powiedziała, że pułkownik miał szczęście, że spotkała go taka szybka, żołnierska śmierć, wiedziałam, że mój brat także zostanie stracony.

Wilhelm stanie przed sądem, podobnie jak wielu innych oficerów. Führer wydał rozkaz, żeby aresztować wszystkich uczestników spisku, a także ich rodziny, więc Irena, Marianna i Karoline nie były jedynymi, które trafiły do więzienia. Pułkownik von Stauffenberg - albo ktoś z jego otoczenia - skontaktował się z Anglią w celu podjęcia próby zakończenia wojny, ale kiedy Rzesza ogłosiła, że zamach na życie Hitlera zakończył się fiaskiem, BBC podało przez radio listę konspiratorów, więc Hitler dokładnie wiedział, kto przeciw niemu wystąpił. Czy Anglicy nie rozumieli, że chociaż ci oficerowie byli Niemcami, to byli również wrogami Hitlera?

Po pewnym czasie mama von Letteberg przekonała mnie, żebym wyszła ze składziku i wróciła do domu. Tam czekał na nas doktor. Chciał przekazać wiadomość, że państwo Adolf nie żyją. Zostawili list, że nie mogą dłużej żyć ze świadomością tego, co się wydarzyło, po czym obydwójce zażyli truciznę. Doktor sugerował, iż chodziło o hańbę związaną ze zbrodnią, jakiej dopuścił się ich zięć, który próbował obalić i zabić naszego umiłowanego Führera, ale mnie osobiście wydaje się, że do samobójstwa popchnęła ich śmierć Manfreda oraz okrucieństwo wobec córki i wnuczek, którego byli świadkami.

O północy zadzwonił Claus, żeby mi powiedzieć, że wraca na front wschodni i po drodze zajrzy na chwilę do Grunwaldsee. To było wszystko, co powiedział. Bałam się zadawać mu jakiegokolwiek pytania, ponieważ miałam powody przypuszczać, że nasza rozmowa jest podsłuchiwana. Mama von Letteberg już wiedziała o jego przeniesieniu. Spytałam, czy to ma być forma kary dla Clausa, ponieważ jest spowinowacony z jednym z konspiratorów, ale upierała się, że abso-

lutnie nie. Po prostu w Berlinie zrobiło się tak źle i niebezpiecznie, że ojciec postarał się o wysłanie Clausa na front, ponieważ uznał, że obecnie będzie tam bezpieczniej niż w Ministerstwie Wojny.

Pierwszy raz się cieszę, że Claus do mnie przyjeżdża. W tym całym rozgardiaszu, pośród śmierci i okrucieństwa, wydarzyło się coś, co napawa mnie szczęściem. Od ponad miesiąca noszę dziecko Saszy. Z wyjątkiem mnie nikt o tym nie wie, nawet Sasza, ale zamierzam mu powiedzieć jeszcze przed przyjazdem Clausa.

Jeśli uda mi się wmówić mojemu mężowi, że to on jest ojcem, być może będę mogła zatrzymać to maleństwo, przynajmniej na jakiś czas.



Charlotte przymknęła powieki. Znów ujrzała wpatrzona w siebie błękitne oczy Saszy, błyszczące w migotliwym blasku lampy, którą powiesiła w składziku. Od momentu gdy kochali się po raz pierwszy, nie miała przed nim tajemnic, ale powiedzenie tego, co przecież powinno być radosną nowiną, nagle wydało się jej strasznie trudne.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - wyszeptała w końcu.

- Wiem, o co chodzi - odparł ze spokojem.

Ta nagła zmiana w jego nastroju przyprawiła ją o niepokój.

- Skąd wiesz?

Ciepło i intymność rozplynęły się bez śladu. Sasza odsunął się i sięgnął po koszulę, którą Charlotte zerwała z niego w miłosnym uniesieniu. To była jedna z koszul Paula, wielokrotnie przez nią cerowana.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak.

Nie pozwalając mu, aby się od niej odsunął, ukłękła i ciasno opłotła go ramionami.

- Podśluchałem, jak Brunon rozmawiał z Mariusem, że trzeba dopilnować, żeby siodło do jazdy na siwym ogierze było porządnie wyczyszczone, ponieważ jutro spodziewają się przyjazdu twojego męża.

Odczuła jego ból tak dotkliwie, jakby to był jej własny.

- Nie masz powodu być zazdrosny o Clausa.

Sasza zwiesił głowę i zrozumiała, że jest mu wstyd.

- Nie mogę znieść myśli, że będziesz leżeć w jego ramionach, że będzie cię całował, pieścił, kochał się z tobą...

- Nie będę leżeć w ramionach Clausa! - zawołała z uniesieniem, obejmując go jeszcze ciaśniej. - Nie kocham się z nim, nigdy nie będę kochać się z nim tak, jak kocham się z tobą! Ale...

- W tym domu jestem jedynie więźniem, niewolnikiem, nikim i niczym - przerwał jej szorstko. - A Claus von Letteberg to arystokrata, a ty jesteś jego żoną...

- Noszę pod sercem twoje dziecko.

Miała zamiar wybrać lepszy czas, żeby mu o tym oznajmić. I zamierzała zrobić to o wiele delikatniej. Nawet ćwiczyła słowa, których chciała użyć.

Sasza odwrócił się i na nią popatrzył. Ujrzała w jego oczach szok, strach i coś jeszcze.

- Mam w sobie dziecko, twoje dziecko - powtórzyła cicho, bo nagle sobie uświadomiła, że jedynie sufit z cienkich desek oddziela ich od śpiących na strychu mężczyzn.

- Kiedy... Kiedy ono się urodzi?

Nie potrzebowała czasu na przeprowadzanie obliczeń. Od miesiąca nie robiła nic innego, odkąd jej podejrzenia zamieniły się w pewność.

- Na wiosnę. Przy końcu marca albo na początku kwietnia.

Rzucił koszulę na podłogę i z powrotem opadł na siano.

- Czy masz zamiar wmówić Clausowi, że to jego? - zapytał, podnosząc na nią wzrok.

- Owszem. Nie teraz, ale za miesiąc lub dwa. Czy mam jakiś wybór? - zapytała błagalnym tonem.

Marzyła, by Sasza dał jej nadzieję, że może być inaczej; że uciekną stąd i rozpoczną całkiem nowe życie gdzieś z dala od Niemiec i Rosji. Lecz od razu wiedziała, że daremnie się ludzi, jeszcze zanim ta myśl przybrała swój ostateczny kształt.

- Nie mamy wyboru, dopóki szaleje wojna. Ale kiedy wreszcie się skończy...

Rozumiała, czemu pozostawił resztę zdania niedopowiedzianą. Nie było sensu rozpoczynać wcześniej tego tematu.

- Wojna się skończy - powiedziała ze smutkiem. - Tyle tylko, że jeśli nie nastąpi to wkrótce, zabraknie nam ludzi, żeby ją prowadzić.

- Jeśli Rosja zwycięży, wrócę do domu i zabiorę stąd ciebie i Ericha - obiecał pochopnie.

- I gdzie nas zawieszysz? Do swojej żony?

Zmusiła się do uśmiechu, żeby osłodzić jakoś gorycz tych słów; z drugiej strony jednak chciała przypomnieć Saszy, że on również nie był wolny.

- A jeśli to Niemcy wygrają tę wojnę? - spytał.

- Wrócą nasi mężczyźni.

- Nie będzie ich wystarczająco dużo, żeby mogli sami wykonać całą pracę. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się tu zostać, oczywiście nadal w charakterze więźnia i niewolnika, ty zaś i moje dziecko będziecie mieszkać z Clausem von Lettebergiem. Jeśli zaś szczęście mnie opuści, to...

- Sasza, przestań!

Nie mogła znieść myśli, że coś miałyby ich rozdzielić.

- Wiesz przecież, że cię kocham.

- A nasze dziecko?

- Nasze dziecko urodzi się z wielkiej miłości. Będę się nim opiekować, kochać je i chronić ze wszystkich sił. Proszę, Sasza, czy to ci nie wystarczy? Ta wojna zabrała mi już tylu bliskich - papę, Paula, a teraz Wilhelma, bo jego śmierć wydaje się przesądzona. Tak wielu przyjaciół i ludzi, których kochałam, odeszło na zawsze. A jeśli chodzi o Irenę i dziewczynki, to chyba jeszcze gorzej jest nie wiedzieć, co się z nimi dzieje. Każdej nocy wyobrażam sobie, jak je torturują, jak płaczą i błagają mnie, żeby je ratować...

Pociągnął ją na siebie. Charlotte bez wahania złożyła głowę na jego piersi, Sasza zaś zaczął głaskać jej włosy.

- Charlotte, chyba wiesz, że to dziecko nie zajmie ich miejsca.

- Wiem. - Miała wrażenie, że jakaś stalowa pięść zacisnęła się wokół jej serca. - Nikt ich nie zastąpi.

Sasza spojrział jej prosto w twarz i uśmiechnął się tym leniwym uśmiechem, który tak bardzo kochała.

- Nasze dziecko nie zajmie ich miejsca. Ale przyniesie nadzieję na lepszą przyszłość... Naszą przyszłość.

Była tak przerażona, że niemal bała się zadawać pytania.

- A co teraz?

- Wykorzystamy każdą sekundę każdej minuty. Będziemy kochać się tak mocno, jak dotąd nie kochali się żaden mężczyzna i żadna kobieta - powiedział, przesuwając palcami po jej nagim ciele. - Będę wdzięczny za każdy dzień, w którym mogę obserwować, jak nasze dziecko rośnie w tobie. I mieć nadzieję, że los pozwoli nam być razem, kiedy ono się narodzi.

Charlotte odłożyła pamiętnik na nocny stoliczek, podniosła się z łóżka i otworzyła drzwi balkonowe. Nad jeziorem wstawało słońce, przebijając się przez poranną mgłę, która w chmurkach wisiała nad wodą i okrywała miękkim welonem las, dokładnie tak samo jak w inne, dawno minione letnie poranki.

Wróciła do pokoju, zabrała szal i pamiętnik, a potem usiadła przy stoliku na balkonie, rozkoszując się pięknym widokiem, który nigdy nie zatarł się w jej pamięci. Drzewa, trawa, kwiaty, nawet łabędzie, ślizgające się po jeziorze na grzbietach drobnych fal... Wszystko wyglądało zupełnie tak jak wtedy, kiedy jeszcze mieszkała w Grunwaldsee. I gdyby jakimś cudem Paul i Wilhelm mogli stanąć obok niej, na pewno także rozpoznaliby swój ukochany kraj.

Czy kiedykolwiek przestała opłakiwać swoich braci? Biedny Paul i nieszczęsny Wilhelm... Zadrżała, choć od tamtej pory upłynęło już tak wiele lat. Dopiero po wojnie dowiedziała się pełnej prawdy.

Chciała jechać do Berlina, by podczas procesu być przy Wilhelmie, ale generał von Letteberg przekonał ją, żeby tego nie robiła. Mówił, że to doświadczenie jest dla jej brata wystarczająco upokarzające i ciężkie, nawet bez jej obecności. Napisała więc list, w nadziei, że uda się go jakoś przemycić do więzienia, w którym trzymano Wilhelma. Jej brat został pozbawiony stopnia oficerskiego i wydalony z armii, a potem poddany czemuś, co gestapo nazywało intensywnym przesłuchaniem, a co okazało się wyrafinowanym określeniem zwykłych tortur.

Razem z innymi spiskowcami cierpiał przez trzy tygodnie, nie wydając nikogo poza tymi, o których wiedział na pewno, że już zostali straceni. Potem stanął przed Trybunałem Ludowym. Sędziowie wydali nieuchronny wyrok śmierci. Wilhelmu nie było dane umrzeć śmiercią żołnierza, tak jak umarł jego dowódca. Rozebrany do naga zawisł na fortepianowej strunie przymocowanej do rzeźnickiego haka, w jednej z ponurych cel więzienia w Ploetzensee.

Naoczny świadek potwierdził, że Wilhelm umierał przez pełne dwadzieścia pięć minut, ponieważ - podobnie jak w wypadku brata pułkownika Stauffenberga - dwukrotnie zdejmowano go i przywracano do życia, a potem wieszano ponownie.

Rankiem w dniu egzekucji Wilhelmu pokazano dokumenty podpisane przez Gretę, gdzie wypierała się wszelkich rodzinnych związków z nim oraz nazywała go zdrajcą, który okrył hańbą nazwisko von Datskich. Jednak Charlotte od razu zreflektowała się, że przecież Wilhelm z pewnością nie spodziewał się po Grecie niczego innego.

Teść dał jej słowo, że tych kilka słów, jakie napisała do Wilhelma, dotarło do jego rąk. List był krótki i wzruszający w swojej prostocie: „Kocham Cię, mój najdroższy bracie. Jestem i zawsze będę z Ciebie dumna”.

Otworzyła pamiętnik i odwróciła kartki aż do końca, bo tam, za obwolutą okładki, znajdował się ostatni list Wilhelma. Rozłożyła go i łzy napłynęły jej do oczu - jak zawsze, gdy patrzyła na znajomy charakter pisma.

Żałuję jedynie tego, że nam się nie udało, i że Irena, dzieci, Ty i Mama będziecie przeze mnie cierpieć. Mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczycie mi to, co zrobiłem, i zrozumiecie, dlaczego dla dobra Niemiec musiałem poświęcić nawet własną rodzinę.

Twój kochający brat

Wilhelm

Pragnęła mu powiedzieć, że zrozumiała wszystko już siedem miesięcy później, i z całej duszy i serca żałowała, że pułkownik von Stauffenberg i jego spiskowcy nie odnieśli sukcesu.

Charlotte przerzuciła kilka kolejnych stron pamiętnika. Stopniowo wpisy stawały się coraz rzadsze i coraz mniej regularne, a przerwy między nimi trwały całe tygodnie, nie zaś kilka dni. To prawda, że Grunwaldsee zajmowało jej sporo czasu, ale tak samo było już wcześniej i to nie powstrzymywało jej od przelewania swoich myśli na papier. Obecnie powstrzymał ją strach. Wszechobecny, ścinający krew w żyłach strach, który zatrzymywał jej godziny czuwania, a sny prze-

mieniał w paraliżujący koszmar. I bynajmniej nie chodziło jej o siebie, lecz po tym, co spotkało Wilhelma, Irenę i ich dzieci, bała się o los synka, matki, Saszy - i nienarodzonego maleństwa.

Niegdyś otwarta i przyjaźnie nastawiona do świata teraz stała się nieufna i podejrzliwa i w ten sposób traktowała każdego, kto zjawiał się w Grunwaldsee - wszystko jedno, obcego czy przyjaciela. Szpiedzy kręcili się wszędzie, a udział brata w spisku nazaczył całą rodzinę piętnem zdrajców.

Któregoś dnia zadzwonił do niej komendant obozu dla jeńców wojennych, żeby powiedzieć, że zmuszony jest wymienić strażników, którzy pilnują więźniów, ponieważ na froncie potrzebują każdego zdolnego do noszenia broni żołnierza. Od razu wyczuła, że jakakolwiek dyskusja mija się z celem, więc nawet nie próbowała protestować. Zresztą nie w tym rzecz, że lubiła dawnych strażników; po prostu mieszkali w Grunwaldsee wystarczająco długo, żeby wszyscy zdążyli się do nich przyzwyczaić. Kiedy zaś przyjechali ich zmiennicy, z nostalgią zaczęła wspominać tamtych trzech kaprali i żałowała ich niemal tak, jakby byli jej przyjaciółmi.

Dwaj nowi okazali się okrutnymi, zgorzkniałymi kalekami, którzy mieli protezy zamiast nóg. Obaj uwielbiali bić batem więźniów i upokarzać ich na każdym kroku. Trzeci był chłopcem, jeszcze zbyt młodym, by się golić, ale zdaniem władz wystarczająco dorosłym, żeby nosić karabin. Był jeszcze czwarty - boleśnie chudy, wiecznie kaszlący gruźlik, który większość czasu spędzał, stojąc w oknie stróżówki i śledząc każdy krok Brunona, Mariusa, Minny, Marthy i Charlotte. A jeśli któreś z nich odwróciło się, żeby odwzajemnić jego spojrzenie, nie omieszkwał zapisać tego w małym notesie.

Wydawało się oczywiste, że został tu przysłany wyłącznie po to, aby ich szpiegować. Jednak podczas tych mrocznych dni umierającego lata pozostała jej jedna, jedyna pociecha - Sasza. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło później, a co kazało jej zwątpić w prawdziwość jego uczuć i motywów, jakimi się kierował, tego lata szczerze wierzyła, że Sasza martwi się o nią i ich nienarodzone dziecko.

Wróciła z pamiętnikiem do pokoju, kopnięciem zrzuciła pantofle i położyła się do łóżka. Oparła się na poduszkach, a potem znów przywołała wspomnienia.

Powrócił błękit tamtego nieba; długie, gorące dni przepracowane w polu i ciepłe wieczory, które spędzała w składziku za stertą siana. Nawet jeśli Brunon domyślał się, dlaczego Charlotte kazała zwozić siano do stajni zamiast do stodoły, to nigdy nie podał w wątpliwość jej poleceń.

I znów widziała Saszę... Saszę, który całymi dniami pracował jak niewolnik, a podczas tych kradzionych wieczorów kołysał ją w ramionach; który podzielał jej uczucia i brał na siebie ciężar żałoby po ojcu, braciach i przyjaciółach; który obiecywał, że natychmiast po zakończeniu wojny pomoże jej szukać Ireny i dziewczynek.

Wystarczyło, że poczuła woń świeżo skoszonej trawy, żeby przenieść się z powrotem w tamte dni, które pomimo udreki, żalu i niepewności, pozostały najbardziej namiętym i intensywnie spędzonym okresem w całym jej życiu.

Wtorek, 17 października 1944

Niemcy pogrzyżyły się w żałobie. Feldmarszałek Rommel nie żyje. Radio i gazety podają, że zginął przed trzema dniami, gdy jego samochód został ostrzelany przez samoloty RAF-u, ale Brunon słyszał w Allenstein plotki, że on także był zamieszany w spisek Stauffenberga.

Po egzekucji Wilhelma przelożona szpitala w Bergensee poprosiła mnie, żebym przestała tam przyjeżdżać. Z pewnością dostała taki rozkaz od któregoś z wyższych urzędników, bo przez całą rozmowę wydawała się bardzo skrepowana i nawet ośmieliła się powiedzieć, że gdyby to od niej zależało, nadal wpuszczałaby mnie do pacjentów. Ale kapral, który był dowódcą straży, podsłuchał jej słowa i bez ogródek mnie poinformował, że władze uznają za niewskazane, żeby siostra zdrajcy przychodziła do instytucji wojskowej.

Rzadko wybieram się do miasta, zresztą nie bardzo jest po co, bo w sklepach nie ma już dosłownie nic, ale kiedy tam pojedę, widzę, że ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy, byle się ze mną nie witać. Dziewczęta, które uczęszczały ze mną do szkoły, matki chłopców należących do Hitlerjugend wraz z Paulem i Wilhelmem, nawet doktor i jego żona, którzy od niepamiętnych czasów przyjaźnili się z mamą i papą - wszyscy boją się rozmawiać ze mną publicznie.

Tyłu ludzi zostało aresztowanych i straconych - generałów, pułkowników, wyższych urzędników - a wszyscy szanowani, z arystokratycznych rodzin, mądrzy i zdolni i na taką stratę Niemcy absolutnie nie powinny sobie pozwolić. Teraz zastanawiam się, czy papa rzeczywiście umarł na atak serca. Przecież Führer nienawidził masonów, a wielu ludzi wiedziało o nieostrożnych decyzjach papy z okresu młodości, tak samo jak o jego krytycznym stosunku do wojny.

Kiedy umarł, sądziłam, że ta strata jest czymś najgorszym, co mogło mi się przytrafić, a teraz, po niecałych czterech latach, oplakuję nie tylko jego, ale także Paula i Wilhelma. Została tylko Greta i ja, bo mama, chociaż ciałem jest wśród nas, duchem od dawna przebywa z papą i chłopcami. Jeśli zaś chodzi o Gretę... Przed rokiem nie sądziłam, że mogę ją zniechęcić jeszcze bardziej. Teraz nienawidzę jej z całego serca.

Upłynęło już siedem tygodni od egzekucji Wilhelma. Wciąż nie mamy oficjalnych wieści na temat Ireny. Wiem, że papa von Letteberg musiał się mocno natrudzić, żeby zostawiono w spokoju Ericha, mamę i mnie. Przyjechał osobiście z Berlina aż do Grunwaldsee, by powiadomić mnie o śmierci Wilhelma, ponieważ nie chciał, żebym usłyszała tę wiadomość z ust kogoś obcego. Mojemu bratu odmówiono prawa do honorowej śmierci przed plutonem egzekucyjnym. Został powieszony jak zwykły kryminalista!

Błagałam teścia, żeby powiedział mi wszystko, co wie o śmierci Wilhelma. Rozmawiał z jednym z żołnierzy, który był świadkiem egzekucji; wszyscy obecni zgodnie twierdzili, że Wilhelm umierał niezwykle odważnie. Nigdy w to nie wątpiłam, chociaż sama myśl o zdrowym i silnym młodym mężczyźnie - nie wspominając o tym, że był moim ukochanym bratem - który rozmyślnie zostaje zabity w samym rozkwicie młodości, wywołuje we mnie obrzydzenie. Ktoś, kto w jednej chwili jest żywym człowiekiem, w następnej staje się niczym.

Wilhelm odmówił wyjawienia nazwisk spiskowców i aż do końca obstawał przy tym, że o zamachu na życie Hitlera wiedzieli tylko ci, którzy już zostali straceni, i że żadna kobieta, włącznie z żoną, matką i siostrami, nie przeczuwała nawet, co planują on i jego towarzysze.

Niedługo potem otrzymałam list od Grety - wcześniej otwarty na poczcie, tak samo jak cała korespondencja przychodząca do Grunwaldsee. W kopercie znajdowała się kopia oświadczenia wysłanego do naczelnego dowództwa, w którym Greta nie tylko potępiała czyny Wilhelma, ale nawet wypierała się wszelkich łączących ich związków.

Nikt nie wymagał ode mnie napisania czegoś podobnego, więc sądzę, że moja siostra podjęła tę decyzję z własnej woli, żeby zdystansować się od tego, co sama nazwała „zbrodniczą zdradą Wilhelma von Datskiego”. Ale ona zawsze miała nadmiernie rozwinięty instynkt samozachowawczy. Jak zwykły mawiać Paul: „Greta w każdej sytuacji stawia siebie na pierwszym miejscu, drugim, trzecim i tak aż do ostatniego”.

Z kolei do mnie napisała, że skoro Paul i Wilhelm nie żyją, i nie zostawili po sobie żadnych prawowitych dziedziców, na których nie ciążyłoby piętno zdrady - zupełnie jakby biedne Marianna i Karoline mogły zostać uznane za przestępczynię - to zgodnie z prawem Grunwaldsee należy teraz do niej jako do najstarszej żyjącej córki naszego papy, i że ona oraz Helmut zamierzają się tu przeprowadzić i zamieszkać po ślubie.

Byłam tak wściekła, że natychmiast spaliłam obydwa listy. Mam nadzieję, że Greta okaże się wystarczająco rozsądna, żeby trzymać się z dala od Grunwaldsee, bo nie odpowiadam za siebie, jeśli choćby spróbuje przekroczyć próg tego domu. Jeżeli nasz majątek należy do kogokolwiek, to tym kimś są Marianna i Karoline oraz syn Wilhelma, gdyby dziecko Ireny okazało się chłopcem. Zamierzam dopilnować, żeby to spadkobiercy Wilhelma odziedziczyli posiadłość, a nie Greta i ten jej salonowy piesek, którego nazywa narzeczoną.

Nie potrzebowałam ostrzeżeń papy von Letteberga, by się zorientować, że wszystkie drogi wiodące do Grunwaldsee są pod ścisłym nadzorem. Gdybym mogła wysłać stąd Ericha, na pewno bym to zrobiła, ale do kogo? Mama von Letteberg wydaje się najlepszą osobą, lecz podczas ostatniej wizyty powiedziała mi, że coraz bardziej niepokoją ją powtarzające się plotki o fali następnych aresztowań. Wyraźnie obawia się, że jej mąż może się znaleźć w więzieniu, a jeśli tak się stanie, to ani ona, ani nikt mieszkający razem z nią nie będzie bezpieczny. Drzę na samą myśl, że mogłabym stracić Ericha, tak jak straciłam Mariannę i Karoline.

Staram się nie myśleć, jak będą wyglądały moje bratanice po miesiącach albo latach spędzonych w obozie lub państwowym sierocińcu, zakładając, że w ogóle *przeżyją* i że po wojnie uda mi się je odnaleźć. Zanim Claus powędrował z powrotem na front, spotkaliśmy się na krótko w dzień - oraz w nocy, co było absolutnie niezbędne z powodu dziecka, które noszę w łonie - i jestem przekonana, że on sam nie miał nic wspólnego z tym zamachem, nawet jeśli jego ojciec brał udział w spisku.

Starając się o natychmiastowe przeniesienie Clausa na front zaraz po egzekucji pułkownika von Stauffenberga, mój teść upierał się, że Rosja jest teraz bezpieczniejszym miejscem niż Berlin. Ale z ostrożnych wzmianek w listach mamy von Letteberg wiem, że po namyśle doszedł do innych wniosków. Krążą pogłoski, że już nie ma czegoś takiego jak rosyjski front; linia frontu przesunęła się do Polski, a armia wroga gromadzi się na granicy Prus Wschodnich i Białorusi.

Przy końcu września napisałam do Clausa, żeby powiadomić go, że po raz drugi zostanie ojcem. W tym samym czasie zadzwoniłam do mamy von Letteberg i powiedziałam, że znowu jestem w ciąży. Udawała, że się cieszy, jednak bez trudu wyczułam, że moja wiadomość będzie dla niej kolejnym powodem do niepokoju. Brzemienna kobieta jest bardziej podatna na wszelkie ciosy, co zawsze można wykorzystać przeciwko generałowi von Lettebergowi, jeśli jakoś uda im się wplątać go w lipcowy zamach stanu.

Brunon powiedział mi, że słyszał plotki, że do więzień i obozów trafiły tysiące krewnych spiskowców - włącznie ze starcami, dziećmi i niemowlętami. Mam tylko nadzieję, że Irena, Marianna i Karoline wciąż żyją i przebywają w jakimś miejscu, w którym warunki nie są zbyt ciężkie dla kobiet i dzieci. Ale wobec braku jedzenia dla cywilów boję się myśleć, jak karmieni są więźniowie. Racje żywnościowe strażników obcięto o połowę, choć teraz jest ich czterech zamiast trzech, a dla naszych rosyjskich jeńców od paru miesięcy nie dostaliśmy dosłownie niczego.

Nic dziwnego, że komendant obozu co tydzień do mnie telefonuje, żeby zapytać, czy potrzebuję następnych pracowników. Brunon mówi, że oficjalna polityka władz zakłada, że rosyjscy więźniowie powinni zostać zagłodzeni na śmierć. Nowi strażnicy z uporem twierdzą, że jeńcom na cały dzień wystarczy talerz wodnistej zupy. Każdego dnia dziękuję Bogu za tamte ukryte drzwi do schowka, choć teraz musimy zachować najwyższą ostrożność. Ludzie Saszy wyglądają tak dobrze, że dla wszystkich jest oczywiste, że muszą dostawać dodatkowe jedzenie, więc strażnicy wpadają na strych o każdej porze dnia i nocy, by przeprowadzać rewizję i przyłapać ich na gorącym uczynku. Dotąd jednak szczęście nam sprzyja.

Jeśli Irena jeszcze żyje, to do tej pory powinna była już urodzić dziecko. Mam nadzieję, że to chłopiec, by nikt więcej nie kwestionował, kto powinien odziedziczyć Grunwaldsee - oczywiście jeśli w ogóle zostanie coś do odziedziczenia. Niemal wszystkie nasze konie zostały zarekwirowane przez armię. Brunonowi udało się ukryć kilka na sąsiednich folwarkach, w tym moją Elise; podejrzewamy, że cała reszta od razu trafiła do rzeźni.

Razem z Brunonem i Mariusem zaszlachtowaliśmy wczoraj parę świń; zrobiliśmy to w najgłębszej tajemnicy, nad rzeką, żeby strażnicy nie zauważyli, co robimy, i żeby można było od razu zmyć ślady krwi. Następnie posoliliśmy ćwiartki mięsa i ukryliśmy w piwnicy, za stojakami z winem papy. Gdybyśmy tego nie zrobili, nie byłoby co jeść. Tygodniowy przydział chleba został wczoraj obniżony o kolejne dwieście gramów. To bardzo zła wiadomość dla nas, ale jesz-

cze gorsza dla Saszy i pozostałych więźniów. Mamy tak mało jedzenia dla siebie i dzieci mieszkających w majątku, że z coraz większym trudem udaje mi się znaleźć cokolwiek, co można przemycić na strych.

Nie wiem, jak udałoby mi się przeżyć kilka ostatnich miesięcy, gdyby nie miłość Saszy i wsparcie, jakie od niego otrzymuję. Każdej nocy trzyma mnie w ramionach, gdy wypłakuję sobie oczy z tęsknoty za papą, Paulem i Wilhelmem, z żalu za Ireną i jej dziećmi i z powodu naszej niedoli.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek sierpień był aż tak gorący. W szczycie upałów Sasza przed świtem wykradał się ze strychu. Na palcach przemycaliśmy przez dom, żeby powędrować przez las do letniego domku i tam wykąpać się w jeziorze.

To szaleństwo z naszej strony podejmować tak wielkie ryzyko, ale po tym, co zdarzyło się z Wilhelmem i Ireną, wspólnie spędzony czas wydaje się jeszcze cenniejszy niż dotąd. Kto wie, ile nam jeszcze zostało? Niebezpieczeństwo nie wydaje się nam tak istotne jak to, żeby być ze sobą każdą chwilę, dopóki to możliwe.

Teraz już zawsze towarzyszyć mi będą wspomnienia, jak pływałam razem z Saszą pod gwiazdami, jak leżałam nago w jego ramionach na brzegu, obserwując księżyc, który powoli zanurzał się w niezmierzonej przestrzeni niebios. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy, tak samo jak nigdy nie zapomnę Saszy. Zupełnie jakby udało się nam zamrozić tę chwilę w bryłkę lodu. Przez dłuższy czas nic nie drgnęło. Ciszy nie zmącił nawet najłżejszy podmuch wiatru. Panował całkowity bezruch, całkowity spokój; już prawie zdążyłam pomyśleć, że jesteśmy jedynymi żywymi istotami w świecie wyciętym z kartonu.

Poza nami nie istniało nic, aż w pewnej chwili nad naszymi głowami rozległ się krzyk jakiegoś ptaka, a zaraz potem lekki podmuch zmarszczył gładką dotąd powierzchnię jeziora. Ten ptak zniszczył nasz czarodziejski świat, ale mimo wszystko chciałam jeszcze zostać, aż nadejdzie świt. Jednak Sasza zaczął się niepokoić - nie o siebie, bo nigdy nie troszczył się o siebie, tylko jak zawsze o mnie.

Dostaliśmy się do domu przez uchylone okno balkonowe przy sali balowej, a potem poprowadziłam go korytarzem do drzwi prowadzących do schowka. Przez cały czas nie mogłam opędzić się od myśli, co by się stało, gdyby zauważył nas któryś ze strażników. Ci nowi zażądali, żeby udostępnić im klucze do domu, i robią z nich użytek, gdy tylko przyjdzie im na to ochota, we dnie i w nocy, i zawsze mają przy sobie pistolety. Myślę, że najpierw zastrzeliliby Saszę, a potem mnie.

Znów odezwał się we mnie dziecięcy lęk przed śmiercią. Przez całe tygodnie po śmierci babci budziłam się z krzykiem, dręczona nocnymi koszmarami, chociaż miałam wówczas zaledwie pięć lat. Wreszcie papa i Greta stracili cierpliwość. Nawet mama nie wykazała zrozumienia dla moich dziecięcych strachów - a może wręcz przeciwnie? Może każdy w głębi serca żywi te same obawy. Przeraza go myśl o ciele zjadanym przez robaki i larwy, o stoczeniu się w czarną nicość, gdzie przestaje się cokolwiek czuć i myśleć.

Wierzę, że Paul i Wilhelm rozumieli moje obawy. Teraz, po tym wszystkim, co przeżyłam, odkąd zaczęła się wojna, myślę o śmierci zdecydowanie za często, żeby mogło to wyjść na dobre mnie i Erichowi.

Mam nadzieję, że po śmierci istnieje coś jeszcze. Jakieś życie, choć z pewnością nie takie, jakie znamy na tej ziemi. I że tam bliźniacy spotkali się z papą i Marią, z Peterem i Manfredem, i że pewnego dnia wszyscy będziemy tam znowu razem. Ale nawet przez chwilę nie wierzę, że jeśli rzeczywiście istnieje takie życie, to ma ono cokolwiek wspólnego z Wszystkowidzącym, Wszystkowiedzącym i Miłosiernym Bogiem. Żaden Bóg nie powinien był pozwolić na tak straszne rzeczy, jakie się wydarzyły, ani na to, żeby cierpiały niewinne dzieci zamieszkujące wszystkie zakątki Europy.

Jeśli strażnik strzeli do mnie i do Saszy, to czy śmierć rzeczywiście nastąpi szybko? Czy pocisk trafiający człowieka w głowę naprawdę zabija tak bezboleśnie, jak utrzymują żołnierze? Zakładając, że nie zginę od razu, to z pewnością poczuję ogromny ból. Czy na parę chwil przed śmiercią będzie mi towarzyszyć świadomość zbliżającego się końca?

Nie chcę, żeby tak się stało, ale równie mocno nie chcę żyć bez Saszy. On się upiera, że nawet jeśli zdarzy się najgorsze, to ja muszę przetrwać, bo zbyt wiele osób liczy właśnie na mnie. Bo mam zobowiązania wobec Ericha, nienarodzonego jeszcze dziecka, wobec córek Ireny i Wilhelma, mamy, Minny, Brunona i jego rodziny - oraz wobec niego. Im dłużej rośnie maleństwo w moim łonie, tym bardziej Sasza się upiera, że mamy przed sobą wspólną przyszłość. Jednak ja nie jestem taka pewna i boję się pytać, jak i gdzie on sobie wyobraża to nasze wspólne życie.

Czwartek, 19 października 1944

Wczoraj wszyscy mężczyźni pomiędzy szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia zostali powołani do formacji w rodzaju straży obywatelskiej. Führer osobiście wygłosił płomienne przemówienie, przeklinając jednocześnie naszych sojuszników za odstępstwo. Postawił sprawę jasno, że teraz Niemcy muszą samotnie stawić czoło żydowskiemu wrogowi, którzy walczą z nami pod sztandarami różnych krajów.

Byłam zupełnie zdruzgotana, nie tylko dlatego, że potwierdziły się nasze najgorsze obawy dotyczące wojny - bo akurat tego się spodziewałam - ale z powodu utraty Brunona. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bez jego pomocy dam sobie radę z prowadzeniem majątku. Brunon otrzymał już rozkazy razem z dokumentem podróży do Königsbergu. Martha szaleje z niepokoju. Obiecałam Brunonowi, że zaopiekuję się jego żoną i synem; mam nadzieję, że uda mi się dotrzymać obietnicy, inaczej niż w wypadku tej, którą złożyłam Wilhelmowi. Dzięki Bogu, że Marius ma dopiero trzynaście lat.

Dziś rano nadszedł list od Clausa. Został nadany „gdzieś w Polsce”. Claus cieszy się, że spodziewam się dziecka, i sugeruje, że gdyby urodził się chłopiec, to żeby dać mu na imię Peter, na pamiątkę po jego bracie. Zastanawiam się, czy w ogóle pamięta, że Erich ma na drugie imię Peter. Ja jednak już postanowiłam - jeśli to będzie syn, nazwę go Wilhelm Paul. Wiem, że mój mąż nigdy by na to nie pozwolił, ponieważ to by wyglądało na formę uczczenia pamięci Wilhelma za jego współudział w spisku.

Zresztą cóż wspólnego ma Claus z tym dzieckiem? Przyzwolenie na to, by mnie dotknął, kiedy przyjechał tu na swoją ostatnią przepustkę, było jedną z najtrudniejszych decyzji, jaką musiałam podjąć w całym swoim życiu. Ciężar jego nagiego ciała przyprawiał mnie o mdłości - zwłaszcza po tym, jak kochałam się z Saszą. Kiedy Claus jest daleko, tak łatwo mi udawać, że to Sasza jest moim prawdziwym mężem; jednak zawsze to tylko udawanie i być może nigdy nie będzie niczym więcej... Nie, nie chcę myśleć w ten sposób. Po prostu nie chcę.

Noce stopniowo stają się coraz chłodniejsze. Spędzam z Saszą w schowku tyle czasu, na ile mogę się odważyć. Staramy się zapomnieć o wojnie, ale oboje czujemy, że niebawem nastąpi jakaś zmiana. Rosyjskie wojska gromadzą się na naszej wschodniej granicy i coraz częściej słychać głosy, że jeńcy muszą zostać przeniesieni bardziej na zachód. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez Saszy.

Środa, 8 listopada 1944

W zeszłym miesiącu Rosjanie wkroczyli do Prus Wschodnich i urządzili masakrę kobiet i dzieci w małej wiosce o nazwie Nemmersdorf, tuż pod Königsbergiem. W gazetach pełno było okropnych zdjęć ukrzyżowanych ludzi i trupów z wyprutymi wnętrznościami albo dzieci spalonych żywcem. Żałuję, że to widziałam, bo teraz mam przed oczyma obraz Ericha, Marianny i małej Karoline, zamordowanych tak samo jak tamte biedactwa.

Sasza powiedział, że tamte fotografie mogą być zwykłą propagandą, ale nawet jeśli tak jest, to nie należy oczekiwać, że Rosjanie po wkroczeniu do Prus Wschodnich będą traktować łagodnie niemieckich żołnierzy czy cywilów, zwłaszcza po okrucieństwach, jakich dopuszczała się wcześniej nasza armia.

Ludzie ze wschodniej części kraju na wszelki wypadek próbują rezerwować pokoje w hotelach w Allenstein, ale policja nakazuje właścicielom odmawiać zakwaterowania. Nasz Gauleiter, Erich Koch, uporczywie twierdzi, że Rosjanie zostaną odepchnięci. Wszyscy dostaliśmy rozkaz, żeby pozostać w domach, nawet ci, którzy mieszkają blisko polskiej i rosyjskiej granicy, a także cywilna ludność Königsbergu, który jako nasza stolica prawdopodobnie stanie się celem pierwszego ataku rosyjskich wojsk.

Czy to prawda, że Rosjanie zostaną odepchnięci? Czy Brunon jest bezpieczny? Odkąd wyjechał z Grunwaldsee, Martha dostała od niego tylko jeden list, jeszcze w zeszłym miesiącu. A może jednak Rosjanie wkroczą do Prus Wschodnich? Co będzie z nami, jeśli tak się stanie? Boję się nawet o tym pomyśleć.

Rozdział czternasty

Wtorek, 26 grudnia 1944

To najbardziej ponure Boże Narodzenie, jakie pamiętam. Martha, Minna i ja starałyśmy się urządzać je specjalnie dla Ericha, Mariusa i dzieci z majątku, ale żadna z nas nie miała nastroju do świętowania. Tym razem mój teść nie mógł się wyrwać z Berlina, a mama von Letteberg nie chciała go zostawić samego.

Wiem z plotek, które Marius przywozi z miasta, że gestapo wciąż aresztuje podejrzanych o związek ze spiskiem von Stauffenberga. Mama von Letteberg boi się pewnie, że jej mąż może zostać w to zamieszany. Alianci bombardują niemieckie miasta i posuwają się naprzód we Włoszech i we Francji; niektórzy ludzie mówią nawet, że niemieckie miasta leżące na zachodnich granicach już znajdują się w rękach wroga. To szaleństwo. Alianckie wojska okrążają Niemcy ze wszystkich stron, nasze władze zaś zajmują się wsadzaniem do więzień i mordowaniem własnych oficerów, podczas gdy każdy z nich jest potrzebny, żebyśmy mogli walczyć z naszymi przeciwnikami.

Dziś rano poszłam do kościoła i udawałam, że modłę się za papę, Wilhelma, Paula, Petera, Manfreda, dusze państwa Adolf, za bezpieczeństwo Ireny i jej dzieci oraz za spokój umysłu mamy. Zrobiłam tak, bo wszyscy się tego po mnie spodziewali, choć w głębi duszy szkoda mi było każdej chwili, którą spędziłam w zimnej, pełnej przeciągów świątyni. Odkąd utraciłam wiarę w Boga, udział w nabożeństwie wydaje mi się odruchową i całkiem pustą czynnością.

Niemniej jednak siedząc tam, myślałam o mojej rodzinie, żywej i umarłej, i zapragnęłam, żeby w jakiś sposób wszyscy wiedzieli, że myślami jestem przy nich. Sasza jest komunistą, więc żartuje sobie w najlepsze z wiary. Powiada, że jeśli Bóg naprawdę istnieje, to w roku trzydziestym dziewiątym pojechał na wakacje i dotąd nie wrócił.

Moją jedyną pociechą jest to, że mama zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje dookoła. Kiedy przeprowadziłam ją na wieczerzę wigilijną i wręczyłam prezent - chusteczki do nosa, które własnoręcznie wycięłam ze starego prześcieradła i ozdobiłam haftem, poprosiła mnie, bym przypomniała papie i chłopcom, że powinni ciepło się ubrać, bo mróz jest coraz większy i napadało sporo śniegu. Czasami żałuję, że nie mogę zapomnieć o rzeczywistości i tak jak ona żyć jedynie przeszłością.

Greta tym razem nie przysłała żadnych prezentów, nawet dla mamy, ale napisała, że wszystkie przepustki są odwołane, a Helmut został wysłany do oddziału walczącego na pierwszej linii frontu. Najwyższy czas! Dlaczego starsi ludzie tacy jak Brunon mają walczyć, podczas gdy młodzi mężczyźni w wieku Helmuta zajmują intratne, wygodne po-

sadki? Greta zwymyślała mnie, że nie odpisałam na jej ostatni list, ale nie mogłam się zmusić, aby napisać choćby jedno słowo po tym, jak zdradziła Wilhelma i jak groziła, że przejmie Grunwaldsee. Nie wysłałam jej nawet życzeń na święta.

Chciałam wysłać świąteczne kartki i paczki z jedzeniem do Ireny i dzieci, ale mama von Letteberg ostrzegła mnie, żebym nawet się nie starała, bo wszelka próba kontaktu mogłaby tylko pogorszyć sytuację Ireny i dziewczynek, gdziekolwiek się znajdują.

Tak więc do wigilijnej wieczerzy, składającej się z solonego boczku i ugotowanych ziemniaków, zasiadłam ja, Martha, Minna, Marius i Erich. Jedzenie nie chciało mi przejść przez gardło. Wciąż przypominały mi się inne lata, kiedy nasz dom był pełen ludzi, śmiechu, radości i nastroju Bożego Narodzenia. Nawet drzewko, które ściął Marius - bardzo stara się zająć miejsce ojca zarówno jako zarządca majątku, jak i głowa rodziny - i jak zwykle ustawił w holu, i tych trochę łąkoci, które zrobiliśmy z syropu i tłuczonych kartofli, wyglądało smutno w porównaniu z dekoracjami z poprzednich świąt, nie wspominając już o jakimkolwiek Bożym Narodzeniu obchodzonym przed wojną.

Czułam się tak, jakby nasz dom był pełen duchów. Wystarczyło, że gdzieś w przeciagu trzasnęły drzwi, a już słyszałam tupot moich braci i ich wesołe pokrzykiwania, gdy pędzili na jakąś zabawę. Miałam wrażenie, że jeśli przechodząc obok gabinetu papy, zniemacka otworzę drzwi, to ujrzę go, jak siedzi za biurkiem, pali i czyta gazetę, zamiast sprawdzać rachunki, co zdarzało mu się prawie każdego poranka. Nawet pokój do szycia wyglądał na zaniedbany i opuszczony.

Tuż po zapadnięciu zmroku w popołudnie Bożego Narodzenia na dziedziniec zajechała jakaś ciężarówka. Na przedniej szybie zamarzła warstwa śniegu, a płócienne boki budy pokryte były zeskorupiałym lodem. Przypomniawszy sobie oddział SS, który zabrał Irenę i dzieci, kazałam Marcie i Minnie natychmiast ukryć Ericha i Mariusa na górze, i dopiero potem wyszłam przed dom. Byłam przerażona, jeszcze zanim usłyszałam jęki dobiegające z przyczepy.

Z szoferki wygramolili się kierowca i jakiś oficer. Zajrzałam do środka. W samochodzie leżeli ranni żołnierze. Byli w strasznym stanie - mieli zakrwawione bandaże na głowach, odmrożone ręce i stopy. Nawet przy tym zimnie bił od nich smród nie do wytrzymania.

Gdy kierowca sprawdzał, jak się miewają ranni, oficer - śmiesznie młody porucznik - trzasnął obcasami, pochylił głowę w pełnym szacunku ukłonie, a następnie podał list i paczkę. Powiedział, że to specjalna przesyłka od standartenführera von Letteberga.

Zaproponowałam, żeby weszli do środka, żeby się ogrzać i napić czegoś gorącego. Martha zawsze trzymała na kuchni garnek zupy, choć w obecnych czasach więcej tam warzyw i wody niż czegoś konkretnego.

Porucznik grzecznie podziękował. Niektórzy z rannych byli w kiepskim stanie, a większość straciła na mrozie palce u rąk i nóg. Powiedział, że jeśli szybko nie dostarczy ich do lekarza w Bergensee, ani chybi wda się gangrena. Zapytałam, czy mogę coś zrobić, żeby im pomóc, ale pokręcił głową.

Przyglądałam się, jak odjeżdżają, a potem wróciłam do kuchni i zawołałam Marthę, Minnę oraz dzieci. Miałam nadzieję, że w paczce znajdzie się coś, co rozweseli Ericha. Jest już wystarczająco duży, żeby wiedzieć, że święta powinny być okresem szczególnym, a te święta są wyjątkowo samotne, jeśli chodzi o niego. Wciąż pyta o Mariannę i Karoline - dzieci świetnie bawiły się razem - i tęskni za Ireną, bo potrafiła całe godziny opowiadać im bajki. Nawet Marius nie umie wyrwać go z apatii.

W tym roku w pudełku nie było munduru Wehrmachtu, tylko mały, drewniany pociąg, którym Erich natychmiast się zachwyił, pudełko kandyzowanych owoców, które od razu podzieliłam między Marthę, Minnę i dzieci, oraz kilka robionych na drutach i ręcznie wyszywanych ubranek niemowlęcych dla mnie. Boję się myśleć, ile mój mąż za nie zapłacił.

List Clausa był ostrożny, ale wyraźnie sugerował, że powinnam pojechać z wizytą do jego rodziców do Berlina tak szybko, jak tylko możliwe. Tak więc wiem już na pewno, że Rosjanie przygotowują się do ponownej ofensywy na Prusy Wschodnie. Jednak nie ma mowy, żebym teraz wyjechała z Grunwaldsee, kiedy zabrakło Brunona.

Po położeniu Ericha spać jeszcze przez pół godziny siedziałam w kuchni z Marthą i Minną. Obie były tak przygnębione, że powędrowały do łóżek, zanim wybiła dziewiąta. A może podejrzewały, że coś dzieje się pomiędzy mną a jednym z więźniów? Kiedy tylko zostałam sama, zabrałam całe jedzenie, które zostało z kolacji, a także dwie butelki wiśniowego wina domowej roboty, nastawianego przez Marthę, i z tym wszystkim poszłam do składziku.

Mama miała rację; w tym roku nastały naprawdę siarczyste mrozy. Stary piecyk na strychu wciąż działa, ale jak powiedział mi Sasza, nawet wówczas jego ludzie większość czasu spędzają przykryci wszystkimi ubraniami, jakie uda im się znaleźć. W składziku panował ziąb. Było tam prawie tak samo zimno jak na zewnątrz.

Zaproponowałam Saszy, że przemycę go do mojej sypialni i łóżka, ale uznał, że to zbyt niebezpieczne, skoro nowi strażnicy mają klucze i nieograniczony dostęp do domu. Tak więc, kiedy już przez klapę podał większość jedzenia swoim ludziom, skuliliśmy się we dwoje pod końskimi derkami.

Jego bezinteresowność to kolejny powód, żeby kochać go jeszcze bardziej, ale wolałabym, żeby zjadł więcej tego, co przyniosłam, zanim oddawać wszystko tamtym. Nikt nie wie, co nas czeka, ale jedno wydaje się pewne. Niebawem będzie nam potrzeba maksimum sił, które nam pozostały.

Po raz drugi odważyliśmy się rozmawiać o przyszłości. Sasza oświadczył, że jeśli Rosjanie przełamią linie niemieckiej obrony i wedrą się w głąb Prus Wschodnich, to powinnam uciekać wraz z nim i jego ludźmi w kierunku frontu, zabierając Ericha. Wtedy przypominałam mu, że poza Erichem mam pod opieką mamę, Marthę, Minnę i Mariusa, a rosyjscy żołnierze niekoniecznie muszą być dobrze usposobieni wobec niemieckich kobiet i dwóch małych chłopców, zwłaszcza że jedna z tych kobiet jest synową generała von Letteberga, młodszy z chłopców zaś jego wnukiem.

Wtedy Sasza zaczął snuć jeszcze bardziej nedorzeczne plany, a ja, bezpieczna w jego objęciach, otulona kocami i rozgrzana szklaneczką wiśniowego wina, pozwalałam sobie wierzyć, że naprawdę są one realne.

Mówił, że uciekniemy na wybrzeże, tam ukradniemy łódź, popłyniemy do neutralnej Szwecji i gdzieś na pustkowiu znajdziemy domek, nieduży i przytulny, coś w rodzaju naszego letniego domku nad jeziorem. Tam zamieszkamy z Erichem i nowo narodzonym dzieckiem, nie widując nikogo i z dala od ładu. Sasza będzie łowił ryby w morzu, a podczas zimy polował na renifery. Będziemy mieli parę kurcząt i jedną lub dwie krowy, a potrzebne nam warzywa wyhodujemy we własnym ogrodzie.

To była zachwycająca wizja i precudowny prezent na Boże Narodzenie, ale czułam się bardziej przerażona niż zwykle. Staralam się ukryć przed Saszą swoje obawy, lecz on za dobrze mnie znał. To zupełnie niemożliwe, żeby udało mi się utrzymać coś przed nim w tajemnicy. Wkrótce nadejdzie następny rok, tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. Powinnam czuć się szczęśliwa i czekać na narodziny dziecka, ale tak się boję o Ericha, Irenę i dzieci, o mamę, Niemcy, Saszę i jego ludzi. Co nam przyniesie ten następny rok?



Charlotte skrzywiła się, przewracając ostrożnie kilka kolejnych kartek. Były teraz bardziej szorstkie, cieńsze, a ich faktura przypominała bibułę. Te strony zostały wydarte z notesu, który otrzymała razem z powołaniem do wojska. Wszyla je do pamiętnika następnego dnia po podpisaniu kapitulacji Niemiec. Nagle zobaczyła siebie w tym dniu: oto siedzi w kącie cudzej kuchni w małym wiejskim domu i pożyczoną od gospodyni igłą robi dziury w papierze, a potem łączy kartki nitką wyrwaną z brzegu munduru, który teraz już nie będzie jej potrzebny.

Wreszcie odłożyła pamiętnik i z powrotem oparła się na poduszkach. Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Laura nie miała ochoty jeść śniadania przed dziesiątą. Właściwie można by jeszcze zdrzemnąć się z godzinę. Nawet zamknęła oczy, ale pamiętnik obudził w niej wspomnienia zbyt żywe i rzeczywiste, żeby mogła je po prostu odsunąć na bok.

Znów znalazła się w Grunwaldsee. Była sobota, trzynasty stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Właśnie pomagała Marcie skrobać jarzyny na zupe, bo padał tak gęsty śnieg, że nie było sensu pracować na zewnątrz. Rosjanie sprząтали stajnie i obie z Martha podskakiwały co chwila, słysząc świst bata połączony z wrzaskami któregoś ze strażników. Nowa zmiana strażników stale i bez miłosierdzia katowała podległych sobie więźniów i nie szczędziła im upokorzeń, ale żaden z nich nie odważył się tknąć Saszy ani Leona. Sasza wyjaśnił jej, że to stara, dobrze znana zagrywka - należy łagodnie traktować uwięzionych oficerów, a z biegiem czasu ich ludzie zwrócą się przeciwko nim. Ale w tym wypadku plan spalił na panewce. Żołnierze Saszy poszli za nim i Leonem do piekła obozu jenieckiego, powierzyli im swoje życie, ich ufność zaś została wynagrodzona, bo wszyscy przeżyli. Szacunek, jaki wzbudzali Sasza i jego adiutant, nie mógł zniknąć z dnia na dzień ani łatwo zmienić się w nienawiść.

Tej nocy, gdy już wszyscy poszli do łóżek, zaniósła do składziku gazę i trochę jodyny. Butelka brandy została opróżniona już parę miesięcy temu, ale Charlotte zabrała butelkę ordynarnej, pędzonej w domu wódki, którą jeden z polskich robotników podarował Marcie w dowód wdzięczności za ugotowanie rosółu dla jego chorej żony. Sasza zębami wyciągnął korek i wypił solidny łyk, zanim podał butelkę, bandażę i jodynę przez otwór prowadzący na strych. Zamknął klapę i obydwójce skulili się pod końską derką, przytulając się do siebie i drżąc z chłodu.

- Strasznie mi przykro - wyszeptła. - Czy twoi ludzie są bardzo poranieni?

- Są pobici, posiniaczeni i krwawią, ale żyją. Ci cholerni dranie zawsze wybiorą sobie na ofiary najmłodszych i najsłabszych. Skóra na plecach tych biedaków dosłownie wisi w strzępach. - Zacisnęła pięści.

- Chciałbym wreszcie móc pozabijać tamtych łotrów! - Spojrzał na nią i jego gniew natychmiast stracił swój impet. - „Ciepłe słowo jest więcej warte niż tłusty pasztet” - uśmiechnął się. - Moja kochana, usłyszę dziś od ciebie wiele ciepłych słów, prawda?

- Prawda. I dziękuję, że nauczyłeś mnie następnego rosyjskiego przysłowia. Muszę przyznać, że jest w nich wiele prawdy.

Pocałowała go w czubek nosa, ponieważ jego usta znajdowały się pod derką.

- Zwłaszcza w tym: „Każdy wiek jest posłuszny miłości”. Ja będę kochał cię tak samo nawet za pięćdziesiąt lat.

Przywarła do niego całym ciałem; miała zbyt wiele obaw, żeby móc aż tak daleko spoglądać w przyszłość.

- Będziemy wtedy starzy, pokrzywieni, garbaci i siwi jak gołąbki, zakładając, że wciąż będziemy żyli.

- W dodatku żyli w pokoju, co jest możliwe tylko wówczas, jeśli Hitlerowi i Stalinowi skończy się zapas żołnierzy, którzy mogliby wzajemnie wyrzynać się w pień.

- „Wieczny pokój potrwa aż do następnej wojny” - powiedziała, cytując inne z jego powiedzonek. - Mój ojciec walczył w poprzedniej wojnie, która miała być już ostatnia. Upłynęło zaledwie dwadzieścia lat od podpisania traktatu pokojowego i Hitler rozpętał następną. Ile czasu upłynie do kolejnej?

Wyczuł jej napięcie i starał się ją uspokoić.

- Charlotte, my na pewno ją przeżyjemy.

- Skąd masz taką pewność, Sasza?

- Z powodu tej oto małej dziewczynki.

Przesunął rękę, nie wyjmując dłoni spod derki, położył na jej okrągłym brzuchu i uśmiechnął się, kiedy poczuł leciutkie kopnięcie.

- To chłopiec.

- Nie, dziewczynka - sprostował. - Dziewczynka, która poniesie naszą miłość w nowy świat, zbudowany na gruzach poprzedniego... Masz ochotę pomarzyć?

- Tak, o naszym domu - wyszeptała.

Przyciągnął jej głowę i oparł na swojej piersi. Wiedział, że to ulubiona pozycja Charlotte, ponieważ wtedy słyszała bicie jego serca przy swoim.

- Moim zdaniem powinniśmy pomalować wszystkie wewnętrzne ściany na białą, tak samo jak zewnętrzne.

- A meble?

- Niech będą czerwone i zielone. Czerwone w pokoju dziecięcym, a zielone w salonie i jadalni. A na półce z książkami ustawimy wszystkie bajki, jakie uda się nam znaleźć - rosyjskie, niemieckie...

- Ty wymalujesz im na ścianach jakieś ładne obrazki.

- Namaluję straszne potwory i krwiożercze misie.

Zapominając o ostrożności, Charlotte roześmiała się na cały głos.

- Nie pozwolę ci, bo przestraszysz dzieci.

- Nasz dom będzie tak spokojny, przyjazny i pełen miłości, że będziemy musieli wymyślać jakieś niebezpieczeństwa, żeby nauczyć nasze dzieci, że na świecie są pewne rzeczy, których należy się bać.

- Gdyby tylko to mogło być prawdą!

- Wątpisz w nasz czarodziejski świat?

- Nigdy - skłamała z całym przekonaniem.

- To dobrze, bo nadszedł czas, żebyśmy ustalili, jakie krzewy owocowe posadzimy w naszym ogrodzie. Proponuję czerwone i czarne porzeczki, no i oczywiście dużo malin...

- Byle nie agrest, bo jest zbyt kłujący.

- Dobrze, w takim razie bez agrestu...

Powietrze w schowku było lodowato zimne, ale na sianie i pod końskimi derkami zrobiło się tak przytulnie, że Charlotte wysunęła się z posłania dopiero przed trzecią nad ranem, a Sasza nawet wtedy starał się ją zatrzymać. Czyżby oboje przeczuwali, że właśnie kończy się ich ostatnia wspólna noc?

Ranek nastał późno, tak samo zimny, szary i zaśnieżony jak poprzedniego dnia. Ta data na zawsze wyryła się w jej pamięci: niedziela, czternasty stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku - ostatni dzień, który spędziła pod dachem rodzinnego domu... Obiad, składający się z cienkiej zupki z marchewki i kapusty, zjedli przy kuchennym stole. Buzia Ericha była nienaturalnie blada i ściągnięta, a niebieskie oczy, które przy zapadłych policzkach wydawały się olbrzymie, spoglądały na Charlotte znad talerza. Właśnie kroił chleb, Martha stawiała na stole sól i pieprz, a Minna rozkładała serwetkę, żeby założyć ją Erichowi pod brodę, kiedy wychodzące na pola drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Marius, wrzeszcząc, że Wehrmacht wycofał się, a rosyjskie wojska zajęły Allenstein.

Był zziębnięty, bez tchu. Rozmawiał z uciekinierami, których spotkał przy końcu alei prowadzącej do Grunwaldsee, i to właśnie oni powiedzieli mu o rosyjskim kapitanie, który przejechał przez miasto w czołgu wyposażonym w głośniki. W języku niemieckim powtarzał rozkaz, żeby wszyscy cywile opuścili swoje domy i uciekali, w ten sposób ratując życie, ponieważ on nie ma kontroli nad żołnierzami, którzy lada moment wkroczą do Allenstein.

W pierwszym odruchu Charlotte pomyślała o Saszy i jego ludziach. Obciążenie w postaci jeńców wojennych jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje wycofująca się armia, a ona świetnie wiedziała, że strażnicy bez skrupułów wykonają egzekucję. Na jej znak Marius momentalnie umilkł, spoglądając w kierunku stróżówki, gdzie strażnicy odpoczywali po obiedzie. Zawieja wciąż przybierała na sile. Więźniowie siedzieli zamknięci na swoim strychu.

Szybko minęła Marthę i Minnę, które całe drżące kuliły się przy piecu, i bez wahania skierowała się do gabinetu papy. Tam zabrała z biurka pęk kluczy, przeszła do pokoiku, gdzie ojciec przechowywał broń, i odpięła łańcuch przytrzymujący strzelby, których używano do polowania. W sumie było ich szesnaście. Niektóre należały do papy, inne do braci, a jeszcze inne do dziadka. Obok gabloty ze strzelbami znajdowała się szafa, w której wisiały rapiery bliźniaków, parę szpad i komplet noży myśliwskich ojca.

Nie odważyła się zaryzykować życia Mariusa czy Marthy, więc sama przenosiła broń przez gabinet do schowka przy stajniach. Musiała powtarzać tę trasę sześć razy. Przez cały czas Martha, Minna i Marius śledzili przez okno poczynania strażników, ale tamci nawet na chwilę nie wyszli ze stróżówki. Kiedy cała broń znalazła się w składziku, Charlotte podeszła do klapy i zagwizdała uzgodniony z Saszą sygnał. Spojrzał w dół, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczył strzelby i wyraz jej twarzy.

- Wasza armia jest w Allenstein - oznajmiła bez ogródek. - Dotarcie tutaj nie zajmie im wiele czasu. Możecie to wziąć - dodała, wskazując na strzelby.

Wycofała się do kuchni, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, i zaczęła wydawać polecenia: Marius miał zaprzęgać wóz w dwa konie, które jeszcze im pozostały, Minna pakować w worki najcieplejszą odzież jej, Ericha i mamy, Martha zbierać cenne rzeczy należące do jej własnej rodziny.

Sama pobiegła do gabinetu, otworzyła sejf ojca, zabrała klucze i akty własności Grunwaldsee, zdjęła ze ściany oprawiony w ramki dokument potwierdzający nadanie majątku i miotając się po pokoju, wpychała wszystko do plecaka. Na piętrze wrzuciła na wierzch zawartość własnej kasetki z biżuterią oraz klejnoty matki, zabrała pudełeczka ze złotymi spinkami do mankietów i krawata, niegdyś własność jej ojca i braci, potem zgarnęła kosztowności Ireny...

Właśnie ściągała Iniane pokrowce z futra swojego oraz matki, kiedy dobiegły do niej odgłosy strzałów. Wyjrzała przez okno i zobaczyła czterech strażników leżących na zaśnieżonym dziedzińcu w kałuży krwi, twarzami do ziemi. Rzuciła futra i co sił w nogach popędziła na dół. Otworzyła na oścież frontowe drzwi i wypadła na zewnątrz, biegnąc w stronę grupki Rosjan otaczających zwłoki. Sasza stał za plecami swoich ludzi, a na jego twarzy malował się wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

Ten wyraz zmienił więźnia w wojownika.

Spojrzała na niego, sparaliżowana widokiem śmierci, która dokonała się w Grunwaldsee. Sasza odwzajemnił to spojrzenie. Bez wątplenia musiał widzieć w jej oczach wyraz obrzydzenia, ale celowo postarał się je zignorować. Zarzucił strzelbę na ramię.

- Zostań ze mną. Będę cię chronił.

Jednak ogarnęła ją pogarda dla żołnierza, którym się stał. Odsunęła się do tyłu, nie odrywając oczu od spoczywających na ziemi trupów. Wszyscy czterej strażnicy otrzymali postrzał w plecy. Najmłodszy wciąż trzymał swój pistolet, a palec nawet po śmierci miał zaciśnięty na spuście.

- Jak mogłeś? - wykrztusiła wreszcie. Próbowała krzyknąć, lecz z jej ust wydobył się ledwie słyszalny szept. - Mielście strzelby, mogliście wezwać ich do poddania się!

- Oni mogli nie chcieć rzucić broni, a ja nie zamierzałem ryzykować życia swoich ludzi.

Sasza ostrożnie ruszył w jej kierunku.

- Charlotte, czym według ciebie jest wojna?

Nie odpowiedziała. Cofała się dalej, a w tym czasie jego ludzie grzebali w kieszeniach zabitych w poszukiwaniu kosztowności i tytoniu.

- Co twoim zdaniem robią żołnierze? - pytał łagodnie, niemal błagalnie. - Twoi bracia? Twój mąż? Ja? Musieliśmy ich zabić, Charlotte. Albo oni, albo my. Pójdziesz ze mną?

Odpowiedziała mu jednym, jedynym słowem, które wykrzyczała na cały głos, aż stada wron poderwały się z ośnieżonych, nagich gałęzi drzew.

- Morderca!!!

Odwracając się do niego plecami, pobiegła w stronę domu, a wtedy Minna wyszła jej naprzeciw, trzymając za ręce mamę i Ericha. Na ich twarzach odbijało się to samo zdezorientowanie, szok i paniczny strach.

Odpowiedzialność, którą wzięła na siebie w dniu śmierci ojca, nigdy jeszcze nie ciążyła jej tak strasznie, ona sama zaś nigdy nie czuła się tak słaba i bezbronna. I tak osamotniona, bo nagle opuściło ją złudzenie miłości.

W tym momencie z przerażającą jasnością zdała sobie sprawę, że Sasza wykorzystał ją wyłącznie po to, żeby przeżyć niewolę. Jednak kochała go tak bardzo, że nawet ta świadomość nie wystarczyła, by obudzić w niej pogardę albo potępienie dla jego uczynków.

Rozdział piętnasty

Charlotte otworzyła pamiętnik. I tak nie udałoby się jej zasnąć, nie było sensu próbować. Przeszłość znów była tak blisko, a ona powtórnie znalazła się w centrum zamętu, jaki tamtego ostatniego popołudnia zapanował w Grunwaldsee. Pamiętnik leżał obok na łóżku. Jeśli w ogóle miał nastąpić jakiś właściwy moment, żeby mogła na nowo przeżyć swoją dramatyczną ucieczkę z Prus Wschodnich, to ten czas właśnie nadszedł - po tym, jak tu wróciła i znalazła swój dom przywrócony do dawnej świetności. Czy to możliwe, że w końcu uda się odesłać na wieczny spoczynek nękające ją widma?

Styczeń 1945

Nie wiem, jaki dziś jest dzień ani ile czasu upłynęło, odkąd opuściłam Grunwaldsee. Dni, może miesiące... Bez trudu mogłabym uwierzyć, że nawet lata.

Moje przeszłe życie wydaje się teraz tak odległe, jakby chodziło o kogoś zupełnie innego, w innym czasie i innym kraju. Teraźniejszość wydaje się całkiem nierzeczywista i czasem mam wrażenie, że tkwię w środku sennego koszmaru.

Ten papier jest szorstki i trudno na nim pisać, ale to i tak wielka uprzejmość ze strony naszego oficera, że dał mi książkę raportową. Powiedział, że mogę ją wykorzystać, żeby napisać list do rodziny. Kiedy spytałam, jaki adres mam podać, udał, że nie słyszy, i czym prędzej się oddalił.

Pamiętnik jest w plecaku, lecz boję się wyjąć mój zeszyt od chwili, gdy Leon zwrócił mi go na tamtej polanie. Przez płótno czuję jego kształt. To najlepszy dowód, że wcześniej prowadziłam jakieś inne życie.

Pozostałe dziewczyny i żołnierze przez większość czasu nie zwracają na mnie uwagi, ale wiem, że gapią się na mnie, kiedy im się wydaje, że patrzę w inną stronę. Wiedzą, co mi się przytrafiło, i czują do mnie pogardę. Nie winię ich. Na samo wspomnienie cała płonę ze wstydu, ale brak mi odwagi, żeby odebrać sobie życie.

Piszę teraz, bo dzięki temu mam wymówkę, żeby siedzieć od nich tak daleko, jak tylko pozwala mi szczupła przestrzeń. Wiem, że wcale nie chcą, żebym usiadła bliżej.

Z tyłu na otwartej ciężarówce jest okropnie zimno; ołówek przymarza mi do palców, ale i tak nie jest nawet w polowie tak zimno jak ostatniego dnia w Grunwaldsee.

Padał śnieg - ciężki, gruby i bezgłośny - a ta okropna, gęsta cisza spowodowała, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie ogłuchłam od tamtych strzałów na dziedzińcu. Ciała strażników wkrótce przykryła warstwa śniegu. Najpierw zniknęły plamy krwi, a potem zaspy pokryły ludzkie kształty tak dokładnie, że lekkie wybrzuszenia mogły być

czymkolwiek. Tyle że ja nie potrafiłam zapomnieć, czym naprawdę są, ani przebaczyć Saszy, że popełnił morderstwo - przynajmniej nie wtedy.

Martha, Minna i Marius przebiegali pędem obok mnie, znosząc rozmaite przedmioty i ładując je na wóz. Ludzie Saszy pakowali amunicję i resztki naszego jedzenia i zawijali wszystko w tobołki. Ja trzymałam kurczowo swój plecak, bo tam znajdowały się rodzinne fotografie, świadectwo nadania ziemi, dokumenty potwierdzające nasze prawa do majątku Grunwaldsee, klucze oraz rodzinna biżuteria. Widziałam, że Martha zapakowała już koce, ubrania oraz jedzenie, i nie potrafiłam pomyśleć o niczym, co jeszcze należałoby zabrać.

W domu znajdowało się mnóstwo rzeczy, nie tylko tych stanowiących naszą własność, lecz rozmaitych pamiątek po wszystkich minionych pokoleniach von Datskich, a my mieliśmy do dyspozycji zaledwie jeden nieduży wóz i dwa stare konie. Wydawało mi się nie w porządku przedkładać jedne rzeczy nad inne, więc po prostu postanowiłam nie zabierać niczego.

Zamiast miotać się tam i z powrotem, stałam na dziedzińcu, czekając na resztę domowników. Zdawałam sobie sprawę, że Sasza jest blisko mnie, ale nie próbował więcej się tłumaczyć, dlaczego zabił strażników, a ja byłam zbyt otępiała, by cokolwiek mówić.

Spojrzałam ponad dachem stróżówki na początek naszej alei, która prowadziła do głównej drogi.

Scena, którą ujrzałam, wydawała się wyjęta żywcem z dziecięcego teatru cieni. Niekończąca się procesja czarnych postaci wlokła się na tle śnieżnej kurtyny, oświetlona jedynie nędznym, szarawym światłem zimowego dnia. Kolumna za kolumną, przed moimi oczyma przesuwał się nieprzerwany korowód ludzi i pojazdów. Wyglądało to tak, jakby nie tylko wszyscy mieszkańcy Allenstein, lecz cały ten kraj wędrował w nieznaną.

Przypomniało mi się, co Wilhelm mówił o naszych żołnierzach zabijających rosyjskich cywilów, i zastanawiam się, czy takie same sceny rozgrywały się w Rosji, gdy wkraczała tam armia niemiecka. Ludzie opuszczali swoje domy, gospodarstwa i dorobek całego życia, uciekając, by ratować życie.

W pewnej chwili Sasza ujął mnie za rękę. Bez słowa wysunęłam dłoń, bo nie chciałam, żeby mnie dotykał.

- Wszystkie trasy na zachód będą tak samo zatłoczone jak ta. Na drodze znajdziesz coraz więcej śniegu, za to nie znajdziesz jedzenia.

Mówił drżącym głosem, ale opanowałam litość, która nagle się we mnie obudziła. Pamiętałam własne życzenie, żeby te same pociski, które zabiły strażników, zabiły również moją miłość do niego. Pomimo tego, co wspólnie przeżyliśmy, pomimo tego, co nas łączyło, nagle staliśmy się sobie bardziej niż obcy. Staliśmy się wrogami.

Wskazałam na zasy pokrywające cztery nieruchome ciała.

- Jesteś rosyjskim żołnierzem. Jeśli zastrzelisz mnie teraz, oszczędzisz mi wysiłku, który musiałabym włożyć w ratowanie życia, a twoim współtowarzyszom broni zamordowania mnie później.

Popatrzył na mnie błagalnym, zrozpaczonym wzrokiem, wciąż jednak nie mogłam mu przebaczyć - nie wtedy, kiedy w śniegu u naszych stóp leżały martwe ciała. Dziecko w moim łonie wybrało ten właśnie moment, żeby kopnięciem przypomnieć o swoim istnieniu. Odwróciłam się. Sasza objął mnie i mocno przytulił, a ja nie miałam siły, żeby się opierać, lecz nie odwzajemniłam uścisku.

- Pójdziesz ze mną? - poprosił.

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że nawet jeśli on i jego ludzie nie zastrzeliliby strażników, to i tak musieliśmy się rozstać. Być może mógłby ochronić mnie jako swoją kochankę, ale na pewno nie mógł nic zrobić dla Ericha, mamy i Minny. Żaden żołnierz nie zdołałby zapewnić opieki kobietom i dzieciom wrogiego narodu. Nasze nadzieje na wspólną przyszłość nie były niczym więcej jak tylko marzeniami o czymś, co nigdy się nie spełni. Zastanawiałam się, czy on także o tym wie.

Oboje trzęśliśmy się z zimna, choć miałam na sobie całą swoją zimową garderobę. Byłam owinięta szalami tak mocno, że prawie nie mogłam się ruszyć. Sasza wciąż nosił to, co zostało z jego munduru, oraz dodatkowo ubranie Paula. Miałam wrażenie, że mróz szarpie pazurami każdy odsłonięty kawałek ciała, jak na przykład nos albo skórę wokół oczu. Sasza, który był bez czapki, z odkrytą twarzą i gołymi rękoma, musiał chyba znosić nieludzkie katusze.

Martha i Marius wyszli z domu, taszcząc resztę koców i jeszcze jeden tobolek z jedzeniem. Wóz załadowany był już tak wysoko, że zagrażało to naszemu bezpieczeństwu, więc odsunęłam się o krok od Saszy i pokręciłam głową w stronę Marthy. Od razu mnie zrozumiała. Wręczyła worek z jedzeniem ludziom

Saszy, sama zaś wzięła za ramiona syna i pociągnęła go do schronienia, jakie dawała stajnia.

Oświadczyła mi, że ona i Marius zostają, i dobrze wyważyła wszelkie argumenty. Powiedziała, że nie może opuścić Grunwaldsee, bo tu na cmentarzu spoczywa jej córka. Poza tym Brunon wróci lada dzień, i co pomyśli, kiedy wejdzie do domu, a jej i Mariusa tam nie będzie, żeby go powitać? Nadejście Rosjan wcale jej nie przerażało. Sasza i jego żołnierze okazali się przyzwoitymi ludźmi, w przeciwieństwie do niemieckich strażników, którzy zasłużyli sobie na to, żeby ich zastrzelić. Zresztą ona sama urodziła się i wychowała w polskiej rodzinie, Marius także jest Polakiem, a Brunon potrafi płynnie mówić w tym języku. Kiedy wróci, Rosjanie zrozumieją, że nie miał wyboru, gdy został powołany do niemieckiej armii. Po prostu musiał być posłuszny.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by wyperswadować jej to szaleństwo. Tłumaczyłam, że przecież Brunon prosił mnie, żebym zajęła się jego rodziną, dopóki nie wróci, ale Martha pozostała nieugięta. Ktoś musi się zająć Grunwaldsee, a ona i Marius są najbardziej odpowiednimi ludźmi. Wszyscy wiedzą, co Rosjanie wyprawiają z niemieckimi kobietami i dziećmi, które wpadną w ich łapy - zwłaszcza z rodzinami oficerów Wehrmachtu. Nie robią różnicy między dobrymi czy złymi Niemcami, ale Polacy mimo wszystko są względnie bezpieczni.

Minna przerwała naszą dyskusję, prowadząc mamę w kierunku wozu. Biedna mama, od razu zaczęła płakać i narzekać. Nagle wróciły jej siły, bo odepchnęła Minnę na bok i próbowała biec z powrotem do domu. Jednak Sasza zdążył ją złapać, a ja wytłumaczyłam, że musimy jechać do Berlina, do papy i mamy von Letteberg. Usłyszała jedynie słowo „papa”, więc postanowiłam nie pozbawiać jej złudzeń, nawet wtedy jednak domagała się, żeby przygotować samochód. Wyjaśniłam, że ze względu na wojnę nie mamy benzyny. Wtedy zaczęła wołać Wilhelma i Paula, mówiąc, że ja nie wiem, jak załatwić różne rzeczy, ale chłopcy na pewno będą wiedzieli. W końcu obiecałam, że niedługo się z nimi spotkamy, ale i tak potrzebna była pomoc Saszy i dwóch jego ludzi, żeby ją podsadzić i ulokować z tyłu wozu.

Siedziała tam, opatulona kocami, i szlochała na cały głos, gdy Sasza pomagał Minnie usiąść obok. Erich przywarł do mojej spódnicy. Sasza podniósł go, poprosił, żeby dobrze opiekował się mamą, i posadził na przednim siedzeniu. Erich skulił się, taki mały, przestraszony i zupełnie zbity z tropu, a jego blada buzia zerkała na nas spomiędzy ciepłych szali, którymi opatulila go Minna.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że widzę Saszę po raz ostatni, lecz nawet gdybym umiała znaleźć odpowiednie słowa, to i tak brakowało czasu na pożegnalne przemowy. Wszystko, co mogłam powiedzieć, zostało już powiedziane. Śnieg wciąż padał, a jego grube płatki unosiły się dookoła głowy Saszy i osiadały na jego jasnych włosach.

Wreszcie zakolysał mną i zanim wsadził mnie na wóz, przez jedną króciutką chwilę przytulił do siebie, ale wciąż wzbraniałam się przed uściskaniem go albo pocałunkiem.

- Na litość boską, jedźcie, dopóki jeszcze jest czas! - syknęła Martha.

Sasza smagnął batem jednego konia i wóz ruszył, powoli wytaczając się z podwórza. Sasza i jego ludzie szli obok. Pełne dziesięć minut zajęło nam czekanie, aż trafi się jakaś dziura pomiędzy uciekinierami i będziemy mogli włączyć się w tę ponurą procesję, która ciągnęła od miasta. Ciasno było od wlokących się wozów, rowerów, pieszych; nawet trafiło się kilka samochodów. Kobiety i dzieci, owinięte dla ochrony przed mrozem, tak jak owija się na zimę rury, brnęły

przez zasy, pchając przed sobą wózki dziecięce z niemowlętami w środku i mnóstwem rzeczy, które udało się upchnąć obok dziecka.

Byli tam także niedorośli chłopcy, znani mi z widzenia z moich wypraw do miasta - chłopcy, którzy powinni bać się na śniegu, zjeżdżać na sankach albo szusować na nartach pomiędzy drzewami. Zamiast tego wlekli za sobą sanki, na których siedzieli ich dziadkowie. Dziwne, ale tak ogromna masa ludzi poruszała się niemal bezszelestnie. Słyszałam jedynie skrzypienie, kiedy maszerujący szli po zbitym śniegu i lodzie.

Odwrociłam głowę, żeby po raz ostatni popatrzeć na Grunwaldsee - i na Saszę. Leon zauważył moje spojrzenie i pomachał ręką na pożegnanie. Zarzuciwszy na ramiona strzelby, które im dałam, jeńcy jeden po drugim ruszyli w przeciwnym kierunku niż kolumny uciekających. Wrócili do miasta, tam, gdzie była rosyjska armia. W końcu pozostał tylko Sasza. Kiedy spojrzałam do tyłu, rysy jego twarzy przesłaniał mi gęsto padający śnieg i gorące łzy, które napływały mi do oczu. Wtedy Erich pociągnął mnie za rękaw i spytał, czy jedziemy do papy, czy do dziadka. Odpowiedziałam, że do dziadka, a kiedy znów podniosłam wzrok, Saszy już nie było.

Charlotte opuściła pamiętnik na kolana i rozejrzała się dookoła. Obrazy z przeszłości były tak przekonujące, tak namacalne i żywe, że widok nijakich ścian hotelowego pokoju zupełnie ją zaskoczył.

Z niecierpliwością wyskoczyła z łóżka i otworzyła na całą szerokość drzwi prowadzące na balkon. Jezioro lśniło, a jego toń sprawiała wrażenie gładkiej i przejrzystej jak szkło. Pomimo wczesnej pory w powietrzu wisiał nieprzyjemny upał; nawet kwiaty w skrzynkach na balkonie zwisały bezwładnie. Spokoju nie mącił najłżejszy podmuch wiatru, a jednak Charlotte drżała od chłodu, który dał się jej we znaki tak dawno temu. Myślami wciąż tkwiła głęboko w przeszłości. Przez sześćdziesiąt lat z okładem dręczyły ją wspomnienia o tym, w jaki sposób pożegnała się w Grunwaldsee z Saszą.

Wzięła do ręki pamiętnik i wyszła na balkon. Nie zwracając uwagi na oszałamiający widok, z powrotem osunęła się w dawno minioną przeszłość.



Mam nadzieję, że już nigdy nie poczuję takiego zimna. Mróz przewiercał się na wylot przez nasze ubrania, ścinając krew w żyłach i zamieniając najmniejszy nawet ruch w powolną, bolesną torturę. Mama była tak zziębnięta, że nawet nie miała siły jęczeć, a widoczne spod szali kawałki twarzy Minny i buzi Ericha przybrały niepokojąco niebieskawy odcień.

Erich tulił się do mnie, szukając ciepła i bezpieczeństwa, których nie mogłam mu ofiarować. Martwiłam się o mamę, więc poprosiłam Minnę, żeby otuliła ją i małego wszystkimi kocami, jakie znajdzie na wozie. Kiedy to zrobiła, zarzuciłam kawałek swojego koca obydwójgu na głowy, a drugim owinęłam Ericha. Nie mogłam zrobić nic więcej ponad to, że trzymałam mocno lejce i zmuszałam konie do forsownego posuwania się drogą wiodącą na zachód.

Światło dnia powoli zaczynało gasnąć, kiedy zrównał się z nami jakiś oddział SS. Samochód wyprzedził nasz wóz, a potem nadjechały ciężarówki pełne rannych żołnierzy, zmuszając uciekinierów do skakania do rowu, żeby ustąpić im z drogi. Nagle przed nami zatrzymał się jakiś motocykl. Z przyczepy wysiadł oficer; zamachał do mnie i coś krzyknął, ale byłam zbyt zmarznięta i zmęczona, żeby zwracać na niego uwagę.

Wreszcie konie stanęły, a wtedy zobaczyłam, że oficer trzyma je za uzdy.

- W imieniu Rzeszy rekwiruję ten wóz! - ryknął.

Miał na sobie mundur majora SS, ale wydawał się zbyt młody, zbyt porywczy i nieokrzesany, by być oficerem nowego regimentu Führera. Słyszałam, co mówi, nie wierząc własnym uszom. Wydawało mi się, że żaden mężczyzna nie może podczas śnieżycy wyrzucić na drogę dwóch staruszek, małego dziecka i kobiety w zaawansowanej ciąży. Szarpnę-

łam lejce, żeby jechać dalej, ale wtedy on wyciągnął pistolet. Błagałam, żeby zostawił nas w spokoju. Claus na pewno byłby oburzony, gdyby mógł nas zobaczyć w owej strasznej chwili. Po pierwsze dlatego, że jego żona poniżyła się przed tak młodym człowiekiem, a po drugie z powodu obrzydliwego zachowania tego ostatniego. Major miał długie włosy, nie golił się przynajmniej od kilku dni, a jego mundur był brudny.

Zawahał się, a ja natychmiast zaproponowałam mu miejsce na naszym wozie. W odpowiedzi wystrzelił w powietrze i bez ceregieli ściągnął mnie z ławki. Erich rozplakał się, ja protestowałam, że wiozę chorą matkę i małe dziecko, a sama lada chwila mogę urodzić. Mówiłam, że mój mąż jest pułkownikiem Wehrmachtu, że mój teść to generał von Letteberg. Nie zwracając uwagi na moje słowa, zabrał się do wyrzucania z wozu leżących tam rzeczy, żeby zrobić miejsce dla siebie i swoich żołnierzy. Z kolei ja przez cały czas tłumaczyłam, że muszę jakoś dostać się do Berlina, do teściów.

Równie dobrze mogłam nie marnować energii. Połowa żołnierzy już zdążyła wgramolić się na tył wozu, spychając stamtąd mamę i Minnę. Mama uderzyła o ziemię tak mocno, że mogłabym przysiąc, że coś sobie złamała. Jeden z mężczyzn, starszy od pozostałych sierżant o piwnych oczach, w których krył się smutek, podał mi zawiniętego w koc Ericha. Zanim odjechali, ledwie miałam czas, żeby porwać z ławeczki swój plecak.

Przez chwilę biegłam za nimi, błagając, żeby chociaż zostawili nam kilka koców. Jestem pewna, że oficer i jego ludzie słyszeli mnie, ale wszyscy odwrócili głowy. Jedyne, co mi pozostało, to wracać do mamy i Minny. Podczas jazdy na wozie mróz dawał się we znaki, ale teraz był wręcz nie do zniesienia. Miałam na nogach porządne zimowe buty, pochodzące jeszcze sprzed wojny, jednak nawet ich gruba podeszwa ślizgała się na oblodzonej drodze.

Mama i Minna siedziały tam, gdzie je wyrzucono. Próbowałam im wmówić, że tak naprawdę to ci żołnierze wyrazili nam przysługę, że lepiej iść, niż jechać, bo ruch będzie nas rozgrzewał. Ściskając jedną ręką małą łapkę Ericha, okrytą rękawiczką, a drugą dłoń mamy, ponownie włączyłam się w strumień uciekinierów. Brnęliśmy z opuszczonymi głowami, bo lodowaty wiatr ciął nas jak ostrze noża. Posuwając się krok za krokiem, obserwowałam obcasy idącej przede mną kobiety, bo w ten sposób nie musiałam zastanawiać się nad tym, co robię, a jedynie myśleć, jak daleko jeszcze do Berlina.

Dziecko znów się poruszyło, co na nowo skierowało moje myśli ku Saszy, choć w owej chwili pragnęłam jedynie jak najszybciej zapomnieć o nim i o martwych strażnikach, leżących w śnieżnej zaspie. Wtedy tuż nad naszymi głowami pojawił się nisko lecący samolot i zbombardował kolumnę uciekinierów.

Pociągnęłam Ericha i mamę do rowu, i nakryłam synka własnym ciałem, dopóki odgłosy wybuchów nie przesuwały się dalej.

Minna stanowczo odmówiła dalszego marszu, upierając się, że nie da rady zrobić ani kroku. Biedna Minna, byłam dla niej bardzo niemiła. Zagroziłam, że zostanie surowo ukarana, jeśli natychmiast nie przestanie protestować, choć to wcale nie była jej wina. Czterdzieści lat służby w charakterze pokojówki rodziny von Datskich absolutnie nie przygotowało jej do pieszych wędrówek po okolicy w środku mroźnej zimy.

Byliśmy już całkiem niedaleko od lasu. Zauważyłam, że kilka kobiet zrobiło sobie postój na polanie odległej jakieś dwadzieścia metrów od drogi. Wreszcie udało mi się namówić Minnę, żeby dowlokła się przynajmniej do tego małego obozowiska. Większość odpoczywających była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać, ale zorientowałam się, że miały dziś za sobą o wiele dłuższą wędrówkę niż my. Przycupnęły pod drzewami w małych grupkach, otulając się kocami i dzieląc resztką jedzenia, które przyniosły ze sobą. Żadna nie ośmieliła się rozpalic ogniska, choć dookoła było mnóstwo drewna; bałyśmy się, żeby nie ściągnąć tu następnego samolotu wroga. Zostawiłam mamę i Ericha pod opieką Minny, sama zaś ruszyłam z powrotem na drogę, w nadziei, że spotkam kogoś znajomego, kto będzie mógł nas podwieźć albo przynajmniej dać mi jakiś koc dla mamy.

Po drodze potknęłam się o leżącego żołnierza. Jego noga była całkiem sztywna, pokryta krwią i warstwą szronu. Kiedy schyliłam się, żeby pomóc mu wstać, dotarło do mnie, że nie żyje. Wpatrywał się nieruchomym spojrzeniem prosto w poszarzałe niebo. Wyciągnęłam rękę, żeby zamknąć mu oczy, a moje palce dotknęły skorupy lodu, która już zdążyła uformować się na rzęsach zabitego.

Przeszłam ponad jego ciałem i zaczęłam wołać do ludzi jadących na wozach, prosząc, żeby zabrali mamę i Ericha. W zamian ofiarowałam się nieść na plecach ich dobytek i iść obok nich. Moje wysiłki okazały się daremne. Nikt nie odpowiedział. Wtedy nadjechał samochód doktora. Załomotałam pięścią w drzwi i doktor się zatrzymał. Odkręcił szybę w oknie, uchylił kapelusza i pozdrowił mnie uprzejmie, zupełnie jakbyśmy się spotkali w kawiarni w Allenstein.

Obok siedziała jego żona, a trójka dzieci tłoczyła się z tyłu, na stosie walizek i pudełek. Powiedziałam, że nasza armia zarekwirowała mi wóz i szukam kogoś, kto mógłby zabrać do Berlina matkę i Ericha, ponieważ oboje są zbyt słabi, żeby iść piechotą.

Przeprosił mnie, mówiąc, że obecnie nie jest w stanie pomóc komukolwiek, co zresztą powinnam sama zauważyć. Wtedy zwróciłam się do jego żony, błagając, żeby zabrała przynajmniej Ericha. Tłumaczyłam, że jest tak mały, że nie zajmie dużo miejsca. I że skoro trasa ich podróży i tak przebiega przez Berlin, podwiezienie go nie będzie żadnym problemem. Nawet jeśli dom teściów został zbombardowany, to generała von Letteberga łatwo można znaleźć w Kwaterze Głównej przy Bendlerstrasse. Na końcu mimochodem zauważyłam, że jeśli ktokolwiek może im znaleźć względnie bezpieczne lokum, to tym kimś z pewnością jest mój teść.

Po dłuższym namyśle żona doktora zaproponowała, że Erich ewentualnie może siedzieć u niej na kolanach, i doktor się zgodził. Popędziłam z powrotem do lasu, złapałam synka i powiedziałam mu, że pojedzie autem do babci i dziadka. Poprosiłam, żeby zachowywał się grzecznie, i obiecałam przyjechać tak szybko, jak tylko będę mogła. Nie było czasu, żeby powiedzieć coś więcej.

Erich nie płakał, ale z całego serca pragnęłabym wyrzucić z pamięci wyraz przerażenia zastygły na jego buzi, kiedy oddawałam go ludziom, których ledwie znał.

Nie pozostało mi nic innego, tylko wrócić do mamy i Minny, które leżały na śniegu, i spróbować trochę się zdrzemnąć. Zdjęłam futro, żeby okryć nim mamę, a potem usadowiłam się obok niej, Minna usiadła z drugiej strony i zamknęłyśmy oczy. Jednak przez większą część nocy nie mogłam zasnąć z żalu za Erichem.

Nie wiem, czy którakolwiek z nas spała, ale kiedy nadszedł poranek, tak samo zimny i ciemny jak poprzednie popołudnie, okazało się, że wszystkie trzy przymarzłyśmy do ziemi. Walcząc z całych sił, żeby wstać, prawie się spodziewałam, że usłyszę trzask pękających kości rąk i nóg, jakby ktoś kruszył sople lodu. Mama znajdowała się w stanie śpiączki, dużo głębszej niż zwykły sen. Razem z Minną wzięłyśmy po garści śniegu, żeby rozetrzeć jej twarz i ręce w nadziei, że ją obudzimy, ale wciąż leżała w bezruchu. W pewnej chwili ziemia się zatrzęsała i usłyszałyśmy tupot tysięcy kroków.

Zostawiłam mamę z Minną i pobiegłam z jakąś kobietą na drogę. Teraz już rozumiem, dlaczego Wehrmacht ochrzcił rosyjską armię mianem „parowego walca”. Po drodze wolno przesuwał się czołg, a za nim w oddali ujrzałam zwartą ścianę maszerujących rosyjskich żołnierzy.

Popędziłam z powrotem do Minny. Mama wciąż się nie poruszała, złapałam więc plecak i siłą poderwałam ją na równe nogi. Chwiała się, wciąż nie otwierając oczu. Większość nocujących z nami kobiet zdążyła już chwycić swoje tobołki i teraz jak szalone pędziły w głąb lasu. Wrzasnęłam na mamę, żeby się pospieszyła. Minna próbowała pomóc, lecz mama tylko stała, kołysząc się na obcasach. Dudnienie czołgu wyraźnie przybrało na sile. Chwilę później żołnierze wpadli do lasu i rozległy się wrzaski.



Charlotte oparła się o fotel. W jej myślach przesuwaly się pogmatwane obrazy tamtych wydarzeń; wciąż powracało wspomnienie bólu - ostrego, rozdzierającego bólu - o którym nigdy nikomu nie odważyła się wspomnieć. Kryteria stosowane przez Rosjan były całkiem proste. Niemieckich mężczyzn i chłopców należało obrabować, a następnie zabić, najlepiej powolną i okrutną śmiercią, kobiety zaś ograbić z mienia, zgwałcić i dopiero potem zamordować, oczywiście jeśli przeżyły mękę zbiorowego gwałtu. Te, które miały szczęście, ginęły od kuli. Uciekinierzy nie dość prędko ustępujący z drogi byli przewracani i rozjeżdżani przez czołgi. Niemieccy żołnierze, schwytani w mundurach, byli związywani razem, oblewani benzyną i podpalani. Nie oszczędzano nikogo - starców ani dzieci, chorych ani ciężarnych. Upływ czasu nie zdołał zatrzeć czy nawet pomniejszyć hańby uczucia wstydu na wspomnienie tego, co wówczas jej zrobiono.



Jakiś żołnierz pchnął mnie na ziemię. Na wysokości swojej głowy ujrzałam buty mamy. Ciągnięto ją gdzieś dalej, a jej obcasy zostawiały w śniegu dwie koleiny, podobne do szyn tramwajowych. Nie pamiętam, czy krzyczałam. Nie mogłam się poruszyć, bo ten Rosjanin klęczał na moich ramionach, zdzierając ze mnie plecak. Wysypał całą zawartość w śnieg tuż nad moją głową. Czułam bijący od tego mężczyzny smród potu i wódki zmieszanej z paskudną wonią przetrwionych marynowanych ryb, podczas gdy on szukał paluchami w śniegu, wybierając spośród kluczy i papierów kosztowności. Kiedy już napakował nimi kieszenie, zwolnił nieco ucisk i jednym szarpnięciem rozdarł mój żakiet. Usłyszałam wrzask Minny, ale nie wiem, czy krzyczała dlatego, że ktoś robił jej krzywdę, czy dlatego, że była świadkiem tego, co się działo ze mną.

Próbowałam stawiać opór, ale wtedy nadbiegł kolejny żołnierz. W mgnieniu oka poderwał do góry moją spódnice i halkę, a potem zerwał bieliznę.

Inni pomogli mu rozsunąć mi nogi i trzymali je, rechocząc z uciechy, podczas gdy ten, który podniósł spódnice, rozpiął spodnie i wcisnął się we mnie.

Wydawało mi się, że moja męka trwa całą wieczność. Zacisnęłam powieki, żeby nie patrzeć na tych łajdaków, i starałam się zapomnieć o zimnie i bólu, ale kiedy to się skończyło i próbowałam wstać, uścisk na rękach i nogach wzmocnił się i miejsce pierwszego łotra zajął kolejny, a potem następny i jeszcze następny...

Walili się na mnie całym ciężarem, aż ból w głębi brzucha stał się wręcz nie do wytrzymania. W moich uszach brzmiał ich szyderczy śmiech i krzyk innych gwałconych kobiet. Miałam wrażenie, że ktoś rozdziera mnie na pół. Wreszcie zaczęłam płakać. Płakałam z żalu nad sobą, nad mamą, nad moim nienarodzonym dzieckiem, ale nic ich nie obchodziło. Wstrzymałam oddech, żeby umrzeć, a kiedy to się nie udało, próbowałam wyczarować wspomnienie Saszy - jego pochylonej nade mną twarzy, delikatnych pieszczot - lecz jedyne, co widziałam i czułam, to ohydne gęby gwałcących mnie mężczyzn i bijący od nich smród.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy leżałam w śniegu, zbyt słaba, żeby płakać albo się poruszyć, do moich uszu doleciał odgłos wystrzału. Nagle przypomniałam sobie o mamie. Na czworakach, jak pies, poczołgałam się w kierunku, w którym prowadziły koleiny zostawione przez jej obcasy.

Oczy mamy były tak samo zimne i martwe, jak oczy tamtego żołnierza leżącego obok drogi. Ale na jej nagich udach nie znalazłam żadnej rany ani draśnięcia, jedynie smugi krwi. Mam nadzieję, że umarła, zanim zdążyli ją zgwałcić. Jeden z Rosjan przyszedł moim tropem. Spojrzałam w dół i z przerażeniem przekonałam się, że śnieg dookoła mnie w

błyskawicznym tempie nabierał czerwonego koloru; moje nogi i to, co zostało z pończoch, przesiąknięte było krwią. Zaczęłam błagać żołnierza, żeby mnie nie dotykał.

Nagle ktoś zawołał mnie po imieniu. Podniosłam głowę i ujrzałam Saszę, który pędził w moją stronę. Pomógł mi wstać. Tuż za nim biegł Leon. Pochylił się i zebrał moje klucze, fotografie, dokumenty i pamiętnik, wcisnął wszystko z powrotem do plecaka, a następnie włożył mi go do ręki.

Otoczający nas żołnierze zaczęli krzyżeć. Jakiś mężczyzna, który najwyraźniej był ich dowódcą, podszedł do nas i odepchnął Saszę na bok. Inny, posługując się łamaną niemiecką, zażądał, żeby mu powiedziec, co nas łączy. Sasza zawołał, żebym mówiła prawdę, i zaraz oberwał parę solidnych kopniaków za to, że odezwał się po niemiecku.

Widziałam ludzi Saszy stojących za jego plecami, otoczonych przez innych żołnierzy, i ogarnął mnie strach. Nie tylko o siebie, lecz także o nich. Wy tłumaczyłam, że byli jeńcami wojennymi i pracowali w tym samym majątku co ja. Że wszyscy bardzo im współczuli i starali się przynosić jedzenie, ponieważ racje żywnościowe przeznaczone dla więźniów Rzeszy były strasznie nędzne.

Człowiek pełniący funkcję tłumacza upierał się, że pierwszy raz widzi rosyjskich jeńców, którzy byłiby w tak świetnej formie, tak dobrze wykarmieni jak Sasza i jego ludzie, więc jeśli nie powiem mu prawdy, to zostaną zaraz rozstrzelana. Jego zdaniem oddział Saszy musiał należeć do kolaborantów, którzy z własnej woli pracowali dla Rzeszy.

Zanim zdążyłam się odezwać choćby jednym słowem, któryś z żołnierzy wyciągnął pistolet i nieśpiesznym krokiem zbliżył się do grupki półnagich Niemek, kulących się na śniegu. Celując prosto w głowy ofiar, raz za razem pociągał za spust, jakby polował na szczury kryjące się po kątach stodoły. Pierwszą kobietą, którą zastrzelił, była Minna.

Sasza bez namysłu uniósł swoją strzelbę i wypalił, zabijając tamtego na miejscu.

- Uciekaj, Charlotte! Uciekaj! - wrzasnął, odwracając się do mnie.

Ostatnią rzeczą, jaką poczułam, była jego dłoń na moich plecach, popychająca mnie w kierunku lasu. Złapałam plecak i potykając się, ruszyłam biegiem w kierunku ściany drzew, choć moje kroki opóźniał nieludzki ból i ciężar dziecka, które nosiłam w łonie. Kluczyłam zygzakiem pomiędzy drzewami, a w moich uszach wciąż rozbrzmiewał głos Saszy:

- Uciekaj, Charlotte! Uciekaj!

Dookoła mnie zaświstały pociski, rozbijając się w fontannach śniegu. Rzuciłam się za jakiś krzak. Nadleciał drugi samolot, z niewielkiej wysokości ostrzeliwując ziemię. Kiedy ucichły wystrzały, odważyłam się spojrzeć za siebie. Kilku Rosjan i reszta kobiet leżeli bez ruchu, ale ludzie Saszy stali otoczeni ciasnym kordonem; właśnie odbierano im strzelby.

Sasza klęczał na samym środku, a jakiś oficer przystawił mu rewolwer do głowy.

W pewnej chwili Sasza podniósł wzrok i mogłabym przysiąc, że mnie zauważył. Nie błagał o litość dla siebie ani swoich ludzi, tylko jeszcze raz krzyknął w moją stronę: „Uciekaj, Charlotte!”.

Kiedy odwróciłam się, żeby biec, doleciał do mnie huk pojedynczego wystrzału.

Pędziłam przed siebie jak szalona, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Rozdział szesnasty

Laura musiała cztery razy pukać do pokoju Charlotte, zanim drzwi się otworzyły.

- Oma, czemu mnie nie obudziłaś? Dochodzi jedenasta...

Zdażyła podtrzymać babkę w chwili, gdy ta mdlała. Pomogła jej przejść do łóżka i rzuciła się do telefonu.

Lekarz był niewysokim, delikatnym mężczyzną o wyraźnie azjatyckich rysach, ale jego znajomość języka angielskiego, niemieckiego oraz polskiego - o ile Charlotte potrafiła to ocenić - nie budziła najmniejszych zastrzeżeń. Od razu wyprosił z pokoju Laurę oraz kierownika hotelu, następnie bez słowa zbadał Charlotte, aż w końcu otworzył lekarską torbę i schował stetoskop.

- Jest pani bardzo wyczerpana, pani Datski. Czy wolno mi zapytać, dlaczego pani tak się forsuje? - zapytał uprzejmie.

Charlotte obrzuciła go kwaśnym uśmiechem.

- W zeszłym tygodniu przyleciałam ze Stanów do Londynu, a stamtąd do Frankfurtu. Potem przesiadłam się na wewnętrzną linię, żeby dostać się do Berlina i razem z wnuczką poleciałam do Warszawy, a prosto z Warszawy przyjechałam tutaj.

- Tak intensywny plan podróży wykończyłby nawet nastolatka.

- Tak, w dodatku popełniłam ten błąd, że od wczoraj przez całą noc siedziałam i czytałam. Przyznaję, że to bardzo głupio z mojej strony.

Zauważyła, że doktor mierzy ją przenikliwym spojrzeniem.

- Nie mogłam zasnąć - dodała prędko.

- Co pani dolega? - zapytał spokojnie.

- Sam pan powiedział. Wyczerpanie.

- Proszę pamiętać, pani Datski, że jestem lekarzem.

Charlotte się zawahała.

- Mój lekarz podejrzewa raka trzustki. Chciał, żebym poddała się kolejnym badaniom i kuracji, ale powiedziałam, że to musi trochę poczekać.

Wydął wargi.

- Rozumiem.

- Nie wyrażam zgody, żeby informował pan kogokolwiek o mojej chorobie.

- Jak pani zapewne wie, lekarzowi nie wolno dyskutować na temat zdrowia konkretnego pacjenta z nikim poza tym właśnie pacjentem, chyba że otrzyma od niego wyraźną zgodę na inne działania - powiedział, siadając obok niej na łóżku. - Kiedy zamierza pani wracać do Stanów?

- Kiedy zobaczę w Polsce wszystko, co chciałam zobaczyć.

- Mogę załatwić przyjęcie do miejscowego szpitala. Czy ma pani ubezpieczenie podróżne?

- Tak, ale mój czas jest zbyt cenny, żeby marnować go na leżenie w szpitalnym łóżku. Skończyłam osiemdziesiąt sześć lat, doktorze. Wydaje mi się, że mam prawo wybierać, w jaki sposób chcę spędzić dni, które mi jeszcze pozostały.

Podniósł swoją lekarską torbę, postawił ją na kolanach i otworzył ponownie.

- Podejrzewam, że tych dni zostało naprawdę niewiele, madam Datski. Jeśli nie uzna pani, że należy trochę zwolnić tempo i odpocząć.

Pogrzebał w torbie i wyciągnął buteleczkę z proszkami.

- Dwie tabletki zapewnią pani spokojny sen przynajmniej przez następne dwanaście godzin. Proponuję, żeby je pani zażyła i została w łóżku przez następne dwadzieścia cztery godziny albo nawet dłużej, dopóki nie poczujesz się pani na tyle silna, żeby wstać.

Charlotte wzięła buteleczkę.

- Co pan zamierza powiedzieć mojej wnuczce?

- A co pani chciałaby, żebym powiedział?

- Prawdę - odparła Charlotte. - Że to tylko wyczerpanie i zmęczenie podróżą.

Z trzaskiem zamknął torbę.

- Jak pani sobie życzy. Jeśli przydarzy się następne załamanie formy, proszę niezwłocznie mnie wezwać, dobrze?

- Tak zrobię. Teraz proszę zawołać tu moją wnuczkę i... - Uśmiechnęła się do niego. - Bardzo panu dziękuję.

- Oma, wiem, że ten doktor powiedział, że to tylko przemęczenie, ale moim zdaniem powinnam z tobą zostać - upierała się Laura. - Nawet jeśli nie będę spać w twoim pokoju, to mogę być tuż obok, żebyś w razie czego zapukała w ścianę.

- Jakim cudem będę mogła cię wezwać albo pukać w ścianę, skoro po tych pigułkach mam spać jak niemowlę? - spytała Charlotte, jak zawsze podchodząc do wszystkiego z niewzruszoną logiką. - Już ci mówiłam, najpierw chcę wezwać kogoś z obsługi i zamówić do pokoju kanapkę. Zanim ją zjem, wezmę gorącą kąpiel i zażyję te proszki, które zostawił doktor. Nie obudzę się przez dobre parę godzin, ty zaś w tym czasie pojedziesz do Grunwaldsee, żeby wytłumaczyć mnie przed Mariusem i wybrać się z Brunonem na tę konną wycieczkę.

- Raczej nie mogłabym...

- Jeśli tego nie zrobisz, uznają, że jesteś źle wychowana.

- Przecież dowiedzą się, że zachorowałam.

- Nie czuję się chora, zaledwie zmęczona, tak jak ma prawo się czuć każda kobieta w moim wieku, która w ciągu paru dni przejechała taki kawał świata. Nie zapomnij przekazać Mariusowi, że bardzo go przepraszam. Powiedz, że jak tylko dojdę do siebie, z przyjemnością przyjmę jego propozycję, żebyśmy wspólnie urządzili sobie przejażdżkę po naszym dawnym majątku. Może nawet jutro. Chętnie sama pokazałabym ci Grunwaldsee, ale najlepiej ogląda się je z końskiego grzbietu, a niestety dni, kiedy jeździłam konno, minęły bezpowrotnie. Pamiętaj, żeby zabrać aparat cyfrowy. Po tem przetrzucisz kilka fotek na laptopa i w ten sposób jutro przy śniadaniu będę mogła obejrzeć swoje ukochane miejsca.

Laura wyraźnie się wahała.

- Dam ci klucze, żebyś mogła zajrzeć do mnie wieczorem. Tylko wejdź po cichutku. Nienawidzę, kiedy jakiś hałas wyrywa mnie ze snu.

- Obiecujesz, że zjesz kanapkę i pójdziesz spać?

- Obiecuję. - Charlotte uśmiechnęła się, bo to małe zwycięstwo wyraźnie sprawiło jej przyjemność. - A teraz już idź. Nie mogę się doczekać, żeby z tobą porozmawiać, jak wrócisz.

Kiedy Laura wyszła, Charlotte wsparła się na poduszkach. Czowała się wyczerpana i słaba - dokładnie tak, jak powiedział lekarz. Na szczęście nie dręczył jej ból, ale przecucie podpowiadało, że ma przed sobą bardzo niewiele czasu.

Dała napiwek kelnerowi, który przyniósł to, co zamówiła, ale taca z jedzeniem pozostała nietknięta na stoliku przy oknie. Kawa stygła, sok pomarańczowy robił się coraz cieplejszy, a Charlotte nadal odpoczywała na łóżku. Znowu otworzyła swój pamiętnik.

Sobota, 27 stycznia 1945

Mój ukochany Sasza, nawet świadomość, że nie żyjesz, nie powstrzymuje mnie od rozmawiania z tobą. Czy możesz mi przebaczyć tamto ostatnie popołudnie? Czy rozumiesz, że nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia wojna potrafi zmienić człowieka ani że instynkt samozachowawczy popycha nas do najstraszliwszych czynów? Nawet tak dobrych i prawych ludzi jak ty albo moi bracia.

Teraz wiem, że miałaś rację, mówiąc, jak bardzo się myłę. Strażnicy byli uzbrojeni w półautomatyczne karabiny; ty i twoi towarzysze dostaliście zaledwie parę strzelb. Gdybyś wezwał strażników do poddania się, mogli odpowiedzieć gradem pocisków.

Oddałeś za mnie życie, a ja nawet nie zdążyłam ci powiedzieć, jak bardzo cię Kocham i zawsze będę cię Kochać, i jak bardzo zmieniłeś moje życie. Pozostaje mi nadzieja, że o tym wiedziałeś.

Jakby nie dość mi było stracić ciebie, straciłam także naszą córeczkę. Była śliczna, maleńka, a mimo to doskonale zbudowana - ale zimna, lodowato zimna, zupełnie jak te śniegowe bałwanki, które Paul i Wilhelm mieli zwyczaj stawiać w naszej lodowni. Urodziła się wkrótce po tym, gdy cię zostawiłam. Rodząc ją, myślałam tylko o jednym, tylko jedno miałam przed oczyma - ciebie, tak jak widziałam cię po raz ostatni, gdy zmusili cię do klęczenia na śniegu, a ten oficer przytknął ci pistolet do głowy.

Kłęczałeś, ale biła od ciebie duma. Nie pochylałeś głowy przed swoim oprawcą. Wciąż widzę wyraz twoich oczu, a w moich uszach rozbrzmiewa echo tamtego wystrzału; ścigało mnie w głębi lasu, gdy rzuciłam się do ucieczki jak ostatni tchórz, którym bez wątpienia jestem. Nie mogę sobie tego wybaczyć. Gdybym nie uciekła, teraz cała nasza trójka byłaby na wieki razem.

Dałam jej na imię Aleksandra - po tobie, mój ukochany. Urodziła się w lesie, tak jak rodzą się zwierzęta, ale nie dane jej było nabrać powietrza do płuc. Tak bardzo chciałam, żeby żyła. Próbowałam wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy. Rozcierałam jej plecki, owinałam ją szalem i tuliłam do siebie, żeby ją rozgrzać, ale nadaremnie. Siedziałam w ukryciu za krzakiem, dopóki nie zapadła ciemność, zbyt zziębnięta i przerażona, by dokądkolwiek iść, i przez cały czas kołysałam ją w ramionach.

Miała blond włoski - tak samo jak ty, Sasza, tylko bardziej miękkie - i tak piękne rączki i nóżki.

Trzymając ją, myślałam o tym, jak bardzo jej narodziny różniły się od narodzin Ericha. Wtedy doktor, położne, mama, teściowa i nasze służące - wszyscy biegali dookoła mnie, przynosząc wrzątek, lekarstwa, czyste prześcieradła, ogrzane pieluszki dla noworodka. Teraz leżałam na mrozie, pokrwawiona, obolała, posiniaczona i wyczerpana i nikt nie troszczył się o to, czy umrę, czy będę żyła, a najmniej ja sama.

Kiedy zapadł zmrok, zebrałam się na odwagę, żeby wyjść z kryjówki i poszukać ciebie. Wiedziałam, że nie żyjesz, ale nie robiło mi to żadnej różnicy. Chciałam być z tobą. Położyłam Aleksandrę na ziemi, wciąż owiniętą jednym z moich szali, a następnie zaczęłam szorować śniegiem nogi i spódnice, żeby zetrzeć plamy krwi. Wszystkie haczyki przy moim futrze zostały wyrwane, więc zdjęłam jeszcze jeden szal i zawiązałam go jak pasek. I właśnie wtedy poczułam pod palcami naszyjnik z bursztynu, który dostałam od ciebie i Maszy tamtego pamiętnego lata tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

Nie mogłam uwierzyć, że złoczyńcy go przeoczyli, sama świadomość, że mam na sobie coś, czego ty dotykałeś, dodała mi siłę, żeby iść. Podniosłam Aleksandrę i ruszyłam przed siebie. Szłam długo, chyba przez parę godzin, nie wiedząc, w jakim kierunku zmierzam ani gdzie znajduje się droga. Ciemności rozjaśniał jedynie leżący na ziemi śnieg. Próbowałam odnaleźć jakieś ślady, ale bez powodzenia, bo świeża warstwa puchu przykryła wszystko dookoła. Wreszcie

zobaczyłam między drzewami białą wstążkę drogi. Nie byłam nawet pewna, czy to ta sama, którą szliśmy wczoraj, ale przed świtem udało mi się dotrzeć z powrotem na tamtą polanę.

Ktoś poukładał ciała zabitych w równym, porządnym rzędzie. Znalazłam mamę i Minnę, leżące jedna obok drugiej, ale ciebie nie udało mi się odnaleźć, mój ukochany. Były tam tylko trupy kobiet, nie żołnierzy. Gołymi rękoma zdrapałam z ziemi śnieg i kijem próbowałam wykopać mogiłę, ale zmarznięta ziemia okazała się twarda jak kamień, więc w końcu położyłam się obok nich, wciąż tuląc naszą córeczkę, i starałam się zasnąć, w nadziei, że jeśli mi się uda, to może już nigdy się nie obudzę.

O świcie znalazł mnie tam Manfred Adolf.

W pierwszej chwili pomyślałam, że umarłam, a on został przysłany, żeby zabrać mnie tam, dokąd ludzie idą po śmierci. Jednak zaraz okazało się, że przybył tu z oddziałem niemieckich żołnierzy walczących u boku Rosjan przeciwko Rzeszy z ramienia Sowieckiego Komitetu Narodowego dla Wolnych Niemiec albo jakoś tak, jak oznajmił mi z dumą. Manfred wciąż uwielbia wygłaszać przemówienia polityczne, ale nie byłam w stanie ich wysłuchiwać.

Powiedział mi, że nasze wojska pod Stalingradem wcale nie walczyły do ostatniego żołnierza, jak obwieścił Goebbels, i że dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy wolało sowiecką niewolę niż śmierć. Najwyraźniej Manfred wykorzystał ten czas do przestudiowania z bliska ideologii komunizmu i teraz wydawał się jeszcze bardziej zagorzałym zwolennikiem czerwonych, niż zapamiętałam z przeszłości.

Dał mi jakiś koc i trochę jedzenia. Kiedy jedliśmy, opowiedziałam mu, co się stało z Ireną, Wilhelmem, ich dziećmi i jego rodzicami. Słuchał mnie z ponurym wyrazem twarzy, ani jednym słowem nie wyrażając współczucia ani żalu, ale w zasadzie co miał powiedzieć? W całej wschodniej Europie nie było mężczyzny, kobiety ani dziecka, którzy nie ucierieliby na skutek tej straszliwej, krwawej wojny.

Dziwnie się czułam, patrząc na tego poważnego, przepelnionego ideologią komunistyczną młodzieńca, którego miałam zwyczaj przedrzeźniać razem z innymi kolegami z orkiestry, a który teraz przemienił się w żołnierza, oficera i dowódcę. Potem pomyślałam o tobie, Sasza, i o Wilhelmie i Paulu, i zastanowiłam się, że tak naprawdę mało wiemy o tych, których kochamy.

Manfred wydał rozkaz swoim ludziom, żeby za pięć minut byli gotowi do wymarszu. Natychmiast go posłuchali. Potem powiedział, że jego zdaniem najlepszym sposobem dotarcia do Berlina - i Ericha - będzie przyłączenie się do jednego z cofających się oddziałów niemieckich. Obiecał, że postara się podwieźć mnie tak blisko naszych oddziałów, jak tylko zdoła.

Zanim odeszłam z nim i jego żołnierzami, położyłam Aleksandrę na piersi mamy i pocałowałam na pożegnanie moją matkę i naszą córeczkę. Nie miałam wyboru. Musiałam je tam zostawić, leżące na śniegu, i mieć nadzieję, że jakaś dobra dusza zlituje się i je pochowa, kiedy nadejdzie odwilż.

Z pewnością poza tobą, mój kochany, wśród Rosjan także zdarzają się porządni ludzie.

Manfred ryzykował życie, podwożąc mnie w pobliże oddziału Luftwaffe. Jego dowódca widział, w jakim jestem stanie. Nie skomentował tego ani jednym słowem, ale na pewno on i wszyscy pozostali domyślili się, co mi się przydarzyło. Dał mi pistolet (ale bez amunicji), tę książkę raportową oraz mundur dziewczyny, która niedawno została zabita. Na szczęście pasował, choć trudno mi było udawać, że nie widzę krwawych plam na koszuli i bluzie.

Mam nadzieję, że Erich bezpiecznie dotarł do mamy von Letteberg. Jeśli nie, to nigdy sobie nie daruję, że go wysłałam. Jednak wiem doskonale, że gdyby został ze mną, to zginąłby w lesie razem z innymi niemieckimi kobietami i dziećmi.

Niedziela, 28 stycznia 1945

Schroniliśmy się w zbombardowanym kościele. Dach się zapadł, a pomiędzy ławkami pełno było odłamków. Nie mamy już benzyny do generatora ani amunicji, a dwie z naszych czterech ciężarówek są zepsute. Mechanicy dokonują cudów, żeby jakoś je uruchomić. Jeśli im się nie uda, część z nas będzie zmuszona kontynuować wędrówkę na zachód na własnych nogach.

Kilka dziewczyn roznieciło ogień i zaparzyło kawę z żołądzi. Ja jednak nie czuję głodu ani pragnienia. Przez cały czas dręczy mnie niepokój o Ericha.

Wreszcie znaleźliśmy się w pobliżu kierunkowskazu wskazującego drogę do centrum Berlina. Kiedy nasz dowódca zauważył, że spoglądam na znak, wezwał wszystkich na apel i ostrzegł, że wszelkie próby ucieczki będą karane śmiercią. Nie będzie żadnych wyjątków, mówił, nawet jeśli ktoś ma tam dom, przyjaciół albo krewnych.

Już wcześniej słyszałam o zniszczeniach spowodowanych przez naloty aliantów, ale na widok smutnej rzeczywistości łzy same napłynęły mi do oczu. Na ścianach wciąż widnieją wymalowane farbą hasła, ale jakże odmienne od tych propagowanych przez partię. Na resztkach zbombardowanego hotelu czyjaś ręka wypisała słowa: „Jeden naród, jedno państwo, jedna ruina”, co miało być ironiczną parafrazą hasła Goebbelsa „Jeden naród, jedno państwo, jeden Führer”. Jakże Wilhelm śmiałby się na ten widok.

Oficerowie przed chwilą oznajmili nam, że ciężarówek nie da się zreperować. Dwadzieścioro nas otrzymało rozkaz zabrania swoich rzeczy i marszu na zachód, żeby przyłączyć się do jakiegokolwiek oddziału, który zamierza walczyć.

Wiem, że ani oficerowie, ani żołnierze nie mają już sił ani ochoty do walki. Na widok otaczającej nas zewsząd śmierci i zniszczenia wydaje się to całkiem bezsensownym wysiłkiem.

Czy powinnam zaryzykować i próbować uciec? Nie. Jeśli zostanę schwytana i rozstrzelana, to co się stanie z Erichem?

Czwartek, 29 marca 1945

Od tygodni kontynuujemy naszą wędrówkę na zachód, lecz napotkaliśmy niewielu dowódców, którzy myślą jeszcze o stawianiu oporu. Wszystkie dziewczęta uważają, że koniec już blisko, choć żadna nie waży się powiedzieć tego na głos. Na szczęście w tym zakątku Bawarii panuje spokój - przynajmniej na razie.

Dziś pełniłam służbę od czwartej do ósmej rano. Niebo na wschodzie oblało się czerwienią, zwiastując wschód słońca, co przywiodło mi na myśl Prusy Wschodnie, rozpalone łuną pożarów po sowieckich bombardowaniach. Po zakończeniu warty poszłam do kościoła, ponieważ tak mi kazano, ale nie potrafiłam udawać, że się modlę. Nawet wówczas gdy nasi oficerowie patrzyli prosto na mnie. Gdyby ktoś mnie spytał, powiedziałabym, że moim zdaniem komuniści mają rację, że Bóg nie istnieje. Jednak może wcześniej pomyślałabym o Erichu i ugryzłabym się w język.

Teraz już wiem, jak to jest być więźniem. Próbowaleś mi to wytłumaczyć, mój najdroższy, ale nie rozumiałam. Nie chodzi o to, że człowiek siedzi zamknięty w celi, ale że traci możliwość pójścia tam, dokąd chce i kiedy chce.

Dziewczęta przestały przyglądać mi się podejrzliwie. Dwie z nich nawet odważyły się zapytać, jak to jest być zgwałconą przez Rosjan. Po drodze spotykamy mnóstwo kobiet, które doświadczyły tego samego co ja, i wszystkie opowiadają dramatyczne historie o swoich przyjaciółkach, które tę mękę przypłaciły życiem.

Oficerowie bez przerwy przypominają nam, że wszystkie próby dezercji będą karane śmiercią. Pomimo ich groźnej postawy świetnie wiemy, że tak samo jak nas przeraża ich widmo klęski, ponieważ koniec tej wojny będzie oznaczał unicestwienie Niemiec.

W Grunwaldsee byłam tak bezpieczna i chroniona. Nie miałam o niczym pojęcia. Dopiero teraz widzę prawdziwy rozmiar zniszczeń spowodowanych przez wojnę, którą my, Niemcy, pozwoliliśmy Hitlerowi rozpętać. Po kraju krążą straszliwe pogłoski na temat Anglików i Amerykanów. Podobno pożerają niemowlęta, gwałcą kobiety, a potem do nich strzelają. Po tym, co sama przeżyłam w Prusach Wschodnich, jestem skłonna uwierzyć we wszystko, ale jak zapowiedziałam dziewczynom, raczej sama się zabiję, niż pozwolę, żeby tknął mnie następny żołnierz - i naprawdę tak myślę.

Czy jest jakiś sens nosić mundur albo próbować walczyć, kiedy każdy Niemiec już wie, że przegraliśmy wojnę? Teraz zależy mi jedynie na tym, by jak najszybciej odnaleźć Ericha. Napisałam parę listów do Berlina, ale na żaden nie otrzymałam odpowiedzi. Nadeszły jedynie przerażające wieści, że wszędzie toczą się ciężkie walki.

Muszę skończyć pisać, bo przed chwilą przyszedł kapral, żeby nam powiedzieć, że złapali Gabrielle i Annę. Obie pochodzą z wioski leżącej dwadzieścia kilometrów stąd i próbowały przedostać się do domu. Czy to straszne przestępstwo? Myślę, że większość z nas chciałaby pójść do domu, gdybyśmy jeszcze mieli domy, do których można wracać.

Wtorek, 10 kwietnia 1945

Wczoraj rozkazano nam obejść miejscowe gospodarstwa i szukać pracy. Już nikt nie mówi o stawianiu oporu czy walce do upadłego, a jednak wciąż nie pozwalają nam złożyć broni. Zanim wyszliśmy, przymuszono nas do kopania grobu dla Gabrielle i Anny, a potem oficerowie kazali nam stanąć w rzędzie, żebyśmy byli świadkami egzekucji. Obie dziewczyny zostały zmuszone do ukłęknięcia nad brzegiem wykopu, a następnie zabite strzałem w głowę i kopniakami wepchnięte do dołu. Potem kazano nam zasypać grób. Nie mieliśmy nawet przecieradeł, żeby owinąć nimi zwłoki. Zanim zabraliśmy się do pracy, zamknęłam im oczy; wydawało mi się, że nie wypada zasypywać ich ziemią, kiedy wciąż na nas patrzyły.

Gabrielle miała zaledwie siedemnaście lat, a Anna osiemnaście. Stracono je za dezercję z armii, która już nie ma sił walczyć, a jedynie wysyła zmobilizowane w ostatniej chwili kobiety, by szukały pracy u rolników. I pomyśleć, że kiedyś Hitler mówił, że nie pozwoli, aby kobiety brały udział w wojnie, ponieważ ich miejsce jest w domu.

Czułam się jak ostatnia żebraczka, chodząc od gospodarstwa do gospodarstwa i pytając, czy znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie, podczas gdy w głębi duszy myślałam jedynie o tym, żeby jak najprędzej wyrwać się na północ. Jednak nawet gdyby nie wchodziło w grę ryzyko rozstrzelania za dezercję, to i tak nie warto by było próbować. Uciekinierzy opowiadali, że cały kraj jest jednym wielkim polem bitwy. Żona jakiegoś gospodarza dała mi pracę na następne dwa dni. Mimo panującego tu zamieszania ktoś musi posadzić ziemniaki i zagrabić siano.

Frau Strasser nie wie, czy jej mąż i dwaj synowie jeszcze żyją. Córka zginęła przed dwoma laty podczas nalotu na Kolonię. Miała wtedy osiemnaście lat. Mam nadzieję, że jej synowie i mąż wrócą, chociaż wydaje mi się, że ona już przestała wierzyć, że ich jeszcze kiedyś zobaczy. Ostatnie wieści, jakie dostała od męża, pochodziły z grudnia, kiedy brał udział w obronie Königsbergu, a wszyscy wiedzą, że miasto zostało zrównane z ziemią przez Rosjan, którzy z zimną krwią wymordowali wszystkich Niemców. Od razu pomyślałam o Brunonie. Czy on też tam był?

Czwartek, 12 kwietnia 1945

Ostatniej nocy dotarli do nas następni uciekinierzy. Powiedzieli, że jeszcze tylko na południu toczą się ciężkie walki. Hanower padł, a Amerykanie opanowali Góry Harzu. Przez cały czas dokucza nam dotkliwy chłód.

Nasi dowódcy wciąż nie chcą nas zdemobilizować. Każdy dzień rozpoczyna się od inspekcji i ostrzeżeń, że dezercerzy zostaną rozstrzelani. Zresztą i tak nikt nie próbowałby ucieczki po tym, co spotkało biedne Gabrielle i Annę. Nie

jesteśmy pewni, kto dotrze do nas pierwszy - Rosjanie czy Amerykanie. Boję się jednych i drugich. Raczej mam nadzieję, niż się spodziewam, że wreszcie przyjdzie list, ale dotąd nie mam żadnych wiadomości.

Tak strasznie się boję o Ericha. Niektórzy uciekinierzy opowiadają, że Rosjanie nie pozostawili kamienia na kamieniu w całym Berlinie i żywcem spalili wszystkich, którzy ocalili - żołnierzy, cywilów, kobiety i dzieci. Ufam, że Erich i mama von Letteberg zdążyli uciec, zanim nadeszło najgorsze, i że są bezpieczni. Wiem, że dopóki rodzice Clausa żyją, na pewno zajmą się troskliwie moim synem.

Poniedziałek, 30 kwietnia 1945

Wszystkie zostałyśmy skierowane do służby pomocniczej. Powiedziano nam, że jesteśmy pilnie potrzebne w Augsburgu. Ostatnią noc musiałyśmy spędzić w koszarach, ale kiedy rano zameldowałyśmy się w zakładach lotniczych, brygadzysta wcale nie ucieszył się na nasz widok. „Co, zgłaszacie się do pomocy dopiero teraz, kiedy Angole stoją już u bram Augsburgu?“, powiedział z goryczą.

I na tym się skończyło; musiałyśmy jechać z powrotem. Pociągi nie kursowały, ale wysłano po nas ciężarówkę. Rozdzieliliśmy między siebie to, co zostało z prowiantu, bo nawet nie byłyśmy pewne, czy zostaniemy razem. Ciężarówka jechała przez większą część nocy, a potem zatrzymała się w pobliżu jakiegoś obozu. Ostrzeżono nas, żeby się nie zbliżać, ale i tak bez trudu widziałyśmy ludzi, których trzymano za drutami. Albo raczej tych, którzy niegdyś byli ludźmi. Teraz wyglądali jak szkielety i z trudem trzymali się na nogach.

Od razu pomyślałam o Irenie, Mariannie i Karoline i przerzuciłam przez druty na drugą stronę całe jedzenie, które miałam przy sobie. Szkielety rzuciły się jak stado wygłodniałych sępów. Jakiś strażnik krzyknął na mnie, a ja odkrzyknęłam, że powinien się wstydzić, że w taki sposób traktuje ludzkie istoty. Wtedy dziewczyny szybko odciągnęły mnie stamtąd, w obawie, że sprowadzę na nas kłopoty, jeśli wybiegną strażę.

A teraz... Teraz naprawdę jestem żebraczką, bez dachu nad głową i bez noclegu nawet w tych nędznych koszarach. Gdyby nie ten naszyjnik z bursztynu, klucze, dokumenty i pamiętnik, które pieczołowicie przechowuję w plecaku, na serio zaczęłabym się zastanawiać, czy Grunwaldsee i całe nasze życie w Prusach Wschodnich nie są przypadkiem tworem mojej wyobraźni.

Wtorek, 1 maja 1945

Wszystkie kobiety z mojego oddziału w końcu zostały zwolnione. Na piechotę poszliśmy do najbliższej wioski, gdzie żona rolnika, Frau Weser, dała mi pokój i utrzymanie w zamian za pracę w gospodarstwie. Przyniosła mi narzutę z łóżka, żebym uszyła sobie z niej sukienkę. To niezbyt mądre paradować w mundurze, kiedy lada moment zjawią się tu nasi wrogowie, ale nie miałam żadnych cywilnych ubrań.

Po wycofaniu się wczoraj naszych żołnierzy ludzie w wiosce wywiesili w oknach białe flagi. Na ulicach panuje niesamowita cisza. Cofające się oddziały wysadziły wszystkie mosty w okolicy, a bombardowania wreszcie się skończyły. Przez wieś przejechał pierwszy amerykański czołg i zaraz stało się jasne, że Amerykanie nie są ludożercami ani nie mordują niemowląt. Mam na sobie uszytą z narzuty sukienkę i żaden z nich nie spojrzał na mnie drugi raz, no chyba że tak jak na inne kobiety.

Na razie wioska pozostała nietknięta; nie wiadomo, co się wydarzy, kiedy zjawi się tu piechota. Postanowiłam, że jeśli okażą się tacy jak Rosjanie, pobiegnę na wieżę kościoła i stamtąd rzucę się w dół.

Frau Weser powiedziała, że mogę u niej mieszkać tak długo, aż zaczną kursować pociągi, a drogi znów staną się przejezdne. Umieram z niepokoju o Ericha, teściów, Irenę i jej dzieci, a także o Clausa, ale wiem, że nie ma sensu starać się dostać do Berlina, dopóki trwają tam walki.

Środa, 2 maja 1945

Trudno uwierzyć, że to maj. W zeszłym roku o tej porze w Grunwaldsee trwały prace na polach, a teraz panuje straszny ziąb i sypie śnieg. Wszystko wywróciło się do góry nogami, nawet natura. Wczoraj do wsi wkroczyli Amerykanie i zajęli trzydzieści domów, ale żołnierze zachowują się całkiem przyzwoicie. Co prawda zajrzeli do każdego gospodarstwa w poszukiwaniu broni i amunicji, ale nie było żadnego rabunku, plądrowania, grabieży ani gwałtów, tak jak to robią inni cudzoziemscy żołnierze, którzy zalewają nasz kraj. Nikt nie wie, kim oni są ani skąd pochodzą.

Poszłam do kościoła, zupełnie niepotrzebnie, . ale Frau Weser oczekiwała, że z nią pójdę. Wczoraj wrócił jeden z jej synów. Patrząc na ich przywitanie, myślałam o Paulu, Wilhelmie, a nawet o Clausie.

Potem wszyscy poszliśmy na pogrzeb jednej z dziewcząt pracujących w łączności, która zginęła w Wegele na skutek ostrzału z nisko lecącego samolotu. Przynajmniej ma porządną grób i rodzina może ją opłakiwać, a to znacznie więcej niż w wypadku Paula i Wilhelma. Tak jak każdy, kto znalazł się w tej wiosce przez czysty przypadek, żyję chwilą obecną, starając się nie myśleć o przeszłości ani nie czekać na przyszłość. Tylko czasami, kiedy wszyscy inni pogrążeni są w głębokim śnie, pozwalam sobie na wspomnienia.

Nienawidzę pisać w tym dzienniku raportowym - kartki są takie szorstkie i cienkie. Teraz jestem z powrotem w domu Frau Weser, więc odważyłam się wyciągnąć pamiętnik, żeby wprawić do niego zapisane wcześniej kartki. Spoglądam na swój pamiętnik i zastanawiam się, gdzie się podziała ta głupiotka, lekkomyślna dziewczyna, która zaczynała go pisać.

Syn mojej gospodyni upiera się, że pogłoski o śmierci Führera są prawdziwe. Kiedy pomyślę, w jak okrutny sposób stracono Wilhelma i innych, i o tych wszystkich ludziach, którzy jak Paul zginęli w wyniku działań wojennych, mam nadzieję, że Hitler naprawdę nie żyje i poszedł prosto do piekła, w którym będzie się smażyć przez całą wieczność.

Chociaż przestałam wierzyć w Boga i zupełnie zarzuciłam modlitwę, czasami zakradam się do katolickiego kościoła, kiedy jest tam pusto i cicho, i zapalam świecę - na wypadek gdyby istniało życie pozagrobowe i papa, mama, Wilhelm oraz Paul mogli mnie zobaczyć. Czasami zapalam jeszcze jedną, na intencję odnalezienia Ericha, Ireny i dziewczynek. Jednak robię to tylko po to, by podtrzymać nadzieję, a nie by się modlić.

Piątek, 4 maja 1945

Wojna się skończyła. Jutro o dziewiątej rano mają się skończyć walki w Holandii, północnych Niemczech i Danii. Broń zostanie złożona. Amerykanie wycofali się, a ich miejsce zajęli francuscy żołnierze de Gaulle'a. Frau Weser przyjęła na kwaterę trzech oficerów. Dwaj z nich to porządni ludzie, ale trzeci jest zwykłym łajdakiem. Chodzę z Frau Weser dosłownie wszędzie, żeby mieć pewność, że ten łobuz nie przyłapie mnie samej.

Sobota, 5 maja 1945

Jeden z tych przyzwoitych oficerów mieszkających u mojej gospodyni opowiedział nam o obozie w Dachau, w którym przetrzymywano Żydów i przeciwników politycznych Trzeciej Rzeszy. Jeszcze przed wojną słyszałam o tym Dachau. Frau Weser nie wierzyła mu ani trochę, kiedy opisywał, co tam się działo, ale ja przypominałam sobie ów obóz za drutami, w którym widziałam chodzące szkielety, i od razu wiedziałam, że Francuz mówi prawdę.

Pomyślałam o Irenie i dziewczynkach, a także o Ruth i Emilii. Czy któraś z nich trafiła do Dachau? Nie mogę sobie darować, że wtedy w Allenstein siedziałam w samochodzie i przyglądałam się z założonymi rękoma, jak Georg wypcha moje koleżanki do ciężarówek razem z innymi żydowskimi dziećmi.

Ten oficer, który opowiadał o obozie, sam jest Żydem. Zaproponował, że zawiezie mnie i Frau Weser do Dachau, żebyśmy na własne oczy się przekonały, jakie tam panowały warunki. Z kolei Frau Weser pragnęła mu udowodnić, że się myli, więc pojechałyśmy, tak jak sobie życzył. Podróż nie trwała długo. W pewnej chwili zorientowałam się, że stoję przed bramą tego samego obozu, który widziałam, kiedy jeszcze byłam w oddziale Luftwaffe.

W jaki sposób opisać ten przerażający horror? Nawet to, co już widziałam, ani rozmowy z Wilhelmem czy słowa Saszy, który opowiadał mi o obozie dla jeńców wojennych, nie przygotowały mnie na ten widok.

Francuski oficer pokazał nam poplamione krwią komory tortur. Od razu pomyślałam o Wilhelmie i niewiele brakowało, abym zemdląła. Nie potrafię sobie wyobrazić, że za pomocą tych instrumentów jeden człowiek mógł zadawać drugiemu tak okropny ból. Wreszcie rozplakałam się z szoku i przerażenia - bezgłośnie, bez pochlipywania, lecz tymi cichymi łzami, które ściskają gardło i nie pozwalają wykrztusić słowa.

Pokazał nam jeszcze pomieszczenie z głowicami pryszniców, z których puszczano gaz; wanny, do których nalewano wrzątek; kruszarki, w których miażdżono żywych ludzi, oraz bunkier. Więźniowie byli wpychani do drewnianych klatek o długości dwóch metrów, w których przetrzymywano ich przez czternaście dni albo do chwili, gdy umarli z wyczerpania. Widziałam także krematorium, gdzie palono ludzi - nierzadko byli jeszcze wtedy żywi.

Ludzie, których tam ujrzałam, przypominali szkielety, tak samo jak ci, którym rzuciłam jedzenie. Trudno mi było uwierzyć, że ktoś, kto wychudł do tego stopnia, wciąż może pozostawać przy życiu. Jeden z więźniów zadał mi pytanie, czy jestem tamtą dziewczyną, która przerzuciła przez druty chleb i krzyknęła na strażnika, że powinien się wstydzić. Nie potrafiłam określić, czy rozmawiam z mężczyzną czy z kobietą, ale wówczas ten człowiek powiedział, że nazywa się Samuel i że teraz więźniowie znajdują się pod opieką Amerykanów. Mają pod dostatkiem jedzenia i lekarstw, a mimo to wciąż umierają.

Odparłam, że zrobiłam tylko to, co na moim miejscu zrobiłby każdy porządny człowiek. Wtedy powiedział, że mój okrzyk, że strażnicy powinni się wstydzić, uratował mu życie, ponieważ uwierzył, że wciąż istnieją ludzie - w dodatku ładne dziewczęta, jak się wyraził - skłonni traktować Żydów jak istoty ludzkie.

Dziwne, ale po tym wszystkim, przez co przeszłam, wcale nie czuję się jak młoda dziewczyna, nie mówiąc już o urodzie.

Dla niektórych pomoc nadeszła zbyt późno. W powietrzu wisiał smród nie do opisanego, zupełnie jakby przywarł do tych wychudzonych szkieletów. Amerykanie zapewnili, że będą się troszczyć o więźniów tak długo, aż ktoś zdecyduje, co dalej z nimi robić.

W czasie drogi powrotnej ani ja, ani Frau Weser nie mogłyśmy wykrztusić słowa. Kula w moim gardle rosła i rosła, a łzy nieprzerwanym strumieniem napływały do oczu. Jak można zgotować tak potworny los swoim współbraciom, nawet jeśli są wrogami? Strażnicy w obozie zachowywali się jak zwierzęta - nie, gorzej niż zwierzęta. Żadne zwierzę nie traktuje w taki sposób innych przedstawicieli swojego gatunku.

Któryś z amerykańskich żołnierzy powiedział mi, że Rosjanie odkryli na terenie Polski jeszcze gorsze obozy. Podobno trafiało tam do komór gazowych po tysiąc Żydów dziennie. Czy właśnie to widział Wilhelm w Polsce i Rosji? Czy to był ów horror, o którym mówił i który zgodnie z jego słowami krył się za zasłoną kłamstw?

Czy Sasza też o tym wiedział? Mówił, że więźniowie w jego obozie padają jak muchy, ale wówczas sądziłam, że miał na myśli przymieranie głodem i wszechobecny brud. A może celowo mijał się z prawdą? Czy właśnie dlatego nigdy nie przysyłano nam żywności dla niego i jego ludzi? Czy rzekome przesiedlenie Żydów w rzeczywistości oznaczało wysyłanie ich do takich obozów?

Tyle ludzi musiało przecież wiedzieć o ich istnieniu; strażę, kierowcy ciężarówek, przewożących uwięzionych; naoczni świadkowie, którzy tak jak ja w Allenstein widzieli, jak Żydzi są spędzani w jedno miejsce i wywożeni w nieznanym kierunku; a także żołnierze walczący na wschodzie razem z Wilhelmem i Paulem.

Przynajmniej mój brat i jego pułkownik starali się powstrzymać to szaleństwo. Reszta nas stała z boku z założonymi rękoma, nie podejmując żadnych działań. Muszę uczciwie przyznać, że już dawno obudziły się we mnie pewne podejrzenia - czemu więc nie stawiałam pytań? Wszyscy powinniśmy coś zrobić, ale woleliśmy zachować milczenie i sądzę, że właśnie z tego powodu cały niemiecki naród zostanie skazany na potępienie przez resztę ludzkości. Wilhelm miał rację. Cóż za straszliwe dziedzictwo zostawiamy w spadku naszym dzieciom!

Czwartek, 10 maja 1945

Dziś usłyszeliśmy, że feldmarszałek Keitel podpisał akt kapitulacji, poddając się aliantom. Nareszcie wojna dobiegła końca. Niemcy przestały istnieć, a ja - podobnie jak miliony innych - straciłam prawie wszystkich, których kochałam, i wszystko, co miałam, łącznie z moją ojczyzną.

Tyle ludzi zginęło, odeszło na zawsze! Jutro wyruszam piechotą do najbliższego miasta i spróbuję zarejestrować się gdzieś, w nadziei że uda mi się odszukać Ericha, Irenę, Mariannę i Karoline. Teraz już nikt nie zdoła mnie powstrzymać. Ostatecznie któreś z nich musiało przeżyć - po prostu musiało! Przeraza mnie myśl, że być może nigdy nie odnajdę swojego syna; że dowiem się, iż nikt z moich bliskich i ukochanych nie pozostał przy życiu.

Rozdział siedemnasty

Piątek, 25 maja 1945

Właśnie wróciłam z amerykańskiego obozu dla jeńców wojennych - znowu! Od dwóch tygodni jeżdżę tam każdego ranka, a mimo to jeszcze nie wydali mi zezwolenia na podróż, żebym mogła wyjechać z Bawarii i zająć się szukaniem Ericha. Ile już razy błagałam tych bezdusznych urzędników, by się nade mną zlitowali, tłumacząc wszystkim razem i każdemu z osobna, że w styczniu zmuszona byłam wysłać do Berlina czteroletniego synka.

Ich odpowiedź zawsze wyglądała tak samo; że jeśli istotnie martwiłam się o syna, to nie powinnam była nigdzie go wysłać, a już na pewno nie do Berlina. Jestem zbyt rozżalona i zdenerwowana, żeby bez końca wyjaśniać, że nie miałam wyboru. Bo gdybym zatrzymała Ericha przy sobie, to na pewno zostałby zamordowany przez Rosjan razem z innymi kobietami i dziećmi, które uciekały z Allenstein.

Dziś rano spytałam, czy może dostali wykazy więźniów uwolnionych z obozów, bo miałam nadzieję, że znajdę tam nazwisko Ireny. (Wiedziałam, że szukanie dziewczynek mija się z celem, skoro esesmanki uprzedziły, że małe dostaną inne nazwiska). Jednak nawet jeśli Amerykanie stworzyli taką listę, to do urzędników jeszcze nie dotarła. Potem przypomniałam sobie o mamie i papie von Letteberg i o Grecie, więc spytałam, czy mają dane osób, które przeżyły bombardowanie Berlina. I znów usłyszałam odpowiedź, że nie.

Frau Weser widzi moje przygnębienie, kiedy wracam do domu, więc stara się mnie pocieszyć. Dziś poczęstowała mnie talerzem rosółu i powiedziała, żebym się nie martwiła, bo jutro będzie nowy dzień. Niestety, nie potrafię przestać myśleć, że być może już nigdy nie zobaczę Ericha.

Poniedziałek, 28 maja 1945

Wreszcie otrzymałam od Amerykanów pierwszy dokument. Zostało tam oficjalnie napisane, że nie jestem podejrzana o przynależność do niemieckiej armii, więc teoretycznie mogę jechać, dokąd mi się żywnie podoba. Ale ponieważ odmówiono mi wydania potwierdzenia podróży, jak również dokumentów potwierdzających moje zwolnienie, więc nie mogę jechać pociągiem.

Kiedy zawzięcie klóciłam się z urzędnikami, jakiś bardzo szczupły mężczyzna stuknął mnie w ramię. Nie poznałam go, za to on poznał mnie. To był Samuel Goldberg - więzień, którego spotkałam w Dachau. Wciąż sprawia wrażenie chorego, ale i tak wygląda o wiele lepiej niż wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy.

W obozie amerykański lekarz uznał, że stan jego zdrowia jest zbyt kiepski, żeby mógł wstać z łóżka, ale Samuel nie chciał czekać ani chwili dłużej, tylko natychmiast szukać swojej rodziny. Przed wojną prowadził w Hamburgu małą drukarnię i mieszkał na przedmieściach razem z żoną i trójką dzieci. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku cała jego rodzina, łącznie z rodzicami, braćmi i siostrami, została wysłana na wschód. Wiedział już, że rodzice i bracia zginęli, natomiast z żoną i trojgiem dzieci rozłączono go w obozie w Rydze w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, więc wciąż miał nadzieję, że jakimś cudem udało im się przeżyć.

Amerykanie wydali mu dokumenty uprawniające do podróży do dowolnego miasta lub miejscowości na terenie Niemiec, a także kartki na żywność i uprawnienie do zakwaterowania dla niego i towarzyszącej mu osoby. Powiedziałam, że ja także szukam synka, teściów i bratowej, a wówczas zaproponował, że zabierze mnie z sobą. Tak mnie zaskoczył swoją uprzejmością, że wręcz nie wierzyłam własnym uszom. Wyjeżdżamy jutro wcześniej rano pierwszym pociągiem zmierzającym w kierunku północnym. Samuel ma ochotę rozpocząć szukanie od Hamburga, chociaż wątpi, by żona zdo-

łała tam dotrzeć w tak krótkim czasie. Jednak mogli już wrócić inni Żydzi, którzy znali jego rodzinę, więc ma nadzieję, że dowie się czegoś o losie swoich bliskich.

Hamburg leży znacznie bliżej Berlina niż Bawaria. Tylko czy Erich nadal jest w Berlinie?

Wtorek, 29 maja 1945

Wciąż jestem u Frau Weser. Jestem ranna i wściekła jak diabli. Ten okropny francuski żołnierz wczoraj wieczorem upił się jak świnia i w takim stanie wrócił do domu. On i jego kumple przez cały dzień płądrowali rezydencję Hitlera w Berchtesgaden, więc przytaszczył ze sobą poszewkę na poduszkę pełną damskich fatalaszków i koniecznie chciał mi je dać.

Wiadomo, czego oczekiwał w zamian. Co gorsza, nie miał zamiaru rezygnować, mimo że od razu zdecydowanie odmówiłam. W końcu doszło do szarpaniny; krzyczałam, żeby ktoś przyszedł mi z pomocą, ale Frau Weser i jej syn byli w oborze, zajmowali się chorą krową, a pozostali żołnierze jeszcze nie wrócili. Wreszcie roztrzaskałam mu na głowie wazon, on zaś zrewanżował się, strzelając mi w nogę.

Frau Weser i jej syn pędem przybiegli do domu, zaniepokojeni hukiem wystrzału. Pocisk przebił mi nogę, niszcząc jedyną parę ręcznie dzierganych pończoch, które dostałam od mojej gospodyni. Rana strasznie krwawiła, więc Frau Weser wysłała syna po doktora. Był poza domem, ale przyszedł jego brat, który także jest lekarzem i właśnie przed paroma dniami wrócił z Berlina, gdzie pracował w szpitalu wojskowym. Spytałam go, tak jak pytam każdego, kto przyjechał z północnej części Niemiec, czy znał von Lettebergów.

Cudownym zbiegiem okoliczności znał ich i darzył wielkim poważaniem. Jednak miał dla mnie jak najgorsze wieści. Papa i mama von Letteberg nie żyją. Zginęli, kiedy bomba spadła na dom, w którym znajdowało się ich mieszkanie. Doktor słyszał, że spod ruin wydobyto ich wnuka, ale nie miał pojęcia, czy Erich był ranny ani co potem się z nim stało. Uczepiłam się myśli, że dwa miesiące temu mój synek jeszcze żył.

Nie mogę chodzić na chorej nodze, więc syn Frau Weser dał mi laskę, żebyśmy miała na czym się opierać. Samuel zgodził się opóźnić nasz wyjazd o dzień, ale jutro zdecydowanie ruszamy na północ. Chcę zajrzeć do obozu dla uchodźców i razem z Samuelem pójść do biura w Hamburgu. Jeśli tam nie znajdę żadnych śladów Ericha, Ireny i dziewczynek, pojedę prosto do Berlina. Pojadę, chociaż Berlin wciąż znajduje się w rękach Rosjan.

Sobota, 30 czerwca 1945

Wczoraj wyjechałam z Hamburga. Samuel i ja zarejestrowaliśmy się w biurze Czerwonego Krzyża, podaliśmy dane naszych bliskich, i tam się dowiedziałam, że Erich przebywa w katolickim sierocińcu w Celle.

Nie mogłam doczekać się na pociąg, więc ignorując rady Samuela, ustawiłam się na poboczu drogi i prosiłam o podwiezienie kierowcę każdej wojskowej ciężarówki. Jakiś angielski porucznik przywiózł mnie pod same drzwi sierocińca, chociaż musiał nadłożyć ładny kawałek drogi.

Kiedy wytłumaczyłam, kim jestem, jedna z siostr zaprowadziła mnie prosto do łóżeczka Ericha w izbie chorych. Erich ma dyfteryt i jest naprawdę bardzo chory. Siostra dyżurna poinformowała mnie, że od dwóch dni nie otworzył oczu. Widziała, że nie ma mowy, żebym stąd odeszła, więc zaferowała mi pracę sprzątaczką w zamian za jedzenie i prowizoryczne posłanie na podłodze w sypialni na poddaszu, gdzie nocują starsze dziewczęta.

Wciąż myślę o Samuelu i jego minie, gdy ujrzał, jak wdrapuję się na ciężarówkę pełną obcych mężczyzn. Przez ostatnie tygodnie staliśmy się sobie równie bliscy jak rodzina, o ile nie bardziej.

To było rozdzierające serce doświadczenie, jeździć z nim od jednego obozu dla uchodźców do drugiego. Dopiero co zaczęto tworzyć listy ocalałych, więc wszędzie panuje niesamowity bałagan. Sprawdzam je najdokładniej, jak się da, w nadziei, że znajdę dane Ireny i dziewczynek, i pytam każdego, kogo tam spotkam, czy może wie coś na ich temat, ale na razie bezskutecznie. Wszyscy mówią jedno i to samo - niemieccy krewni spiskowców byli trzymani w osobnych oddziałach więzień i obozów, więc „normalny” więzień nie miał z nimi styczności.

Bardzo trudno było mi rozstać się z Samuelem. Obiecaliśmy sobie, że będziemy się kontaktować, ale jak to może się udać, skoro żadne z nas nie ma domu ani nawet stałego adresu?

Warunki w sierocińcu są okropne, zakonnice ciężko pracują, żeby ośrodek mógł w miarę normalnie funkcjonować. Niewielkie ilości jedzenia, jakie otrzymujemy, w całości pochodzą z dobroczynnych darów brytyjskich żołnierzy. Chociaż wszyscy dorośli starają się, jak mogą, żeby utrzymać czystość i porządek, jest to niemal niemożliwe, jeśli wziąć pod uwagę ogromną liczbę przebywających tutaj dzieci, a codziennie przybywa mnóstwo nowych.

Matka przełożona powiedziała mi, że jest niemal pewna, iż większość dzieci zostawianych tu przez Niemców pochodzi z ich rodzin, lecz ona nie ma serca odganiać nikogo od drzwi, skoro te dzieci przymierają głodem. Jedzenia jest tak mało, że prawie wszyscy Niemcy chodzą głodni. Przynajmniej raz, a czasem nawet dwa razy dziennie przyjeżdża brytyjska, francuska albo amerykańska ciężarówka, przywożąc tuzin lub więcej dzieciaków, które żołnierze znaleźli w ruinach zbombardowanych domów.

Dzieci śpią po troje i czworo w jednym łóżeczku, więc nie ma co się dziwić, że tak wiele z nich zaraziło się dyfterytem i odrą. Jakby tego nie było dość, dziś rano jedna z zakonnice u przywiezionego do nas dziecka rozpoznała szkarlatynę.

Jeśli - nie, kiedy - Erich wyzdrowieje, muszę go stąd zabrać. Ale dokąd pójdę, skoro nie mam pieniędzy ani przyjaciół, którzy mogliby mi pomóc?

Sobota, 18 sierpnia 1945

Wreszcie Erich nabrał tyle sił, żeby na kilka godzin wstać z łóżka. Biedaczek jest strasznie wychudzony i bardzo słaby, ale doktor powiedział, że jeśli zapewnię mu dobre jedzenie, odpoczynek i troskliwą opiekę, to choroba nie powinna pozostawić trwałych śladów. Jednak skąd wziąć jedzenie, skoro nie mam pieniędzy? Dziś po południu postanowiłam zabrać synka na krótki spacer. Jest ciepło i świeci słońce, więc może świeże powietrze dobrze mu zrobi.

Niedziela, 19 sierpnia 1945

Jestem tak wściekła, że trzęsą mi się ręce i ledwie mogę utrzymać ołówek. Kiedy mi o tym powiedziano, nagle wszystko wydało się oczywiste. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać o to matkę przełożoną?

Przypuszczałam, że Ericha przyprowadzili do sierocińca jacyś nieznajomi, wczoraj wieczorem jednak przypadkiem dowiedziałam się prawdy. Siedziałyśmy z siostrami w kuchni, gawędząc o naszych rodzinach, i w pewnej chwili powiedziałam, że gdy tylko Erich wyzdrowieje, od razu zacznę szukać mojej siostry i bratowej.

Wtedy jedna z zakonnice odrzekła, że jeśli chodzi o moją siostrę, to nie muszę szukać daleko, oczywiście o ile ona nazywa się Greta von Datski. Jest cała i zdrowa, pracuje jako tłumaczka u Anglików mniej więcej trzydzieści kilometrów stąd.

Siostra powiedziała mi także, że to Greta przyprowadziła Ericha do sierocińca po tym, jak w ostatnich dniach wojny przywiozła go do niej służąca mamy von Letteberg. Podobno Greta powiedziała matce przełożonej, że ledwie daje

radę troszczyć się o siebie, a co dopiero o dziecko, i że nie ma nikogo, kto mógłby zająć się Erichem, ponieważ cała reszta rodziny zginęła podczas wojny.

Jak Greta mogła zrobić coś podobnego?! Gdybym znalazła Mariannę i Karoline, na pewno nie zostawiłabym ich w jakimś sierocińcu!

Matka przełożona zobaczyła, jak bardzo jestem zła, i starała się mnie uspokoić. Mówiła, że w pierwszych tygodniach po zakończeniu wojny wszystkim było bardzo ciężko. Zapytała, czy Greta jest moją jedyną siostrą, a kiedy powiedziałam, że tak, chociaż mam jeszcze kochaną bratową, zaczęła nalegać, żebym zamiast złościć się na Gretę za porzucenie Ericha, raczej wzbudziła w sobie wdzięczność dla niej, bo poświęciła czas i zadała sobie sporo trudu, żeby przyprować mojego synka w bezpieczne miejsce.

Wtedy przypominałam jej o dyfteryście, ale odparła, że Greta w żaden sposób nie mogła przewidzieć, iż Erich zachoruje. Na końcu powiedziała, że życie jest zbyt krótkie, żeby pielęgnować w sobie gorycz i gromadzić urazy, i że nie powinnam zapominać, że Greta jest moją rodzoną siostrą - jedynym członkiem najbliższej rodziny, któremu oprócz mnie udało się przeżyć.

Chociaż wcale nie jestem pewna, w jaki sposób Greta mnie przyjmie, jednak zdecydowałam się pojechać pod adres, który podała mi przełożona. Nawet jeśli Greta nie będzie mogła lub - co bardziej prawdopodobne - nie będzie chciała nam pomóc, to całkiem możliwe, że dotarły do niej jakieś wieści o losie Ireny i dziewczynek.

To nie jest pierwszy raz, kiedy piszę, że Irena o wiele bardziej jest dla mnie siostrą, niż Greta była kiedykolwiek, i mam przeczucie, że nie piszę tego po raz ostatni.

Poniedziałek, 27 sierpnia 1945

Tak jak przypuszczałam, Greta nie chciała znać ani mnie, ani Ericha, za to zadała mi mnóstwo pytań na temat naszej rodzinnej biżuterii. Bez ogródek oświadczyła, że nie wierzy w moją historyjkę o rzekomym obrabowaniu przez Rosjan i że żąda, żebym w jej obecności opróżniła swój plecak.

Odmówiłam, ponieważ ogarnął mnie strach, że zechce zabrać dokument potwierdzający prawo do ziemi, klucze oraz akt nadania majątku Grunwaldsee. Kto wie, kiedy Rosjanie opuszczą Prusy Wschodnie, ale mam nadzieję, że niedługo, i że będziemy mogli tam wrócić. A kiedy to się stanie, dokumenty i klucze będą należały do dzieci Ireny, nie zaś do Grety.

Bardzo pilnuję, żeby naszyjnik z bursztynu, który niegdyś dali mi Masza i Sasza, nosić stale pod bluzką; nie mam wyrzutów sumienia, oszukując siostrę, że straciłam całą swoją biżuterię, tak samo jak klejnoty należące do niej, do mamy i Ireny, co zdaje się tylko doprowadza Gretę do większej furii.

Greta wynajmuje ogromny, słoneczny pokój na pierwszym piętrze niebrzydkiego domu, należącego do niejakiej Frau Leichner, żony oficera, który przed wojną był wziętym architektem. Herr Leichner zaginął pod Stalingradem, więc Frau Leichner była bardzo zainteresowana moją opowieścią o losach Manfreda. Jak wiele innych kobiet w całych Niemczech, ona także wciąż żywi nadzieję, że pewnego dnia jej mąż powróci. Nie miałam serca opowiadać jej o żołnierskich zwłokach, które widziałam w lesie i na poboczach drogi w czasie ucieczki z Prus Wschodnich.

Frau Leichner od razu polubiła Ericha, on także do niej przyłgął. Jej rodzony syn zmarł przed dwoma laty na koklusz, więc gdy usłyszała, jak Greta każe nam się wynosić ze swojego pokoju, wrzeszcząc na cały budynek, że ma wystarczająco dużo problemów z utrzymaniem samej siebie, od razu zaproponowała mi mały pokój na trzecim piętrze w zamian za pomoc w prowadzeniu domu.

Pokoik okazał się naprawdę bardzo mały; stoi w nim jedno pojedyncze łóżko, ale na szczęście jest również kominek, więc będę musiała postarać się o drewno, kiedy nadejdzie zima. Frau Leichner ofiarowała się pilnować popołudniami Ericha, tak żebym miała trochę czasu na rozglądanie się za jakąś pracą, która pozwoli mi się utrzymać.

Wiem, że teraz wszyscy szukają pracy i że jest jej jak na lekarstwo, ale dach nad głową oznacza, że razem z Erichem znów będziemy mogli prowadzić względnie normalne życie. W sierocińcu wszyscy byli dla nas bardzo mili, jednak to instytucja, a nie prawdziwy dom. Mam tylko nadzieję, że nie pożałuję swojej decyzji.

Greta wpadła w furję, gdy się dowiedziała od Frau Leichner, że wprowadzam się do jej domu. Natychmiast zarzuciła mi, że nie mam ani krzty honoru i że moje postępowanie przynosi ujmę nazwisku von Datski, bo kto to słyszał, żeby ktoś z tak szlacheckiej rodziny zajmował się myciem podłóg i sprzątaniami u ludzi. Kiedy spytałam, co upokarzającego jest w uczciwej pracy, pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

Oczywiście uważam to rozwiązanie za wybitnie tymczasowe. Któregoś dnia - mam nadzieję, że już wkrótce - wrócimy do Grunwaldsee, ale przedtem muszę nadal szukać Ireny i dziewczynek.

Jeśli Irena żyje, to pewnie nie będzie mogła dać mi niczego poza swoją siostrzaną miłością, ale i tak jestem przekonana, że przyjmie mnie i Ericha o wiele lepiej niż Greta.

Poniedziałek, 10 września 1945

Myślałam, że będzie mi trudno omijać siostrę, skoro mieszkamy pod jednym dachem, ale okazało się, że to zaskakująco łatwe. Greta przez cały dzień jest w pracy i często wraca dopiero późnym wieczorem, a nawet nad ranem. Ubiera się dość kosztownie; nosi kostiumy z angielskiej wełny, amerykańskie, nylonowe pończochy, francuskie jedwabne bluzki i używa francuskich perfum i kosmetyków.

Kiedy Frau Leichner poskarżyła się, że Greta budzi cały dom, wracając Bóg wie o której godzinie, moja siostra odwrękła, że pracuje jako tłumaczka także podczas przyjęć i bankietów.

Oczywiście ma całe mnóstwo wielbicieli, a każdy z nich jest oficerem wojsk alianckich, mimo to jednak nie śmie zamykać na klucz drzwi do swojego pokoju, kiedy tamci przychodzą do niej z wizytą. Frau Leichner zagroziła, że wyrzuci ją z domu, jeśli spróbuje zrobić coś podobnego, a Greta wie, że wolnych kwater jest jak na lekarstwo i że nie znalazłaby równie ładnego pokoju - o ile w ogóle by jakiś znalazła.

Teraz pracuje u angielskiego majora, Juliana Templetona. Ku jej niezadowoleniu był bardzo miły dla Ericha i uprzejmy wobec mnie. Przyniósł nam jakieś puszki z jedzeniem, a także słodycze dla małego.

Major Templeton miał córeczkę w tym samym wieku co Erich, lecz zginęła razem ze swoją matką podczas bombardowania Londynu. Zaproponował mi posadę sprzątaczką w domu na przedmieściach, który został zarekwirowany na potrzeby jego jednostki. Dostanę za to całkiem niezłe pieniądze, co diametralnie zmieni moją sytuację. Teraz będę mogła kupować dobre jedzenie dla Ericha i płacić naszej gospodyni za opiekę nad nim, kiedy zacznę popołudniami chodzić do pracy.

Powiedziałam Julianowi o Irenie, a on obiecał, że postara się czegoś dowiedzieć za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Ufam, że moja bratowa i dziewczynki są całe i zdrowe. Teraz, kiedy Erich jest już bezpieczny, nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby jak najprędzej odszukać ją i córki Wilhelma.



- Nie miałam pojęcia, że ta posiadłość jest aż tak ogromna - powiedziała Laura, pochylając się w siodle, żeby popatrzeć na las po drugiej stronie jeziora.

Brunon podał jej torebkę z cukierkami miętowymi.

- Przed wojną była dziesięć razy większa niż teraz. W jednym miejscu sięgała aż do granic miasta. Dziadek opowiadał, że rodzina von Datskich pobierała dzierżawę z czterdziestu pięciu gospodarstw.

- Tu jest jeszcze piękniej, niż sobie wyobrażałam! - zawołała z zachwytem Laura. - Teraz rozumiem, dlaczego babcia chciała, żebym koniecznie wybrała się na przejażdżkę konną po Grunwaldsee. Na piechotę musielibyśmy iść przez parę godzin, żeby tu się dostać.

Wyjęła aparat i zrobiła kilka panoramicznych zdjęć gęstej ściany drzew, które stały nad samym lustrem wody na przeciwnym brzegu.

- Tak samo rozumiem, dlaczego marzyła, żeby tu wrócić, i czemu nigdy nie wspominała o swoim życiu tutaj.

- Wielka szkoda, że nie czuła się na tyle dobrze, żeby pojechać na spacer z moim dziadkiem - zauważył Brunon. - Był bardzo rozczarowany.

- Tak samo jak moja babcia, kiedy doktor uznał, że powinna zostać w łóżku. Ale jeśli jej zasłabnięcie było spowodowane tylko nadmiarem wspomnień, to na pewno zbierze siły, żeby przyjechać do was jutro. W Grunwaldsee jest tak pięknie... - zadumała się Laura. - Gdyby to był mój dom i gdybym go straciła, to chyba nigdy nie przestałabym żałować. To zresztą tłumaczy, dlaczego moja babcia zdecydowała się zamieszkać tam, gdzie mieszka. Kupiła w Stanach spory kawał ziemi nad jeziorem i pobudowała tam dom, chociaż wszyscy dookoła tłumaczyli jej, że jedyną sensowną rzeczą jest kupować gotowy, który już stoi.

- Wybudowała dom na brzegu jeziora, taki sam jak w Grunwaldsee?

Laura pochyliła się, żeby pogłaskać konia.

- Wcale nie taki sam. Tamten jest drewniany, nowoczesny i bardzo amerykański.

- Twoja babcia to mądra kobieta. Wątpię, czy udałoby się odtworzyć taki dom jak Grunwaldsee.

Laura ściągnęła lejce, skierowała konia w prawo i ściskając mu boki obcasami, popędziła wzdłuż jeziora.

- Czy jesteśmy gdzieś w pobliżu tego letniego domku?

- Mniej więcej o kilometr od niego. W latach siedemdziesiątych poszerzono drogę. Ale sam letni domek jest o wiele starszy. Ma sporo ponad dwieście lat, przynajmniej tak twierdzi dziadek.

- Moja babcia powiedziała, że wcale się nie zmienił od chwili, kiedy widziała go po raz ostatni, choć oczywiście da się zauważyć, że został ostatnio odnowiony. - Oslaniając oczy przed blaskiem słońca, spojrzła na taflę jeziora. - Boże, jaki przepiękny jacht!

- Tutaj nie wolno używać łodzi motorowych. Nie wolno było nawet za czasów komunistów. Połowa jezior dookoła została zanieczyszczona smarami i olejami, przez co wyginęły wszystkie ryby, ale to ocalało.

- Ciekawe, co będzie w przyszłości? Brunon roześmiał się głośno.

- Mój dziadek wyganiał Niemców, kiedy przyprawdzali tu swoje motorówki, a teraz Rosjanin, który kupił posiadłość, zapowiedział, że będzie robił to samo, więc prawdopodobnie będzie to najlepiej strzeżone jezioro w całej Polsce. Chodź, przekonamy się, jak dobrym jesteś jeźdźcem, kiedy pogalopujemy przez las. Mam nadzieję, że potrafisz uchylać się przed gałęziami.

Laura popędziła za Brunonem pomiędzy drzewami. Ciepło słonecznych promieni uświadomiło jej, że zbliża się pora lunchu. Poczwała głód i przypomniała sobie o kanapkach i butelce z wodą, które chłopak na wyraźne żądanie dziadka zapakował do sakwy przy siodle.

- Może już czas coś przekąsić? - zawołała.

- Owszem. Jeśli skrócimy w tę dróżkę, dojedziemy do letniego domku. Tam usiądziemy sobie na ławce w ogrodzie, jest stamtąd przepiękny widok na jezioro.

Jechali teraz wolno, strzemię w strzemię, rozmawiając o polityce, o wszystkim i niczym. Laura zdziwiła się, że tak dobrze czuje się w towarzystwie tego dużo od siebie młodszego mężczyzny. Wyglądało na to, że jest tylko trochę starszy od jej brata, a jednak wydawał się o wiele dojrzały. Pewnie dlatego że spędzał dużo czasu ze swoimi dziadkami, pomyślała.

Zaśmiała się na cały głos, bo Brunon porównał opery Wagnera do muzyki pop. Nagle ścieżka ostro skręciła w lewo. Zaraz za zakrętem na środku drogi stał czyjś samochód, całkowicie blokując przejazd, i po chwili Laura znalazła się twarzą w twarz z jakimś szczupłym mężczyzną o ciemnych włosach i intensywnie błękitnych oczach, które od razu wprawiły ją w zakłopotanie. Jej koń stanął dęba i cofnął się; krzyknęła na niego, starając się odzyskać kontrolę nad zwierzęciem, ale nieznajomy okazał się szybszy. W mgnieniu oka rzucił wędki, które właśnie miał schować do bagażnika, wyciągnął rękę i złapał za uzdę.

- Polskie konie nie lubią, kiedy ktoś na nie krzyczy po angielsku - wyjaśnił.

Podobnie jak u Brunona, w jego angielszczyźnie pobrzmiewał silny amerykański akcent.

- Nie znam ani słowa po polsku - wyjąkała, kurczowo ściskając kolanami boki wierzchowca.

- Skoro przyjechała pani do tego kraju, to może nadszedł czas, żeby się nauczyć - odparł z wyraźną przyganą.

- Nie omieszkam tego zrobić - odpaliła.

- Jak długo pani tu jest? - zainteresował się, wciąż nie wypuszczając uzdy z ręki.

- Trzy dni.

- W takim razie mogę pani wybaczyć. Brunon, czy będziesz tak uprzejmy przedstawić mnie swojej przyjaciółce?

Chłopak poczerwieniał jak burak, a Laura natychmiast się zastanowiła, czy ten nieznajomy przypadkiem nie należy do grona przyjaciół nowego właściciela. Mimo wcześniejszych zapewnień, że obecny pan na Grunwaldsee „nie ma nic przeciwko” wycieczkom po jego włościach, teraz Brunon sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego, że ktoś przyłapał go na konnej przejażdżce po Grunwaldsee.

- To jest Laura von...

- Templeton - dokończyła prędko.

- Von Templeton? - uśmiechnął się nieznajomy. - To dość niezwykle w dzisiejszych czasach.

- Moja babcia miała „von” przed nazwiskiem. Ja nazywam się po prostu Laura Templeton.

- A ja Michael Sitko. - Przetłumaczył swoje imię na angielski i wyciągnął do niej rękę. - Przyjaciele mówią do mnie Misza. Może my także staniemy się przyjaciółmi, Lauro?

- Wątpię. Jestem w Polsce tak krótko, że raczej nie uda mi się pozyskać nowych przyjaciół.

Popatrzył na Brunona.

- Widzę, że wyprowadziłeś konie, żeby je trochę przegonić?

- I przy okazji pokazać Laurze Grunwaldsee - przyznał się Brunon.

Misza odwrócił się do Laury.

- Czy poza niewątpliwą przyjemnością przejażdżki w towarzystwie Brunona jest jakiś specjalny powód, dla którego chciałaś zobaczyć Grunwaldsee?

- Owszem. Stąd pochodzi moja babcia. Nagle spoważniał.
- Rozumiem, że chodzi o tę damę z „von” przed nazwiskiem.
- Ona jest von Datski - wyjął Brunon, zanim Laura zdołała go powstrzymać.

Po tym, jak jej babcia ukryła swoje rodowe nazwisko przed tamtą kobietą w hotelu, Laura wyczuła, że Charlotte wolałaby pozostać anonimowa dla każdego, kto kręci się w pobliżu Grunwaldsee.

- Przyjechały tutaj wczoraj - mówił dalej Brunon. - Dziadek od razu ją rozpoznał.
- Czy to znaczy, że ty i twoja babcia mieszkacie teraz u Niklasów? - spytał Misza.
- Nie, w hotelu w Allenstein. To znaczy w Olsztynie.

- W którym?

- W tym po przeciwnej stronie jeziora.

- Znam go. Obsługa jest całkiem niezła, a jedzenie także nie najgorsze. A teraz proszę mi wybaczyć; muszę schować swój sprzęt wędkarski i zatelefonować.

Otworzył bagażnik i starannie ułożył w nim wędki.

- Bardzo mi przykro. To wszystko moja wina - przeprosiła go Laura.

- Nic się nie stało - odrzekł Misza, sięgając do kieszeni po telefon komórkowy.

- Czy nocujesz tu dzisiaj? - spytał Brunon.

- Trudno powiedzieć. W tym tygodniu mam zamiar przewozić meble do dużego domu.

- W takim razie może przyjdiesz na kolację? Wiesz przecież, że babcia zawsze gotuje tyle jedzenia, że starczyłoby dla całej armii.

- Dziękuję, na pewno skorzystam. - Misza wsiadł do samochodu i zamknął drzwi.

- Czy on także pracuje u nowego właściciela Grunwaldsee? - zainteresowała się Laura, kiedy razem z Brunonem ruszyli w dalszą drogę.

- To właśnie on jest tym nowym właścicielem.

- On! A jest taki młody! Wygląda, jakby miał najwyżej ze trzydzieści lat!

- Bo być może tyle właśnie ma. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Brunon zatrzymał się obok pomostu i zsiadł z konia. - Właściwie czemu myślałaś, że tę posiadłość kupił jakiś stary Rosjanin? Przecież teraz to właśnie młodzi mają dużo forsy.

- Owszem, jeśli są bossami mafii.

- Nie sądzę, żeby Miszy się spodobało, że ktoś mówi o nim w ten sposób.

Brunon podprowadził konia do brzegu jeziora, żeby wierzchowiec mógł się napić.

- Czym on się zajmuje?

- Czymś, co przynosi mu wystarczający dochód, żeby mógł kupić sobie taką posiadłość jak ta. Moim zdaniem nie należy pytać Rosjan, z czego żyją. Zwłaszcza jeśli żyją na wysokiej stopie.

- Skoro przeprowadza się z letniego domku do dworu, to z całą pewnością chce tutaj zamieszkać.

Laura poszła za przykładem Brunona i zeskoczyła na ziemię.

- Krążą plotki, że on ma zamiar przekształcić główny dom w hotel, ale nigdy jeszcze nie rozmawiał o tych planach ze mną lub z dziadkiem.

- To byłoby świętokradztwo zrobić z takiego domu zwykły hotel.

- Niewielu ludzi stać na utrzymanie domu wielkości Grunwaldsee bez zastanawiania się, skąd wziąć na to pieniądze.

Laura przypomniała sobie, co jej babcia mówiła o kosztach renowacji Bergensee. Zresztą nowy właściciel nie musiał podzielać jej romantycznych poglądów. Jeśli Grunwaldsee miało przetrwać w następnym stuleciu z całym dachem i nietkniętymi ścianami, to właściciel musiał mocno stąpać po ziemi.

Piątek, 26 października 1945

Wreszcie jakieś dobre wiadomości - Julian znalazł Irenę. Przebywa w obozie dla uchodźców w pobliżu Berlina. Obiecał, że podczas następnej przepustki zabierze mnie i Ericha, żebyśmy mogli się z nią zobaczyć. Na razie mam jej adres i zamierzam napisać długi, długi list.

Środa, 31 października 1945

Irena przyjechała wczoraj po południu. Julian nie powiedział mi ani słowa, tylko wysłał jej dokument podróży, a także bilet kolejowy i numer telefonu do jego biura, prosząc, żeby skontaktowała się z nim i podała godzinę, o której przyjeżdża pociąg. Potem wyszedł po nią na stację i przywiózł ją prosto tutaj.

Właśnie sprzątałam schody, kiedy przyjechali. Otworzyłam drzwi, ale w pierwszej chwili jej nie poznałam. Jest taka chuda, blada i wygląda o wiele starszej, niż zapamiętałam. Jednak gdy tylko weszła, Erich popędził do niej i mocno się przytulił.

Zrobiłam dla nas obiad składający się z konserwy wołowej, którą dał mi Julian, duszonych jabłek i gotowanych kartofli. Zjadłyśmy, a potem przegadałyśmy połowę nocy. Greta wpadła na chwilę, ale przywitała Irenę równie chłodno jak mnie.

Moja siostra wykorzystała tragedię Wilhelma, żeby dostać posadę tłumaczki. Wiem o tym, ponieważ Julian złożył mi wyrazy współczucia z powodu jego śmierci. Kiedy spytałam, skąd wie, że mój brat został powieszony przez naziistów, odparł, że Greta opowiadała wszystkim dookoła, w jaki sposób zginął. Przeciwnicy Hitlera mają zdecydowane pierwszeństwo, jeśli chodzi o zatrudnienie u aliantów, ale ja osobiście czuję wstręt na myśl, że Greta zdecydowała się posłużyć imieniem naszego brata po tym, jak napisała do niego tamten podły list, który doręczono mu w dniu egzekucji.

Okazuje się, że Irena była bardzo poważnie chora, podobnie jak Erich. Przeszła wyjątkowo ciężki tyfus. Przeczytała mi fragment ostatniego listu, jaki napisał do niej Wilhelm. Jeden ze strażników z Ploetzensee przesłał go po wojnie do obozu dla uchodźców, w którym się znalazła.

W liście Wilhelm błagał ją o wybaczenie, ale nadal utrzymywał, że zabicie Hitlera i ocalenie Niemiec było daleko ważniejsze niż ich życie, a nawet niż życie ich dzieci. Kończąc, wyrażał nadzieję, że pewnego dnia Irena to zrozumie i przyzna mu rację. Kiedy skończyła czytać, powiedziała, że absolutnie nie pojmuję, czemu Wilhelm postanowił poświęcić ich wspólne życie i szczęście, i że nie sądzi, by kiedykolwiek miała to zrozumieć.

Mówiła, że Wilhelm opowiadał jej, co żołnierze Wehrmachtu, SS i Einsatzgruppen - specjalnych oddziałów operacyjnych - robili z Żydami, Rosjanami i Polakami po wkroczeniu do wschodniej Europy. Tamci nie oszczędzali nawet kobiet i dzieci. Tak samo opowiadał o obozach, które widział na terytorium Polski.

W Ravensbrück miała mnóstwo czasu na rozmyślanie o tym, co zrobił Wilhelm. Trudno jej było zaakceptować fakt, że zdecydował się poprzeć pułkownika von Stauffenberga, wiedząc, że jeśli spiskowcy poniosą klęskę, ona wraz z dziewczynkami zostanie uwięziona w równie okropnym miejscu.

Usiłowałam jej tłumaczyć, że Wilhelm był człowiekiem honoru. Wiedział, że ryzykuje własne życie, ale w żaden sposób nie był w stanie przewidzieć, co Hitler zrobi z jego rodziną czy rodzinami innych uczestników spisku. Miał

wszelkie prawo przypuszczać, że ona i dziewczynki, jako całkiem niewinne, będą żyły w spokoju. Jednak jeszcze nie skończyłam mówić, gdy zorientowałam się, że Irena wcale mnie nie słucha.

Jej synek urodził się w więziennej celi, bez pomocy lekarza czy położnej. Po niespełna dwudziestu czterech godzinach kazano się jej zbierać i podczas zamieci maszerować w kolumnie więźniarek do obozu w Ravensbrück. Strażnicy przynieśli jej jedynie cienkie prześcieradło, żeby miała czym owinąć nowo narodzone dziecko. W rezultacie synek zmarł na zapalenie płuc zaledwie dwa dni po przybyciu na miejsce.

Po uwolnieniu szukała wszędzie śladów Marianny i Karoline, ale uprzedzono ją, że być może odnalezienie ich będzie niemożliwe, ponieważ dziewczynki dostały nowe nazwiska.

Powiedziawszy to, załamała się i załapa łzami.

Zrobiłam jej posłanie na podłodze i sama położyłam się obok. Przez całą noc kołysałam Irenę w ramionach i płakałam razem z nią. Zanim nastał świt, przysięgłam, że nie spocznę, dopóki dziewczynki nie zostaną odnalezione i nie wrócą do swojej matki.

Rozdział osiemnasty

Charlotte wpatrywała się w buteleczkę z proszkami, którą zostawił jej doktor, ale nawet nie wyciągnęła ręki, żeby po nie sięgnąć. Przez sześćdziesiąt lat dręczyło ją pytanie, gdzie jej matka znalazła miejsce ostatniego spoczynku. Wciąż od nowa widziała ich zwłoki - matki, swojej nowo narodzonej córeczki i Minny - wrzucane pośpiesznie gdzieś do zbiorowej mogiły razem z dziesiątkami innych ciał, bez poszanowania, ceremonii pogrzebowej czy choćby zwykłej modlitwy. Wyobrażnia podsuwała jej obraz wypełnionego po brzegi grobu, zasypywanego przez obojętnych na wszystko cudzoziemców, którzy chwilę później odeszli, nie troszcząc się nawet o to, by zostawić tam kamień upamiętniający miejsce pochówku.

Złożyła sobie kiedyś solenną obietnicę, że któregoś dnia pojedzie na tamtą polanę i postara się uczcić pamięć matki. Czemu więc nie teraz, skoro znajduje się tak blisko? Nie czuła się już tak źle jak wówczas, gdy Laura wezwała lekarza, a w dodatku nie było mowy o tym, żeby mogła zasnąć, skoro znów ogarnął ją dobrze znany niepokój. Zsunęła nogi na podłogę, wstała z łóżka i powędrowała do łazienki.

Dwadzieścia minut później wyszła z pokoju - wykąpana, ubrana w czarny kostium, z włosami zebranymi na karku w siateczkę z koronki. Idąc przez foyer, kątem oka dostrzegła swoją postać na monitorze systemu ochrony i zdziwiła się, że upływający czas mógł zamienić energiczną, dobrze jej znaną dziewczynę w tę nieporadną staruszkę. Czytając pamiętnik, odrzuciła brzemię minionych lat i na nowo zaczęła postrzegać siebie jako dawną, młodą Charlotte.

Młodą, lecz zupełnie rozbitą psychicznie - udreżoną stratą ukochanego mężczyzny, pogrążoną w żalu za nowo narodzonym dzieckiem, za rodzicami i braćmi. Wydawało jej się, że zdążyła już się przyzwyczaić do życia bez nich i że przestała rozważać „co by było, gdyby było”, lecz widok Grunwaldsee w połączeniu z pamiętnikiem na nowo wzniecił w niej dawny ból, który stał się tak samo intensywny i druzgocący jak w pamiętnym roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym.

Tyle jeszcze zostało do zrobienia, zanim odejdzie na zawsze - i nie tylko w Polsce. Na ustach Charlotte pojawił się kpiący uśmiešek, gdy przypomniła sobie zalecenia doktora Davida Andrewsa, że powinna więcej spać. Nawet jej organizm zdawał się rozumieć, że czas jest zbyt cenny i zbyt krótki, żeby marnować go na sen.

Wstąpiła do małej kwaciarni w rogu foyer i rozejrzała się dookoła. Na podstawkach pyszniły się olśniewająco wspaniałe, ciepłarniane róże na długich łodygach i dumne storczyki - nieodzowny element każdej eleganckiej wiązanki. Jednak Charlotte pragnęła kupić coś prostszego, mniej rzucającego się w oczy.

W końcu zdecydowała się na trzy doniczki ze zwykłymi stokrotkami. Zapłaciła, podeszła do recepcji i poprosiła siedzącą tam dziewczynę o wezwanie taksówki. Mijając alejkę wiodącą do Grunwaldsee, nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć na zegarek, by sprawdzić, ile czasu zajmie jej ta trasa. Odległość, którą w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku pokonywała na wozie i pieszo przez wiele męczących godzin, sześćdziesiąt lat później przejechała w zaledwie kilkanaście minut.

Uważnym spojrzeniem lustrowała pobocze drogi w poszukiwaniu jakiegoś punktu orientacyjnego, lecz drzewa i krzewy zdążyły urosnąć, całkiem zmieniając wygląd okolicy. Nawet nie była pewna, czy znajduje się na tej samej drodze, którą wtedy uciekała. Tak jak sądziła, nikt nie pomyślał o postawieniu pomnika ku czci pomordowanych w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Nerwowo przesunęła się na sam brzeg fotela i poprosiła kierowcę, żeby jechał wolniej.

- Jeśli szuka pani kapliczki, to jest tam, zaraz za następnym zakrętem.

Zmniejszył prędkość i po chwili zatrzymał się obok polany. Mogła to być - lub nie była - ta sama, na której Charlotte zostawiła kiedyś matkę, córeczkę i Minnę. W miejscu, gdzie polana graniczyła z drogą, stała kapliczka. Wykonana z jasnego drewna i kamienia niczym nie różniła się od setek innych, jakie widziała po drodze z Warszawy do Olsztyna. Poprosiła kierowcę, żeby zaczekał, a sama wzięła kwiaty, wysiadła z samochodu i wolnym krokiem ruszyła w stronę kapliczki.

Słońce świeciło pełnym blaskiem, powietrze było czyste i przyjemnie ciepłe. Podniosła wzrok ku niebu. Jeśli rzeczywiście to właśnie tutaj doszło do masowych gwałtów i masakry uciekinierów, to nie zostało nic, co zatruwałoby spokojną atmosferę tego miejsca.

Pomalowana krzykliwymi kolorami gipsowa Madonna spoglądała spod opuszczonych rzęs na ofiarowywane sobie bukiety i świece, które wypełniały półkę pod oszkloną gablotką, chroniącą figurę przed działaniem żywiołów. Charlotte zawahała się, a potem mocniej przycisnęła do piersi kwiaty i weszła w głąb lasu. Krzewy pokryły się gęstym listowiem, drzewa sięgały nieba... Czy to naprawdę wydarzyło się właśnie tutaj?

- Pomagałem przy postawieniu tej kapliczki - odezwał się za nią głos Mariusa.

Niespodziewanie wyszedł spośród drzew i teraz zbliżał się w jej kierunku.

- Kiedy Laura powiedziała, że jest pani chora, chciałem zawieźć pani do hotelu kwiaty i zostawić w recepcji. Właśnie wyjeżdżałem z naszej alei, gdy zobaczyłem, że siedzi pani w taksówce, więc pojechałem za wami. - Wręczył jej bukiet wspaniałych irysów. - Wyrosły z cebulek, które pani matka posadziła w ogrodzie na tyłach domu.

- Dziękuję.

- O tylu sprawach nie udało się nam wczoraj porozmawiać.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- To nie był właściwy moment. Powrót w rodzinne strony powinien być szczęśliwym wydarzeniem, nawet jeśli minęło już tyle lat.

- Poza tym ani przez chwilę nie zostaliśmy sami... Oparł się o pień drzewa i patrzył na nią.

- Byłem chłopcem, kiedy pani stąd wyjeżdżała, i odkąd pamiętam, zawsze wzbudzała pani we mnie coś w rodzaju lęku, a teraz...

- Teraz jesteśmy równi - odpowiedziała, kiedy nie potrafił znaleźć właściwego słowa. - Czas i starość niwelują różnice.

- Część zabitych została pochowana tam. - Wskazał ręką skraj polany. - Ale nie wszyscy. Rosyjscy żołnierze wkroczyli do Grunwaldsee parę godzin po tym, jak stąd wyjechaliście. Mieli rozkaz odszukać wszystkich rosyjskich jeńców, którzy byli więzieni przez Niemców. Najpierw przyprowadzili tu tych przetrzymywanych w obozie pod miastem. Musieli ich przywieźć wozem, bo większość okazała się zbyt wycieńczona, by iść o własnych siłach. Zamknęli ich w kościele. Następnego dnia zobaczyliśmy, że prowadzą tych Rosjan, którzy u nas pracowali... Moja mama zauważyła, jak szli aleją, więc przekupiła strażników srebrnym świecznikiem z pani domu, żeby pozwolili jej z nimi porozmawiać. Ten porucznik, Leon, opowiedział nam, co się przydarzyło pani i pani matce... Następnego dnia zaprzęgliśmy wóz i przyjechaliśmy tutaj. - Zawahał się przez moment. - Kapitan wydawał się zbyt pogrążony w smutku, żeby z nami rozmawiać... Ale przynajmniej był cały i zdrowy.

- Tak - szepnęła. - Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że nie zginął w tamtym lesie. Ale nawet wtedy nie mogłam... Nie zniósłabym... - Popatrzyła na niego. - Ty i Martha podjęliście straszne ryzyko.

- Tak naprawdę to wcale nie - odparł. - Rosjanie kręcili się wszędzie, ale jak przewidziała moja matka, kompletnie nie zwracali uwagi na Polkę w średnim wieku i nastoletniego chłopaka, a ci nieliczni niemieccy żołnierze, którzy jeszcze zostali w tej okolicy, myśleli wyłącznie o tym, żeby jak najprędzej uciec na zachód, do Amerykanów, i niewiele ich obchodziło, co się dzieje z cywilami. Zabraliśmy pani matkę i Minnę do Grunwaldsee i pochowaliśmy w krypcie. Mama miała nadzieję, że rodzina von Datskich nie weźmie jej za złe, że pochowała ciało pokojówki obok trumny pani domu, ale ziemia była tak zmarznięta, że nie mogliśmy wykopać grobu. Co prawda pastorzy i księża dawno stąd uciekli, ale we dwoje odmówiliśmy wszystkie luterzańskie modlitwy, które zdołaliśmy sobie przypomnieć i które słyszeliśmy na pogrzebach. Moja mama miała w domu tylko katolicki modlitewnik.

- Zwykle „dziękuję” wydaje się tak banalne - szepnęła, czując, jak piekące łzy napływają jej do oczu. - Wiesz, Marius, przez całe lata dręczyły mnie koszmary, że moja matka leży w jakimś wspólnym grobie. Wyobrażałam sobie, jak na wiosnę wrzucają jej ciało do naprędcy wykopanego dołu razem z setkami innych trupów.

- Przy pani von Datski znaleźliśmy noworodka - powiedział z zażenowaniem. - Malutką dziewczynkę. Moja mama była pewna, że to pani dziecko.

Charlotte nagle zabrakło słów, więc tylko skinęła głową.

- Skoro znaleźliśmy je razem, obie zostały złożone do tej samej trumny. Nie była zbyt udana; zrobiłem ją z desek wyciągniętych ze stajni, a w przeciwieństwie do mojego ojca nigdy nie byłem zręcznym cieślą. Proszę odesłać taksówkę, sam panią do nich zawiozę.

Laura i Brunon zjedli kanapki, które przygotowała dla nich Jadwiga, dosiedli koni i byli już w połowie drogi dookoła jeziora, gdy dogonił ich Misza. Jechał na siwku ze stadniny von Datskich. Sądząc po tym, jak ogier rzucał łbem, był obdarzony niezłym temperamentem, więc Misza musiał mocno trzymać wodze, żeby go utrzymać. Laura poczuła przypływ wdzięczności dla Brunona, że osiodłał dla niej innego wierzchowca.

- Czy twoją babcią jest Greta czy Charlotte von Datski? - spytał po angielsku, nie siląc się na żadne powitalne uprzejmości. Podobnie jak Brunon, Misza prowadził rozmowę w dość bezpośredni sposób i nie zwracał sobie głowy formami towarzyskimi.

Laura poczuła się nieco zakłopotana i przez chwilę kusilo ją, żeby odpowiedzieć mu w ten sam sposób, na przykład: „O, cześć, Misza, to znowu ty?”. Jednak pytanie obudziło w niej ciekawość, która zwyciężyła.

- Czy mam rozumieć, że zapoznałeś się z drzewem genealogicznym rodziny von Datskich? - spytała.

- Na strychu znalazłem parę jakichś starych dokumentów.

Przypomniała sobie, jak poprzedniego dnia Marius opowiadał, że każdy skrawek papieru znaleziony we dworze został spalony, i zdecydowała, że albo Marius, albo Misza próbują ją okłamać. Po namyśle doszła do wniosku, że bardziej podoba się jej wersja, że kłamcą jest Misza.

- Naprawdę? - spytała z powątpiewaniem, ale zaraz ustąpiła. - Moja babcia to Charlotte von Datski.

- Czyli ta sama, która gdy umarł jej ojciec, prowadziła folwark przez cały okres wojny i została tutaj aż do wejścia Rosjan?

- Tak sądzę.

Spojrzała na Brunona, a on skinął głową na znak, że właśnie tak było. I znowu przyszło jej do głowy, jak niewiele wie o dawnym życiu ukochanej babci.

- Marius mówił mi, że próbowała przekonać do ucieczki jego matkę, kiedy Rosjanie niemal stali już na progu domu.

- Podobno strasznie długo się kłóciły. Dziadek opowiadał mi, że jego mama miała wrażenie, że pani Charlotte nigdy nie zdecyduje się na opuszczenie Grunwaldsee - dorzucił Brunon.

- Czy dobrze zrozumiałam, że Marius rozmawiał z tobą o mojej babce? - spytała, zwracając się do Miszy.

Była zdumiona odkryciem, że on zdawał się wiedzieć na temat historii Grunwaldsee tak samo dużo jak Brunon.

- Owszem. Kiedy już zaczął mówić, właściwie nie można go było powstrzymać. On bardzo podziwia i szanuje twoją babcię. Prawdopodobnie bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę, którą w życiu spotkał, łącznie ze swoją żoną. - Misza uśmiechnął się od ucha do ucha. - Podobno za czasów młodości była wielką damą.

- Według mnie wciąż jest.

Czuła się co najmniej dziwnie, siedząc na końskim grzbiecie gdzieś w samym sercu Polski i dyskutując o przeszłości swojej babki z człowiekiem, którego dopiero poznała.

- No więc, co sądzisz o Polsce? - Ściągnął cugle i wepchnął swojego wierzchowca pomiędzy nich, oddzielając ją od Brunona.

- Niewiele dotąd widziałam, ale przyznam, że spodziewałam się czegoś innego. Te lasy, jeziora, ta wspaniała, przepiękna pogoda... To czysta idylla.

- Sądziłaś, że kraj, który tak długo znajdował się pod rządami komunistów, musi być ciemny, zimny i pełen rozsypujących się bloków? - zażartował.

- Może bardziej monotony - odrzekła dyplomatycznie.

- Ach, spodziewałaś się ujrzeć przysłowiową słowiańską nędzę, którą uosabiają biedni ludzie o ponurych twarzach, ze skłonnościami do deklamowania tragicznie smutnych wierszy podczas przechadzek w cieniu zakładów chemicznych?

Brunon roześmiał się, a ponieważ taki obraz był istotnie bliski temu, co myślała Laura, więc po chwili sama wybuchnęła śmiechem.

- Wybacz, ale moja babcia niewiele opowiadała mi o Grunwaldsee - wykrztusiła w końcu.

Misza odetchnął pełną piersią i rozejrzał się dookoła.

- Kocham Grunwaldsee tak samo jak Marius i Brunon, którzy do niego przynależą.

- Dokładnie rzecz biorąc, mój dziadek przynależy do stróżówki - przerwał Brunon z pośpiechem.

Laura od razu pomyślała, iż widocznie rodzina Niklasów obawia się, że nowy właściciel może ich stąd wypędzić.

- I do dużego domu także. Wiem, że twój dziadek wraz ze swoimi rodzicami przeprowadzili się do pałacu w czterdziestym czwartym roku i zostali aż do chwili, gdy wkroczyli tu Rosjanie - ujawnił Misza.

W Brunonie obudziła się podejrzliwość.

- Nigdy mi o tym nie wspominał. Skąd się dowiedziałeś?

- Marius sam mi o tym powiedział, kiedy zapytałem, czy będzie miał coś przeciwko temu, że to Rosjanin kupi Grunwaldsee. Odparł, że nie będziemy pierwszymi Rosjanami, którzy tu zamieszkają. Że podczas wojny w majątku pracowali sowieccy jeńcy i stróżówka potrzebna była dla strażników, żeby mieli gdzie mieszkać.

- Niewolnicza praca? Tutaj? - zdumiała się Laura.

- Rozumiem, że twoja babcia o tym także nie opowiadała? - Misza wydawał się wstrząśnięty.

- Nie. Ale ty sporo wiesz, co tu się działo podczas wojny.

Laura poczuła się urażona, że ktoś ośmiela się ujawniać jej rodzinne tajemnice. Jeśli ktokolwiek miał ogłaszać podobne rewelacje, to tym kimś powinna być Charlotte, nie zaś Rosjanin, którego nie znały ani ona, ani jej babcia.

- Spędziłem dużo czasu na rozmowach z Mariusem - wyjaśnił. - Opowiadał, że kiedy był dzieckiem, urządzano tu wielkie, czasem nawet zupełnie dzikie imprezy towarzyskie, zwłaszcza z udziałem bliźniaków. Czy wiedziałaś, że twoja babcia miała braci bliźniaków?

- Wiedziałam, że miała dwóch braci, Paula i Wilhelma, obaj zginęli podczas wojny.

- Tak... - westchnął Misza, bardziej do siebie niż do Laury czy Brunona. Wydawało się, że nie słyszał jej ostatnich słów. - To miejsce jest wręcz doskonałe.

- W takim razie dobrze się stało, że miałeś dość pieniędzy, żeby je kupić - wypaliła.

- Wcale nie miałem dość pieniędzy.

- Więc co, pożyczyłeś je?

- Na pewno nie ukradłem. - Mrugnął do niej szelmowsko. - Wy, ludzie z Zachodu, powinniście spojrzeć na świat z szerszej perspektywy. Nie wszyscy Rosjanie są członkami mafii, panno Lauro von Templeton.

Ścisnął kolanami boki swojego wierzchowca i nie oglądając się na Laurę, popędził w kierunku letniego domku nad jeziorem.

Marius zakręcił kierownicą samochodu i mijając po drodze Grunwaldsee, pojechał aleją do małego kościółka stojącego na skarpie nad jeziorem.

- Oboje z mamą mieliśmy nadzieję, że udało się pani uciec, skoro nigdzie nie znaleźliśmy pani ciała. W czterdziestym siódmym roku dotarły do nas wieści, że Greta przeżyła wojnę, bo ktoś stąd widział ją w Niemczech. Jednak o pani nie usłyszeliśmy ani słowa, aż jakiś znajomy napisał nam o pani ilustracjach w książkach. Mama upierała się, że to niemożliwe, żeby istniały dwie Charlotte Datski, ale ja wcale nie byłem taki pewien.

- Greta zawsze była twarda. Nic nie mogło jej złamać.

Charlotte kątem oka dostrzegła minę Mariusa i oboje wybuchnęli głośnym śmiechem. Rodzina Niklasów także nie przepadała za Gretą.

- Czy ona jeszcze żyje? - spytał, zatrzymując małe auto przed kościołem w Grunwaldsee i wyłączając silnik.

- Och, tak!

- Widuje ją pani?

- Tak rzadko, jak tylko się da.

Charlotte zebrała leżące na jej kolanach kwiaty, a Marius obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera.

- Staraliśmy się zadbać o tę kryptę, tak jak pani by to robiła, gdyby mogła tu zostać - powiedział, niezręcznie starając się ją pocieszyć.

Przez chwilę wsparła się na jego ręce i postawiła nogę na ziemi. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Wcześniej, kiedy jeździły z Laurą po mieście, w przelocie mignął jej teren dawnego żydowskiego cmentarza; tam, gdzie nie-

gdyś stały kamienne nagrobki i pomniki, teraz rozciągał się nierówny, zaniedbany trawnik. Pobudowane po wojnie domy zajmowały miejsce niegdysiejszego luterńskiego cmentarza, na którym spoczywali rodzice Ireny. Ale kościółek w Grunwaldsee jakimś cudem ocalał; wyglądał na nietknięty i nienaruszony, tak samo jak dwór i letni domek nad jeziorem.

Mariusz z uszanowaniem cofnął się o parę kroków, gdy Charlotte wchodziła do środka. Wewnątrz było zimno i ciemno, i pachniało kurzem i stęchlizną, dokładnie tak jak pamiętała. Rodzinna krypta była wpuszczona w ścianę po prawej stronie ołtarza. Charlotte uklękła i przesunęła palcami po literach na tabliczkach.

Patrzyła na napisy upamiętniające pierwszych von Datskich, którzy mieszkali w Grunwaldsee, oraz ich potomków, aż do jej pradiadków i dziadków. Poniżej znajdowała się tabliczka jej ojca oraz ta, którą zamówiła osobiście, gdy dotarła do niej wiadomość o śmierci Paula.

PAUL VON DATSKI

19 SIERPNI 1918 - 1 LIPCA 1942

Oczy Charlotte wypełniły się łzami, gdy niżej ujrzała następną inskrypcję, składającą się z gotyckich liter wyrytych czyjąś niewprawną ręką.

WILHELM VON DATSKI

19 SIERPNI 1918 - 19 PAŹDZIERNIKA 1944

- Nawet śmierć nie zdołała ich rozłączyć - zamruczała. - Dziękuję, Marius.

Obok tabliczki Wilhelma znalazła jeszcze jedną z wyrytymi tym samym charakterem pisma imionami jej matki oraz Minny.

- Pozwolono ci na wmurowanie tych pamiątek w czasach, gdy rządzą tu komuniści? - spytała z niedowierzaniem.

- Duże kościoły zostały pozamykane, ale nikogo nie interesowało, co się dzieje w małych, wiejskich kościółkach. Kamieniarz nawet nie chciał od nas pieniędzy za dopisanie na tabliczce danych Wilhelma. Zresztą pewnie pani wie, że Wilhelm, podobnie jak hrabia von Stauffenberg, został po wojnie uznany przez wschodnie Niemcy i Związek Radziecki za bohatera.

Postawiła stokrotki - jedną doniczkę pod rodzinną kryptą, a dwie pod tabliczkami upamiętniającymi członków jej najbliższej rodziny.

- Zamierzałam postawić jedną mojej mamie, drugą mojej córeczce, a trzecią Minnie. Nie spodziewałam się, że znajdę tu tabliczkę ku pamięci Wilhelma.

- Wiem, że nie ma tu jego ciała, ale wydawało mi się, że to stosowne miejsce, tuż pod nazwiskiem Paula.

- Bardzo stosowne.

Pozwoliła, żeby pomógł jej się podnieść z kolan.

- Już po wojnie dowiedziałam się, że po egzekucji ciała spiskowców zostały spalone, a prochy rozrzucone na cztery strony świata.

- Ja także o tym czytałem - przyznał Marius. Poprowadził ją do ławki i oboje usiedli.

- Jakby nie dość było tortur, oprawcy postanowili, że konspiratorzy podczas swoich procesów będą musieli znośić dodatkowe upokorzenia. Kazali im się przebrać w znoszone, cywilne łachy, ale zabrali paski, szelki i sznurowadła, a potem wymagali stawania na baczność i salutowania, tak żeby spodnie opadały im aż do kostek.

- Fräulein Charlotte, jak pani sądzi, czy pan Wilhelm byłby zadowolony, gdyby wiedział, że wciąż dręczy się pani rozmyślaniami o jego śmierci? Był odważnym, młodym człowiekiem, niezwykle szczęśliwym ze swoją żoną i rodziną. Kiedy zaczął pracować u pułkownika von Stauffenberga, pojawił się przed nim określony cel. Na pewno umierał z przekonaniem, że ich działania były słuszne.

- Staram się wspominać dobre czasy, Marius, ale nie zawsze jest to łatwe. Zwłaszcza tutaj. Widok naszego domu i tych tabliczek na nowo obudził we mnie wspomnienia... Przepraszam, nie chcę cię obciążać swoim bólem i żalobą. A za to bardzo ci dziękuję - dokończyła, wskazując na tabliczki.

- Wiem, że to arogancja z mojej strony, ale zawsze myślałem o pani braciach raczej jak o przyjaciółach niż synach bogatego dziedzica, który zatrudniał moją rodzinę.

- Gdyby Paul żył, to pewnie zostałby twoim szwagrem - powiedziała, podnosząc się z miejsca.

Wyszli z zimnego wnętrza kościoła prosto w gorące promienie słońca. Charlotte zatrzymała się przy omszałym i zniszczonym przez upływ czasu nagrobnym kamieniu, który znajdował się tuż pod ścianą cmentarza.

- Jak sądzisz, czy Marii spodobałyby się twoje irysy?

- Jestem pewien, że tak.

Charlotte pochyliła się, żeby położyć wiązanekę na grobie dziewczyny.

- Była taka młoda...

- Słyszała pani, co się stało z moim ojcem?

- Widziałam jego nazwisko na liście żołnierzy poległych w obronie Königsbergu.

- Jak pani widzi, kazaliśmy wyryć jego nazwisko na nagrobku Marii. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Tyle zmarłych dookoła... Wydaje mi się, że pora wrócić do domu. Czy wypije pani z nami popołudniową kawę?

- Dziękuję, ale muszę wracać do hotelu. Laura nie wie, dokąd pojechałam.

- Ona jest na przejażdżce z Brunonem. Będą musieli wrócić do dworu, a Jadwiga na pewno nie wypuści jej bez poczęstunku.

Charlotte zawahała się. Popatrzyła jeszcze raz na kościółek, zaabsorbowana pewną kwestią, której na razie nie ośmieliła się poruszyć.

- Dziękuję, Marius. Chętnie wstąpię do was na kawę.

Charlotte patrzyła, jak żona Mariusa idzie przez dziedziniec, niosąc przed sobą pustą tacę.

- Mam wrażenie, że Jadwiga zdecydowała się zostawić nas samych ze względu na mnie.

- Och, absolutnie nie. Lada chwila do dużego domu mają przyjechać meble nowego właściciela. Zostawił szczegółowe instrukcje dla firmy transportowej, co gdzie mają postawić, i pewnie sam wkrótce się pojawi, żeby wszystko nadzorować, ale chyba pani wie, jakie są kobiety, a zwłaszcza Polki. - Marius wzruszył ramionami. - Niezwykle sumiennie traktują wszelkie sprawy domowe. Muszą dwa razy zajrzeć w każdy kąt, czy gdzieś nie została odrobina kurzu, szczególnie w tych miejscach, gdzie staną ciężkie meble.

- Więc to nie był jedynie taktyczny zabieg, żebyśmy mogli porozmawiać sam na sam.

- To też.

Marius dolał kawy do filiżanek, nie pytając nawet, czy Charlotte ma ochotę na więcej.

Oparła się o tył prostego, drewnianego krzesła, które zastąpiło stare ogrodowe meble z żelaza, używane niegdyś przez jej rodzinę.

- Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś będzie mi dane posiedzieć w tym ogrodzie.

Popatrzyła na altanę, zaprojektowaną i wybudowaną w tym samym czasie, co dom. Zdrewniałe pnie wisterii i klematisu wspinające się po pergoli wydawały się grubsze, niż zapamiętała, a kwiaty mniej obfite. Zastanowiła się, czy te zmiany świadczą o zaawansowanym wieku obu roślin, czy też pamięć płata jej figle.

- Musieliśmy tu i ówdzie uzupełnić ubytki w ścianach, ale uważam, że domek i tak trzyma się całkiem nieźle, zważywszy że prawdopodobnie ma około trzystu lat.

- Zrobiłeś kawał dobrej roboty, Marius - pochwaliła go. - Nie widzę żadnych śladów łączenia.

- Bo ukryłem je, sadząc dookoła rośliny. - Podał jej tackę z ciastem i talerzyk. - Proszę spróbować tarty truskawkowej, którą upiekła Jadwiga. To będzie dla niej straszna obraza, jeśli pani nie spróbuje.

- Dziękuję.

Charlotte nałożyła cienki kawałek ciasta na paskudny gliniany talerzyk w brązowo-białe wzorki. Zauważył jej spojrzenie.

- No cóż, nie jest to porcelana, do jakiej przywykła pani w Grunwaldsee - powiedział tonem usprawiedliwienia.

- Pewnie gdzieś w Rosji stoi dom, w którym znajduje się całe mnóstwo znajomych talerzyków.

- Powiedziałbym, że wiele domów, biorąc pod uwagę, jak zachowywali się stacjonujący tutaj żołnierze. Każdego wieczoru uprawiali hazard albo toczyli na dziedzińcu bójki o rzeczy, które wynieśli z pani rodzinnego domu.

Charlotte ukroiła widelczykiem kawałek ciasta, ale nawet nie spróbowała wziąć go do ust.

- Rzeczy są tylko rzeczami, Marius. W moim wieku człowiek ceni jedynie swoich bliskich, fotografie i wspomnienia.

- Mimo wszystko mojej mamie udało się ukryć jedną czy dwie rzeczy, które stanowiły własność pani rodziny - mówił dalej. - Wczoraj wyciągnąłem je dla pani.

Rozpiął suwak starej torby, którą zabrał ze stróżówki, kiedy zdecydowali, że usiądą na zewnątrz, i wyjął z niej zabytkowy egzemplarz Biblii oraz trzy albumy ze zdjęciami. Charlotte od razu je rozpoznała; była to część staroświeckiego kompletu albumów w stylu wiktoriańskim, które jej dziadek kupił w Londynie podczas swojego miodowego miesiąca. Połowa z nich została opróżniona, kiedy żenił się jego jedyny syn, czyli jej ojciec. Z tymi albumami wiązało się jedno z jej najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa - siedziała na podłodze w gabinecie papy, przyglądając się, jak rodzice przycinają fotografie, żeby pasowały do miejsc na stronach albumów.

- Wszystkie zdjęcia są tam, gdzie powinny być - oświadczył z dumą Marius.

Charlotte wzięła jeden z albumów i przesunęła palcami po ozdobionej wytłoczeniami, skórzanej okładce.

- Gdzie twoja mama je schowała? - zapytała ochryple.

- W tym samym miejscu, w którym ukryła Pismo Święte, modlitewniki i śpiewniki zabrane z kościoła. Owinięte w brezent leżały w stajni, pod kupą końskiego nawozu. Kiedy już Rosjanie wynieśli się stąd na dobre i w domu urządzono szkółkę jeździecką połączoną z hotelem, trzymaliśmy je w stróżówce, w skrytce pod fałszywym dnem na spodzie szafy na bieliznę.

- Są w doskonałym stanie - powiedziała z zachwytem Charlotte, otwierając pierwszy z nich.

Na samym początku znajdowało się zdjęcie jej ojca jako młodego człowieka, zrobione w jakimś zakładzie fotograficznym. Odwróciła stronę i zatrzymała wzrok na portrecie jeszcze młodej kobiety, która trzymała na rękach nowo narodzone niemowlę. Pod spodem widniała data - szesnasty października tysiąc dziewięćset trzynastego roku - oraz podpis: „Moja matka z Gretą”.

- Nie powiedziała mi pani, w jaki sposób pani siostrze udało się przetrwać wojnę.

- Och, w bardzo prosty i typowy dla niej sposób. Greta opuściła Ministerstwo Wojny w Berlinie, gdy tylko rozeszły się wieści, że Rosjanie przekroczyli granicę Prus Wschodnich. Hildegard, która pracowała w tym samym budynku, wiele lat później opowiedziała mi, że Greta poszła do swojego przełożonego i poprosiła o urlop, rzekomo po to, żeby pojechać do Grunwaldsee. Jako pretekst wykorzystwała naszą mamę oraz moją skromną osobę. Podobno mówiła, że bardzo się o nas niepokoi, zwłaszcza że byłam wówczas w zaawansowanej ciąży. Szef usiłował wyperswadować Grecie ten pomysł, mówiąc, że to niebezpieczne i że są trudności z transportem, ale odparła, że jej narzeczony ma samochód oraz wystarczającą ilość benzyny, bo od miesiąca oszczędzał swoje przydziały, żeby zrobić sobie zapas na wypadek jakiegś

niespodziewanej konieczności. Jednak największym kłamstwem było to, że podobno żadne niebezpieczeństwo nie ma dla niej znaczenia, gdy w grę wchodzi dobro rodziny.

- Ale przecież ona wcale nie przyjechała do Grunwaldsee - zaprotestował zupełnie zdezorientowany Marius.

- Oczywiście, że nie! Greta pojechała na zachód, nie na wschód. Zawsze miała świetne wyczucie czasu oraz jeszcze lepszy instynkt samozachowawczy. Zdążyła wyjechać z Berlina, jeszcze zanim zaczęły się ciężkie walki. I jak na Gretę przystało, wykorzystwała wpływy ojca Helmuta, żeby zamienić na złoto wszystkie marki ze swojego rachunku bankowego. Kiedy znalazła się w pobliżu wojsk angielskich i amerykańskich, wynajęła pokój w domu w pewnej niedużej miejscowości pomiędzy Hanowerem a Brunszwikiem. Mąż jej gospodyni zginął w Rosji i został uznany za zmarłego, więc biedaczka z braku pieniędzy była zmuszona wynajmować kwatery uciekinierom.

- Ale przecież w tamtym czasie hitlerowcy brali do wojska nawet kobiety, żeby podjąć ostatnią, desperacką próbę stawienia oporu - powiedział Marius, mieszając łyżeczką cukier.

- Owszem. Jednak Greta miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapłacić za mieszkanie za dwa miesiące z góry i wyjeżdżając z Berlina, zostawiła swój mundur. Przebrała się w cywilne ubranie i postanowiła udawać wdowę, która nie dostała powołania, ponieważ miała małe dziecko, lecz ono niestety umarło. I tak żyła we względnym komforcie, dopóki Anglicy nie zajęli miasta, oni zaś nie zwracali uwagi na kobiety, które nie nosiły munduru.

Marius wyjął z kieszeni zmiętoszoną paczkę papierosów. Chciał poczęstować Charlotte, ale podziękowała.

- Jeszcze zanim Niemcy podpisały kapitulację, Greta złożyła podanie o pracę w armii brytyjskiej w charakterze maszynistki i tłumaczki. Żeby dostać to zajęcie, nie zawahała się wykorzystać rodzinnych powiązań z Wilhelmem, który został uznany za przeciwnika hitleryzmu.

- Moja mama zawsze powtarzała, że jeśli w grę wchodzi jej dobro, to Greta nie ma za grosz poczucia wstydu. Czy Helmut wyjechał razem z nią?

- Ależ skąd. Podczas ostatnich dni wojny nawet ojciec nie był w stanie uchronić go przed pójściem na front. - Charlotte wypiła łyk kawy. - Oddział Helmuta poddał się Amerykanom, a on sam wylądował w obozie dla jeńców w Nadrenii-Północnej Westfalii. Kiedy na początku czterdziestego siódmego roku Amerykanie zwolnili go z obozu, od razu zaczął szukać Grety. Wynajmowałam wtedy pokój w tym samym domu co ona. Wiedziałyśmy, że Helmut dostał się do niewoli, ale Grecie nie przyszło do głowy zarejestrować się w Czerwonym Krzyżu ani szukać narzeczonego, a ja się tym nie zajmowałam, bo sądziłam, że już to zrobiła. Zanim Helmut nas odnalazł, Greta zdążyła się zaręczyć z pewnym brytyjskim majorem.

- Naprawdę? - spytał Marius ze zdumieniem.

- Jak tylko uchylono przepisy zabraniające takich związków, Greta wsiadła na pierwszy statek narzeczonych płynący do Wielkiej Brytanii. W Anglii wyszła za męża. Teściowie nie chcieli jej znać, jednak wcale się tym nie przejmowała. Przed ślubem upewniła się, że jej przyszły posiada własne konto w banku i zapisany na siebie dom. Osiedlili się pod Londynem i do dziś tam mieszkają.

- Mają dzieci?

- Nie. Greta nigdy nie robiła sekretu z tego, że nie chce ich mieć - nawet wówczas gdy zaręczyła się z Helmutem i obydwójce byli aktywnymi członkami partii nazistowskiej. To wydaje mi się dość dziwne, bo przecież partia utrzymywała, że pierwszym obowiązkiem każdej niemieckiej kobiety jest rodzenie dzieci dla dobra Vaterlandu.

- A co się stało z Helmutem? - dopytywał się Marius. - Pamiętam, że kiedy ty przyjechał z Gretą, zrobił na mnie wrażenie strasznego mięczaka, ale w sumie nie był zły. Zawsze wsunął mi do kieszeni parę marek, a mojej mamie dawał puszki z mięsem, kiedy Greta nie widziała. Zawsze nas przy tym upominał, żeby o niczym jej nie mówić.

Charlotte się uśmiechnęła.

- Przypominam sobie, jak wrzucał drobne pieniądze do skarbonki Ericha i tak samo prosił, żeby jej o tym nie wspominać. Marius, ich powojenne spotkanie było okropne. Helmut wczesnym wieczorem przyjechał do domu, w którym mieszkaliśmy ja i Greta. Pamiętam, że to było na początku lutego. Razem z Erichem siedziałam przy stole w pokoju, służącym nam obojgu za kuchnię, salon, łazienkę i sypialnię. W pewnej chwili zobaczyłam Helmuta, jak chodził ulicą tam i z powrotem, sprawdzając numery na kolejnych budynkach. Był brudny, nieogolony i w złachanym mundurze. W pewnej chwili zobaczył mnie, pomachał ręką i od razu podbiegł do frontowych drzwi. Wstałam od stołu, a potem zeszałam szybko, żeby wpuścić go do środka. Objął mnie na powitanie i od razu zapytał o Gretę. Nagle poderwał głowę, bo ujrzał, że stała na schodach tuż za nami.

- Wtedy puścił mnie i rzucił się do niej. Pamiętam dokładnie jego słowa: „Greto, kochanie, straciliśmy wszystko, ale wciąż mamy siebie. Wspólnie zbudujemy nowe życie”. Ale odsunęła się od niego. „Nie, ze mną niczego nie będziesz budował. Niemcy już nie istnieją, a ja postanowiłam się stąd wyprowadzić. Mam nowego narzeczonego, Anglika, i zarezerwowane miejsce na statku, który niebawem odpływa do Anglii. Narzeczonego zabiera mnie do Londynu. Ma tam dom - piękny dom - a jego ojciec prowadzi własną firmę”. Mignęła mu przed oczyma wielkim, olśniewającym szmaragdem, otoczonym drobnymi brylantami. „Przykro mi, Helmut, że nie mogę ci oddać twojego pierścionka, ale musiałam go sprzedać, żeby móc kupić sobie jedzenie. A teraz zechciej mi wybaczyć, ale jestem już spóźniona”.

- To cała Greta - zauważył Marius filozoficznie. - Czy naprawdę spodziewała się pani, że ona zostanie w zrujnowanym kraju, który wszyscy uważali za skończony i gdzie ludzie żyli w nędzy?

- Spodziewałam się, że lepiej potraktuje biednego Helmuta. Kiedy spytałam ją później, dlaczego tak okrutnie z nim postąpiła, odparła, że do takiej sprawy lepiej podchodzić z poczuciem realizmu, niż zachowywać pozory uczucia.

Charlotte mogła powiedzieć jeszcze więcej, ale uznała, że to nie ma sensu. Marius całe swoje życie przeżył w Grunwaldsee i wątpiła, czy choćby w najmniejszym stopniu podejrzewał, jak kobiety typu jej siostry zachowywały się przy końcu wojny.

Z kolei wyraz twarzy Helmuta upewnił ją wtedy, że nie umknął mu żaden szczegół - on też dostrzegł modny kostium Grety, jej nową fryzurę, drogie pantofle oraz nylonowe pończochy. Charlotte nie musiała w żaden sposób tłumaczyć Helmutowi, co robi jej siostra. Więcej niż połowa niemieckich kobiet, zamężnych i niezamężnych, zadawała się ze zwycięzcami, którzy mieli w bród jedzenia, papierosów i różnych dóbr dostępnych jedynie na czarnym rynku. Francuz, Amerykanin czy Anglik - to nie robiło im żadnej różnicy. Ale Greta mierzyła jeszcze wyżej. Zaprzyjaźniała się i - kiedy w ten sposób mogła zdobyć różne cenne dobra - bez oporów sypiała z oficerami, pod warunkiem że należeli do elity finansowej. I w przeciwieństwie do większości Niemek, w końcu udało jej się usidlić jednego z nich.

- A pani? Słyszeliśmy, że SS odebrało pani konia i wóz i była pani zmuszona oddać Ericha doktorowi. Doktor sam nam o tym powiedział, kiedy parę lat temu przyjechał tu z żoną, żeby zobaczyć Allenstein.

- Kiedy doktor zabrał Ericha, a mama i Minna zostały zabite, ukryłam się w lesie. Tam przyszła na świat moja córeczka, ale zmarła przy urodzeniu. A potem... Potem znalazł mnie Manfred Adolf.

- Przyjechał tu z generałem Paulusem. Mama była zdumiona, widząc, jak niemieccy żołnierze walczą ramię z ramię z Rosjanami.

- Manfred zawsze był przede wszystkim komunistą i nienawidził Hitlera, jeszcze zanim wybuchła wojna. Przechodząc na stronę Rosjan, nareszcie mógł walczyć w imię tego, w co wierzył przez całe swoje życie. Ciekawe, ilu żołnierzy mogłoby przy końcu wojny powiedzieć to samo? Niewielu Niemców, których znam - powiedziała ze smutkiem. - Potem stał się dość znanym działaczem politycznym we wschodnich Niemczech, ale o tym pewnie wiecie lepiej niż ja. Zastanawiam się, czy pozostał wierny ideologii komunistycznej nawet wtedy, gdy upadł mur berliński.

- Umarł miesiąc później. Niektórzy mówią, że pękło mu serce.

- Manfred ryzykował własne życie, a także życie swoich ludzi, żeby podrzucić mnie w pobliże wycofujących się żołnierzy Luftwaffe. Dowódca od razu wziął mnie do oddziału. Byłam zmuszona pozostać z nimi aż do maja czterdziestego piątego roku. Znaleźliśmy się na terenie Bawarii i tam objęła nas demobilizacja.

- Tak daleko od domu...

- Najgorsze było to, że nie wiedziałam, gdzie jest Erich ani czy w ogóle przeżył. Nie potrafię ci opisać, jaki chaos panował tuż po wojnie. Dopiero po paru tygodniach udało mi się go odnaleźć. Był w sierocińcu w Celle.

- Więc Greta nie zapewniła mu opieki?

- To właśnie Greta go tam umieściła.

Mimo tego, co matka przełożona mówiła o Grecie i jej staraniach, żeby zaprowadzić Ericha w bezpieczne miejsce, Charlotte nigdy nie zdołała wybaczyć siostrze, że oddała jej synka do przytułku.

- Wasz ojciec kazałby ją za to wychłostać - oświadczył Marius z obrzydzeniem.

- Pewnie tak. - Charlotte nie mogła się zmusić, żeby o tym rozmawiać. - Już po tym, jak odnalazłam Ericha i Gretę - nawiasem mówiąc, wcale się nie ucieszyła na nasz widok - dotarła do mnie wieść, że Irena przeżyła wojnę.

- A jej trzecie dziecko?

- Mały umarł wkrótce po narodzeniu.

- Więc to był chłopiec. - Twarz Mariusa ściągnęła się z bólu. - Mój Boże, jak Wilhelm by się cieszył!

Charlotte nie ufała sobie na tyle, by zdobyć się na jakiś komentarz.

- A więc przy końcu wojny i Greta, i Irena znalazły się na północy Niemiec.

- Oczywiście Greta nie życzyła sobie widzieć Ireny, tak samo jak nie pragnęła kontaktu ze mną i Erichem, chociaż bez wahania wykorzystywała nazwisko Wilhelma, żeby zyskać szacunek swoich nowych przyjaciół.

- Spiskowcy byli odważnymi ludźmi. Gdyby im się udało, świat mógłby dziś wyglądać zupełnie inaczej.

- Być może, choć moja bratowa zapewne nie zgodziłaby się z tobą. Pobyt w Ravensbrück całkowicie ją odmienił - oświadczyła Charlotte ze smutkiem. - To była zupełnie inna Irena niż ta, którą znaliśmy. Wiele wycierpiała, nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim psychicznie, bo nie miała pojęcia, gdzie są jej córki ani co się z nimi stało. Przez to wszystko stała się starą, zgorzkniałą kobietą.

- Miała prawo się zmienić.

- Pomagałam jej szukać Marianny i Karoline. Mariannę udało się odnaleźć względnie łatwo; w ciągu zaledwie tygodnia od mojego spotkania z Ireną ustaliliśmy, że przebywa w sierocińcu. Niestety, nigdzie nie trafiliśmy na ślad Karoline. Najgorzej, że nie wiadomo, czy mała została zabita w czasie wojny, umarła na jakąś chorobę, czy też trafiła do adopcji. Kiedy kolejne próby odnalezienia dziecka speszły na niczym, Irena zabrała Mariannę i przeprowadziła się na południe Niemiec. Pod zmienionym nazwiskiem zamieszkała w jakimś miasteczku, gdzie nikt jej nie znał i niczego o niej nie wiedział. Oświadczyła, że nie życzy sobie żadnych wspomnień ani niczego, co by jej przypominało o Wilhelmie, co oznaczało zerwanie wszelkich kontaktów także ze mną.

- Nigdy się nie zdarzyło, żeby napisała do pani?

- Nigdy, a ja nie mogłam napisać do niej, bo nie znałam adresu. Później napisałam do Manfreda, żeby podziękować mu za uratowanie życia i przy okazji zapytać o Irenę, ale nie odpowiedział, nawet jeśli otrzymał mój list. Chętnie bym się dowiedziała, co słyhać u niej i u Marianny, niestety, nigdy nie dały znaku życia.

- A co z pani mężem?

Charlotte spojrzała na Mariusa i zobaczyła, że wiedział co nieco o jej małżeństwie.

- Greta nie była jedyną spośród nas, która wyszła za Anglika. W czasie gdy pomagałam Irenie szukać Marianny, dotarła do mnie mała paczka. W środku znajdował się złoty zegarek Clausa, jego identyfikator, przedmioty znalezione w

kieszeniach oraz krótka notatka: „Z przykrością informujemy, że pułkownik Claus von Letteberg zginął w obronie Berlina dnia trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku”. Upłynął cały rok, zanim ta przesyłka do mnie dotarła.

- Czy właśnie dlatego zdecydowała się pani poślubić Anglika?

- No cóż, ty i twoja matka pracowaliście u Rosjan, a ja wyszłam za Anglika. Czy naprawdę jest między nami jakaś różnica, Marius?

- Wcale nie zamierzałem pani krytykować, Fräulein Charlotte...

- Nic nie trzymało mnie i Ericha w Niemczech.

- Nie dokonał tego nawet pewien rosyjski kapitan - powiedział cicho. Zobaczył, że Charlotte przygląda mu się z uwagą. - Moi rodzice od razu się domyślili, że coś jest pomiędzy wami, Fräulein Charlotte. Właściwie wiedzieli o tym od dnia, gdy załatwiła pani przeprowadzkę jeńców do Grunwaldsee.

Siedziała w milczeniu, bo zaprzeczanie czemuś tak oczywistemu zupełnie mijало się z celem. Po wojnie, kiedy Rosja stała się wrogiem i rozpoczął się okres zimnej wojny, wszystko wyglądało całkiem inaczej. Zresztą wtedy musiała się martwić o Ericha, a nieco później także o Jeremy'ego. Ale czy teraz któregoś z jej synów obchodziło coś, co zrobiła wiele lat temu?

- Nigdy nie byłam zręcznym kłamcą, Marius. Tak samo nigdy nie potrafiłam ukrywać swoich uczuć.

- Wszyscy rosyjscy jeńcy zostali zamknięci w kościele i siedzieli tam pod strażą przez tydzień, zanim odesłano ich do Rosji. Komuniści uważali jeńców wojennych za zdrajców, którzy opuścili w potrzebie swoją ojczyznę. Najpierw byli więzieni przez jednych, potem przez drugich, a obie strony traktowały ich w równie ohydny sposób. Ale kapitan i jego ludzie nie byli gnębieni, przynajmniej dopóki trzymano ich tutaj. Razem z mamą udawało nam się czasami podrzucić im coś do jedzenia.

- Kapitan uratował mi życie, Marius. Nie zawahał się zaryzykować dla mnie własnego życia i życia swoich ludzi.

- Leon opowiedział mojej mamie, że kapitan zabił żołnierza, który próbował strzelić do pani. Wskazał nam, gdzie powinniśmy szukać ciała pani matki i Minny, więc spodziewaliśmy się, że panią również gdzieś tam znajdziemy. Kiedy okazało się, że nigdzie pani nie ma, kapitan błagał nas, żebyśmy nie ustawiali w poszukiwaniach. Mówił, że jeśli pani żyje, to musimy ukryć panią w jakimś miejscu, gdzie będzie mógł panią odnaleźć, jeśli uda mu się uciec. Mówił o tej ucieczce bez przerwy aż do chwili, gdy wszyscy jeńcy pomaszerowali na wschód. Mówił, że razem stąd wyjedziecie i zbudujecie sobie nowe życie gdzieś z dala od Niemiec i Rosji.

Uśmiechnęła się.

- Te marzenia nigdy nie mogły się spełnić, Marius. Obydwoje o tym wiedzieliśmy.

- Kiedy moja mama w końcu zaakceptowała fakt, że ojciec nigdy do niej nie wróci, miała zwyczaj mówić: „Najlepsze w życiu są marzenia i wspomnienia”.

Z ramion Charlotte zsunął się zakiet i miękko upadł na trawnik. Marius podniósł go i narzucił na nią z powrotem, ale wspomnienia z odległej przeszłości pochłonęły ją tak dalece, że nawet tego nie zauważyła.

Rozdział dziewiętnasty

Charlotte i Marius wciąż siedzieli w cieniu pergoli, kiedy pół godziny później na skraju trawnika pojawił się jakiś młody mężczyzna i zważym krokiem ruszył w ich kierunku.

- Misza, nie wiedziałem, że już wróciłeś! - zawołał Marius, podnosząc się z miejsca, żeby serdecznie uściskać mu dłoń.

Przez kilka minut zawzięcie dyskutowali o czymś po polsku, a potem Marius przyprowadził go do Charlotte. Na stoliku przed nią stała filiżanka zimnej kawy i talerzyk z nietkniętym kawałkiem tarty.

- Fräulein Charlotte, niech mi wolno będzie przedstawić pani obecnego właściciela Grunwaldsee, pana Miszę Sitko. Misza, to jest...

- Charlotte Datski. - Charlotte wyciągnęła rękę w stronę młodego człowieka. Ucałował ją z szacunkiem, podobnie jak wcześniej Marius.

- Czy mogę?

Nie czekając na przyzwolenie, Misza przysunął sobie krzesło i usiadł obok nich.

- Niedawno widziałem pani wnuczkę, jak jechała konno wzdłuż jeziora w towarzystwie Brunona.

- Konie potrzebują ruchu - mruknął Marius niepewnie, jakby zamierzał się wytłumaczyć.

Misza roześmiał się i leciutko klepnął go w ramię.

- Marius, ja wcale nie mam o to pretensji. Wręcz przeciwnie, jestem zadowolony, że Brunon wyręczył mnie w pracy. Fräulein Datski, pani wnuczka, Laura, powiedziała mi, że pani niegdyś tu mieszkała. W związku z tym pozwoliłem sobie zadzwonić do mojego dziadka. Wybierał się do Grunwaldsee przy końcu tygodnia, ale zdecydował, że przyjedzie wcześniej, żeby móc panią zobaczyć. Czy chce pani spotkać się z nim?

- Czy mam rozumieć, że pański dziadek zamierza tu z panem mieszkać? - Charlotte zjeżyła się na samą myśl, że miałyby być gotowa na każde zawołanie jakichś nieznanych ludzi, którzy kupili jej rodzinny dom.

- Ze mną? - powtórzył jak echo Misza. - Pani niewłaściwie ocenia całą sytuację, madam. Kupiłem i odnowiłem Grunwaldsee ze środków finansowych, które udostępnił mi mój dziadek. Ale dziadek świetnie wiedział, że nawet gdybym schrzanił renowację tego miejsca, to akcjonariusze bez trudu sprzedaliby je ponownie za te same pieniądze, które wyłożył.

- Misza, nie wyrażaj się w ten sposób w towarzystwie damy - zganiał go Marius.

Ta uwaga sprawiła, że Charlotte znów przeniosła się myślami do dawnych, dobrych czasów, które dobiegły końca, gdy wybuch wojny na zawsze odmienił jej życie. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jakiś mężczyzna zwrócił komuś uwagę, że w jej obecności należy liczyć się ze słowami.

- Ale dlaczego pański dziadek chce się ze mną zobaczyć? - zapytała.

- Pewnie dlatego, że jest pani sławną artystką. Dziadek posiada kilka pani prac, które w niedalekiej przyszłości zawisną na ścianach w dużym domu.

- Naprawdę? - Charlotte wydawała się mocno zaskoczona.

- Dziadek kolekcjonuje dzieła sztuki.

- Czy powinnam znać jego nazwisko?

- Nie sądzę. I chociaż pomógł mi kupić Grunwaldsee, to tak naprawdę żaden z nas nie jest właścicielem tej posiadłości. - Misza odwrócił się do Mariusa. - Chcieliśmy, żeby to była niespodzianka, ponieważ wkrótce w prasie ukażą się oficjalne wiadomości. Ten dom, ogrody i cała ziemia należą do pewnego towarzystwa powierniczego zajmującego się

działalnością charytatywną. Ja mam jedynie utrzymywać majątek w należytym stanie, oczywiście przy pomocy twojej i Brunona.

- Cóż to za organizacja charytatywna? - spytała podejrzliwie Charlotte.

- O tym powie pani mój dziadek. Wiem, że wolałby nie ujawniać zbyt wielu szczegółów swojego planu, przynajmniej na razie. Trudno mu było namówić mojego ojca, żeby pozwolił mi tu przyjechać, bo ojciec spodziewał się, że po dyplomie zacznę pracować u niego, ale potem zrezygnował i teraz przygotowuje jednego z moich młodszych braci do przejścia rodzinnego biznesu, kiedy przyjdzie czas. Ma wystarczająco wielu synów, może wybierać. Ostatnio doliczyłem się siedmiu przyrodnich braci.

- Spora rodzina - zauważyła Charlotte.

- Raczej rodziny, dokładnie rzecz biorąc. Jako dziecko miałem pięć - a może sześć? - macoch, co w sumie nie było takie złe. Każda z nich przede wszystkim zajmowała się pilnowaniem mojego ojca, toteż ja nie budziłem ich zainteresowania. Jeśli zaś chodzi o niego, to głównie uganiał się za kobietami, więc również nie miał dla mnie czasu. Chciał, żebym został lekarzem albo prawnikiem, lecz zanim się zorientował, co studiuje, było już za późno.

- A co pan studiował? - zapytała Charlotte.

- Nic szczególnego - odparł wymijająco. - Zresztą czy na uniwersytecie można nauczyć się czegoś pożytecznego? Wreszcie Marius zdecydował się poruszyć kwestię, która dla Charlotte miała pierwszorzędne znaczenie.

- Czy panowie zamierzają przekształcić Grunwaldsee w hotel?

- Powiedzmy inaczej: dom tej wielkości musi zostać wykorzystany do jakichś praktycznych celów. Tylko w ten sposób będzie można go utrzymać. W obecnych czasach niewiele ludzi ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pozwolić sobie na posiadanie dworu bez konieczności wykorzystywania go do prowadzenia biznesu. Fräulein Datski, uważam, że spotkało panią wielkie szczęście, że mogła pani wychowywać się właśnie w tym domu.

- I wielkie nieszczęście, że go utraciłam, panie Sitko - odparła, ale w jej tonie nie było rozgoryczenia.

- Proszę mówić do mnie Misza - poprawił ją. - Nikt nie zwraca się do mnie inaczej, z wyjątkiem mojego dziadka, kiedy jest na mnie wściekły, ale na szczęście nie zdarza się to zbyt często. Więc co mam mu powiedzieć? Czy pani spotka się z nim, kiedy tu przyjedzie?

Charlotte spojrzała w stronę domu i zobaczyła Laurę i Brunona, którzy właśnie wjechali na dziedziniec.

- Tak. Właściwie nie ma powodu, dla którego nie miałybyśmy zostać tutaj jeszcze przez parę dni.

- Dobrze. W takim razie zadzwonię do dziadka, żeby przekazać mu tę dobrą wiadomość. Życzę miłego popołudnia, Fräulein Datski.

Ucałował jej dłoń na pożegnanie i szybko odszedł.

- Zadziwiający młody człowiek - zauważyła Charlotte, zwracając się do Mariusa.

- Bardzo bezpośredni. Zawsze wiadomo, czego się po nim spodziewać, jak mówią niektórzy.

Charlotte zobaczyła Laurę, która zmierzała w jej stronę, i przygotowała się psychicznie na burę, że nie spędziła tego dnia w łóżku, tak jak obiecała.

- No cóż, Marius, do zobaczenia pojutrze.

- Mogę odwieźć panie samochodem. Czy to znaczy, że jutro nie wybieriecie się do nas?

- Nie mam pojęcia, co zaplanowali Laura i Brunon, ale jeśli chodzi o mnie, to raczej posłucham zaleceń lekarza i trochę odpocznę.

Wstała, pochyliła się i objęła go serdecznie, a potem ucałowała w policzek.

- Marius, koniecznie podziękuj Jadwidze za kawę i tartę z truskawkami.

- Czy sądzisz, że w dzisiejszych czasach architekci celowo projektują hotele tak, żeby wyglądały jak wnętrze wielkiego liniowca? - spytała Laura, kiedy razem z Charlotte szły ciągnącym się w nieskończoność, pozbawionym okien korytarzem, który prowadził z jadalni do ich pokoi.

- Moim zdaniem usiłują zmieścić jak najwięcej pomieszczeń na jak najmniejszej przestrzeni - odparła Charlotte.

Otworzyła drzwi i włączyła światło. Laura weszła za nią. Pokojówka musiała niedawno sprzątnąć pokój; ręczniki Charlotte leżały na łóżku, uformowano z nich dwie sylwetki łabędzi. Jednemu włożono na dziób okulary do czytania, drugi miał na głowie kwiat czerwonej pelargonii.

- Strasznie tu duszno. Rozumiem, że sprzątaczkę zamykają drzwi balkonowe, żeby do środka nie dostał się włamowacz, ale czemu nie zaciągają żaluzji? Czy będziesz tak dobra, kochanie, i otworzysz okno?

Sama pochyliła się i zajrzała do barku.

Laura zrobiła to, o co poprosiła ją babcia, a następnie wyszła na balkon, żeby popatrzeć na jezioro. Zapadł już zmrok, zarzucając welon szarości na otaczający brzegi las i malując purpurowe cienie na tafli gładkiej jak szkło wody. Jakiś jacht cumował właśnie przy pomoście w Grunwaldsee. Laura mimowolnie zastanowiła się, czy Misza żegluje, a jeśli tak, to czy kupił jakąś łódź i trzyma ją na jeziorze. Odwróciła się w stronę pokoju i zauważyła, że zostawiona przez lekarza butelka z proszkami nasennymi stała nietknięta na szafce przy łóżku.

Charlotte dostrzegła jej spojrzenie.

- Jeśli nie będę mogła dziś zasnąć, to wezmę od razu dwa. Mam zamiar jutro trochę sobie odpuścić i poleżeć przez cały dzień.

- W takim razie przyznajesz się, że dziś ich nie wzięłaś, i to po tym wszystkim, co zalecił doktor?

- Przyznaję się do winy.

- Oma, wyglądasz...

Charlotte przelotnie rzuciła okiem do lustra.

- Kochanie, wiem, jak wyglądam, ale to tylko wyczerpanie, tak jak powiedział ten lekarz. Jestem wykończona emocjonalnie po spotkaniu z Grunwaldsee i fizycznie po podróży, a teraz dodatkowo zmęczyła mnie ta ogromna kolacja. Dość dawno minęły czasy, gdy jadałam dwa dania, nie mówiąc już o trzech, ale uwielbiam marynowane śledzie, a te były doskonałe, jak uważasz?

- Wcale nie żałuję, że je zamówiłam. Ostatecznie w życiu trzeba spróbować wszystkiego - odparła Laura.

- Ale je zjadłaś.

- I wciąż nie mogę się zdecydować, czy mi smakowały.

- Za to kaczka w ciemnym sosie i naleśniki z wiśniami i słodką śmietaną, które podano na deser, były naprawdę wyśmienite, prawda?

- Owszem. Żałuję tylko, że nie zjadłaś wszystkiego, co miałaś na talerzu.

Przez te parę dni, które spędziły razem, Laura wydawała się coraz bardziej zaniepokojona brakiem apetytu u swojej babci.

- Należy jeść mało, często i zdrowo, przynajmniej tak powtarza mój doktor. Ale chyba mogę zrobić wyjątek dla tych naleśników z wiśniami i jeszcze raz zjeść je na śniadanie? Już prawie zapomniałam, jak smakują.

- Czy w Grunwaldsee też jedliście je codziennie? - Laura przyciągnęła krzesło blisko krawędzi balkonu i usiadła.

- Tego nie pamiętam, ale na pewno co roku latem było mnóstwo wiśni. A w czasie żniw nasza kucharka, Martha - mama Mariusa - oraz nasza gospodyni rozstawiały w sali balowej stoły, żeby nakarmić wszystkich robotników. Stoły były pełne jedzenia od jednego końca aż po drugi i zawsze podawano też marynowane śledzie.

Charlotte otworzyła butelkę wody mineralnej, którą wyjęła z lodówki, i przyniosła ją na balkon, razem z dwiema szklaneczkami i flaszką schłodzonej wódki.

- Masz ochotę na małego drinka przed snem?

- Coś w rosyjskim stylu? - Laura się uśmiechnęła.

- W polskim.

Charlotte postawiła butelki na stole.

- Dziękuję.

Laura wzięła szklaneczkę napełnioną wodą mineralną i dolała trochę wódki.

- No cóż, dziś obie miałyśmy okazję poznać nowego właściciela Grunwaldsee.

Przez całą kolację jak ognia unikały tego tematu, bo w pobliżu siedzieli inni goście.

- Jest niesamowity, prawda? - Charlotte przesunęła krzesło w ten sposób, by spoglądać na tę część jeziora, która przylegała do Grunwaldsee, choć tak naprawdę mogła dostrzec jedynie słabe światełko na końcu pomostu i nikły poblask, który był - lub nie był - odbiciem światła padającego z jednego z okien letniego domku.

- Owszem - zgodziła się Laura. - Powiedział, że nie jest pierwszym Rosjaninem, mieszkającym na terenie posiadłości. Pewnie miał na myśli rosyjskich jeńców wojennych, którzy pracowali tu podczas wojny.

- Pewnie tak. - Charlotte czuła, jak jej serce zaczęło uderzać w nierównym rytmie.

Laura pociągnęła łyk ze szklaneczki.

- Poza tym dowiedziałam się, że Paul i Wilhelm byli bliźniakami... Wolałabym usłyszeć o tym od ciebie, Oma - dodała z wyrzutem.

- Wybacz, jakoś nigdy nie mogłam znaleźć odpowiedniej chwili, żeby porozmawiać z tobą o przeszłości.

- Ze mną?

- Z tobą, Clausem, małym Erichem i Luke'em. Próbowałam poruszyć tę kwestię z twoim ojcem i wujkiem Erichem, zanim spotkałyśmy się w Berlinie, ale nie chcieli o niczym wiedzieć. Obaj uważają, że przeszłość nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o ich dzisiejsze życie. Być może mają rację.

Charlotte spojrzała w głąb pokoju. Jej pamiętnik i książka, którą przywiozła ze sobą, leżały na nocnej szafce. Wstała, przeszła przez pokój i wzięła je do ręki.

- To jest mój pamiętnik. Zaczęłam go pisać w dniu moich osiemnastych urodzin w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku i od tego czasu stale dodawałam jakieś zapiski, bardziej lub mniej regularnie. Prawdę mówiąc, z upływem lat częściej nie pisałam, niż pisałam. Zaczęłam go czytać na nowo teraz, w dniu poprzedzającym wyjazd z Ameryki do Anglii i sama zdumiałam się, jak wiele zdążyłam zapomnieć. Nie mówię o wydarzeniach, lecz o związanych z nimi emocjach. Zostało mi jeszcze parę stron, ale jeśli naprawdę chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej przeszłości, to jutro będę mogła ci go dać.

- Żebym go przeczytała?

- Nie. Mam zamiar dać ci go w prezencie.

Wyciągnęła ku niej rękę z pamiętnikiem, który nie był już tak czysty i nieskalany jak w dniu, kiedy Hildegard i Nina podarowały jej go w pociągu, gdy wracały z Rosji z pamiętnego tournée orkiestry Hitlerjugend, lecz poplamiony i zniszczony przez upływ czasu.

- Kiedy zaczynałam pisać, byłam młodym, naiwnym dziewczątkiem i marzyłam o weselu jak z bajki oraz życiu w pałacu u boku wyśnionego księcia.

- Masz na myśli Bergensee? - domyśliła się Laura, ale Charlotte uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Marzyłam o ślubie, ale nie starczało mi wyobraźni, żeby pomyśleć o tym, co będzie potem. Poza tym polityka śmiertelnie mnie nudziła, tak samo jak inne poważne tematy, którymi nie miałam ochoty zaprzętać sobie głowy ani tym bardziej o nich dyskutować... Lecz w końcu to właśnie polityka nieuchronnie zniszczyła moje beztrioskie życie i odebrała mi ludzi, których bardzo kochałam - zawahała się przez moment. - W tym pamiętniku jest także opowieść o miłości, która całkiem mnie odmieniła.

- Do dziadka Clausa? - spytała Laura. Charlotte spojrzała jej prosto w oczy.

- Nie.

- Właśnie to powtarzał nam tata. Że to ojciec wujka Ericha był miłością twojego życia.

- Nieprawda.

- A czy dziadek Julian kiedykolwiek choć trochę cię obchodził? - spytała Laura z wyrzutem.

- A czy mówił wam, że nie? - odparowała Charlotte, a kiedy wnuczka nie odpowiedziała, mruknęła sama do siebie: - No jasne, przecież Julian musiał pomyśleć, że zwyczajnie go wykorzystałam.

Zabrała pamiętnik i książkę na balkon i znów usiadła naprzeciwko Laury.

- Zaraz po wojnie w Niemczech panował straszny chaos. Nie miałam absolutnie nic aż do chwili, gdy zaczęłam pracować u Anglików. Brakowało mi pieniędzy, nawet żeby kupić jedzenie dla Ericha. I wtedy poznałam twojego dziadka. Oboje podczas wojny straciliśmy bliskie nam osoby. Dziadek był dla mnie dobry, a ja wtedy rozpaczliwie potrzebowałam czyjegoes wsparcia i dobroci. Chciałam jakoś mu się odwdziżyć i próbowałam być dla niego dobra. Myślę, że obydwójce uznaliśmy wtedy za miłość coś, co było jedynie wzajemnym szacunkiem i czymś w rodzaju współczucia, jednak z prawdziwą miłością nie miało nic wspólnego.

- Więc dziadek Julian także kogoś stracił?

- Jego pierwsza żona i malutka córeczka zginęły podczas nalotów na Londyn. Czyżby nigdy wam o tym nie opowiadał?

- Zdaje się, że w naszej rodzinie większość spraw trzyma się w tajemnicy - mruknęła Laura, a potem znów upiła łyk ze szklaneczki. - Chyba miałam niecałe dwanaście lat, kiedy odkryłam, jaki związek istniał pomiędzy tobą a dziadkiem, ale nawet wówczas nie mogłam uwierzyć, że już kiedyś byłaś mężatką. Dziadek jest takim... - Laura gorączkowo szukała w myśli słów, które nie zabrzmiałyby zbyt protekcyjnie ani nikomu nie przyniosły ujmę. - Takim typowym przedstawicielem angielskiej klasy średniej - powiedziała w końcu. - A ty jesteś Europejką, kosmopolitką i artystką. Czemu wyszłaś za niego za męża, Oma?

- Angielska klasa średnia oznaczała dla mnie bezpieczną przystań, a co ważniejsze, oznaczała pewną przyszłość dla Ericha. Poza tym po zakończeniu wojny miałam za sobą tyle mocnych wrażeń, że starczyłoby ich dla dziesięciu osób. Być może twój dziadek nie był najlepszym ojczymem na świecie, ale starał się, jak umiał, i to właśnie dzięki niemu Erich otrzymał porządne wychowanie i wykształcenie. Szkoda tylko, że dziadek postanowił oddać go do prywatnej szkoły z internatem, bo to oznaczało rozstanie, którego skutków wtedy nie przewidzieliśmy ani on, ani ja.

- Czyli rozumiem, że wcale go nie kochałaś? - Laura postawiła sprawę jasno.

- Na pewno nie w taki sposób, w jaki żona powinna kochać męża - przyznała się Charlotte.

- A ojca wujka Ericha?

- Claus von Letteberg był niemieckim arystokratą, zawodowym żołnierzem i dżentelmenem. Całkowicie popierał ideologię swojego kraju i czasów, w których przyszło mu żyć, co oznaczało, że kobieta powinna zostać w domu. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z jakąś mozolną harówką. Żadna z żon von Lettebergów nie musiała sama gotować, sprzątać czy szorować podłóg, ale oczekiwano, że będzie rodziła dzieci oraz kierowała gospodynią i resztą służby. Już noc poślubną zorientowałam się, że popełniłam olbrzymi błąd. Że zakochałam się w miłości, a nie w konkretnym czło-

wieku. Spędziliśmy razem zaledwie kilka dni, a potem Claus musiał wyjechać do swojego oddziału. Podczas wojny rzadko go widywałam, bo bardzo serio traktował swoje oficcerskie obowiązki, chociaż nie popierał nazistów ani nie należał do gorących zwolenników Hitlera. Poza tym Claus miał kochanki - dodała z przelotnym uśmiechem.

- Godziłaś się na to, żeby spać z innymi kobietami? - spytała Laura z przerażeniem, jakby zaszokowała ją myśl, że jakakolwiek kobieta, nie mówiąc o ukochanej babci, z takim spokojem akceptowała małżeńską niewierność.

- Nasze życie intymne nie układało się do tego stopnia, że byłam nawet zadowolona, jeśli cokolwiek odwracało uwagę Clausa od mojej osoby. Zresztą nie mogę winić ani jego, ani jego kochanek za to, że nasze małżeństwo okazało się całkowitą klęską. Po prostu Claus oczarował mnie, kiedy byłam zbyt młoda i naiwna, żeby w ogóle zdawać sobie sprawę, co oznacza być czyjąś żoną. A później sama zakochałam się bez pamięci. Dzięki tej miłości przeżyłam najszcześniejsze chwile swojego życia, a w najgorszych momentach wspomnienia o niej dawały mi siłę do dalszego zmagania się z losem. Ponieważ wówczas myślałam - całkowicie niesłusznie, jak się okazało - że jeśli umrę, na całym świecie nie pozostanie już nikt, kto pamiętałby mojego ukochanego albo opłakiwał jego śmierć. Jedyne, co dręczyło mnie przez większą część mojego dorosłego życia, to pytanie, czy on naprawdę mnie kochał, czy tylko posłużył się mną do własnych celów.

- Co się z nim stało?

Charlotte nie odpowiedziała, tylko wzięła do ręki pamiętnik i leżącą pod nim książkę.

- Dziś wieczorem będę jeszcze czytać swój pamiętnik, więc możesz wziąć do czytania coś innego.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy na temat „Ostatniego lata”? - spytała Laura, nalewając sobie do szklaneczki wody, tym razem bez wódki. - Zobaczyłam tę książkę w hotelowym sklepiku, więc ją kupiłam i obiecuję, że tym razem przeczytam od deski do deski.

- Pomyśl sobie o mnie, kiedy będziesz ją czytać - poprosiła Charlotte i wstała z krzesła. - Dziękuję, kochanie, że jesteś tu ze mną.

Laura wyczuła, że jej babcia nie powie już niczego więcej, nawet jeśli ona zacznie nalegać, mimo to nie podniosła się z krzesła.

- Chcesz dopilnować, żebym koniecznie połknęła te proszki? - domyśliła się Charlotte.

- Tak - odparła Laura bez ogródek.

- Podobno szybko działają, więc najpierw wezmę kąpiel, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ale obiecuję, że na pewno je połknę, gdyby się okazało, że nie mogę zasnąć. Zresztą możesz wziąć dodatkowy klucz, który dał mi kierownik hotelu, i zajrzeć tu rano, żeby sprawdzić, co robię. Naprawdę mam zamiar spędzić w łóżku cały jutrzejszy dzień.

Poniedziałek, 7 maja 1947

Nie mogę uwierzyć, że drzewa za moimi oknami są całe w zieleni. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest widok Ericha, który ciągnie po śniegu małe saneczki, pożyczone od Frau Leichner. Zrobił je jeszcze przed wojną jej brat, Albert, z myślą o małym synku Frau Leichner. Albert, podobnie jak Peter, zginął we Francji w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

Dziś rano po raz pierwszy od trzech miesięcy wstałam z łóżka. Lekarze powiedzieli mi, że doznałam kompletnego załamania fizycznego i psychicznego. Pamiętam jedynie, jak nagle poczułam, że nie mam po co dalej żyć. Przed oczyma wciąż widzę małą buzię Ericha, bladą i przestraszoną.

Chciałam jakoś go pocieszyć, ale nie mogłam się powstrzymać od zamykania oczu, co odgradzało mnie od niego. W myślach wciąż powracałam do Saszy i teraz wiem na pewno - choć nie umiem powiedzieć skąd - że już nigdy więcej go nie zobaczę.

Przez ostatnie dwa tygodnie lekarze i pielęgniarki podawali mi zastrzyki z jakimś specyfikiem, utrzymującym mnie w stanie świadomości. Julian codziennie przychodzi w odwiedziny. Przynosi kwiaty, czekoladę i rysunki, które Erich robi specjalnie dla mnie. Ilekroć na nie spojrzę, czuję się winna, ponieważ malec zawsze rysuje swój portret z wielkimi łzami w oczach. Szkoda, że wojny nie przeżył nikt, kto teraz mógłby się nim zaopiekować, na przykład dziadkowie von Letteberg.

Julian powtarza, że ze względu na synka i na niego muszę zdobyć się na wysiłek i wyzdrowieć. Wiem, że jeśli się postaram, lekarze będą trzymać mnie tu w nieskończoność. Julian zapłacił wszystkie rachunki ze szpitala i wiem, że daje pieniądze Frau Leichner, żeby zajmowała się Erichem. Gdyby nie on, mały musiałby wrócić do sierocińca, ponieważ Frau Leichner nie mogłaby sobie pozwolić na utrzymywanie mojego dziecka. Jeśli chodzi o Gretę, to pewnie nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się nim zaopiekować.

Jeszcze nigdy dotąd nie czułam się tak chora jak teraz. Wczoraj Julian przyszedł tu razem z Gretą. Rozmawiała z lekarzem tuż przed drzwiami mojej sali, więc słyszałam, jak mówiła, że nigdy nie byłam silna psychicznie, nawet jako dziecko. Powiedziałam Julianowi, że to wszystko kłamstwo, ale zdaje się, że mi nie uwierzył. W dodatku Greta upiera się, że jestem zbyt słabego zdrowia, żebym mogła sama sprawować opiekę nad małym dzieckiem.

Julian zaproponował mi, że się ze mną ożeni i zaadoptuje Ericha. Wtedy Greta oświadczyła, że powinnam uważać się za prawdziwą szczęściarę, ponieważ żaden inny mężczyzna nie uważałby kobiety takiej jak ja - chorej, bez grosza przy duszy i obciążonej dzieckiem - za dobrą kandydatkę na żonę. Powiedziała, że byłabym szalona, odrzucając oświadczenia, ponieważ na całym świecie nie mamy nikogo poza sobą, a ona wyjeżdża do Anglii, więc i ja powinnam tam jechać, żebyśmy trzymały się razem.

Julian dodał, że wystarczy jedno moje słowo, a postara się zdobyć bilety dla mnie i Ericha na pierwszy statek z narzeczonymi z Niemiec, który odpływa z Hamburga do Tilbury w przyszłym miesiącu. Greta już ma bilet na ten statek. Czy ja także powinnam stąd wyjechać?

Nie rozumiem, czemu jej tak bardzo zależy, żebyśmy mieszkały blisko siebie. Przecież nigdy nie kochała mnie jak siostra - tak jak Irena, zanim w lipcu czterdziestego czwartego roku esesmani zabrali ją i Wilhelma.

Nie mogę się zdobyć, żeby przenieść na papier to, co powiedziała mi Irena, kiedy przed ponad rokiem przenosiły się z Marianną na południe Niemiec. Usłyszałam od niej wiele okrutnych słów. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy mówiła, że żałuje, iż w ogóle spotkała Wilhelma. Od tej chwili, powiedziała, jestem dla niej i dla Marianny tak samo martwa jak mój brat.

Byłyśmy strasznie nieszczęśliwe, kiedy nie udało się odszukać Karoline, a coraz to inni urzędnicy przekonywali nas, że skoro dziewczynce zmieniono imię i nazwisko, to odnalezienie jej wydaje się zupełnie niemożliwe. Z kolei Irena z uporem twierdzi, że podobnie jak Marianna, Karoline była wystarczająco duża, kiedy ją zabierano z domu, żeby zapamiętać swoje prawdziwe imię i nazwisko. Sądzę, że Irena świetnie wie, że jest wręcz przeciwnie, tylko po prostu nie chce się do tego przyznać.

Gdyby tylko Karoline trafiła do tego samego sierocińca, co Marianna... Ale nie trafiła i w rezultacie wydaje się, że straciłyśmy ją na zawsze. Poza tym ani Irena, ani ja nie możemy pogodzić się ze śmiercią naszych nowo narodzonych dzieci. Dopóki byłyśmy razem, stale przypominałyśmy sobie o naszym wspólnym cierpieniu, ale mimo to żadna nie potrafiła pocieszyć tej drugiej ani dać jej ukojenia. Jednak mimo wszystko bardzo tęsknię za Ireną - za moją drogą siostrą, która niegdyś tak mnie kochała. Inaczej niż Greta, która zawsze jasno dawała mi do zrozumienia, że nawet mnie nie lubi.

Czuję się słaba i zmęczona. Tak łatwo byłoby pozwolić, żeby to Julian podejmował za mnie wszystkie decyzje.

Mimo że nie znoszę Grety, tym razem muszę przyznać jej rację. Nie mam wyboru, jak tylko poprosić lekarzy, żeby wypisali mnie ze szpitala i oddali pod opiekę Julianowi, a potem postarać się u jego boku stworzyć w Anglii nowe życie dla mnie i Ericha.

Piątek, 30 listopada 1948

Upłynęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni otworzyłam ten pamiętnik. Łudziłam się nadzieją, że w Anglii uda mi się zbudować wraz z Julianem nowe życie dla Ericha i dla siebie samej, ale po prawie półtora roku prób wiem na pewno, że życie bez miłości nic nie jest warte. Poza tym Anglia wydaje mi się bardzo, bardzo ponura i pełna melancholii. Inaczej niż w Prusach Wschodnich, deszcz pada tu przez cały rok - wiosną, latem, jesienią i zimą, bez różnicy - niebo jest zawsze szare, a w powietrzu wisi nieprzyjemna wilgoć.

Razem z Erichem bez przerwy chorujemy na niekończące się przeziębienia i katary; przez cały czas czujemy się nieszczęśliwi i boimy się z kimś zaprzyjaźnić albo nawet porozmawiać, żeby nie usłyszeć okropnego określenia „mordercy Żydów”.

Najgorsze są kobiety i dzieci oraz mężczyźni, którzy sami nie walczyli na wojnie. Od naszego przyjazdu tylko raz odważyłam się pojechać po zakupy. Ekspedientka nie chciała mnie obsłużyć. Od tamtej pory Julian dostaje listę potrzebnych w domu produktów. W zamówieniach dostarczanych przez posłańca zawsze znajduję mnóstwo powyginanych albo wręcz uszkodzonych puszek, a także zgniłe warzywa, lecz nie śmiem protestować. Raz spróbowałam, jednak w następnym tygodniu przesyłka była w jeszcze gorszym stanie.

Posłaliśmy Ericha do miejscowej szkoły, ale koledzy sprawili mu lanie, więc po upływie zaledwie tygodnia Julian postarał się, żeby przyjęto go do jego dawnej szkoły z internatem. Adoptował Ericha, tak jak obiecał, a także zmienił mu imię i nazwisko na Eric Templeton, ale nawet Julian nie może sprawić, żeby Eric Templeton szybciej niż Erich von Letteberg nauczył się angielskiego albo żeby zmienił swój akcent.

Biedny Erich miał tylko siedem lat, kiedy musiał wyjechać z domu. Boję się otwierać listy, które co tydzień przyśła. Są zawsze takie same. Erich pisze, jak bardzo nienawidzi Anglii, nie znosi szkoły i jak za mną tęskni.

Udało mi się unieszczęśliwić mojego syna tak samo, jak unieszczęśliwiłam siebie, i nie stało się tak z niczyjej winy, tylko i wyłącznie z mojej własnej. Julian stara się być dobry dla nas obydwójga. Myślę, że on na swój sposób mnie kocha, ale ja w zamian mogę mu zaproponować jedynie szacunek.

Sasza, nie potrafisz przestać o tobie myśleć. Myślę o tobie, gdy tylko się obudzę i kiedy zasypiam. Nawet we śnie marzę, że jesteśmy razem. Trudno mi wyrzucić z pamięci okropne wydarzenia tamtych ostatnich dwóch dni, jednak staram się koncentrować na szczęśliwszych chwilach: na zimowych wieczorach, które spędzaliśmy w składziku przy stajni, na letnich nocach, podczas których ryzykowaliśmy życie, żeby popływać w jeziorze. Byliśmy szaleni, lecz teraz jestem wdzięczna losowi za tę odrobinę szaleństwa, ponieważ została mi po tobie garść wspomnień oraz świadomość, że nawet jeśli mnie wykorzystasz, żeby dać sobie i swoim ludziom szansę na przetrwanie wojny, to jednocześnie kochałeś przynajmniej na tyle, by ocalić mi życie, poświęcając w zamian swoje.

A potem nieuchronnie przychodzi mi na myśl ostatnie słowo, które wykrzyczałam ci prosto w twarz: „Morderca!”. I tamto ostatnie spojrzenie, jakie mi rzuciłeś na polanie, wołając, żebym uciekała.

Sasza, nie mogę sobie wybaczyć, że źle zrozumiałam twoje intencje. Że nie pojęłam, iż nie miałeś wyboru, tylko musiałeś pozabijać tamtych strażników. Chyba byłam niespełna rozumu, kiedy dawałam ci broń, myśląc, że jej użyjesz jedynie po to, żeby się bronić.

W te wieczory, kiedy Julian wychodzi albo kiedy jest w domu, ale słucha radia lub rozwiązuje krzyżówki w „Timesie”, wprawiam się w rysowaniu. Szkicuję w taki sposób, jak mnie uczyłeś. Pierwsze dwa rysunki, które udało mi się zrobić, to był twój portret oraz panorama Grunwaldsee. Co prawda nie są dobre, ale wystarczy, że na nie spojrzę, a już słyszę brzmienie twojego głosu i widzę, jak ześlizgujesz się przez klapę do naszego schronienia, a twoje usta układają się w dobrze znany mi uśmiech.

Zamykam oczy i przywołuję z pamięci twój widok, jak pracowałeś na polu z widłami w ręku, przerzucając siano. Czy pamiętasz, ile razy ja i Brunon musieliśmy się kłócić ze strażnikami, zanim wreszcie się zgodzili, żebyśmy dali nam widły i inne narzędzia, które według nich mogliście wykorzystać jako broń?

Widzę, jak ty i twoi ludzie ustawiacie się w szereg, zanim strażnicy poprowadzą was w stronę stajni i zamkną na noc na strychu. Ale najbardziej pamiętam nasze spotkania w składziku obok stajni, kiedy tuliłeś mnie w ramionach, a twoje oczy błyszczały w słabym świetelku olejowej lampy, gdy prowadziliśmy niekończące się rozmowy, czytaliśmy i snuliśmy marzenia o wspólnym życiu - życiu, które nigdy nie stało się rzeczywistością.

Julian wie, że coś jest nie w porządku. Myśli, że tęsknię za Grunwaldsee, co oczywiście jest prawdą, choć on wyobraża sobie jedynie wielki dom, służbę i pieniądze - wszystkie korzyści płynące z bogactwa, o którym Greta bez przerwy miele ozorem. Wszystko jedno, czego dotyczy konwersacja albo z kim moja siostra rozmawia - zawsze tak potrafi pokierować rozmową, żeby móc się chlępić naszym arystokratycznym pochodzeniem. Ja osobiście wolałabym, by tego nie robiła. Historie z przeszłości na nikim nie robią tu wrażenia. Prawdę mówiąc, często odnoszę wrażenie, że te przechwałki tylko denerwują ludzi. To znaczy tych, którzy są zmuszeni jej słuchać, czyli kucharkę i sprzątaczkę oraz pastora, kiedy zagląda do nich z wizytą.

Powtarzam Julianowi, że nie jestem taka jak Greta i pieniądze nic dla mnie nie znaczą, o ile mam ich wystarczająco dużo, żeby kupić jedzenie i inne rzeczy niezbędne do życia, ale widzę, że on mi nie wierzy. Wciąż porównuje nasz skromny domek i status materialny do luksusów Grety i jej męża. Wszystko jedno, ile razy powiem, że oni prowadzą wystawne życie dzięki bogactwu, które odziedziczyli - Julian czuje, że powinien zapewnić mnie i Erichowi większy dom i lepsze warunki. Tylko że po tylu latach wojny nie bardzo jest na co wydawać pieniądze. Greta wciąż mówi, że sklepy świecą pustkami. Jeśli tak, to przynajmniej w tym jednym wypadku Anglia nie różni się od Niemiec.

Właściwie Julian pod wieloma względami jest bardzo podobny do Clausa. Każdy z nich chciał mieć żonę i dużą rodzinę, i obaj pragnęli, żeby żona prowadziła dom, zapewniała seks i rodziła dzieci, nie wtrącając się za bardzo do ich „męskich spraw”. Nie chcę przez to powiedzieć, że Julian prowadzi taki sam tryb życia jak Claus. Jestem pewna, że nie ma kochanki, ale uwielbia spędzać czas w towarzystwie innych mężczyzn i większość wieczorów przesiaduje z emerytowanymi policjantami i na spotkaniach swojego stronnictwa politycznego, co z kolei oznacza, że ja spędzam większość czasu sama.

Nikt nas nie odwiedza poza Gretą i jej mężem, co po ruchu w Grunwaldsee, gdzie o każdej porze dnia kręcili się robotnicy, służący i dzierżawcy, tylko potęguje moje uczucie osamotnienia. Nie mogę pozbyć się myśli, że koledzy Juliana oraz ich żony nie wpadają do niego z wizytami, dlatego że ożenił się z Niemką.

Ale i tak nie mam na co się skarżyć. Julian nigdy nie przychodzi do domu pijany ani nie zachowuje się nagannie, tak jak niektórzy z naszych sąsiadów, którzy potrafią obudzić całą ulicę, kiedy późną nocą ze śpiewem wracają z pubu. Wiem z tych paru słów, które czasem uda mi się wyciągnąć z mojego męża, że w klubie więcej czasu spędza na rozmowach niż na picu alkoholu. Kiedyś nawet zapytałam, o czym tak dyskutują, ale powiedział jedynie, że o męskich sprawach. Julian twierdzi, że nie można rozmawiać na ważne tematy ze mną ani z jakąkolwiek inną kobietą, ponieważ nie jesteśmy dość inteligentne, żeby zrozumieć cokolwiek, co dzieje się poza ścianami naszego domu.

Gdy byłam małą dziewczynką, nie przeszkadzało mi, kiedy papa głaskał mnie po włosach, mówiąc: „Nie zaprzętaj tym sobie swojej malutkiej, ślicznej główki”, ponieważ go uwielbiałam i nigdy nie kwestionowałam tego, co robił. Jednak po wszystkim, co przeszłam, mam za złe Julianowi, że zachowuje się w stosunku do mnie w tak protekcyjny sposób.

Zanim spotkałam ciebie, Sasza, odpowiadało mi leniwe życie bogatej, rozpieszczonej mężatki, które ofiarował mi Claus, bo właśnie tak wyobrażałam sobie małżeństwo. Nawet obserwując z bliska związek łączący Wilhelma i Irene, nie uświadamiałam sobie, na czym polega prawdziwa więź pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Pogmatwałam swoje życie, tak samo jak życie Juliana i Ericha, a jeszcze wcześniej życie Clausa. Setki dziewcząt poczytywałyby sobie za zaszczyt małżeństwo z jednym z von Lettebergów, i z pewnością o wiele lepiej wypełniałyby obowiązki małżonki przyszłego hrabiego. Tak samo wiele kobiet byłoby zadowolonych z małżeństwa z Julianem i uszczęśliwiło go bardziej niż ja. Nie powinnam była w ogóle wychodzić za niego za męża. Miałam nadzieję, że dzięki temu Erich zyska ojca, ale on nie chce takiego ojca i podejrzewam, że nawet nie darzy go szacunkiem.

Na pozór mam wszystko, czego mogłaby pragnąć kobieta. Mieszkamy w przyjemnym, w pełni nowoczesnym domu. Julian codziennie jeździ kolejką do Londynu do pracy, podczas gdy ja, przy pomocy służącej, zajmuję się prowadzeniem domu. Erich korzysta z dobrodziejstw prywatnej kosztownej edukacji i oboje żyjemy o wiele wygodniej, niż gdybyśmy zdecydowali się pozostać w Niemczech. Ja jednak odkryłam, że życie na odpowiednim poziomie to stanowczo za mało.

Erich ciężko pracuje nad opanowaniem angielskiego, lecz inni chłopcy w szkole wciąż go prześladują, ponieważ jest z pochodzenia Niemcem. Nie traktują go tak okrutnie jak tamci z miejscowej szkoły, lecz za każdym razem, gdy przyjeżdżamy w odwiedziny, widzę na jego twarzy i rękach świeże sińce.

Julian mówi, że po pewnym czasie koledzy go zaakceptują - choć nigdy nie wspomina, jak długo może to potrwać - ale to dla mnie żadna pociecha, kiedy wiem, że mój synek płacze w poduszkę w swoim łóżku w internacie, a ja płaczę tutaj. Jednak gdy poprosiłam Juliana, żebyśmy spróbowali raz jeszcze posłać Ericha do miejscowej szkoły, przypomniał mi o załamaniu nerwowym, które przeszłam wkrótce po tym, jak się poznaliśmy, i stwierdził, że jego zdaniem nawet teraz nie jestem dość silna, żeby podejmować decyzje dotyczące mojego syna.

Gdybym tylko potrafiła znaleźć w sobie dość odwagi, żeby poprosić Juliana o rozwód! Nie mam jednak żadnych pieniędzy poza tymi, które mi daje mój mąż. Dokąd pójdę? W jaki sposób zarobię na życie? Czy dam radę zaopiekować się Ericem i zapewnić mu wykształcenie?

Wiem, że Julian rozmawiał o mnie z Gretą i jej mężem. Greta ostrzegła, że jeśli się nie pozbię, Julian będzie miał wszelkie prawo, żeby mnie odesłać z domu, przypuszczalnie do jakiegoś zakładu dla nerwowo chorych.

Być może sprawy układałyby się lepiej, gdybyśmy nie mieszkali tak blisko mojej siostry. Julian przyjaźni się z jej mężem, więc przynajmniej raz w tygodniu jesteśmy zaproszeni do nich na kolację. Nienawidzę tam chodzić, Julian jednak uparcie nie chce widzieć, jak bardzo te wizyty działają mi na nerwy.

Podobnie jak Claus, Julian jest żołnierzem z krwi i kości. Wcale nie zamierzał odchodzić z wojska, lecz zrozumiał, że nie ma wyboru, ponieważ jako oficer żonaty z Niemką nie mógł liczyć na żaden awans. Podejrzewam, że w głębi duszy ma do mnie żal, że zламаłam mu karierę, i że teraz musi pracować w tym ciemnym, obskurnym biurze rachunkowym. Prawdopodobnie ma rację.

Greta jest wystarczająco bogata, żeby kupować sobie wszystkie stroje, kosmetyki i perfumy, na jakie tylko przyjdzie jej ochota. Rzuciła się w wir pracy charytatywnej, przypuszczalnie po to, żeby zyskać grono przyjaciół, ale z tego, co opowiada o kobietach, które spotyka w organizacjach założonych po to, żeby pomagać uciekinierom i sierotom wojen-

nym, te panie o wiele bardziej są zainteresowane ploteczkami i pokazywaniem nowych kreacji oraz biżuterii niż pracą na rzecz ludzi, dla których rzekomo zbierają pieniądze.

Proponowała, żebym wstąpiła do jednej z takich organizacji, ale Julian nie chciał się zgodzić. Powiedział, że nie jestem wystarczająco silna, żeby urządzić poranki przy kawie, sprzedawać fanty i organizować wenty dobroczynne, prawdziwy jednak powód jest inny. Po prostu chce, żebym urodziła mu dziecko.

Prawdę mówiąc, już jestem w ciąży. Dziecko urodzi się w maju przyszłego roku, ale Julian jeszcze o tym nie wie. Boję się, że zacznie inaczej traktować Ericha, jeśli odkryje, że wkrótce będzie miał własnego syna lub córkę.

Greta powtarza bez końca, że powinnam bardziej się starać. Że małżeństwo z kimś spoza Niemiec było dla nas jedyną szansą i powinnam być wdzięczna Julianowi, że chciał się ze mną ożenić. Wciąż przypomina mi, że w takim stanie, w jakim jestem obecnie, nie mogłabym zająć się synkiem i Erich musiałby wrócić do sierocińca.

Jeśli tak, to czy takie wyjście byłoby o wiele gorsze niż pobyt w angielskiej szkole? Przynajmniej mógłby nadal mówić swoim własnym językiem i dorastałby wśród dzieci, które nie miałyby powodu, żeby go prześladować albo winić za wywołanie wojny.

Dla mnie najgorsza jest świadomość, jak bardzo zawiodłam Clausa oraz mamę i papę von Lettebergów. Byliby zdruzgotani na samą myśl, że hrabia von Letteberg wychowuje się w angielskiej szkole z internatem!

Moje małżeństwo z Julianem w niczym nie przypomina małżeństwa z Clausem. Julian wychodzi z domu w każdy poniedziałek, środę, piątek i sobotę wieczorem, a w niedzielę zwykle idziemy do kościoła, więc niewiele czasu spędzamy razem. Kiedy w nocy przychodzi do łóżka, najczęściej jest tak zmęczony, że miewa na mnie ochotę raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. W dodatku szybko kończy, za co jestem mu niezmiernie wdzięczna. Po tobie, Sasza, trudno jest mi znieść dotyk innego mężczyzny.

Jednak ze względu na dziecko, które noszę pod sercem, oraz ze względu na dobro Juliana i Ericha muszę zdobyć się na ten wysiłek i zaprzestać użalania się nad własnym losem, przenoszenia swoich myśli do pamiętnika, a także rozmyślenia i pisanie po niemiecku. A to oznacza, Sasza, że na tej stronie będę musiała pożegnać się również z tobą.

Co prawda nie potrafię przestać o tobie myśleć, tak samo jak nie potrafię przestać oddychać, lecz od tej chwili mam zamiar z całych sił starać się być taką kobietą, jaką Julian chciałby mnie widzieć, to znaczy prawdziwie angielską żoną i matką.

Rozdział dwudziesty

Charlotte odwróciła kartkę pamiętnika. Przeczytane przed chwilą słowa przywołały obraz posępnego, zimnego i przesyconego wilgocią mroku, z którym kojarzyły jej się pierwsze spędzone w Anglii lata. Znow zobaczyła stojący na jednym z przedmieść Londynu ponury bliźniaczy domek z trzema sypialniami, zbudowany z brązowej cegły, z oknami zasłoniętymi przez ciężkie kotary, które prawie całkowicie blokowały dostęp dziennego światła. Nigdy nie udało im się zbierać wystarczającej ilości talonów, żeby zastąpić je czymś innym.

Przypomniała sobie nieszczęśliwą minę Ericha, ilekroć przyjeżdżali do niego do szkoły, i powolne rozluźnianie się tak bliskich niegdyś więzi, które łączyły ją z synkiem wówczas, gdy mieszkali w Grunwaldsee; a w końcu ostateczne ich zerwanie. Znow poczuła bolesne ukłucie na myśl o rozdierającej serce obcości Ericha, gdy pojawiał się w domu w czasie przerwy semestralnej albo podczas wakacji, i o milczeniu panującym przy stole, kiedy jadła posiłki w towarzystwie Juliana, który już w niczym nie przypominał dziarskiego kapitana przynoszącego swej ukochanej kwiaty i czekoladki. Teraz był zatroskanym, przygnębnionym mężczyzną, który prosto z pracy pędził na spotkania byłych żołnierzy lub na zebrania swojej partii.

Niedziela, 29 maja 1955

Julian zabrał do kościoła Jeremy'ego i Ericha, który przyjechał na weekend, więc zostałam w domu sama. Znowu straciłam dziecko. To już czwarte poronienie od czasu, gdy urodził się Jeremy. Lekarze ostrzegli nas, że to powinna być moja ostatnia ciąża, bo brak opieki medycznej po urodzeniu Aleksandry skończył się uszkodzeniem macicy. I tak miałam mnóstwo szczęścia, że udało mi się donosić Jeremy'ego.

Biedny Julian jest bardzo rozczarowany. Chciałby mieć więcej dzieci, zwłaszcza dziewczynkę, która zastąpiłaby mu utraconą podczas wojny córeczkę, lecz ktoś taki jak on nigdy nie weźmie pod uwagę możliwości adopcji.

Jeremy jest chorowity, bez przerwy kaszle albo się zaziębia, co według mnie ma związek z tym okropnym, wilgotnym klimatem. Jednak choć bardzo kocham mojego małego synka, ilekroć na niego spojrzę, nie mogę się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o Aleksandrze, mój drogi Sasza - o naszej córeczce, która nigdy nie zaczęła oddychać. Teraz skończyłaby dziesięć lat; co roku pamiętam o jej urodzinach. I choć nie mogę świętować dnia, w którym utraciłam was obydwójce, to wiem, że myślę o was i ufam, że gdziekolwiek jesteście, jesteście razem.

Nigdy bym nie uwierzyła, że można za kimś tak bardzo tęsknić, jak ja tęsknię za tobą. Przez cały dzień jestem czymś zajęta - czyszczę srebra, odkurzam bibeloty, których Julian nigdy nie pozwoliłby dotknąć służącej, przygotowuję porządne angielskie posiłki, które koniecznie życzy sobie jadać, piore i krochmalę jego koszule, bo nie chce oddawać ich do pralni... A jednak nigdy nie koncentruję się na tym, co robię. Wręcz przeciwnie, spędzam całe godziny, wyobrażając sobie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybym podążyła na wschód z tobą i twoimi ludźmi, zamiast uciekać na zachód.

Może trafilibyśmy na mniej podejrzliwego rosyjskiego oficera? Czy niezależnie od wszystkiego straciłabym Aleksandrę? Czy mama i Minna straciłyby życie?

Dochodzę do wniosku, że pomimo postanowienia, że będę dobrą angielską żoną i matką, stanowczo za dużo czasu poświęcam na powroty do przeszłości, co jest nie w porządku wobec Ericha, Jeremy'ego i Juliana. Kiedy życie mi się nie układa i czuję się nieszczęśliwa - tak jak teraz - wracam do swojego pamiętnika, i nawet jeśli nic już nie piszę, to czytam to, co napisałam wcześniej. Tak więc teraz obiecuję sobie po raz drugi i ostatni, że więcej nie będę do niego zaglądać. Kiedy dziś skończę, zamknę ten brulion w starej walizce, która stoi na strychu, i nie spojrzę na niego aż do chwili, gdy będę starą, bardzo starą kobietą.

Wreszcie muszę zacząć żyć terazniejszością i myśleć o Julianie, Jeremym i Erichu, który już nie jest Erichem, hrabią von Letteberg. Teraz nazywa się Eric Templeton i jest typowym angielskim piętnastolatkiem, którego ambicją są studia na Wydziale Prawa Międzynarodowego w Oksfordzie. Myślę, że jego ojciec i dziadkowie byliby dumni z tak uzdolnionego chłopca, choć jego obywatelstwo niekoniecznie przypadłoby im do gustu.

A więc, Sasza, dziś żegnaj się z tobą ostatecznie i na zawsze.



Mimo tych solennych postanowień, że to będzie ostatni wpis, po nim następowało jeszcze siedem kolejnych.

Sobota, 30 lipca 1955

Tyle się wydarzyło i - jak zawsze podczas przełomowych momentów mojego życia - mam tylko ten pamiętnik, żeby przelać na papier targające mną uczucia. Razem z Erichem jesteśmy na statku płynącym do Niemiec. Nie potrafię myśleć o tym kraju jako o mojej ojczyźnie. Moją ojczyzną były i na zawsze pozostaną Prusy Wschodnie, choć teraz, gdy Rosjanie, Amerykanie i Brytyjczycy podzielili te tereny pomiędzy Polskę a Białoruś, porzuciłam nadzieję, że jeszcze kiedyś ujrzę Grunwaldsee. Jednak wydarzyło się coś, co uważałam za niemożliwe. Jadę spotkać się z Clausem.

Przed dwoma tygodniami razem z popołudniową pocztą nadszedł list z Czerwonego Krzyża z informacją, że pułkownik Claus von Letteberg nie zginął podczas wojny, lecz właśnie został uwolniony z sowieckiego więzienia; wrócił z obozu na Syberii, gdzie przetrzymywano go od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Nie jest jedynym żołnierzem, który znalazł się w takiej sytuacji. Setki, jeśli nie tysiące kobiet w całych Niemczech otrzymały takie same listy o swoich mężach, synach i braciach. Nic na to nie poradzę, że od razu zaczęłam się zastanawiać, ile z tych kobiet wyszło drugi raz za mąż i podobnie jak ja zbudowało nowe życie dla siebie i swoich dzieci.

Po przeczytaniu listu załamalam się zupełnie i zalałam łzami. Właśnie w takim stanie znalazł mnie Julian, gdy wieczorem wrócił z pracy - siedziałam zapłakana w kuchni, całkiem zapomniawszy o przygotowaniu obiadu.

Julian zadzwonił do Grety, a moja siostra od razu przybiegła. Nalegała, żebym skontaktowała się z Czerwonym Krzyżem i przez nich przekazała Clausowi wiadomość, że wyszłam ponownie za mąż i nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ja jednak przypominałam sobie o przysiędze, którą złożyłam mu w naszym kościele w Grunwaldsee i pouczeniach mamy na temat świętości więzów małżeńskich.

Wiem, że nigdy nie uczynię Juliana - ani Clausa - szczęśliwym małżonkiem, ale jeśli Claus wzywa mnie i potrzebuje, to jego życzenia mają pierwszeństwo i moim obowiązkiem jest do niego jechać. Powiedziałam więc Grecie i Julianowi, że postanowiłam jechać do Niemiec, spotkać się z Clausem i z nim porozmawiać.

Biedny Julian wyglądał na strasznie zszokowanego. Wziął sobie w pracy urlop na następny dzień i we dwójkę pojechaliśmy do szkoły, do której uczęszczają Erich i Jeremy. Na szczęście Erich skończył już sesję egzaminacyjną, więc kiedy wyjaśniliśmy kierownikowi internatu, że musimy przedyskutować z synem pewną ważną sprawę dotyczącą naszej rodziny, załatwił nam możliwość rozmawiania na osobności. Erich twierdzi, że ledwo pamięta ojca, co wcale mnie nie dziwi, zważywszy że podczas wojny Claus tylko kilka razy mógł przyjechać do Grunwaldsee.

Wyczułam, że po ośmiu latach przystosowywania się do życia w Anglii i ciągłych prób zyskania akceptacji uświadomienie sobie, że ma ojca Niemca, który w dodatku chciałby go zobaczyć, było dla Ericha dość trudne. Zgodził się na to spotkanie, ale uprzedził, że chce mieć prawo dokończenia edukacji w Anglii, a konkretnie w Oksfordzie, gdyby udało mu się tam dostać.

O wiele, wiele gorsze było wyjaśnienie Jeremy'emu, że wyjeżdżam z Erichem. Mój młodszy syn płakał, wrzeszczał i błagał, żebym z nim została. Powiedział nawet, że Erich może sam pojechać do Niemiec. Jeremy nigdy nie darzył go sympatią, Erich zaś nigdy nie lubił ani nie zaakceptował przyrodniego brata.

Wiem, że Erich jest zazdrosny o Jeremy'ego od czasów, gdy ten był niemowlęciem, ponieważ maluch mógł zostać ze mną w domu, a on musiał mieszkać w internacie. Gdy wreszcie Jeremy zaczął naukę w tej samej szkole, siedmioletnia różnica wieku okazała się barierą nie do pokonania. Miałam nadzieję, że skoro nie przepadali za sobą jako dzieci, to może zaprzyjaźnią się w późniejszym wieku, ale wygląda na to, że nigdy tak się nie stanie.

Jak na dżentelmena przystało, Julian oświadczył, że będzie czekał na mój list, który miałam wysłać po spotkaniu z Clausem. Potwierdziłam, że tak zrobię. Wtedy zaskoczył mnie prośbą, żebym podpisała dokumenty przekazujące mu pełną władzę rodzicielską nad Jeremym - na wypadek gdybym zdecydowała się zostać z Clausem.

Protestowałam, że mam zbyt mało czasu, żeby podejmować jakieś decyzje co do własnej przyszłości, nie mówiąc o przyszłości Jeremy'ego, ale Julian nie zamierzał ustąpić. Zdaje się, że prawie mu obiecałam, że przyjadę, jak tylko porozmawiam z Clausem, ale wówczas oświadczył, że jeśli rzeczywiście wrócę, od razu podrze te dokumenty.

Dotąd tylko raz się zdarzyło, że Julian okazał się równie nieugięty, a było to wtedy, gdy nie chciał nawet ze mną rozmawiać na temat możliwości zabrania Ericha ze szkoły z internatem. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam, była kłótnia z Julianem albo rozstanie w atmosferze wzajemnych pretensji, więc podpisałam, co chciał. Zamknął dokumenty w szufladzie biurka, a potem spytał, czy wiem, co stracę, jeśli zdecyduję się zostać z Clausem.

To właśnie wtedy zrozumiałam, że Julian nigdy nie kochał ani mnie, ani Ericha, nawet nie uważał nas za istoty równe sobie. Nie byliśmy dla niego niczym więcej niż domowymi zwierzątkami. Zwierzątkami, które traktował dość łaskawie, ale tylko wtedy, gdy robiliśmy to, czego sobie życzył, potwierdzając jego wyobrażenia o tym, jacy powinni być żona i pasierb.

Nie mogłam uwierzyć, że mój mąż próbuje mnie zatrzymać przy sobie za pomocą groźby, że odbierze mi dziecko, i powiedziałam mu o tym. Odpowiedział, że z kolei on nie może pojąć, iż jestem gotowa odejść od niego po tym wszystkim, co zrobił dla Ericha i dla mnie: opiekował się nami, kiedy nie miałam absolutnie nikogo, przynosił nam jedzenie, zapłacił rachunek za mój szpital i ożenił się ze mną, chociaż większość Anglików bez oporów zdecydowałaby się porzucić ciężko chorą Niemkę.

Podobnie jak wtedy, gdy Irena mówiła mi same okropne rzeczy, tak samo i teraz wiedziałam, że Julian po prostu chce mnie zranić, ponieważ sprawił mi ból, ale mimo to nie byłam w stanie dłużej słuchać tych jego tyrad, więc poszłam na górę, żeby spakować torbę.

Zachowywał się wobec nas bardzo chłodno, gdy odprowadzał mnie i Ericha na Dworzec Wiktorii, na pociąg wiozący ludzi do portu.

Teraz muszę stanąć twarzą w twarz z Clausem. Co on sobie pomyśli o moim małżeństwie z żołnierzem sił alianckich? Czy potraktuje to jako zdradę wobec niego i naszego kraju? Może znenawidzi mnie za to, że dopuściłam, żeby Erich kształcił się w angielskiej szkole? Czy kiedykolwiek uda nam się poskładać w całość te nieliczne okruchy naszego wspólnego życia, nawet jeśli bardzo będziemy tego chcieli?

Niemcy Zachodnie

Wtorek, 2 sierpnia 1955

Zanim pozwolono mi zobaczyć się z Clausem, przyszedł jakiś major, żeby ze mną porozmawiać. Powiedział, że warunki w obozach jenieckich w Rosji były bardzo ciężkie, a dziesiątki tysięcy niemieckich żołnierzy nie przeżyło więzienia na Syberii.

O tym wszystkim już wiedziałam. Czyżby ten człowiek sądził, że ja nie czytuję gazet?

Niektórzy twierdzą, że cierpienia, jakie Rosjanie zgotowali naszym żołnierzom, było formą zemsty za to, co Niemcy robili z więźniami w obozach koncentracyjnych. Moim zdaniem to jeszcze jeden przykład patologii, która narodziła się na skutek wojny.

Kiedy major wreszcie sobie poszedł, zaprowadzono mnie do lekarza, który opiekował się Clausem. Doktor oznajmił mi, że pobyt na Syberii zupełnie zniszczył zdrowie mojego męża i przez resztę życia Claus pozostanie kaleką. Nigdy nie odzyska sił na tyle, by móc pracować, a poza tym z powodu braku jakiegokolwiek opieki medycznej stał się bardzo podatny na wszelkie infekcje i choroby. Na koniec bez ogródek poinformował mnie, że w obecnym stanie Claus bardziej potrzebuje pielęgniarki niż żony.

Okazało się, że miał całkowitą rację. Kiedy weszłam na oddział i spojrzałam na mojego męża i jego towarzyszy, poczułam się tak, jakbym znów patrzyła na Saszę i jego ludzi, stłoczonych w naszej stodole w Grunwaldsee.

Oczy Clausa przypominały mi oczy jeleni, które mój ojciec i bracia zapędzali gdzieś w zakątek lasu, żeby je tam zastrzelić. Postarzał się o trzydzieści lat, odkąd widziałam go po raz ostatni. Jego skóra nabrała żółtawego odcienia i w dotyku przypominała pergamin, włosy zupełnie mu posiwiały, a jedyna ręka drżała nieustannie, jak u zgrzybiałego starca.

Był osłabiony, wyczerpany i niedożywiony. Ponadto wykryto u niego wrzody żołądka. Claus stracił prawą rękę podczas ostatnich dni wojny. Została amputowana przez jakiegoś medyka w jednym z polowych szpitali, ale kikut nigdy nie zdołał prawidłowo się zagoić. Doktor powiedział, że spróbuje zrobić przeszczep skóry.

Przed odjęciem ręki Clausowi zdjęto górę od munduru. W kieszeniach były wszystkie jego osobiste rzeczy, między innymi zegarek. Claus uważał, że musiano gdzieś wszystko zapodziać, a potem otrzymałam te drobiazgi razem z informacją, że mój mąż został zabity, chociaż w rzeczywistości Rosjanie wzięli do niewoli jego i wszystkich ludzi z oddziału.

Nie trzeba mieć szczególnie bogatej wyobraźni, żeby uświadomić sobie, jak wiele żołnierskich ciał leżało wówczas niepogrzebanych, więc tego typu pomyłka wydawała się całkowicie prawdopodobna.

Na samym początku Claus zadał mi pytanie, jak długo zamierzam pozostać w Niemczech. Odparłam, że tak długo, jak długo będzie mnie potrzebował, i naprawdę tak myślałam. Wydawał się tak zagubiony i załamany, że nie mogłam powiedzieć nic innego.

Przez dziesięć minut nie odezwał się ani słowem, a kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie pobrzmiwała jakaś dziwna chryпка. Gdybym nie znała go tak dobrze, mogłabym pomyśleć, że zbiera mu się na płacz. Powiedział, że jestem jego żoną i zawsze będzie mnie potrzebował. Ani słowem nie wspomniał o moim małżeństwie z Julianem - ani o Jeremym - chociaż wiem, że Czerwony Krzyż powiadomił go o mojej nowej rodzinie.

Spędziliśmy ze sobą pół godziny, a potem poszłam do poczekalni, żeby przyprowadzić Ericha. Claus nie mógł uwierzyć, że chłopak tak wyrósł. Był niesamowicie dumny z syna i poczułam się szczęśliwa, widząc, że jest gotów kochać go jak ojciec. Teraz się cieszę, że pilnowałam, by Erich nie zaniedbał niemieckiego.

Kiedy pierwsze lody zostały przełamane, obaj nie mogli się dość nagadać. Claus bez oporów zgodził się, żeby Erich wrócił do Anglii skończyć szkołę, a potem studiował w Oksfordzie, jeśli zostanie tam przyjęty.

Tak więc i ojciec, i syn są szczęśliwi z ponownego spotkania, a ja zostałam pielęgniarką i muszę przyznać, że całkiem mi to odpowiada. Oboje z Clausem dostaliśmy rekompensaty od rządu za utracone oszczędności na naszych przedwojennych kontach. Nie jest tego wiele, jednak razem z zaległymi poborami Clausa powinno wystarczyć na kupno jakiegoś niedużego mieszkania w Niemczech Zachodnich. Claus najchętniej przeprowadziłby się gdzieś na południe, jeśli zaś chodzi o mnie, to jest mi wszystko jedno, dokąd pojedziemy, skoro nie możemy wrócić do Allenstein.

Renta wojskowa nie wystarczy na utrzymanie rodziny, a ponieważ Claus jest chory, więc to ja będę musiała postarać się zarobić trochę pieniędzy. Już nie mogę się doczekać, kiedy zacznę szukać pracy. Nareszcie będę mogła robić coś jeszcze poza prowadzeniem domu!

Gdy tylko skończę dzisiejszy wpis, będę musiała napisać list do Juliana i poprosić, żeby zajął się anulowaniem naszego małżeństwa. Tak samo napiszę do Jeremy'ego i spróbuję mu wytłumaczyć, dlaczego muszę zostać z Clausem w Niemczech. Jest bardzo młody, ale mam nadzieję, że z czasem zrozumie, że choć bardzo go kocham i wiem, że mnie potrzebuje, to jednak Claus potrzebuje mnie jeszcze bardziej, ponieważ jest bardzo chory.

Środa, 21 września 1955

Obecnie szukam posady tłumaczki. Kiedy czekałam na rozmowę w biurze pewnego Wydawcy, mój wzrok zatrzymał się na leżących tam książeczkach dla dzieci. Ilustracje w nich były tak nędzne, że od razu poszłam do sklepu i kupiłam przybory malarskie. Kiedy moje rysunki będą już gotowe, wrócę z nimi do tamtego wydawcy, bo zgodził się rzucić na nie okiem. Okazuje się, że nazwisko von Letteberg wciąż się do czegoś przydaje.

Piątek, 2 września 1966

Claus umarł dzisiaj o drugiej nad ranem. Wreszcie uwolnił się od długiej i pełnej cierpienia choroby. Albo raczej to ciało umarło, bo moim zdaniem jego dusza została pogrzebana gdzieś na Syberii jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

Rak żołądka, który go zabił, był powolną, odczuwającą i śmiertelnie bolesną torturą. Claus niejedną raz błagał swojego doktora, żeby zaaplikował mu coś, co jednocześnie zabije ból i jego samego, ale kiedy nadszedł koniec, śmierć litościwie okazała się lekka i spokojna.

Pielęgnowałam go w chorobie i żałowałam z całego serca, ale przy końcu naszego małżeństwa nie łączyło nas już nic poza moim poczuciem obowiązku, wdzięcznością Clausa za moją opiekę - i Erichem.

Po swoim powrocie mąż nawet nie próbował mnie dotknąć ani nie dzielił ze mną łóżka. Czasami wydaje mi się, że postrzegał mnie jako wspomnienie z odległej przeszłości, której tak bardzo było mu żal, że nigdy nie potrafił się od niej oderwać.

Jako że teraz nic już mnie tu nie trzyma, zajęłam się przygotowaniem do przeprowadzki z Europy do Ameryki. Moi wydawcy zarzekają się, że nadal mają zamiar dawać mi zlecenia, wszystko jedno gdzie będę mieszkała, a drogi Samuel Goldberg, który po zobaczeniu moich ilustracji do angielskiej wersji „Jasia i Małgosi” nakłonił tak wielu właścicieli wydawnictw do zamawiania u mnie rysunków, zgodził się pełnić obowiązki mojego europejskiego agenta.

Sasha, kto by pomyślał, że te lekcje rysunku, których udzielałaś mi przed tylu laty w schowku przy stajni, tak bardzo wpłyną na moją karierę i umożliwią mi zdobycie środków finansowych na utrzymanie moje, Clausa i Ericha, zanim nasz syn skończył studia w Oksfordzie i mógł rozpocząć pracę w jednej z renomowanych kancelarii prawniczych w Niemczech Zachodnich.

Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę nowe życie w kraju, który nie budzi we mnie żadnych wspomnień. Erich ożenił się i robi karierę w wybranym zawodzie, ale dawna bliskość między nami zniknęła bezpowrotnie. Nigdy mi nie wybaczył, że pozwoliłam Julianowi oddać go do szkoły z internatem ani - już po powrocie Clausa - że wyszłam drugi raz za mąż, skoro istniało choćby niewielkie prawdopodobieństwo, że jego ojciec żyje. Pokazałam mu tamto oficjalne zawiadomienie o śmierci Clausa, które przysłano mi razem ze złotym zegarkiem i innymi przedmiotami osobistego użytku mojego męża, ale to niczego nie zmieniło. Erich nadal się upierał, że obowiązkiem żony jest „wiernie czekać i mieć nadzieję”.

W zeszłym miesiącu widziałam Jeremy'ego. Przyjechał do Niemiec na wycieczkę z grupą przyjaciół. Wciąż mnie potępia, że go zostawiłam, kiedy był taki mały. Postanowił zostać zawodowym wojskowym i już zapewnił sobie miejsce w Sandhurst. Zarówno Claus, jak i Julian mają pełne prawo być dumni z synów, którzy są wiernymi kopiami swoich ojców - dżentelmenów i oficerów w każdym calu. A jeśli kiedyś wybuchnie kolejna wojna pomiędzy Niemcami a Anglią, to jestem pewna, że w imię patriotyzmu obaj bracia z przyjemnością pozabiją się nawzajem.

Erich i Jeremy byli mocno zdegustowani, ponieważ znaleźli w prasie moje zdjęcie; brałam udział w demonstracji przeciw apartheidowi i zbrojeniom nuklearnym. Nie potrafią zrozumieć, dlaczego włączam się w działania organizacji służących wolności i utrzymaniu pokoju na świecie ani czemu uważam, że ślepe uleganie władzy i polityczna bierność mogą doprowadzić do tego, że dojdzie do władzy następny Hitler, żeby znów narzucać światu swoje warunki i spowodować kolejną globalną tragedię i zniszczenia.

Kto by pomyślał, że siostrzeńcy Wilhelma i Paula okażą się takimi nadętymi dupkami!

Connecticut, Ameryka

Środa, 28 maja 1969

Nigdy nie sądziłam, że mi się to przydarzy, ale na kartach pamiętnika mogę pozwolić sobie na szczerość. W moim życiu pojawił się pewien mężczyzna, pewien wydawca. Nie jest podobny do ciebie, Sasza, ale z tobą nikt nie może się równać. Anthony jest dobry i troskliwy. Poznaliśmy się przed rokiem w Nowym Jorku, na przyjęciu organizowanym przez firmy wydawnicze. Jego żona przebywa na stałe w szpitalu psychiatrycznym w New Hampshire, jednak i tak nie wyszłabym za niego za mąż, nawet gdyby był wolny. Dwa kompletnie nieudane i nieszczęśliwe małżeństwa zupełnie mi wystarczą, a poza tym, prawdę mówiąc, polubiłam życie w pojedynkę.

To ty, Sasza, nauczyłeś mnie, czym jest prawdziwa miłość. Bo nawet jeśli mnie nie kochałeś i tylko wykorzystałeś sytuację, żeby uratować życie, to udało ci się sprawić, że ja pokochałam ciebie. Teraz już wiem, że kochać kogoś oznacza pragnąć dla niego tego, co najlepsze, i bez względu na wszystko wybaczać każde przewinienie.

Anthony wciąż kocha żonę, choć ona już go nie poznaje. Z braku innych możliwości ustaliliśmy, że połączy nas przyjaźń, wzajemne koleżeństwo i że zachowamy ten związek w tajemnicy ze względu na dobro naszych dzieci. A więc tutaj zakończy się moje życie - w nowym kraju, w pracy i wśród nowych przyjaciół, którzy wypełnią resztę moich dni, choć nigdy nie zdołam zapomnieć ani zastąpić kimś innym bliskich mi ludzi, których utraciłam.

Connecticut

Poniedziałek, 13 października 1969

Ta książka została przemycona z Rosji. Napisał ją jakiś więzień jednego z obozów na Syberii, a jej tytuł brzmi: „Ostatnie lato”. To opowieść o nas, Sasza, jestem tego pewna. Zbyt wiele jest tam podobieństw do naszej historii, żeby mogło być inaczej. Autor nazywa się Peter Borodin. Czy to ty, Sasza? Czy to możliwe, że żyjesz?

Nowy Jork

Sobota, 28 maja 1988

Dzisiaj pojechałam do Nowego Jorku na spotkanie z autorem połączone z podpisywaniem książki. Peter Borodin został ułaskawiony przez Gorbaczowa; nawet dostał pozwolenie na wyjazd z Rosji, żeby wygłosić serię wykładów i porozmawiać z czytelnikami o swoim życiu oraz wydarzeniach, które doprowadziły do napisania tej wspaniałej powieści. „Ostatnie lato” zapewniło mu niesamowity rozgłos na Zachodzie.

Gdy go zobaczyłam, łzy napłynęły mi do oczu. Wzięłam dwa egzemplarze książki i położyłam tuż przed nim. Wtedy podniósł wzrok, a jego spojrzenie powiedziało mi, że mnie poznał. Kiedy podpisywał podsunięte przeze mnie egzemplarze, jego oczy były tak samo pełne łez jak moje. Żadne z nas nie potrafiło wykrztusić choćby jednego słowa.

Bałam się, że zrobię z siebie widowisko przed obcymi ludźmi, więc czym prędzej odeszłam. Miałam zamiar wrócić i porozmawiać z nim później, kiedy już skończy podpisywać swoją powieść.

Czekałam całą godzinę, a potem wróciłam. Wciąż siedział przy stole w księgarni, rozmawiając z czytelnikami, więc zatrzymałam się za witryną z książkami, żeby nie mógł mnie zauważyć.

Zostałam jeszcze przez chwilę, zanim doszłam do wniosku, że właściwie nie mamy sobie nic do powiedzenia. Nic, o czym byśmy już nie wiedzieli. Nasza rozmowa mogła skończyć się na rozdrapywaniu starych ran albo, co gorsza, zaowocować pojawieniem się nowych, co nam obojgu przysporzyłoby cierpienia.

Patrzyłam przez chwilę, jak podpisuje kolejne książki, a potem odeszłam.

Nie odwróciłam się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć.



Charlotte wreszcie zamknęła pamiętnik. Na szafce przy łóżku leżał egzemplarz „Ostatniego lata”, który przywiozła tu z Ameryki. Wzięła do ręki książkę.

- Sasza...

Wyszeptala jego imię, a łzy, które powstrzymywała przez ponad sześćdziesiąt lat, teraz popłynęły nieprzerwanym strumieniem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Laura wzięła prysznic, włożyła piżamę z Myszką Miki, której Ahmed nienawdził, a którą ze względów zasadniczych zapakowała do walizki; potem naląła sobie kieliszek wódki i zaniósła go do łóżka, po drodze zabierając także książkę, kupioną w hotelowym kiosku. Postawiła kieliszek na nocnej szafce, by mieć go pod ręką, a następnie wyciągnęła się wygodnie na miękkich poduszkach.

Choć od paru lat nie zajrzała do „Ostatniego lata”, okazało się, że pierwszy rozdział pamięta niemal słowo w słowo, co niepomierne ją zdziwiło.

...Kiedy sen błędnie i powoli rozbudza się świadomość, pierwszym uczuciem, jakiego doświadczam, jest strach. Czym jestem? Gdzie jestem? Razem z pamięcią wraca poznanie - i ogromne zdumienie. Zdumienie, że istnieje taki cud jak życie, i że ja jestem częścią tego cudu. Delikatnie muskam dłonią leżącą obok mnie kobietę, gorąco dziękując losowi, że nie jestem tutaj sam.

Otoczam ramionami jej ciało z takim oddaniem, jakbym trzymał w objęciach jej duszę. Ale pieśczoła budzi następne obawy. Snują się nieśpiesznie, podobne do raka, który toczy tkanę pod powierzchnią pozornie zdrowej skóry, po cichu zakażają i plugawią każdą chwilę, która mogłaby przynieść nam niezmacone niczym szczęście.

To one psują nam każdy pełen miłości dotyk i każdy uśmiech. Te niepokoje wykraczają poza pierwotną bojaźń śmierci, która spłodziła tyle różnych religii i stworzyła chciwych na zysk kapłanów.

I ona, i ja akceptujemy nieuchronny, powolny proces rozkładu i dezintegracji, bo jest on udziałem wszystkich żyjących istot. Kiedy wreszcie stanie się to, co z biegiem czasu musi się stać, być może nawet z radością powitamy nadchodzącą śmierć, o ile będzie nam dane dzielić ten sam kawałek ziemi. W moich marzeniach pojawia się wysokie, piękne drzewo, korzeniami sięgające w głąb grobu aż do naszych ciał... To jedyna forma odrodzenia i zmartwychwstania, do której jestem w stanie się przekonać. I chociaż ona wciąż wierzy w swojego Boga, jednak jej marzenia są zdumiewająco podobne do moich.

Mój strach często podpowiada mi coś jeszcze gorszego - że utracimy siebie nawzajem. Ale teraz, w tym momencie, jestem wdzięczny losowi za następny poranek, za to, że mam przed sobą kolejny dzień. Staram się nie wybiegać myślami w przyszłość.

Nasze łóżko jest miękkie, czyste i przytulne, wypełnione lnianymi prześcieradłami, które zbieleły na słońcu i przesiąkły zapachem leśnej gęstwiny. Za przykrycie służy nam lekka, wypchana puchem i pierzem kołdra. Czyste łóżko to podstawa luksusu.

Całuję usta mojej ukochanej. Lekko odwzajemnia pieśczołę, ale nie przerywa rytmu kołyszącego ją snu. Wychodząc z łóżka, narzucam na siebie stary, zielono-biały szlafrok frotté i na palcach skradam się do drzwi. Starannie omijam wszystkie spalone deski w podłodze i zaglądam do sypialni naszych dzieci. Niemowlę spoczywa w kołysce, którą wyrzeźbiłem, gdy nasz synek przebywał jeszcze w łonie swojej matki - leży z uniesionymi rączkami, z piąstkami zwinionymi tuż przy zaróżowionych od snu policzkach, z jasnymi włoskami w odcieniu tym samym co moje włosy, przyklepionymi do spoczonej buzi... Tuż obok śpi jego dwuletnia siostrzyczka, doskonała miniatura matki, zwiniona w łóżeczku w kłębek jak mały kociak. Ponad kołderką widać tylko pukiel jasnych loczków.

Te dwie małe, słabe istoty to krew z mojej krwi i kość z mojej kości... Strach powraca ze zdwojoną siłą. W jaki sposób mam je ochronić, jeśli będę daleko? I nagle przypominam sobie, że przecież dostałem od losu ten poranek. Jeszcze przez chwilę oboje są bezpieczni. Mogę nad nimi czuwać i troszczyć się o bezpieczeństwo swojej rodziny.

Podchodzę do wąskich, drewnianych schodów, omijając skrzypiące i wypaczone deski na podłodze. Cała stolarka w naszym domku jest sucha jak wiór i stara, rozchwiana. Zatrzymuję się, żeby popatrzeć na obrazy malowane ręką żony,

które wiszą na białych ścianach. Na akwarelach widzę roześmiane buzie dzieci, piękno otaczającego nas krajobrazu, a wszystko ukazane z miłością i troską. Mój ulubiony obraz to wykonany tuszem rysunek przedstawiający daczę. Budynek jest mały, niewiele większy od letniego domku, a mimo to doskonale proporcjonalny, typowy dla stylu architektury, który dominuje we wschodniej Europie. Przesuwam palcem po liniach dachu z pojedynczym spadem. Ta prosta wiejska chata to nasz dom.

Laura wysączyła drinka, odwróciła kartkę i znowu zagłębiła się w powieści. Autor szczegółowo opisywał wygląd swojego domu. Musiało chodzić o letni domek nad jeziorem w Grunwaldsee albo jakiś bardzo podobny. Zastanawiając się nad odpowiedzią, podążała za autorem, który szedł dróżką prowadzącą do stajni przy „dużym domu”, żeby osiodłać siwego ogiera. Czy miał na myśli konia z hodowli von Datskich? Laura czytała dalej.

...Być może nie mam do tego wrodzonego talentu, lecz chyba jest trochę prawdy w tym starym porzekadle „podrap Rosjanina, a dogrzebiesz się wieśniaka”. Lubię wczesnym rankiem pojeździć konno, zajrzeć na pola i sprawdzić, co już zostało ukończone, a co wymaga zrobienia, poczuć zapach rosy zmieszany z zapachem sosnowych igieł, przesunąć w dłoniach grudkę uprawnej ziemi i popatrzeć, jak zboża, które zasiałem, rosną i dojrzewają do skoszenia.

Nieśpiesznie krążę nad jeziorem, obserwując ranne mgły, które unoszą się ku otaczającym jego brzegi lasom. Para łabędzi wraz z rządem łabędziątek ześlizguje się z brzegu i opada na gładką taflę wody. Boris rży radośnie. Dobrze wie, o której godzinie wraca do stajni. Ale ja chcę tu jeszcze zostać - chcę popatrzeć, jak promienie wschodzącego słońca igrają na wodzie i jak czaple polują na ryby.

Bociany zniżają lot, aż w końcu siadają w gniazdach na dachu dużego domu. Mój koń zaczyna niecierpliwie przepępować z nogi na nogę, więc w końcu zawracam do stajni. Zostawiwszy go w gronie towarzyszy, kieruję się do domu.

Mały domek częściowo ukrywa się za gęstwiną krzewów owocowych rosnących ciasno tuż przy ogrodzeniu. Słyszę z kuchni brzęk naczyń i dominujące nad nim szczebiotanie córeczki. Drzwi otwierają się szeroko i widzę żonę, która krząta się wokół stołu, ubrana w spłowiałą niebieską sukienkę z bawełny.

Na stole leży nasz codzienny, zielono-czerwony, haftowany obrus. Talerz z pieczywem pełen jest parujących, białych bułeczek, które przed chwilą zostały wyjęte z pieca. W powietrzu unosi się mocny zapach kawy, sera, a także aromat gorących kiełbasek, i dopiero teraz czuję, że jestem bardzo głodny.

Moja córeczka biegnie, by powitać tatusia. Żona uśmiecha się do mnie. Całuję ją, idąc do swojego krzesła, które znajduje się u szczytu stołu.

Śniadanie to mój ulubiony posiłek. Jem powoli, huśtając na kolanach córeczkę. Jasne loczki przyjemnie łaskoczą mnie w brodę, gdy przyglądam się, jak żona karmi naszego synka. Maluch zasypia przy piersi; kiedy żona wkłada go do kołyski, po raz trzeci napełniam kawę nasze filiżanki. Długo siedzimy przy stole, rozmawiając i śmiejąc się, aż nadejdzie pora, żeby iść do pracy...

Laura śledziła kolejne etapy dnia, który bohater powieści spędzał na ciężkiej pracy w polu. Ten dzień w niczym nie przypominał pracy nowoczesnego rolnika, który jeździ samotnie na traktorze; tamci ludzie harowali w pocie czoła, używając zwykłych, prymitywnych narzędzi, ale za to zbiór plonów odbywał się w gromadzie parobków, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, a gospodarz pracował przy żniwach wraz z żoną, podczas gdy jego dzieci bawiły się i spały na pobliskiej łące, przez cały czas pozostając pod czujnym okiem rodziców.

O zachodzie słońca wszyscy robotnicy i ich rodziny podążali w kierunku sali balowej dużego domu, gdzie na żniwiarzy czekał zasłużony posiłek. Potem były muzyka i tańce, ale bohater książki i jego żona nie brali udziału w zabawie; razem z dziećmi wrócili do małego domku nad jeziorem.

...Niosłem na ramionach śpiącą córeczkę, a żona dźwigała koszyk z malutkim synkiem. Kiedy doszliśmy do jeziora, nasza dziewczynka obudziła się i uparła, że chce zejść na ziemię, zdjąć buciki i skarpetki, i trochę poskakać w płyt-

kiej wodzie. To był jej ostatni wybuch energii przed snem. Wreszcie wchodzimy do domu; szybko nalewam wody do wanny, żeby wykąpać dzieciaki.

Gdy moja żona przebiera dzieci w piżamki, ja chodzę z pokoju do pokoju, zapalając lampy. Żona niesie synka do kołyski, a potem goni córeczkę, która ucieka przed nią po schodach. Ostatni rytuał każdego dnia naszych dzieci to opowiadanie bajek. Siadam w nogach łóżka córki i opowiadam jej baśnie, które niegdyś słyszałem od swojego ojca; baśnie, które w mojej rodzinie przykazywane są z pokolenia na pokolenie.

Zostajemy z dziećmi, dopóki nie zasną. Później idę do ogrodu, a żona siada do fortepianu. Słyszę, że gra utwór, który jej kiedyś pokazałem. To muzyczne odbicie naszego sielskiego życia tutaj - jeziora, krajobrazu, pól i lasów. Słońce powoli zanurza się w wodzie, aż wreszcie znika, zostawiając po sobie migoczący ślad w postaci czerwono-złotej ścieżki. Wreszcie ostatnie błyski złota i czerwieni zamieniają się w purpurę, i w końcu zamyka się nad nimi ciemność.

Muzyka urywa się i po chwili moja żona jest przy mnie. Obejmuję ją mocno i po raz pierwszy odkrywam na jej ciele nieznaczną krągłość. Nasze trzecie dziecko...

Laura odłożyła książkę, żeby nalać sobie następnego drinka. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, puszczać wodze fantazji. Zamiast współczesnego jeziora upstrzonego nowoczesnymi jachtami przed jej oczyma przesunął się niezmacony niczym krajobraz z „Ostatniego lata”.

Bezosobowy pokój w hotelu zniknął, kiedy przeczytany przed chwilą sielski opis prostego, wiejskiego życia przeniósł ją w dawno minione czasy. Czy autor rzeczywiście miał na myśli Grunwaldsee?

Poczuła ukłucie zazdrości na wspomnienie o jego doskonałym małżeństwie i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że to ona sama mogła sprowadzić problemy, które prześladowały jej ulotne, katastrofalnie nieudane związki. Inaczej niż autor i jego żona, nigdy nie zadała sobie trudu, by postarać się zrozumieć potrzeby swoich partnerów. Na pierwszym miejscu zawsze stawiała pracę. Mężczyźni, których choćby czasowo dopuszczała do swojego życia, stanowili jedynie coś w rodzaju lekarstwa na nudę. Spędzała z nimi czas, kiedy akurat nie miała nic lepszego do roboty, i bez namysłu ich zostawiała, gdy z powodu pracy musiała wyjechać gdzieś daleko, do innego kraju, a czasem na inny kontynent.

Czy we współczesnym świecie stworzenie idealnego miłosego związku było czymś absolutnie niemożliwym? Czy rodzaj małżeństwa przedstawiony w „Ostatnim lecie” - ten, który wiązał umysł, duszę i ciało - mógł istnieć wyłącznie w tamtym nieśpiesznie toczącym się życiu ludzi pracujących na roli, którzy przez całe stulecia funkcjonowali według utartych wzorców?

Mechanizacja i pośpiech zastąpiły konne pługi i kosy, i rzuciły cień na wszystkie aspekty ludzkiego bytu. Jak poczułby się autor „Ostatniego lata”, gdyby tego ranka usłyszał od budzącej się u jego boku żony:

„Kochanie, dziś twoja kolej, żeby zająć się dziećmi. Ja lecę do Australii, bo muszę przygotować dokument o populacji krokodyli w tamtejszych parkach narodowych”?

Laura uśmiechnęła się, a potem znów otworzyła książkę.

...Ona jest dla mnie wszystkim, ta kobieta, którą kocham. Powietrze, którym oddycham, ziemia pod moimi stopami, jedzenie, picie - wszystko staje się bez znaczenia w porównaniu z ciągłym pragnieniem jej obecności. Teraz przytula się do mnie całym ciałem i w absolutnej ciszy na moment zanurzam się w jej ustach. Nie potrzeba nam żadnych słów, bo to, co powinniśmy sobie powiedzieć, już dawno zostało powiedziane. Ramię w ramię wędrujemy przez ogród w kierunku domu. Ona idzie po schodach na górę, ja zaś zostaję, żeby pogasić lampy w pokojach na dole, zamknąć drzwi...

Potem idę za nią. Zaglądam do pokoju dzieci i przez chwilę obserwuję, jak śpią spokojnie w swoich łóżeczkach, a potem kieruję się do naszej sypialni.

Okna są otwarte, białe firanki łopoczą w podmuchach lekkiego wiatru. Ona siedzi przed lustrem. Staję za nią, biorę z jej ręki szczotkę do włosów, rozplatom warkocz i rozczesuję go palcami, zanim zabiorę się do szczotkowania...

W łóżku na nowo poznaję jej ciało, choć przecież znam je tak dokładnie jak swoje własne. Nasze ciała łączą się w jedno, a później, dużo później leżymy objęci, wyczerpani i szczęśliwi. Przyglądam się uważnie, jak ona odpływa w sen. Ja staram się przezwyciężyć tę potrzebę, ale bezskutecznie.

Mocno trzymam żonę w ramionach, przerażony, że może się rozpląnąć w powietrzu, ale moje powieki stają się coraz cięższe. Nie mogę się powstrzymać, żeby ich nie zamknąć, choć dobrze wiem, co się zaraz stanie. Zaczyna się koszmar.

Laura wiedziała, co teraz nastąpi, bo zdążyła przeczytać co nieco z następnych stron. Na moment zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, wstała i wyszła na balkon. Na zewnątrz zapadła ciepła noc. Rozkoszując się świeżym powietrzem, zapaliła wiszącą na ścianie lampę, usiadła przy stoliku i pogrążyła się w lekturze.

...Moje ciało przeszywa trudny do zniesienia ból; przewierca mi się przez kości, paraliżuje członki i mrozi krew w żyłach. Ruszenie się stąd jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę. Jednak metaliczny brzęk uderzeń młotem na powrót wtrąca mnie w świat koszmaru. Wiem, że jeśli nie wykonam żadnego ruchu, zostanę zabity. Perspektywa obrócenia się w nicość wabi mnie z nieodpartą siłą, lecz nie chcę okazać się samolubny. Jeśli ulegnę pokusie, już nigdy nie będę mógł powrócić do żony i dzieci.

Podnoszę ręce. Śmierdzą tak okropnie, że od razu czuję mdłości. Ale człowiek z pustym żołądkiem nie może zwymiotować. Kostki dłoni są zupełnie sztywne; ten paskudny odór wydobywa się z ran, z których sączy się ropa, ilekroć próbuję rozewrzeć palce. To pieczenie jest gorsze od ugryzień komarów. Pod sklejonymi powiekami wzbierają gorące łzy. Kciukami ścieram z rzęs zastygłe na nich grudki, ale mimo to nadal nie mogę otworzyć oczu. Kiedy w końcu mi się udaje, ze zdumieniem przyglądam się swoim dłoniom. Mimo przejmującego bólu mam wrażenie, że patrzę na coś, co należy do innego człowieka. A potem moje spojrzenie przesuwa się dalej, poza własne palce.

Zbudowana z bali szopa jest dość mocno zniszczona przez wilgoć i nadgryziona zębem czasu. W zimie wilgoć zamienia się w szron, pokrywając ściany warstwą srebra, która gdzie indziej stanowiłaby uroczy widok. Dziurawe ściany nie chronią nas przed upałem w lecie ani przed mrozem w zimie. Moi współtowarzysze niedoli ścinają w lesie drzewa i codziennie kradną trochę szczap, żeby napalić w piecu; jednak takie prowizoryczne ogrzewanie wymaga stałego nadzoru, więc w krótkim czasie ogień wygasa.

Jedynym ogrzewaniem, na które możemy liczyć, to ciepło wydzielane przez rzędy ciasno upchanych, smrodliwych ciał. Moje posłanie jest twarde, z niewielką ilością słomy, ale nawet te nieliczne źdźbła bez przerwy się poruszają, ożywiane przez wszy i robactwo, które już rości sobie prawo do zbutwiałych ubrań i ropiejącego ciała. Czy one potrafią myśleć, takie wszy i pluskwy? Czy mają świadomość, że jeśli nie będą walczyć o każdy wolny skrawek mojej skóry i każde w niej pęknięcie, to wkrótce zamarzną na śmierć?

Spuszczam nogi na dół i lodowate powietrze jak ostrze noża wdziera się pomiędzy okrywające mnie łachmany. Mam na sobie całą odzież, jaką posiadam - sweter, w którym jest więcej dziur niż wełny, kurtkę, czapkę oraz to, co pozo-

stało z mojego munduru. Straciłem już rachubę, ile lat upłynęło od chwili, gdy po raz pierwszy włożyłem na siebie te spodnie. Poszarpany na strzępy materiał jest sztywny z brudu; ociera skórę do krwi, boleśnie jątrząc stare rany i otwierając nowe, ale nie ośmielam się zdjąć z siebie ani jednej warstwy, dopóki nie skończą się długie miesiące, które dzielą początek zimy od wiosennej odwilży. Moje ubranie w ciągu kilku sekund zostałoby ukradzione i nie znalazłbym niczego, żeby powetować sobie tę stratę.

W powietrzu wisi coś gorszego niż zwykły fetor ekskrementów i niemytych ciał. Nagle słyszę czyjś krzyk.

- Nikolaï nie żyje!

- Schowajcie go - warczy szef grupy, w której pracował zmarły.

Nikt nie ma nic przeciwko temu, żeby zatrzymać w baraku zwłoki Nikolaïja. Zdążyliśmy się przyzwyczaić do życia obok trupów. Nasz wygląd i zapach niewiele się różni od wyglądu i zapachu nieboszczyków, więc śmierć nie budzi w nas przerażenia.

Ci, którzy mogą ruszać się najszybciej, gromadzą się dookoła Nikolaïja. W czymś gardle znika znaleziony w kieszeni zmarłego kawałek chleba, poczerniały z brudu i starości. Po chwili na głowie jednego ze współwięźniów widzę czapkę zmarłego, a jego płaszcz na grzbiecie innego. Nie przyłączam się do tych padlinożerców. Nie z powodu skrupułów, lecz dlatego, że choroba spowolniła moje ruchy. Jestem tak bardzo osłabiony, że nawet gdybym coś złapał, inni bez trudu zdołaliby mi to odebrać.

Ciało Nikolaïja zostaje wepchnięte pomiędzy pryczę a stos ułożonych przed nią okrągłaków. W ten sposób szef zespołu, do którego należał zmarły, nadal będzie mógł pobierać przypadające na niego racje żywnościowe, aż w końcu strażnicy odkryją to, co zostało z ciała. W zimie może to potrwać nawet tydzień, czasami dwa.

Mój grupowy wrzeszczy, że czas na apel. Ściągam z pryczy koc i owijam go wokół ramion. Tylko idioci albo nowo przybyli zostawiają koce na pryczach, żeby padły łupem złodziei. Podłogę w chacie tworzy ubita ziemia, pokryta szronem i lodowato zimna dla bosych stóp. Przyłączam się więc do więźniów, którzy kręcą się przy stosie naszego obuwia, pozostawionego przed drzwiami. Większość butów jest zdarta i przepuszcza śnieg, lecz zawsze istnieje szansa, że uda się zamienić stare buciory na coś lepszego. Jednak przy wyborze należy zachować ostrożność. Rozmiar musi pasować na twoją stopę, a właściciel butów powinien być od ciebie słabszy. Jeśli zlekceważysz tę zasadę, możesz nie dożyć chwili, gdy będziesz je wkładał.

Palce mam tak sztywne, że nie dam rady grzebać, więc decyduję się wziąć parę, którą nosiłem wczoraj i przedwczoraj, a nawet przez cały zeszły tydzień, o ile dobrze pamiętam. Przynajmniej czuję się bezpiecznie, ponieważ te buty są najcieńsze i najbardziej zniszczone ze wszystkich. Nikt inny nie chce ich włożyć.

Grupowy wyprowadza nas z szopy. Zauważam, że zostawiam krwawe ślady. Podeszwy butów zdarły się całkiem. Zbyt zziębnięty, żeby trząść się z zimna, staję na końcu kolejki przy studni. Wiadro wyjeżdża na górę zupełnie puste. Paul, najsilniejszy z naszej grupy, który nigdy nie miewa wyrzutów sumienia, zabierając jedzenie chorym i słabszym od siebie, jeszcze raz ciska je w dół, najmocniej jak potrafi, żeby roztrzaskać lód na powierzchni. Jednak nic z tego, wiadro nadal jest puste. Dziś nie będzie wody do mycia, podobnie jak przez większość zimowych dni. Jeśli ktoś chce się napić, musi znaleźć drewno na opał i puszkę, żeby stopić trochę śniegu.

Szczęśliwcy, którzy posiadają ów cenny przedmiot, są obiektem powszechnej zazdrości. Ja co prawda mam puszkę, lecz wiem, że wkrótce będę zmuszony ją oddać. Jestem za słaby, by się obronić przed złodziejami. W naszym

obozie tylko jeden na dziesięciu więźniów ma puszkę. Posiadanie jej oznacza, że człowiek dostanie herbatę jako jeden z pierwszych, a poza tym wcześniej będzie mógł zdobyć porcję zupy, gdy nadejdzie pora obiadu.

Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu kogoś, kto zdoła ocalić moją puszkę dla nas obu. Kogoś, komu mogę zaufać, że odda mi ją, kiedy sam już zje, żebym mógł wypić swoją porcję zupy i herbaty, zanim garnek zostanie opróżniony.

Jedzenia nigdy nie wystarcza dla wszystkich i właśnie z tego powodu wczorajszej nocy umarł Nikołaj. Odkąd pamiętam, zawsze był na szarym końcu, i nigdy nie mógł liczyć na to, że ktoś z grupy mu pomoże, choćby w ten sposób, że pożyczycy mu puszkę. Był za słaby, żeby pomagać reszcie w wyrabianiu norm pracy, a niewyrobienie *normy* oznaczało obcięcie o połowę racji żywnościowych dla całego zespołu.

Znam tutaj ludzi, którym bez wahania powierzałem - i powierzyłbym jeszcze raz - własne życie, lecz oni, podobnie jak ja skazani na zbyt ciężką pracę, są w równie oplakanyim stanie. Być może powinienem po prostu położyć się na śniegu i czekać, aż nadejdzie śmierć. Z pewnością tak bym zrobił, gdybym miał pewność, że gdy tylko zamknę oczy, obudzę się w tamtym rzeczywistym i doskonałym świecie, gdzie czeka na mnie moja żona. Ale tak się nigdy nie dzieje, kiedy zasypiam w dzień. Czar nie działa, dopóki wieczorem nie położę się na pryczy.

Przez bramę przejeżdża wózek; nasz grupowy przyłącza się do pozostałych, którzy tłoczą się już dookoła jedzenia. Wraca do nas z workiem chleba i zaczyna nam rozdawać po kawałku. W zimie zawsze przywożą nam zamarznięty chleb. Jest tak twardy, że nie da się go ugryźć. Nikt nie zdoła przełknąć ani kęsa, dopóki chleb nie zostanie rozmoczony w ciepłej wodzie, a rozpalić ogień i stopić śnieg będzie można dopiero wówczas, gdy dotrzemy do lasu, na swoje miejsce pracy.

Przychodzą strażnicy, żeby nas wyprowadzić. Psy warczą wściekle na nasz widok. Słyszę, jak grupowy Nikołaja melduje, że jeden skazany jest chory. Tamci obojętnie wzruszają ramionami i wszyscy ruszamy do pracy.

Po drodze w pobliżu głównej bramy mijamy stertę ciał ułożonych jedne na drugich w równych warstwach, jak kawałki drewna. Stopy tych leżących na spodzie skierowane są w stronę drogi wiodącej do obozu; ci na górze opierają im nogi na głowach. Zastanawiam się, czy w ten sposób łatwiej jest układać zwłoki. Czy przez to zmniejsza się ryzyko, że cały stos zachwieje się i runie? Na razie ciała są zamarznięte na kość, twarze kredowobiałe i pokryte warstwą szronu, podobnie jak włosy. Od miesięcy nie pojawił się tu żaden wóz, żeby je zabrać, ale może nie ma sensu tego robić, dopóki ziemia jest tak twarda, że nikt nie da rady wykopać grobu. Zostaną pochowane dopiero na wiosnę, a do tego czasu ich liczba znacznie się zwiększy.

Wreszcie dochodzimy do miejsca, gdzie pracujemy. Spoglądam na drzewa, które za chwilę zaczniemy ścinać. Grupowy podaje mi piłę. Czuję, że w głowie mam jedynie mgłę, lodowato zimną mgłę, i nie potrafię jasno myśleć. Wiem jedynie, że muszę jakoś przetrwać do wieczora, żeby znów przenieść się w tamten inny świat...

Laura szybkim ruchem zamknęła książkę. Tak jak przedtem, kontrast pomiędzy nieśpiesznym, słonecznym i szczęśliwym życiem z marzeń oraz koszmarem syberyjskiego gułagu udręczył ją do tego stopnia, że nie miała siły dłużej nad tym rozmyślać. Kim był ów człowiek? Czyżby to jeden z więźniów, którzy pracowali w Grunwaldsee podczas wojny?

Nagle przypomniały się jej słowa babci: „Pomyśl o mnie, kiedy będziesz czytać tę książkę”.

Czy możliwe, że to właśnie Charlotte była tą kobietą, o której śnił?

Rozdział dwudziesty drugi

Charlotte jeszcze spała, kiedy zadzwonił telefon. Podnosząc słuchawkę, zerknęła na zegarek. Dochodziła siódma rano. W pierwszej chwili pomyślała o Clausie, Carolyn i ich nienarodzonym dziecku, ale zaraz rozpoznała nieprzyjemny dla ucha, twardy akcent, gdy jej siostra odezwała się po angielsku:

- Czy to ty, Charlotte?
- Greta? - Charlotte z trudem usiadła. - Co się stało?
- Dlaczego coś miało się stać?
- Jest siódma rano.

- Tutaj szósta, ale ja i tak od dawna jestem na nogach. Muszę być rannym ptaszkiem, skoro mam na głowie cały dom i męża, o którego trzeba się troszczyć. Ale skoro już pytasz, to przyznam, że właściwie czuję się nie najlepiej. Boh mnie brzuch, a poza tym strasznie dokucza mi artretyzm. To przez tę cholerną wilgoć w powietrzu. Pewnie u ciebie świeci słońce. Klimat w Prusach Wschodnich zawsze był o wiele cieplejszy i bardziej suchy niż w Anglii.

- Rzeczywiście, pogoda jest bardzo ładna. To miło, że pytasz.

Greta nigdy nie telefonowała bez konkretnej potrzeby, więc Charlotte czekała, aż siostra wreszcie wykrztusi, dlaczego zadała sobie trud, żeby do niej zadzwonić.

- Charlotte, ta rozmowa stanowczo za dużo kosztuje, żebym traciła czas na słuchanie twoich złośliwości. Jeremy i Marilyn powiedzieli mi, gdzie jesteś. Czy już zdążyłaś pojechać do Grunwaldsee? - W jej głosie pojawił się ostry, nieprzyjemny ton.

- Tak - odparła krótko Charlotte. - Właściwie dom wygląda dokładnie tak samo jak dawniej. Nowy właściciel przepięknie go odnowił.

- Mój Boże! Więc rozmawiałaś z tym człowiekiem?! - zawołała Greta z oburzeniem.
- Na razie tylko z jego wnukiem, ale mam zamiar się z nim spotkać.
- Jak mogłaś...

Charlotte przerwała jej, zanim Greta zdążyła się rozkręcić.

- Wyobraź sobie, że Marius wciąż tu jest i mieszka w stróżówce.
- W takim razie musiał ocalić co nieco z naszych rzeczy. - Greta wyraźnie się ożywiła. - Bizuterię, srebra...
- Mówiłam ci przecież, że bizuterię zabrano mi zaraz po wyjeździe z domu - warknęła Charlotte.
- No cóż, to ty tak twierdzisz.

Gdyby Greta była w pobliżu, Charlotte uderzyłaby ją w twarz. Musiała na chwilę zamilknąć, żeby się uspokoić.

- Marius mówił, że Rosjanie urządzili sobie w naszym domu kwaterę główną. Splądrowali go do cna.

Dosłownie. Żołnierze zdarli nawet drewniane podłogi, żeby palić nimi w piecu. Ale Marius mimo to zdołał uratować parę naszych rzeczy.

- Ach tak! Ciekawe, czybyś mi o tym powiedziała, gdybym nie zadzwoniła?

- Oczywiście. - Charlotte starała się mówić normalnym, spokojnym tonem. - Udało mu się wynieść z domu trzy oprawione w skórę albumy ze zdjęciami z kompletu, który nasz dziadek kupił w Londynie podczas swojej podróży poślubnej. Poza tym ocalała rodzinna Biblia.

- Czy to wszystko?
- Wszystko - powtórzyła Charlotte, tym razem zdecydowanie ostrzej niż poprzednio.

- Ale przecież musiało zostać coś więcej! W domu pełno było wartościowych przedmiotów, a poza tym pamiętasz chyba, ile rzeczy trzymaliśmy na strychu. Wszystkie antyki... W rodzinie papy nikt nigdy niczego nie wyrzucał. Na pewno jest jeszcze coś...

- Owszem, została szafa papy. Jeśli tak bardzo chcesz mieć jakąś pamiątkę, proponuję, żebyś zjawiła się tu osobiście i ją zabrała! - Charlotte rzuciła słuchawkę na widełki.

Usłyszała, jak w zamku zazgrzytał klucz, i po chwili Laura wsunęła głowę do pokoju.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale...

- Usłyszałaś, że ktoś dzwoni? - spytała Charlotte. Gniew na siostrę zniknął bez śladu, gdy tylko zobaczyła wnuczkę.

- Tak.

- To była ciocia Greta. Dzwoniła, żeby zapytać, co się stało z cennymi rzeczami należącymi do naszej rodziny. Zdaje się, że jest przekonana, że to ja je ukradłam i schowałam przed nią.

- Biedactwo...

Laura podeszła i objęła ją serdecznym uściskiem.

- Może jesteś głodna?

- Owszem - odparła Charlotte, zdecydowana nie pozwolić, żeby rozmowa z Gretą popsukała im humor na resztę dnia. - Pozwólmy sobie na odrobinę luksusu i zjedźmy śniadanie na balkonie, zamiast schodzić do jadalni. Zaraz zadzwonię, żeby nam je tu przynieśli, powiedzmy o... - zerknęła na zegarek - ...o ósmej. Dzięki temu zostanie mi trochę czasu, żeby policzyć do stu i zapomnieć o Grecie, a jednocześnie oddać się rozkoszy długiej kąpieli.

- Wczoraj w nocy skończyłam „Ostatnie lato” - zwierzyła się Laura, kiedy na talerzach nie został ani jeden okruszek.

- Tak?

Charlotte sięgnęła po dzbanek z kawą, żeby ponownie napełnić obydwie filiżanki.

- Nie zmieniłam zdania, jeśli chodzi o życie w gułagu na Syberii. Dalej uważam, że to było wręcz nie do wytrzymania. - Laura zebrała się na odwagę i spojrzała prosto w oczy Charlotte. - Czy to ty jesteś tą żoną, która pojawia się w sennych marzeniach tamtego nieszczęsnego więźnia?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała cicho Charlotte.

- Ale znałaś autora? - naciskała Laura.

- Tak, znałam.

- I byłaś w nim zakochana?

Charlotte zawahała się, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, ich rozmowę przerwał czyjś obcy głos.

- Dzień dobry, Fräulein Datski. Witaj, Lauro.

Charlotte odwróciła się, żeby spojrzeć za siebie. Po jeziorze przesunęła się jakaś łódź i zacumowała tuż pod oknem pokoju. Misza odłożył wiosła, rzucił kotwicę, a potem wstał i złapał ręką za barierkę pomostu, żeby utrzymać równowagę.

- Dzień dobry, Misza - odwzajemniła się Laura.

- Co za piękny dzień. Czy panie mają może ochotę popływać łódką? Wrócimy do Grunwaldsee, gdzie Jadwiga przygotowuje dla nas lunch, a później objedziemy konno jezioro. Co wy na to?

Charlotte pokręciła głową.

- Jeśli chodzi o mnie, to dni, kiedy mogłam pływać na czymś mniejszym od pełnomorskiego statku, zdecydowanie należą już do przeszłości. Ale Laura na pewno ma ochotę.

- Oma! - zaprotestowała Laura.

- Co? Wolisz siedzieć tu ze mną przez cały dzień?

- Zaczęłyśmy pewną rozmowę...

- Równie dobrze możemy dokończyć ją w późniejszym czasie. No dalej, rusz się, dziewczyno! Proszę, możesz już zabrać mój pamiętnik. Wczoraj w nocy skończyłam go czytać.

Charlotte podeszła do szafki nocnej, wzięła podniszczony gruby brulion i rzuciła go prosto w ręce wnuczki.

- Ostatecznie niecodziennie się zdarza, żeby przystojny młody Rosjanin zapraszał cię na wycieczkę. Na twoim miejscu nawet przez chwilę bym się nie zastanawiała.

- Twoja babcia ma rację, Lauro. Rzeczywiście jestem przystojnym młodym Rosjaninem i mogę się rozmyślić, jeśli każesz mi zbyt długo czekać - zażartował.

- Czy kiedyś miałaś wrażenie, że ktoś w coś cię wrabia? - Laura wstała z krzesła. - Pójdę po kurtkę.

Charlotte wychyliła się przez balkon.

- Ona zaraz do ciebie zejdzie, Misza. Czy byłbyś tak miły i powtórzył Mariusowi, że zmieniłam zdanie i już nie mam ochoty leżeć w łóżku przez cały dzień? Przyjadę po południu, żeby się z nim zobaczyć.

- Ktoś z nas może panią przywieźć, Fräulein Datski - zaproponował natychmiast.

- Nie ma potrzeby. Nie jestem jeszcze całkiem niedołązną staruszką, która nie może sama usiąść za kierownicą.

Charlotte została na balkonie, dopóki Laura nie zeszła na pomost. Patrzyła, jak Misza podnosi kotwicę i łódź wypływa na środek jeziora.

Kelner zapukał do drzwi, żeby posprzątać po śniadaniu. Charlotte właśnie zaczęła dyskusję sama ze sobą, czy resztę poranka poświęcić na odpoczynek, kiedy zabrzączał dzwonek telefonu. Zebrała się w sobie, gotowa do następnego starcia z Gretą.

- Pani Datski?

- Tak.

- Dzwonię z recepcji. Czekają tu jakiś pan, który mówi, że przechodził obok hotelu i usłyszał, jak ktoś wymienił pani nazwisko. Bardzo prosił, żebym do pani zadzwoniła i spytała, czy zechciałaby pani się z nim spotkać, oczywiście, o ile to właśnie pani jest panną Charlotte von Datski, która mieszkała w Grunwaldsee?

- Od wielu lat nie używam „von” przed nazwiskiem - odparła Charlotte.

- W takim razie co mam mu odpowiedzieć, Frau Datski?

- Jak się nazywa ten pan? - spytała.

Musiała wysłuchać pospiesznej, przeprowadzonej szeptem konwersacji, ale nie potrafiła zrozumieć ani jednego słowa.

- Ten pan powiada, że znał panią, gdy była pani młodą dziewczyną, i chciałby zrobić pani niespodziankę.

Ogarnęło ją zaciekawienie.

- A jak on wygląda? Odpowiedział jej zduszony śmiech.

- Jest bardzo dystyngowany, dojrzały i siwowłosy.

Charlotte przypomniała sobie, w jakim przedziale wiekowym mieszczą się zatrudnione w hotelu recepcjonistki. Dla tak młodych kobiet słowo „dojrzały” mogło oznaczać kogoś pomiędzy czterdziestką a osiemdziesiątką. Spojrzała na zegarek. Zbliżała się dziesiąta. Czy komuś stanie się krzywda, jeśli ona umówi się z nieznanym mężczyzną na dole w hotelu?

- Proszę mu powiedzieć, że za kwadrans zejdę do baru.

W ciągu następnych dziesięciu minut Charlotte poświęciła więcej czasu na zadbanie o swój wygląd niż kiedykolwiek podczas minionych lat. Włożyła ulubioną czarną spódnicę i jedwabną bluzkę w miedzianym kolorze, zrobiła staranny makijaż, wyszczotkowała i zaczesła do tyłu włosy, żeby następnie zwinąć je w ciasny kok, wsunęła w uszy kolczyki z bursztynu, kupione przed paroma laty jako uzupełnienie naszyjnika, który nosiła codziennie, a na samym końcu spryskała się perfumami. Sprawdzając na zegarku czas, zerknęła do lustra, żeby ocenić rezultat swoich zabiegów; potem zamknęła drzwi prowadzące na balkon i wyszła na korytarz.

„Dystyngowany, dojrzały, siwowłosy...”. Ten opis mógł pasować do niemal każdego mężczyzny, którego znała z przeszłości, nawet do Georga - nie daj Boże!

Ożywiona chęcią spotkania kogoś, kto pamiętał dawne, bliskie jej sercu Allenstein, które znajdowało się kiedyś na miejscu współczesnego Olsztyna, całkiem nie wzięła pod uwagę, że z pewnymi ludźmi wcale nie miała ochoty odświeżać znajomości.

Zastanawiając się, czy jest możliwość zobaczenia tego kogoś, zanim on zobaczy ją, ostrożnie wsunęła się do baru.

- Charlotte! Poznałbym cię dosłownie wszędzie! Nic się nie zmieniłaś od czasu, gdy podczas wojny zarządzałaś Grunwaldsee!

Recepcjonistka miała rację. Ten człowiek rzeczywiście zasługiwał na miano dystyngowanego, pomimo przerzedzonych siwych włosów.

- Czy mnie pamiętasz?

Podobnie jak w wypadku Mariusa, Charlotte najpierw poznała głos, a dopiero później rysy twarzy.

- Helmut? - spytała niepewnie, szukając w jego twarzy śladów tamtego młodego mężczyzny, który w czasie wojny przyjeżdżał z jej siostrą na wakacje do Grunwaldsee. - Co ty tu robisz?

- No cóż, pewnie to samo, co większość ludzi urodzonych w Prusach Wschodnich, którzy teraz wracają w rodzinne strony. Chciałem jeszcze raz zobaczyć ten kraj, zanim umrę. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy usłyszałem, jak nad jeziorem ktoś zawołał pannę Datski. Jesteś tutaj sama?

- Nie, z wnuczką.

- A więc ty i Claus dochowaliście się wnuków? Gratuluję!

- To nie jest wnuczka Clausa. Laura jest Angielką. Zauważyła, że mina mu nieco zrzędała, ale zaraz odzyskał dobry humor.

- No tak, powinienem był pamiętać o Anglikach.

- Helmut, od chwili, gdy zostały podpisane układy z aliantami, naprawdę minęło już dużo czasu - zauważyła delikatnie.

Ale rozumiała, że miał prawo pozwolić sobie na tę gorzką uwagę, po tym jak Greta go porzuciła.

- A ja przyjechałem tu z żoną. Czekają na nas na tarasie. Słyszałaś, że się ożeniłem?

- Nie. Obawiam się, że straciłam kontakt ze wszystkimi znajomymi.

- Nigdy cię nie widziałem na żadnym z naszych spotkań. Wiedziałaś, że od czasu do czasu organizowane są spotkania dawnych mieszkańców Allenstein?

- Słyszałam, ale niestety tak się złożyło, że nie miałam czasu przyjechać na żadne z nich.

To nie była prawda i Charlotte wyczuła, że Helmut świetnie o tym wie. Nie znalazła czasu przez ponad pół wieku? Na pewno mogła sobie pozwolić na taką podróż, gdyby tylko chciała. Przed przyjazdem tutaj powstrzymywały ją wspomnienia. Wspomnienia o Ruth i Emilii, pędzonych do ciężarówek pod groźbą pistoletu, który trzymał w ręce Georg.

Wspomnienia o braciach, którzy w kwiecie wieku musieli odejść z tego świata. Wspomnienia o wszystkich niemoralnych zasadach, jakie wpajano jej w szkole, w Hitlerjugend, a nawet we własnym domu.

- Wiedzieliśmy, że świetnie sobie radzisz. Twoje ilustracje do książek przyniosły ci sławę.

Helmut poprowadził ją do stolika. Odwróciła się ku nim jakaś kobieta i Charlotte ujrzała pooraną zmarszczkami twarz, na której czaił się niepokój.

Od razu ją poznała, choć tamta wydawała się teraz szczuplejsza niż kiedyś i straciła większość dawnej urody. Jednak błękitne oczy zachowały swój blask, choć może mniej było w nich otwartości i zaufania.

Wstała z krzesła, gdy się zbliżali, i wyciągnęła do Charlotte obie ręce, lecz nie rzuciła jej się w objęcia.

- Śledziliśmy przebieg twojej kariery, Charlotte.

- Nawet udało mi się wysupłać z naszego skromnego budżetu środki na kupno dwóch twoich prac - dodał Helmut.

- Jak to uprzejmię z waszej strony - wyjąkała, zdumiona tym niespodziewanym spotkaniem.

- Uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy - zapewnił Helmut, czując, że musi czymś wypełnić ciszę, jaka zapadła pomiędzy dawnymi przyjaciółkami. - Od razu wiedziałem, że to będzie świetna inwestycja, kiedy tylko je zobaczyłem. Nie miałem pojęcia, że jesteś obdarzona tak wieloma talentami. Wiedziałem, że jesteś pianistką, ale malarką? Czy po wojnie zdarzyło ci się grać zawodowo?

Charlotte w końcu oderwała wzrok od Ireny i popatrzyła na niego.

- Nie miałam czasu ani pieniędzy, żeby kontynuować studia muzyczne, nawet gdybym chciała to zrobić.

- Miałaś przecież rodzinę i musiałaś się o nią troszczyć. Jak się miewa młody Erich?

- Już nie jest taki młody.

- Często się zastanawialiśmy, czy to on jest tym Erichem von Lettebergiem, który w latach sześćdziesiątych zyskał uznanie jako znakomity prawnik.

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Nigdy nie używał tytułu, który odziedziczył po Clausie.

- Mój drogi, dni królów, książąt i hrabiów od dawna należą już do przeszłości - zaśmiała się Charlotte. - Ale Claus był dumny, że Erich wybrał właśnie taki zawód. Młodszy syn Ericha, który nosi to samo imię co jego ojciec i dziadek, w tym roku wybiera się do Berlina, żeby tam studiować prawo - dodała z własnej woli, bo łatwiej było jej rozmawiać o wnukach niż o własnych dzieciach.

Helmut wysunął spod stołu krzesło.

- Proszę, usiądź z nami. Moim zdaniem przy takiej okazji powinniśmy napić się szampana, a nie kawy.

- Proszę. - Irena serdecznie ucałowała jej policzek.

Charlotte odwzajemniła uścisk i dopiero wtedy usiadła na podsuniętym przez Helmuta krześle.

- Erich ma także starszego syna, który dostał imię po Clausie. Prowadzi własną firmę i zajmuje się projektowaniem oraz robieniem mebli. Mieszka ze mną w Ameryce.

- Jest stolarzem - uśmiechnęła się Irena. - Twój ojciec na pewno zaaprobowałby ten wybór.

- O tak, na pewno - zgodziła się Charlotte, myśląc o praktycznej stronie natury swojego ojca. - Ale powiedzcie, co się działo z wami? W jaki sposób się spotkaliście? Musicie opowiedzieć mi wszystko aż od zakończenia wojny.

- No cóż, to długa historia - odrzekła Irena. - Od wielu lat chciałam nawiązać z tobą kontakt, Charlotte, ale nie wiedziałam, jak zostaną potraktowana, skoro zaraz po wojnie nagadałam ci tyle okropnych rzeczy.

- To było całkowicie zrozumiałe, zważywszy że posłano cię do obozu, rozdzielono z córkami i straciłaś nowo narodzone dziecko oraz Karoline.

- Nigdy nie udało się jej odnaleźć - wtrącił szybko Helmut i Charlotte już wiedziała, że nawet teraz, po upływie sześćdziesięciu lat, Irena nie do końca zrezygnowała z nadziei na odzyskanie córki.

- Często myślałam o tobie, Ireno - powiedziała, kładąc rękę na jej dłoni.

- Szkoda, że minęło tyle czasu. Gdyby nie moja głupota, nadal mogłyśmy być najlepszymi przyjaciółkami. - Irena pochyliła się ponad stolikiem i uściskała Charlotte.

- A może wręcz przeciwnie - odparła Charlotte poważnym tonem. - Nawzajem przypominałybyśmy sobie o sprawach, o których najlepiej szybko zapomnieć.

- Nigdy sobie nie wybaczę... - zaczęła Irena, ale Helmut nie pozwolił jej dokończyć.

- Każdy Niemiec musi wybaczyć. Przynajmniej do momentu, od którego można patrzeć przed siebie, zamiast oglądać się w tył.

- Ale mamy tyle do nadrobienia. - Irena wyjęła z kieszeni chusteczkę. - Wczoraj pojechałam do domu moich rodziców. Zatrzymałam się na ulicy przed synagogą i wracałam myślami do tamtego popołudnia.

- Ja także nie zdołałam zapomnieć tamtych strasznych chwil - przyznała cicho Charlotte.

- Nieraz zastanawiałam się, co by się stało, gdybym cię nie zatrzymała i pozwoliła ci wysiąść z samochodu - powiedziała Irena, ściskając w palcach chusteczkę.

- Prawdopodobnie obie wylądowałybyśmy na tych ciężarówkach, w dodatku razem z dziećmi i resztą domowników.

- Mimo wszystko powinnyśmy były coś zrobić - upierała się Irena. - Ty przynajmniej próbowałaś...

- Czy pamiętacie, kto powiedział: „Aby zło kwitło, wystarczy, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”? - Charlotte popatrzyła na Helmuta. - Wiesz, co się wtedy wydarzyło?

- Irena wszystko mi opowiedziała. Tak samo mówiła, że jeden z waszych znajomych, Georg Mendel, brał czynny udział w tej akcji. Czy wiedziałaś, że po wojnie wyjechał do Chile? On i dawni kumple z SS okazali się bardzo użyteczni dla reżimu Pinocheta oraz jego zbirów. Byli specjalistami od tortur.

- Tego dnia po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy, na czym polega wojna - przyznała Irena. - Wcześniej nigdy nie kwestionowałam tego, co oficjalnie głoszone, to znaczy, że Żydzi zostaną przesiedleni gdzieś na wschód albo do Afryki czy na Madagaskar. A potem Wilhelm wrócił z frontu wschodniego. Sama widziałas, jak bardzo był zmieniony.

- Powiedział ci prawdę? - pytała Charlotte.

- Co nieco, ale nie wszystko. Uważał, że pewne rzeczy były tak straszne, że nie da się o nich opowiedzieć.

- Moje drogie, bądźcie realistkami. W jaki sposób dwie młode dziewczyny mogły powstrzymać oddział esesmanów?

- Emilia przeżyła wojnę - oznajmiła Irena. - Nina spotkała ją w czterdziestym szóstym roku. Właśnie wyjeżdżała do Palestyny.

- A Ruth? - spytała Charlotte.

Irena opuściła głowę, chcąc uniknąć spojrzenia przyjaciółki.

- Chyba jednak tamtego dnia należało coś zrobić. Cokolwiek.

- Gdybyś tak postąpiła, to teraz byśmy nie rozmawiali - zauważył Helmut.

- Są sprawy, dla których warto umierać. - Irena wymówiła te słowa tak cicho, że Charlotte nie była przekonana, czy dobrze je zrozumiała.

- Nie jestem pewien, czy tego samego zdania byłoby te czterdzieści jeden milionów ludzi, którzy ponieśli śmierć na wojnie - wtrącił Helmut.

- Nie, na pewno nie wszyscy - odpowiedziała Charlotte. - Ale niektórzy być może tak.

- Dużo lat upłynęło, zanim udało mi się wybaczyć Wilhelmowi. Ale w głębi serca zawsze wiedziałam, że miał rację. Po prostu nienawidziłam samej myśli, że muszę żyć dalej bez niego i dzieci, które straciłam.

- Byłby dumny, że zdołałaś jakoś się pozbierać i stworzyć nowe życie dla siebie i Marianny - odrzekła ze zrozumieniem Charlotte.

Przy stole zapadła cisza. Wreszcie Helmut zdecydował się ją przerwać.

- Pamiętam, że kiedyś spotkałem Clausa. To było jakoś na początku lat sześćdziesiątych. Czy wspomniał ci o tym? - zwrócił się do Charlotte.

- Mówił, że spotkaliście się na jednym ze zjazdów byłych oficerów Wehrmachtu.

- Czy uwierzyłybyś, że walczyliśmy w tym samym pułku? Tyle że Claus był w nim przez cały okres wojny, a ja przez ostatnie sześć miesięcy. Jednak Claus von Letteberg, którego spotkałem po wojnie, w niczym nie przypominał tego żołnierza, jakiego pamiętałem z moich wizyt w Grunwaldsee. Musiało być ci ciężko, Charlotte, kiedy się nim opiekowałaś. Słyszałem, że warunki w obozach jenieckich w Rosji były gorsze niż te w amerykańskich, choć mnie osobiście wydawało się, że jest tam równie źle jak w piekle. Ale nikt nie znał prawdy o obozach rosyjskich, dopóki tacy jak Claus nie zaczęli stamtąd wracać. Oczywiście nie chciał ze mną o tym rozmawiać, jak zapewne się domyślasz.

- Z nikim nie chciał, Helmut. Myślę, że wszyscy dobrze rozumieli dlaczego.

- Jest wielka różnica pomiędzy przebywaniem przez osiemnaście miesięcy w amerykańskim obozie w Nadrenii a spędzeniem dziesięciu lat na Syberii. Ale mimo to pamiętam, że przez te osiemnaście miesięcy wiele razy pragnąłem umrzeć. Całe życie polegało na budzeniu się, zasypianiu i spędzaniu czasu pod gołym niebem i w brudzie. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tak dokuczliwego zimna, głodu ani poczucia osamotnienia. Miałem wrażenie, że świat o nas zapomniał.

- Więc o czym rozmawialiście, gdy spotkałeś się z Clausem? - zmieniła temat Charlotte, bo za nic nie chciała wszczynać dyskusji o warunkach panujących w rosyjskich czy amerykańskich obozach jenieckich.

- O tym, o czym każdy żołnierz rozmawiał podczas takich zjazdów: o błędnych decyzjach podejmowanych przez naczelne dowództwo. A co słyhać u Grety? - Helmut ujął dłoń żony i pogładził ją z czułością, jakby chciał zapewnić, że nie żywi już sentymentu do byłej narzeczonej. - Jak jej się podoba w Anglii?

Charlotte postarała się, żeby w jej głosie nie było goryczy.

- Znasz przecież Gretę. Tak jak kot zawsze miała talent do spadania na cztery łapy.

- Czy jej mąż naprawdę był taki bogaty i miał duży dom?

- Nie skłamał ani trochę. Dom faktycznie był duży, ale pełen przeciągów i mocno zrujnowany. Sprzedał go więc oraz trochę ziemi, którą wcześniej puścił w dzierżawę, i kupił nowoczesny, luksusowy dom, który spodobał się Grecie. Na szczęście był na tyle zamożnym człowiekiem, że mógł sobie pozwolić na zatrudnienie kucharki i pokojówki, co również spotkało się z jej uznaniem. Jak zawsze na pierwszym miejscu stawiała siebie i swoje potrzeby.

- Czy Greta ma dzieci? - spytał Helmut. Charlotte pokręciła głową.

- Nigdy nie chciała ich mieć. Mówiła o tym jeszcze jako młoda dziewczyna.

Helmut popatrzył na Irenę.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym żyć bez naszych dwóch dziewczynek.

- Opowiedzcie mi o nich - poprosiła Charlotte z ożywieniem.

- Pytasz o naszą córkę czy o córkę Wilhelma?

- Powiedzieliście Mariannie, kim był jej ojciec? - Charlotte z trudem powstrzymywała łzy.

Irena oplotła palcami dłoń męża.

- Nie musieliśmy jej mówić. Pamiętała go, tak samo jak nasz ostatni dzień w Grunwaldsee. Często powtarzała, że to był koniec jej dzieciństwa. Kiedy po wojnie przeniosłyśmy się do Bawarii, obie używałyśmy mojego panieńskiego nazwiska. Potem, gdy wyszłam za Helmuta, przyjęłyśmy jego nazwisko. Sama wiesz, jak trudno było żyć rodzinom spiskowców zaraz po wojnie. Wielu ludzi uważało nas za zdrajców ojczyzny. Ale teraz Marianna wróciła do nazwiska von Datski i jest z niego dumna.

Charlotte odwróciła wzrok. Cień bólu na twarzy Ireny wyraźnie sugerował, ile wysiłku kosztowało ją to wyznaczenie.

- Próbowałam skontaktować się z tobą, kiedy pobraliśmy się w Monachium w pięćdziesiątym trzecim roku, lecz wtedy okazało się, że Frau Leichner sprzedała dom i gdzieś się wyprowadziła, a nowi właściciele nic nie wiedzieli o temat dawnych lokatorów - wyjaśniła Irena. - Po wojnie usłyszałaś ode mnie tyle głupich słów, Charlotte. Okrutnych słów, których wcale nie chciałam powiedzieć i prawie od razu ich żałowałam. Teraz wydaje mi się, że przechodziłam wówczas coś w rodzaju załamania nerwowego, choć oczywiście wcale mnie to nie usprawiedliwia. Po prostu chciałam obarczyć kogoś winą za to, że tyle wycierpiałam i tak wiele utraciłam. Nie warto było oskarżać Wilhelma, bo on już nie żył. Nie mogłam go zranić ani pokazać mu, ile bólu sprawił mnie i naszym dzieciom. Ale ty byłaś blisko. Wiem, że tak samo jak ja miałaś złamane serce. Wiem, bo widziałam, jak płakałaś z powodu Karoline. W jakiś czas potem - długi, długi czas - zapragnęłam do ciebie napisać. Później zorientowałam się, że mogę nawiązać z tobą kontakt przez twoich wydawców, i nawet myślałam, żeby to zrobić, lecz nie byłam pewna, czy nadal chcesz mnie znać po tych wszystkich okropnościach, jakich musiałaś ode mnie wysłuchać.

- Irena, powinnaś była wiedzieć, że będę chciała! Zawsze byliśmy sobie bliższe niż rodzone siostry! - zawołała Charlotte z uczuciem.

- Marianna jest architektem - oznajmił Helmut z nieukrywaną dumą.

- Wilhelm i Paul byliby zadowoleni.

- Właśnie to jej powiedzieliśmy, kiedy przyniosła dyplom.

- A naszą wspólną córkę nazwaliśmy Wilhelminą na cześć jednego z najdzielniejszych ludzi, których w życiu spotkałem.

Helmut podał Irenie i Charlotte kieliszki z szampanem, które przyniósł kelner.

- Wilhelmina jest lekarzem. Obie wyszły za mąż i mają dzieci. Mina urodziła dziewczynkę, a Marianna chłopców bliźniaków.

- Bliźniaków?

Przytłoczona nadmiarem emocji Charlotte sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

- Nazywają się Wilhelm i Paul i są bardzo podobni do swojego dziadka i jego brata. Musisz koniecznie do nas przyjechać, żeby ich poznać.

Irena pogrzebała w torebce i wręczyła Charlotte kolorową fotografię. Ze zdjęcia patrzyli dwaj uśmiechnięci młodzi ludzie o jasnych włosach. Irena miała rację; podobieństwo było wręcz uderzające.

- Możesz zatrzymać to zdjęcie, jeśli masz ochotę - zaproponowała Irena. - Ja mam jeszcze jedno.

Charlotte położyła je przed sobą na stole.

- Jestem taka szczęśliwa, że wy dwoje znaleźliście szczęście - wyznała, nie odrywając wzroku od fotografii.

- No to wnieśmy toast. - Helmut podniósł kieliszek. - Za obu naszych Wilhelmów i Paulów. Musisz koniecznie odwiedzić nas we Frankfurcie i pamiętaj, że to nie jest jedno z tych grzecznościowych zaproszeń, jakie zwykle ludzie wymieniają - dorzucił, kiedy kieliszki zostały opróżnione.

Irena znów zajrzała do torebki, tym razem po następną chusteczkę i wizytówkę. Podała ją Charlotte.

- Wpadnij do nas jak najszybciej. Może w drodze powrotnej do Ameryki?

Charlotte odwróciła wizytówkę, żeby przeczytać znajdujący się na odwrocie adres.

- Masz swoją własną firmę, Helmut?

- Kiedy Greta powiedziała, że nie chce mnie znać, pojechałem na pewien czas do jednej z moich ciotek. Pożyczyłem od niej trochę biżuterii, zastawiłem ją i kupiłem amerykańską ciężarówkę. Może tego typu działalność nie jest odpowiednim zajęciem dla żołnierza, ale mnóstwo ludzi chciało, żeby przewieźć im rzeczy z jednego końca kraju na drugi. W ten sposób zacząłem zarabiać niezłe pieniądze i w ciągu miesiąca udało mi się wykupić biżuterię ciotki.

- Cztery lata później miał wiele ciężarówek, a po dziesięciu latach jego firma transportowa znalazła się wśród pięćdziesięciu najlepszych niemieckich przedsiębiorstw - dorzuciła Irena.

- Nasza firma - poprawił ją.

- Greta zzieleniałaby z zazdrości - uśmiechnęła się Charlotte.

- Całkiem zapomniałem, że wy dwie zawsze się kłóciłyście.

- I nigdy nie udało nam się przestać.

- Czy nadal będziesz mieszkała w Ameryce, czy może masz zamiar rozejrzeć się za jakimś nowym miejscem w Europie? - zapytała Irena.

- Podczas tej wycieczki przekonałam się, że nie ma do czego wracać. - Charlotte wysączyła ostatnie kropelki szampana.

- Czytaliśmy artykuł o tobie w „Life” - powiedziała Irena.

- Mam nadzieję, że nie uwierzyłaś w ani jedno słowo, które tam napisano. Ja jestem tylko malarką, która ma tyle szczęścia, że wciąż dostaje zamówienia.

- Byłaś już w Grunwaldsee?

- Tak. Marius nadal tam mieszka.

- Jednym z powodów, dla których tu przyjechaliśmy, było zrobienie zdjęć domu moich rodziców i waszego dworu, żeby pokazać je Mariannie i Minie.

- Marius na pewno powita cię z radością, Ireno. Ciebie także - dodała Charlotte, odwracając się do Helmuta. - Szczerze mówiąc, nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy o tobie i twoim zwyczaju obdarowywania wszystkich... I o tym, że zawsze szeptałeś: „Tylko nie mówcie Grecie”.

Roześmiał się.

- Greta z natury była skąpa jak diabli. Nie znosiła, kiedy coś komuś dawałem, nawet jeśli sama tego nie potrzebowała.

- Marius bardzo się starał jak najlepiej opiekować się Grunwaldsee. Nawet umieścił w kościele tabliczki ku czci Paula, Wilhelma, mamy i Minny. A nowy właściciel wspaniale odnowił dom. Bądźcie przygotowani, że zobaczycie dokładnie takie Grunwaldsee, jak przedtem. Jutro znów jadę zobaczyć się z Mariusem. - Charlotte chwyciła Irenę za rękę. - Może pojedziecie ze mną?

Irena spojrzała na męża.

- Co o tym sądzisz?

- Jeśli Charlotte jest pewna, że będziemy tam mile widziani...

- Najzupełniej. - Charlotte wstała od stołu. - A teraz wybaczenie, ale mam pewne sprawy do załatwienia.

- Oczywiście, ale może zjesz dziś z nami kolację? - poprosiła Irena.

- Z przyjemnością.

- W takim razie spotkajmy się w jadalni o ósmej wieczorem.

- Na pewno przyjdę.

Charlotte ucałowała Irenę, a następnie Helmuta.

- Tak dobrze było znowu was zobaczyć. Oboje.

Przechodząc przez hol, zatrzymała się na moment. Sklepek, w którym sprzedawano złoto, srebro i bursztyn, lśnił i połyskiwał uwodzicielsko w odbitym blasku kryształowego żyrandola. Podeszła bliżej, oglądając wyłożone na wystawie kolczyki, naszyjniki, broszki i bransoletki. W końcu weszła do środka. Przy bliższych oględzinach udało się jej znaleźć kilka sztuk biżuterii wykonanej z naprawdę wielkim kunsztem, lecz piekielnie drogiej, tak jak niemal każdy przedmiot wytworzony w Polsce z myślą o niemieckim turyście.

Rozglądała się dopóty, dopóki nie trafiła na tackę z bardziej tradycyjnymi wyrobami. Przywołałszy sprzedawczynię, zaczęła wybierać to, co chciała kupić. Na widok kwoty na rachunku sprzedawczyni pobladła z wrażenia, lecz Charlotte z doskonale obojętną miną wręczyła jej swoją kartę kredytową. Następnie poprosiła dziewczynę o zapakowanie wszystkiego do pudełka i sięgnęła po bloczek z kartkami, których używano do sumowania wydatków. „Dla Greta, jako rekompensata za biżuterię, którą przy końcu wojny ukradli mi Rosjanie”, napisała na karteczce.

Zawahała się. Podpis „od kochającej siostry” wydał się jej zbyt obłudny, więc zdecydowała, że napisze co innego - „Z serdecznymi pozdrowieniami od Charlotte”.

Rozdział dwudziesty trzeci

Po powrocie do pokoju Charlotte stanęła przed lustrem i uważnie przyjrzała się własnemu odbiciu. Była niepokojąco blada, przez co cienie pod oczyma wydawały się bardziej widoczne niż zwykle. Czy tak objawiał się niedostatek snu? A może to nowotwór wygrywał zjadłą walkę, którą toczył z jej organizmem? Nagle poczuła się potwornie zmęczona - tak strasznie, że nie miała siły zmagać się ze zwykłymi, codziennymi czynnościami, nie mówiąc o traumatycznych przeżyciach czy powrocie do rozdzierających serce wspomnień. Tak łatwo byłoby wziąć do ręki jakąś powieść, położyć się do łóżka i tam spokojnie czekać na śmierć. Teraz śmierć nie była już zapamiętanym z dziecięcych lat upiorem, lecz dobrym przyjacielem, który miał ją zaprowadzić do grona bliskich ludzi, a w najgorszym razie zapewnić ułaskawienie i tak bardzo potrzebny odpoczynek.

Charlotte znów wyczuła, że jej ciało daje znaki, iż pozostało już niewiele czasu. Trudno było nie odczytać tego przesłania albo nie dostrzec, jak bardzo jest naglące, choć na pozór wydawało się, że nie ma w nim za grosz sensu ani logiki. Do tej pory nie odczuwała najmniejszych nawet dolegliwości, które świadczyłyby o rozwoju śmiertelnej choroby.

Jedna rzecz wydawała się pewna, po spotkaniu z Helmutem i Ireną okazało się, że wcale nie załatwiła jeszcze wszystkiego, jak jej się wcześniej wydawało. Wprawdzie zdecydowała, kto odziedziczy jej posiadłość, i wydała już dyspozycje dotyczące większości osobistych i wartościowych przedmiotów, lecz wciąż pozostało do napisania kilka listów - do wnuków Wilhelma, którzy nosili imiona po nim i jego bliźniaczym bracie i których zapewne nigdy nie będzie jej dane poznać osobiście; kilka słów z przeprosinami do Clausa i Carolyn, że wróciła do rodzinnego kraju bez nich, a w dodatku pozwoliła sobie na oszustwo, obiecując drugą, wspólną wycieczkę, która nigdy nie dojdzie do skutku - przynajmniej nie w tym gronie; do wykonawcy testamentu, Samuela Goldberga, że zamierza zmienić dyspozycje dotyczące kremacji i rozsypania jej prochów w Connecticut; wreszcie do bezpośrednich spadkobierców, synów i wnuków, "żeby pozwolili na pochowanie jej bez żadnej ceremonii w miejscu, z którym zawsze czuła się związana - w Grunwaldsee.

A Greta? Czy powinna dodać parę słów do tego suchego liściku, ukrytego w pudełeczku z biżuterią? Pewnie nie. Może lepiej pozostawić pewne sprawy własnemu biegowi. Charlotte nie miała wątpliwości, że jeśli stojąc nad grobem, na

znak przebaczenia wyciągnie do siostry rękę z gałązką oliwną, to Greta przede wszystkim nie zrozumie, na czym polegała jej wina.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer do dużego domu, otrzymany od Mariusa. Telefon zadzwonił kilka razy, zanim odebrał go jakiś obcy mężczyzna. Na szczęście mówił po niemiecku, i po dwukrotnym zapytaniu jej o nazwisko w końcu przyprowadził Mariusa. W tle wciąż słychać było hałas - dudnienie, uderzenia i wiązki soczystych, przekleństw - więc Charlotte doszła do wniosku, że trafiła na moment wnoszenia do domu mebli nowego właściciela.

- Fräulein Charlotte, czy stało się coś złego? - spytał pospiesznie Marius, z trudem łapiąc oddech.

- Zupełnie nic. Przepraszam, że zawracam ci głowę. Chciałam tylko przeprosić, że nie mogę dziś do was przyjechać, bo wypadło mi coś nieprzewidzianego... Tak, bardzo dziękuję, jutro na pewno przyjadę... Nie, czuję się całkiem dobrze, tylko muszę załatwić pewną sprawę, a oprócz tego mam do napisania parę listów... Laura? Owszem, jeśli jest w pobliżu, to chętnie zamienię z nią kilka słów. Dziękuję.

Charlotte przeniosła aparat na stół, który ustawiła na wprost otwartego na oścież okna. Dzięki temu mogła oddychać powietrzem znad jeziora i rozkoszować się ciepłem słońca, a jednocześnie nie musiała się martwić, że nagły podmuch wiatru zmiecie ze stolika wszystkie kartki.

- Oma? - Laura była jeszcze bardziej zdyszana niż Marius, więc Charlotte doszła do wniosku, że pewnie przywołano ją z dziedzińca. - Misza obiecał, że odwiezie mnie do hotelu. Zaraz u ciebie będę...

- Nie musisz, skarbie. Nie przerywaj sobie zabawy. Chciałam ci powiedzieć, że jestem strasznie zajęta.

- Zajęta? - powtórzyła ze zdziwieniem Laura. - Więc nie wypoczywasz?

- Pewni przyjaciele z dawnych lat słyszeli, jak Misza wołał mnie dziś rano, i rozpoznali moje nazwisko. Potem zapytali o mnie w recepcji i poprosili, żeby obsługa skontaktowała się ze mną. Nie widziałam ich od zakończenia wojny, więc sama rozumiesz, że mamy mnóstwo do nadrobienia.

Charlotte uznała, że to nie jest całkowite kłamstwo.

- Oma...

- Laura, ja naprawdę czuję się całkiem dobrze. Umówiłam się z nimi na kolację w restauracji, dziś o ósmej wieczorem. Możesz się przyłączyć, jeśli masz ochotę - dorzuciła po krótkim namyśle. - Ale jeśli wolisz zostać z Brunonem i Miszą, też mi to odpowiada. Lubię, jak spędzasz czas z ludźmi w twoim wieku.

- Z Warszawy przyjechała dziewczyna Brunona. Misza urządza dziś wieczorem spotkanie...

- W takim razie musisz tam iść.

Charlotte z ulgą przyjęła wiadomość, że wnuczka nie przyjdzie, bo w jej obecności nie mogliby swobodnie rozmawiać o sprawach, które wydarzyły się na długo przed urodzeniem Laury.

- Czy sądzisz, że jutro będę mogła poznać tych twoich znajomych? - pytała Laura.

- Oni także przyjadą do Grunwaldsee. Powiedz Mariusowi... Powiedz, że Irena von Datski przyjeżdża do domu i chciałyby się z nim spotkać.

- To twoja kuzynka?

- Bratowa.

- Żona jednego z twoich braci...

- Za dużo jest do opowiadania, żeby mówić o tym przez telefon. Porozmawiamy później. Baw się dobrze z Brunonem i Miszą, i przekaż pozdrowienia ode mnie Mariusowi i Jadwidze.

Charlotte skończyła pisać ostatni list o szóstej wieczorem. Złożyła na troje kartkę papieru, otworzyła kopertę, włożyła list do środka i starannie zakleiła, a następnie umieściła na wierzchu zgrabnego stosiku, który leżał przed nią na stole. Potem pochyliła się i przejrzała koperty.

Nie zostały ułożone w jakimś konkretnym porządku. Charlotte przyglądała się wypisanym na kopertach nazwiskom, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zapomniała czegoś napisać albo czy kogoś nie pominęła.

Laura... Powinna wiedzieć, że to właśnie ona odziedziczy całą biżuterię, którą może sprzedać albo zatrzymać według własnej woli, choć Charlotte wolałaby, żeby wnuczka nie pozbywała się bursztynowego naszyjnika, lecz nosiła go od czasu do czasu, wspominając przy okazji nie tylko ją, ale również Saszę. Tak samo Laura dostanie w spadku pamiętnik, a oprócz tego wszystkie obrazy i meble z domu w Connecticut oraz dwa szkice - ten przedstawiający Grunwaldsee oraz portret Saszy.

Claus... Jemu przypadnie jeden z albumów z rodzinnymi zdjęciami oraz cała posiadłość w Connecticut razem z domem, lecz bez obrazów, mebli i biżuterii, bo te są własnością Laury.

Samuel... Przekazała mu nowe dyspozycje dotyczące pogrzebu. Z wyrazami wdzięczności za ich sześćdziesięcioletnią przyjaźń zostawi mu wszystkie swoje obrazy, które wcześniej wypożyczono do londyńskich galerii; Samuel będzie mógł dysponować nimi według własnego uznania.

Irena... Na widok nazwiska bratowej na ustach Charlotte pojawił się uśmiech. Jeśli w ogóle istniało coś takiego jak przeznaczenie, to z pewnością właśnie ono sprowadziło Helmuta i Irenę do Olsztyna, i w określonym czasie kazało im zatrzymać się w tym samym hotelu co ona. Irena otrzyma trzeci album ze zdjęciami, uratowany przez Mariusa, a także rodzinną Biblię, żeby Marianna mogła pod własnym imieniem dopisać imiona swoich synów, jak również zaginioną ciotkę chłopców, Karoline, oraz synka Ireny i Wilhelma, który zmarł w Ravensbrück jako kilkudniowe niemowlę.

Swoim synom, Erichowi i Jeremy'emu, oraz najmłodszym wnukom, Luke'owi i Erichowi, napisała kilka słów pożegnania.

Marius... Nie spodziewała się, że w ogóle go spotka. Na szczęście na jej osobistym rachunku w banku pozostało ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów, więc poprosi jeszcze Samuela Goldberga o dopilnowanie, żeby te pieniądze otrzymał Marius razem z Jadwigą i Brunonem.

Greta... Jej prześle biżuterię, którą kupiła w hotelowym sklepiku.

Dla funduszu powierniczego założonego na nazwisko Petera Borodina przeznaczyła to, co jeszcze zostało z jej majątku, wszystkie obrazy, których nie rozdała i nie sprzedała, oraz wszystkie przyszłe honoraria autorskie, oszacowane na trochę ponad sześć milionów dolarów.

Ułożyła koperty na wierzchu paczek, które wcześniej wsunęła do pustej walizki, zajmującej miejsce na stojaku obok szafy, potem otworzyła szafę, wyjęła z niej prostą, czarną sukienkę i żakiet, kupione na kolację wydawaną na cześć Clausa w roku, gdy powrócił z obozu w Rosji. Powiesiła ubranie na drzwiach i poszła do łazienki, żeby się wykapać.

Laura przechyliła się ponad krawędzią jachtu, żeby przesunąć palcami po gładkiej powierzchni jeziora. Słońce schowało się za horyzontem już przed kilkoma godzinami, a mimo to woda wciąż była przyjemnie ciepła, a na ciemnym niebie nad ich głowami migotały miliony połyskujących gwiazd. Laura czuła, że kręci się jej w głowie od wina, śpiewu i dobrej zabawy. Dużo czasu upłynęło, odkąd mogła pozwolić sobie na równie beztroskie wakacje, a jeszcze więcej, od kiedy udało jej się przeżyć cały dzień, nawet przelotnie nie pomyślawszy o pracy.

- Świetnie się bawiłam, a na barbecue było wręcz cudownie. Bardzo ci dziękuję za zaproszenie - powiedziała do Miszy, który przycupnął na rufie, starając się sterować zgodnie ze słabymi podmuchami wiatru.

- Tak, to był naprawdę udany dzień - przytaknął. - Będzie jeszcze lepiej, kiedy jutro przyjedzie mój dziadek. Sam jeden potrafi zabawić całe towarzystwo.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Prawda, że dziewczyna Brunona jest urocza?

- Bardzo - przyznał oschle. - We dwoje stanowią prześliczną parę.

- To zabrzmiało dość protekcyjnie i cynicznie.

- Naprawdę? - Ukradkiem wyjął z kieszeni cygaro, wsunął je do ust i zapalił, przytrzymując zapalniczkę wolną ręką. - Czy czasami nie czujesz się tak, jakbyś miała sto lat?

Laura podniosła wzrok. W słabym świetle księżycy trudno jej było dostrzec wyraz jego oczu.

- Przynajmniej sto dziesięć - odparła nonszalancko. - Ale tak staro czuję się od chwili, gdy stuknęła mi trzydziestka.

- Trzecia dekada życia jest najbardziej cyniczna. Dobrze o tym wiem, bo sam mam trzydzieści trzy lata.

Ale tak jak powiedziałaś, ta dziewczyna jest bardzo sympatyczna i razem z Brunonem są przemiłą młodą parą. Nie wątpię, że za rok albo nawet wcześniej wezmą ślub w kościele. Ona będzie w białej sukni i wianku z róż na głowie, z bukietem w ręku, on zaś w ciemnym garniturze i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem będzie się prezentował wspólnie, choć będzie mu bardzo niewygodnie.

- No cóż, w życiu zdarzają się gorsze nieszczęścia.

- Zdecydowanie tak. Ja osobiście nie mam nic przeciwko małżeństwu, zwłaszcza że w obecnych czasach tak łatwo o rozwód.

- Ty naprawdę jesteś cyniczny.

Obserwowała go przez chwilę, jak wypuszczał kłąb dymu z cygara. Na moment rozdzielił ich siwy obłoczek.

- Palenie to niedobry nawyk. Źle wpływa na zdrowie - dodała.

- Ale czasami sprawia przyjemność, na przykład pod koniec długiego, słonecznego i przyjemnego dnia, tak jak teraz.

Czerwonawy koniuszek cygara rozżarzył się mocniej, bo Misza znów podniósł je do ust i zaciągnął się z lubością.

- Marius wydaje się taki przejęty perspektywą zobaczenia tej twojej ciotecznej babci. Jaka ona jest?

- Nie wiem - przyznała się Laura. - Nigdy jej nie widziałam.

- Myślałem, że to ja niewiele wiem na temat swoich krewnych, ale zdaje się, że ty wiesz jeszcze mniej. Czy nigdy nie naszła cię ochota, żeby spytać babcię o jej rodzinę i życie, jakie prowadziła tu przed wojną?

- To właśnie był jeden z powodów, dla których tutaj z nią przyjechałam. Chciałam dowiedzieć się czegoś o przeszłości. Dotąd niewiele rozmawialiśmy na ten temat, ale, jak widziałeś, rano dała mi do przeczytania swój pamiętnik. Zamierzam zacząć jeszcze dziś wieczorem.

- Czy widok Grunwaldsee zaskoczył cię pozytywnie, czy raczej rozczarował?

- Szczerze mówiąc, spodziewałam się czegoś innego. Na podstawie tych paru słów, które powiedziała babcia, wyobraziłam sobie, że Grunwaldsee było niewielkim folwarkiem, a w dodatku, czytając artykuły w zachodniej prasie, uwierzyłam, że w Polsce panuje straszna bieda.

- Nie daj się zwieść pozorom, tyle ci powiem. To zresztą nie będzie trwało w nieskończoność, zważywszy, jak ludzie tu pracują.

Laura postanowiła zaryzykować.

- Więc w jaki sposób twojemu dziadkowi udało się zarobić tyle pieniędzy, że mógł pozwolić sobie na kupno i renowację Grunwaldsee? - spytała.

- A jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia.

- Na pewno nie poprosił mojego ojca o pieniądze mafii.

- Dlaczego ty nigdy nie możesz mówić poważnie! - zezłościła się.

- Skąd wiesz, że nie mówię poważnie? Z drugiej strony dziadek brał mnóstwo, mnóstwo łapówek, kiedy jeszcze pracował dla KGB. - Roześmiał się głośno, widząc jej zachmurzoną minę. - Wy, Anglicy, jesteście strasznie naiwni, jeśli chodzi o Rosjan i o to, jak u nas załatwia się pewne sprawy. Łatwo was oszukać.

- Jedno musisz mi przyznać: najpierw wszyscy jesteście komunistami bez grosza przy duszy, a potem okazuje się, że można wśród was znaleźć całkiem pokaźne grono milionerów.

- Mój dziadek odkrył na Syberii kopalnię złota.

- Czy ty nigdy nie mówisz prawdy?

- Tylko wtedy, gdy rozmawiam o trywialnych sprawach. Ale w przeciwieństwie do was, zarozumiałych Brytyjczyków, my w Rosji często rozmawiamy o naszych rodzinach i wspominamy naszych zmarłych. Zwłaszcza o tych, których oplakujemy. Myślę, że to dobrze, jeśli ludzie, których kochaliśmy, nie zostali zapomniani. Zresztą śmierć jest stanem naturalnym i pewnego dnia każdy z nas będzie musiał umrzeć.

- Przemawia przez ciebie słowiańska, melancholijna dusza.

- A cóż ty możesz wiedzieć na temat słowiańskiej melancholii?

- Czytałam co nieco o tym w „Ostatnim lecie”.

- No widzisz, to właśnie było to złoto, które mój dziadek odkrył na Syberii. To on napisał tę powieść.

- Naprawdę?!

Misza mówił z tak przedziwną mieszaniną kpiny i nonszalancji, że nie była pewna, czy może mu wierzyć.

- Dziadek uważa, że każde życie musi być przyprawione szczyptą goryczy, żeby coś mogło stanowić przeciwagę dla szczęścia, chociaż często przeklina los, że akurat jemu przypadł cały garnek tej przyprawy. Jednak nadal twierdzi, że nie można w pełni cieszyć się dobrymi chwilami w życiu, jeśli człowiek nie zna jego ciemnych stron. I że ten, kto nie doświadczy tragedii ani nędzy, nie będzie umiał współczuć biedakom, więc nie poświęci sił ani środków na prowadzenie działalności dobroczynnej. Właśnie dlatego dziadek kupił Grunwaldsee i oddał je fundacji.

- Kto będzie czerpać zyski z jej działalności?

- Na początek ja - uśmiechnął się Misza. - Właśnie wprowadzam się do samodzielnego mieszkania w dużym domu.

- Według mnie to nie ma nic wspólnego z dobroczynnością.

- Straciłem matkę, kiedy miałem sześć lat, więc uważam, że jako pólsierota zasługuję na odrobinę współczucia... Ta fundacja będzie potrzebowała ogromnych pieniędzy, jeśli w ogóle zacznie funkcjonować. Utrzymanie Grunwaldsee sporo kosztuje. Dlatego ja i mój dziadek wciąż prowadzimy rozmowy z moim ojcem. On ma tyle kasy, że nie wie, co z nią robić. Okazjonalnie przelewa na konto fundacji część środków, które zarabia na ściąganiu haraczu z jaskiń hazardu, band handlarzy narkotyków i burdeli.

- Teraz kpisz ze mnie w żywe oczy.

- Wcale nie.

- Jesteś idealnym człowiekiem do rozmowy o dobroczynności, zważywszy że masz jacht, kilka sportowych samochodów, konie, letni domek nad jeziorem i forszę na odnowienie Grunwaldsee. Co właściwie zrobiłeś, żeby ulżyć biednym ludziom?

- Niewiele - przyznał, ostatni raz zaciągając się cygarem. Stracił popiół do jeziora, ale niedopałek starannie zgasił i schował do kieszeni. - Widzisz, jaki jestem troskliwy? Nie chcę potruć ryb, które żyją w jeziorze. No, jesteśmy na miejscu.

Opuścił żagiel i zacumował przy pomoście obok hotelu.

- Dziękuję, że mnie odwiozłeś. To była naprawdę przyjemna przejażdżka. Czy masz ochotę wpaść na drinka?

- O tej godzinie na pewno wszystko jest zamknięte.

- Jest otwarty minibar w moim pokoju...

- Nie, dziękuję. Słyszałem co nieco o was, Angielkach. Podobno uwodzicie mężczyzn, a potem porzucacie ich jak niepotrzebny śmieć. Nie mam zamiaru być twoją zabawką, Fräulein Laura, nawet przez jedną noc.

Podał rękę, żeby pomóc jej wyskoczyć z łodzi, a kiedy Laura stanęła na pomoście, natychmiast podniósł żagiel i odpłynął. Łódka zbliżała się już do środka jeziora, kiedy Misza jeszcze raz spojrzął w stronę brzegu.

- Dobranoc, Fräulein Laura! Zobaczymy się jutro rano!

Nowy Jork

Sobota, 28 maja 1988

...Postałam tam jeszcze przez chwilę, aż wreszcie doszłam do wniosku, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Nic, o czym byśmy nie wiedzieli. Nasza rozmowa mogła skończyć się na rozdrapywaniu starych ran albo, co gorsza, zaowocować pojawieniem się nowych, które nam obojgu przysporzyłyby sporo cierpienia.

Patrzyłam przez chwilę, jak podpisuje książki, a potem odeszłam.

Nie odwróciłam się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć.

Laura podskoczyła, kiedy zadzwonił stojący na nocnej szafce budzik. Dopiero teraz zorientowała się, że na czytaniu pamiętnika zeszła jej cała noc, a przecież obiecała Mariusowi, że obie z babcią będą gotowe o dziesiątej rano, żeby mógł zabrać jej samochodem na lunch do Grunwaldsee.

Szybko odsunęła zasłony, otworzyła przeszkłone drzwi i wyszła na balkon. Pomimo wczesnej godziny słońce mocno przygrzewało, a betonowa podłoga okazała się przyjemnie ciepła, gdy stanęła na niej bosymi stopami. Zerknęła ponad murkiem oddzielającym balkony. Uśmiechnięta Charlotte siedziała w wąskim paseczku cienia, z filiżanką kawy w ręku.

- Dzień dobry, Oma. - Laura usiadła na murku i przerzuciła nogi na drugą stronę. - Jak się udała wczorajsza kolacja?

- Wyśmienicie - odrzekła Charlotte.

- Marius był bardzo podekscytowany, kiedy dowiedział się, że Irena von Datski przyjedzie dziś z wizytą do Grunwaldsee. Mówił, że była kiedyś żoną twojego brata.

- To prawda. Teraz Irena nie może się doczekać, kiedy cię pozna i opowie ci o twoich kuzynach. Ona i Helmut mają przyjechać do Grunwaldsee zaraz po lunchu.

- Dawno wstałaś?

- Niedawno. Prawda, jaki prześliczny poranek? Laura popatrzyła na jezioro.

- Rzeczywiście. Wczoraj w nocy przeczytałam twój pamiętnik - dodała, z powrotem odwracając się do Charlotte.

- Cały?

- Caluteńki, od deski do deski - potwierdziła Laura.

- W takim razie w ogóle nie spałaś.

- Nie spałam.

- Więc musisz być zmęczona.

- Wcale nie. Ale teraz rozumiem, dlaczego w życiu podjęłaś takie a nie inne decyzje. Zwłaszcza dlaczego opuściłaś dziadka Juliana, zostawiając mu mojego ojca.

- Ta decyzja nie była łatwa, Lauro. Ale Claus bardziej mnie potrzebował niż oni.

- Wczoraj wieczorem Misza powiedział mi, że to jego dziadek jest tym tajemniczym pisarzem, który napisał „Ostatnie lato”.

Charlotte milczała, więc Laurę ogarnęło zmieszanie.

- Ale on zawsze stroi sobie żarty, więc nie wiem, czy powinnam mu wierzyć. Chyba raczej nie - dodała prędko.

- Tak podejrzewałam.

- Czyli to dziadek Miszy jest twoim Saszą?!

- Nie. To wiem na pewno. - Charlotte podniosła się z krzesła, cała drżąc.

- Nie musimy jechać dziś do Grunwaldsee, jeśli nie masz ochoty.

- Ale pojedziemy. - Babka natychmiast zgłosiła sprzeciw. - Chcę znowu spotkać się z dziadkiem Miszy, chociaż boję się, że będę musiała się zmierzyć z niełatwą prawdą. Może się okazać, że jedyna miłość mojego życia z jego strony była zwykłym oszustwem. Że Sasza widział, jaka jestem słaba i naiwna, więc mnie wykorzystał, żeby uratować siebie i swoich ludzi. I że pomimo tego wszystkiego, co dla mnie zrobił, łącznie z uratowaniem mi życia wtedy w lesie, nigdy nie znaczyłam dla niego tyle, ile on znaczył dla mnie.

- Twój pamiętnik...

- Pisała go samotna, nieszczęśliwa w małżeństwie dziewczyna, która widziała jedynie to, co chciała widzieć.

Laura nie umiała jej pocieszyć ani rozproszyć dręczących Charlotte obaw, więc spróbowała zmienić temat.

- Teraz już wiem, czemu ciocia Greta tak nienawidzi Rosjan. Kiedyś wujek Erich opowiadał, co oni wyczyniali, gdy wkroczyli do Prus Wschodnich. Mówił o gwałtach, morderstwach, brutalności...

- Lauro, w pamiętniku pisałam prawdę i tylko prawdę - przerwała jej Charlotte. - Ale Rosjanie nie zachowywali się inaczej niż nasi żołnierze, którzy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku najechali Rosję. I niestety, obawiam się, że to samo dzieje się w wielu innych krajach, w których obecnie toczą się wojny. - Spokojnie popatrzyła wnuczce prosto w oczy. - Jeśli założyć, że miałoby się jakiś wybór, zdecydowana większość ludzi chciałaby żyć w pokoju, w otoczeniu rodziny i blisko ukochanych. Najlepiej z dala od biedy i przemocy, żeby móc wychować dzieci na przyzwoitych ludzi, którzy z nadzieją patrzą w przyszłość, bo czują, że warto żyć.

- Gdyby każdy miał taką możliwość!

- Czyż to nie byłoby cudowne? No, ale dość filozofowania jak na jeden poranek.

- Tak strasznie mi przykro, Oma!

- Nie powinno ci być przykro, a już na pewno nie z powodu spraw, które wydarzyły się na długo przed twoim urodzeniem. Zresztą ogólnie rzecz biorąc, miałam naprawdę wspaniałe życie. Dłuższe i lepsze niż większość ludzi na tym świecie. A teraz idź i zdejmij wreszcie tę pizamę z Myszka Miki, bo Marius gotów pomyśleć, że jesteś uciekinierką z Disneylandu.

Starszy mężczyzna z młodzieńczą werwą zbiegł ze schodów, gdy tylko samochód Mariusa przejechał przez bramę prowadzącą do Grunwaldsee. Był wysoki i szczupły, a jego zaawansowany wiek stał się oczywisty dopiero wówczas, gdy biegnący znalazł się w pełnym blasku słońca, które obficie zalewało dziedziniec. Kilka kroków za nim szedł Misza.

Szeroko otworzył drzwi auta, ledwie Marius zdążył zahamować.

Charlotte wysiadła, zatrzymała się tuż przed nim i przez kilka chwil wpatrywała się w jego twarz, aż wreszcie pałała mu w ramiona.

Misza natychmiast wyczuł, że tym dwojgu nikt nie jest w tym momencie potrzebny, wziął więc Laurę pod rękę i poprowadził w stronę domu.

- Masz wspaniałego wnuka, Leonie - powiedziała Charlotte, dla utrzymania równowagi opierając się o maskę samochodu. - Powinnam była się domyślić. Wysoki, szczupły, te same czarne włosy...

- Och, dawno minęły czasy, kiedy miałem bujną czuprynę. - Zaśmiał się i przesunął dłonią po łysiejącej czaszce.
- Ostrzegałem Miszę, że on też tak będzie wyglądać, kiedy się zestarzeje. - Wyciągnął rękę w kierunku Charlotte. - Hrabino von Letteberg, czy zniesie pani tę ujmę i zechce wesprzeć się na ramieniu starego człowieka, który niegdyś przybył do Grunwaldsee jako jeńiec wojenny i przedstawiciel rasy podludzi?

- Nigdy nie myślałam w ten sposób o tobie ani o twoich towarzyszach, Leonie.

- Wybacz, to był głupi żart - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Wiem przecież, że zawdzięczam ci życie.

- Zrobiłam naprawdę niewiele. Najmniej, ile może zrobić jeden człowiek, żeby pomóc innemu.

- Dałaś nam jedzenie, dom, ubranie... Pilnowałaś, żeby było nam ciepło w zimie, przez cały czas ryzykując dla nas własne życie i swojej rodziny. Ludzie bywali rozstrzeliwani za znacznie mniej.

Zachwiała się, stawiając nogę na pierwszym stopniu, i oparła się całym ciężarem na ramieniu Leona, jakby nagle zabrakło jej tchu.

- Wydaje mi się, że powinnaś usiąść.

- To przez ten upał.

- Albo z powodu szoku spowodowanego widokiem Rosjan, którzy wnoszą swoje meble do Grunwaldsee - zauważył, kiedy minął ich jakiś człowiek dźwigający krzesła.

- Widziałam pokoje na dole i nie sądzę, żeby któryś z von Datskich nie zaakceptował tego, co zrobiłeś.

- Kiedy wreszcie wróciłem z łagru, bo objęła mnie ogólna amnestia, okazało się, że jestem ogromnie bogatym człowiekiem. Moi londyńscy i amerykańscy agenci pootwierali mi rachunki w bankach. Patrzyłem na te pieniądze i wiedziałem, że nigdy nie mógłbym wykorzystać ich wyłącznie na własne potrzeby. Rozmawiałem na ten temat z Miszą i to właśnie on wpadł na pomysł, żeby założyć fundację Petera Borodina, która będzie prowadzić akademię dla młodych muzyków. Chcieliśmy znaleźć miejsce, gdzie uczniowie mogliby przyjechać razem ze swoimi nauczycielami, żeby grać razem z innymi, a w przyszłości może uda się stworzyć tutaj prawdziwą międzynarodową orkiestrę. Wydaje mi się, że to całkiem dobra idea. Muzyka to język, który łączy wszystkie nacje. Zresztą to przecież dzięki muzyce spotkaliście się z Saszą po raz pierwszy, kiedy jeszcze przed wojną byłaś na tournée w Rosji.

- Czytałam w „Life” wywiad z tobą, kiedy zakładałeś fundację, ale nie miałam pojęcia, że to właśnie Grunwaldsee stanie się siedzibą akademii.

- Wtedy ja też jeszcze o tym nie wiedziałem. Ale kiedy przekazałaś wyjątkowo szczerą darowiznę na rzecz funduszu powierniczego, pomyślałem, że zaaprobowiesz ten pomysł. Poza tym znam szczegóły zapisu na rzecz fundacji, który znajduje się w twojej ostatniej woli.

- Widziałeś mój testament?

- Jestem skarbnikiem funduszu.

- To znakomita idea, zwłaszcza stypendia dla dzieci uciekinierów, które nie mają własnego kraju. Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego sposobu na zwalczanie uprzedzeń, jakie narodziły się podczas wojny, ani sensowniejszego pomysłu na wykorzystanie Grunwaldsee.

- Kiedy krótko po wyjściu z obozu przyjechałem tu na swoistą pielgrzymkę i okazało się, że posiadłość jest na sprzedaż, pomyślałem, że to prawdziwe zrządzenie losu. Ale wciąż pozostało wiele do zrobienia.

Machnął ręką w kierunku szeregu starych domków, o których Charlotte, Laura, a nawet Marius myśleli, że zostaną zamienione w pokoje hotelowe.

- Nie będziemy mogli rozpocząć działalności, dopóki nie przygotujemy dla dzieci wystarczającej ilości miejsc noclegowych. Czy Misza powiedział ci, że jest utalentowanym muzykiem?

- Nie.

- Znaleźliśmy już kogoś, kto będzie prowadził naszą akademię; Misza zostanie jednym z jego asystentów. Pierwsi uczniowie przyjadą tutaj, gdy tylko zakończy się remont domków, w których urządzimy sypialnie. Mam nadzieję, że nastąpi to przy końcu tego miesiąca. Zwróciłem się już do UNICEF-u, żeby przygotowali dla nas listę kandydatów na miejsca przeznaczone dla uchodźców.

- Byłoby cudownie, gdyby kiedyś nadszedł dzień, w którym na świecie nie będzie już żadnych uchodźców.

- Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi, a już na pewno nie będzie wtedy na tym świecie ani ciebie, ani mnie.

Wprowadził ją do salonu, który już nie świecił pustkami, lecz został wyposażony w miękkie, wyściełane krzesła i nieduże stoliki.

- Masz ochotę na kawę albo szklaneczkę wina? Misza chowa parę butelek na specjalną okazję, a czy może być coś bardziej specjalnego niż nasze spotkanie?

- Dziękuję, chętnie napiję się wina.

Usiadła na stojącym z brzegu krześle i rozejrzała się dookoła. Meble zostały wybrane bardziej ze względu na swoją wytrzymałość niż wygląd, co zrozumiałe, ale i tak nic nie mogło zepsuć spokojnej harmonii przepięknego pokoju. Charlotte złapała się na tym, że po raz pierwszy rozmyśla nad przyszłością swojego rodzinnego domu, zamiast rozpamiętywać przeszłość. Widziała ten pokój pełen młodych ludzi, którzy dyskutowali o muzyce, malarstwie, polityce, poezji i zmieniali ten świat wedle swoich poglądów, tak jak czyni każda generacja, tylko być może robili to lepiej i mądrzej niż ich poprzednicy.

- Zaledwie osiem tygodni temu dostaliśmy pozwolenie na otwarcie akademii.

- A gdyby wam odmówiono?

- No cóż, wtedy trzeba by było posmarować więcej rąk.

- Sasza często powtarzał, że ciebie można posłać nawet do piekła, bo dogadałbyś się z samym diabłem.

- Naprawdę? - Otworzył butelkę. - Teraz, kiedy większość szczegółów została ustalona, mogę powiedzieć, że każde miejsce zostanie zajęte tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Wedle ostatnich obliczeń, w nadchodzącym roku Misza będzie mógł przygotować miejsca noclegowe nawet dla dwustu uczniów z pięćdziesięciu krajów. Jak na początek całkiem nieźle, prawda?

Napełnił jeden z kieliszków i postawił przed Charlotte na stoliku.

- Co sądzisz o Miszy? - zapytał.

- Ma błękitne oczy, które dobrze znam.

- A więc zwróciłaś na to uwagę? - podniósł swój kieliszek. - Za twoje zdrowie i powodzenie, Frau Gräfin von Letteberg.

- Wolalabym, Leonie, żebyśmy wzniesli toast za Saszę - odparła.

Lekko trącił kieliszkiem jej kieliszek.

- Zgoda. W takim razie za Saszę.

- Czy możemy o nim porozmawiać? - zapytała cicho, kiedy oboje wypili wino.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Powiedz mi tylko, od czego mam zacząć.

- Od tej polany w lesie. Nie rozumiem, dlaczego tamci nie zastrzelili was od razu, na miejscu.

- Wtedy nikt z nas tego nie rozumiał. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że syn Stalina trafił do obozu jenieckiego w Niemczech. Niemcy traktowali go wyjątkowo dobrze - w nadziei, że wymienią go na wysoko postawionych niemieckich jeńców - więc miał wszystko, czego tylko pragnął: jedzenie, alkohol, kobiety. Kiedy został zwolniony, powie-

dział ojcu, że nie wolno ufać żadnemu Rosjaninowi, który dostał się w ręce wroga. W rezultacie wszystkich nas wysłano na Syberię na „polityczną kwarantannę” oraz do ciężkiej pracy.

- Kiedy uciekałam w głąb lasu, usłyszałam pojedynczy wystrzał.

- Ten oficer, który przyłożył pistolet do głowy Saszy, zobaczył, że jedna z leżących na śniegu Niemek jeszcze się poruszyła, więc do niej strzelił.

- Marius powiedział mi, że potem zapędzili was z powrotem do Grunwaldsee.

Spojrzenie Leona zachmurzyło się na samo wspomnienie tamtych okropnych chwil.

- Wówczas byliśmy całkiem zadowoleni, że żaden z nas nie został na polanie obok twojej mamy i jej służącej.

- A co było potem? Wysłano was prosto do obozu pracy?

- Tak. Nikt nie zawracał sobie głowy żadnymi procesami. Zostaliśmy schwytani za linią frontu, było oczywiste, że jesteśmy jeńcami wojennymi, a dzięki tobie nie wyglądaliśmy na zmaltretowanych ani takich, którzy za chwilę umrą z głodu.

- Na jak długo was skazano?

- Czy znasz stary dowcip o więźniu, który skarżył się, że za nic skazano go na pięć lat na Syberii, i wtedy usłyszał, że jest w błędzie, bo kara „za nic” wynosi dziesięć lat? Ja i Sasza dostaliśmy znacznie dłuższe wyroki.

Charlotte zakryła dłońmi usta.

- Każdy z nas marzył tylko o tym, żeby pojechać do domu i zobaczyć rodzinę, a zamiast tego dostaliśmy bilet na wschód, i to w jedną stronę.

- Po tym wszystkim, co wycierpieliście...

- Nie zostało nam nic innego, jak tylko zaakceptować to, co nieuchronne. Dać upust legendarnemu fatalizmowi, który kryje się w słowiańskiej duszy. Charlotte, przecież czytałaś „Ostatnie lato”. Wiesz, co się wydarzyło.

Rozdział dwudziesty czwarty

Charlotte zmusiła się, żeby wrócić pamięcią do tamtego zaśnieżonego, styczniowego dnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. W jej uszach znowu zabrzmiał głos Saszy, który słyszała, pędząc na oślep przez las, byle dalej od tej pełnej trupów, zalanej krwią polany.

- Nigdy nie zapomnę dnia, gdy ostatni raz widziałam Saszę...

Zajrzała w głąb serca i wyczarowała przed oczyma ostatni obraz ukochanego - taki, jaki zapamiętała z tamtej okropnej chwili.

- Klęczał na śniegu... Jakiś oficer przyłożył pistolet do jego głowy, ale Sasza mimo to nie przestawał krzyczeć, żebym uciekała... I uciekłam, bo właśnie tego ode mnie oczekiwał... Ale wiedz, Leonie, że od tamtej pory nawet na chwilę nie przestałam żałować, że go posłuchałam... - Odwróciła się do niego. - Gdybym została na tamtej polanie, pewnie rozstrzelano by nas razem.

- Sasza nie zostałby rozstrzelany, ale ty tak, a nosiłaś jego dziecko - przypomniał jej Leon. - To byłby potworny ciężar, który Sasza musiałby dźwigać przez wszystkie dni spędzone na Syberii.

- Przecież w końcu i tak umarł.

- Ale umarł dopiero w czterdziestym siódmym roku, a noce, które w swoich snach spędzał razem z tobą, wcale nie były takie złe.

- Słyszałam huk wystrzału, kiedy już byłam na tyle daleko, że nie widziałam, co się dzieje na polanie, i byłam przekonana, że ten oficer zastrzelił Saszę. Przez długi, długi czas wierzyłam w jego śmierć, aż pewnego dnia dotarły do

mnie wieści o książce zatytułowanej „Ostatnie lato”, która została przemycona z rosyjskiego gułagu na Zachód. Kupiłam ją natychmiast, gdy tylko ukazała się na rynku, a było to całe lata wcześniej, zanim przyjechałeś do Nowego Jorku na spotkania z czytelnikami. I czytając ją, czułam, jak budzi się we mnie nadzieja.

- Kiedy już znaleźliśmy się w obozie, Sasza i ja nigdy nie rozmawialiśmy o naszej drodze na Syberię. To było coś, co zwyczajnie należało ścierpieć, i właśnie dlatego w przedmowie do książki nie wspominałem o tym ani słowem.

- To musiało być straszne doświadczenie.

- Podróż do piekła znacznie gorszego niż to, w które wierzą chrześcijanie, nie była wcale taka okropna, chociaż przyznaję, że mogło być odrobinę cieplej. Pociągi prawie nie kursowały, bo wagony wciąż były potrzebne gdzie indziej, więc spędzaliśmy całe dni - a czasem nawet tygodnie - w obozach przejściowych. Ani razu się nie zdarzyło, żeby zakwaterowano nas w jakimś budynku. W dobre dni dostawaliśmy wodnistą zupę; w złe nie karmiono nas wcale. Oczywiście te złe dni zdarzały się znacznie częściej niż dobre, a bez dachu nad głową ciężko przetrzymać rosyjską zimę. Zanim dotarliśmy do miejsca, w którym mieliśmy pracować przy wyрубie lasu, przy życiu pozostało nas zaledwie czterech - z dwunastu, których zabrano z Grunwaldsee.

- Leonie, tak strasznie mi was żal...

- Zdarzały się momenty, kiedy uważałem za szczęściarzy tych, co poumierali wcześniej. Za zastrzelenie wyższego rangą oficera i pomoc wrogowi w ucieczce Sasza został skazany na dożywocie. Miał spędzić resztę życia na politycznym szkoleniu i ciężkiej, fizycznej pracy. Ja, jako jego adiutant, dostałem czterdzieści lat.

- Wszystko z mojej winy - zapłakała Charlotte.

- Nie ma twojej winy w tym, co nasi rodacy zrobili z Saszą, kiedy ostatecznie zniknęłaś nam z oczu. Spodziewałem się, że zapytasz mnie o niego już wtedy, gdy w Nowym Jorku spotkaliśmy się w księgarni. Czemu tego nie zrobiłaś?

- Bo nasza rozmowa nie mogłaby się obejść bez łez, a nie chciałam robić z siebie widowiska. Od dnia, gdy usłyszałam o „Ostatnim lecie”, pielęgnowałam w sobie wątłą nadzieję, że Sasza wciąż żyje. Kiedy przeczytałam książkę, byłam przekonana, że to właśnie on ją napisał. I gdy rozeszła się wieść, że Peter Borodin przyjeżdża do Stanów, postanowiłam nawiązać z nim kontakt poprzez wydawcę książki, lecz zanim wysłałam list, zobaczyłam w telewizji wywiad z tobą i już wiedziałam, że Sasza umarł, i że to ty napisałeś tę powieść, a nie on...

- Charlotte...

- Proszę cię, Leon, pozwól mi skończyć! Kiedy zobaczyłam cię w tamtej księgarni, jak podpisujesz książki, wiedziałam, że nie jestem dość silna, żeby spokojnie wysłuchać, jak umarł Sasza. Na samą myśl o tym, ile wycierpiał...

Leon wyciągnął rękę i zamknął między palcami jej drobną dłoń.

Charlotte podniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- W głębi serca od dawna wiedziałam, że Sasza nie żyje. W lutym czterdziestego siódmego roku przeszedłam poważne załamanie. Musiałam opiekować się Erichem, ale czułam, że nie chcę dłużej żyć, nawet dla niego. I kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że tamta choroba musiała mieć jakiś związek z Saszą. Nie potrafiłam przestać o nim myśleć, ale już wtedy wiedziałam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

- W lutym... - Leon zamilkł i głęboko się zamyślił. - Pewnej soboty Sasza jak zwykle położył się spać i więcej się nie obudził. To było dokładnie dwudziestego trzeciego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Myślę, że po prostu został w tamtym świecie, o którym śnił każdej nocy. Opowiadał mi o nim w najdrobniejszych szczegółach. Pewnie sam napisałby tę powieść, gdyby ktoś przyniósł mu papier i ołówek... Co noc rozmawialiśmy na ten temat, bo Sasza chciał, żebym wszystko zanotował sobie dokładnie w pamięci. Mówił nawet wtedy, kiedy protestowałam, że jestem zbyt zmęczony, żeby słuchać. Zupełnie jakby wiedział, że ja przeżyję to piekło, a on nie.

- A więc „Ostatnie lato”...

- Właśnie próbuję ci powiedzieć, że to Sasza napisał każde słowo tej powieści - oświadczył zdecydowanie Leon. - To była jego historia, jego i twoja. Ja tylko trzymałem w ręku pióro, przelewając na papier to, co wcześniej mi opowiadał. I przysięgam, że pisząc, miałem wrażenie, że zagląda mi przez ramię, gdziekolwiek wtedy był. Gdybym zboczył z kursu, na pewno pstryknąłby palcami i kazał mi przywołać z pamięci te długie syberyjskie noce, podczas których zmuszał mnie, żebym go słuchał i powtarzał jego słowa, choć ja chciałem tylko spać. Właśnie dlatego nie mogłem rościć sobie prawa do żadnych honorariów autorskich. One należą do Saszy - i do ciebie.

- Więc naprawdę to on stworzył tę powieść?

- Naprawdę, mogę ci przysiąc. Oczywiście nie na Biblię, ponieważ jestem zagorzałym komunistą i ateistą, tak samo jak Sasza. Ale mogę przysiąc na „Kapitał” Marksa, jeśli sobie życzysz.

- Nie trzeba, Leonie, wierzę ci - odrzekła z uśmiechem.

- Kiedy zostałem zwolniony, chciałem powiedzieć całemu światu, że to Sasza jest autorem „Ostatniego lata”, ale wydawcy mi nie pozwolili. Żyjący autor może mówić, wzbudzać zainteresowanie i przykuwać uwagę mediów. Martwy w najlepszym razie zasługuje na jeden artykuł w prasie. Książka odniosła na Zachodzie oszałamiający sukces i właśnie miała ukazać się w Rosji. Każdy chciał spotkać się z bohaterem, który przetrwał osławiony stalinowski gułag. Misza widział wyciągi z kont, na które wpływały honoraria autorskie, i przekonał mnie, abym nadal udawał, że to ja jestem autorem - ze względu na fundację Petera Borodina. Nazwisko na okładce nie jest ani moim nazwiskiem, ani Saszy, ale, jak powiada Misza, autorem tej powieści jest każdy rosyjski żołnierz, który najpierw był przetrzymywany w niewoli przez Niemców, a potem wsadzony do gułagu przez swoich rodaków. Perswadował mi, że teraz liczy się jedynie to, na co zostaną wydane te pieniądze. Muszę przyznać, że Misza ma dar przekonywania.

- Moim zdaniem Sasza pochwaliliby cię za to, że postanowiłeś przeznaczyć je na tak szczytny cel.

- Twoja darowizna wiele dla mnie znaczyła. Nie z powodu pieniędzy, lecz dlatego że wiedziałem, iż idea fundacji zyskała twoje błogosławieństwo. Czy wiedziałaś, że cię szukałem, jeszcze zanim pojawiłaś się na tym spotkaniu autorskim w Nowym Jorku?

- Nie.

- Nawet udało mi się ciebie zobaczyć.

- Gdzie? Kiedy? - Ręka Charlotte zadrżała.

Leon delikatnie wziął od niej kieliszek i postawił na stoliku.

- W Nowym Jorku, na jakiejś wystawie malarstwa. Byłaś tam z pewnym młodym człowiekiem, który wyglądał dokładnie tak samo jak twój mąż. Aż zacząłem się zastanawiać, czy Claus przypadkiem nie został poddany hibernacji, a następnie przywrócony do życia.

- W takim razie musiałeś widzieć mojego wnuka, który także nazywa się Claus. Fizycznie jest bardzo podobny do mojego męża, ale na szczęście ma całkiem inny charakter. Z zawodu jest stolarzem.

- No cóż, stolarz to na pewno lepsza profesja niż żołnierz - zauważył Leon.

- Powinieneś był odezwać się do mnie.

- Odniosłem wrażenie, że jesteś bardzo zajęta i że dobrze się czujesz w gronie swoich przyjaciół. Nie chciałem przeszkadzać.

- Nie powiedziałaś niczego o swojej żonie. Czy wróciłaś do niej, kiedy wypuścili cię z obozu?

- Do Ludmiły? - zaśmiał się Leon. - Prędzej zgodziłaby się zamieszkać z diabłem niż ze mną. Czy Sasza wspominał ci kiedyś, że przyjaźniliśmy się od trzeciego roku życia?

- Tak.

Znów zalały ją wspomnienia tych upojnych wieczorów, kiedy siedziała w składziku, słuchając, jak Sasza opowiada jej o życiu, jakie prowadził, zanim wybuchła wojna.

- Sasza i ja robiliśmy niemal wszystko razem - szkoła, studia muzyczne... Nawet ożeniliśmy się w tym samym czasie, to znaczy w dniu, gdy dostaliśmy powołanie do wojska. Widocznie któryś z nas wpadł na pomysł, że dobrze jest mieć kogoś, do kogo będzie można wrócić, gdy zjawimy się po wojnie w glorii chwały. To może nie był oryginalny pomysł, lecz wojna często bywa przyczyną życiowych pomyłek, tych drobnych i tych znaczących. Zanim nadszedł rozkaz wymarszu, obaj z Saszą spędziliśmy z naszymi żonami miodowy tydzień. Przez następne czterdzieści lat nie dane mi było ujrzeć Ludmiły. Sasza już nigdy nie spotkał się z Zoją.

- Jeśli nie wróciłeś do żony, to czy mam rozumieć, że w twoim życiu pojawił się ktoś inny?

Leon wybuchnął śmiechem.

- Całe tuziny! Ale z nikim nie czułem się szczególnie związany, tak jak Sasza z tobą. Zresztą Ludmiła także nie należała do kobiet, które siedzą w domu i czekają. Nie traciła czasu, tylko ułożyła sobie życie na nowo, jeszcze zanim wojna dobiegła końca, i możesz mi wierzyć, że kto jak kto, ale ona umie czerpać z życia pełnymi garściami. Ale kiedy „Ostatnie lato” zostało oficjalnie wydane w Związku Radzieckim, natychmiast zatroszczyła się o wpływy z praw autorskich. I dobrze. Ostatecznie zajmowała się naszym synem, a potem także córką Saszy, kiedy podczas wojny Zoja umarła z głodu. Na cześć Saszy Zoja dała jej na imię Aleksandra; dziewczynka wychowywała się razem z moim synem Aleksiejem. Rosyjskie dzieci, które urodziły się w czasie drugiej wojny światowej i dorastały podczas zimnej wojny, szybko nauczyły się żyć chwilą. Pamięć o tym, co Niemcy zrobili Rosji i Rosjanom, zawisła nad całym naszym narodem. Wszyscy się spodziewali, że lada moment możemy się zmienić w radioaktywny pył, kiedy Amerykanie zrzucą na nas swoją bombę atomową. Może ludzie z Zachodu inaczej to odbierali.

- Wcale nie inaczej - zapewniła go z powagą Charlotte. - Baliśmy się was dokładnie tak samo jak wy nas.

- Córka Saszy zaczęła pić. Ludmiła próbowała ją powstrzymać, ale okazało się to niemożliwe. Mój beznadziejny synalek Aleksiej w niczym jej nie pomagał. Jeszcze zanim Aleksandra wpadła w nałóg, nie widział żadnego powodu, dla którego nie miałby iść od jednej kobiety do drugiej. Miał tyle żon i kochanek, że w końcu straciłem rachubę. Z czasu, który spędził z Aleksandrą, wyniknęła przynajmniej jedna dobra rzecz. Misza jest wnukiem zarówno Saszy, jak i moim. Ale tego chyba się domyśliłaś, widząc jego oczy. To zabawne, jak pewne cechy przeskakują jedno pokolenie. Aleksandra wcale nie była podobna do swojego ojca, a oczy miała szare.

- Czy to właśnie Ludmiła wychowała Miszę?

- Ludmiła jest dobrą kobietą, choć być może nie pasujemy do siebie i nie życzy sobie, żebym kręcił się w pobliżu. Kiedy się przekonała, jak żyje Aleksandra - coraz to inni mężczyźni, niekończące się, suto zakrapiane imprezy, czasem kilkudniowa nieobecność w domu - postanowiła wziąć Miszę do siebie, gdy mały miał zaledwie dwa lata. Aleksandra od czasu do czasu zjawiała się w jej mieszkaniu, żeby zabrać synka do siebie, ale Misza zawsze potrafił znaleźć jakiś sposób i wracał do Ludmiły. Nic dziwnego - tylko ona dbała, żeby chodził czysty, dostał jeść i miał w co się ubrać. Aleksandra umarła, kiedy Misza skończył sześć lat. Ludmiła posłała go do szkoły, a tam nauczyciele szybko zauważyli, że dzieciak ma nieprzeciętny talent muzyczny, więc męczyła ich tak długo, aż wysłali go do konserwatorium. Oboje z Ludmiłą poszliśmy na jego koncert dyplomowy. W wieku dwudziestu pięciu lat został najmłodszym profesorem w całej historii naszego konserwatorium. Wszyscy bardzo żalowali, kiedy zdecydował się odejść, ale jak już mówiłem, to on wpadł na pomysł zamienienia Grunwaldsee w międzynarodową akademię, więc poprosiłbym go, żeby tam pracował, nawet gdyby nie był moim wnukiem. Jest naprawdę bardzo utalentowany, nie tylko jako muzyk, lecz także jako nauczyciel.

- Czy on wie o mnie i o Saszy?

- Tak. Powiedziałem mu, historia czyjej miłości stała się inspiracją „Ostatniego lata”.

Oczy Charlotte zasnuły się mgiełką bólu.

- Czy Sasza został pochowany w jakimś zbiorowym grobie na Syberii?

- Syberyjskie zimy są długie i mroźne, a jak powiedziałem, Sasza umarł w lutym. Musieliśmy poczekać z pochówkiem do wiosny. Udało mi się tak załatwić, żeby to mnie wyznaczono do tego zadania, więc mogłem wykopać dla niego osobny grób, z dala od wspólnego dołu, do którego wrzucono innych zmarłych. Zaznaczyłem to miejsce, żeby móc je później odszukać.

Zabierając ze stołu kieliszek, Charlotte wstała i podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na jezioro i otaczający je las.

- Dziękuję ci, Leonie. Bardzo ci dziękuję.

- Za to, że kupiłem twój dawny dom?

- Za to, że ocaliłeś go od ruiny - odparła.

- I za to, że opowiedziałem ci, jak umarł Sasza, chociaż sama domyśliłaś się wszystkiego już wcześniej?

- Za to, że powiedziałaś mi to, co tak bardzo chciałam usłyszeć. Że ten jedyny mężczyzna, który był miłością mojego życia, kochał mnie tak samo mocno jak ja jego. I że nasza miłość była prawdziwie bezinteresowna, tak jak zawsze wierzyłam.

- Trudno mi uwierzyć, że kiedykolwiek mogłaś w to wątpić, Charlotte. Ty i Sasza zdobyliście coś, co dane jest tylko nielicznym. Czulem zazdrość za każdym razem, gdy widziałem was razem. Wystarczyło wam jedno spojrzenie rzucone na siebie przez dziedziniec Grunwaldsee, żeby powiedzieć tyle, ile większość ludzi mówi sobie podczas dziesięciu godzin. To właśnie wspomnienia o tobie trzymały Saszę przy życiu, kiedy dopadły nas nędza i koszmar gułagu.

- Do czasu, gdy wreszcie się poddał.

- Nie. Do czasu, gdy był gotów odejść do tego innego świata, o którym śnił każdej nocy. - Leon podniósł się z krzesła i stanął obok niej. - Chodź, zawiozę cię do letniego domku nad jeziorem.

- Ale po co?

- Zobaczysz, kiedy będziemy na miejscu. Wezmę następną butelkę wina, żebyśmy mogli usiąść tam i wypić za jego pamięć - i za twoje zdrowie. Wiesz chyba, że ja też trochę się w tobie podkochiwałem?

- Leon...

- Ale nie pochlebiaj sobie. Po prostu jesteś jedyną przystojną kobietą w moim wieku, do której miałem okazję się zbliżyć przez ostatnie czterdzieści lat...

Leon zatrzymał auto na dróżce biegnącej obok letniego domku. Otworzył drzwi dla Charlotte i podał jej ramię, ale nie wprowadził jej do środka. Zamiast tego powędrowali brzegiem do miejsca tak dobrze osłoniętego przez drzewa i krzaki, że mógł je dostrzec wyłącznie ktoś, kto płynął po jeziorze lub stał po przeciwległej stronie. Znajdowała się tu betonowa ławeczka, więc Charlotte usiadła. I dopiero wtedy zobaczyła napis na kamieniu, który leżał u jej stóp.

ALEKSANDER (SASZA) BIELECKI 1921 -1947

KTÓRY NA ZAWSZE POZOSTANIE

PETEREM BORODINEM DLA WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW „OSTATNIEGO LATA”

...TAK WIĘC TRWAJĄ WIARA, NADZIEJA,

MIŁOŚĆ - TE TRZY: Z NICH ZAŚ NAJWIĘKSZA JEST MIŁOŚĆ...

- Kiedy objęła mnie amnestia, poprosiłem o pozwolenie na powrót na Syberię - odezwał się cicho Leon. - Nie prosiłem, żeby pozwolono mi przywieźć go tutaj. Bałem się, że nie uda mi się uzyskać zgody władz. Własnoręcznie zrobiłem trumnę dla Saszy, więc wiedziałem, że powinna wytrzymać w ziemi przez ładnych kilka lat. Odkopałem ją późną

nocą, włożyłem do dużej skrzyni i przekupiłem strażnika na kolei, żeby załadował ją jako towar do pociągu jadącego do Moskwy, a potem przywiozłem tutaj. I pewnej nocy Misza, Marius i ja złożyliśmy Saszę do grobu. Nie prosiłem o oficjalne zezwolenie od władz na pochowanie go w Grunwaldsee, bo może jeszcze by mi odmówiono. Kamień dostaliśmy od człowieka, który pracował przy renowacji grobowca von Datskich. Wiem, że ten tekst pochodzi z Biblii, z Pierwszego Listu do Koryntian...

- Więc komuniści także czytują Biblię? - uśmiechnęła się Charlotte.

- To była jedyna książka, jaką mieliśmy w obozie. Chrześcijanie, których wysyłano tam na reedukację, zawsze znaleźli jakiś sposób, żeby ją przeszmyglować. Przed wojną obaj z Saszą byliśmy zagorzałymi komunistami, lecz przestaliśmy wierzyć w tę ideologię na długo przedtem, zanim dotarliśmy do gułagu. Trudno wierzyć w coś, co zniszczyło ci życie. Jednak po przeżyciach wojennych obaj staliśmy się zbyt wielkimi cynikami, żeby się zwrócić do wszechmocnego, miłosiernego Boga chrześcijan. Ale te słowa wydawały mi się najbardziej odpowiednie, jeśli chodzi o Saszę. Wiem, że dla niego naprawdę najważniejsza była miłość... A tu jest coś, co w jego mniemaniu symbolizowało odrodzenie i życie po śmierci. - Wskazał na młodziutkie drzewko rosnące tuż obok kamienia.

- Wierzba płacząca... - powiedziała Charlotte i skierowała spojrzenie na gałęzie sąsiednich drzew, omiatające taflę jeziora.

- Wydaje mi się, że to właściwy wybór. - Ponownie odwróciła się do kamienia.

- Jak już mówiłem, lubię myśleć, że podobnie jak bohater jego książki, Sasza także powrócił we śnie do świata swoich marzeń i został tam na zawsze. Dla niego ten świat był całkiem realny, Charlotte. Bardziej realny niż obozowa nędza. Obserwował, jak rośnie jego córeczka, razem z tobą świętował jej urodziny, siedział przy tobie tej nocy, kiedy narodził się wasz syn...

Zostało jeszcze jedno pytanie, które musiała zadać.

- Jak sądzisz, czy zachował wspomnienie młodej, ciężarnej kobiety, która stała w głębokim śniegu na dziedzińcu Grunwaldsee, krzycząc z nienawiścią: „Morderca”?

- Nie, Charlotte, na pewno nie. Znam każde jego wspomnienie o tobie i takiego na pewno nie było.

Zapadła cisza. Teraz wystarczyło im, że mogli tak po prostu siedzieć obok siebie i oddawać się wspomnieniom.

- Charlotte, jesteśmy tu już ponad godzinę. - Leon wstał i odwrócił się do niej. - Może chciałabyś zostać nieco dłużej? Pobyć tutaj sama?

- Tak, Leonie. Bardzo proszę.

Wyciągnął rękę i delikatnie musnął jej dłoń.

- Chyba jest ci zimno.

Podniosła wzrok.

- Leonie, ja...

- Wiem. - Spojrzał na grób. - Jak widzisz, na kamieniu zostało miejsce na jeszcze jeden napis, ale mam nadzieję, że upłynie wiele lat, zanim trzeba będzie go tu wyryć.

- Dziękuję ci. Nigdy nie trzeba nam było wielu słów, żeby się porozumieć.

- Wróć tu później z Miszą i Laurą. Czy chciałabyś, żeby Laura zobaczyła to miejsce?

- Tak.

- Więc ona wie?

- O wszystkim, Leonie. O wszystkim.

Charlotte odruchowo przebierała palcami w takt muzyki, która płynęła ku niej z małego saloniku, pełniącego funkcję pokoju muzycznego. Niesamowitej muzyki, którą grała na fortepianie młodsza wersja jej samej. To była muzyka Szostakowicza, uwielbiana przez Saszę do tego stopnia, że zapisał ją dla niej na kawałku papieru do pakowania.

Nagle jakiś cień przesłonił słońce. Błękitne oczy zająrzały z bliska w jej twarz. Ujrzała nieśpieszny, znajomy uśmiech, który tak bardzo kochała, i wyciągniętą ku sobie dłoń. Przyjęła ją bez wahania.

...Ona jest dla mnie wszystkim, ta kobieta, którą kocham. Powietrze, którym oddycham, ziemia pod moimi stopami, jedzenie, picie - wszystko staje się bez znaczenia w porównaniu z ciągłym pragnieniem jej obecności. Teraz ona przytula się do mnie całym ciałem i w absolutnej ciszy na moment zanurzam się w jej ustach. Nie potrzeba nam żadnych słów, bo to, co powinniśmy sobie powiedzieć, już dawno zostało powiedziane. Ramię w ramię wędrujemy przez ogród w kierunku domu. Ona idzie po schodach na górę, ja zaś zostaję, żeby pogasić lampy w pokojach na dole, zamknąć drzwi... Potem idę za nią.



TLR